

K U B A
WOJEWÓDZKI

NI
AUTO
RYZO
WANA
AUTO
BIO
GRA
FIA

K U B A
WOJEWÖDZKI

NI
AUTO
RYZO
WANA
AUTO
BIO
GRA
FIA

*Pamięci mojej Mamy,
która na szczęście już tego nie przeczyta*

Są
sztuki teatralne tak **złe**,
że publiczność
wygwizduje
nawet szatniarzy.

„Jestem jeszcze zbyt młody i zbyt mało znaczący, by pisać pamiętniki. Piszę o ludziach, których znałem i których kochałem”. Uwielbiam to zdanie z *Pięknych dwudziestolecia* Marka Hłaski. A więc – jak typowy Polak na czasach *all inclusive*, zwanych przez rodzimych poliglotów *ol ekskjużmi* – kradnę z bufetu to, co mi się podoba. Podobnie jak wszystkie następne – „Życie, które mi dano, jest tylko opowieścią, ale to, jak ją opowiem, jest już tylko moją sprawą”. A więc, mówiąc szczerze, jestem pomyłką. Błędem adresowym. Kosmicznym spamem. Źle doręczoną przesyłką. To ostatnie to chyba najtrafniejsze zdanie w całej mojej historii. Jestem żywym dowodem na brak jakiegokolwiek wyższej inteligencji, która sprawuje nad nami pieczę. Jestem w związku z tym ateistą – wierzę tylko w reinkarnację, a więc w swoim testamencie wszystko zapisałem sobie. Jesteście ciekawi dlaczego?

Czarek Pazura opowiadał mi swego czasu, jak zmagał się z jakąś rolą w teatrze, której nie potrafił zagrać. I wtedy reżyser Bogusław Schaeffer powiedział mu tak: „Kojarzysz facetów, którzy ścigają się na sto metrów? Pada strzał z pistoletu startowego i wszyscy biegną do przodu. To ty się tak poczuć. Ale jak pada strzał, to się odwracasz i spierdalasz do tyłu”. Tak się czuję, gdy opisuję swoje życie. Czuję, że to i moje motto.

Choć pod tym względem zawsze najcelniejszy w określeniu tego, jak chciałem żyć (i chyba jak w dalszym ciągu żyję), jest ten dialog ze Staszkiem Tymem:

- Stanisław, mam pytanie, które cię po prostu rozłoży na łopatki.
- Proszę bardzo.

- Na twoje wysportowane osiemdziesięcioletnie łopatki.
- Proszę bardzo, kładź mnie.
- Stanisław Tym: jak żyć?
- Ha! Dobrze – odpowiada Prezes Miś.
- Dobrze? – upewniam się w swej niebanalnej inteligencji.
- Dobrze.
- No to jak?
- No, w poprzek.

Wolność słowa, wolność myśli, wolność własnych błędów zawsze pojmowałem także jako prawo do spoglądania ukosem na to, co święte, zdefiniowane, uporządkowane, normalne lub przynajmniej blisko normy. Spoglądania w poprzek. Ta opowieść będzie zatem trochę inna.

Pisanie autobiografii kojarzy mi się trochę z agresją. Zmuszamy odbiorcę do patrzenia na świat naszymi oczami. A nikt tego nie lubi. Dlatego już zawczasu przepraszam wszystkich fanów, wrażliwców oraz zwykłych przyzwoitych ludzi.

Czytałem kiedyś listę przedmiotów znalezionych przez lekarzy w odbytach pacjentów. Czego tam nie było! Okazuje się, że fantazja ludzka w tej ciasnej materii nie ma granic. A więc: tłuczek od mózdzierza do przypraw, pióro wieczne, żarówka i – mój zdecydowany faworyt – ubijaczka do piany. Nie chciałbym, aby wkrótce tę listę wzbogaciło moje prozatorskie spełnienie. A ono wcale nie musi być ciekawe, zabawne, potrzebne.

Wracając do Hłaski. Podobnie jak on, kocham wszystkich ludzi. Ale niektórych nie teraz. Urodziłem się jako nikt specjalny, a umrę jako pan z telewizji. Nie nazwałbym tego szumnym dokonaniem.

Kariera autora talk-show jest jak kariera prostytutki. Najpierw robisz to dla przyjemności, potem dla przyjemności innych, a w końcu dla kasy.

Pamiętam taką rozmowę z Wojtkiem Jagielskim, słynnym Wampirem z wieczoru z nim samym, u mnie na kanapie.

- Bo ty jesteś trochę takim nestorem, nie?

Wojtek na to:

– Chyba matuzalemem.

Ja brnę, żeby docenić jego pionierskie dokonania:

– Byłeś pierwszy w Polsce, który sprofanował gatunek talk-show.

A on na to:

– Ale ty twórczo go rozwinąłeś i poszedłeś nawet dalej w tym spejprzeniu talk-show.

I tak się wzajemnie komplementowaliśmy, jak dwie dworcowe dziwki, licytujące się, która ma ładniejszy wrzód weneryczny. Ale nie ma się co chwalić ani czym. Pisząc swoje życie, mam wrażenie, że na początku swej biografii nakłamałem, fatum w CV i przyjęli mnie do roboty, o której nie mam pojęcia.

Ale zacznijmy od początku. Jak mawiał mój ulubiony komentator sportowy: „Łączymy się z magnetowidem”.

Aha. Jeszcze jedna wskazówka techniczna!

Nie do końca wiem, czy jest to literatura do czytania na trzeźwo. Świat po pijaku zawsze ma jakieś drugie dno, a na trzeźwo widzimy samo dno. Może z moimi wspomnieniami jest jak z piosenkami disco polo?

Zagadnałem kiedyś precudnego Zenka Martyniuka, cesarza muzyki biesiadnej:

– Podobno żeby wasze teksty zrozumieć, to trzeba się napić. Bo to jest piosenka biesiadna i trzeba przy niej garować. Jak to jest?

A on na to:

– Jeśli chodzi o wódeczkę, to na pewno się przydaje do zrozumienia wszystkiego.

Właściwie nie wiadomo, kiedy w człowieku zaczyna się starość. Czy wtedy, kiedy po zioło, zamiast do dilerka, idzie się do Herbapolu? Kiedy kupuje się w sex shopie gumową lalkę, nalewa do niej wody i zaczyna używać jako termoforu? A może kiedy kupując prezerwatywy w aptece, słyszy się od ekspedientki, zwanej nie wiedzieć czemu „panią magister”, urocze słowa: „Rozumiem, że zapakować na prezent?”. A może w sytuacji, kiedy połowa oddawanego moczu idzie do analizy.

Jestem w wieku pomiędzy założycielem McDonald'sa a wynalazcą coca-coli. Jeden miał pięćdziesiąt dwa, a drugi pięćdziesiąt pięć lat.

Własna biografia jest trochę jak własna wersja historii. Jest legendą, co do której kształtu wszyscy się zgodzili. Rozpieprzmy to.

Mam pięćdziesiąt pięć lat. To nieźle jak na faceta w moim wieku.

Kiedyś, ze dwadzieścia lat temu, podczas gorącego lata, widziałem napis na zakładzie kamieniarskim: „Wielka letnia promocja. Nagrobek nawet 30 procent taniej”. To był pierwszy moment, kiedy pomyślałem o śmierci. Że trzeba być tak sprytnym i jeszcze zrobić na niej biznes. Widocznie autor tego komercyjnego przesłania wyszedł ze słusznego zresztą założenia, że istnieją tak oszczędne i fraszobliwe finansowo jednostki, które gotowe są poświęcić się, umrzeć wcześniej, w letnie przedpołudnie, byle tylko obniżyć koszty życia.

Potem było tylko „tu i teraz”.

Nie jestem w stanie obiektywnie opisać swojego życia. Przecież nawet w pełni księżycy widzimy zaledwie jego połowę. A mnie się wydaje, że ja widzę jeszcze mniejszą część siebie. Uważam, że jestem typem, który nie zasługuje na autobiografię, bo takie powinny być puentą życia istotnego i znaczącego.

Kiedyś Krzysiek Varga napisał słowa, które w moim usilnym trwaniu w niebyciu literatem były silnym orężem: „Boże uchron, żebym kiedykolwiek napisał autobiografię, takiego zagrożenia zresztą całe życie nie odczuwam, jestem dziś bardziej niż pewien, że na taką erupcję żenady jak pisanie autobiografii nigdy się nie zdecyduję”. Varga jest genialnym kronikarzem mentalnych powikłań losów naszego pokolenia i jego uchronienie zawsze trzymałem w głowie jako ostrzeżenie.

Podobno nie ma większej zachęty do pisania niż obietnica sławy i hajsu, co w dużej mierze prowadzi do przyrostu grafomanów na każdy metr kwadratowy parkietów show-biznesu. Ja bardzo przepraszam, ale mój niezrozumiały pęd do pisania zrodził się bez udziału tych dwóch czynników, gdyż i sławy, i hajsu mam już po korek. Nie spodziewam się okrzyków i laudacji, że rzecz jest godna Homera, czy choćby tylko Bukowskiego. Apokaliptyczny zalew biografii, autobiografii oraz wywiadów rzek, szturmujących zapchane witryny i nie zawsze zapchane mózgi, stwarza okazję do zanurkowania w to samo szambo

lub – przy odrobinie szczęścia – do wycelowania lekko obok.

Nie wiem, kto to kupi i do kogo trafię.

Zmysłowa ciągle Ewa Kasprzyk zaszczyliła mnie kiedyś w programie swoją osobą. Zagajam do niej:

– Właściwie jest jedno zdanie, które chciałbym, aby było kanwą tej rozmowy. To jest zdanie, które chyba stanowi najpełniejsze *credo* twojej działalności artystycznej. A brzmi ono: „Hrabinię zagram i kurwę udźwignę”.

Ewa na to, krótko i entuzjastycznie:

– O tak.

Ja mam zatem podobne w tej książce ambicje.

Jest takie stare rosyjskie przysłowie: „Jeśli się obudziłeś w poniedziałek i nie masz kaca, to znaczy, że jest środa”.

Jeżeli dzień po wydaniu niniejszych wymazów intelektu i pamięci nie będę miał kaca, to znaczy, że będzie środa.

Sam pozbawiam siebie jakże nobliwego argumentu, którym mogłem bez umiaru szafować w swoim programie: „Zobaczcie! A patrzcie czujnie! Tak właśnie wygląda człowiek, który nie napisał książki”. (Tu oczywiście powinny pojawić się śmiech oraz oklaski).

Zawsze uważałem, że tak zwani celebryci to ludzie, którzy więcej potrafią napisać, aniżeli zrozumieć. Zwykle towarzyszy im proste równanie specyficznej logiki tej branży: „Im krótsza kariera, tym dłuższa biografia”. W przypadku niektórych pań równie słusznie prezentuje się zasada: „Im krótsza kariera, tym dłuższy dekolt”.

Pamiętam przerażającą rozmowę o nie mniej przerażającej książce Kasi Cichopek.

– „Masz ładne nogi, eksponuj je jak najczęściej”. Odkrywcze.

Kasia na to:

– Tak, a przeczytaj dalej.

– „Lubisz swój biust, pokochaj bluzki z głębokim dekoltem”. To jest trochę

myśl z cyklu: „Jesteś spragniony, napij się”.

– Zdziwiłbyś się...

– Nie, Kasia, chodzi mi o to, czy to nie jest trochę tak... Bo ja przeczytałem tę książkę solidnie... Albo kobiety traktujesz jak idiotki, albo jak kobieta rodzi dziecko, to przy okazji wypada też jej mózg.

Korzystając z okazji, jaką jest jakże dosadna reforma sądownictwa, powinniśmy wprowadzić następujące orzeczenie. Każdy autor-celebryta powinien mieć obowiązek osobistego przeczytania swojej książki na głos. Co zresztą mogłoby mieć także inny wymiar praktyczny. Taki czytający na głos „literat” zyskiwałby automatycznie odbiorcę w swej dostojnej postaci. Bo z tym bywa różnie.

Michał Piróg, mój ulubiony prozaik i eseista, tak rozmyślał się w pisaniu, że czytelnik całkowicie przestał mu być potrzebny.

Lodowiec na Antarktydzie składa się podobno w trzech procentach z moczu pingwinów. Polska literatura dwudziestego pierwszego wieku składa się w trzech procentach z gówna celebrytów. Ale, ale. Skoro już jesteśmy przy liczbach. Ponad siedemdziesiąt procent Polaków nie czyta w ogóle książek. Co ciekawe, ponad siedemdziesiąt procent Polaków cierpi na choroby przyzębia, a także siedemdziesiąt procent zakażonych Polaków nie wie, że jest nosicielem wirusa HIV. I jednocześnie siedemdziesiąt procent Polaków jest zadowolonych ze swojego życia. Jak tu nie kochać tego kraju i zamieszkującego go ludu?

Hamulcem trzymającym mnie z dala od komputera, który w swych gościnnych wnętrzach ma przestrzeń na każdy nielimitowany bełkot, była w końcu zwykła ludzka przyzwoitość. Ot, dobre zdanie.

Ciągle w głowie mam konwersację z Dorotą Wellman.

– Wchodzisz do księgarni. Widzisz książki Ibisza, Cichopek, Richardson, Marczuk-Pazury, Kingi Rusin, Michała Piróga. Kogo kupujesz?

Dorota stanowczo:

– Żadnej z tych nie kupię.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię pieprzenia o niczym.

Ja z tym jakże mądrym i jakże grubiańskim stwierdzeniem pozwolę sobie się nie zgodzić.

Uważam, że z ignorancji, próżności, głupoty i ze zwykłej niekompetencji rodzą się czasami dzieła, na które nigdy nie zdobyłby się normalny człowiek. A to się czasem dla jaj przydaje. Bo wtedy w sposób radosny okazuje się, że nie wyszła naturze próba ukształtowania na Ziemi stworzenia myślącego. I czuję się wyjątkowy. Szczerze mówiąc, nie chciałbym też napisać bestsellera, bo to specyficzny rodzaj książek i świetne urządzenie. Wiadomo, jakie książki kupować, i wtedy nie trzeba ich czytać.

Ale wracając na chwilę do Doroty. To równa babka, bardzo dbająca o czytelność i zauważalność swojej równości w mediach. Ostra, pryncypialna i nieopieprzająca się, jak jej się coś nie podoba. I jest w tym prawdziwa. Bywa surowa i krytyczna wobec innych, mam więc prawo być surowy wobec niej. Dorota nie lubi pieprzenia o niczym. Trudno. Odrzuca tym samym radosną specjalizację wielu naszych wspólnych kolegów z pracy. Ale czy nie jest zjawiskiem lekko ocierającym się o pieprzenie o niczym wymyślenie książki pod szlachetnym tytułem *Jak być przyzwoitym człowiekiem*, wysłanie kilkunastu pytań do kilkunastu osób typu Robert Biedroń, Abelard Giza, Jadwiga Staniszkis, Mariusz Szczygieł czy też ja, obciążenie ich napisaniem, co sądzą o tym jakże przyzwoitym problemie, następnie wydanie z tego autorskiej pozycji. Bez spotkania przyzwoitą twarzą w przyzwoitą twarz. Bez konfrontacji myśli, spostrzeżeń czy postaw. Bez pokazania, że to jest dla mnie osobiście ważne. Wybaczcie, ale to jest pieprzenie o niczym tylko z wielkiej litery. I z jeszcze większego ego. Nie kupuję tego, dlatego też nie wziąłem udziału w tym tanim przedsięwzięciu dalekim od mojego rozumienia przyzwoitości. Abelard wziął i do dziś ma kaca.

Wiele lat temu natknąłem się w księgarni na dwie pozycje. Biografię Franza Kafki i biografię Davida Beckhama. Z pewną taką trwogą myślę, że w tym momencie mój czytelnik popada w zadumę i po stoczeniu ze sobą brutalnej walki wewnętrznej przyznaje się sam przed sobą, że nie wie, kim był ten pierwszy. Otóż biografia małego Żyda z odstającymi uszami o kruczym spojrzeniu miała 567 stron, a biografia pana od fryzur i goli – 404. Z pierwszym łączy mnie pogląd, że po śmierci dzieła wielu należałoby spalić na popiół, a z drugim fakt, że podobno dobrze wyglądam w bieliźnie. Ale wracając do

książek. Te dwie historie życia dzielą zaledwie 163 strony. *Koszmar rozumu* od *Davidy Beckhama o sobie* dzielą zaledwie 82 zadrukowane kartki. Jedna z tych książek reklamowana była jako „osobista opowieść o niezwykłym życiu, o przekonaniach, ambicjach, sympatiach, lękach, a przede wszystkim o poczuciu własnej tożsamości”. I zgadnijcie teraz: o kim mowa? No żeż kurwa! O futboliście, który podobno popularnością prześcignął Madonnę, Presleya oraz panią księżną Dianę (co w jej przypadku jest o tyle bolesne, że nagły zgon powyższej nastąpił właśnie w trakcie ściągania się z paparazzim).

Człowiek rodzi się jako wielki znak zapytania. I pan „o sobie” jest dla mnie stale takim pytaniem, na które absolutnie nie pragnę poznać odpowiedzi. Jest plakatem. A Kafka jest mitem. Wolę Kafkę na tle upadku Austro-Węgier od pana „o sobie” na tle swojej małżonki, która w przeciwieństwie do męża ciągle błąka się w bojaźliwym poszukiwaniu własnej tożsamości.

Przyjrzyjmy się słowom obu bohaterów.

Kafka w jednym z listów, z 7 października 1914 roku: „Piszę inaczej niż mówię, mówię inaczej niż myślę, myślę inaczej niż powinienem i tak dalej do najgłębszej ciemności”. Minorowa tonacja przyglądania się własnym bebechom. Pan „o sobie” pisze: „Zawsze wierzyłem, że jeśli chcesz osiągnąć coś wyjątkowego w życiu, musisz pracować, pracować i później pracować jeszcze więcej”. Rozsądne, merytoryczne, poważne i brzmiące jak wykład motywacyjny Łukasza Jakóbiaka prosto z jego dwudziestu metrów kwadratowych błyskotliwości. Oto ciekawe derby. Podróż po mapie wyrafinowanego rozumu kontra dryblujący sklepikarz.

Mój dramat polega na tym, że nie jestem ani jednym, ani drugim. Choć behawioralnie bliżej mi do Franza. Mało kto wie, że był zaręczony z dwiema kobietami, flirtował z trzecią, a wszystko powoli zamieniał w farsę. Z mego punktu widzenia – ideał.

I tak oto co roku obchodziłem rocznicę podjęcia twardej decyzji o nieprzechodzeniu do świata literatury. Aż do teraz.

Kiedyś Tomasz Stańko powiedział mi:

– Miałem takie życie. Nie do końca wiem, kim jestem.

Oto dobra puenta, nawet na sam początek. Pomijając fakt, że mistrz trąbki wyznał mi także, że jeden z terapeutów stwierdził kiedyś, że Stańko nadaje się

na dziesięć lat leczenia klinicznego, bez gwarancji sukcesu. Brzmi znajomo...

W ciekawej (choć mocno narcystycznej) biografii-wywiadzie *Bono o Bono* autor zadaje wokaliście zespołu U2 dziwne pytanie: „Czy budzisz się czasami, zupełnie nie pamiętając, że jesteś Bono z U2?”. Dobrze pytanie. Podobne zadałem kiedyś Andrzejowi Sewerynowi: „Czy śniesz po polsku, czy po francusku?”. Odpowiedział mi celnie: „Śnię o tym, żeby spotykać tylko zdolnych dziennikarzy”.

Niestety pan Bono, kaznodzieja niezrażony minoderią pytania, odpowiada: „Owszem. Przez większość dni naprawdę nie myślę o tym, że jestem w zespole. Myślę o tym, że jestem ojcem, mężem, przyjacielem”. Specyficzny gość. Jakby wyprany w perwollu z poczucia humoru (na własny temat). Gdyby go dziennikarz z klęcznika zapytał: „A nie uwiera cię, panie, ta aureola świetlista nad głową?”, odpowiedziałby pewnie, że o niej nie myśli, bo myśli o tym, że jest ojcem, mężem, przyjacielem, a dopiero po południu o tym, że jest świętym.

Możecie mi wierzyć lub nie, ale ja codziennie myślę, że jestem czymś chłopakiem, przyjacielem, kumplem, a czasem po prostu znajomym. I czasami trzeba mi przypominać, że jestem autorem talk-show. Tak jest wygodniej. I normalniej.

Czasami myślę, że im więcej się teraz czyta książek, tym silniejsze odnosi się wrażenie, że analfabetom nie dzieje się krzywda. Bo świat oszalał.

Generalnie już po tym, co napisałem, sam widzę, że nie wiem, jak dokładnie pisać, ale przede wszystkim – co. Choć pomogła mi w tej materii Beata Tyszkiewicz, która wpadła do mnie onegdaj promować swą biografię.

– Pani Beato, parę weryfikacji, bo to jest biografia.

– Tak, ale tu nie ma prawdy w ogóle.

– To znaczy co? To jest fikcja?

– Wie pan, cała prawda jest nietaktowna i nudna. Jeżeli ktoś panu zacznie opowiadać dowcip albo sen czy zacznie opowiadać film, który widział, no to jest nie do wytrzymania. I życie jest podobnie nudne, jeśli się mówi całą prawdę, więc z tego trzeba było coś wyciąć, co, powiedzmy, jest bardziej interesujące w życiu...

Jest jedna tajemnicza, ale jakże ważna osoba, która była moim natchnieniem

bardziej niż wszyscy. Nie zgadniecie kto to. Kelner z mojej ulubionej knajpy w Gdyni – Aleja 40. Młody chłopak o biblijnym imieniu Mateusz, co nie oznacza nic innego, jak tylko „dar od Boga”. Bo to właśnie on najczęściej pytał mnie: „I co? Skończone? I co? Napisane? I co? Kiedy premiera?”.

Paradoksalnie to jemu najbardziej zawdzięczacie ten narcystyczny wytwór.

A, byłbym zapomniał. Był jeszcze Janusz Głowacki, który czasami czytywał mnie w „Polityce”. Któregoś razu zagaja do mnie: „Czemu ty nie piszesz dłuższych form? Byłbyś niezły”. To był moment, w którym mogłem umrzeć. Legendarny Głowa wypatrzył u mnie okruch talentu. Poczułem się prawie literatem, prawie spełnionym, gotowy odstawić swe zwłoki na Aleję Zasłużonych cmentarza Powązkowskiego. I spocząć snem spełnionego geniusza obok Stanisława Dygata, Marka Hłaski i blisko Edmunda Niziurskiego.

Chociaż prawdę mówiąc, gdybym mógł decydować o miejscu i czasie, to ściągnąłbym swe niecne zakończenie od Jerzego Gruzy, który wyznał swego czasu: „Chciałbym umrzeć w żeńskim akademiku”.

„Fajne są te twoje złośliwostki – prawil Janusz. – Dokładasz parę zdań i masz już komentarz. Dokładasz parę więcej i jest felieton. A dobry felieton to już kilka zdań ciekawej literatury – zachęcał. – Tylko pamiętaj, w momencie gdy będzie ci się przyjemnie pisało, to szybko przestań. Bo to najlepszy wstęp do grafomanii. Pisanie musi męczyć, musi dokuczać. Nie powinno być łatwe”. No i łatwe nie było. Zajęło mi równe sześć lat, bo co tylko zaczęło mi się pisanie podobać, to przypominałem sobie jego słowa i szybko przestawałem. A nie określał, jak długie powinny być przerwy.

Moje pisanie w „Polityce” w ogóle budzi skrajne emocje. Mariusz Treliński wyznał mi kiedyś, że ta rubryka ma dla niego mroczne emocje i jest w niej coś przewlekłe niemoralnego. Ładnie to nazwał. Jakby budował kanwę nowej opery. Andrzej Stasiuk był mniej wykwinny. „Na dziesięć żartów wychodzi ci jeden. I wtedy szczam po nogach” – ujawnił niedbale z miną bezkompromisowego drwala.

Moja przyszłość od pierwszych dni nie miała twarzy. Albo mówiąc bardziej współcześnie: miała twarz pewnej wdowy smoleńskiej – co jakiś czas inną.

Jestem niczym zaproszenie na Facebooku od osoby, której się nie zna. Trochę ciekawostką, a trochę intruzem. Generalnie każdy, kto się urodził, wie, że lepiej się urodzić niż się nie urodzić, bo urodziny są dobre dla zdrowia. Amerykańscy naukowcy już dawno odkryli, że kto obchodzi więcej urodzin, ten żyje dłużej. Jak mawiała moja babcia Ania, gdy się narodziłem, szatan musiał westchnąć siarczyście: „O kurwa, nadchodzi konkurencja”. A przecież człowiek nie wie, gdzie się urodzi.

Pewien facet, sprzedając fiata brava 1.4, w ogłoszeniu napisał: „Nie sprzedaję Żydom, do Sosnowca oraz kibicom Wibratora Włoszczowa”. Automobil zupełnie nie wiedział, gdzie ma się podziąć, no może poza małymi wyjątkami.

I tak też się stało ze mną tego upalnego lata.

1963. Dla polskiej muzyki to był ważny rok. Przyszli wtedy na świat Kazik Staszewski, Muniak Staszczuk czy poseł Paweł Kukiz. No i także ja. Kolejny tak ważny, a i tragiczny rok zdarzył się dopiero dwadzieścia jeden lat później. Na świat przyszedł Justin Bieber, a miesiąc później zabił się Kurt Cobain, co trudno uznać za wydarzenie bez związku z poprzednim.

Pamiętam pierwsze zdanie tyleż nudnej, co opasłej biografii Lecha Wałęsy, zatytułowanej powabnie *Droga do prawdy*. Brzmiało ono: „Zastanawiam się czasem, dlaczego moje losy tak a nie inaczej się potoczyły”. Otóż ja się nie zastanawiam.

To nie los mnie skrzywdził, to ja skrzywdziłem jego. Miałem być bowiem dziewczynką. Na początku oczywiście. Potem zostałbym pewnie kobietą, choć jak siebie znam, to nigdy nic nie wiadomo. Podobno chłopcy rozwijają się do piątego roku życia, a później tylko już rosną. Mógłbym być pierwszą reprezentantką płci drugiej obdarzoną tym brzemieniem. Dziś trochę nawet żałuję, że tak się nie stało, bo jako kobieta mógłbym zweryfikować plotki, że Żebrowski w łóżku to istny Thorgal, Adamczyk, prawdziwy oralny Chopin, i to bez kaszlu, a Gąssowski w pełni swych walorów zasługuje na te kłopotliwe rumieńce, gdy wspominają go nasze wspólne koleżanki. No ale, gdyby babcia miała koła, byłaby tramwajem. Niestety moi rodzice złożyli zapotrzebowanie na dziewczynkę, a potem wyszło jak w telezakupach. Towar przyszedł, ale nie ten. Oszukałem przeznaczenie, jak w filmie pod tym samym tytułem. Tyle że po mnie tatuś z mamusią już nie dokręcili kolejnych części. Podobno mój ojciec

chciał dać ogłoszenie w prasie lokalnej, że zamieni syna, co miał być córką, na córkę, która miała być synem, ale matka wyperswadowała mu ten pomysł. Co nie przeszkadzało jej płakać rzewnie, niczym koreańska spikerka telewizyjna ogłaszająca śmierć Kim Dzong Ila.

Miałem mieć na imię Kasia. Coś między rozpaczą, margaryną, słynną stygmatyczką a późniejszą córką premiera.

Podobno każdy płód jest płci żeńskiej. No, przynajmniej do czterdziestego piątego dnia życia płodowego wszyscy jesteśmy kobietami. I u mnie to się skończyło. Tym razem jednak matka natura, zapewne nie wiedząc, co czyni, stanęła po męskiej stronie.

Taka krótka wymiana z Marią Peszek:

– Twój burdel w głowie, jakkolwiek to nazwiemy, jest domem mojego Pana.

Marysia na to:

– Przeprowadzasz się?

Dziś mam wrażenie, że częściowo zostałem lokatorem. Nie tylko Marysinego burdelu.

Było lato stulecia. We Wrocławiu właśnie barykadowano miasto przed czarną ospą, która, jak pokazywały liczne znaki w postaci efektownej wysypki, była już w środku, na rynku. Nie wszyscy wiedzą, że możemy się pochwalić jedną z ostatnich i jedną z największych epidemii tak zwanej ospy prawdziwej w Europie. Przywiózł ją do Polski wracający z Indii oficer Służby (nomen omen) Bezpieczeństwa, pan Bonifacy Jedynak. Ja zawsze lubiłem zjawiać się w najgorętszym momencie i tak też mi zostało na później.

Janusz Głowacki, pijąc ze mną czterdzieści kilka lat później tak zwanego brudzia w mieszkaniu niejakiego Fogelmana, ostrzegwał mnie, że jak zmajsuję coś niegodziwego, to wypijemy „cofańca” i znów, jak niegdyś, będziemy na „pan”.

Wszyscy wtedy czekali, kiedy mój ojciec zaproponuje coś takiego matce, kobiecie z dopiero co obkurczającą się macicą. Ale nie zaproponował. Urodziłem się Polakiem upośledzonym.

Wiele lat później Piotrek Rogucki z zespołu Coma powiedział mi: „Nigdy nie

dostałem w ryj za kibicowanie, bo nigdy nikomu nie kibicowałem”.

Ze mną było podobnie. Nie byłem kibicem. Byłem za nikim. Wszystko mi było jedno, kto komu co strzela. Nawet na boisku, gdy graliśmy w piłkę, zawsze krzychałem, żeby do mnie nie podawali. Ilekroć otrzymywałem piłkę, jak najszybciej starałem się ją oddawać, by nie ponosić zbytnej odpowiedzialności za jej losy, pod które podczepione były losy moich dziesięciu niezwykle zawziętych kolegów.

Zawsze bałem się biografii, która układa się w prosty schemat. W przedszkolu marzy się o szkole. W szkole marzy się o studiach. Na studiach marzy się o pracy. A jak dostaje się już tę marną pracę, to się zachodzi w głowę, co tak nie pasowało w tym przedszkolu. Któż, będąc już dorosłym, nie wspomina z rozrzewnieniem, jak to w liceum miało się tylko jeden dylemat: czy całą kasę przepierdolić na alkohol, czy może na fajki, a w okresie studenckim wchodziło się na wyższy poziom podobnych dylematów: wstać z łóżka na obiad czy może na kolację.

Jestem też, generalnie rzecz ujmując, nieudacznikiem. Nigdy nie ułożyłem kostki Rubika, a mistrzowi Europy i świata Marcinowi Kowalczykowi zajmuje to ponoć 5,6 sekundy. Jak tańczę, to ludzie dzwonią pod numer 112, a jak śpiewam, to już im się nawet nie chce nigdzie dzwonić. Mylą mi się powstania narodowe, nie wiem, jak działa leasing, a różnicę pomiędzy netto a brutto pojąłem dopiero dobrze po trzydziestce. Rozpadam się na wycieńczone kawałki, gdy słucham *The Sound of Silence* Simona i jego kamrata Garfunkela. Jestem sentymentalny, niecierpliwy i nigdy nie porzuciłem masturbacji. Nigdy nie zostanę modelką *plus size* ani nawet blogerką modową. Nie potrafię sprawnie odpowiedzieć na pytanie: „Którą postacią z *Gwiezdnych wojen* chciałbyś być?”. Cały pakiet tak zwanego kryzysu wieku średniego zrealizowałem już przed trzydziestką. Zawsze zresztą uważałem, że ów kryzys wieku średniego to dla faceta taki moment, w którym średnio zaczynają ci się podobać kobiety w pewnym wieku. Reszta to wymysł nieudaczników i mściwych redaktorek pism kobiecych. Ciężko im zrozumieć, że jak siwy facet w wieku lat sześćdziesięciu kupuje harleya, to nie dlatego, że skurczył mu się penis oraz niezmiernie wzrósł apetyt na szesnastoletnie dziewice, tylko po prostu wreszcie na niego uzbierał. Kurwa, to przecież takie proste.

Bywam najbardziej leniwym pracocholikiem na tej planecie. Kiedyś przeczytałem, że Bill Gates miał powiedzieć takie słowa: „Zawsze zatrudnię leniwą osobę do pracy. Bo leń znajdzie nieskomplikowany sposób na jej wykonanie”. I tak twórca Microsoftu zdefiniował moją zawodową przyszłość. Od dzieciństwa przerażała mnie wizja seksu z kobietą czterdziestoletnią. Raz tylko przeczytałem, że może takowy być super. W Biblii. W Księdze Hioba.

Związki damsko-męskie dzielę na dwa rodzaje. Te, w których to ona bez jego wiedzy przegląda jego telefon, oraz te, w których to on bez jej wiedzy przegląda jej telefon. Jeśli w ogóle są jakieś inne, to na bank działają bez telefonów.

Ja generalnie jestem od lat stały w uczuciach, tylko kobiety się zmieniają. Mój ideał relacji to mityczni Romeo i Julia, wymyśleni w głowie autora, który nie wiadomo nawet, czy istniał. Znali się i kochali pięć dni, a następnie pozabijali. Życie nie umierać.

Nie wierzę w sztuczną inteligencję, bo jak patrzę na kondycję ludzkości, to w ogóle przestaję wierzyć w jakąkolwiek inteligencję. Nie przeraża mnie wizja buntu maszyn, choć jeśli takowy się zdarzy, to chcę być blisko fabryki wibratorów. Jako ateista nie mam specjalnie pozażyciowych planów. Zarówno tu, jak i tam będę zawsze kierował się zasadą: „Jezus nadchodzi. Udawaj, że jesteś zajęty”. Wiem tylko jedno: tuż przed śmiercią przejdę na islam. Nie chcę, żeby przynależne mi siedemdziesiąt dwie dziewice nieuchronnie się zmarnowały w czekaniu, aż przyjdę. Jeśli to nie wypali, to na bank pójdę do piekła. Zresztą w niebie nikogo nie znam. A w drodze do tego drugiego jest jeszcze okazja, aby nieźle zaszaleć.

Najkrótsza i najskuteczniejsza modlitwa, jaką znam brzmi: pierdolić to.

Generalnie uważam, że jestem dobrym człowiekiem, a jak mężczyzna jest dobrym człowiekiem, to nieważne, jakiego koloru jest jego Bentley. Jak widzę swoje zdjęcia z młodości, to przypominają mi się szkolne fotografie Eminema. Niewinny cherubinek z loczkami o uśmiechu zagubionego chłopca z pielgrzymki. A potem nadeszły zmiany, czyli tak zwana dojrzałość. Choć, nie ma co ukrywać, od blisko dwudziestu lat najczęstszym sformułowaniem, jakie słyszę, jest: „za stary”. Zawsze byłem gówniarzem o szczerzym pyszczku, a tu nagle zasuszony emeryt. Zgubiłem gdzieś środek życia.

To swoisty fenomen polskiej współczesności.

Kiedyś Kasia Nosowska śpiewała numer zatytułowany *Dorość jako początek umierania*. Ale na początku zwracam ci, czytelniku, uwagę na coś innego. Prawie zawsze nazywamy ją Kasią, a nie Katarzyną, tak jakbyśmy chcieli zgubić te wszystkie lata, kiedy to z Kasi zamieniła się właśnie w Katarzynę. Z rockowej maślany w pełnokrwistą wokalistkę o głosie przypominającym czasem tęgie, czarne diwy plujące mielonym szkłem. Jakbyśmy chcieli oszukać czas. Zabrać mu formę przeszłą, akceptować tylko teraźniejszą, a z lękiem podchodzić do przyszłej.

Nie ukrywamy tego, co będzie częstym motywem tej książki: żyjemy w dziwnym kraju w dziwnych czasach. W kraju, w którym w każdej chwili jesteś za stary. Dla wszystkich. Na wszystko. Kiedyś, jak byłeś za młody, to byłeś za głupi. Dziś jesteś za głupi, bo się zestarzałeś.

Taka wymiana z Dorotą Wellman swego czasu:

- Starzejesz się? – pyta okrutnie Dorota.
- Starzeję się – odpowiadam szczerze i z bólem.
- Z godnością?
- Nie.
- Ale cierpisz z tego powodu?
- A co to jest „godne starzenie”?

– No normalnie. Starzejesz się, to jest naturalny proces... Nie naciągasz sobie, nie prostujesz czoła, nie przesuwasz włosów i nie robisz z siebie młodzieniaszka, który ma... A nie, ty tak robisz akurat, bo masz coraz młodsze narzeczone.

– Ale nie, to w ogóle nie odmładza, one chcą seksu codziennie. To raczej mnie zabija. Ale chyba wolę taki wariant. Takie zabójstwo miłym łukiem omija starość.

W walce o stałą młodość nie wchodzimy w dojrzałość, tylko w karykaturalność. Bo ciągle nam się wydaje, że twarz naciągnięta na czaszkę, trzeszcząca jak pasek rozrządu będzie gwarantem nieprzemijania ducha. Pod tymi karykaturalnymi obrazami fikcyjnej młodości czają się ogłupiałe przemijaniem panie. Panowie niestety coraz częściej też. Jeśli motorem twoich działań jest radość z działania, to starość przychodzi później albo w ogóle idzie

do sąsiada. Chociaż z tymi motorami bywa różnie.

Najdowcipniejszy krajowy kabareciarz Robert Górski raz jednego został przeze mnie zapytany: „Czy jest prawdziwe zdanie: «Na początku działalności Kabaretu Moralnego Niepokoju głównym celem działań była libacja po występie?»”. Spec od *Ucha Prezesa* bez zastanowienia wypalił: „Oczywiście, to jest motor wszystkich naszych działań. I chyba nie tylko naszych”.

Pierwszy raz o tym, że jestem za stary, usłyszałem od producentów programu *Halo!Gramy* w Polsce. A byłem przed trzydziestką. Następnie swoją brawurową starością opanowałem ten show na kilka lat. Potem ten sam wyrok padł z ust dyrektora telewizyjnej Jedynki, ale o nim krążyły pogłoski, że interesuje go tylko kadra *Roweru Błazeja*. A ja miałem koło trzydziestki i dupę zorientowaną całkowicie na inne zadania.

Dziś słyszę to codziennie. Za stary na telewizję, na takie ciuchy, na taką dziewczynę, na taki wygląd, na takie zachowanie, taki samochód, styl. Za stary na wszystko. Za wszystko. Za stary nawet na to, żeby być stary, bo powinien być już nieżywy.

Janusz Gajos wypowiedział się tymi słowami w podobnej kwestii:

– To jest pewien rodzaj stopniowania popularności. Kiedyś podchodziły do mnie piękne młode dziewczyny, ja wtedy bardzo chętnie się podpisywałem. Potem zaczęły podchodzić dziewczyny, które mówiły: „Moja mamusia bardzo pana ceni”. A teraz podchodzą i mówią: „Babcia pana uwielbia, gdyby pan mógł...”.

– Ty, Janusz, na ostatnim nagraniu *Idola* podeszła do mnie pani i powiedziała: „Moja babcia pana uwielbia”.

– No widzisz, już się zaczyna!

– To już?!

– Ale to niepostrzeżenie. Nawet tego nie zauważysz, bo to idzie tak niby żartem, niby mimochodem, aż przyjdzie.

– Nie!

– Nie?

– Ja się nie zgodzę na starość!

– Ja też nie!

– No to żółwik!

Dla wielu metrykalnych krytyków w swej seksualności jestem skrzyżowaniem misia koali z kangurem. Zasypiam w trakcie skoku na partnerkę. Młodzież mnie nie chce, bo w sposób straszny przypominam im, że w wielu przypadkach są starsi ode mnie. Bo ton tej szowinistycznej dyskusji nadają właśnie oni, bezkompromisowe dzieci internetu. Matki i ojcowie chrzestni współczesnego hejtu, nienawidzący każdego, kto się urodził przed nimi. Bo przypominamy im, że też muszą ruszyć dupę, aby zaznaczyć swoje miejsce na ziemi. Oni codziennie chętnie zadadzą ci to brutalne pytanie: „Czy jesteś gotów na nagłe zmiany w swoim życiu? Nie? To dobrze, bo już jesteś za stary! Idź sobie i umrzyj”. A jak jeszcze, nie daj Boże, jesteś starszy od ich starych, a zachowujesz się tak, jak ich starzy nigdy by się nie zachowali, to już jest, bracie, mogiła. W ciągu ostatnich dziesięciu lat chyba tylko raz usłyszałem, że jestem za młody – od Małgosi Leitner, przemyślownej menedżerki Joanny Krupy, kiedyś modelki, dziś właścicielki agencji modelek, z którą chciałem umówić się na randkę. Uwielbiam ją za to wyznanie do dziś.

Cenię sobie bardzo to, co napisał Andrzej Stasiuk w *Podróży*: „Każdy żyje w wieczności i mierzy ją swoją miarką”. A więc *fuck off*.

Od kilku lat odnoszę wrażenie, że dzisiejsza młodość bardzo szybko nadaje się na paraolimpiadę, bo szybko traci sprawność.

Kiedyś z redaktorem Piotrem Najsztubem starliśmy się w dyskusji na temat dojrzałości. On lansował tezę, że dojrzałość to jest stałe wygaszanie, a ja, że jego teza to czyste pierdolenie. Bo uważam, że młodość jest jedynym dobrem godnym posiadania i należy o nią walczyć. W młodości najgorsze jest pierwsze pięćdziesiąt lat, ale potem masz już z górki. Wiem, co piszę, bo powoli zaczynam mieć już z tej górki właśnie.

Z Markiem Kondratem wymieniliśmy na ten temat stosowne uwagi:

- Ja mam w tej chwili pięćdziesiąt lat.
- Gratuluję. Piękny wiek, proszę pana. Pamiętam.
- Pamiętasz jeszcze?
- Pamiętam.

Jaka szkoda, że tak krótki jest czas pomiędzy tym, gdy jest się za młodym, a tym, kiedy jest się za starym. Bo strażnikiem młodości stają się normy

społeczne narzucane przez mieszczańskie społeczeństwo z korzeniami w folwarku. Nie będzie Niemiec pluł mi w twarz, nie będzie czas pozbawiał mnie jaj, nie będzie społeczeństwo dyrygentem moich wyborów. Nie będzie brak masowej fantazji patroszył moich magazynów z moją własną fantazją. Zawsze uważałem, że starość nie jest może dla mięczaków, ale młodość na bank nie jest dla idiotów. Niestety, obie kategorie wiekowe coraz wyraźniej zaludniane są przez wyżej wymienionych osobników. Bo zapominają, że młodość to wybór. To nie stan kalendarza, tylko stan ducha. Dojrzałość nie jest egzekucją młodości. Tak jak starość nie musi być kastracją radości. Myślę, że starość to totalna nuda, a na takie rzeczy po prostu szkoda tracić czas.

Piękną dyskusję miałem z Krzysztofem Kowalewskim:

- Bardzo dobrze pan wygląda – zaczynam.
- Dziękuję. Ja nigdy tak nie wyglądałem. Tam na górze mnie malowali.
- Ale nie, chodzi o to, że pan jest taki świeży...
- Jezu, czy to będzie nietakt, jak zapytam, ile pan ma lat? Tak mniej więcej?
- Nie mniej więcej, tylko dokładnie siedemdziesiąt siedem.
- Ja pierdzielę!
- Ja też!

„Ludzkość po trzydziestce wkracza w potworność” – pisał mistrz Witold Gombrowicz. Zaczyna szukać granic swojej młodości, czasu, by zmienić swoje życie i myślenie na potworny *level expert*, czyli dorosłość. A młodość nie ma granic. Aby jej nie utracić, wystarczy fundować sobie stałą powtórkę z rozrywki swoich szaleństw. Bo szaleństwem jest odwaga, brawura, bezkompromisowość oraz uczciwość wobec własnych marzeń i ideałów. W programie *Kuba Wojewódzki* wdaliśmy się kiedyś z Muńkiem w taką sentymentalną wymianę:

- Nam się udało zachować coś strasznie pięknego, taką...
- Muniek na to:
- Głupotę.
- Ja brnę dalej:
- Nie. Taką niefrasobliwość, taki debilizm dziecięcy, taką naiwność.

A on na to znienacka:

– No, bo to jest bardzo fajne.

Nieprawdaż? Prawdaż. To jest fajne. Mam ponad pięćdziesiąt lat, a nie robię w swoim życiu niczego, powtarzam: NICZEGO, na co bym nie miał ochoty.

Chociaż dobrze pamiętam pogawędkę z Marcinem Prokopem:

– Prokopie, jesteś telewizyjną dziwką.

On na to:

– Bywam.

Ja na to:

– Ja też.

Możecie mi pozazdrościć. Jestem królem głupiej, ambicjonerskiej dumy i dobrze mi z tym. Nie idę na bolesne kompromisy, nie prowadzę programów, których nie obejrzałbym bez mdłości, nie kumpluję się z ludźmi, z którymi warto albo wypada. Mówię prosto w twarz, kogo lubię, a kogo nie. Nie zarabiam pieniędzy jak chałturnik, gwałcąc swój entuzjazm do wszystkiego. Jak śpiewał Kazik Staszewski: „Idę tam, gdzie idę, nie idę, gdzie nie idę, idę tam, gdzie lubię, nie idę, gdzie nie lubię”.

Jestem szczęściarzem. I choć zakamarki mej sławy bywają trudne do zaakceptowania, trwam w swym zadowoleniu. A bywa czasem trudno.

Taka rozmowa z Andrzejem Sewerynem:

– Czy pan mnie kiedykolwiek na oczy widział?

Andrzej na to:

– Proszę pana, widziałem pana na premierze *Miłość ci wszystko wybaczy* w Teatrze Polonia, kiedy pan jako jedyna osoba na widowni pił coca-colę i jadł sandwicza.

Zawsze będę powtarzał i do znudzenia przypominał słowa, które wytyczyły moją ponadpółwieczną obecność tu i teraz. Jestem zbyt młody, aby być stary.

Niestety, przeczytałem to, co napisałem przed chwilą, z wyraźnym odczuciem, że zaczynam przynudzać jak przeterminowany emeryt-moralista.

Powrócę zatem do wątku narodzin.

Podobno rodzice kochali mnie prawie od samego początku. Podobno czekali na nagłą śmierć łóżeczkową, ale ich rozczarowałem. Za fakt spadnięcia z wagi szpitalnej nie mogę ich obwiniać, bo, jak pokazały późniejsze losy Madzi z Sosnowca, dzieci czasem wymykają się rodzicom spod kontroli. Kiedy ojciec odebrał mamę ze szpitala, tak byli zaaferowani tym, że wracają do domu, że dopiero na ostatnich światłach przypomnieli sobie, że zostałem w poczekalni. No, ale trudno mieć im za złe, że nie pamiętali o czymś, czego nie chcieli. Po kilku dniach od mojego przyjścia na świat ojciec popadł w niezrozumiały dla wszystkich zachwyty i entuzjazm. Podobny do tego, który opanował Polaków po zremisowanym meczu z Rosjanami na Euro 2012. Jak wieść rodzinna niesie, był to w prostej linii efekt tego, że wytrzeźwiał. Miał bowiem człowiek ten typową słowiańską zaletę sprowadzającą się do słów: „Można się bawić bez alkoholu, ale po co się męczyć?”. Pierwsze słowa, które skierował pod moim adresem, gdy wziął mnie na ręce, brzmiały: „Oto, do czego zdolny jest człowiek!”. Do dziś nie wiem, czy mówił o mnie, czy o sobie. Chyba podejrzewał, że w wyścigu na naczelnego kabotyna rodziny będę stanowił dla niego duże zagrożenie. To tak, jakby Maciej Stuhr pokonał Jerzego Stuhra w castingu do roli Jerzego Stuhra.

Matka moja, Maria, to porządna kobieta była. Może trochę mało odważna życiowo, ale może być też tak, że cały zapas odwagi zużyła, rodząc taką kreaturę jak ja. Może przeczuwała, że wkrótce jej podstawowym zajęciem będzie wstydzenie się za syna.

I tu muszę przyznać, że miałem jednak jakieś szczęście. Marek Raczkowski opowiadał mi kiedyś, iż jest święcie przekonany, że w wieku niemowlęcym jego matka próbowała go kilkukrotnie zgładzić, na wszelkie chałupnicze sposoby. Jak widać, z marnym skutkiem.

Ojciec był z imienia Bogusław. Bogusław najbardziej lubił przemawiać. Urodziny, imieniny, okazje, braki okazji – on popadał w patos i słowotok. Miał dobre zadatki na prequel polskiego papieża. Przemawiał prawie zawsze *ex cathedra*, a każda z jego wypowiedzi nosiła znamiona nieomyślności. Przynajmniej w momencie jej wygłaszania. Stąd mam w głowie refleksję, że można w życiu mówić największe idiotyzmy, byle tylko nie uroczystym tonem. Ilekroć ktoś zaczyna przy mnie przemawiać patetycznie, mam ochotę przyrządzić popcorn i oddać się dźwiękowemu spektaklowi.

Pamiętam też ojca zmarłego. Nie umarłego, tylko zmarłego. To różnica, bo w przeciwieństwie do stanu pierwszego, ten następny jest przejściowy i mocno okolicznościowy.

Był rok 1978, mistrzostwa świata w Argentynie. 14 czerwca, stadion w Rosario. Gramy z gospodarzami i karnego strzela Kazimierz Deyna. Boski Kazio. Latający Kazik. Strzela, piłka odrywa się od murawy, mój ojciec odrywa się od fotela. Piłka wpada prosto w ręce bramkarza, a mój ojciec wręcz przeciwnie. Zatrzymał się w czasie i przestrzeni. Jak nieznaną z imienia żona Lota czy pani Joanna Burzyńska, z zawodu obrończyni krzyża z Krakowskiego Przedmieścia parę lat później. Ojciec skamieniały utknął pomiędzy stanem euforii a stanem niezrozumienia Kaziowego czynu. Był żywym pomnikiem zdumienia. Do szatni jasnego umysłu powrócił dopiero nad ranem. Było to jednak mniej kłopotliwe zachowanie, aniżeli pomysł na sprawiedliwe werdykty na piłkarskim boisku mojego późniejszego kolegi Arkadiusza. Arkadiusz, ilekroć oglądał mecz, który niechybnie musieliśmy przegrać, miał zwyczaj wydzwaniania na komisariat i zgłaszania popełnienia przestępstwa przez sędziego głównego spotkania.

Zjawiłem się pomiędzy rocznicami powstania warszawskiego a zrzucenia bomby na Hiroszimę.

Zresztą w Polsce trudno się nie urodzić pomiędzy jakimiś rocznicami. Nawet jak człowiek się zaprze, to i tak mu historia doklei jakąś tragedię, rozstrzelanie czy pogrom. Chociaż najłatwiej się u nas wstrzelić w okoliczność kościelną. Właściwie każdy dzień ma jakąś świętą bohaterkę lub bohatera. A jak zabraknie powyższych, to się daty dopycha cudem, objawieniem albo wniebowstąpieniem. Moja babcia ze strony ojca stosowała zresztą taki kalendarz: informowała nas, że wyjeżdża w dniu świętego Józefa Oblubieńca, a wraca zaraz na świętego Wojciecha biskupa i męczennika. Kiedyś nawet ja stosowałem tę metodę. I tak swój pierwszy seks miałem w dniu świętego Brunona Bonifacego z Kwerfurtu biskupa i męczennika. A pierwszy grupowy w Międzynarodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Urodziłem się w Polsce, czyli tutaj, u nas. W krainie stworzonej przypadkowo przez zwichniętego emocjonalnie poetę grafomana. Skaleczonej narodowo-katolickim fatum, z którego od pokoleń nie możemy się wyzwolić. To fatum

wywraca u nas wszystko do góry nogami. Kpi z chrześcijaństwa i zamienia nas w centralny szpital psychiatryczny Europy Środkowej i Wschodniej. W ojczyźnie cierpiącej, cytując księdza Tischnera, na wyobraźnię schorowaną, rozpiętej pomiędzy makami spod Monte Cassino, wierzbami płaczącymi, kwiatami polskimi Tuwima a brzozą dybiącą na zbyt nisko lecące samoloty.

Generalnie ojczyzna jest dość biologicznie bujna, jak widać z opisu. Jeden ze znanych polskich pisarzy opowiadał mi kiedyś, że po suto zakrapianej spirytualiami nocy obudził się bez sił i władzy w nogach, centralnie pośrodku kwietnego klombu w parku Ujazdowskim. Z trudem podniósł głowę i wyszeptał ni to do siebie, ni to do Stwórcy: „Jeszcze nigdy alkoholizm nie był tak piękny”.

Ja tak myślę o Polsce.

Jesteśmy narodem, który wytrzeźwiał. Z ideału europejskości, z postępu, nowoczesności, aspiracji i doganiania świata. Łączy się to z małym kacem, ale husaria nie takim rzeczom dawała radę. Jesteśmy jak dżdżownica rozcięta przez pług historii na dwie połówki, które w żaden dostępny duszy sposób nie chcą się ze sobą dogadać. Jesteśmy samotnym narodem, który czując się kundlem Europy, zgrywa bulteriera. Mało tego, ten bulterier jest zabrany przymusowo ze schroniska historii i w związku z zaistniałym faktem nie wie, czy kąsać wszystkich naokoło, czy może kopulować z każdą napotkaną nogą. Boimy się prawdy o nas, bo ona przynosi historii ściągnięte z piedestału dziejów. Bo mitologizujemy siebie i swoje dzieje. Najchętniej konsumujemy je w formie historycznego półfabrykatu typu *Korona królów*, gdzie Matysiakowie z mieczami zamieniają średniowiecze w *M jak miłość*. Boimy się trudnych pytań o nas samych, a więc najchętniej przyswajamy dogmaty. Polak, katolik, patriota, ocalił tyłu Żydów, ilu się dało. A jakby się dało, to chętnie ocaliłby więcej.

Duża część z nas to pseudokibole pseudopatriotyzmu stojący na straży pseudowielkości. Nawet nasz nacjonalizm jest pseudo. Bardziej operetkowy niż skuteczny czy groźny. Jest najlepszym dowodem zarażenia narodowego ego chorobą pod wezwaniem nieistotności. Dobra zmiana wyciągnęła z nas wszystkie wstydlive sekrety, które ukrywaliśmy pod europejskimi aspiracjami. Prawica u nas jest jak te słynne urodziny Hitlera w lesie. Wszystko to niby takie poważne, a pachnie nieudaną operetką.

My nie mieszkamy w normalnym kraju. Mieszkamy w mesjanistycznym

i symbolicznym muzeum cierpienia. Jesteśmy zdziwaczalą resztką Europy. Co najbardziej bolesne, nie ma na razie planu, aby ktokolwiek był w stanie zaproponować alternatywną wersję polskości. Dosyć romantycznego pieprzenia. Potrzebna jest nowa wizja, nowy mit. Oparty na wolności, na wolnym człowieku, oświeconym i otwartym. Wyzwolonym z zabobonu, szukającym religii opartej na wiedzy, samodoskonaleniu się, samokształceniu, a nie na pacierzu i dawaniu na tacę. Dosyć terapii narodowej opartej na przekonaniu o wyjątkowości. Stan normalności nam najzwyczajniej w świecie wystarczy.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że akcja mojej biografii miał się odbyć w Polsce, czyli nigdzie, jak pisał Alfred Jarry w *Ubu Królu*. W trollandzie nieczynnym z powodu awarii narodowej duszy. Nie wiedziałem, że już jestem zwichnięty historycznie katyńskim lasem, rozbiorami, rubieżami oraz przedmurzami. Kompleksami tkwiącymi w morderczym uścisku z pogardliwą megalomanią. Z obrazem czaszek toczących się przez płonące łąki krwi, z pospolitym chamstwem i dressem toczącym się w autach na gaz. Bo to my, pogromcy imperium osmańskiego, okupanci Moskwy, wpatrujący się z autoerotycznym patriotyzmem w Matejkowskie *Hołd pruski* i *Bitwę pod Grunwaldem* i niemogący sobie poradzić z własną współczesną nieistotnością. Przecież z woli boskiej jesteśmy wyjątkowi, Jezus dał się ukrzyżować głównie w naszej sprawie, a i obroniliśmy cywilizację w 1683 roku przed islamem, a w 1920 przed bolszewizmem. A za Beaty Szydło to przede wszystkim – od europedałów po afrouchodźców. I co z tego zostało? Disco polo i wąsy. Etos, patos i bigos. Emocjonalność tak wyrazista, że ewidentnie kolidująca z myśleniem.

Kiedyś po marihuanie wymyśliłem taki żart. Rozmawia ojciec hemoroid ze swoim synem, małym hemoroidem. „Zobacz, synu – tutaj wykonuje teatralny gest na całą dupę. – Kiedyś to wszystko będzie twoje”.

Taki mam stosunek do naszego nowo odzyskanego patriotyzmu.

W Bostonie (na własne oczy widziałem) jest pomnik worka ziemniaków.

Polacy. Czujmy się docenieni!

Piszę te słowa w momencie dla Polski tradycyjnie szczególnym. U nas nie może być po prostu normalnie. Albo moment jest szczególny, albo chwila

wyjatkowa, albo dzieją się rzeczy historyczne. Zero stabilizacji plus historyczne rozwolnienie.

Naprzeciw siebie stanęły w ustawce ostatecznej dwie Polski. Bezmyślna i bezradna.

A jak już wiele lat temu pisała Hannah Arendt, z bezmyślności rodzi się najgorsze zło. Niewiedza to władza. Zło rodzi się także w sytuacji, gdy większość ludzi używa głowy nie do myślenia, lecz do potakiwania.

Dialog mój z Tymem:

– Słuchaj, a co się stało z nami, Polakami? Masz jakąś refleksję, uwagę, spostrzeżenie? Stanisław, twoja perspektywa to jest osiemdziesiąt lat. Osiemdziesiąt lat polskiej historii. Co się takiego wydarzyło, że jesteśmy w tak humorystyczno-absurdalnym miejscu naszej historii?

Staszek na to:

– Słuchaj, zawsze trzeba brać pod uwagę taki element. Oczywiście ja tutaj przesadzam, to nie jest dokładnie tak, ale zawsze trzeba brać pod uwagę, że będzie nie to, czego się spodziewamy. I plany mamy takie, i wszystkie możliwości ich realizacji. Tymczasem się okazuje, że nagle dogaduje się grupa analfabetów, która nie umie czytać na przykład. I oni nagle na przykład wygrywają wybory. Takie rzeczy się zdarzają na świecie.

– Ale dlaczego nam?!

– A u nas to chyba nie są analfabeci.

– A kto?

– To jest gorsza odmiana takich, co to umieją czytać, a w ogóle nie czytają.

Mamy rewolucję karykaturalnego satrapy, który bardzo chce być Józefem Piłsudskim, a którego z Marszałkiem łączą tylko zwłoki na Wawelu.

Genialny strateg i ukochany przywódca, podczas narodzin którego ptaki mówiły ludzkim głosem, zjednoczył naród w strachu i chamówie. W miejsce nowego polskiego oświecenia wprowadził stare plebejskie zaciemnienie. Kolejny to dowód, że bardzo mały człowiek może rzucać bardzo duży cień. Patriotycznym planem minimum znów stały się słowa: „Nie będzie Niemiec

pluł nam w twarz”, a co do reszty, to się jeszcze zobaczy. A kulturowym zapleczem przygnębiający Jerzy Zelnik i żywcem wyjęta z Sopockiej Nocy Kabaretowej Katarzyna Łaniewska.

Populizm zatriumfował złudzeniem, że każdy może być politykiem. A to nie jest nauka, tylko sztuka. A artystów tam, po prawej stronie rozumu, gwałtowny deficyt jest.

Zemsta jest podstawowym motorem każdej rewolucji. Nawet tej aksamitnej, która – uwaga, cytuję marszałka sejmu – chce tylko „odszczurzyć Polskę”.

I tak skarłała rewolucja skarłałego lidera pchnęła nas w czasy, gdy coraz trudniej ukryć, że zaczynamy być gotowi na przemoc. Wobec siebie. Czekamy tylko na pierwszy gwizdek, pierwszą pochodnię lub kamień rzucony w niewłaściwą witrynę.

Rozmowa z Jackiem Braciakiem, którego uwielbiam i szanuję:

– Jacku, żyjemy w kraju, w którym pomiędzy gejem, pedofilem a zjadaczem kupy jest cienka granica.

Braciak na to:

– Tak jak cienka granica jest między „ty” a „ty chuju”.

Bez politycznej kultury naród staje się dzieckiem, które bawi się ogniem i w każdej chwili może podpalić własny dom. Żeby było chociaż z kim robić kontrrewolucję. Z epicko plebejskim wizerunkiem herosa Antoniego Macierewicza, rodem z *Dantona* Andrzeja Wajdy i *Obłądu* Jerzego Krzysztonia, nie wygra frywolny uśmiech Roberta Biedronia. Nie mam co do tego złudzeń. Brak tu politycznego ciężaru oraz zwykłej, swojskiej aberracji. Krzysztoń prosto z psychiatryka pisał: „Rzeczywistość to nie sztuka, powszednie, choćby była makabrą”. Oni tej makabry potrafią pisać kolejne zadowolające naród scenariusze.

Wiele lat później Marysia Peszek powie u mnie w programie: „Ja nie mam wątpliwości, że wolałabym przeżyć niż zginąć za ojczyznę”. Ona doszła do tego później, ja w świadomości bycia w tej bolesnej mniejszości tkwiłem już w dzieciństwie. Tego jednak nie wiedziałem wówczas, bo to było jeszcze przed szkołą. Ale i tak, jak znam życie, nie wiedziałem tego i po szkole, tylko miałem ściągę.

Czasy podobno były ciekawe.

1963. Na świecie był to rok pierwszy beatlemania. To wtedy czwórka chłopaków zamknęła się w studiu nagraniowym na dziesięć godzin i nagrała *Please, Please Me*. Płyte, po której już nic nie było takie samo. Dziesięć godzin. Dziś tyle czasu potrzebuje Edyta Górniak, żeby dojechać do studia.

Po raz pierwszy przed mikrofonami radiowej Trójki zasiadł Piotr Kaczkowski. Wielki mag radia. Ileż pokoleń radiowców rujnowało swoje kariery, próbując „lecieć Kaczorem”, czyli naśladować ten jego leniwy, cedzący słowa *flow*. To niesamowite, jak facet potrafił opowiadać muzykę. Opowiadać koncerty. Opisywać dźwięki. Niczym David Copperfield, powodował, że nagle budziliśmy się w innym wymiarze z biletem na koncert grupy Yes w rękę. Kiedyś, podczas moich pierwszych dni pracy w Trójce, przyszedł do studia i powiedział: „Witaj, nazywam się Piotr Kaczkowski i cieszę się, że pracujemy razem”. To było moje prywatne pasowanie na radiowca. Co tu ukrywać, w kategoriach jakościowych mocno przedwczesne. A fakt, że radiowy guru podchodzi do mnie, nikczemnego insekta eteru, i przedstawia się z imienia i nazwiska, budził we mnie jeszcze większy zachwyty. To tak, jakby Jezus ze Świebodzina zszedł z cokołu (trzydzieści trzy metry) i pukając do drzwi mieszkańców, zagajał: „Cześć, to ja, Jezus. Jesteśmy sąsiadami, stoję sobie tutaj, obok Lidla”.

W tym samym roku zamknięto ostatecznie słynne więzienie federalne na wyspie Alcatraz, co z perspektywy Polski Ludowej wydawało się dziwne, ale i ekscentryczne, bo mierzone tęsknotą krajowej rodziny za własnym lokum. Nawet jednopokojowym, z kibelem w rogu salonu.

Z dzieciństwa niewiele pamiętam, ale nie z powodu urazów czy głodu, tylko na skutek tak zwanego szczęśliwego dzieciństwa, które wyparłem, bo musiało być strasznie nudne.

Wiem to na pewno i mam na to nawet żywego świadka (to oczywiście zależy od tempa drukarni) w postaci babci, że od najmłodszych lat chciałem być hitlerowcem. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Uważałem ich za schludnych, kulturalnych ludzi, którzy lubią przesuwac granice. Prawdopodobnie odpowiedzialność za to ponosi kanoniczny serial mojego dzieciństwa, czyli *Stawka większa niż życie*. To dzięki niej okazało się, że Niemcy mogą być fajni, zabawni i dystyngowani. Moimi idolami w tamtym okresie byli Hermann

Brunner, „Zając” Wolf, pułkownik Kraft czy niejaki Puschke. Tak się z nimi zżyłem, że Helmut Kloss, stryj Hansa Klossa, automatycznie stał się moim stryjem i za nic nie mogłem wybaczyć rodzicom, że nie chcą go zaprosić do nas na Wigilię. Kiedy po wielu latach poznałem Stanisława Mikulskiego, nigdy nie przyjąłem do wiadomości, że jest Polakiem. Mało tego, uznałem, że jego bycie Polakiem to zdrada naszej sprawy. Bo on powinien być z zawodu Niemcem, gdyż najlepiej mu to wychodziło.

Dla mojego pokolenia w ramach relacji dobrosąsiedzkich Hans Kloss zrobił więcej niż Helmut Kohl, Tadeusz Mazowiecki i msza w Krzyżowej razem wzięci.

Gdy był gościem mojego programu, a pretekstem niestety okazał się film, którego scenariusz mógłby napisać średnio rozgarnięty ochroniarz Urzędu Skarbowego, mianowicie *Stawka większa niż śmierć*, byłem święcie przekonany, że zagada do mnie powszechnie znanym szyfrem: „Ładna pogoda”, a ja mu dumnie odpowiem: „Tak, o tej porze w zeszłym roku padał deszcz”. I znowu wszystko stanie się jasne, że przysłała go tajemnicza Centrala. Niestety tak się nie stało. Mało tego, pan Stanisław (Boże, jak to imię fatalnie brzmi) przyszedł w tureckim swetrze i w żaden sposób nie starał się, jak przystało na J-23, znowu nadawać. Już wtedy apelowałem głośno, że nowa ustawa krajobrazowa powinna zawierać jeden niedyskutowalny zapis: „Stanisław Mikulski bez niemieckiego munduru nie będzie akceptowany w żadnym ze znanych polskich krajobrazów”. Niestety nie zdążyłem. Centrala wezwała swego agenta do siebie na dobre...

To mnie kręciło wtedy, a zostało do dziś. Znalezienie własnej definicji rzeczy do cna zdefiniowanych. Miałem też inne pragnienia.

Podobał mi się Azja Tuhajbejowicz na palu oraz Nel, ale bez Stasia.

To były moje pierwsze kręgi kulturowe oraz punkty odniesienia. Azja miał od dzieciństwa twarz Daniela Olbrychskiego, co utrudniało mi w późniejszych latach zrozumienie, że martwy Azja buduje z kumplami fabrykę w Łodzi, i to bez pieniędzy. Zawsze uważałem, że umieszczanie mężczyźnie ociosanej belki w kroczu tylko za to, że wpadła mu w oko (w jedno, bo drugiego już nie miał) żona innego, to gruba przesada i symptom złych manier.

Najmniej akceptowała jednak te okupacyjne ciągoty rodzina. Babcia Anna szczególnie oprostowywała moje nazistowskie pragnienia, a wiedziała, co

robi, bo pochowała dwóch mężów. I to za ich zgodą. Obaj co prawda umarli po wojnie, ale tendencja wówczas była taka, że i tak za wszystko odpowiadają Niemcy.

Nel z kolei była moim pierwszym doświadczeniem erotycznym w kinie. A dokładnie masturbacyjnym. Zapałałem do niej tak silnym uczuciem, że na film w *Pustyni i w puszczy* do kina W-Z chadzaliśmy z moim ówczesnym kolegą Piotrem O. wielokrotnie – i jak to się elegancko mówi: z „biblijnym zamiarem utraty nasienia”. Ja zwykle trafiałem na ten moment, gdy mała Angielka w malignie wykrzykiwała rozpaczliwe: „Stasiu! Stasiu!”. Koszmar. Do dziś, gdy słyszę na ulicy, jak ktoś woła to imię, to miewam erekcję. Choć co tu ukrywać, coraz rzadziej. Piotr z kolei zwykle dochodził po mnie, co już wtedy dawało mi poczucie, że mam silne cechy przywódcze. A wszystko to w rytm muzyki zespołu Dwa Plus Jeden, który śpiewał coś o „wyciąganiu spod kołdry mgieł”.

To tyle o wpływie Sienkiewicza na mój rozwój umysłowy.

Odbyłem kiedyś krótką pogawędkę o tym przyjemnym temacie z dyżurnym kaznodzieją Polski Tomaszem Terlikowskim, specjalistą od grzechów wszelakich.

– A masturbacja? Pytam cię, bo ja jestem praktykującym masturbantem i to mówię szczerze.

Tomasz na to:

– A wiesz, jak chcesz się spowiadać, to nie u mnie.

Już jako dorosły mężczyzna przeczytałem gdzieś informację, że aby masturbacja była megaprzyjemna, trzeba robić trzytygodniowe przerwy. Nikogo nie muszę zapewniać chyba, że znam tę teorię tylko z teorii. Ale samogwałt okazuje się tematem fascynujących męskich pogawędek, bez względu na wiek i światopogląd.

Wojciech Cejrowski odwiedził mnie swego czasu.

– Zszokowałeś mnie, gdy wyznałeś, że nie lubisz otworzyć „Playboya”.

– Płaska kobieta z papieru, nawet jeżeli bardzo piękna, rozłożona przy śniadaniu, to jest nie ten kontekst.

– Dla mnie jest.

– Oduczasz swojego ptaszka prawidłowych odruchów.

– Ja oduczam swojego ptaszka prawidłowych odruchów??? Nie! Ja właśnie pasę swojego ptaszka! Pasę go!

– Jeśli twój ptaszek ma być przyuczony do konsumpcji papierowej baby w gazecie albo do masturbacji, to rzeczywiście go pasiesz.

– Jak oglądam *Bitwę pod Grunwaldem*, to ona też jest płaska, a pasę swoją wyobraźnię!

Widzę Ulryka von Jungensztajna i tego drugiego z krzyżem.

Zabawny był fakt, że po zdobyciu w sobie tylko znany sposób adresu młodej aktorki w Łodzi, która ku memu przerażeniu prywatnie nazywała się całkowicie inaczej, napisałem do niej list.

Monika Rosca, bo takie miała miano, była ode mnie starsza o dwa lata i była z ojca Rumuna. Postanowiłem nie brać sobie tego do swego narodowego serca i w długim wylewnym eseju do mej wybranki zaproponowałem wspólne życie oraz niestety przyznałem się do tego, co mi z nią w kinie wychodzi najlepiej. Ewidentnie nie chcąc naszej rodzącej się relacji zaczynać od potwierdzania nieprawdy. Niestety, widocznie list się gdzieś zawieruszył, bo do dziś nie dostałem odpowiedzi. Choć jeśli mam być szczery, to jeszcze w liceum z nadzieją zaglądałem do skrzynki pocztowej. Podobno piętnastoletnie dziewczynki nienawidzą mężczyzn i wszystkich by chętnie wymordowały, żeby dwa lata później rozglądać się, czy któryś nie ocalał. Widocznie moja sienkiewiczowska narzeczona jeszcze do tego etapu nie dotarła.

Wiele lat później, będąc na niedzielnym spacerze w Żelazowej Woli, zobaczyłem plakat informujący, że Nel będzie grała Chopina. Uznałem, że mam prawo do zadania pytania, dlaczego nie odpowiedziała na moje wyznanie, i w przerwie koncertu złożyłem reklamację. Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakim prawdopodobnie minister Gliński oglądałby spektakl *Golgota Picnic*. Postanowiłem zdobyć ją obojętnością i od tamtej pory się nie odzywam.

Byłem żywym dzieckiem. Co zapewne świadczy o tym, że rodzice mnie zaakceptowali.

Nie pamiętam wiele z Koszalina, bo każda późniejsza, co tu ukrywać, sporadyczna wizyta w tym mieście upewniała mnie, że nie ma tam nic do zapamiętania. W Koszalinie urodziło się później kilku znanych osobników, między innymi Robert Kozyra, słynny wynalazca kija w dupie, ale to tylko

potwierdza moją teorię, że to miasto nie ma szczęścia do ludzi. Co do Kozyry, to mam jeszcze jedną teorię. Jestem pewien, że urodził się jako bliźniak. Z własną figurą woskową, która występuje za niego we wszystkich programach telewizyjnych. Dlatego wypada tak przekonująco.

Naprzeciwko naszego domu stał koszaliński ratusz. Budynek znany jest z tego, że stoi na miejscu poprzedniego ratusza, a poprzedni na miejscu poprzedniego, a ten z kolei zajął miejsce tego, co był przed nim. I tak do sześciu ratuszy w tył. To chyba z tego patrzenia na ratusz wzięły się moje potrzeby, żeby mieć wpływ na ludzi.

Jest podobno takie schorzenie o dziwacznej nazwie „obiektoseksualizm”, które oznacza nic innego jak pociąg do budynków lub przedmiotów. Można się zakochać w barbakanie, barierce lub stodole dziadka. 17 czerwca 1979 roku dwudziestopięcioletnia mieszkanka Szwecji Eija-Riitta Eklöf wzięła ślub z murem berlińskim, który kręcił ją od dawna, i to z obu stron. To nie jest żart. Od tamtej pory kobiecina nazywała się Eija-Riitta Eklöf-Berliner-Mauer. Niestety, szczęśliwe pożycie trwało tylko dziesięć lat, bo nadeszła złowieszcza noc 9 listopada 1989 roku, kiedy tłum pijanych Germanców zniszczył jej małżonka, czyniąc z niej wdowę jak się patrzy. Mój brat Tomasz twierdził, iż lepiej, że godzinami patrzyłem na tę stronę, bo z drugiej był widok na śmietnik, w którym w rytm tamburynów spółkowali Romowie, a to mogło zdeterminować zarówno moje losy, jak i mój rozwój w całkowicie innym kierunku.

Nie wiem, co by było ze mną oraz ludźmi później, gdyby pewnego dnia nie przyjechał meblowóz i nie zabrał nas do Warszawy. Miasta, w którym wszędzie były i slumsy, i centrum. Tak to przynajmniej wyglądało w mojej nieletniej łepetynie. Razem z meblami w środku czułem, że zbliżam się do największej przygody mojego życia – bo wiedziałem, że taka jest mi pisana. We wróżby przestałem wierzyć dużo później, po tym jak zdechł mi pies Gustaw i po dokonaniu aktu kremacji czworonoga zachciało mi się ochłodzić napojem Tymbark, gdzie pod kapslem znalazłem przesłanie: „Teraz twoja kolej”.

Podobno najlepszy zespół wszech czasów, czyli The Beatles, w swoich piosenkach użył słowa LOVE aż 613 razy. Przypadek? Nie sądzę. Już w momencie, kiedy oni się kończyli, a ja dopiero się zaczynałem jako mężczyzna, czyli w roku 1970, wiedziałem, że to istotna wiadomość.

Jestem dzieckiem szczęścia. To już wiem na pewno. Po tylu latach zdiagnozowałem, że ono było moim największym sojusznikiem. W słynnych niby to sfałszowanych wyborach samorządowych w 2014 roku miał miejsce zabawny przypadek. We wsi Moskorzew był tylko jeden kandydat na wójta, niejaki Klimek Jarosław. I Klimek Jarosław miał pecha, bo przegrał. Nie został wybrany. I to mnie upewniło w moim jakże słusznym przekonaniu: los mnie nie wybrał na Klimka.

Od roku 1970 moim naczelnym hasłem życiowym było tajemnicze słowo „sex”.

Kiedyś kolega z „Gazety Wyborczej” opowiadał mi, że w Korei Północnej w każdym pomieszczeniu wisi obraz ukochanego przywódcy, a obok obraz drugiego ukochanego przywódcy, który parę lat temu zamienił się w ukochanego denata.

Ja miałem tak samo. Tylko w każdym pomieszczeniu mojej wyobraźni wisiał obraz z gołymi babami. Do dziś pamiętam, jak w szóstej klasie podstawówki pani od historii wezwała mnie do odpowiedzi. Nie miała, ta poczciwa i świadoma historycznie kobiecina o przedziwnej muskulaturze Marit Bjørgen, pojęcia, że zamiast frontów pierwszej wojny światowej ja w swojej wyobraźni zwiedzałem kobiecość Bo Derek. To była taka pani, co jak grała w filmie, to była tragedia. Ale jak grała i się rozbierała, to była tragedia antyczna.

Kiedyś Janusz Palikot powiedział mi, że jego praca magisterska nosiła tytuł „Transcendentalna jedność apercpcji u Kanta”. I tak mniej więcej brzmiało dla mnie to tragiczne pytanie tego tragicznego dnia. „Wojewódzki – wypaliła. – Kiedy po raz pierwszy użyto gazów bojowych?”. A ja zamarłem. Bo właśnie tuż pod blatem ławki, tam gdzie czał się schówek na tornister, dorastał mój fantastyczny, młodzieńczy wzwód. Majestatyczny, dumny i nie do odwołania. I jak tu wstać? Jak się wyprostować? Jak myśleć, kiedy niezbędna do procesu kumacji krew powędrowała w zupełnie inne rejony? Zgodnie z efektem motyla ta sytuacja mogła zapobiec w przyszłości wybuchowi wojny nuklearnej, więc postanowiłem wstać. Czy ktokolwiek z was wyprostował się w szkolnej klasie z pełną erekcją w spodniach? Nie sądzę. Jest taka dość odważna teoria pewnego francuskiego filozofa, że małpy potrafią mówić, tylko tego nie robią, żeby uniknąć pracy. Ja tamtego dnia sięgnąłem owego ideału. Stałem i on stał, i obaj

milczeliśmy jak grób. Ale z pewnością były tego faktu i dobre strony.

Ryszard Kalisz oświecił mnie pewnego dnia stwierdzeniem:

- Ale jak się mężczyzna podnieci, to zawsze mu dobrze robi na twarz.
- Co widać po panu!
- Ja wbrew pozorom... Mówię „wbrew pozorom”, bo jestem przecież gruby...
- Pan nie jest gruby, pan jest po prostu zawieszony w sobie.
- Ja jestem dosyć sprawny...
- We wszystkim?
- W niektórych rzeczach.

Skoro już jesteśmy przy grobie, to dzięki Bogu jestem ateistą i domniemywam, że na tym przystanku zakończą się moje odwiedziny na urodzinach życia. Uważam, że bycie w tym kraju ateistą to akt odwagi i suwerennego myślenia. My po śmierci nie zjeżdżamy do zajezdni o nazwie „życie wieczne”. My chcemy użyć życia za życia.

Ciekawą polemikę miałem onegdaj z Marcinem Różalskim:

Różalski:

– Zło i dobro to pojęcia względne.

Ja:

– Ja jestem ateistą, a ty?

– Poganinem, czytaj: szatanistą, bo ja jestem szatanistą, tak.

– Ale czekaj, czy ty jesteś szatanistą, który wierzy w szatana, czy w magię?

– Nie ma szatana.

– No jak?

– Co to znaczy dla ciebie szatan?

– Ja nie wiem, ja jestem ateistą, więc ja nie wierzę ani w Boga, ani w aniołki, ani w szatana.

I wtedy Różal zaczyna koncert:

– Słuchaj. Jest burza? Burza jest. Wiesz, co może zrobić burza, jak pierdolnie piorun? Uderzy w sensie?

– Tak. Widziałem.

– Wiesz, co zrobiło tsunami ostatnio gdzieś tam?

– Widziałem.

– Co zrobił wiatr?

– Widziałem.

– To są żywioły, w które się wierzy. Kiedyś, kiedyś, w pradawnych czasach, gdy wierzyłeś w żywioły, wierzyłeś w coś, a nie w wyimaginowanego pana z brodą, czyli wierząc w coś, a nie w tamto, już jesteś szatanistą... Paganizm. W prostej linii szatanizm. A jeżeli im to pasuje, że jestem szatanistą, mogę być

satanistą, mogę być nawet, kurwa, Wodnikiem Szuwarkiem.

Co tu ukrywać, przekonał mnie. Jestem Wodnikiem Szuwarkiem.

Gdybym był katolikiem, to dziękowałbym Bogu za ateistów i heretyków. Bo herezja to nic innego, jak tylko inny rodzaj wolności myślenia. Ateizm refleksyjny, a taki, wydaje mi się, uprawiam, nie jest gwałtem na tradycji czy obyczaju, jest poszukiwaniem własnej drogi. Nigdy nie byłem chórzystą, szczególnie takim, który mocno fałszuje. Mam duszę solisty. Wiele lat temu wymyśliłem sobie własne motto życiowe i mocno się go trzymam. A brzmi ono: „Chcę być jednoosobową subkulturą”. I jestem bez wątplenia jednoosobowy, a co z resztą, to zobaczymy, jak umrę. Oni w *Faktach* o dziewiętnastej zawsze tak ładnie mówią o pracownikach. Wtedy się dowiem.

Zawsze najprawdziwsze było dla mnie zdanie: „Jeśli Bóg jest, to dlaczego go nie ma”.

Religia jest albo dla tchórzy, słabeuszy, albo dla ludzi niepotrafiących mocno, ale samodzielnie trzymać steru własnego sumienia. Wiara coraz częściej kojarzy mi się z oddawaniem czci szakalom przez osły. Kościół jest jak McDonald – przede wszystkim liczy klientów. Jakość obsługi schodzi na dalszy plan.

Uwielbiam słowa Wojtka Kuczoka, podobnie jak ja wybranego przez Pana Boga na ateistę: „Kibolizacja patriotyzmu idzie w Polsce pod rękę z kibolizacją wyznania. Dość spojrzeć na doroczną jasnogórską pielgrzymkę szalikowców. Przypomniało mi się, że jęczyzkiem u wagi, który przed laty spowodował moje odejście od religii, był nieuleczalny brak dystansu i poczucia humoru wiernych. Jeśli Bóg katolików jest tak drętwy jak jego wyznawcy, to może lepiej, żeby nie istniał”. Piękne.

Polecam wam Kuczoka. Jest bolesny, ale precyzyjny, jak chirurg gmerający przy prostaty. Lubię jego publicystykę, czy też felietony. To taki rodzaj pisania, że ma się ochotę na skutek zaznajomienia z lekturą wziąć sporą dawkę elektrowstrząsów, żeby zapomnieć i nie skomleć ze wstydu bycia Polakiem.

Uczestniczyłem kilka lat temu w pogrzebie bliskiej mi Ani Przybylskiej. Była dla mnie kimś więcej niż kumplem i czymś mniej niż miłością. Tabun ciekawskich wyległ na ulice Gdyni, bo wreszcie coś się w mieście zadziało.

Celebrycka zadyma z trumną w tle. Sytuacja z cyklu: „Przyszedłem na pogrzeb dziadka, ale dziadek też przyszedł”.

To było moje najgorsze kilka godzin w tym mieście, w całym moim życiu. Paparazzi, hałaśliwe komentarze, kto z kim przyjechał, z jakiego serialu, podglądacze czyjegoś nieszczęścia i – żeby być też uczciwym – zwyczajni, zasmuceni fani. Ksiądz w kościele mówił z zaangażowaniem sprzedawcy mebli z salonu Agata Meble. O jednej z najcudowniejszych istot, jakie znałem, wygłaszał frazesy rodem z Wikipedii. Padały slogany o tym, że „Bóg jest łaskawy i sprawiedliwy”. To największe kłamstwo, jakie słyszałem od dwóch tysięcy lat. Tylko bezlitosny egoista potrafi zabrać młodą matkę trójce dzieciaków. Ale to nie wszystko. W trakcie mszy poświęconej zmarłej osobie kościół nie zajmuje się tym, kto odszedł, nie zajmuje się jej rodziną i bólem. Kościół zajmuje się sobą. Swoim pieprzonym ewangelicznym narcyzmem. Jak padły słowa: „Przepróśmy za nasze grzechy”, to aż zacisnąłem pięści z bezradności. A kiedy wy przeprasicie za swoje – za obłudę, pedofilię, zachłanność i bizantyjski styl życia? Kiedy ten wasz Bóg przeprosi rodzinę Ani, że gdy ona odchodziła, On zajmował się doglądaniem budowy kolejnej świątyni? Niech przeprosi Jarka, że zabrał matkę jego dzieci.

Uwielbiam ten patetyczny ton, kiedy prasa prawicowa reaguje na każde moje wywołanie Kościoła do tablicy. Miotając argumenty od taty prokuratora bolszewika, co, jak wiadomo, pozbawiło mnie jakichkolwiek moralnych azymutów, zwykłej kompetencji czy kwalifikacji do czegokolwiek. Konikiem niektórych księży są dzieci albo brzydkie filmy z nimi. I też nie mają do tego kwalifikacji, a jednak ich ciągnie. Ja mam podobnie.

Szymon Hołownia zawsze mi powtarzał, że Kościół to nie jacyś ONI, Kościół to podobno my wszyscy. Czy tego chcemy, czy nie. Mogę oczywiście czepiać się środowiska listonoszy czy wulkanizatorów, badać u nich odsetek pedofilii, ale oni nie odmieniają słowa „miłość” przez wszystkie przypadki. Dla mnie dzisiejszy Kościół ma wysmaganą dominikańskim słońcem twarz pana byłego arcybiskupa Wesółowskiego.

Wiara, chrześcijaństwo to są zbyt poważne sprawy, oczywiście dla wierzących, żeby je zostawiać wyłącznie Kościołowi. Dlatego z miłości do bliźniego zabieram głos w tej sprawie. Przytulam ich swoją troską. Kościół ma

strukturę monarchiczną i takiego też oczekuje od wiernych posłuchu. W dwudziestym pierwszym wieku. Jest też dostarczycielem absurdalnych sytuacji rodem z *Monty Pythona*. Byle ksiądz, byle biskup potrafi poświęcić okręt wojenny, superfortecę czy inny pojazd do masowego zabijania katolików, a ma problem z prezerwatywą. To, co ostatnio wyprawiają w Polsce, to absolutny obyczajowy zaduch i uzurpowanie sobie prawa do gmerania nam w duszach bez znieczulenia. Zapędy cenzuralne. Tłumienie wolności słowa, pakowanie się z drogimi czarnymi butami na porodówkę, do nauki i naszego portfela. Kościół przestał być narzędziem Chrystusa, a stał się narzędziem chytrusa.

Często wspominam słowa mego serdecznego kumpla Maćka Kaczmarek, towarzysza wielu wypraw off-roadowych, wypowiedane za każdym razem gdy zagląda do jakiegokolwiek kościoła w Polsce: „I pomyśleć, że zaczęli od stajenki”. To zresztą na jego katamaranie, zacumowanym u wybrzeży Czarnogóry, pisałem ostatnie wersy tego zwalistego cymelium. Bardzo mu za to dziękuję.

Skompromitowaną moralnie organizacją, której jedynym spoiwem jest lęk małuczkich tkwiących w bezrefleksyjnie unizonych pozach. Z pozycji kolan nie zmieni się ani świata, ani własnych horyzontów. Czasami mam wrażenie, że gdyby to od Polaków zależała ewolucja, to chodzilibyśmy wyłącznie na kolanach. Gdy się obserwuje tę pokrętną instytucję, to podobnie jak z propagandową metodologią PiS-u, można wywnioskować prostą rzecz – ze strachu, jaki przeżywa społeczeństwo, można całkiem przyjemnie żyć. Trzeba tylko stale o nim mówić. W kupie nawet bać się jest różniej.

Przepraszam za kibolsko-moralizujący ton, ale nikt wam nie obiecywał, że ta książka to będzie wielka literatura.

Z Wróżbitą Maciejem zaliczyłem taką małą wymianę myśli w stosownym temacie:

– A byłeś u komunii?

Maciej:

– Byłem.

– I co? Brałeś ten opłatek i pomyślałeś: „Wymyślę swoją religię”?

– Nie. Pomyślałem wtedy, że przy odrobinie szczęścia każdy może być Jezusem.

Tak, moi drodzy, im człowiek jest bogatszy w osady, tym uboższy w przesady.

Może kiedyś, z nudów albo ze zwykłej ciekawości, co to za facet, zacząłbym wierzyć w Boga, ale odstrasza mnie ogromna liczba zdemoralizowanych pośredników.

Głupio mi o tym mówić, ale równie niezręczny był pogrzeb Tomka Stańki. Widocznie nikt tego nie uzgadniał, nie korelował, ale tabun urzędników, z wysłannikiem ministra kultury na czele, którzy beznamiętnie odczytywali zasługi Tomasza z Wikipedii, był nieznośnym incydentem na pożegnaniu największego punkowca jazzu. Odmieniali Tomaszowe zasługi z taką pasją, jakby pobierali opłatę klimatyczną od zgromadzonych. Koszmar. Nie mnie sądzić i ferować wyroki, ale znając Stańkę, wyszedłby z imprezy znudzony administracyjnym tonem przemówień. Gdy pojawił się Tomasz Tłuczkiwicz i powiedział: „Dziś serca nam płoną...”, nie było nikogo, kto łzy zatrzymałby dla siebie.

Błagam. Niech na moim pogrzebie przemówi ktoś, kto mnie znał. Na obecność panów z jakiegokolwiek ministerstwa nie liczę.

Byłem chłopcem nieśmiałym. Chociaż słowo „nieśmiały” jest dziś słowem niebezpiecznym. Zbyt miękkim. Nie ma w nim narodowej dumy i nic z żołnierza wyklętego. „Nieśmiały” to jest preludium do słowa „pierdoła”. A to już jest konkretyk. W swoim czasie zagadnąłem najpogodniejszego z satyryków Artura Andrusa:

– Tak szczerze, Artur. Trochę mi wyglądasz tak, jak ja wyglądałem, kiedy byłem dzieckiem. Przyznaj się. Niech to będzie twoja chwila prawdy. Miałeś kiedyś opinię pierdoły, jak byłeś dzieckiem?

– Dlaczego „jak byłem dzieckiem”? – odpowiada mój gość. – Dalej mam opinię pierdoły.

W stosunku do dziewczynek miałem energię i swobodę czytelnika, który próbuje pożyczyć ze szkolnej biblioteki podręcznik *150 technik samogwałtu*. Byłem niespieszny i speszony. Od najmłodszych lat nie pragnąłem małżeństwa. Zawsze uważałem, że jak mężczyzna jest nieszczęśliwy, to szuka żony. A jak jest szczęśliwy, to żona szuka jego.

Pierwszą kobietą, którą zobaczyłem naga, była Basia, córka dozorca. Jedna z licznych córek dozorca, ale jedyna, z którą można było negocjować oglądanie dróg rodnych. Takie miała hobby. Najpierw ogłaszała konkurs pod frywolnym hasłem: „Kto mnie złapie”, a następnie w rogu piaskownicy wprowadzała najszybszego w arkana swej nieletniej kobiecości. To był mój pierwszy raz, kiedy pomyślałem o tym, że bycie sportowcem ma jednak i dobre strony. Ale to było na długo, zanim zobaczyłem pierwszy wywiad z Ireną Szewińską.

Wszystko to na ulicy Górczewskiej na Woli. To niesamowite, ale ta Górczewska śni mi się do dziś. I to nie w kontekście organów Basi, ale w kwestii cofnięcia awansu społecznego i powrotu do robotniczej dzielnicy. Ot, takie klasowe lęki śródmiejskiego nuworysza.

Miejscem magicznym, a niedostępnym dzisiejszym dzieciakom, był trzepak. Taki stalowy Facebook tamtych czasów. Tam się zawierało nowe znajomości i lajkowało po twarzach.

Na trzepaku poznałem moją pierwszą dziewczynę, Teresę P. Imię miała mało dziewczęce, ale za to resztę bardzo. Miała liczne siostry oraz ojca z wyraźnym apetytem na twarz, aby tę rodzinę powiększać. Tata ów zbierał znaczki pocztowe i nim się zorientowałem, wszystkie moje znaczki były jego. Czyli zbierał i moje.

Teresa to moje pierwsze romantyczne wspomnienie z dzieciństwa. Spotkaliśmy się wiele lat później w Warszawie, miała już kochającego męża w Anglii i o parę dni za długi pobyt, żeby go nie wykorzystać.

Teresa była piękna, wysportowana i jak najbardziej pierwsza. Z jej urodą dawałem sobie radę, z wysportowaniem nie bardzo. Bo jak to mawiał mój ulubiony komentator sportowy: „Nigeryjczycy są bardziej szybsi od Bułgarów” – i ja w tym wyścigu byłem Bułgarem niestety. Ilekroć organizowała zawody w bieganiu i ku mej rozpaczy wyprzedzała mnie, ja zawsze znajdowałem formalny powód, by biegi odwołać i na szybko dokonać korekt regulaminu. Co zresztą weszło mi w krew tak dalece, że do dziś pamiętam, jak nauczycielka wpisała mi uwagę po szkolnej olimpiadzie: „W czasie wyścigów międzyklasowych z rozmysłem biegł wolno, by, jak twierdzi, zyskać na czasie”.

Rodzina przypomina mi czasami jeszcze dziewczynę o imieniu Marzena. Podobno była moją dziewczyną w pierwszej klasie podstawówki. Musiała być

naprawdę ostra jazda, skoro pamiętają ją moi starzy, a ja nie.

Kiedyś, jeszcze jako seksualny młodzik, przeczytałem biologiczne dane, że samice pand są w nastroju do seksu tylko dwa lub trzy dni w ciągu roku. „To i tak lepiej niż twoja matka” – zażartował swawolnie tatuś, gdy przybyłem do niego, by zmniejszyć deficyt wiedzy. Po tej wstrząsającej lekturze postanowiłem całe swoje dorosłe życie przeznaczyć na poszukiwanie kobiet zdecydowanie innych niż te przesympatyczne, choć wieczne pijane miśki. Dzięki czemu jestem dziś tym, kim jestem.

Zagajam onegdaj do Marysi Peszek:

– Tworzysz muzykę dla skurwiałych artystycznie spierdoleńców.

Marysia:

– Dobrze, nie? Zabawne. Tygodnik... To znaczy to jest wpis z pisma katolickiego. Jesteś dumny, że jesteś skurwiałym artystycznie spierdoleńcem, który lubi moją muzykę?

– Jestem dumny, że jestem artystycznie skurwiałym spierdoleńcem.

Mieszkaliśmy wtedy w bloku przy ulicy Górczewskiej na Woli. Blok miał zawartość ludzką godną pióra Hrabala. Twarze i typy osobnicze niczym z ulotek centrum psychiatrycznego Synapsis.

Na parterze mieszkała Dorotka, moja koleżanka z klasy, wraz z rodzicami i siostrą mamy, bliźniaczo podobną do tejże. Podobno to prowadziło do zabawnych perturbacji z tatą Dorotki, ale może to po prostu plotki i źli ludzie gadali. Dorotka błysnęła tym, że w piątej klasie na imprezie urodzinowej walnęła pełny striptiz na stole krytym fornirem. Na zebraniu rodziców w szkole próbowano później rozwikłać motywy piątoklasistki, ale z marnym skutkiem. Od tej pory na jej urodziny chciał się załapać każdy.

Obok nich mieszkała Marzena, zdrajczyni. Nie była zbyt lotna, a to podobno na skutek tego, że gdy była mała, tatuś często ją podrzucał, ale nie zawsze łapał. Ot, taki poczciwy człowiek z gatunku tych, co wiele lat później machali w *Familiadzie*. Pech chciał, że rodzice posłali ją do klasy pierwszej B, a następnie po kilku tygodniach, z sobie tylko znanych powodów, przenieśli do pierwszej A. Od tej pory zyskała nowych kolegów i przydomek „zdrajczyni”. Włókł się za nią podobno do studiów. Nasza klasa nie rozmawiała z nią aż do matury. Taka

była u nas klasowa lojalność. Rekord ustanowił jednak mój podstawówkowy kompan Piotr, zwany Peterem, który spotkał ją gdzieś w okolicach naszej czterdziestki. Podeszła w galerii handlowej rozpromieniona z pytaniem, czy ją poznaje, a on tylko syknął pogardliwie: „Zdrrrrrajczyni”. I poszedł. Niby dla jaj, a jakie piękne.

Na pierwszym piętrze mieszkał Jacek. Był nieprzyzwoicie gruby, co szybko podzieliło nasz blok na fanów i oponentów Jackowej tuszy. Plotki mówiły, że jak w nocy spadał z łóżka, to z obu stron naraz. Miał dziwne hobby. Rozpuszczał w wodzie klej do tapet, a następnie brał do ust i pluł nim w muchy. Potem zastygał ze wzrokiem sadysty, patrząc, jak zastygają one. To, obok jedzenia, wypełniało mu całe dni. Wszyscy twierdzili, że był to akt odwetu na świecie za nieudaną próbę podjęcia życia seksualnego. Podobno podczas tak zwanej inicjacji usłyszał od wybranki swego serca: „Kogo masz zamiar tym uszczęśliwić?”. „Siebie” – wyszeptał speszony właściciel niedużego elementu, ale jego głos nikt nie słyszał, gdyż, jak pisał poeta, jego wybranka „ozdobiła swą cielesnością horyzont oddalenia”.

Na drugim niejaki Mastalerz. Był tak brzydki, że jego rodzona matka, wołając go przez okno, unikała wymieniania syna z imienia i nazwiska, bo taki ogarniał ją wstyd, że powiła monstrum. Miał oblicze, które nadawało się do prezentacji tylko w kodowanym Polsacie, ale to dopiero za parę lat. Sucha twarz chytrego wiejskiego listonosza z rozbieganymi oczkami. On pierwszy w naszym bloku wykradał ojcu kluczyki do samochodu i odbywał przejażdżki po podwórku. Jego wartburg, arcydzieło motosztuki germańskiej, miał tak skonstruowany wskaźnik paliwa, że jak delikwent skręcał w lewo, to pokazywał, że jest więcej paliwa. Mastalerz zabierał wtedy koleżanki na przejażdżki i jeździł z nimi w kółko po rondzie, krzycząc z rozkoszy i trwając w wierze, że nigdy nie skończy mu się paliwo.

Dalej Komornicy, czyli „trójkąty”. Pseudonim ten pasował do nich z geometryczną precyzją, bo wszyscy jak jeden mąż, od matki, po ojca i całe potomstwo, mieli trójkątne twarze. Ojciec bardziej równoboczny, ale cała reszta poszła już tylko w równoramienne. Gdy wychodzili na spacer, wyglądali jak podręcznik otwarty na twierdzeniu Pitagorasa.

Była też gruba Kasia, co się całe życie świetnie uczyła, czemu dała namacalny

dowód, dość sprawnie zachodząc w ciężę ze Zbyszkiem, przestępcą z ulicy Żytniej.

Zbyszek był tak brzydki i pozbawiony manier, że świnie wstydzilyby się z nim jeść. Spotkanie z nim było jak klikanie w niebezpieczne linki. Wielką niewiadomą. Co rok na pytanie roznamiętnionych niespodziewanymi prezentami kumpli, co on znalazł pod choinką, niezmiennie odpowiadał: „Podłogę”. Zasłynął brawurową odwagą podczas pierwszej komisji wojskowej, gdy blady jak ściana łapiduch kazał mu wyjąć pośladki, a następnie zagał, czy Zbyszek pali. „A co, jeszcze się dymi?” – zaciekał się poborowy. On nawet w wieku dojrzałym miał kłopoty ze zrozumieniem prawa oraz świata. Dla niego termin *vacatio legis* oznaczał niepuszczającą się pannę, a *corpus delicti* laskę o delikatnej budowie ciała. Prymuska-żona powiła mu bliźniaki, które edukacyjnie wdały się w mamę. Szybko nauczyły się ignorowania poszczególnych zapisów Dekalogu. Ich popisowy numer to rozpalanie nocą ogniska w piwnicy, a następnie ostrzeżenie mieszkańców przed pożarem. Gdy zaspani lokatorzy w szale ratowania życia i mienia opuszczali swe lokale, bracia podobni zawłaszczali ich medaliki i czasomierze. Niestety po jednym z wyskoków łupy poróżniły ich do tego stopnia, że ten o minutę starszy wbił świeżo zwędzony tomahawk w czerep juniora, tym samym rozwiązując sprawnie działający tandem. Następnie w więzieniu zrobił karierę wokalną, pisząc utwór *Mydło lubi zabawę*, co dawało całej jego rodzinie bezpieczne poczucie, że nie jest tam samotny. Nie będę wam opisywał swego dziwnego odczucia, kiedy wiele lat później usłyszałem utwór o tym samym tytule w wykonaniu dziecięcej grupy pod złowrogą nazwą Fasolki.

Była też Hania, co kochała konie. Miała w domu tylko książki o koniach, a w programie telewizyjnym zaznaczała tylko filmy, w których występowały konie, ze szczególnym uwzględnieniem seansów *Bonanz*y. Niestety, miała pecha, bo jej pasja tak mocno wryła się w biografię, że potracił ją samochód. Dwustukonny.

Wyżej, nad Hanią, mieszkał samotny Olo, który codziennie witał słońeczko dziarskim zawołaniem: „Nie szukam drugiej połówki, wyciągam ją z lodówki”. I tym samym swoje wypadki na randki ograniczał do kilku kroków w kierunku automatu chłodniczego Szron. Złośliwcy z podwórka gnębili samotnego Oła niestosownymi żartami, że z takim hasłem to spokojnie mógłby podjąć pracę

w zakładzie pogrzebowym. Ale on niestrudzony obejmował kolejne towarzyski życia za szyjki i wprowadzał do organizmu. Nie lubił wokół siebie tłoku niczym Onufry Zagłoba. I tak też odszedł, zawiadamiając o tym końcowym akcie współlokatorów zauważalną zmianą gęstości powietrza na tak zwanej klatce schodowej. Bo miał on jeszcze jedną ważną cechę. Kochał życie, bez względu na jego formę biologiczną. Jak sam mawiał, nigdy nie zabiłby ani pluskwy, ani pająka, bo dla niego byłoby to jak zabić współlokatora. A psa kupił tylko dlatego, że nie lubił się schylać, jak mu pożywienie spadało na podłogę. Taki był.

I tak piętro po piętrze. Czy w takim towarzystwie mogłem rozwijać się prawidłowo?

Olaf Lubaszenko, najstynniejszy Polak z syndromem efektu jo-jo, obwoził mnie kiedyś po zakamarkach Wrocławia, pokazując, gdzie się urodził i gdzie wychował. Naszą wycieczkę zamknął smutnym stwierdzeniem: „I czy ja mogę być normalny?”.

Tuż przed szkołą moją biografię dobrze spuentował incydent, który, jak się za chwilę okaże, właściwie odczytany, był zwiastunem nadchodzącej pożogi. Warte podkreślenia jest to, że byłem dzieckiem odczytanym. Czytającym dużo, intensywnie, a czasami kilka książek na raz.

Bajeczne były poranki, kiedy zaopatrzony w butelkę świeżo objawionej w PRL-u coca-coli plus pięć pączków od pana Bliklego dawałem nura w świat nieskończonej łaski wyobraźni. Nienackiego i Niziurskiego załatwiłem jeszcze przed ósmym rokiem życia. *Akademii Pana Kleksa* odrzucałem jako przejaw infantylnej magii, banalnego okultyzmu i uciekania od wartości chrześcijańskich jako takich albo jakich takich.

Wtedy wypływałem na szerokie stopy Dzikiego Zachodu z niejakim Karolem Mayem, zresztą Niemcem. Jak widać, naród ten okupować nas musi bez względu na formę okupacji. Nawet jeśli jest to niewinna wyobraźnia małego Jakuba. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że filmowy Winnetou jest co prawda Francuzem, ale Francja to kraj, który ma długą granicę z Niemcami, więc aktor jest trochę i Niemcem, co prawdopodobnie zgwałciłoby mą wrażliwość i to ze szczególnym okrucieństwem. Nie wszyscy wiedzą, że Niemiec Karol po raz pierwszy zobaczył na swe germańskie oczy kraj zwany USA dopiero w 1908 roku, już po napisaniu swoich dzieł o Dzikim Zachodzie. Taki to jest naród

kłamliwy i plugawy.

Otóż po wnikliwym przeczytaniu przygód Winnetou postanowiłem poznać jegomościa osobiście. Pan Apacz Winnetou, jak przystało na Apacza, musiał mieszkać z innymi osobnikami tegoż pochodzenia, a moja młodzieńcza wyobraźnia podpowiedziała mi, że najszybciej na Dziki Zachód będzie przez Żoliborz. Korzystając z nieuwagi mamy, spakowałem w chlebak latarkę, finkę oraz książkę *Winnetou. Czerwonoskóry gentleman*. Autobusem linii 122 dojechałem do placu Wilsona, czy też Komuny Paryskiej, a może dziś już placu imienia Lecha Kaczyńskiego oraz jego żony. Podróż oczywiście odbyłem bez ważnego biletu, ale po pierwsze, od przyjaciela Winnetou nie wypada pobierać biletu, a po drugie, Karol May odkrył swój talent literacki w więzieniu, więc i ja mogłem iść w tym kierunku. Tam, na placu, postanowiłem szukać ścieżek do indiańskiej wioski. W tomie pierwszym swych przygód Winnetou stwierdza: „Będąc młodym, nie zastanawiałem się wówczas nad tym, że dopiero życie jest właściwym i prawdziwym uniwersytetem, na którym uczniowie są pytani co dzień i co godzina”. Bez względu na nudę i upierdliwość tej myśli, też się nad niczym nie zastanawiałem, z wyjątkiem myśli, jak tu zostać czerwonoskórym. Pech chciał, że wypatrzył mnie w trakcie transferu do Stanów Zjednoczonych *via* ulica Krasińskiego w stolicy Polski kolega rodziców rozmawiający akurat w budce telefonicznej. Zawiesił na chwilę rozmowę, podszedł do mnie i zapytał idiotycznie: „A ty, Kubuś, co tu robisz sam?”. Nie będę się przecież kopał z koniem, tak pewnie pomyślałem wtedy albo tak mi się wydaje, choć koń tam, gdzie szedłem, akurat by się przydał. Postanowiłem być prawdomówny, jak przyjaciel Old Shatterhanda. „Idę do Indian, proszę pana” – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. „Aaaaaaa – wydobyło się z paszczy przyjaciela rodziny. – To poczekaj chwilę, chętnie do ciebie dołączę. Tylko skończę rozmowę”. Dobra, pomyślałem. Zawsze we dwójkę różnie będzie upolować sarnę i upiec ją na ognisku gdzieś w okolicach Bielan. Tak mi się wydaje, że pomyślałem. On gdzieś jeszcze zadzwonił, pogadał chwilę i biorąc mnie za rękę, ruszył ze mną do Eldorado. Niestety facet okazał się zdrajcą, jak ten gogus Pierre Brice grający mego idola w niemieckim kinie. Pierre Winnetou wyciągnął indiańskie nogi w wieku 86 lat, co najlepiej świadczy o tym, że nigdy nie był prawdziwym Indianinem. Bo ci żyją dłużej, a przynajmniej tyle, ile chcą, a następnie idą do krainy wiecznych łowów, a nie na cmentarz. Koleżka

rodziców, jak się później okazało, zdradził im nasz podróżniczy plan, a ci w trwodze i panice zawitali w rejon Kępy Potockiej, która była smutnym kresem w moim dążeniu do zmiany ojczyzny. Do znajomego rodziców obiecałem nie odzywać się do końca życia, prawdopodobnie jego życia, lecz niestety szybko zapomniałem, który to był, więc przez pomyłkę dane słowo, co niegodne Indianina, mogłem złamać.

O czym nam mówi ta historia? O tym, że rzeczywistość dla niektórych jest za mało panoramiczna. I wolą swoją. Takim byłem dzieckiem.

Tuż przed szkołą zostałem nie wiedzieć czemu posłany na dwa tygodnie do przedszkola adaptacyjnego. Do dziś nie wiem, kto wpadł na ten haniebnny pomysł, ale jeśli miał na celu sprawdzić, kim jestem, to sprawdził.

To trochę tak, jak mi opowiadał aktor Mikołaj Roznerski: „Jak odróżnić krowę od byka? Wystarczy wydoić i sprawdzić, które będzie się uśmiechało w trakcie”.

Taka mnie nasza analogia. Może rodzice w podobny sposób chcieli sprawdzić, jakie mam skłonności. I sprawdzili. Do dziś to pamiętam, bo była to pierwsza tak silna potrzeba dokonania czegoś absolutnie zbędnego.

Otóż pierwszego dnia wspólnych zajęć, kiedy to panie przedszkolanki kazały mi jedną ręką podrzucać piłeczkę, a drugą ją łapać, z czego pewnie wysnuwały wnioski, czy zasiada przed nimi kolejny noblista, podpadł mi nie wiedzieć czemu kolega Maciuś. Maciuś mnie wkurwiał wkurwieniem sześciolatka, niewinnym, abstrakcyjnym i lekko bezradnym. Grymasił, popłakiwał i tęsknił za starymi. Na dodatek wyglądał jak nieudany efekt specjalny z *Hobbita*. Z takimi predyspozycjami w więzieniu nie wytrzymałby tygodnia. Wyglądał na przyszłego lizusa, a nie na gościa, który za kilka lat będzie znał na pamięć wszystkie pseudonimy aktorek porno. Postanowiłem go wyciąć z przedszkola adaptacyjnego, tak jak ruscy wycinają katalizatory. Bez odwołania. Zafundować mu przedszkolną falę. Niech wie zawczasu, że życie to ból. Nie liczyłem się z konsekwencjami, bo wierzyłem, że świat mnie zrozumie i przykłaśnie projektowi eliminacji jednostek wkurwiających. Mama opowiadała mi, że kolega z pracy, terapeuta, trafił onegdaj na pacjentkę, która z dramatyzmem w głosie wyznała podczas sesji: „Mój mąż mnie zdradza. I to od dnia ślubu!”.

A terapeuta na to: „No dobrze. Ale w czym problem?”. Na takie zrozumienie świata liczyłem. W tak zwanej sali zabaw wyfasowałem z kompletu drewnianych klocków klocek rozmiarów największych, przycelowałem w Maciusiową łepetynę i rzuciłem. Zanim klocek dotarł do celu, kucnąłem i wróciłem do wspólnej zabawy z innymi dzieciakami. O tym, że misja zakończyła się sukcesem, dowiedziałem się za sprawą głuchego dźwięku, jaki wynika ze spotkania średniej wielkości drewnianego kłoca z łbem pierdoły. Rozpętało się piekło, bo jakiś nielojalny gnój zakapował mnie u personelu. Zostałem postawiony w kącie, a moja mama wezwana do placówki przedszkolnej. Wtedy, stojąc w kącie, poprzysiągłem sobie zemstę. Zemstę na wszystkich. Co było dalej, już wiecie...

Chodziłem do szkoły podstawowej imienia pana Komarowa, co miał pecha i spadł na ziemię razem ze swoim statkiem kosmicznym Sojuz 1. Podobno tuż przed śmiercią krzyczał: „Zabiliście mnie, dranie”, co wyłapały amerykańskie stacje nasłuchowe w Turcji, ale tego nam nie przekazano. Dzielnym Władimir miał rację, bo wysłano go w gwiazdy w pojeździe z blisko dwustoma usterkami, ale myśmy się wtedy o tym nie uczyli.

Szkoła była dziwna i moim zdaniem też z usterkami. Trochę w myśl zasady: „Połowę życia zabiera ci szkoła, a połowę rodzice”. Suma zer zgromadzonych w jednym miejscu potrafi dać groźną liczbę. To odnośnie zarówno do nauczycieli, jak i do nas, uczniów.

Wydarzeniem przykrym, spontanicznym, ale też wielce symbolicznym było to, co wykonałem na jednej z pierwszych lekcji. Trudno to wyjaśnić. Podobno grecki hymn ma 158 zwrotek, w których wyjaśniona jest miłość Greków do antycznego kraju. Pewnie mnie też zajęłoby to podobną liczbę zwrotek, co razem z refrenami otarłoby się o trylogię. Powiem zatem krótko: zsikałem się na lekcji niestety nieznanego mi przedmiotu. Tak bardzo wstydziłem się pójść do toalety, a właściwie podnieść rękę i zapytać nauczyciela o pozwolenie, że zamiast podnieść rękę, swobodnie podniosłem nogę, rozsunąłem co trzeba i nasikałem pod ławkę. Strumieniem silnym, acz dyskretnym. Koszmar. Na domiar złego, aby zataić miejsce swego występku, by nie powiedzieć: „ustępku”, pamiętam, że na żółtą plamę uryny położyłem tak zwaną bibułę z zeszytu pierwszoklasisty. Ta nasiąkała płynem, zdobiąc parkiet intensywną słoneczną

żółcią. Piękny widok.

To są takie momenty w życiu, o których w programie opowiadał mi Janusz Gajos: „Człowiek nie wie, gdzie kończy się stół, a zaczyna kosmos”. Miałem to samo. Nie wiedziałem, gdzie kończy się klasa, a zaczyna toaleta. I sam do dziś zadaję sobie pytanie, czy było to jakże wymowne olanie szkoły, czy akt niewinnej chłopięcej nieśmiałości.

Był kiedyś w latach dziewięćdziesiątych taki popularny program telewizyjny zatytułowany *Śmiechu warte*. Nie wiem, czy awansowałbym swym happeningiem do ścisłego finału show, ale na pewno wzbudziłbym zainteresowanie jury. Nie da się tego niestety powiedzieć o pedagogach. W *Mam talent* nie wzbudziliby nawet litości Małgosi Foremniak, a to jest naprawdę duża sztuka. Wyczesane towarzystwo.

À propos słowa „wyczesane” i tak zwanej nowoczesnej polszczyzny. Zapytałem pewnego dnia Krzysztofa Zanussiego, reżysera błogosławionego, czy zna współczesny język polski. Odpowiedział, że do pewnego stopnia zna. Co w takim razie znaczy słowo „wyczesany”? A on na to: „No to tylko znam przy koniach... Bo wie pan, z końmi czasami mam do czynienia. Dobrze wyczesany koń to znaczy taki, który...”. Zabroniłem mu kontynuować. Podobnie było ze słowem „kminić”. „Rozumie pan słowo «kminić»? Rozumie pan, kmini?” . Reżyser resztką sił: „Jak pan mówi «rozumiem», to ja rozumiem, jak pan mówi «kmini», to nie rozumiem”. Oto powód, dla którego Zanussi nigdy nie zostanie Vegą.

Pani od języka polskiego otwierała podręcznik od języka polskiego i w języku polskim odczytywała nam jego polską treść. Od słowa do słowa. Jak ktoś inny napisał. Taka była przekonana, że to wystarczy. Jak się później okazało, była to dosyć powszechna metoda pedagogiczna tamtych czasów. Była piękna taką urodą nieoczywistą jak z opowieści typu „chłopiec do dziewczyny”:

– Mówił ci dziś ktoś, że jesteś piękna?

Ona na to:

– Nie.

On:

– Może jutro się poszczęści.

Człowiek, który uczył rosyjskiego, ciągnął za sobą welon formaliny, nosił

mole po kieszeniach i kazał śpiewać. Wyglądał, jakby codziennie był gotowy do własnego pochówku. Każdą lekcję zaczynał od zaśpiewania piosenki o tym, że właśnie zaczyna się lekcja języka rosyjskiego. Był Rosjaninem, więc nie poszukiwaliśmy w jego działaniach logiki. To między innymi dzięki silnemu współczuciu dla tego staruszka postanowiłem nie przyswajać sobie jego mowy ojczystej, wiedząc, że mogę ją okrutnie skrzywdzić swym nastawieniem. I tak rosyjski został pierwszym i nie ostatnim językiem obcym, którego nie opanowałem w miarę przyzwoicie. O szczegółach opowiem wam później. O specyficznej przydatności tego faktu miałem się najdobitniej przekonać, odwiedzając wiele lat później elegancką Brukselę, w której czarny pan taksówkarz z Afryki zapytał mnie bardzo niedoskonałą angielszczyzną, czy chcę rozmawiać po niemiecku, niderlandzku czy francusku. Po czym dodał, że on uprzedza mnie od razu, że tak żeby zrozumieć, to on zna tylko rosyjski. Można?

Nauczyciel od WF-u, o urodzie nieco bardziej wyprostowanego Stephena Hawkinga, wszystkich niećwiczących angażował do rozplątywania starych siatek z bramek i robienia z nich sznurka. Ot, taki mały zakład prząsniczy na zapleczu sali. Gwarancją oceny dostatecznej z kultury fizycznej była odpowiednia ilość odzyskanej, jak mawiał magister kultury fizycznej, „substancji ciągłej”. Bez pocenia się i przywdziewania kusych spodenek. Gdy liczba rozsypujących to, co poplątane, znacznie przewyższyła liczbę turlających piłkę lekarską, z jego procederu zostały nici.

Mnie zresztą lubił, bo kiedyś całkowicie przypadkowo trafiłem w jego czuły punkt. Po prostu stwierdziłem, że ulubionym sportem Palestyńczyków jest kamienowanie izraelskich żołnierzy. Jako etatowy wyznawca idei, że Żydzi są albo podli, albo sprytni, z uśmiechem przepychał mnie do następnej klasy. Miał jeszcze jedną dosyć popularną wśród kadry pedagogicznej tamtego czasu cechę. Uważał, że abstynent to człowiek niepociągający, a on bardzo chciał być lubiany.

Pan od biologii miał pseudonim „Plemniki” i patrząc na niego, aż trudno było dać wiarę, że powstał z najzwinniejszego plemnika swego ojca. Po stanie jego uzębienia widać było, że lubił twarde narkotyki. Lubiał też zmuszać nas do myślenia. Na przykład mówił: „Czy wiecie, że u kobiet podczas okresu kurczy się środkowy palec u dłoni? Nikt nie wie dlaczego. Pomyślcie o tym”. I tłum bezmyślnych głów starał się myślowo rozsypać ten fenomen. Albo z innej beczki zagajał: „Przeciętny człowiek pierdzi szesnaście razy dziennie. Pomyślcie

o tym”. No i my, spinając pośladki, myśleliśmy.

Już wtedy opatentowałem niezwykłą umiejętność unikania niepotrzebnego stresu generowanego przez tak zwane odpytywanie.

Kiedy tylko padało na lekcji moje nazwisko, wstawałem i niczym piłkarz Fàbregas po udawanym faulu chowałem twarz w dłoniach, cierpiąc. To powinien być Oscar za najlepszą pierwszoplanową rolę kobiecą. Nie było nauczyciela, który by się na to nie nabrał. Już wtedy czułem, że mój talent w tej zgrzebnej instytucji ewidentnie się marnuje. Potem opatentowałem sposób jeszcze bardziej wyrazisty. Nazywałem to „hamowaniem silnikiem”. Po prostu bez względu na to, o co byłem pytany, mówiłem wszystko, co tylko wiedziałem o życiu. Wszystko. Totalne odłączenie napędu od silnika. Czyli języka od umysłu. Robiło to tak piorunujące wrażenie na pedagogach, że zwykle przez pierwszy kwadrans wytrzeszczali oczy, a następnie puszczali mnie wolno.

Moim popisowym numerem, godnym miana monodramu, były pytania z lektur. Jak powszechnie wiadomo, szkoła powszechna nie błyszczała fantazją literacką i kazała nam rozwijać wyobraźnię na podstawie tak fascynujących dzieł jak *Łysek z pokładu Idy*, *Silaczka* czy romantycznie zatytułowana *Nasza szkapą*. Zatopiony ze swym młodzieńczym głodem w całkowicie innych pozycjach, w których prym wiodła Michalina Wisłocka i jej bogato ilustrowany podręcznik, zwykle nie znajdowałem czasu na zapoznanie się z zapewne atrakcyjną zawartością książki o koniu, co pracował w śląskiej kopalni, podejmując tę zgubną dla siebie decyzję zapewne pod nie mniej zgubnym wpływem metanu. Ja zapoznawałem się ze spisem treści dzieła, który, jak wymyślił jakiś nieroztropny literat, zwykle wieńczy całość, i w związku z nader rozwiniętą tak zwaną wyobraźnią kreatywną oraz kontrolą poznawczą, zapytany o refleksje wynikające ze znajomości treści, wypływałem na tak zwane szerokie wody interpretacji. I tak weźmy klasyczną lekturę o niedostosowanym głupku zatytułowaną dość nobliwie *Ten obcy*. Spis treści przynosi wystarczająco pojemne hasła: 1. Obcy się zjawia, 2. We dwoje, 3. Odrzucona pomoc, 4. Rana krwawi, 5. Radość i cień, 6. Wyprawa na rowerach, 7. Napaść, 8. Zaskoczeni – i tym podobne kamienie milowe w kierunku literackiego Nobla. I ja pytany o szczegóły przeplatałem frazy niczym Miles Davis w najlepszym okresie. „Pojawienie się naszego wyobcowanego (stąd też tytuł książki) bohatera było zaskoczeniem zarówno dla niego, jak i jego nowych przyjaciół. Momentem

przełomowym w tej nowo rodzącej się przyjaźni była wspólna wyprawa na rowerach, co jak wiemy, służy zdrowiu oraz ludzkiemu zbliżeniu. Niestety napaść o tyle niespodziewana, co całkowicie haniebna i niegodna żadnej klasyfikacji moralnej, tylko upewniła naszego wyobcowanego bohatera, że życie przeplata swe smaki od radości po cierń. Bo on wiedział od początku książki, że gdyby odrzucił pomoc swoich nowych przyjaciół z rowerami, na których potem jeździli już wszyscy, to miałby później mniej kłopotów”. Oklaski i kurtyna. A jak mawiał klasyk, wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy, więc ja postawiłem na tę pierwszą. Nie było nauczyciela, który by tego nie łyknął. Wystarczyło mówić tak gęsto, żeby nie dawać mu szansy na wątpliwości tudzież dodatkowe pytania.

Zawsze lubiłem swobodę w konwersacji oraz pewną nutkę dowolności. Kiedyś odwiedził mnie Tomasz Lis, znany znieawidzony już prawie nie-Polak. Mówię do Tomka:

– Chciałem z tobą porozmawiać o dwóch bardzo ważnych rzeczach. O tym, o czym w tym programie rozmawiamy, chociaż nie wszyscy to rozumieją. O ojczyźnie i o dupach. Możesz wybrać, co wolisz.

– Ale... do rozmowy? – dopytuje mój interlokutor.

– Tak, do rozmowy. Ojczyzna czy dupy?

Lis bez wahania wybiera:

– Ojczyzna.

Ja na to:

– Fajne mamy dupy w ojczyźnie, nieprawdaż?

To samo dotyczyło historii. Wystarczy nauczyć się co drugiego króla w *Poczie królów polskich*, ewentualnie co trzeciego powstania śląskiego i jesteś, bracie, gotów do batalii ze światem. Pan Zdunek, magister historii i autor córki nimfomanki, wrywa cię znieacka do odpowiedzi o drastycznym oczekiwaniu: „Jak wyglądała polityka zagraniczna Bolesława Pobożnego?”, a ty na luziku, z nonszalancją Bogusława Wołoszańskiego, który ma w małym paluszku wszystkie sensacje każdego wieku, odpowiadasz: „On jak on, ale jego poprzednik Bolesław Wstydlivy! Ten to dopiero lubił dołożyć do pieca...”. I swobodnie dryfujesz, kreśląc tło i wyznaczając nową jakość w interpretacji

dziejów.

Nie ma co ukrywać, że podobne zabiegi stosowane przez cały okres szkolny mogą się okazać ryzykowne, do którego to wniosku zresztą doprowadziło mnie spotkanie z Danusią, koleżanką z podstawówki, parę lat później. Stwierdziła, że pali tylko, cytując: „woże mentol”, czyli vogue’i mentolowe, a lody to zawsze „Grykejn”. Chyba sami wiecie jakie. Choć i w tym przebił mnie kiedyś Xawery Żuławski, opowiadając, że gdy zapytał w sklepie spożywczym, czy jest rukola, pani ekspedientka z troską odparła: „Niestety, jest tylko cola light”.

Z tak zwanej szkoły podstawowej, która moim zdaniem nie wyposażyła mnie nawet w wiedzę przedpodstawową, pamiętam jeszcze epizod, który do dziś interpretuję jako dowód swego podskórnego, intuicyjnego antykomunizmu.

Otóż chyba w klasie piątej pojawiło się widmo obowiązkowej nauki języka naszego ówczesnego okupanta. Najwyraźniej moja młodzieńcza, pełna dorodnej fantazji głowa uznała, że każdy dodatkowy przedmiot jest ewidentną egzekucją na mej młodości, i uznałem, że ominę go przewybornym trikiem. Po prostu przestałem pojawiać się na zajęciach języka rosyjskiego. Ustaliłem sam ze sobą, że będę odwiedzał je rzadko, ale za to regularnie. Proste, a urokliwie przemysłne. Wszyscy szli na ruska, a ja szedłem na spacer do wolnego świata.

Pamiętam jak ciocia Celina, siostra mej babci, po kilku imieninowych kieliszkach podsumowała mój ówczesny celujący życiorys. „Z Kubusia będzie wielki artysta kiedyś. Co prawda jeszcze nie gra, nie maluje, nawet nie rzeźbi, ale już jest wystarczająco pierdolnięty”. I chyba była to prawdziwa diagnoza.

Niestety wtedy też ukształtowało się we mnie niezłomne podejście do każdego języka obcego, bo jak później miała pokazać historia, uczyłem się ich kilku, a efekty były podobne do tych z rosyjskiego.

Kiedyś na jakiejś brawurowej imprezie moje koleżanki zaczęły bawić się we frapującą grę pod tytułem „Opisz swoje cycki tytułem filmu”. Wygrała ta, która rzuciła tytuł *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*. I taki też jest mój stan znajomości języków zagranicznych w wieku 55 lat.

Ale wracając do szkoły. Dochodziły mnie melancholijne opowieści moich kolegów, że za edukację bolszewicką miał odpowiadać jegomość o nazwisku Moryc. Później rozniosła się po placówce złowroga wiadomość, że Moryc to może być także jego imię. Do dziś nie rozwikłałem tej ambarasującej tajemnicy.

Moryc był dziarskim staruszkiem, który nie wiadomo czemu każdą lekcję zaczynał od zalecania gimnastyki ruchowej powierzonej mu młodzieży. Ażeby dopełnić koszmaru tego obrazu, kazał jej w tym samym czasie wykonywać utwór ze słowami mniej więcej: „Naczynajetsa urok ruskawa jazykaaaa”, co ni mniej, ni więcej znaczyło tyle, że właśnie oto zaczynamy lekcję języka rosyjskiego. Piorunująca konsekwencja intelektualna na poziomie kucyka. Potem przechodził do repertuaru bardziej patriotycznego i intonował: „My z krasnymi fłaszki idiom guliat”... Reszty nie pamiętam, ale było to coś pomiędzy wczesnym Norbim a późnym, sprężystym w słowach Wiśniewskim. Pan od języka wschodniego niestety powoli popadał we wszystkie symptomy wieku starczego, zwanego też bardziej dyplomatycznie wiekiem sędziwym. Podstawowym był zauważalny spadek zdolności adaptacyjnych w wymiarze biologicznym i psychospołecznym. Mówiąc językiem zrozumiałym dla każdego przeciętnego pseudokibica: Moryc nie kumał, gdzie jest i co robi. Jest taki termin medyczny zwany „starczą nadkwaśnością” i nasz pedagog miał jej w nadmiarze. Potrafił tygodniami przerabiać te same teksty i wypracowania, za nic mając uwagi działwy, że to już było. Moryc jak każdy staruszek był nieufny i złośliwy i jak ktoś mu podpadł, to tak długo odpytywał delikwenta, aż trafił na coś, czego tamten z języka Dostojewskiego i Turgieniewa nie wiedział, i zaduszał go z satysfakcją swymi kościstymi dłońmi. Mało tego. Jak ktoś się wybitnie rwał do odpowiedzi, to nasz dziadzio ostentacyjnie go lekceważył, by w finale nonszalancko zagaić wyrafinowanym pytaniem: „A ty co?”. Jak delikwent zdążył się wytłumaczyć, że chciał odpowiedzieć, bo przypadkowo zna odpowiedź, to nasz pedagog z piekła rodem miał w zwyczaju mawiać: „Jak wiesz, to *charaszo*. Usiądź zatem cicho i poczekaj, aż ci przejdzie”. Lubił też opowiadać o sobie i swej leninowskiej rodzinie. Były to powieści pozbawione logiki, za to z nadmiarem trwogi. Mawiał na przykład: „Wiele zawdzięczam swoim rodzicom. Zwłaszcza mamie i tacie”. Albo: „Mój kolega Pasza z Leningradu mówi do mnie: Moryc, ty wpadnij do mnie dziś wieczorem, nikogo nie będzie. No i ja wpadałem. I rzeczywiście nikogo nie było”. Przechwalał się, że w młodości był mistrzem w dyscyplinie zwanej dziarsko „pionierball”, a była to ich własna wersja siatkówki. Wymyślili to w latach trzydziestych na fali socjalistycznego wymyślania świata na nowo. Zasadniczą cechą tej gry, odróżniającą ją od tradycyjnej siatkówki, było to, że piłkę można

złapać w ręce. Najważniejsze, zdaniem naszego mentora, było to, że w tej dyscyplinie nie było przegranych. Bo jak komuś źle szło, to brał piłkę we własne ręce, a wraz z nią losy meczu, i zwiewał z boiska. Tym samym nikt nie przegrywał. Mówi się, że Rosja to nie kraj, tylko stan umysłu. Moryc był tego dowodem.

Niestety mój niecny proceder zanizania frekwencji został po kilku miesiącach wytropiony zarówno przez dyrekcję, jak i moich rodziców, przez co zostałem zmuszony do złożenia uroczystego ślubowania, że podejmę naukę języka Wschodu. Jednak osobnik o nicku Moryc do tego stopnia był nieetyczny oraz łachudrowaty, że kiedy się dowiedział, że zasile jego bełkoczące cyrylicą stado – umarł. Nagle. Z dnia na dzień. Mówi się, że Rosjanie to naród gościnnie i otwarty, rozśpiewany i chętny do wspólnego wykonywania dumki na dwa głosy, a miał to wszystko w dupie i zamienił swe ciało pedagogiczne w ciało martwe.

Dopełnieniem mego pecha było to, że następczynią Moryca została caryca Katarzyna II. Przynajmniej mentalnie. Miała na nazwisko pani Nowak, a słowo „pani” piszę z lękiem i szacunkiem tym lękiem wywołanym. Bo to trochę jakbym się bał, że ją urażę i ona tym urażeniem przywołana powróci do mojej biografii i mnie zdradziecko napadnie.

Była tak brutalnym i ciemnym doświadczeniem, że do dziś nie pamiętam jej imienia. Wyparłem je ze strachu. Nowak była oprawczynią i sadystką. Nie powinna być pedagogiem, tylko jednoosobowym plutonem egzekucyjnym. Jedyne miejsce, gdzie powinna przejść w swoim życiu, to spam.

Jest taka anegdota: na cmentarzu spotykają się dwie panie w woalkach. Jedna pyta drugą: „Pani też wdowa?”. A tamta odpowiada: „Nie, po prostu brzydka jestem”. I tą drugą była pedagog Nowak. Moje pierwsze z nią spotkanie było niczym bitwa pod Olszynką Grochowską. Wszystkim tumanom historycznym przypomnę – to była najbardziej krwawa potyczka powstania listopadowego.

Specyfiką ostatnich klas szkoły podstawowej jest rytuał jarania papierosów w kiblu. Taka tradycja wystawiania swych nieletnich organizmów na dubeltowe działanie smrodu. Zachowywana była przy tym pewna elegancja oraz hierarchia. Koledzy z klas siódmych oraz ósmych jarali i zaciągali się substancjami smolistymi, a my, kadra młodsza, robiliśmy za widownię oraz

ochronę. Niestety relaksujące i uduchowione konwersacje przy nikotynie były często przerywane przez niezapowiedziane inspekcje naszych bakalarzy. Jeśli jakiś małolat zbyt słuchał się w interlokucje starszych kolegów lub przysnął otumaniony machorkowym ciągiem, taki najazd mógł być rzeczywiście nagły i niespodziewany. I tak właśnie poznałem radziecką namiestniczkę w naszej szkole, czyli właśnie lady Nowak. Wpadła do toalety jak grzechotnik i pierwszą osobą, którą napotkała na swej drodze, byłem ja. „Nu, mam ja was – zasyczała przez zęby. – Dawaj ty mnie swoje nazwisko”. Jako człowiek młody jeszcze umysłem oraz ciałem już wyznawałem zasadę, że w życiu nie należy mieć problemów, tylko przygody, więc wypaliłem bez namysłu: „Konrad Wallenrod”. Są rzeczy na ziemi, które podobno nie śniły się filozofom. Olimpiada w Soczi, intelekt Beaty Mazurek czy kariera Norbiego. Nowak była jedną z nich. Wyjęła swój pedagogiczny kajet i zapisała, zapewne cyrylicą, moje dane osobowe. Potem przez kilka dni z tak zwanego pokoju nauczycielskiego dochodził zgodny rechot koleżanek i kolegów nauczycieli, że Nowak przyszła i zadenuncjowała niejakiego „Wallenroda Konrada”, który stał na czatach, osłaniając palących nikczemników.

Kojarzycie taką dziwną sytuację w operze, że facet trafiony nożem zamiast krwawić i paść trupem, zaczyna śpiewać? To byłem ja. Szykowało się moje libretto łabędziego śpiewu. W ten sposób, jednym literackim żartem, wykopałem sobie pachnący świeżą ziemią grób.

Jako że moja absencja na lekcjach sięgała kilku miesięcy, w żaden sposób nie przyswoiłem pisania sowieckich liter, zwanych bukwami. A naród rosyjski w słowniku wykazał fantazję nie mniejszą niż w alkoholu i powymyślał wszystko po swojemu. Zaczyna się zmyłkowo podobnie do naszego, ludzkiego: A, potem jest B i nagle, nie wiadomo dlaczego, ktoś jebnął niczym z krążownika Aurora i jako trzecią literę wstawił W, a żeby było prościej, tę literę W pisało się jak nasze polskie B. I tego już wybaczyć im nie mogłem. Tak jak nie wybacza się im rozbiorów, 17 września, Katynia, no i ostatnio Smoleńska. A co. Mało tego: litery pisane są w pokrętny sposób, inne od liter drukowanych, więc trudno to pojąć zmęczonym umysłem piątoklasisty.

Chcąc nadrobić zaległości, pożyczyłem od mojego kolegi Artura K., prymusa klasowego, zeszyt i jałem przepisywać te bukwki połączone w wyrazy, a te dalej poukładane w zdania. Nie miałem pojęcia, co piszę, odtwarzałem po prostu

bolszewicką fantazję zwaną, nie wiedzieć czemu, grażdanką.

Kiedy zawitałem na lekcję, pani Nowak, widząc, że ma na sali tortur kogoś nowego, wezwała mnie do tablicy. Nie byłem przyzwyczajony do takiego klimatu zarządzania strachem rodem z *Jednego dnia Iwana Denisowicza*. Jak tylko otworzyła tak zwany dziennik i zaczęła mruczeć pod nosem: „Nuuu da, nuu da” (co podobno w ichniejszym narzeczu znaczy: „No tak, no tak”), miałem przed oczami podstępnych Sowietów, którzy z takimi samymi słowami majstrują przy silnikach samolotu Sikorskiego. A więc kiedy ona powtarzała tę swoją mantrę, w klasie dwadzieścia parę młodych organizmów przestawało oddychać. Było jak w *Jeden z dziesięciu*, kiedy Tadeusz Sznuć zadaje pytanie, na które nikt nie zna odpowiedzi. Zapadała taka cisza, że można było usłyszeć, jak patron szkoły, pułkownik Władimir Komarow, dwukrotny bohater Związku Radzieckiego, poci się ze strachu w kapsule swojego statku. Kiedy wreszcie padało nazwisko wybrańca, który za chwilę miał być poddany syberyjskim torturom, reszta klasy łapała oddech jak tonący, któremu udało się wychylić głowę z kipieli.

Na jej zajęciach nie chodziło się do odpowiedzi. Na jej zajęciach szło się na egzekucję na warszawską cytadelę. Podobno planem carycy Katarzyny było to, by – cytuję: „Polskę zgnębić na zawsze”. Planem pani Nowak było to samo, tylko na młodszej części populacji.

Usłyszałem zatem swoje nazwisko. Wymawiała to specyficznie: „naźwisko”. „Naźwisko Wojewódzki” – słyszę. Klasa więc zaczyna konsumować powietrze. Oni już wiedzą, że ten dół dziś nie został wykopany dla nich. Przestają odmawiać różaniec oraz popuszczają nerwowo mocz. Ja wstaję i idę. Jeśli chodzi o przedmiot nauczania, czyli język rosyjski, to ja nawet nie wiem, czego nie wiem. Jestem językowo czysty jak prześcieradło księdza. Nerwowo żuję gumę. Moja oprawczyni to zauważa. Bierze ode mnie zeszyt, otwiera go, widzi szereg bezkształtnych sowieckich liter, których bezład i niedoskonałość są jawnym atakiem na Związek Radziecki. Drze mój zeszyt na dwie połowy. Każe mi następnie wypluć gumę na ziemię, przydeptać butem, a potem podnieść i znowu włożyć do ust. W klasie cisza jak po egzekucji rotmistrza Pileckiego. Powoli, z blazą charakterystyczną dla Johna Wayne’a, podnoszę gumę z podłogi i patrząc Dzierżyńskiemu w spódnicę prosto w oczy, powoli wrzucam do kosza na śmieci. Następnie odwracam się na pięcie i wychodzę z klasy. Kumacie siłę symboliczną zdarzenia? To tak, jakbym sam, jednoosobowo, opuścił Układ

Warszawski.

Oczywiście w moim życiu pojawili się „kumple z podstawówki”. Najbardziej wierna odmiana kumpli.

Nie wiem czemu, ale od najmłodszych lat bałem się słowa „przyjaciół” i chyba nikogo tak nie nazywałem. Przyjaciele są jak gwiazdy na niebie albo hemoroidy. Nawet jak tracisz z nimi kontakt, to jednak czujesz, że oni gdzieś są i pamiętają o tobie. Ja byłem zawsze zbyt skromny, żeby zmuszać innych do myślenia o sobie.

Z kilkoma kumplami mam kontakt do dziś, co ewidentnie skłania mnie do działań cenzorskich. Piotr, Artur, Darek, Maciek i Darek, ale inny.

Był też Wiesio. Chłopiec o twarzy nietypowej, bo oczy miał rozstawione tak daleko, że wyglądało to, jakby się ze sobą pokłóciły. Miał tak nieokreśloną stylistykę twarzy, że gdyby położyć go w oknie życia, to do dziś nikt by go stamtąd nie zabrał. Matka Wiesia zawodowo zajmowała się tym, że grała w totka, i zawsze wiedzieliśmy, kiedy trafiała trójkę. Wiesio miał wtedy na twarzy szarość typową dla człowieka śpiącego na klatce schodowej bez piżamy. Trafiona mama świętowała z kolegami z pracy trafienie. Wiesio był emigrantem z Nowej Huty i słyszał z tego, iż uparcie twierdził, że Kraków to nic innego jak nowohucka starówka. Trzydzieści lat później poznałem modelkę, która uparcie twierdziła, że wuwuzela to kraj w Ameryce Południowej, a Posejdon to bóg surferów.

Tata Wiesia chwilowo był nieobecny, gdyż, jak to pisał Süskind w *Pachnidle*: „Nie minęło wiele czasu, a Grenouille stał się specjalistą w dziedzinie destylacji”. Był to pan o prostej metodologii życiowej. Jego *credo* można porównać do słynnego cytatu z *Drogówki* Wojtka Smarzowskiego: „Jebłem ci, to ci jebłem. Nie draż”. Niestety sąsiedzi wyczuli tatowe pismo nosem i donieśli na eksperymentatora, i teraz Wiesio musiał odrabiać lekcje sam. Łącznie z chemią, w której tak praktycznie mieszał jego opiekun. Jak sam mówił wtedy rodzinie: „Chwilowo zjeżdżam do zajezdni”. Podobno wiele lat później ojciec starał się opatentować możliwość otrzymywania oleju napędowego ze słomy, ale mu kumple wyperswadowali, że to się nie przyjmie ze względu na historycznie uwarunkowane zapotrzebowanie wkładania surowca do obuwia.

Pamiętam kłopotliwe zabiegi pedagogów, gdy nadchodził czas wywiadówki. Nauczycielka pytała chłopaka o odcieniu twarzy lamperii w zakładzie karnym: „A od ciebie kto będzie?”. On milczał jak Irena Iłakowiczowa na przesłuchaniach. „Ojciec?” – nienawistnie brnęła. On milczał. „Matka?”. Wtedy zatroskane oblicze ucznia błysnęło jasnością i z dumą zaproponował: „Matkę mogę przynieść”.

Taki był ten Wiesio.

Gdy patrzę na nich z perspektywy, myślę jak o pogodnych idiotach. Jeden zbierał maskotki, drugi szklane kulki, a trzeci wybrał najgorzej.

On się dobrze uczył. Niestety los posadził mnie w pierwszej klasie obok tego ostatniego. Plan, by kopiować od niego wszystko jak leci, opłacił się tylko na początku szkoły. Później, przy takim procederze, nawet nauczyciel w szkole podstawowej, zwanej czasami powszechną, zorientuje się, że ktoś robi z niego głupka.

Już wtedy po pierwszych doświadczeniach z pedagogami byłem wyznawcą odważnej tezy, że dla nauczycieli WF-u, polityków prawicy i idiotów należałoby wymyślić jakiś trudniejszy sposób rozmnażania.

Była w tej szkole także moja pierwsza fantazja seksualna, oczywiście na miarę zarówno mego wieku, jak i tragizmu patrona. Miała na imię *nomen omen* Katarzyna i była córką szkolnej woźnej. Jak widać, moją biografię erotyczną kształtowało głównie potomstwo osób zawodowo zajmujących się sprzątnięciem, co pewnie też nie było bez wpływu na to, kim jestem dziś.

Fascynacja dotyczyła nie tylko mnie. Amatorów na nią było wielu.

Katarzyna była niczym dziewczyna z plakatu „Bravo Girl”. Miała rozwiane włosy i w podobnym stanie uzębienie. Ale to nam nie przeszkadzało. Jej obraz dręczył nas zarówno po szkole, jak i na lekcjach. Niestety, dotkliwie, a i zauważalne było to również podczas wuefu. Podławkowe wypadki na historii to jedno, ale każdy, kto próbował skakać przez kozła z nieporadnie ukrytą w zielonych spodenkach młodzieńczą erekcją, wie, o czym mówię. Gdyby ten kozioł mógł mówić... Beknęlibyśmy za to wszyscy. Dlatego też byłem liderem w produkcji powrozu dla wuefisty rodem z pasmanterii.

Szkoła ośmioklasowa wmurowała się kamieniem węgielnym w moją biografię przede wszystkim z jednego powodu. Tak zwanego pierwszego razu.

Miała na imię Anna, siedziała kilka ławek dalej i ku memu przerażeniu miała już doświadczenie i ciągłą ochotę. Była ciekawą postacią również intelektualnie. Potrafiła na przykład wyznaczyć: „Dziewięćdziesiąt procent z nas na pewno umrze”. Niestety nigdy nie sprecyzowała, gdzie podzieje się pominięte dziesięć procent. Albo zagajała promiennie: „Jak umrę, to chciałabym zostawić po sobie zwłoki tak piękne, żeby chciało się z nimi rozmawiać”.

Radosne dziewczę.

Sam nie wiem, jak to się stało, ale pojechaliśmy po lekcjach do niej na Sadybę. Nigdy wcześniej ani nigdy później tam nie byłem. Ani w niej, ani u niej. Jak znam siebie, to w celu podreperowania swego nikczemnego wyglądu chłystka oraz dodatkowo w celach marketingowych udawałem seksualnego Kaligulę. Czysta rozpacz. Do dziś pamiętam jej pytanie: „Pewnie byś chciał, żebym koło ciebie usiadła?”. Mowa. To tak, jakbyś bezrobotnemu z Bronksu zadał pytanie: „Masz może ochotę na hamburgera i frytki do tego?”. „Tak!!!” – pomyślałem oczywiście, ale nie zdołałem wydusić z siebie nawet pół rzeczownika z czasownikiem.

Całość trwała dobre, wyrafinowane półtorej minuty. Dziewięćdziesiąt sekund i nagle wszyscy moi koledzy stali się tacy dziecinni w tym swoim nieokiełznanym samogwałcie. W tym konwulsyjnym kartkowaniu po kiblach poślinionego „Playboya”. W tych niekontrolowanych erekcjach. Bo oto naprzeciwko nich stanął prawdziwy mężczyzna. Stał w czarnych skarpetkach i w dumnym poczuciu posiadania dziewięćdziesięciosekundowego doświadczenia z kobietami. Byłem Billem Gatesem *ars amandi*. Niczym Jurij Gagarin. On wystartował w kosmos jako porucznik, a wylądował jako major. Jego historyczny lot trwał niecałe dwie godziny. Mój – niecałe dwie minuty. Mogłem krzyczeć, mogłem nauczać, mogłem wrócić do domu i popatrzeć na wszystko jak facet. Był rok 1977, według kalendarza chińskiego – rok węża. Czyli jak najbardziej w temacie. Sex Pistols wyrzygali się właśnie na fornirowany blat wszechobecnej muzyki disco, Bob Marley majstruje *Exodus*, album obwołany przez magazyn „Time”, najlepszym muzycznym dziełem człowieka dwudziestego wieku, a ja zaliczam swą pierwszą wyprawę wewnątrzpochwową.

Kasia Wilk miała w swoim dorobku numer *Pierwszy raz*. Śpiewała tam: „Modłę się, kiedy wstanie i sprawi cud dla ciebie”. Nie wiem, o czym to było, ale

tak było u mnie. Wstał i sprawił cud. Dla mnie. Aniu, dzięki.

Zbyszek Cybulski miał czasem wspominać, że kiedyś obudził się pijany w łóżku obok Brigitte Bardot. Nie pamiętając, czy do czegoś doszło, czy też nie. Rozpoznanie utrudniał też fakt, że jedyną częścią garderoby, jakiej nie miał na sobie, były buty.

Moim największym łóżkowym koszmarem było obudzenie się w Sopocie obok Ani Męczyńskiej i Sławka Blaszewskiego. W jednym łóżku. Oboje są dziś znanymi stylistami, jednak nie można było wówczas powiedzieć czegokolwiek stylowego o ich garderobie.

Sławomir miał na sobie garnitur ewidentnie zwinięty z planu *Ojca chrzestnego* i nonszalancko opuszczone spodnie aż do efektownych lakierok. Pomiędzy kolanami a pępkiem nie stwierdziłem obecności żadnej powszechnie znanej formy odzieży. Ania była odziana tylko w tuszę, a w tej materii był to jej rekordowy wynik. I ja pośrodku. To trochę jak z tym pytaniem: „Jakbyś miał wybrać pomiędzy milionem dolarów a całkowitym pokojem na świecie, to jakie auto byś sobie kupił?”. Ja tego ranka modliłem się w duszy, by z tej sytuacji wyjść tylko z twarzą.

Żeby nieco podreperować mój wizerunek całkowitego lingwistycznego tumana, warto wspomnieć moją historyczną inicjatywę, aby w klasie piątej zapisać się na nieobowiązkowy język niemiecki. Zresztą nie ma co podkreślać, że nieobowiązkowy, bo jaki miał być język kolesi, którzy świergolili w tym właśnie narzeczu, gdy wyjmowali oczy Jurandowi ze Spsychowa. Tym podłym systemem znaków posługiwał się nauczyciel Scholzchen, gdy wymierzał karę cielesną dzieciątkom z Wrześni. W tej podłej mowie wykrzykiwał łachudrowate oznaki satysfakcji niejaki Gerd Müller, strzelając na mundialu w 1974 roku faszystowskiego gola w meczu Polska–Niemcy. Wychodząc z założenia: „chcesz zniszczyć wroga, musisz go najprzód poznać” (nie wiem, czy istnieje słowo „najprzód” w języku polskim. W niemieckim istnieje na bank, w tym języku istnieje wszystko), przystąpiłem do nauki germańskiego.

Pani od mowy narodowo-socjalistycznej była miła, młoda i bardzo przejmująca się społecznie. Minę miała wiecznie zatroskaną, jakby codzienne zmagania z życiem zaczynała od rozstrzygnięcia dylematu, co lepiej mieć:

wewnętrzny krwotok czy połamane kości. Gdy zobaczyła, że zimą popylam w letnim obuwiu sportowym zwanym dalej trampkami, zadała mi pełne trwogi pytanie, czy mam jakąkolwiek opiekę w domu. Niby Niemka, a jaka wrażliwa. W swej pseudobawarskiej, przepojonej luksusem głowie nie przyjmowała do wiadomości faktu, że żyjemy w czasach, w których rarytas gumowany biały, produkowany przez firmę Stomil, jest dla młodego człowieka tak atrakcyjny, że nosi się go wtedy, gdy jest dostępny na rynku, a nie wtedy, gdy pozwala na to pogoda.

Byłem pierwszym nieuświadomionym trendsetterem oraz influencerem modowym PRL-u. Pierwszy raz usłyszałem, że się dobrze ubieram, w pierwszej klasie liceum ogólnokształcącego o profilu humanistycznym. Wdałem się w erotyczny wrestling ze swoją koleżanką, gdy nagle jej opiekunowie wrócili wcześniej z kina, w którym polsko-sowiecka kooperacja dokonała rytualnego mordu na dziele Lema, wydając z siebie *Test pilota Pirxa*. Pomiedzy włożeniem klucza w zamek a przywróceniem na siebie kompletu garderoby minęło chyba dwanaście sekund. I wtedy ona powiedziała: „Dobrze się ubierasz”. Niemka najpewniej kombinowała inaczej. Pewnie gdybym zamarzył gdzieś na linii szkoła–dom, biorąc bohatersko przykład z jej kumpli spod Stalingradu, toby mi pierwsza te trampki zdjęła.

Szkoda że nikt mi nie wytłumaczył, na czym polega nauczanie języków innych od tego, co go już wcześniej znałem. Byłem święcie przekonany, że jak pilnie uczęszczam na zajęcia i powtarzam to, co pani nam kazała, to jest to w prostej drodze sposób do przyswojenia języka erefenu. Gdy tylko z zajęć wychodziłem, język ten wychodził mi jednak z głowy. Niestety owocowało to sytuacjami bliskimi operetce, która, jak wiadomo, posiada dialogi mówione oraz komediową akcję. U mnie mniej było tego pierwszego, co nadrabiałem drugim. Gdy tylko nauczycielka zadawała mi jakieś pytanie po niemiecku, a nie wiadomo dlaczego w tym języku prowadzone były całe zajęcia, ja popadałem w zadumę, wydobywając z siebie tylko monotonne „yyyyyyyyyyyyyyyyy”. Gdy taka odpowiedź jej nie satysfakcjonowała i przerywając mi brutalnie, zadawała pytanie pomocnicze, ja wchodziłem na dużo wyższe obroty, zamieniając dyskretne „yyyyyyyyy” w świadome i pewne „YYYYYYYYYYYYY”. To było arcydzieło. Moje prawie niemieckie *pianissimo* zamieniało się w dumne germańskie *fortissimo*. Rzecz moim zdaniem godna docenienia i nagrody. Może

nie od razu Krzyż Walecznych, ale Krzyż Żelazny to na bank. Po niemiecku – *auf der Bank*.

Efekt jest taki, że do dziś pamiętam tylko fragment piosenki brzmiący: *Weiß weiß weiß sind alle meine Kleider*, co podobno znaczy, że wszystkie moje sukienki są białe. Fraza zasługująca na chwilę zadumy.

Ciekawym elementem mej biografii psychiatryczno-seksualnej była wyprowadzka z dzielnej ceglanej robotniczej Woli na plac Na Rozdrożu w samym centrum centrum. To było gdzieś koło piątej albo szóstej klasy. Niestety odnalezienie w pamięci precyzyjnych dat jest zadaniem niewykonalnym, gdyż szkoła, jak więzienie, stawiała się dla mnie mglistym wspomnieniem miejsca kaźni, tracenia czasu oraz obcowania z ludźmi bez wyobraźni. Kogoś, kto siedzi w pierdłu osiem lat, nie pyta się: „Co robiłeś dwa lata temu w czwartek?”. Wiadomo, co robił. Albo gwałcił, albo był gwałcony.

Na skutek awansu cywilizacyjnego, jakim był transfer do Śródmieścia, trafiłem do szkoły imienia jakiegoś pana, co nauczał innych dawno. To był szok innego rodzaju. I nie chodzi mi o patrona, który nigdy nie wystartował ani się efektownie nie spierdolił jak mój poprzedni.

Od pierwszego dnia posadzono mnie koło Jacka, który miał dziwny zwyczaj i na cały głos oznajmiał klasie: „Zdobyłem brąz”. Co oznaczało ni mniej, ni więcej fakt, że pan Jacek zesrał się w spodnie. Miał urodę oraz intelekt gościa, który kradnie koszyki w Biedronce i następnie chce za nie okup. Znacie takich jegomościów, co to idą do McDonalda i proszą o frytki. Kiedy zaczadzony wyziewami oleju sprzedawca pyta: „Duże czy małe?”, to taki delikwent odpowiada: „Pan da trochę tych i trochę tych”. W skrócie: idiota. Na każdej lekcji, zamiast zajmować się nauką, rysował na blacie ławki statek pod pełnymi żaglami. Za każdym razem taki sam. Był debilem z wiatrem w żaglach. Po kilku miesiącach cała szkoła była pokryta jego flotyllą. Gdy wzywano go na tak zwany dywanik i zadawano jakże konieczne w takowej sytuacji pytanie, czemu, do kurwy nędzy, to robi, odpowiadał, że ma rodzinę nad morzem. Tylko tyle. Spotkałem go kiedyś po latach. Zapytałem ogólnie, co robi, bojąc się, że mi zaraz pierdolnie jednostkę pływającą na czole. „A nic takiego – wyznał zboląły. – W urzędzie pracy powiedzieli mi, że nie ma ofert dla człowieka z moim wyglądem”.

Ale nie o tym miała być opowieść.

Otóż wyobraźcie sobie, że 1 września idę do swojej nowej szkoły, do chyba szóstej nowej klasy, i dowiaduję się, że ma być to szósta A. A ja całe życie byłem w klasie B, a ci, co byli w klasach A, byli zbędni jak opłata klimatyczna w Zakopanem. Odwróciłem się więc na pięcie i opuściłem jakże niegościnniej budynek placówki szkolnej.

Mówi się, że jedni chcą w pracy zostać kierownikami, inni dyrektorami, a pozostali po prostu chcą zostać. Mnie to nie dotyczyło. Ja chciałem dołączyć do swoich. Moje poglądy na poważne sprawy ewoluują jak radzieckie samochody. Czytaj: nie zmieniają się. I dzień po dostąpiłem tego przywileju – dołączyłem do właściwej klasy szóstej B.

2 września był dniem historycznym. A właściwie jest dniem historycznym. Mało kto wie, ale 2 września 1939 roku miał miejsce wypad polskich żołnierzy w kierunku Wschowy i opanowanie wsi Geyersdorf, co łączyło się z przekroczeniem granicy niemieckiej. Czyli można śmiało stwierdzić, że zaatakowaliśmy zbrojnie i zwycięsko Germanów w odpowiedzi na ich haniebny atak. Tak było też ze mną 2 września. Pokonałem wroga przemyślnym planem odwrotu i ataku z flanki.

Pani zwana wychowawczynią już pierwszego dnia mojej obecności na gościnnych parkietach mojej nowej *alma mater* zasygnalizowała, że będą tu realizowane scenariusze rodem z mojej ulubionej na wieki wieków powieści, czyli *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Tam pada kluczowe dla całej mojej biografii zdanie wygłoszone przez Randle'a Patricka McMurphy'ego: „Człowiek traci grunt pod nogami, kiedy traci ochotę do śmiechu”. I to jest cała prawda i zawsze prawda.

Gdy tylko wszedłem do klasy, pani wychowawczyni ostrzegła mnie, że naprzeciwko naszej szkoły swoje zbrodnicze lokum posiada nikt inny, jak tylko gwałtowny ekshibicjonista, i że bym pod żadnym pozorem nie dał się zwabić do okna. Bo jegomość podobno wychodził na balkon w typowej dla tego rodzaju hobbystów garderobie, czyli w płaszczu, machał przyjaźnie do dziatwy, coby zbliżyła się do parapetu, i wtedy zniemacka zrzucał okrycie i jak to określa gwara więzienna, zaczynał grać na puzonie. Czyli masturbować się z zapalem pierwszego koncertmistrza. Szkolny dzwonek na przerwę miał nęcić go jak

śpiew syren Odyseusza. Odyseusz kazał swym żeglarzom zalepić uszy woskiem, żeby nie odczuwali masowej podniety, lecz nie dało się tego samego zrobić ze szkolną chmarą. Przez co te dwa podmioty – szkoła i zbok – żyły w przedziwnej symbiozie przez kolejne roczniki.

Nie tracąc oddechu, zaraz po literackiej przypowieści o sąsiedzkim bezwstydniku pani pedagog wyznała, że jest komunistką i zbyt swawoli światopoglądowej tolerować nie będzie. Mówiła to z miną Wandy Wasilewskiej, co rzadko u nas jest podkreślane – dumnej chrześnicy Józefa Piłsudskiego.

Z obu humoresek mnie do gustu bardziej przypadła ta pierwsza. Widocznie już wtedy bliżej mi było do dewianta niż rewolucjonisty.

W nowej szkole radziłem sobie dość dobrze. Moje najczęstsze pytanie do nauczyciela brzmiało: „Proszę pani, ile trzeba wiedzieć na dwójkę?”.

Ważnym elementem mojego rozwoju behawioralno-autoerotycznego była koleżanka klasowa Izabella K. Izabella była opromieniona sławą córki oficera Wojska Polskiego, co dziś ewidentnie sławy nie gwarantuje, ale wówczas owszem. Nie wiem, w jakim wywiadzie pan tatuś pracował, ale często wyjeżdżał za tak zwaną granicę oraz spełniał zachcianki córki. Jedną z nich była prawdziwa małpka, którą tatuś wywiadowca przytaszczył z afrykańskiego kraju do mieszkania przy placu Konstytucji.

Socrealistyczni spece od bolszewickiego *empire* chcieli plac uczynić dyżurną witryną nowej architektury. Pełno tam robotniczych posągów w stylu Michała Anioła, tyle że z młotkiem i obcęgami zamiast mglistego zadumania w oczach. A na koniec jeszcze wyszło, że im nie wyszło, bo symetryczny plac okazał się niesymetryczny. Ile osób z tej okazji rozstrzelano, nie wie nikt.

Ale miało być o małpce. Tata przywiózł małpkę, Iza małpkę przyniosła do szkoły, małpka pokąsała wszystkich w zasięgu działania agresywnej małpki. Piękny czas. Przybyli panowie z instytutu chorób importowanych, odziani w galowe stroje jak na powitanie przybyszów z obcej planety. Aresztowali biedną kapucynkę, fundując jej kwarantannę na koszt nowej ludowej ojczyzny, a nam kazano rozejść się do domów w oczekiwaniu na symptomy odmałpiej wścieklizny. Nikt nie wiedział wówczas, że małpa po osiągnięciu dojrzałości płciowej staje się agresywna i za wszelką cenę chce zdominować innych domowników. I tak rozeszliśmy się na ekstra wakacje, wyglądając

zapowiedzianych objawów martwicowego zapalenia mózgu oraz rdzenia kręgowego. Tym samym Izabella stała się sławna oraz lubiana przez innych, bo w tym wieku człowiek woli gorączkę krwotoczną od regularnego chodzenia do szkoły.

Ale nie tylko tym zwierzęcym epizodem Izabella wryła się w moją biografię. Nie wiem, czy na skutek zbyt długiego obcowania z człokształtnym kockodanem moja miła koleżanka wybrała mnie na chłopaka, którego nauczył właściwego zachowania podczas pocałunku z kobietą. Oczywiście sama siebie obsadziła w roli kobiety. Co to był za czas.

Kiedy tylko zaczynała się przerwa między lekcjami, czyli ten czas w szkole, który przynosił jakąkolwiek pożyteczną naukę, siadaliśmy z Izą na parapecie i wszczynaliśmy kurs. Według Wikipedii, która przecież wie wszystko, bo jest sumą ludzkiej mądrości, pocałunek to akt polegający na kontakcie ust z ciałem innej osoby lub przedmiotem. A więc ja całowałem się z ciałem innej osoby, natomiast moja ówczesna chwilowa partnerka całowała się z przedmiotem. Nie ma co ukrywać, że moje wcześniejsze próby dłuższego całowania się z kobietami zakończyły się fiaskiem, a te udane sprowadziły się do dwuelementowego zbioru – mama plus babcia. Z czego babcia pachniała inaczej, więc szybko zarzuciłem flirt. Nie wiem, czy byłem słabym uczniem, czy może celowo opóźniałem efekty edukacji, ale proceder ciągnął się tygodniami.

Nie ukrywam, że to był dla mnie trudny czas, nie byłem zbyt wyrwiny do jakiegokolwiek nauki, a nauczyciele stawiali mi oceny niedostateczne głównie na zachętę.

Piotr Bałtroczyk wiele lat później opowie mi taki mały literacki żart:

– Mój ideał kobiety? Taka do dwustu złotych.

Mój ówczesny ideał kobiety to była właśnie ona. Izabella. Taka od przerwy do przerwy. Pomimo iż w klasie ósmej zwykle nie jest się człowiekiem nazbyt rozbrykanym seksualnie, to Izabella przeczyła tym doniesieniom. Potrafiła zagaić z brutalnością zawodowca: „Prawdziwy pirat to i przez Morze Czerwone przepłynie”. Chodziło oczywiście o bezpieczny seks w trakcie okresu, najpopularniejszego wówczas środka antykoncepcyjnego. Albo: „Pamiętaj, mój mały, kobiece orgazm ma pięć form: relaksacyjna – ach, ach, ach. Afirmująca – tak, tak, tak. Regionalno-geograficzna – tu, tu, dokładnie, tu. Dewocyjna – mój

Boże, Matko Boska. Oraz Kryminalna – zajebię cię, jeśli przestaniesz to robić”. Słuchałem porad mądrzejszej koleżanki i było mi przykro, że całą jej praktykę znam tylko z teorii.

W większym kłopotcie tkwili jednakże moi koledzy. Dla nich był to spektakl przekraczający wszystkie dotychczasowe dokonania masturbacyjne. Bo na ich oczach dwójka klasowych towarzyszy odgrywała najzwyczajszego pornola. Tak to widzieli.

To były te dni, kiedy czułem, że wprowadzie Boga tradycyjnie i w dalszym ciągu nie ma, ale potencjalny palec Boży ewidentnie wskazał moją osobę. A jednocześnie moim kamratom ten sam palec Boży objawił się pod postacią tego środkowego, najdłuższego.

My z Izabellą rytualnie co przerwa wymienialiśmy mój niedotleniony testosteron na jej mocno skondensowaną oksytocynę. Jeśli obecny rekord Guinnessa w całowaniu wynosi 58 godzin i 36 minut, to my już wtedy byliśmy lepsi. Gdy masz te kilkanaście lat i pospolitego wzrodu dostajesz na widok okładki *Sztuki kochania*, takie intensywne zaplatanie języka z językiem drugiej osoby i na dodatek płci przeciwnej czyni cię zwycięzcą swych najśmielszych eskapad seksualnych, oczywiście we własnej wyobraźni. Jeśli całowanie się uruchamia 29 mięśni twarzy, to ja spokojnie dobijałem do uruchamiania mięśni zdecydowanie oddalonych od twarzy.

To był wówczas czas ważnych dla mnie życiowych decyzji. Moi koledzy zapisywali się na karate, boks, judo i inne okazje, żeby się homoseksualnie poprzytulać. Ja zapisałem się gdzie indziej. Już wtedy byłem zdania, że seks jest o wiele zdrowszy niż przemoc.

Kilka lat temu spotkałem Izabellę w restauracji U Kucharzy. Z tego, co pamiętam, wyznała mi, że nie posiada ani małżonka na stałe, ani stałego potomstwa. Straszna strata. Kobieta z takim potencjałem praktyczno-pedagogicznym nie powinna pozostawać bez sparingpartnera oraz widowni.

Gdzieś w tym momencie, chociaż w skrytości serca i ducha czuję, że było to dużo, dużo wcześniej, narodziło się moje dobre samopoczucie w stosunku do siebie samego. Niektórzy nazywają to miłością własną, a ja bym to nazwał nadmierną akceptacją siebie. I nie mąciły jej nawet takie doświadczenia jak kiedyś wyznanie Patrycji Markowskiej:

– Chyba najgorszy dzień w życiu mojego ojca, tak to sobie wyobrażam, to jak mówię: tato, to twój przyszły zięć. I wtedy wchodzi Kuba Wojewódzki. Ja myślę, że on by się wtedy powiesił.

Z Patrycją to w ogóle jest ciekawa historia. Uwielbiam ją i ona o tym wie. Nasz romans był mentalny, nie fizyczny, i przesunięty w czasie. Gdy ona była gotowa, ja spotykałem się z kimś innym, przez co nie byłem gotowy. Gdy z kolei ja byłem gotowy, to ona spotykała się z kimś innym i w związku z tym, a także faktem pierwszych tygodni ciąży, jej gotowość też była mniejsza. Dzięki temu Grzegorz Markowski żyje i ma się świetnie. Mam nawet takie momenty, że czuję się współtwórcą zespołu Perfect.

Pamiętaj, Grzegorz, komu to zawdzięczasz.

Klasa piąta z kolei uwypukliła mój potencjał socjopatyczny. Nie wiedzieć czemu oraz nie bardzo wiadomo jakimi metodami, mój ówczesny przyjaciel Piotr Olejniczak zaraził mnie wizją, że wyjazd na tak zwane kolonie letnie to jest zjawisko w kategorii *cool*. Podobno w USA żyje blisko osiemdziesiąt osób które mają na imię WOW, czyli nasze swojskie ŁAŁ. I tak też o tych koloniach opowiadał Piotr. Mnie wówczas kolonie i obozy kojarzyły się z przymusowym wyjazdem trudnej młodzieży, której nie chcą na wspólnych wakacjach rodzice. Coś pomiędzy zesłaniem a porzuceniem. Oczami wyobraźni widziałem patologiczną grupę, która pomiędzy robieniem sobie sznytów a wączaniem kleju stolarskiego czci szatana. A wszystko to pod dowództwem harcerza o twarzy żywcem wyjętej z reklamy rajstop Adrian.

Już pierwszego dnia po przyjeździe przeżyłem szok cywilizacyjny, bo obudzono nas skoro świt i w piżamach wygoniono na boisko celem odbycia ćwiczeń ruchowych. Normalnie czwarta, dotychczas nieznana część *Archipelagu GUŁag*. Jako że ja dobrze ułożonym chłopcem byłem tylko raz, w łonie matki, postanowiłem zmienić ten stan rzeczy i bojkotowałem boiskowe pidżama party. Miałem kiedyś koleżankę, która regularnie spotykała siostrę swego faceta chodzącą w bieliźnie po jego mieszkaniu. Dopiero podczas ceremonii ich ślubu dowiedziała się, że nigdy nie miał siostry. Zbojkotowała resztę imprezy. Rozpaczliwie szukając analogii, ja postanowiłem zbojkotować osoby, które postanowiły zmusić mnie do tak nielogicznych i mało higienicznych działań.

Na początku nie wstawałem na ćwiczenia. Potem nie wstawałem na śniadanie. Następnie nie wstawałem na obiad. Potem zdałem sobie sprawę, że nikt nie zauważa mojego ostentacyjnego niewstawania, więc spakowałem walizkę rodziców i postanowiłem wrócić do domu. Pamiętam, że przekupiłem kolegę z łóżka obok wszystkimi pieniędzmi, jakie mi zostawili rodzice na czarną godzinę, żeby mówił tym, co mnie nie szukają, że jestem w toalecie. Taki miałem chytry plan. Kierując się instrukcjami zaczerpniętymi ze wszystkich książek, których nie powinienem był czytać, pod pretekstem zdobywania sprawności kuchcika wyłudziłem od pań w kuchni surowego ziemniaka oraz proszek do pieczenia. Wedle więziennych ekspertów tamtego okresu miało mi to zapewnić przewlekły stan chorobowy. Cichaczem opuściłem gościnne progi

szkoły podstawowej w Przygodzicach, bo tam działa się akcja dramatu, i udałem się do miejscowego ośrodka zdrowia. W swej próżnej łepetynie ubzdurałem sobie, że karetką do stolicy będzie najszybciej. I wtedy zaczyna się komedia pomyłek na wiele lat przed scenariuszem znakomitego skądinąd filmu *Konsul* z Piotrem Fronczewskim. Po dotarciu do siedziby łapiduchów mój nieletni organizm zapadł w specyficzny rodzaj śpiączki. Pamiętam tylko śmierzącą wczorajszymi zwłokami poczekalnię, za okienkiem panią o fioletowych włosach, a następnie śnieżenie, zanik fonii i obrazu. Obudziłem się w Szpitalu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie. I nie była to bilokacja w najlepszym stylu ojca Pio. Był to efekt ducha tamtych czasów. Pan ordynator, który ze mną rozmawiał, wykonywał dziwne nieskoordynowane ruchy, jakby mu kot do butów nasikał. Wielki biały tancerz próbował wydobyć ze mnie informacje na temat opiekunów oraz prawdziwości wątpliwości. Był świadom ówczesnej piramidy żywieniowej i wiedział, że jak coś spieprzy ze mną, to jego wpięprzą więksi od niego. Więc chwilowo to on przyjął posadę Czerwonego Kapturka, a ja złego wilka. Wydobył ze mnie tylko prośbę o wykonanie jednego telefonu. I po kilku minutach zdyszani, jakby ich gonił komornik, wpadli na stosowny oddział moi rodzice. Cięcie.

Co było wcześniej? Otóż w kolonijnym pociągu wiozącym nas w nieznane wpadaliśmy co chwila na nowe pomysły gier towarzyskich. Najatrakcyjniejsza okazała się ta, kiedy to podczas postoju przez okno w nocy macha się latarką w kierunku lokomotywy i ta zaczyna ruszać ze stacji. A pasażerowie z tobołami jeszcze na peronie, więc panika rodem z planu *Pianisty* Polańskiego gotowa. Bardzo nas to wówczas bawiło. Jako prowodyr za karę zostałem posadzony sam w dusznym kantorku kierownika pociągu. Jedynymi towarzyszami były źle ukrywany aromat śliwowicy łąckiej oraz moja walizka od rodziców. Nudząc się śmiertelnie, ze skórzanego etui, w którym za plastikiem tkwiła karteczka z miejscem na dane właściciela, wyjąłem ów papierek i jak tylko mogłem najpiękniej, wykaligrafowałem: „Edward Gierek, Warszawa, ulica Belwederska 10 m. 61”. Taki miałem na ten czas pomysł. Nikomu nie muszę przypominać, że ten pan, urodzony we wsi Porąbka, pełnił od 20 grudnia 1970 roku zaszczytną funkcję I sekretarza KC PZPR, czyli był, przekładając na język zrozumiały dla współczesnych, takim Jarosławem Kaczyńskim. I czytając fakty, choć bez mojej obecności przy nich, prawdopodobnie tak było.

Powiatowy aktyw medyczny znalazł na ławce przychodni kompletnie pozbawionego poczucia rzeczywistości młokosa, schludnie ubranego, który na walizce miał takie, a nie inne dane. I prawdopodobnie koordynując działania z podstawową organizacją partyjną rzeczonyj miejscowości, postanowiono odholować mnie do rodziców. Wiadomo było, że I sekretarz rzeczywiście posiada trzech synów, ale nikt nie wiedział, w jakim wieku. No i się prawdopodobnie załapałem, albo na syna, albo na wnuka. Efekt był doskonały i godny poświęceń. Już nigdy więcej nie pojechałem na kolonie.

Rodzice nie dziwili się moim wyczynom, bo jak to się w sporcie powiada: „Trening czyni mistrza”.

W siódmej klasie szkoły podstawowej już zdradzałem symptomy, żeby być jak podmiejski pociąg – mocno opóźniony. Ówczesne młodzieńcze lektury, które pochłaniałem kilogramami, działały na mój nieskładny umysł jak dopalacze. Postanowiłem żyć biografią pełniejszą i ciekawszą. Potrafiłem udać się na pocztę i wysłać do siebie depeszę z jakże inspirującą treścią: „Wszystko w porządku”. Omega. Cóż to były za emocje. Pani w okienku patrzyła na mnie jak przeciętny Chorwat na Miloševicia, a ja z kamienną miną trwałem w rozboju. Reakcja moich starych była podobna. Nie wiedzieli, czy potrzebny jest egzorcysta, psychiatra, komisarz ludowy, czy paczka chipsów. Piękne jest to, że nie postanowili złamać mi kręgosłupa tylko żyli w lęku i poczuciu wiecznego eksperymentu, że oto ich pociecha kręci właśnie z własnego życia alternatywne zakończenie *Gwiezdnych wojen*.

Podstawówkę przebyłem w miarę bezboleśnie, choć nawet dziś pamiętam, że z ówczesnym stanem wiedzy byłem czymś pomiędzy stawonogiem a dróżnikiem.

Kiedyś, wiele lat później, Tomasz Stańko powiedział mi:

– Ja się nigdy nigdzie nie spieszyłem. Lenistwo zawsze było moim mottem.

Jak się później okazało, ja właśnie wchodziłem w ten okres życia.

Do liceum imienia Tadeusza Czackiego wysłali mnie rodzice z nowym tornistrem i wyraźną rozpaczą. Prócz liceum imienia Stefana Batorego, była to szkoła położona najbliżej mego domu, niestety z opinią wymagającej. To, że była to sława jak najbardziej prawdziwa, potwierdziła moja sześćioletnia obecność w tej placówce edukacyjnej. Mało kto wie, że słowo „gimnazjum”

oznacza w języku greckim miejsce, gdzie ćwiczy się nago. Jak miały pokazać nadchodzące lata, postanowiłem powrócić do tej zacnej antycznej tradycji.

Wszyscy tak zwani znani Polacy uczęszczający do Czackiego realizowali tradycyjny, czteroletni program edukacji. Byli to: Wojciech Mann, Stefan Kisielewski, Jan Twardowski czy Andrzej Olechowski. Ja postanowiłem to zmienić. Szkoła, jak wiadomo, potrafi rozwijać wszystkie zdolności ucznia, w moim przypadku najintensywniej rozwinęła głupotę.

Pierwszą klasę powtarzałem z powodu punk rocka. Czasy były burzliwe. W podziemiu szalały Tilt, Kryzys, T. Love, Kult. Ja też, pomimo wyglądu maminsynka (Jan Borysewicz wiele lat później stwierdzi, że jestem posiadaczem „oazowego imidżu”), postanowiłem włączyć się w nurt. Wyglądałem jak uciekinier z *Plastusiewego pamiętnika*, ale zrobiłem sobie kolczyk w lewym uchu, co wówczas było aktem niekonwencjonalnym i odważnym. Co prawda pani Zdunek od geografii skwitowała mój nowy imidż słowami: „Nie wiedziałam, że mamy w szkole homoseksualistów”, ale to nie była jedyna rzecz, o której nie wiedziała ta pani. Nie wiedziała na przykład, że moherowy sweter włożony na gołe ciało uwypukła jej kształty na tyle czytelnie, że męska część klasy wychodziła z sali z mokrymi plamami na spodniach. Tyle im zostawało po lekcjach geografii. Była to popularność zasłużenie wilgotna i zostawiająca trwałe ślady.

Z popularnością bywa różnie. Taka pogawędka z jeszcze wtedy prezydentem Bronisławem Komorowskim.

Jeszcze prezydent:

– A pan widział kiedyś, jak wygląda taka sytuacja, gdy się idzie w takim tłumie? Z przodu dziennikarze, kamery, z tyłu też grupa ludzi. I nic się nie widzi.

Pan prowadzący:

– Pan mnie nie docenia! Ja też jestem człowiekiem popularnym i ja w tłumie też często chodzę.

Jeszcze prezydent:

– No to następnym razem niech pan ze mną idzie.

Pan prowadzący:

– A swoją drogą jestem ciekaw, który z nas rozdałby więcej autografów.

Była też siedemdziesięcioletnia nauczycielka łaciny, już wtedy tak stara, że dziś nie pamiętam jej nazwiska. Miała sklerozę tak zaawansowaną, że potrafiła przepytac jednego ucznia, podziękować innemu i całkowicie komuś następnemu wystawić ocenę. W labiryncie jej pokrętnej logiki trudno było się odnaleźć, więc ja postanowiłem się tam zagubić. Kiedy obchodziła swoje jubileuszowe urodziny, ja z moim kolegą Grzegorzem P. wstaliśmy i uroczyście oświadczyliśmy, że mamy dla niej piosenkę. Gdy rozpromieniona solenizantka poprosiła o jej wykonanie, my z pasją i werwą szturmowców wykonaliśmy utwór *Nic nie może przecież wiecznie trwać*. Od tamtej pory nie zapytała nas już nigdy o nic. Raz tylko odgrażała się po jakiejś pyskówce ze mną, że zadzwoni do moich rodziców. Zadałem jej wtedy proste, logiczne pytanie: „Czy moi rodzice dzwonią do pani i zwierzają się ze swoich problemów w pracy?”.

Była osobą z poprzedniej epoki, co owocowało tym, że miała wyśrubowane normy higieniczne. Niestety także wobec nas. To taki typ człowieka, który myje śmieci przed wyrzuceniem. Bez względu na porę roku każdą lekcję zaczynała od otwierania okien w rytm narzekania, że uczy przybyszów z Trzeciego Świata, a przynajmniej lokatorów slumsów w Bombaju.

Z okazji 1 kwietnia postanowiliśmy zrobić jej brutalną niespodziankę. Każdy z nas, a była to klasa zasobna w trzydziestu kilku troglodytów, miał przynieść z domu jakiś zapomniany dezodorant, nieużywane wykwentne perfumy babci tudzież inny niepokojący zapach. Postanowiliśmy zabić ją stężeniem kwiatowości powietrza. To były czasy perfum o sentymentalnej nazwie *Być Może*, dezodorantu *Brutal* i wody kwiatowej *Lotos*. Takim kwasem musztardowym pachniały wiejskie wesela, niedzielne msze i teatralne *foyer*. My postanowiliśmy zmajstrować z tego bojowy środek trujący, za nic mając konwencję o zakazie broni chemicznej czy protokół genewski. Rozpyliliśmy nasz figlarny cyjanowodór po klasie, zamknęliśmy szczelnie okna i zapadliśmy w tęskne oczekiwanie, w której minucie w asyście wymiotów, drgawek i krztuszenia obumrze umysł naszej pani pedagog. I nie zgadnicie. Ona niczym *Aurora*, rzymska bogini poranka, przenika do naszej klasy, zasiada przy stole i jak gdyby nigdy nic sprawdza listę obecności, totalnie lekceważąc nasz czynnik rażący. Po kilku minutach w sali dały się słyszeć jęki nieudolnie powstrzymanego wymiotu, czyli zwykłego pawia. Gdy rozejrzałem się po

klasie, moim oczom ukazała się powszechna niedyspozycja z obietnicą rychłego zgonu. Pierwsza zemdląła Anka Czajka, dziewczę dość słusznej budowy, czyli z rachunku chemicznego wynika, że takie, które zatrutego powietrza zassało do organizmu najwięcej. Runęła na ziemię niczym meteoryt tunguski w tajgę. Pani kazała kolegom wynieść przyszlą denatkę z klasy i dotargać do pokoju pielęgniarek. Na błagalne pytanie jednej z uczestniczek zamachu: „Pani profesor, czy możemy uchylić okno?”, rzekła rozpromieniona: „Taka miła niespodzianka, jak wiosna. Wszystkie klasy robiły mi niestosowne żarty, a wy? Miło. Jak w parku. Nie psujmy tego”. Niestety Małgosia Grabowska z całkowitym brakiem zrozumienia odniosła się do uduchowionego apelu nauczycielki i posłała w jej stronę nagły wyrzut treści pokarmowej na zewnątrz, z żołądka przez przełyk i jamę ustną. To było jak sygnał dla całej reszty. Kaszłac i charcząc, cała klasa rzuciła się do okien, już przeczuwając rodzaj gwałtownej śmierci, która miała nastąpić za chwilę na skutek niedostatecznego zaopatrzenia tkanek w tlen. Na szczęście przeżyli wszyscy. Ona natomiast nie. Do czasu.

Żeby jednak nie było. W szkole byłem raczej miłym chłopcem i raz nawet otrzymałem od koleżanek tytuł klasowego gentlemana, co najlepiej poinformowało mnie, że czas się zmienić. O tym, że potrafię być miły bez względu na okoliczności, dobrze świadczyło moje spotkanie z Jackiem Kurskim, naczelnym trubadurem „dobrej zmiany” w randze prezesa TVP.

– Jacku, pokaż swoją ludzką twarz. Zobacz, ja cię tu pokazuję jak człowieka, nie atakuję cię...

Prezes:

– Fajny jesteś.

Ja:

– Rzadko mówię, że jesteś łotrem, najemnikiem, bulterierem, gangsterem, wszą, uczniem Goebbelsa.

Po niej nastał niejaki Żaba (w nazwisku miał coś z żaby, więc tak go nazywaliśmy). Miał prostą filozofię życiową, został nauczycielem w szkole, więc uznał, że od dziś jego życie może być tylko albo nędzne, albo marne. No i wybrał

wariant pierwszy, zaczął żyć zgodnie ze swoją zasadą: „Piję tylko trzy razy do roku – w sylwestra, w swoje imieniny oraz kiedy się da”. A dawało się często. Jako klasa uwielbialiśmy patrzeć, jak alkoholowy szkwał znosi go, piszącego po tablicy coraz bardziej w prawo i coraz mocniej w dół. Uznając najwyraźniej, że warto być nauczycielem wymagającym, zaczął od nas wymagać, co zaowocowało tym, że osiemdziesiąt procent klasy za nic nie skumało mowy Liwiusza Andronikusa. Gdyby to wszystko miało miejsce dziś, patronem naszej klasy byłby bez wątpienia periodyk „Świat Alkoholi”.

Dał mi spokój przypadkowo, a i cena była niemała. Spotkaliśmy się na manifestacji pogrzebowej zamordowanego przez panów milicjantów księdza Popieluszki. Podszedł do mnie bez słowa, uścisnął rękę i w milczeniu odszedł. Wtedy odebrałem to jako gest jedności, co do którego wartości nie miałem wątpliwości (niezły rym, co nieeee?). To są te chore momenty, kiedy my, Polacy z chorymi duszami, bywamy razem. Podobno później został świadkiem Jehowy i zrobił majątek na patencie polegającym na umiejętności jednoczesnego dzwonięcia do kilku domofonów naraz.

Ale zmienmy temat na przyjemniejszy.

Widzieliście może kiedyś klucz wiolinowy napisany przez Beethovena i klucz wiolinowy napisany na przykład przez Debussy'ego? Jeden był nonszalancki, wyluzowany i bez napinki, a drugi staranny, czytelny i wyraźny. Moja muzyka miała być jak ten klucz pierwszy.

Razem z moim kolegą Gutkiem założyliśmy zespół o nazwie Impuls. Gutek szybko w moich oczach zyskał szlify punkowca, bo już na inaugurację pierwszej klasy przyszedł schludnie ubrany i totalnie pijany. Pewnie uszłoby mu to płazem, gdyby nie zwymiotował na sztandar szkoły. Został więc z tego powodu wyrzucony i zatrudniony u nas jako wokalista i gitarzysta. To, co wydobywał z siebie na próbach, jako żywo przypominało dźwięk towarzyszący jego treści żołądkowej parkującej na podłodze sali gimnastycznej w dniu pierwszym, ale to tylko dodawało nam splendoru. Zresztą losy przeróżnej maści wokalistów pokazywały, że nigdy nie wiadomo, co jest komu pisane oraz czego chce tak zwany odbiorca.

Przed laty gościłem niejakiego Sławomira Świerzyńskiego, wokalistę

legendarnej supergrupy Bayer Full. I Sławek opowiadał:

– Dwa razy nie wybrali mnie do parlamentu.

– Zdziwiłem się – mówię – bo masz swój konkretny elektorat.

– Nie – kontynuuje pan Bayer Full. – Bo moja publiczność chce, żebym śpiewał. I koniec. I nie mam zamiaru zmieniać tego faktu.

Redaktor prowadzący, czyli ja, na to:

– Widocznie ludzie nie chcieli, żeby Cugowski śpiewał, bo jego wybrali.

Liceum to czas pierwszego kontaktu z marihuaną. Sam nie wiem, czy najpierw usłyszałem słynny numer Brygady Kryzys zatytułowany swojsko *Ganja*, w którym Tomek Lipiński z nieskrępowaną radością nawoływał w refrenie: „Ganja, ganja, ganja, sooo goooood”, czy najpierw spróbowałem własnoręcznie. Oczywiście angażując do tego procesu także inne organy.

Z maryską lub, jak kto woli, idąc za Oddziałem Zamkniętym, andzią pomieszkujemy od lat. Raz widujemy się częściej, raz zaciągamy się sobą rzadziej. Pełna barwna symbioza. Moim zdaniem nigdy nieprzekraczająca granicy toksycznego pożycia.

Chociaż pamiętam rozmowę z Maćkiem Maleńczukiem:

– Maćku, jesteś skoncentrowany, jesteś trzeźwy? Brałeś coś dzisiaj?

Maciek na to:

– Niestety nie.

– To tak jak ja.

– To możemy porozmawiać jak nienormalny z nienormalnym.

– Czy ja wyglądam na narkomana?

Maciek:

– Niestety tak.

Jak widać po tej konwersacji, trudno zdiagnozować, jak to jest naprawdę.

Najpiękniej o własnych doświadczeniach z marihuaną opowiedział mi Krzysztof Kowalewski.

– Możemy rozmawiać szczerze? Panie Krzysztofie, pan jest jednym z nielicznych przedstawicieli swojego pokolenia, czyli pokolenia ludzi w średnim wieku, który się przyznaje oficjalnie, w biografii, że jara trawę.

– No tak właściwie to raz w życiu to nie jest jaranie. A co?

– Pan się zaciągał?

– Owszem, nawet miałem pewne wrażenia z tego powodu. No tak, no w przedpokoju otworzyła się podłoga i była przepaść... A ja byłem właśnie w drodze do ubikacji, więc wróciłem do towarzystwa, powiedziałem, że nie mogę tam dojść, bo jest przepaść, a oni mówią do mnie: to sikaj do przepaści.

Po papierosy nigdy nie sięgnąłem, bo już w młodości wujek lekarz powiedział mi, że palenie fajek przez kobiety niszczy w ich organizmie elastynę, co powoduje obwisanie piersi. A że za bardzo wziąłem to sobie do serca i równie bardzo nie chciałem mieć obwisłych piersi, to wujkowa opowieść działała na mnie jak straszak aż do wieku średniego.

Moją pierwszą licealną miłością była białogłowa o jakże słowiańskim imieniu Ina.

Tak, Ina. Nie Janina czy jakoś tak. Jej ojciec nosił dumnie imię Telesfor, więc nie miałem już odwagi pytać o źródła inspiracji w dobieraniu sobie nazw. Ina wpadła mi w oko, bo była w momencie wpadania mi w oko niezwykle podobna do ówczesnej gwiazdy niepokornego rocka, czyli nikogo innego jak Izabeli Trojanowskiej. Nasz niewinny romans przypieczętowaliśmy wspólnym wyjazdem na wakacje pod namiot o *nomen omen* obiecującej nazwie Amor. Dwuosobowy z tropikiem.

Historia tego wyjazdu to też dowód na to, że mój rozwój psychoruchowy przebiegał z dala od tradycyjnych faz. Otóż w pierwszej klasie liceum wpadłem z kolegami na pomysł, aby powołać własną organizację harcerską. Ta, którą zastaliśmy na świecie, była drętwa, siedziała w tak zwanych harcówkach i bawiła się w gry godne defektywnej młodzieży. Najbardziej wzbudzali nas druhowie o chromych twarzach trzydziestoletnich niemowlaków i takowych też umysłach. Ganiali się po lesie, robili pokarm z wody deszczowej, a potem obdarzali się sprawnościami komandosa-kuchcika. I te ich mundurki skrzatów. Ostatni krzyk mody z czasów Austro-Węgier. Oni się modnie ubierali, a my krzyczeliśmy.

Pamiętam taki dialog z salonu Empik. Przychodzi ojciec z córką i pyta sprzedawcy z etykietką „sprzedawca”: „Czy jest *Krótki film o zabijaniu?*”. Tamten

troskliwie pochyła się nad komputerem, by po dłuższej chwili odpowiedzieć: „Niestety wszystkie filmy mają mniej więcej półtorej godziny”.

Druhowie też mieli tak skalibrowany mental. Mój kolega z liceum miał taką złotą myśl: „Człowiek wymiotuje tylko po to, aby zrobić miejsce na następne drinki”. Wychodząc z podobnego założenia i bazując na praktyce człowieka doświadczonego, opuściliśmy szybko swawolne ZHP, aby inni mogli bez krępacji do niego dołączyć. I powołaliśmy swoje własne niezależne ZHP. Niezależny Związek, a reszta już taka sama. Było nas pięciu. Marcin (nie wiem, co dziś się z nim dzieje), Piotr (podobno jest wychowawcą w więzieniu), Grzegorz (gruba ryba w Warcie) i ja. Kandydatem dochodzącym był także Robert (dziś wielka sycha w TNT), ale raziło nas to, że jest zbyt przystojny, bez względu na warunki noclegu zawsze dobrze uczesany, oraz fakt, że miał większe powodzenie niż my czterej razem wzięci.

Są faceci, którzy do seksu kupują kadzidła, a są i tacy, co kupują chloroform. Niestety co najmniej dwóch z nas realizowało w tamtym czasie model drugi.

Czesław Mozil ma w tej materii spore doświadczenie. Zagadnąłem go swego czasu:

– Ty nawet do harcerstwa poszedłeś, żeby zaliczać dziewczyny, powiedziałeś mi to kiedyś!

Czesio na to:

– No, no! Nie „zaliczać”, a „spotykać”! Ale się udawało i jedno, i drugie.

Zrobiliśmy sobie u grawera przy ulicy Polnej stosowne emblematy, wciskając mu kit, że to Nadwiślański Związek Harcerstwa Polskiego. Na zestawie kolegi z dzieciństwa o mocno opozycyjnej nazwie „Mały drukarz” wydrukowaliśmy kilka *Kwestionariuszy druha na obóz* i daliśmy je naszym starym do wypełnienia. Rodzice, dumni, że ich pociechy tak gładko wtopiły się w zieloną społeczność, kwity wypełnili, przekazali nam pieniążki celem uregulowania kosztów obozu i byliśmy wolni.

Niestety, jak to śpiewa pan Perfect: „Poróżniła nas, za jej Poli Raksy twarz każdy by się zabić dał”. Jak się okazało na miejscu, tylko ja przybyłem z własną druhną do towarzystwa, a moi koledzy już nie. Owszem, dołączyła do nas Asia,

nasza klasowa piękność o fryzurze i kształtach Diany Ross, ale jak się tylko zorientowała, że aż trzech moich wyposzczonych kolegów będzie kołędować do jej sromu, szybko nominowała się do opuszczenia namiotu Wielkiego Brata. I zrobiło się niezręcznie. Ja z Iną do namiotu, a koledzy przed swymi namiotami zastygali niczym prequel *Brokeback Mountain*. Odgłosy amorów, które dochodziły z Amora, musiały być dla nich tak zgubne, że którejś nocy po ich wigwamach zostały tylko zgniłe połacie trawy. Czytałem kiedyś teorię, że odgłosy jedzenia hamują nadmierny apetyt. Odgłosy pieprzenia, jak wykazały moje własne badania terenowe, niestety nie.

Po spenetrowaniu tego i tamtego oraz mazurskich szlaków udaliśmy się z moją połowicą na legendarny camping do Chałup, czyli na Hel. Możecie mi wierzyć lub nie, ale to był najlepszy czas w historii tamtego miejsca. Lato 1981 roku. Lato wolności. W radiu na przemian Perfect i Iza Trojanowska. Kraj kipiał i Chałupy kipiały – tylko inaczej. Choć też kontrrewolucyjnie. To nie była już tylko plaża nudystów. To był cały camping nudystów. Mało tego, nudyści zaczęli kolonizować miasteczko niczym Vasco da Gama Indie. Wszyscy chodzili nago wszędzie. A ja miałem wtedy osiemnaście lat i w tych okolicznościach roznegliżowanej przyrody całkowicie utraciłem kontrolę nad swym wzwodem. Wyrwał się władzy jak NSZZ „Solidarność” i zgłosił swoje własne postulaty. Jednym z nich była nieskrępowana i nieograniczona niczym wolność. I tak też się stało. W kolejce po rybę, do toalety, do myjni, na deptaku. Był ze mną wszędzie.

Czytam właśnie to, co napisałem. Gdybym był własnym seksuologiem, to w tym momencie lektury popadłbym w alkoholizm.

Ale skończyłem na wzwodzie. Ciężko jest udawać człowieka bez wzvodu, mając go nieustannie. Podchodzisz do pani, co smaży ryby, i zagajasz życzliwie: „Halibut jest świeży czy polecisz pani flądre może?”, a on w tym samym momencie wychyla się zza lady, jakby chciał uciąć sobie małą pogawędkę. Koszmar, powiadam wam, przeżyłem to. Jak mawiała Monica Levinsky: „Z palca sobie tego nie wyssałam”. Chałupy wtedy to była mekka najprzeróżniejszych okazów i typów spod różnych gwiazd. Poznaliśmy na przykład chłopaków, którzy na plaży podrywali tylko najmniej opalone dziewczyny. Na moje pytanie dlaczego, odpowiadali: „To zwiększa nasze szanse, bo te blade mają przed sobą najwięcej urlopu”.

Kiedy opadły emocje, zresztą nie tylko one, mój stosunek do Iny zmienił się radykalnie. Zmieniła fryzurę i tym samym przestała być podobna do mojej fantazji seksualnej. A ponieważ stara prawda, że „kobiety to może potrafią udawać orgazm, ale my, mężczyźni, potrafimy udawać całe związki”, ja postanowiłem być inny i zakończyłem tę znajomość. Po latach dowiedziałem się, że Ina handluje bronią i prowadzi zajęcia ze strzelania. Pewnie dlatego, że przez cały nasz wspólny wakacyjny pobyt ja też trzymałem ją na muszce.

Pięknym podsumowaniem naszej działalności nieharcerskiej był biwak pod Otwockiem, na który udaliśmy się pod koniec liceum. Podczas nocnej biesiady spisaliśmy swoje marzenia na kartce. Nasze rojenia i chimery, kim będziemy za dziesięć lat. Typowe sentymentalne halucynacje ludzi wchodzących niechętnie w tak zwane dorosłe życie. Włożyliśmy je do butelki i zakopaliśmy razem z drugą butelką wódki, obiecując sobie, że wypijemy ją, gdy to wszystko osiągniemy.

Gdy przybyliśmy tam w komplecie po upływie stosownego czasu, z trudem odnaleźliśmy górę, a na niej nasze butelkowe memuary. Dużym zaskoczeniem był brak półlitrowki, a w naszej flaszcze był kawałek gazety „Życie Warszawy” z uczciwą adnotacją znalazcy: „Ambitne z was pedały. A wódkę wypilem”.

Trudno mi dziś znaleźć racjonalne powody, które doprowadziły do powtarzania przeze mnie klasy pierwszej liceum ogólnokształcącego.

Miałem co prawda siedem ocen niedostatecznych na tak zwany koniec roku, ale po pierwsze – na świadectwie było dużo więcej przedmiotów niż te siedem, a po drugie – do prawdziwego końca roku było jeszcze wiele miesięcy. Po trzecie – większość nauczycieli to byli ludzie, którzy mnie nie fascynowali, wyglądali i mieli mental, jakby ich starzy stracili dziewictwo z kosmitami. A to zniechęca do nauki. Więcej grzechów nie pamiętam. Po prostu szkoła była skocznią, a ja nie byłem jeszcze Kamilem Stochem i musiałem popracować nad formą i wyjściem z progu. I uczciwie rzecz nazywając, umożliwiono mi to przez dodatkowe kilka sezonów.

Czasy miały wówczas pod jakże znaczącym logiem „Solidarności”, co przełożyło się także na nasze szkolnictwo. W drugiej klasie do mojej klasy dołączyła ponad połowa mojej poprzedniej klasy. I znowu byliśmy razem. Taki

poziom trzymało nasze liceum. Jest taka stara zasada podróży samochodem. Kierowca wybiera muzykę, a reszta się nie wpierdala. I tak było podczas naszej podróży edukacyjnej. Nauczyciele dobrali nam muzykę, a my jej nie chcieliśmy słuchać, więc gromadnie chcieliśmy zmienić i dyrygenta, i kierowcę. A w takich warunkach trudno o miłość do wiedzy. Z tą miłością to generalnie bywa różnie.

Pytam swego czasu Jacka Kurskiego:

– Kochasz Kaczyńskiego?

Kurski:

– To może za dużo powiedziane, ale dałbym się pociąć za premiera.

Ja na to jakże rezolutnie do publiczności:

– Ma ktoś nóż?

Po powtórzeniu klasy pierwszej szedłem jak burza aż do klasy trzeciej. Tym razem nie zdałem przez miłość.

Miała na imię Kalina, długie nogi, blond włosy, świadectwo z samymi piątkami i opinię niedostępnej. Imię miała nieco bolszewickie, ale moi niedoszli teściowie zarzekali się, że to nie w hołdzie dla Armii Czerwonej, tylko Kaliny Jędrusik.

Zostaliśmy najdziwniejszą parą w szkole. Wszyscy się zastanawiali, co ta wzorowa uczennica robi z takim profesjonalnym kretynem. Warto dodać, że były to jeszcze czasy, kiedy drugorocznymi zostawali głównie przyszli przestępcy, kandydaci na kiboli tudzież kieszonkowców. Kalina była tak uporządkowana, że zawsze pomiędzy arytmetyką a geometrią potrafiła w swoim dzienniczku znaleźć czas na spółkowanie. Była totalną seksualną analfabatką. Przeczytałem gdzieś, że w Kolumbii istnieje specyficzna społeczność, której tradycją jest odbycie stosunku z osłem (co podobno w dłuższej perspektywie ma pozytywny wpływ na długość członka). Tak właśnie się wtedy czułem. Wybaczcie radykalność sądów, ale to był dopiero akt pierwszy naszej seksualnej historii. Na drugi musimy poczekać dobre dwadzieścia lat, gdy przypomniła sobie o mnie i zasypała sprośnymi esemesami i filmami, w których obok niej główną rolę odgrywały wibrator oraz dwie butelki wina. À propos wibratorów, to temat ten pojawił się także w moim programie. Przyniósł go ze sobą Janusz Palikot.

Ja zaczynam:

– Janusz, teraz tak poważnie. Trochę popytałem, bo nawet nie wiesz, że mamy paru wspólnych znajomych, nie tylko politycznych. I oni wszyscy mówią dwa słowa: jedni mówią „świr”, drudzy mówią „oszołom”. Co wolisz?

Palikot na to:

– Jeżeli chodzi o ten wibrator...

Ja:

– Oj, nie teraz! Jeszcze za mało się znamy!

Wróćmy więc do początków. Na klatce schodowej szkoły przy ulicy Armii Ludowej, bez specjalnego szacunku dla jej licznych bohaterów, nauczałem szkolną prymuskę, że pocałunek nie kończy się na wyciągnięciu języka i trwaniu przy tym, aż obeschnie. „Nie bardzo wiem co robić” – szeptała. „Musi być na to jakiś algorytm” – na bank pytała w swojej głowie samą siebie, jak typowa prymuska na bezdechu. „Jest, kurwa, Euklidesa i Luhna” – myślałem oparty o drzwi piwnicy.

Dopadał mnie wtedy dylemat serbskiego żołnierza: najpierw zgwałcić czy najpierw zabić? Już wtedy przeczuwałem, że szkoła w jej wydaniu to pokarm wyłącznie dla rozumu, a ciało niestety mocno zostaje w tyle. Co niesamowite, chwilę później przeczytałem, że gdy kobieta jest podniecona seksualnie, jej piersi rosną o dwadzieścia pięć procent. Z moich wnikliwych obserwacji wynikało, że ona nigdy przy mnie nie doznała podniecenia.

Zadzwoniono do mnie kiedyś z miesięcznika „Glamour” – to taka bardzo ważna gazeta wyzwolonych kobiet – i powiedziano mi, że przeciętna polska kobieta potrzebuje jedenastu minut, żeby się podniecić. No żeż kurwa mać. To jest prawie cały *Teleexpress*, to jest prawie cała prognoza pogody po *Faktach*, sport i jeszcze kawałek programu *Uwaga*. W jedenaście minut to Challenger mógłby wejść na orbitę okołoziemską i tam eksplodować. I dopiero wtedy przeciętna polska kobieta jest podniecona?! Zadzwoniono do mnie z tym pytaniem, co ja sądzę i co ja robię, kiedy moja kobieta po jedenastu minutach osiąga podniecenie. Znalazłem się wtedy w kropce, nie znając odpowiedzi na to arcyciekawe pytanie, bo ja w takiej sytuacji po dziewięciu minutach już śpię.

Razu jednego Daria Ładocha, przesympatyczna i kolorowa pani od

gotowania, wyznała mi, że dla niej jedzenie jest jak seks. Przyznałem jej rację, twierdząc, że czasami nawet pasztet smakuje znakomicie. Nie chciała kontynuować konwersacji.

Chociaż zasadniczo kobiety, bez względu na wiek, nie boją się zbytnio tego słowa. Magda Gessler w przyływie rewolucyjnego humoru zagadnęła mnie fachowo:

– A ty jak myślisz, ile może stać pasztet?

Ja na to:

– Nie mam pojęcia.

Madzia z charakterystycznym, międzyłokowym chichotem:

– Czasami nawet całą dyskotekę.

Pasztet jest jakimś językowym fenomenem. Jest rzeczownikiem rodzaju męskiego, a zwykle bywa używany w kontekstach raczej damskich. Powinien pasztet zostać wpisany przez feministki (bo to one często mierzą się z terminem oznaczającym potrawę z kilku gatunków duszonego lub gotowanego mięsa i podrobów, które się mieli i zwykle zapieka) na listę słów wyklętych i zakazanych.

Pewnego razu zasiadła u mnie Ola Kwaśniewska, moja bolszewicka przyjaciółka, i rozpocząłem dialog:

– Przestudiowałem internet, co ludzie na twój temat piszą. Wiesz, jaki jest najczęściej stosowany epitet?

Ola:

– Ostatnio „odmóżdżona wywłoka”. Dobrze, co?

– Co jeszcze? – dopytuję.

– „Cwana karierowiczka”.

– Więcej! – podkręcam ten autoroast.

– Ktoś ostatnio widział mnie na basenie i napisał, że „pływam jak szczeka teściowej”.

– No dobra, wiesz, co piszą najczęściej? Piszą, że jesteś pasztetem.

– O, pasztet! – uradowała się moja rozmówczyni. – Tak, tak, wpadłabym na to. Przepraszam!

– Dlaczego pasztet i dlaczego przepraszasz?

– Bo ja jestem bardzo nefotogeniczna. Jak patrzę na siebie w telewizji albo na zdjęciach, to sama tak mówię: „Ale pasztet!”.

Niestety miłość do Kaliny tak pochłonęła mnie emocjonalnie oraz czasowo, że z mego kalendarza wypadł obowiązek nauczania. Ze złamanym sercem i czterema niedostatecznymi wylądowałem ponownie w klasie trzeciej. Co miłe, na otarcie łez tata kupił mi perkusję, bym mógł utopić swój smutek w muzyce. Było to może mało pedagogiczne, ale za to bardzo punkowe zachowanie.

Ksiądz Jan Twardowski (który był moim kolegą ze szkoły, tyle że w roku 1935) wspominał liceum Czackiego słowami swego nauczyciela: „Klasa chodzi po klasie i nie zwraca uwagi na moje uwagi”. Podpisuję się pod tym.

Liceum to był czas, kiedy chciałem zostać aktorem dramatycznym. Ciągnęło mnie kino oraz występowanie przed płatną publicznością. Oczywiście to nie ja miałem im płacić za obecność, tylko oni za moją. Nie znałem jeszcze wtedy zagrożeń, jakie niesie za sobą zawód aktora.

Jacek Braciak zasłynął ongiś taką konwersacją w moim programie.

Ja:

– Oglądałeś kiedyś *Na dobre i na złe* albo *Na Wspólnej*?

Jacek na to:

– Nawet grałem. Ja we wszystkim grałem.

– W *Plebanii* też grałeś?

– Tak. Mów mi „szmato serialowa”.

Pamiętam swój pierwszy występ w szkole podstawowej, na tak zwanym dniu otwartym. Była to inna, bardziej dyskretna nazwa czegoś, co za kilka lat będzie spędzało sen z mych powiek, czyli tak zwanej wywiadówki. Wywiadówka polegała na tym, że jeden z moich opiekunów prawnych, zwanych dalej rodzicem, udawał się do szkoły z poczuciem, że ma syna sprawnego na ciele i umyśle, a wracał z gwarancją, że zamieszkuje pod jednym dachem z ciemnym odmieńcem o IQ mniejszym niż numer buta. Kiedy jednak byłem bardzo mały oraz wzbudzałem litość u nauczycieli, rzadko otrzymywałem oceny

niedostateczne. Zawdzięczałem to wyglądowi cherubinka oraz krótkiej reakcji słownej na sygnał, że coś mi grozi. Mawiałem wtedy do nauczyciela: „Okej, jutro przyjdę z ojcem”. To działało przynajmniej tak, jakby mój tatuś miał na imię Pershing albo inny Masa. Ale było o czymś innym.

Chyba była to druga klasa szkoły powszechnej. Zanim rodzice dowiedzą się, że ich pociechy to wytrawne osły, pani wychowawczyni przygotowała część artystyczną. Mnie przypadł w udziale wiersz o Gagarinie.

Każdy wie, kto zacz. 12 kwietnia 1961 roku w hełmie z dużym napisem „CCCP” na czole pan Jurij dał się wystrzelić w kosmos na 108 minut. Nieliczni jednak wiedzą, że lotnik spietrał się w końcowej fazie lotu i rzucił w eter absolutnie niesocjalistyczne słowa: „Palę się, żegnajcie towarzysze”. Nikt z radzieckich kamratów mu nie wytłumaczył, że tarcie żaroodpornego poszycia statku kosmicznego o atmosferę i towarzyszące temu płomienie to kosmicznie standardowa sytuacja. I tak niby major, a dupy dał.

Ja podczas mego pierwszego lotu w kierunku bycia gwiazdą postanowiłem być skrajnie inny w odruchach. Z takim zapałem zacząłem recytować wiersz o dzielnym Rosjaninie, że ze wzruszenia popłynęły mi łzy – tak się sobie podobałem. Im bardziej płynęły mi łzy, tym wyżej podnosiłem głowę, żeby licznie zgromadzona publiczność nie dostrzegła prawdy, że sam dla siebie jestem najlepszym recenzentem swego geniuszu. Czułem się jak Wiktor Woroszyłski recytujący swój epokowy wiersz: „To w jej bitwach, zmaganiach, trudach rosła kadra – mądra i mężna. Ona powołała Bieruta, by pod Jego wodzą zwyciężyć”. W „New York Timesie” znalazłem kiedyś notatkę o lekarce, która jednym ruchem skalpela zabiła pacjenta oraz dwie asystujące jej pielęgniarki. Wtedy, gdy tak recytowałem, efekty były prawdopodobnie podobne.

Wówczas jeszcze nie znałem hasła, które za kilka lat oświetli moją drogę artystyczną, a które artystycznie brzmiało: jebać system.

Dziś, gdyby IPN się uparł, mogliby mnie za ten wiersz internować gdzieś w Klewkach i to bez Wi-Fi.

À propos systemu to ze znanym raperem Sobotą gawędziliśmy sobie swego czasu:

- O czym opowiadasz ludziom na swoich płytach?
- No generalnie o tym, co widzę, i o swoim życiu, no nie?

– To znaczy? Bo mówisz: „Wszystkie moje teksty oparte są na moim życiu”, a jednocześnie śpiewasz tak: „Jebać miłość, za damski chuj, jebać mi się chce, niech mi ktoś, kurwa, powie, czy mi się jebać chce”. Widzę, że twoje życie jest barwne.

– No lubię jebać, no. Najbardziej system.

Wiele lat później otarłem się o szczątki kariery amanta filmowego, grając, jak to się literacko mówi, „jako sam siebie” w komedii Andrzeja Saramonowicza *Testosteron*, a następnie, również grając „jako sam siebie”, grałem swymi pośladkami, stojąc obok równie gołych Tomasza Kota i Marcina Dorocińskiego w komedii Andrzeja Saramonowicza *Idealny facet dla mojej dziewczyny*.

Moją życiową chlubą jest wpis na temat tego zacnego produktu filmowego w Wikipedii, gdzie wyraźnie stoi: „Kuba Wojewódzki jako aktor porno”. Przynajmniej dwa słowa z tej informacji są prawdziwe. Niestety następne komedie Andrzeja nie nadawały się już ani do grania, ani tym bardziej do oglądania, więc zakończyliśmy współpracę naszego wirtuozerskiego duetu. Saramonowicz przestał na szczęście robić filmy, ale cały czas, gdy rano wstaje i ma poranną erekcję, to jestem pewien, że to dlatego, że ma świadomość, że on to on. Tak właśnie reaguje sam na siebie.

Zabawnie wspominam scenę z Magdą Boczarską i Piotrkiem Adamczykiem w *Testosteronie*. Para głównych bohaterów poznaje się u mnie w programie na kanapie. Adamczyk wciela się w postać niejakiego Kornela, specja od ornitologii. Bez uzgodnienia zapowiedziałem bohatera Piotra jako „papieża polskiej ornitologii”. Miło było patrzeć, jak papież/Chopin walczy z własnym zakłopotaniem aktora pomnika. Co ważne, ten dubel znalazł się w filmie. To był najbardziej nietrzeźwy plan, na jakim byłem, zaczynający swoją pracę od codziennego trzeźwienia jednego z głównych aktorów. „Pić trzeba umieć” – jak mawiają branżowi klasycy.

Z Aloszą Awdiejewem poruszyłem swego czasu ten piękny temat:

– Alosza, porozmawiajmy o alkoholu. Nie wiedzieć czemu funkcjonujesz jako fachowiec. Ile potrafisz wytrzymać bez alkoholu, szczerze?

Alosza szczerze:

- Nie próbowałem nigdy zbyt długo.
- A jak sobie radzicie wy, Rosjanie, z tak zwanym kacem?
- Nie zauważamy.
- A powiedz mi, co dzisiaj piją Rosjanie?
- Wszystko.
- I co? Można sobie miło rozmawiać bez alkoholu?

Miałem jeszcze dracznym epizod z polskim Edem Woodem, czyli Patrykiem Vegą. Patryk szykował się do komediowego wejścia na duży ekran i zapalał potrzebą zatrudnienia mojej osoby „we filmie”. Dzieło miało nazywać się *Ciacho* i być komedią kryminalną w doborowym towarzystwie. Nie jednak postać Vegi, nie jedna z głównych ról męskich, nie honorarium czy obecność Kota, Karolaka czy Stenki miały być dla mnie magnesem. Był nim nieokreślony związek z jedną z aktorek, która miała grać tam główną rolę. Ona mnie do tego namawiała, a moje wszystkie organy namawiały mnie do niej. Dziwny czas.

Umówiłem się z Patrykiem na śniadanie, podczas którego zamówił pięć jajek na miękko, trzy butelki wody mineralnej oraz kolejne trzy coca-coli. Była to jego dieta, z perspektywy czasu łatwa do zdiagnozowania jako niedziałająca. Oprócz sprytnej kultury żywieniowej reżyser miał też sprytne plan przekonania mnie do swego zrywającego boki narodu *opus magnum*. Podarował mi tylko te fragmenty scenariusza, w których była moja postać, przez co nie miałem wglądu w strzelistą całość.

Przygotowania do roli były jeszcze draczniejsze. Kolega Vega postanowił wprowadzić mnie do komediowej roli metodą Stanisławskiego skrzyżowaną w autorskim miksie z metodą Bergmana.

Nie uwierzycie. Siadam przed nim, mam próbować jakiś głupekowy epizod z Joanną Liszowską, zwaną przez nas z Figurem „Liszą”, a on zaczyna: „Pokaż mi swój ból. Pokaż mi swoje emocje. Co czułeś, jak zmarł twój ojciec? Przywołajmy to”. Prawdę mówiąc, zdębiałem. Szaman przed meczem Polska–Senegal był dla mnie bardziej zrozumiały niż psychodrama Vegi. Potem kazał mi grzebać pod sufitem przy żyrandolu, a wspomniana Lisza grzebała coś przy moim rozporku. No że kurwa, Antygoną połączona z karuzelą. Plusem tej niezrozumiałej żadnym dostępnym umysłem sytuacji było poznanie

przeuroczych braci Zdrójkowskich, którzy, o zgrozo, mieli grać moich synów.

Każdy kolejny dzień budził moje wątpliwości, traciłem orientację, co jest środkiem, co jest celem, a co będzie ewidentnym pawiem. W sukurs przyszedł mi twórca Vega, który podarował mi na tydzień przed zdjęciami cały scenariusz. To mi bardzo pomogło. Dotarłem do jednej z pierwszych scen, gdzie przyszła narzeczona ma wydobyć z odbytu Tomka Karolaka pierścionełk zaręczynowy dla niej, schowany tam w ramach niespodzianki. Maciek Stuhr powiedział mi kiedyś, że jego zdaniem większość krajowych, współczesnych scenariuszy filmowych można bez skrępowania odczytać jako mowę pożegnalną na dowolnie wybranym pogrzebie. Ten dokładnie był taki. Spierdoliłem, gdzie pieprz rośnie.

Kiedy film osiąga sukces, wtedy jest to interes. Kiedy nie ma sukcesu, staje się sztuką. Film Vegi osiągnął nie lada sukces. Tomasz Kot uciekł w góry i wpadł w depresję, a Marta Żmuda-Trzebiatowska nie wychodziła przez miesiąc ani z łóżka, ani z pizamy. Paweł Małaszyński zaczął komponować jeszcze smutniejsze piosenki. Taki to był piękny film.

Mogłem później zrobić karierę międzynarodową, występując w filmie *Prawdziwe zbrodnie* razem z Jimem Carreyem i Charlotte Gainsbourg. Film kręcono w Krakowie i producenci szukali jakiegoś popularnego dziennikarza, który by zagrał – uwaga! – popularnego dziennikarza w rozmowie z Carreyem. Ktoś wytypował mnie i ja mu się nie dziwię. Spodziewałem się kontraktu, własnego campera, własnego krzesła na planie, gwiazdorskich warunków na miarę moich gwiazdorskich fochów, a tu nic. Zadzwońiła pani, wysłała mailem listę dialogową po angielsku i zaproponowała stawkę. Dwa tysiące złotych. Tak. Dwa tysiące złotych, czyli dwa razy po tysiaku. Odmówiłem, gdyż zasadniczo unikam pracy za upokarzające pieniądze. Nie odmówili Agata Kulesza, Kasia Warnke czy Piotrek Stramowski.

Film okazał się klapą na całym świecie. Janek Nowicki zawsze mi powtarzał: „Prawdziwego aktora poznaje się nie tylko po tym, co zagrał, ale także po tym, czego nie zagrał”.

À propos niezagranią w czymś, to miałem wspaniałą konwersację z mamą Roberta Lewandowskiego na jego 30. urodzinach. Pani mama zagaja: „Dzieciaku, jak ja bym do ciebie przyszła, to bym cię zniszczyła”. Ja na to

radośnie: „Zróbmy to”. Mama rezolutnie: „Co ludzie powiedzą? Najpierw Ania, potem Robert, następnie oni razem, teraz matka, a potem pies”. „Macie psa?” – reaguje błyskawicznie zainteresowany perspektywą nowego gościa. „Na szczęście nie” – ripostuje mama.

Można ładnie nie wystąpić? Można.

Ze światem filmu łączę też swoje najbardziej ekstatyczne doznanie towarzyskie. Było to w domu prawnika od cudów prawnych, Loni Fogelmana, który pełni w Warszawie funkcję Jacka Nicholsona. I towarzyską, i erotyczną. Otóż stoimy na tarasie okazałego apartamentu Loni w niebagatelnym składzie – Janusz Głowacki, Marek Kondrat, Jurek Skolimowski i ja. Palimy jointa i deliberujemy o kompulsywnych motywach twórczości Tarantina. A za chwilę miał do nas dołączyć Roman Polański. Moja babcia zawsze błagalnie powtarzała, żebym w życiu uważał i nie wpadł w złe towarzystwo. Tego dnia poczułem, że wziąłem sobie jej błagania do serca.

Swój debiutancki kontakt z telewizją zaliczyłem, uwaga, blisko pięćdziesiąt lat temu, a więc stajecie oko w oko z historią mediów.

Pewnego dnia w szkole podstawowej, w której byłem wówczas pierwszy raz w pierwszej klasie (co jak się później okazało, nie było u mnie normą), pojawił się miły pan milicjant o trądziku tak wyrazistym, że spokojnie można by go było czytać brajlem. I już widzę Joachima Brudzińskiego, jak za to wyznanie skazuje mnie na Twitterze na ciężkie roboty. Pan miły zapowiedział, że Komenda Główna Milicji Obywatelskiej pobudowała miasteczko ruchu drogowego i potrzebuje dzieci z rowerkami, które by zagrały w filmie instruktażowym dla Telewizji Polskiej. Zresztą innej wtedy nie było, bo Zygmunt Solorz nie zaczął jeszcze nawet kramarzyć trabantami z NRD. I ja się oczywiście zgłosiłem, bo wyczułem swoją szansę. Co ciekawe, z mojej klasy byłem jedynym ochotnikiem, ale nie od dziś wiadomo, że niekochane dzieci tulą misie, a te kochane szukają awantur.

Kilka dni później grupa śmiałków spotkała się w rzeczonym miasteczku, gdzieś koło pałacu Mostowskich i zaczęła się jazda. Kamery stały na każdym skrzyżowaniu, a my mieliśmy jeździć zgodnie z przepisami ruchu drogowego.

Grupa kurdupli wyglądających jak uciekinierzy z tortu weselnego oczywiście dostosowała się do tych faszystowskich reguł, a ja tradycyjnie swoje. Tatuś przywiózł mi z delegacji rower, który miał z tyłu grubszą oponę i krótki szeroki błotnik, więc wyglądałem jak żuźlowiec i tak też się czułem. Niestety tak też się zachowywałem komunikacyjnie. Próbowiałem stawać na jednym kole, hamowałem gwałtownie przed pasami, zajeżdżałem drogę gówniarzom. Generalnie byłem sobą za parę lat i w innym pojeździe. Trudno jest ulżyć obciążonemu genetycznie potrzebą koncertowego zwracania na siebie uwagi. Moja duma doganiała wówczas moje rowerowe brewerie.

Dwa tygodnie później z całą rodziną zasiedliśmy przed czarno-białym odbiornikiem telewizyjnym model Stadion, aby gremialnie obejrzeć moje dokonania torowe. Film trwał dobre trzydzieści minut i jakiś telewizyjny Czang Kaj-szek wykastrował mnie z całego materiału. Po moich saltach i korkociągach nie zostało ani śladu. Tak bardzo TVP od początku się mnie bała. Tak bardzo wierzyli, że pociągnę za sobą młodzież i zagrożę systemowi. Tak bardzo bali się mojego efektownego hamowania pedałami. Skądinąd słowa „hamowanie pedałami” dziś brzmią jak nazwa dobrego prawicowego programu. Pomyślałem sobie wtedy: „Sława za życia i sława po śmierci to czasem za dużo. Trzeba umieć poprzestać na jednej”. I postanowiłem być sławny dopiero za chwilę.

Niestety moje inklinacje artystyczne przyjęły postać nie tyle nieprzewidywalną, ile wręcz karykaturalną. Dzięki mojej koleżance Izabelli Kittel poznałem lidera Republiki Grzegorza Ciechowskiego. Grzegorz ze swoim zespołem był wtedy na fali wznoszącej, nie tylko koncertowo czy repertuarowo, ale też mentalnie. Dzięki niemu poznawaliśmy nowe muzyczne lądy takich brzmień jak XTC, Televison czy Talking Heads, sięgaliśmy do Kurta Vonneguta czy George’a Orwella. Był rockowym intelektualistą, których dziś szukać ze świecą i bez świecy nadaremno.

Pamiętam, jak wiele lat później zostaliśmy kolegami i robiłem z nim jeden z wielu wywiadów. „Jakiej muzyki nigdy nie chciałbyś usłyszeć na swoim pogrzebie?” – zagajam jak zwykle taktownie. Grzegorz popadł w zadumę i po chwili wyznaje: „Właściwie to chyba tylko techno. Mnie by to już nie przeszkadzało, ale wyobrażasz sobie ten podrygujący tłum?”.

Zmarł nagle miesiąc później.

Mnie jako dopiero kandydata na intelektualistę urzekła fryzura Grzegorza i wywołałem u siebie taką samą. To było coś pomiędzy nową falą a nadchodzącym wówczas stylem poppersów. Długa, falowana grzywka opadająca beztrąsko na czoło i oczy. Taka trochę strzelista Bogumiła Wander. Efekt był niestety całkowicie odmienny od zamierzonego. Po prostu faceci zaczęli brać mnie za dziewczynę. Przyjmowało to formy nierzadko karykaturalne.

Pamiętam, jak siedzimy z moim bratem na dancingu, w radosnym oczekiwaniu na striptiz, a tu nagle sunie do mnie lekko podchmielony adonis i zagaja z chwiejącą gracją: „Przepraszam, czy mogę panią prosić do tańca?”. No że kurwa mać oraz inne takie same pozostałe. Wziąłem duży oddech i nadając memu głosowi ton pomiędzy Rysiem Rynkowskim a Joem Cockerem, wypaliłem: „Z pijanymi nie tańczę!”. Mój pierwszy w życiu podrywacz odpłynął na swoje wody terytorialne krokiem nader szybkim. Krok nader szybki to taki, kiedy gasisz światło w pokoju i jesteś w łóżku, zanim zrobi się ciemno. I tamten wtedy tak miał.

Parę tygodni później miała miejsce sytuacja gorsza i wielce przytłaczająca.

Podczas bankietu w klubie nocnym hotelu Gdynia przywiało do mnie obywatela Republiki Turcji, zwanego pospolicie Turkiem. Pan Turek miał błyszczące oczy, co najgorsza wielką niewiadomą było, czy na skutek spożycia napojów wyskokowych, czy na skutek gwałtownego zauroczenia miłosnego. Podszedł do mnie, siedzącego na krześle i zatopionego w istotnej konwersacji z miejscowymi kobietami lekkich obyczajów. Wyznał, że zawsze marzył o słowiańskiej małżonce i nie przyjmując odmowy, porwał mnie do tańca. Taniec nieznanego stylu wyglądał tak, że Turek tańczył wspaniale, ciągnąc za sobą krzesło, a mnie na owym meblu. Z tego co pamiętam, po chwili prowadziło krzesło, a mój azjatycki wybranek świętował zaręczyny rozłożystą solówką.

Jaki wniosek należy wysnuć z tej radosnej historii? Prosty. Trudno być atrakcyjną kobietą. Lepiej być średnio atrakcyjnym, ale w miarę trzeźwym w myśleniu facetem.

Ania Dereszowska:

– Seksapil to nie jest powierzchowność, ja ci to już kiedyś powiedziałam. Jesteś megainteresującym facetem.

- Ale brzydkim bardzo?
- Nie bardzo... Ale co tu dużo mówić, no...
- No dobra. Od jednego do siedmiu?
- Nie jesteś modelem. Aczkolwiek gdybym miała wybierać między tobą a jakimś megaprzystojnym facetem, który ma pusto we łbie, to z pewnością poszłabym do łóżka z tobą.

Na pewno w tak zwanym międzyczasie zadawałeś sobie, czytelniku, uzasadnione pytanie, co taki młokos porabiał na dancingu. Odpowiedź jest wymowna.

Wtedy dancing był moim żywiołem. Ojciec mój, Bogusław, posiadał przyjaciela Józefa, który w trudnych czasach PRL-u pełnił manifestacyjną funkcję tak zwanego ajenta. Jako że twór, jakim była ludowa ojczyzna, nie zakładał własności nadmiernie prywatnej, wymyślił postać ajenta. Była to osoba prowadząca działalność gospodarczą na zasadzie dzierżawienia placówki handlowej, usługowej lub coś w tym rodzaju. No i Józef prowadził działalność gastronomiczno-rozrywkową na Mazurach, nad morzem i gdzie się tylko dało, a jej elementem był także striptiz. Jako przejaw owej działalności usługowej oczywiście. Były to przeważnie hotele z restauracjami oraz programem artystycznym. I o ile dancingowych szansonistów szybko zamieniłbym w posiłek dla trzody chlewnej, tak zwanych magików wyciąłbym jak minister Szyszko lasy, to panie striptizerki zyskały szybko moją uwagę i szacunek.

To był fenomen tamtych czasów. Podobno striptiz zadomowił się w naszej ojczyźnie po wydarzeniach 1956 roku. Odwilżowy chaos oraz osłabienie władzy zaowocowało licznymi nadziejami, w tym gołymi babami w lokalach. Podobno i w tym byliśmy pierwsi w bloku wschodnim. Śmiało można powiedzieć, że obnażona publicznie dupa rozpoczęła powolny, lecz nieuchronny demontaż systemu.

Do dziś pamiętam, jak w 1972 roku na łamach „Życia Warszawy” pojawiło się ogłoszenie: „Stołeczne Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych zatrudni w charakterze striptizerek panie o dobrej prezencji, utanecznione, w wieku do 22 lat”. Zainteresowanie przerosło oczekiwania organizatorów tego castingu. Pojawiło się ponad tysiąc kandydatek, co zabawne, niektórym towarzyszyli

mężowie, a innym matki. Sporo było zrywających w ostatniej chwili tarcze z rękawa zwykłych uczennic. Taki był w ówczesnych paniach cug do obnażania się. Moralność socjalistyczna poszła się jebać.

No i ja z bratem, wyzwoleni spod kurateli bawiących się rodziców, staliśmy się stałą publicznością dla striptizu. Co roku w wakacje dostawaliśmy abonament i miejsca w pierwszym rzędzie na taneczną lekcję anatomii. Zawodniczki bywały różne. Mówi się czasami, choć po cichu, że kobieta po czterdziestce to już pomnik przyrody. Niestety zdarzały się i takie. Pamiętam, jak gospodarz przekonywał moich starych, że rozbieranie w rytm muzyki musi być, bo ludzie wtedy zeżrą wszystko. Nasypiesz im na talerze otręby, zalejesz nawozem sztucznym z fosforem, a oni, po ciemku wpatrzeni w zdejmowaną garderobę, pochłoną składniki niczym strawę bez glutenu. Panie się pozbawiały odzienia, a my niczym jury w *Tańcu z gwiazdami* ocenialiśmy ich walory. Już wtedy budziła się u mnie pasja bycia jurorem. Byliśmy niczym (niegdysiejszy) Trybunał Konstytucyjny, wydawaliśmy wyroki ostateczne i niepodważalne.

W tamtych czasach środowisko striptizerek było nieliczne, choć pracowite, i śmiało mogę powiedzieć, że do czasów liceum znałem je osobiście. Spokojnie podczas sekcji zwłok poznałbym każdą po kształcie biustu. W ich profesji jest jednak coś nieuchronnie absurdalnego: zaprzeczenie logiki dziejów. Kobieta uwodzi cię tańcem, aresztuje twoją wyobraźnię i obezwładnia, rozbiera się i następnie wychodzi. Za grosz w tym logiki i zwykłej racjonalnej ekonomii. Często ukrywały się pod zabawnymi pseudonimami: Mirafiori, Sasza Diament czy Sally Minetta. Pamiętam ich złote myśli, którymi mnie karmiły. Na przykład: „Kto rano wstaje, tego nikt nie zaprosił na imprezę wczoraj”. Albo: „Pamiętaj, Kubuś, z rzucaniem używek jest jak z rzucaniem faceta. Często się wraca po pijaku”. Ciekawe branżowe refleksje. Moje koleżanki z dzieciństwa.

Miałem opinię klasowego wesołka, która prawdopodobnie za zamkniętymi drzwiami pokoju nauczycielskiego zmieniała się w opinię szkolnego głupka. Zawsze bardziej ceniłem sobie śmiech moich klasowych kolegów i koleżanek niż tak zwane postępy w nauce. To, jak pokazała późniejsza historia, raczej się opłaciło.

Swego czasu zawitał do mojego show Adam Michnik, co tu ukrywać, postać historyczna. I zaczynamy konwersację:

– Panie Adamie, pan nie występuje zbyt często w telewizji.

Adam na to:

– Ja nie lubię telewizji, to prawda, ale pana lubię.

– Naprawdę? – kokieteryjnie nie dowierzam.

– Wie pan, pan reprezentuje Polskę uśmiechniętą i to ja lubię. Dlatego, że ja tak sobie czasem myślę, że Polska ma w sobie potencjał mroku, smutku, kompleksu. I ma w sobie potencjał autoironii, żartu, radości, nadziei – i pan jest z tej drugiej Polski.

Możecie sobie myśleć o Michniku, co chcecie, ale dla mnie to była jedna z najważniejszych opinii w moim życiu.

Do dziś pamiętam swój występ, gdy pani od geografii zapytała, co to są gleby zwane czarnoziemami. „To stare cmentarze murzyńskie” – odparowałem.

Już wtedy miałem niezłe zadatki na idiotę i rasistę.

Zapytałem kiedyś bez specjalnych ogródek Krystynę Jandę.

– Pani Krystyno, czy ja jestem idiotą?

Odpowiedziała jak zawsze z klasą:

– Czy pan jest idiotą? Tylko na pierwszy rzut oka.

Z czego wynika, że od dawna wymagam baczniejszej obserwacji.

Nigdy nie rozumiałem konieczności stałego, regularnego uczenia się. Stałe i regularne odrabianie lekcji było jak regularny stolec pojawiający się na komendę. Nie do ogarnięcia.

Pamiętam, jak po drodze ze szkoły wyłożyłem tę moją filozofię Tomkowi Passendorferowi, synowi słynnego reżysera. Zgodził się ze mną, ale już nigdy nie podszedł do mnie na przerwie. No ale jego ojciec zrobił słynny film *Kierunek Berlin*, więc może było mu po prostu wstyd.

Najlepszym dowodem mojej filmowej pasji była połówka plakatu *King Konga* wisząca w moim pokoju. Udało się nam go zorganizować z moim ówczesnym kolegą Markiem, który – nie zgadniecie – był synem dozorczy. Była to wersja

filmu wyprodukowana przez Dino de Laurentiisa, pamiętam dokładnie, bo ów plakat miałem przed oczami kilka lat. Dół małpy, bo głowa była u Marka, i tego Dino. Grała tam, choć trudno w to uwierzyć, Jessica Lange. Scena, gdy przerośnięta małpa kąpie ją pod wodospadem, tę Lange, często pojawiała się pod moimi nieletnimi powiekami. W wiadomej nieletniej sytuacji.

Pamiętam, że potrafiłem pójść do kina sześć razy na ten sam film (o *W pustyni i w puszczy* już wspominałem), na przykład o Abbie, szwedzkim zespole, co dawał zamorskiemu krajowi dochód porównywalny z Volvo i Ikeą razem wziętymi. Co prawda państwo mieli nazwiska całkowicie niezapamiętywalne, niczym zawodnicy kombinacji norweskiej, ale panie, szczególnie jedna, miały walory jak najbardziej pamiętne.

Po raz pierwszy odkryłem wtedy, że kino powinno być dostępne także w wersji pisanej brajlem, jak przyciski w windzie. Zaczytywałbym się w pośladkach tej drugiej.

Generalnie z wesołkowaniem trzeba uważać i znać swoje granice. To oczywiście wersja oficjalna, bo nieoficjalnie uważam zupełnie inaczej.

Z mistrzem dubbingu Jarkiem Boberkiem dawno temu konwersowaliśmy w podobnej kwestii:

– Zdarzyło ci się kiedyś zamawiać taksówkę głosem Kaczora Donalda?

Jarek na to:

– Oczywiście.

– I co?

– Nie przyjechała.

– A głosem księcia Juliana?

– Zadzwońłem kiedyś do banku jako Julian.

– I co – dopytuję. – Dali Julianowi kredyt?

– Nie, przyjechała straż miejska.

Zawsze chciałem być rozpoznawalny. Nie do końca wiem, czy popularny, ale na pewno rozpoznawalny. W popularności czai się coś tandetnego. Coś plebejskiego. Gdzieś czają się brzydki oddech i zniszczone buty masowego gustu. A ja nie lubię masowego gustu. Z tą rozpoznawalnością też bywa różnie.

Kiedyś moim gościem była Janina Paradowska, znakomita dziennikarka tygodnika „Polityka”, chciałoby się dumnie powiedzieć: „w przyszłości moja koleżanka z redakcji”.

Siada na kanapie i ja zagajam:

– Pani Janino, takie pierwsze pytanie na początek, takie bezczelne nawet trochę, mogę?

– No proszę bardzo, w końcu po to tu jestem – pięknie zaprasza pierwsza dama publicystyki.

– Pani mnie kojarzy trochę?

Ona na to:

– Ostatni raz pilnował mi pan samochodu na placu Trzech Krzyży, siedząc w kawiarni.

Genialna. Postawiła mnie do pionu, mimo że siedziałem.

Zastanawiałem się po wielokroć, skąd się to wzięło. I chyba wiem.

Gdzieś koło piątej klasy podstawówki wybraliśmy się z moimi ziomkami (choć to pojęcie przyszło na świat jakieś czterdzieści lat później) na film z panem Louisem de Funèsem, który nas wówczas nad wyraz bawił. To taki dziadek o urodzie uśmiechniętego prezesa Kaczyńskiego. Czyli dosyć rzadkiej.

Chodzenie z ziomkami do kina zakładało pewną specyficzną hierarchię czynności kinowych. Najpierw wchłania się wszystko, co się przyniosło do zjedzenia, a następnie to, co do popicia. Potem na oparciu krzesła z rzędu poprzedniego informuje się następne pokolenia, o wizycie w tej placówce kulturalnej, ryjąc skromne „Kuba tu był”. Jak starczyło zapału oraz narzędzi, to w grę wchodziła jeszcze data. Następnie grało się w przeróżne gry i zabawy towarzyskie typu głuchy telefon, „akustyczny kutas”, ewentualnie „czy jest na sali lekarz”.

„Akustyczny kutas” był naszym patentem i jestem z niego bardzo dumny. Zasady gry w „kutasa” były czytelne. Szło się do miejsca publicznego typu kino, sklep czy kościół i wygrywał ten, który najgłośniej powie słowo „kutas”. Śmiało mogę wyznać, że w „kutasiu” miałem czarny pas. Dopiero po wyczerpaniu własnego repertuaru zwracało się uwagę na repertuar wyświetlany na ekranie.

I tak, bawiąc się niezrównanie naszą kreatywnością, zwróciłem uwagę, że siedzący z nami w ostatnim rzędzie (a jakże, w ostatnim siadali tylko twardziele, ewentualnie osobniki osłabione darem dalekowidztwa) młody chłopiec bawi się świetnie jako widz podglądacz, który nie gapi się na ekran, tylko na mnie. Zapytał mnie w pewnym momencie swojsko: „Pewnie myślisz, że jestem dziewczynką?”. Wiele lat później na takie pytanie w kinie, w mroku i na dodatek w pełnym wrażeń niefilmowych ostatnim rzędzie, zareagowałbym pewnie ucieczką, ale wtedy mnie to zaintrygowało. Trochę jak w tej historii, którą opowiadała mi babcia: „Zobaczysz, jak trochę dorośniesz, to będą cię zaczepiać różni panowie, będą proponować seks i narkotyki. Uważaj”. No i ja w tym uważaniu czekam do dziś – i nic.

Ale wracając do chłopca-dziewczynki. Od słowa do słowa, okazało się, że był odtwórcą roli filmowej niewysikanego Jacusia, synka milicjanta na motorze, w kultowym obrazie *Nie lubię poniedziałków*. Spodobała mi się jego swoboda, łatwość nawiązywania kontaktów i zauważalna pewność siebie. Nie ukrywajmy. I to po jednym występie ekranowym.

Pomyślałem wtedy sobie: „Ja też tak chcę”. Mało tego: „Ja też tak mogę”. I ruszyłem do natarcia jak jurny dzięcioł. (Widziałem kiedyś taką regionalną reklamę czegoś na potencję o nazwie Jurny Dzięcioł. Małym druczkiem było napisane: „Jak zażyjesz, będziesz pukał jak wariat”).

Kolejnym ważnym ogniwem mego udawanego rozwoju w kierunku nieudawanej rozpoznawalności była Agata Siecińska. Wam, nastoletnie kmioty, nic to nazwisko nie mówi, ale ona była pierwszą seksbombą kina harcerskiego lat siedemdziesiątych. Jej największa i niemalże jedyna rola to postać Karioki w kultowym serialu *Stawiam na Tolka Banana*. To było takie gangstersko-harcerskie kino z czasów łobuzów i dobrych milicjantów. Ona grała tę niedobłą, co staje się dobra pod wpływem Banana. Brzmi trochę jak opis pornosa, ale taka była z grubsza fabuła. Kochały się w niej wszystkie roczniki od 1960 wzwyż. A ja wylądowałem z nią na zajęciach z tak zwanego malarstwa, na które zapisałem się osobiście, gdyż wówczas czułem zew koloru i faktury. Agata, dziś znana artystka, pokazywała mi, jak używać pędzla, jak dobrać pędzel, a finalnie jak pędzel czyścić, a za nami stał tłum rozerotyzowanych przyszłych malarzy i z trudem ukrywał własne pędzle w nogawicach. Była w niej taka siła, taki niewymuszony magnetyzm, a także zwykły kobiecy wdzięk, że zapragnąłem

tego samego. Może z wyjątkiem tego wdzięku.

Ciekawe, że długo nie myślałem, że to może zaowocować pieniędzmi i tak zwanymi fanami. Choć w naszym kraju raczej powinienem napisać: fanami i tak zwanymi pieniędzmi.

Z fanami to bywa zresztą różnie. Janek Nowicki opowiadał mi kiedyś, jak siedzą z Janem Fryczem w garderobie po spektaklu, a pod drzwiami słychać szelesty i chichoty. Frycz na to do Nowickiego: „Fanki do ciebie przyszły”. Nowicki z rezygnacją: „To bardziej do ciebie. Moje już tylko kaszlą”.

Koniec.

Raz dostałem nagrodę tak zwanego Wiktora, przyznawaną przez Akademię Wiktorów, czyli laureatów poprzednich edycji Wiktorów. Dla mnie za dużo Wiktora w Wiktorze. Wolę być oglądany niż nagradzany. Nie wiem, jak było to motywowane, bo nie miałem okazji być na gali wręczenia tych zaszczytnych nagród. Mój kolega juror Robert Kozyra dostał kilka Wiktorów lub Telekamer czy innych Fryderyków. A jednocześnie powszechna jest opinia, że jego praca za stołem w *Mam talent* była lotna jak szafa trzydrzwiowa z wielkim lustrem weneckim.

To dziwna schizofrenia i rozdźwięk. Kogo lubimy oglądać, a kogo lubimy.

Wiktory stoją w mieszkaniu Urbana, Kwaśniewskiego czy Marcinkiewicza. To najlepsza rekomendacja, żeby Wiktora nie wpuszczać do siebie na chatę.

Ukoronowaniem mojego medialnego istnienia stał się syndrom medialnej huby. Jazdy na gapę na poczet mej tak zwanej medialności znacznej liczby jegomościów, którzy przyczepiając się do mojego nazwiska, windowali swoje z mielizny zapomnienia. Znam tę tendencję i ze źle ukrywaną skromnością przyznam, że jestem z niej dumny. Choć jednocześnie mnie śmieszy i zastanawia.

Od kilku lat mam nawet kilku notorycznych recenzentów mojego żalosego istnienia. Wyraźnie aktywnym komentatorem tego, kim jestem, bywa niejaki Tede, dosyć okazałych rozmiarów gość, będący jakiś czas temu równie okazałych rozmiarów gwiazdą hip-hopu.

Próbowaliśmy go raz zaprosić do mojego programu, ale odmówił. Ludzka rzecz. Ja gdybym był nim, to też bym odmówił przyjscia do mnie. Zobaczyłem go kiedyś, jak pocił się pod ciężarem smutnoegzystencjalnych pytań u Grzegorza Miecugowa w TVN24. To było jego Waterloo, podczas którego słynny okrzyk: „Gwardia umiera, ale się nie poddaje” był jak najbardziej prawdziwy. Tede walczył z pokręconą umysłowością Miecugowa, nie czując, że już w pierwszych minutach został otoczony i pobity. Dziennikarz pytał go, czym jest dla niego Polska i patriotyzm, za nic mając powszechne informacje, że on jest specem raczej od pękniętych jeży, gibbonów oraz fejmu. Miało być „Wielkie Joł”, a wyszło „małe wow”.

Nigdy nie zamieniłem z facetem ani jednego zdania, co mu nie przeszkadza snuć fal niekończących się wspomnień na temat tego, jak to go nie poznałem na stacji benzynowej, odwróciłem głowę albo minąłem bez uśmiechu na ulicy, gdy on był na tejże ulicy. Ot, mały chłopiec w wielkich portkach z ukruszonym ego.

Jak donieśli mi jego zaufani współpracownicy, mama Jacka, bo tak chyba ma na imię mój fan, zabroniła mu wizyty u mnie, a on mamę swoją kocha. Kiedyś gdzieś w Polsce widziałem takie ogłoszenie: „Parafia Rzymskokatolicka. Przedsiębiorstwo Wielobranżowe Świętej Rodziny”. I oni z mamą tak podobno działają. Jacek pyskuje do mikrofonu: „Dobra, pierdołę, olewam to, idę, a ty, eee, opanuj drganie łydek, Dzidek”, a mama oblicza mu VAT.

Nie znam go, ale lubię. Sprawia wrażenie, że chciałby sprawiać wrażenie, że ma wszystko w dupie, a ja lubię taką prostą filozofię. Ma poczucie humoru, lubi dziwne fury, a poznane dogłębnie laski liczy nonszalancko jak Państwowa Komisja Wyborcza głosy. Czasami myślę, że istnieje taka kategoria ludzi, którym ewolucja powinna zafundować pośladki ułożone poziomo. Wtedy biliby sobie brawo za każdym razem przy schodzeniu po schodach. I on mi wygląda na takiego człowieka, w czym, nie ukrywajmy, jest podobny do mnie. Tede, jak sam mówi, nie pała do mnie sympatią, co jest jego osobistym prawem... do popełniania błędów.

Ukoronowaniem naszej specyficznej randki w ciemno był numer, który podobno zadedykował mojej osobie: „Erotoman, trochę narkoman, niegłupi chłopak, śpi na milionach”. Co tu ukrywać – nie trafił tylko z jednym.

Kolejnym z takich jegomościów jest muzyk Tymon Tymański, podający się

dość wylewnie za mojego kumpla, wręcz przyjaciela. Byłoby dla mnie przedmiotem znacznej zgryzoty poczucie, że przy nagranych ponad trzydziestu płytach i dość wyrazistej pozycji w swoim nurcie na rozgłos mogę liczyć tylko w przypadku wypowiedzi na temat jakiegoś cymbała. Czyli mnie. A tak się dzieje w jego przypadku. Tymon z gracją tygodnika „Party” opowiada o moich przyjaciółach, pieniądzach, sławie i jej braku, karierze i jej końcu. Gdybym był brutalny, stwierdziłbym grubiańsko, że beze mnie Tymona medialnie nie ma, bo kogo interesuje jego płytki buddyizm, dosyć wioskowe już karate czy zakurzone płyty. Więc żeruje na mnie jak PiS na Smoleńsku. Widocznie każdy ma takiego pasożyta, na jakiego zasłużył.

Kilka razy podsłuchałem Tymona w audycji *Poranne kakao* w Rock Radiu. I zacznę z drugiej strony.

Lubię radiowe przegięcie. Lubię brawurowych dziennikarzy, takich, którzy potrafią podejść do konającego uczestnika walk ulicznych i zapytać: „Witam serdecznie, jak się panu podobały dzisiejsze zamieszki?”. Niestety Tymon w radiu jest jak jego ulubiony temat: penis. Przegięty wiecznie w jedną stronę.

Przyjmę na klatę wszystkie zarzuty dotyczące mojej radiowej metody, ale nikt mi nie zarzuci, że wszędzie doklejam wspólny mianownik wszechrzeczy w postaci penisa. Mój muzyczny przyjaciel w eterze jest jak meduza. W dziewięćdziesięciu ośmiu procentach składa się z wody. Leje ją, przelewa, wylewa, dolewa, i tak w kółko. Mamy formę, a trwają rozpaczliwe walki o treść. Wygłasza sądy, diagnozy oraz laudacje, jakby był jedynym prelegentem na zjeździe wiejskich głupków. A ja lubię inteligentne poczucie humoru. Najbardziej własne.

Takie jak na przykład podczas miłej konwersacji z Hubertem Urbańskim właśnie pozbawionym pracy w TVN-ie.

– Zastanawiałem się, czy to jest przejaw sarkazmu, który lubię, czy to już przejaw frustracji, kiedy powiedziałaś: „Nie widzę dla siebie zadań w stacji. Przecież nie będę gościem, który chodzi po mieszkaniu w białej rękawiczce i sprawdza, czy półki są z kurzu wytarte”.

Hubert na to:

– To powiedziałem.

Ja na to:

– O kim ty myślisz? Co masz do Radka?

Ale żeby nie było. Uważam Tymona za piekielnie zdolnego animatora. Nie wiem, czy jest wielkim muzykiem, ale jest specem od muzycznego fermentu. Świetnie miesza style i nasącza muzykę poczuciem humoru. Jest kabotynem, ale – tak jak ja – z powołania, nie z przypadku. Gdybym oceniał go w kategoriach muzycznych, byłby dla mnie postacią historyczną. A w kategoriach walki o sławę jest postacią historyczną. Tymon jest typowym gamoniem z undergroundu, któremu znudziła się zabawa w piwnicy. Chce sławy, bo wie, że na nią zasługuje. Ale chce i boi się. Jest najlepiej zamaskowanym celebrytą ostatnich lat. Czuje się jak przyjezdny z Reymontowic do rodziny z Warszawy. Taszczy ze sobą smród i kompleksy alternatywy, a chciałby być chłopcem z plakatu. Tacy są najsmutniejsi i najśmieszniejsi zarazem. A przecież jego *Kury*, *Polovirus* czy pierwsza płyta *Miłości* już zapewniają mu miejsce na olimpie. Tylko nikt o tym nie wie i co najgorsze, nigdzie nie ma z tego zdjęć.

W naszej ostatniej rozmowie na korytarzu Agory, gdzie Tymon rozdawał swoją płytę, zawyrokował mi z miną Kasandry: „Kończysz się”. Ja mu, z przyjaźni oczywiście, życzę, żeby on się kiedyś tak zaczął, jak ja się dzisiaj kończę.

Widziałem kiedyś w lokalnej prasie takie ogłoszenie kliniki medycyny estetycznej: „ładne uszy dla dziecka. Większy penis dla taty”. Polecam to dziś z przyjaźni Tymonowi. Uszy może odpuścić.

Mariusz Jakus, aktor z dość charakterystycznym obliczem, opowiadał mi kiedyś, że kumple zabierali go często na imprezy, bo miał być ich „licencją na ruchanie”. Ja, w pewnym sensie, to samo zapewniam Tymonowi.

Czasami mam wrażenie, że prawdziwą sławę gwarantują nam hejterzy. Nienawistnicy nawet po medialnej śmierci utrzymają nas przy życiu, żeby móc pracować, w cieniu swych klawiatur, bezcześcić nasze zwłoki. To dzięki nim stajemy się nieśmiertelni. Na pohybel ZUS-owi.

Parę miesięcy temu na Facebooku ktoś napisał do mnie przyjazną wiadomość, w której wyznał, że mnie podziwia i zawsze chciał być taki jak ja. Ktoś, kto ukrywał się pod tajemniczym nickiem Milf Hunter Anal Tornado. Dziś

jestem pewien, że to był Tymon.

Ale wróćmy do liceum, gdzie zastała mnie pierwsza wojna narodowa.

Stan wojenny oswoiłem na swój sposób. Od kiedy emo generał postanowił dać narodowi do myślenia dużą liczbą czołgów na ulicach, wiedziałem, że najgorszym wyjściem będzie emigracja w powagę.

Jaruzelski to dla mnie mocno literacka postać. Nadaje się na bohatera tragicznej i piekielnie nudnej powieści, bo podobno do końca był całkowitym abstynentem. Lubiłem jego przemówienia – powinny być nagrywane na CD i sprzedawane na stoisku z etykietką „ciężkie brzmienia”. Miał charyzmę drugorzędного pracownika ZUS-u i nie większe osiągnięcia. Był najnudniejszym dyktatorem w historii świata. Nie powinniśmy go rozliczać za to, czy stan wojenny nas ocalił, czy pogrążył w nietrwaniu. Powinniśmy go ukarać za tę pieprzoną żołdacką nudę.

Andrzej Stasiuk powiedział mi, że polityków trzeba sobie wyobrażać na golasa. Od razu jest lepiej.

Kiedy spróbuję sobie wyobrazić generała Wojciecha nago, to mi nie wychodzi. Mam wrażenie, że pod mundurem to on miał kolejny mundur. Jeszcze bardziej sztywny i wyprasowany. Czasami zastanawiam się, czy nie był sekretnym ojcem Roberta Kozyry. Obaj prezentowali przed kamerami ten sam wdzięk i lekkość. Żeby jednak w historii panowała równowaga, uwielbiam jego córkę Monikę.

Cytując raz jeszcze Stasiuka, tym razem z *Próby biografii intelektualnej*. Andrzej wspomina pobyt w pierdlu, kiedy wprowadzono stan wojenny. „Siedzieliśmy jak myszy pod miotłą. Nastrój był podniosły. Dopiero pod wieczór zrozumieliśmy, że to tylko wojna z narodem. Dosyć nam ulżyło. Nie czuliśmy się zanadto narodem, więc sprawa nas jakby mniej dotyczyła”. Święte słowa, bo pomimo że ja jeszcze siedziałem w szkole, a nie w więzieniu, odczucie miałem podobne. Ojczyzna stała się na długie lata pasem startowym dla wszelkiej maści oszołomów, strażników socjalistycznej czystości i kanibali postępu. Wtedy rodziła się moja polityczna świadomość na styku dwóch epok, że w dyktaturze wolno głupcom rządzić, w demokracji wolno głupcom głosować. I czasem trudno pojąć, co jest gorsze.

Najlepszym odwetem za dialog ze społeczeństwem za pomocą broni był humor.

Działalność polityczna zawsze była u mnie sklejona z poczuciem absurdu i umowności wszystkiego. Na wieczorne patrole ZOMO znalazłem uniwersalny znieczulacz, który był przepustką lepszą od legitymacji z sierpem i tym drugim. Ilekroć mnie zatrzymywali celem kontroli, ja rozpoczynałem recytowanie słowami: „Panowie, a znacie to z wczorajszego *Dziennika Telewizyjnego*? «Pędzi pociąg historii, błyska stulecie-semafor. Rewolucji nie trzeba glorii, nie trzeba szumnych metafor. Potrzebny jest Maszynista, którym jest On: towarzysz, wódz, komunista – Stalin – słowo jak dzwon»”. To oczywiście mój ulubiony alkoholik Władysław Broniewski. Wsiowe chłopaki, wcielone do oddziałów ratujących ojczyznę przed narodem, głupieli. Nie wiedzieli, czy jestem prowokatorem, czy agitorem. Czy mnie pałować, czy mi czapkować. Prymitywne głowy, nawet te z hełmami na czerepach, mają jednak jakąś pokorę i szacunek dla sztuki wyższej, więc zwykle puszczały mnie wolno. Raz nawet chcieli mi zhandlować psa, z którym byli. „Te, student – zagaili przyjaźnie – psa chcesz?”. „A po co mi taki pies” – odpowiedziałem, ledwo maskując drżenie głosu. „Będzie cię chronił przed takimi jak my” – wypalił ten z brawurowo ocalałą jedynką w uzębieniu. Zarechotali zgodnie, zgrzytając magazynkami od kałasznikowów. „Jak go tydzień przegłodzisz, to ci ulotki z dupy wyrwie” – sprzedawał mi instrukcję obsługi psa pan mundurowy. Okazało się, że szkołą te bestie na wyszukiwanie zapachu specyficznej farby z podziemnego powielacza. Jankowi Gutenbergowi przydarzył się historyczny pretekst, by przewrócić się w grobie. Psa nie nabyłem, życie ocalałem, a obrońcy ojczyzny pożegnali mnie życzliwym: „A teraz spierdalaj do siebie i żebyśmy cię tu nie widzieli”, co miało w sobie pewien paradoks, bo ja byłem u siebie na Krakowskim Przedmieściu, a oni ewidentnie byli przyjezdni.

Wiele lat później Maciek Stuhr opowiadał mi podobną historię, jaka przytrafiła mu się w Krakowie. Otóż wracając nocą z teatru, napotkał w ciemnej uliczce kilku jegomościów, co to już mieli kupca na jego zegarek i okulary. I on, nie czekając na ciosy oraz zbędne negocjacje, zaczął recytować, bodajże *Beniowskiego*, poemat rytmiczny. Nie wiem, którą pieśń wybrał, ale napastnicy

zglupieli i obeszli go szerokim łukiem. Tak silny jest w narodzie respekt dla liryki.

Maciek to dla mnie postać ważna, choć on sam o tym nie wie.

George Bernard Shaw powiedział kiedyś, że w życiu niewiasty można rozróżnić siedem okresów: niemowlę, dziewczynka, dziewczyna, młoda kobieta, młoda kobieta, młoda kobieta i młoda kobieta. Z tej sentencji wysnuć można dość oczywisty wniosek. W życiu Maćka Stuhra można rozróżnić siedem okresów: niemowlę, chłopiec, chłopak, młody Stuhr, młody Stuhr, młody Stuhr i młody Stuhr.

A początków nie miał łatwych. Jego ojciec chrzestny, Jan Nowicki, opowiadał mi, że Maciej był wyjątkowo jak na dziecko brzydkim chłopcem. Z licznych reakcji moich licznych koleżanek na Macieja dziś wysnuwam wniosek, że mu to przeszło. Nigdy nie złapałem go na seksistowskich komentarzach czy zachowaniach. Nawet w tej dziedzinie, musiał być prymusem. Ma w sobie jakąś skromność, która w czasach natarcia Instaporno staje się towarem ekskluzywnym. I co tu ukrywać rzadkim.

À propos pewnego razu odwiedził mnie Jurek Owskiak.

– Mam do ciebie pytanie, które jest chyba dobrym początkiem naszej rozmowy. Jaka piosenka albo tytuł jakiej piosenki najlepiej opisuje twoje życie?

– W ogóle?

– Myślałeś kiedyś o tym? Bo na przykład ja ci mogę powiedzieć, tytuł jakiej opisuje moje życie: Tomasz Niecik 4 *osiemnastki*.

– Ty wiesz co... Mi teraz zadałeś pytanie! Patrz, siedzę tak w tej muzie... Ty wiesz, że ja bym musiał chyba wrócić do czegoś takiego, czego w ogóle wy nie pamiętacie kompletnie. Pamiętasz, jak Czerwone Gitary śpiewały *Nie zadzieraj nosa?*

– Tak.

Jurek już stanowczo:

– Nie zadzieraj nosa.

Ja:

– Nie rób takiej miny.

Było kilku aktorów, którym po roku 1989 rzeczywistość filmowa włąmała się do historii prywatnej i zatarła granicę prawdy i fikcji. Pierwszym był Bogusław Linda w *Psach*, a ostatnim właśnie Maciej Stuhr w *Pokłosiu*.

Na naszych oczach z aktora stawał się ambasadorem sprawy, która przypominała nam, jak równo mamy poukładane historyczne trupy w szafie. A tego nikt nie lubi. I jednemu z najsympatyczniejszych młodych ludzi w krajowym filmie zrobiono coś na miarę pogromu. Dołączając do tego życie rodzinne. Pracowaliśmy wtedy razem w Esce Rock, prowadząc wspólnie poranki. Klasa, z jaką unikał odwetu, czy nawet zwykłej pyskówki, musiała robić wrażenie. Brukowce chciały go sprowadzić do swego poziomu, a on się nie dał. Codziennie w radiu jadł pączka i pił red bulla ze stacji benzynowej. Czasami ja też jadłem pączka, bo to dobry kolega jest. Maciek boleśnie doświadczył faktu, że w tym kraju nie można być jednocześnie i pieszczochem widzów, i ich wyrzutem sumienia. Na naszych/moich oczach, w dość skrajnych warunkach, wobec propozycji, by „wypieprzał z kraju”, „młody Stuhr” stawał się „starym Stuhrem”.

Bezczelnością byłoby porównywać się do Maćka. No bo on młody, zdolny, a nie dość że zdolny, to jeszcze wszechstronnie utalentowany, a poza tym z dobrej rodziny. No i ma Złoty Krzyż Zasługi. A jako że ze mnie niemal wzór bezczelności, to się porównam.

Obaj jesteśmy bardzo rozrywkowymi chłopcami i obaj mamy niezwykłą skłonność do samotności. Obaj jesteśmy bardzo towarzyscy, ale i obaj bardzo wyraźnie stawiamy słupy graniczne naszej prywatności. Obaj mamy poczucie dumy wynikające z tego, kim jesteśmy – z czego on ma prawo mieć większe. Obaj mamy chyba problem braku zgody na wchodzenie z butami do naszego dyskretnego świata. A to jest jakiś rodzaj wewnętrznej zgody. Z Anią Lewandowską swego czasu dyskutujemy:

– Nie męczy cię to, że was opisują, prześladują, przeinaczają. Czy ciebie to bawi? Czy ciebie to nie dotyczy, bo wyjeżdżacie do Niemiec i wiesz... żelazna kurtyna?

– Wiesz co? Dwa lata temu jeszcze bym ci odpowiedziała zupełnie inaczej. Natomiast my na to się zgodziliśmy w jakiś sposób, tak.

– Ale co to znaczy „zgodziliście się”?

- Jest to związane z naszą pracą, z naszym zawodem.
- Z waszymi zawodami.
- Z naszymi zawodami, z naszą pozycją jako *power couple*.
- *Power couple!*
- Czyli Wielka Trójka.

Maciej jest przyzwoity, dobrze ułożony, ma kindersztubę. Jego poczucie humoru jest eleganckie, literackie i z umiarem. Co on przez blisko rok robił przy takim degeneracie jak ja, do dziś jest to dla mnie zagadką. Ma szacunek dla ludzi ze swojego środowiska. Kiedy na antenie radiowej zażartowałem, że Julia Pietrucha to najlepszy przykład, że nazwisko bywa stanem umysłu, on zachnął się i mocno zdystansował. Dla niego ona była koleżanką po fachu, dla mnie dziwną kobietą, która za szczyt ambicji wzięła sobie, aby przekonać mnie, że mnie nie lubi. Nie mając zielonego, a więc zgodnego z nazwiskiem, pojęcia, że ja kompletnie nie wiem, kim ona jest.

Obu nas ciągnie do ludzi, ale odrzuca od tłumu. Obaj unikamy ludzi, którzy karmią świat nienawiścią. Jest w nas radość na zewnątrz i sentymentalny smutek w środku. U niego to rozumiem, bo całe życie ściga się ze zdolniejszym ojcem, ale dlaczego mam to ja? On grał w filmach, gdzie walono gruchę do jogurtu, a jego stary, pomimo że rektor, jeździł po ekranie zamknięty w czajniku. Siebie warte towarzystwo.

Mój program, zatytułowany nieprzypadkowo *Kuba Wojewódzki*, powołałem do życia z wielu powodów, ale jednym z nich była chęć poznania ludzi wartych poznania. I możecie mi nie wierzyć, ale jednym z pierwszych był właśnie Maciej Stuhr. On nosi w sobie jakiś wymarzony wzorzec dobrego kumpla. Sam nie wiem, czy przez role, które grał, szczególnie w *Chłopaki nie płaczą*, czy przez to, jaki jest naprawdę. Bo z tym to nigdy nie wiadomo. Ja też już nie wiem, które moje ja jest prawdziwe. To medialne czy to, jak mawia moja koleżanka Ania Czartoryska, w cywilu.

Kinowy Maciek to kompan idealny. Od wspólnego skręta, fajnych lasek, bystrych puent, życiowych poślizgów czy romantycznych eskapad. Najgorsze jest jednak to, że jak mu się chce, to w życiu potrafi być taki sam. Ma niezwykły dar obdarzania swoich celuloidowych bohaterów niezwykłym ciepłem. Pewien

jestem, że gdy zagra Andersa Breivika, norweskiego świra-kilera z wyspy Utøya, a zagra, bo do złudzenia go przypomina, widzowie wyjdą z kina pełni sympatii i współczucia dla narodowca-snajpera.

Niestety wadą, która go trawi, jest bezdyskusyjny heteroseksualizm.

Wyznał mi kiedyś, że na jednym z dużych festiwali zaczął się do niego umizgiwać Pewien Znany Światowy Reżyser. No mówię wam, duże nazwisko, z dużymi dochodami. Na początku było delikatne, niby przypadkowe muśnięcie rączki. Stuhr, jak na nielotnego heteryka przystało, zalotów nie odczytał. Znany Reżyser postanowił odrobinę docisnąć swoje zamiary i poszedł za naszym bohaterem do toalety, po czym zaatakował go zdradziecko od tyłu w trakcie procesu oddawania moczu. Maciej spanikowany odskoczył i jak przystało na krakowskiego inteligenta, zaczął się misternie tłumaczyć: „Słuchaj, chyba mnie źle odczytałeś. Nie jestem gejem”. Znany Reżyser odpowiada zgrabnie i podstępnie: „Ja też nie. Chodź do mego pokoju”. Znany Polski Aktor przyparty do pisuaru naświetla szersze tło: „Słuchaj, przepraszam cię, ale ja mam żonę”. Tamten na spokojnie: „Nie szkodzi. Ja też mam”.

W tej kłopotliwej dla niektórych materii pamiętam dialog u mnie Piotрка Roguckiego i Roberta Biedronia.

Rogucki:

– Pan jest gejem, wszystko okej, ale większość polityków to kompletne cioty.

Biedroń na to:

– Zgadzam się.

Myślę, że Maciek skutecznie zagrał już wszystkie odmiany młodego Stuhra i teraz będzie wypełniał tę aktorską przestrzeń pomiędzy młodym Stuhrem a starym Stuhrem.

Złośliwcy mawiają: „Życie zacina się po czterdziestce”. Maciej, to znaczy, że teraz będzie jeszcze gorzej.

Niestety, czasy celebryckie, które nastąpiły w polskim szoł-biznesie, gubią gdzieś takich ludzi jak Maciek. Nie ma bowiem jasnych kryteriów sukcesu, jest za to spora liczba kretynów bez sukcesu. No dobra. Ja tu o Maćku, a czas powrócić do Maćków Chełmickich. To taka metafora dla bardziej odczytanych.

Czasy były znerwicowane politycznie i historycznie. Podręczniki pisały się na naszych oczach i czasem mieliśmy tego dosyć. Jak mawiają lekarze: „Nieudana operacja to przynajmniej połowa udanej sekcji”. Coś z tego ducha operowania na otwartym sercu społeczeństwa przenosiło się do naszej szkoły. Jako że liceum mieliśmy napakowane nabzdyczonymi opozycjonistami z opornikami w klapach, postanowiłem z moim kolegą Markusem wyjść naprzeciw ich niepodległościowym cierpieniom. Marek był rastafarianinem, co demonstrował uczesaniem, błędnym okiem oraz pielęgnacją ogródka z roślinnością sprzyjającą dziwnym pomysłom. Powołaliśmy do życia organizację o nazwie KRÜK. Przez umlaut, dla podkreślenia słowiańskiej rangi tego całkowicie nonsensownego projektu. Podczas lekcji polskiego, gdzie nasza nauczycielka tradycyjnie odczytywała kolejnemu pokoleniu to, co w podręczniku napisał ktoś nauczający przed nią, my napisaliśmy statut organizacji. Roilo się tam od bzdur i niedorzeczności typu: „Kruk krukowi oka nie wydziobie”, „Kruk *muss sein*”, ewentualnie „Kto nie jest krukami, niekoniecznie musi być wroną” i tym podobnych. Chodziło o to, by wstrzelić się ze swym programem w pragnienia wszystkich niepełnosprawnych wiedzowo i światopoglądowo. Tak znieczulaliśmy się na grozę komuny, ale i powstańczą powagę i narodowy szyk naszych kumpli. Robiliśmy coś po nic. Dla zgrywy. Byliśmy Raskolnikami swoich czasów, którzy ostrą siekierę zamienili na tępą satyrę. Obie strony faszerowały się górnolotnymi apelami, odezwami i groźbami, więc staraliśmy się być lekarstwem, dwuosobową odtrutką na doraźność. Do statutu naszej bojówki dołączyliśmy kodeks etyczny. Był nie mniej wirtuozerski. Na przykład punkty: „Pod żadnym pozorem dwóch członków organizacji nie może iść pod jednym parasolem”. Albo: „Podczas jazdy samochodem postój na odlanie się zarządza członek organizacji z najsłabszym pęcherzem”. Końcowy zapis był najmocniejszy: „Członek naszej grupy nigdy, ale to nigdy nie robi sobie pedicure”. Aby jeszcze bardziej zatrwożyć belfrów, wieczorową porą na asfaltowym boisku szkoły wymalowaliśmy pędzlami te cztery święte dla nas litery. Białą farbą. Wyglądało to pięknie i groźnie. Oczywiście nie muszę nikomu tłumaczyć, że w naszej działalności wspomagaliśmy się trochę, jak to pisał Kaliber 44, niejaką marią, ale nie tak, żeby zatracić kreatywność.

Tu nutka powagi. Z pewnymi rzeczami trzeba uważać i dlatego przytoczę najbardziej światłą dyskusję, jaką przeprowadziłem kiedyś z Titusem, zapiewając z Acid Drinkers:

– Titus, ty ufasz tym ludziom, którzy cię słuchają, ale ty potrafisz powiedzieć w wywiadzie: „Narkotyki są dla ludzi, tylko nie dla wszystkich, ale dla ludzi”. I to już jest... mało śmieszne.

On na to:

– Jakby narkotyki wymyśliły kozy, woły, kurde, delfiny albo coś takiego, to byłyby to rzeczy dla delfinów, kóz itd. Skoro wymyślili to ludzie, to wymyślili to dla innych ludzi. Z tego co wiem, to owczarek alzacki nie wali koksu na przykład, nie? A, kurde, mała, która się buja na gałęzi, nie kurzy haszu. Chyba że nic o tym nie wiem. Czyli jednak dragi są dla ludzi. Ale nie dla małolatów, nie dla głupków, nie dla kogoś pozbawionego wyobraźni itd. Jeśli ktoś rąbie ile wlezie, cztery dychy ma na to siano i chce to przewalić, proszę bardzo, ale jeśli ja widzę małolatów zaćpanych itd., kurwa mać, to nie jest dobra zabawa. Za cholerę nie jest to dobra zabawa.

Wracam do historii. Następnego dnia w szkole zawrzało jak w noc świętego Bartłomieja. Zwołano apel i rozpoczęto poszukiwania winnych nawoływania do obalenia ustroju socjalistycznego siłą. Jako że dla mnie i Markusa akcja była typowym happeningiem, wyprzedzającym o lata świetlne działania Pawła Althamera, nie czuliśmy specjalnie powagi podjętych działań. Ot, nasza wersja Biura Poszukiwań Surrealistycznych. Niestety w klasach zapachniało nastrojem łapanki i duchotą gościnnie acz nagle otwartego milicyjnego radiowozu. Dyrektor, zdobywający szlify alkoholika, niczym wystraszony aparatczyk pienił się, że kontrrewolucji na swoim terenie tolerował nie będzie. Nie od dziś było wiadomo, że polska wódka jest najlepsza, ale polski pijak najgorszy. Nasz tajemny napis rozszyfrował jako Komitet Rozbicia Ustroju Komunistycznego, co obudziło w nim ojca Torquemadę. Gdyby miał w swoim gabinecie więcej książek niż partyjnych medali i dyplomów, istniałaby szansa na negocjacje dotyczące sztuki ludowej czy generalnie formy i kondycji metafory. Niestety na kilometr pachniało od niego mundurem funkcjonariusza pokornie cofającego koło historii, więc postanowiliśmy z moim kontrrewolucyjnym kolegą nie ujawniać się, a resztę aktywności naszej niczemu i nikomu niesłużącej

organizacji chwilowo sprowadzić do jeszcze większego podziemia. Duch inteligencji urzędniczej nie ogarnął naszej konwencji, zniżając ją do poziomu swoich lęków i nerwic.

Wspominam często taki dialog z Marią Peszek:

– Zastanawia mnie, czy miewasz takie sny, które są rodzajem pokuty za to, co robisz?

Maria:

– A myślisz, że niezbędna jest pokuta za wyrażanie jasno swoich poglądów?

Ja:

– W Polsce tak.

Podobnie było wiele lat później przy aferze z Ukrainkami i radiem Eska Rock. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Zaskakującym dystansem do świata i rzeczy zaskakiwał nas wtedy tak zwany pan od PO, czyli przysposobienia obronnego. To był taki przedmiot szykujący nas do wojny, czyli idealny na tamte czasy. Miewał pan S. wtedy takie przemyślenia: „Jak tak się przyglądam krajowi, to myślę sobie, że wcześniej było chujowo, teraz jest chujowo i jutro też będzie chujowo. Stabilizacja czyli”. Tak się żyło w ojczyźnie po roku 1981, kiedy zapadła ona na wirusowe zapalenie wątroby.

Już wtedy zdradzałem istotne cechy chłopca myślącego w poprzek. Wbrew. W odwrotną stronę. Pamiętam licealną dyskusję na temat Armii Krajowej i powstania warszawskiego, które próbowano udrapować na jednoznaczny pomnik chwały, honoru i dumy narodowej. Mój dziadek opowiadał mi o mało znanym fakcie, kiedy to podczas powstania w getcie przedstawiciele ŻOB-u nie uzyskali od AK planów warszawskiej sieci kanalizacyjnej ani też żadnej innej pomocy, gdy pojawiła się sprawa wyprowadzenia ich z płonącej rzezi. Opowiedziałem o tym w klasie. Klasa odpowiedziała mi ciszą, a nauczyciel gromkim: „Wyjdź z klasy”. Patriotyczny kanał. Nigdy nie godziłem się na traktowanie historii jak maskotki do zatykania indywidualnego myślenia. Do dziś uważam, że spiżowy etos Polski Walczącej ma problemy z amnezją i autocenzurą. Dominują raczej mitologiczne laurki lub naiwne pogadankowe instalacje typu Szymon Majewski w mundurku harcerza w *Dzień dobry TVN*.

Ważnym elementem mego rozwoju osobniczego czasu burzy i naporu była muzyka. Ale nie ta, której słuchałem, tylko ta, którą grałem i której czasem nie chcieli słuchać inni. Cudowną rzeczą jest grać na jakimś instrumencie, lecz o wiele cudowniejszą zarówno dla autora, jak i odbiorców jest umieć grać na tym instrumencie. Ja w tamtych czasach poprzestałem na pierwszej wersji. Zostałem raptownym perkusistą.

Bezpośrednim impulsem do zostania rockmanem był utwór grupy Kryzys zatytułowany *Święty szczyt*. Pamiętam nawet okoliczności, w jakich go poznałem. Ogród siostry mojej mamy, miejscowość Gardna Wielka, lato. Audycja *Lato z radiem*. W zlewie tego radiowego wywaru z Filipinek, Alibabek i Homo Homini to było jak przytulenie przez księdza. Niespodziewane, bolesne i zauważalne. „Oto święty szczyt. Jestem tutaj z nim. Patrzę stąd na Babilon...” – wyśpiewywał lekko kogucim falsetem jakiś nieznany mi chłystek. Do tego bas, gitara i bębny, jak z przesłuchań do zespołu Fasolki. Proste, rewolucyjne, autentyczne i z nutą mesjanizmu. Bez pierdolenia, ile jest słońca w całym mieście, popatrz!

Zespół Impuls rozpadł się z powodu zmian światopoglądowych u jednego z gitarzystów.

Któregoś dnia Jacek K., człowiek o twarzy schorowanego śledzia, wyszedł ze szkoły jako etatowy punkowiec, ale wrócił jako nowo konsekrowany poppers. Miało to swoje konsekwencje zarówno w stroju, jak i skłonnościach. Od tej pory jego motto nie tyle zamykało się w hasło *no future*, ile w praktyce jak najczęstsze zamykania się z koleżankami w pokoju. Postanowił zostać seksoholikiem i zaczął zbierać do pudełka po zapalkach włosy łonowe swoich zdobyczy. Nazwał się „nieposkromionym łowcą szpar”. Co ciekawe, ze szparą to ja mam całkowicie inne skojarzenia.

Gościłem kiedyś Tomasza Karolaka, z którym odbyłem zagadkową konwersację.

Karolak:

– Jeden z aktorów powiedział mi, że pewnie matka dawała mi za dużo cukierków ciągutków.

Ja:

- I dlatego masz taką szparę? A twoja córka też ma taką szparę?
- Ma! Ma!
- I twój syn, jak będziesz go miał, to też?
- Jak będę go miał, to pewnie też będzie miał. Chociaż nie wiem.
- Czyli jesteś takim troszeczkę szerzycielem...

Tomek:

- Szpar!

Ja, kończąc:

- „Szerzyciel szpar”, ładnie na wizytówce. Moim gościem jest Szerzyciel Szpar!

Do dziś pamiętam słowa, które Jacek rzucił nam na pożegnanie. Cytuję z pamięci: „Pierdolcie się, amatorzy”.

W związku ze zmianą kadrową zespół przyjął groźną nazwę System i stał się jeszcze bardziej bezkompromisowy, głównie na skutek braku umiejętności. Po kilku koncertach na terenie pobliskich szkół szybko zyskaliśmy opinię załogi groźnej, gdyż bardzo twórczej. W istocie grającej pod różnymi tytułami te same kawałki, tyle że wolniej, bo dość szybko się męczyłem.

Jak człowiek walczy z systemem, to nie ma czasu na kompozycje, kiedy ideologiczny front czeka. Mieliśmy prostą zasadę: „Jeśli nie możemy być sławni, to przynajmniej będziemy głośni”. Ważne było to, by było nas słyhać. Głupota, nie od dziś to wyznaję, ma jednak pewien urok. I my wtedy z niego korzystaliśmy, ile sił.

Pamiętam, że jeden numer miał refren: „Czas miłości, czas nienawiści”. Zwrotka na skutek braku pomysłu brzmiała podobnie, by nie powiedzieć tak samo. Więcej tekstów niestety nie ocalałem od zapomnienia. Zapotrzebowanie na postawy nonkonformistyczne w szkole było jednak tak gwałtowne, że młodzież przepisywała sobie ten tekst i czciła jak relikwie ofiarnie złożone w zeszytach od fizyki. Byliśmy Wojaczkami naszego pokolenia, nawet o tym nie wiedząc. Bliska była nam postawa Sida Viciousa, który potraktował łańcuchem od roweru dziennikarza NME za to, że śmiał skrytykować jego macierzysty band. Byliśmy na to gotowi. Lecz żaden skurwiel o nas nie napisał. Ani wtedy,

ani w ogóle. Podobno kiedy zespół Arctic Monkeys zaczynał tworzyć, żaden z nich nie potrafił grać na instrumentach. My dotarliśmy w tym stanie praktycznie do końca kariery.

Wiele lat później zapytałem Zygmunta Staszczyka, naczelnego zapiewajkę grupy T. Love:

– Czy gdybyś dziś mógł wyjść ze swojej tożsamości i aktualnego czasu i zrobićbyś casting na wokalistę, to przyjąłbyś siebie?

Munieć na to:

– No co ty. Nigdy w życiu.

Jak widać, w rock and rollu nie liczą się przeszłe czy przyszłe umiejętności, tylko czas teraźniejszy.

Istotnym atutem posiadania zespołu była łatwość w nawiązywaniu kontaktów z podatnymi na rockowe wzruszenia koleżankami. Ja zawsze, niby dla niepoznaki, niby nic, targałem ze sobą po szkolnych korytarzach jakiś werbelek czy talerz od perkusji. To był magiczny bilet do rychłych namiętności. Ze zblazowaną miną, zerzniętą z plakatów The Who, płynąłem szkolnym korytarzem, od niechcienia odpowiadając na pytania: „Co to, próba?”, „Kiedy koncertik?”, ewentualnie bardziej naiwne: „O, nagrywacie coś?”. A ja po prostu taszczyłem werbel. Resztę pozostawiałem rozpasanej wyobraźni moich licealnych koleżanek. One w swych procesorach marzeń już widziały mnie na rockowym olimpie otoczonego wymiocinami luksusu.

Jak ci się, facet, wydaje, że wyrwanie laski na pożyczone ferrari, wakacje ol ekskluzyf na wyspie Rodos czy też ekstrazestaw sushi, to jest wyczyn, to ja ci szybko odpowiadam. Babki, bez względu na wiek, najlepiej podrywa się na ich wyobrażenie na nasz temat.

Skonfigurowałem sobie drugie, bardziej rockowe ja i dawałem mu miłe zajęcia. A werbel to znikoma inwestycja generująca maksymalne zyski.

Ile razy słyszałem: „Kuuuuuba, kiedy zaprosisz mnie na próbę?”. No i ja dawałem się przekonać i zapraszałem. Nigdy później żadna nie chciała już przyjść ponownie. Nasza muzyka była dla naszych podrywów tym samym, co Yoko Ono dla Beatlesów. Tragedią. Nawet to, że niektórzy z nas wyglądali jak z castingu do *Władcy Pierścieni* czy w ogóle uciekinierzy z powieści Tolkiena, nie brukało naszych wizerunków tak bardzo, jak to marne granie.

Dlatego dobrze sobie radziliśmy z popularnością, ale bez popularnych umiejętności ani popularnych przebojów. Nasz wokalista bardzo późno zrozumiał, że w śpiewaniu chodzi o to, aby widz miał przyjemność, a nie obrażenia.

Próbowaliśmy też podbić świat z wokalistkami. Właściwie cały nasz zespół był jednym wielkim castingiem. Niestety już wtedy przychodziły koleżanki, które były łase na sławę, ale trudno było znaleźć chętnych na ich wątpliwy dar wokalny.

Manuela o urodzie miss ziemniaka ze stanu Idaho śpiewała z miną i emocjami kobiety wyjmującej pranie z pralki. Kasia wyglądała jak heroinistka żywcem wyjęta z rewii transwestytów. Monika mamrotała do mikrofonu w dziwnym narzeczu przypominającym sekretny język delfinów. Mało tego: twierdząc, że tak na ostatniej płycie śpiewa lider The Cure.

Wyrzucaliśmy je co tydzień i co tydzień przyjmowaliśmy nowe, które często były napadane przez te poprzednie. Jak punk rock, to punk rock. Rock and roll bez awantur jest jak chrześcijaństwo bez piekła. Są nierozłączne. Ale brakowało nam gwiazdy, lidera, czyli krótko: kogoś takiego jak ja, tylko drugiego. Albo inaczej: takiego jak Titus, lider Acid Drinkers. Mój ulubiony wzorzec rockowej gwiazdy.

Pamiętam dwa pierwsze zdania z jego pierwszej wizyty u mnie.

Ja:

– Można już?

Titus:

– Napierdalaj, Kubuś, ile wlezie.

Drugim zagrożeniem obok braku talentu był drugi zespół. Starszych kolegów, którzy umieli grać, a na domiar złego rzeczywiście byli starsi. I tak jak nasza kariera muzyczna rozwijała się w tempie przesuwanego się lodowca, oni niestety powoli stawali na linii frontu zatytułowanego „sukces”. Na gitarze grywał u nich Andrzej Zeńczewski, późniejszy lider DAAB-u, kumpel Muńka ze Szwagra Kolaski i przez jakiś czas zadowolony dzierżawca Anity Lipnickiej.

W biografii Jimiego Hendrixa *Pokój pełen luster* znalazłem wiadomość, że boski Jimi zabierał swoją gitarę nawet do kina, nie mogąc skazywać jej na dwie godziny rozłąki. Niestety przy ówczesnym standardzie kin branie ze sobą mojego instrumentu rodziłoby praktyczne problemy. Ale miłość kwitła.

Próby mieliśmy wtedy w damskiej szatni przy sali gimnastycznej. Miejsce przesiąknięte wszystkim tym, co znane, nieznanie, a przede wszystkim zakazane.

Janusz Panasewicz nie ukrywał nigdy przede mną, że wokalistą został głównie po to, by wyrywać tak zwane dupy. W roli tych ostatnich oczywiście panie.

To były pierwsze erotyczne dożynki w moim życiu. Owszem, zdarzały się też dziwne przypadki. Na przykład Jola. Interesowało ją zbieranie glinianych garnuszków i higieniczna logistyka. Ilekroć przychodziła do mnie, uważnie sprawdzała, czy moja szczoteczka do zębów znajduje się w odległości nie mniejszej niż dwa metry od kibla, bo w przeciwnym razie, jak twierdziła, atakują ją bakterie kałowe. „Jeśli tego nie przestrzegasz, do twoich ust dostają się bakterie, które wyfrunęły zarówno z twojego stolca, jak i reszty domowników” – mawiała. Taką miała dziewczyna pasję. Zaskakiwała mnie swoją wiedzą o życiu. Ni stąd, ni zowąd zagajała: „Mężczyzna goli tylko twarz, a kobieta wszystko oprócz twarzy. To mocno niesprawiedliwe”. Zapadaliśmy wtedy w milczącą zadumę na temat nieludzkiej niesprawiedliwości, a ja zastanawiałem się, jaki dziwaczny lokator musi zasiedlać jej mózgoczaszkę.

Nasza znajomość nie przetrwała długo. Generalnie przyjąłem wtedy, że dziewczęta to rzeczywiście tylko wersja demo prawdziwych kobiet, więc nie należy martwić się ich usterkowością.

Miłością do muzyki zaraził mnie mój o dwa lata starszy brat Tomasz.

Był ekscentrycznym starszym bratem. Tygodniami ślęczał nad sklejeniem z miliona papierowych części modelu aeroplanu typu Halifax z bombami, by potem pobrać go benzyną i sycić się aktem zniszczenia. Podobny proceder zrealizował także w swoim dorosłym życiu, tyle że w miejsce samolotu wstawił własną biografię. Lubił też kupować w sklepiku z rybkami kilku różnych przedstawicieli jakiegoś gatunku, by następnie wystawiać ich w słoiczkach na mróz, przyjmując zakłady, który szybciej powędruje do rybiego nieba. Ale uczył

się dobrze, koncentrując tym samym zapał pedagogiczny rodziców na mojej osobie. A ja miałem wtedy prostą filozofię. Umysł jest jak spadochron. Nie działa, kiedy nie jest otwarty. Niestety mój otwierał się przeważnie nie na te rzeczy, co potrzeba. Na przykład w wieku lat szesnastu byłem już ścigany za handel bronią. I to nie białą, tylko najprawdziwszą, prawie palną.

Z pobytu w Czechosłowacji, czyli kraju, którego już dziś nie ma, przywiozłem pistolet pneumatyczny, który po przekroczeniu granicy ze sportowej zabawki przeistoczył się w broń mogącą służyć do czynów zabronionych. Gdy znudziłem się swym morderczym narzędziem zakupionym u braci piwnych, zbyłem je u taksówkarza z miejscowości Chojnice w celu jak najbardziej pacyfistycznym. Chodziło o ostateczny argument przy rozliczaniu opłaty za przebytą trasę, szczególnie u pacjentów wiozących na tylnym siedzeniu liczną ilość spożytych promili. Przebitka była tak duża, że nie szukając bardziej społecznie akceptowalnego zajęcia, udałem się do gościnnej czeskiej Pragi na występy jako oficjalny już handlarz bronią.

Widzieliście film *Pan życia i śmierci* z magicznym Nicolasem Cage'em? Byłem nim, zanim on był tym gościem z filmu. Przywiozłem dwie walizki pneumatycznych rewolwerów, a napchałem ich tyle, że spokojnie mógłbym obalić rząd w jakimś spokojnym afrykańskim kraju. Niestety organy ścigania wytropiły u pana taryfiarza mój śmiercionośny produkt i rozpoczęły się aresztowania. Pechowo zawodnik ten całkowicie pozbawiony był lojalności do swoich partnerów biznesowych i na pierwszym przesłuchaniu ujawnił dane dostawcy. Mój ojciec zyskał pierwsze siwe włosy, a matka dowód, że dziecko Rosemary niekoniecznie musi występować wyłącznie na srebrnym ekranie.

Teraz pole minowe, czyli rodzina. Pisanie o rodzinie to jak dawanie ogłoszenia: „Sprzedam szalik kibica. Mało zakrwawiony”. Niby nic, a jednak zdradza co nieco o autorze.

Moja mama ma siostrę R., która jeszcze w liceum śmiało mogłaby wystartować w konkursie na najbardziej zgorzkniałą zawodniczkę w średnim wieku. Głupio wyszła za mąż i w związku z tym głupim faktem postanowiła zemścić się za to na całym świecie. Podobno zaraz po ślubie chciała się rozwieść, bo oblubieniec poukrywał przed nią chorobowe to i owo, ale uznała, że przyjemniej będzie dopierdalać wszystkim za to, że tego nie zrobiła. I tak też

przez całe życie czyniła. Jak mawiają daltoniści: „Życie jest jak tęcza. Raz białe, raz czarne”. Ona postawiła tylko na ten drugi kolor. R. znana jest w rodzinie z tego, że najbardziej irytuje ją to, co innym sprawia przyjemność. Jak ktoś wskakiwał w nowy samochód, urozmaicał swój nudny żywot kolorowym radzieckim telewizorem tudzież majstrował sobie u krawcy nowy kożuch, wtedy R. zaczynała cierpieć na bezsenność. Ze złości, że ten świat jest tak źle skonstruowany. Jednoosobowa elektrownia szczytowo-pompowa złej energii. Po jakimś czasie powiła córkę M., która twórczo rozwinęła dzieło matki. Szybko sięgnęła statusu lokalnej megalomanki w prowincjonalnym makijażu. Moja ciocia i moja siostra cioteczna. Duet *noir*. Przy nich Franz Kafka to klasowy wesolek. Od lat mają mnie za pasożyta, narkomana i nieistotną formę rodzinnego istnienia.

Z tym narkomanem to w ogóle ciekawa historia jest.

Taki dialog z Andrzejem Stasiukiem:

– Andrzej, to ty powiedziałeś: „Uważam, że wszyscy w telewizji jadą albo na amfie, albo na koksie”. Dorota Wellman też? Zubilewicz też? Anita Werner też?

Stasiuk:

– Przepraszam. A wyjąłeś to z kontekstu? No wyjąłeś to z kontekstu.

Ja:

– Nie, z nosa to wyjąłem.

On:

– Z kontekstu... To było tak, że leżysz w hotelu i włączasz telewizor, bo czasami włączasz w hotelu telewizor i jest siódma rano, a oni wszyscy wyglądają w tych takich porannych programach, jakby już jechali, wiesz... A poza tym czytaj metafory, no. Przecież nie chodzi o to, że jadą na konkretnej działce, bo sobie kupili nielegalnie. Tu chodzi o pewien rodzaj mentalu, który telewizja i popkultura generuje.

Ja:

– A jaki to jest mental?

I tu następuje najinteligentniejsza wymiana myśli, jaka miała miejsce w moim programie od lat.

Zacytuję dokładnie i z podziałem na role:

AS: Taki... szybki.

KW: Płytki?

AS: Szybki!

KW: Płytki.

AS: Szybki!

KW: Płytki

AS: Szybki!

KW: Płytki!

AS: I płytki.

Potem, tak tylko przez chwilę, czułem, że da mi w ryj, co zresztą byłoby zaszczytem. Niestety zaszczytu nie dostałem.

Uwielbiam takie dialogi, których sensem jest nieporozumienie. Czyli porozumienie przez nieporozumienie. Jak w tej anegdocie. Wychodzi mężczyzna od lekarza i pyta: „Przepraszam, pan powiedział, że mam twarz arystokraty?”. „Nie, że ma pan raka prostaty”.

Osobnym przypadkiem godnym opisanie i współczucia jest partner R. i ojciec M. Wujek Zdzichu, od którego imienia wywodzi się rodzinna inwektywa: „Jesteś jak Zdzichu”, czyli raczej ogarniasz powoli i z pewną niedbałością. Z. był wykwalifikowanym lekarzem, zapewne cenionym przez pacjentów, którzy przeżyli. Niestety uznanie, którym go darzono, kończyło się, gdy wracał do domu. Tam stanowił dziesiątkę w tarczy strzeleckiej zarówno współmałżonki, jak i swojej pociechy. Jedna mściła się za to, że jest nieszczęśliwa, a druga za to, że druga jest nieszczęśliwa. Istne rodzinne bingo. Jest takie pytanie filozoficzne: „Co jest ważniejsze: alkohol czy milcząca partnerka?”. Zdzichu nie zaznał w swoim żywocie ani jednego, ani drugiego. Z trzecim też było kiepsko. Na seks z wybranką musiał czekać jak przeciętny Polak na rezonans magnetyczny. Dziesięć lat z poślizgiem.

Przynajmniej raz musieli to zrobić. Bo dowód pożycia zamieszkał z nimi i zatruł mu życie na równi z matką. Niestety miał chłop pecha, bo natura obdarzyła go także potrzebą naprawiania świata. A naprawiaczem był

nieustraszonym. W rodzinie krążyła opowieść o tym, że jak ktoś leżał obłożnie chory, to wystarczyło wezwać Z. Nie jako lekarza. Zasiadał na krawędzi łóżka i zaczynał opowieści o naprawianiu świata. Co on by usprawnił, a co jest niewystarczająco sprawne. Po takiej prelekcji pacjent wstawał uleczony, niczym trędowaty zagadnięty przez Jezusa. Do legend przekazywanych w rodzinie należały też podróże samochodowe z Z. w roli szofera.

To nie był jego żywioł. Podobno na drodze każdy z nas odnajduje w sobie skurwiela. Otóż Z. nie odnajdywał. Był tym jednym jedynym, który takowej skłonności nie przejawiał. Z. po prostu chciał przebyć odcinek pomiędzy punktami A i B skutecznie, bez pozostawiania ofiar ani na drodze, ani w limuzynie. A to nie było proste. Z. miał bowiem pewną zdrowotną przypadłość, która nawiedzała go zniecka, rzadko, ale jednak. I wtedy z szoferowania nici. A automobil w pędzie, a familia na pokładzie. Dzięki temu podróże z Z. trwały wieczność i, cytując Owsiaka, jeden dzień dłużej. Miałem do niego słabość. Chyba nie odpowiadał mi ten zbiorowy lincz. Ale nie wiem, czy potrafiłem to dostatecznie głośno wyrazić. Teraz jest dobra okazja. Sorry, wujku Zdzichu. Nie byłeś wcale jak Zdzichu.

Do kompletu był wujek M., brat mojej mamy. Agresywny i konfliktowy facet na co dzień schowany pod maską śmieszka. Bardzo lubił być w centrum zainteresowania, nie bardzo zważając, że centrum tego nie chce, szczególnie kiedy mijaly lata, a jego repertuar bycia wesołym wujkiem się nie wyczerpywał. Spłodził dwie córki, czyli moje siostry cioteczne, co zaowocowało tym, że dom zamienił się w kobiece koszary. Robił im falę i organizował inne żołnierskie gry i zabawy, które moje dwie precudne siostrzyczki miały zmuszać do myślenia. I udało mu się. Tak gdzieś od ósmego roku życia dziewczyny intensywnie myślały, jak spierdolić z domu.

Wujek trefniś też miał pretensje do świata i rodziny. Ja w młodości chciałem być testerem zabawek erotycznych i w jakiś sposób zrealizowałem swoje marzenie. Nie wiem, kim chciał być M., ale odnoszę wrażenie, że całym swoim życiem udowadniał, że nie chciał być tym, kim jest. Mało tego: nie chciał, żeby inni byli tymi, kim są, szczególnie jeśli wiodło im się lepiej. Znaie taki film *Sierpień w hrabstwie Osage*? Braciszek mojej mamy był żywcem wyjęty z tej rodzinnej historii, spokojnej jak Sanepid w agencji towarzyskiej. Jego ulubionym zajęciem było wszczynanie zadym na rodzinnych zlotach. Tak go

wspominam z dzieciństwa. Nie pamiętam, jaką miał szarżę w armii ludowej, ale w tej grze doszedł do poziomu generała broni.

Jak sami widzicie, to familia skąpana w destylacie rywalizacji i silnej niechęci do siebie nawzajem. Dziś trudno mi sobie przypomnieć czas, w którym moim marzeniem nie było oderwanie się od nich jak Katalonia od Hiszpanii. Ich wzajemne relacje, uprzejmości czy życzenia świąteczne były naciągane jak legginsy na Adele.

Mój ojciec też w tej konkurencji miał rodzinną szansę na awans do Ligi Mistrzów. Szczególnie z bratem Marianem, dumną ozdobą miejscowości Lublin. O Marianie w momentach nasyconych poprawnością polityczną mawiano „dziwak” lub „ekscentryk”. W chwilach prawdy „pojeb” lub „świr”. Marian miał dwie pasje. Demaskowanie nieścistości w Biblii oraz prowadzenie wojen podjazdowych z sąsiadami. Na obu polach nie miał jakichś spektakularnych osiągnięć, choć czuć było, że motywację ma wielką.

W Stanach Zjednoczonych są podobno fundamentaliści biblijni, którzy przyjmują, że w Piśmie nawet błędy ortograficzne są objawione i jeśli rzeczywistość nie jest zgodna z Biblią, to tym gorzej dla rzeczywistości. Nasz lubelski demaskator miał problem z tym, że skoro ludzkość pochodzi od jednej pary, to mamy tutaj do czynienia z dość ekstremalną i masową formą kazirodztwa. I w związku z tym wuj czuł jakiś niepokój. Uważał też, że jest tam za dużo przepisów kulinarnych i żydowskiej kamasutry. Kiedy Marian doszedł do wniosku, że już w drugim rozdziale Pisma podany jest alternatywny opis świata, za żadne skarby świata niekompatybilny z pierwszym, wtedy uznał, że spiszek żydowski ma większy zasięg, niż nam się wszystkim wydaje. No cóż. Żydzi są narodem wybranym, a myśmy nie mieli tego komfortu, by sobie stryjka wybierać.

Kiedy byłem w liceum i akurat miałem kolejną fazę, aby podpierać się naukowo wszystkim, co ateistyczne, wyłożyłem Marianowi swoje wątpliwości w zdaniu dość pokrętnym i złożonym, lecz dla mnie oczywistym: „Bóg umarł na krzyżu i złożył ofiarę samemu sobie, żeby przebłagać samego siebie za grzechy ludzi, których sam stworzył i o których od początku wiedział, że będą grzeszyli. Czy znajdujesz w tym, wuju, jakiś sens?”. I stała się jasność, która przeistoczyła się w ciemność. Brat ojca spojrział na mnie oczami bohaterki *Pięćdziesięciu twarzy*

Greya i zaniemówił. I od tej pory wszystkim żyło się źlej.

Prowadził też szereg wojen w ramach swej klatki schodowej. Tutaj miał najwięcej do powiedzenia, więc były u Mariana wojny siedmioletnie, wojny trzydziestoletnie i jeśliby się nie wyprowadził, zapewne zdarzyłyby się i wojna stuletnia. O wszystko. Z tymi, co mieli srające psy, prowadził wojnę partyzancką, z własnymi córkami, a mymi stryjecznymi siostrami, zimną wojnę. Z małżonką, chytrą i podstępłą kierowniczką sklepu mięsnego, wojnę zastępczą. Gdy nie znajdował porozumienia ze swymi pociechami, wyłączał im prąd i ogrzewanie. Wtedy konflikt lokalny łączył z wojną zimną i manewrową. Gdy zginęło mu mleko spod drzwi, rozpoczynał wojnę pozycyjną, tak gdzieś od czwartej rano. Gdy ktoś Mariana lekceważył, wszczynał wojnę prewencyjną podjętą w celu uprzedzenia ataku przeciwnika. Bo Marianowy umysł świat postrzegał trochę na zasadach PlayStation. „Ja kontra reszta”. Zawsze dręczyło mnie pytanie, jak on sam wytrzymuje ze sobą i czy to w ogóle jest możliwe, że on sam siebie nie wkurwia? A taki stan jest przecież możliwy.

Swego czasu zagadnąłem o to Krystynę Jandę:

– Czy nie wkurwia pani sama siebie czasami?

Janda na to:

– O! Bez przerwy!

Marian był krawcem męskim o twarzy nierozgarniętego suma.

Słowo „suma” było dla niego zresztą kluczowe. Suma musiała się zgadzać. Z dzieciństwa wspominam wujka rybę, jak zadeklarował na łonie rodziny, że jego wkładem w moją i brata komunię świętą będzie uszycie dwóch garniturów z powierzonej mu tkaniny wełnianej. Marian słowa dotrzymał, garnitury uszył, niestety ujawniając przy tym swą ciekawą skłonność. Otóż nie liczył się z rodziną, a liczył się tylko z tym, co dało się policzyć. Różnica pomiędzy prostytutką a politykiem polega na tym, że prostytutka przestanie się dymać, jak skończy ci się kasa. Marian ewidentnie był w naszej rodzinie politykiem. Typem faceta, którego gdybyś zapytał, czy umrze za ojczyznę, odpowie: „Wolałbym zabić”. Pamiętam, jak siedzieliśmy skuleni ze strachu z moim bratem w przedziale pociągu relacji Warszawa–Lublin, gdy nasza mama, Maria,

w szale biegała po dworcu, aby rozmienić dwadzieścia złotych. Bo Marian, krawiec męski bez serca, zażyczył sobie zaliczkę na guziki do wspomnianej odzieży. Kumacie takiego gościa? Wtedy byłem bardzo młody i przejmujący się. Kiedy uncles z Lublina wypływał na mętne wody perory, że oto dla niego najważniejsza jest rodzina, tylko zakłopotaną miną dawałem do zrozumienia, że, mówiąc krótko, pierdoli.

Dziś, po latach, idioci mnie nie wkurwiają, tylko rozśmieszają. Szczytem Marianowej aberracji był moment, w którym mój brat wylądował na pierwszym roku studiów w Lublinie. Nie pamiętam, na jakim kierunku, zresztą idę o zakład, że on też nie pamięta. Jak to w rodzinie, moi rodzice zwrócili się zapytaniem do brata ojca, czy udzieli Tomkowi schronienia. Trzeba wam wiedzieć, że to nie był już Marian z klatki schodowej. Gdy przegrał wszystkie wojny, wojowniczy stryjek postawił na obrzeżach Lublina dom wielkości Kapitolu. Zamieszkał tam ze swoją małżonką, tą samą obrotną kierowniczką sklepu mięsnego, a resztę pomieszczeń wynajmował studentom. Mojemu bratu wynajął pokój w piwnicy. I tak odyseja rodzinna zakończyła się wydymaniem Odyseusza.

Z sentymentem wspominam mamę mojego ojca. Babcia mieszkała w Lublinie u obłąkanego stryja, więc widywaliśmy ją rzadko, bo w ramach ofensywnej wojny domowej synek nie dawał jej kasy na zbędne wycieczki. Kiedyś przyjechała bez uprzedzenia. Ojciec w pracy, mama w sklepie, a mój brat w szkole. Ja, lat pięć, zostałem na straży siedziby naszej podstawowej jednostki gospodarczej, czyli naszego mieszkania. Babcia, zdumiona tak niską frekwencją, wchodzi do środka i słyszy ode mnie: „To babcia nic nie wie? Tata w szpitalu, mama w szpitalu, a całości dramatu dopełnia fakt, że brat także w szpitalu”. I w tym momencie zaczyna się dramat właściwy. Kobięcina z tobołkami w jesionce z nutrii zasiada do książki telefonicznej i zaczyna wydzwaniać po stołecznych szpitalach. Ja konsekwentnie budując osobę dramatu, nie byłem w stanie podać przyczyny całego nieszczęścia, tłumacząc się szokiem oraz nikczemnym wiekiem. Babcia dzwoni i pyta: „Rodzina, trzy osoby, z wypadku, tu mi wnuczek podpowiada, że stan ciężki albo wręcz beznadziejny”. A tam nic. Panie w centrali nic nie słyszały o rodzinnym seppuku. To babina wydzwania dalej: „Może zatrucie gazem, czadem, dwutlenkiem”. Ja obok z wypiekami na twarzy podpowiadam coraz bardziej

krwiste scenariusze. W końcu kartkowało się pod nieobecność rodziców *Medycynę sądową dla prawników*. Tam był cały katalog wyrafinowanych przypadków. Urwanie głowy przez sieczkarnię, pan trącony śmigłem samolotu czy też delikwent po dwutygodniowym pobycie na dnie matki naszych rzek, Wisły.

Do dziś próbuję zrozumieć, co wtedy siedziało mi w głowie. Potrzeba emocji, manipulacji, może chwilowej władzy. Lubiłem szokować, a rzeczywistość dawała mi do tej zabawy niezbędne instrumenty i okoliczności. Ot, taki przykład nieletniego chłopca, co to podąży za dziwnym głosem swego serca, ale nie zawsze dopuszcza do tej zabawy mózg.

Finał rodzinnej tragedii był banalny. Mama, gdy tylko zakończyła shopping, powróciła ze sprawunkami do domu, a teściowa przywitała ją słowami: „Jezus Maria, już cię wypuścili?”. Do dziś pamiętam, jak siedząc przy wieczornej herbacie, już w komplecie i bez specjalnych obrażeń, dyskutowali o czymś szeptem. Patrząc w moją stronę z niepokojem i troską.

Cholera, z perspektywy czasu myślę, że więcej było w tym niepokoju. Babcia nie raz mówiła mi później, że z taką fantazją trudno mi będzie znaleźć żonę. I tu się z nią zgadzam, gdyż uważam, że żenią się zwykle ci bez żadnej fantazji. Ale może miała na myśli też inne zagrożenia.

Dawno temu, w czasach swej świetności, odwiedził mnie Andrzej Lepper, wicepremier:

- Mam żonę, dwie córki, Małgosię, Renię, i syna Tomasza.
- Czy Renia to na cześć koleżanki z klubu?
- No ja wiedziałem, co pan ma na myśli. Ale moja córka Renia w tym roku skończy dziewiętnaście lat.
- Moje narzeczone zazwyczaj mają dziewiętnaście lat!
- No jaki zboreźnik!
- Niech pan sobie wyobrazi: Renata Lepper-Wojewódzka.
- No nie, nie, nie. To już bym chyba nie wytrzymał i uśpiłbym od razu.
- Córkę???
- Córkę!

Ale żeby nie było, że moje rodzinne środowisko zasiedlone jest tylko przez jednostki mroczne, egoistyczne i szlachetnie patologiczne. Już Charles Bukowski, mój ulubiony literacki mroczny rycerz, pisał w *Kobietach*: „Łatwo się pisze tylko o dziwkach. Pisanie o wartościowej kobiecie to już nie taka prosta sprawa”. Cała moja pozytywna część rodziny niech potraktuje to jako komplement.

Licealnych pedagogów wspominam jako ludzi dość pokracznych i ograniczonych. Nie było fantasty, który by zrozumiał, że zgraja idiotów chce się na nowo nauczyć i czytać, i pisać, tylko trzeba w nich rozpać pasję. Nauczyciele byli chałturnikami. Chorążymi przeciętności. Jak masz szesnaście lat, to musisz mieć pasterza, który ma jaja w oczach... To wymaganie trudne do wytłumaczenia.

Po latach mój redakcyjny kolega z „Polityki”, Jan Hartman napisze: „Szkolnictwo w obecnym kształcie jest dziewiętnastowiecznym przeżytkiem. Kulturowym i politycznym. Jeśli działa do dziś, to tylko mocą biurokratycznej inercji i obezwładniającej hipokryzji. Pojęcia, z jakimi wypuszcza się naszą młodzież w świat, mają się tak do współczesnego stanu ducha, jak siedemnastowieczne scholastyczne gimnazja jezuickie do życia umysłowego w kręgach Galileusza i Kartezjusza”. Jak to czytam, mam wrażenie, że kiblował obok mnie w ławce.

Pani Właźniak, od angielskiego, lubiła nas, a my ją, bo razem lubiliśmy Beatlesów. Zawsze, kiedy słyszę *I Want to Hold Your Hand*, przypomina mi się, gdy pisała ten tytuł kredą na tablicy, a przy *want* jej pośladki wpadały w dygot. Tłumaczyliśmy razem piosenki, co było najlepszym spoiwem jej zapału z naszym analfabetyzmem. Kiedy próbowała wydobyć ze mnie jakiegokolwiek zdanie w języku aliantów, które wypowiedziane w londyńskim sklepie nie wywołałoby salwy śmiechu u personelu, a efektów nie było słychać, to zawsze dawała mi ostatnią szansę. Prosiła, abym powiedział z pamięci jakiegokolwiek utwór Beatlesów. A to potrafiłem. I tak wyglądał schemat mojego nauczania. Ona do mnie z pytaniem: „Mowa zależna i niezależna”, a ja jej: „*A love like ours could never die, as long as I have you near me*”. I zasłużony dostateczny lądował w tak zwanym dzienniku. Ona zagaja z nienacka: „Różnica pomiędzy Present Continuous a Present Perfect Continuous”, a ja, nie wiedząc całkowicie, o co

ona w ogóle mnie pyta, aksamitnym głosem zaczynam: „*Yesterday, all my troubles seemed so far away, now it looks as though they're here to stay, oh, I believe in yesterday*”. I brytyjski gentleman jak malowany.

Drugim i chyba ostatnim pedagogiem godnym zapamiętania była pani Cieślukowska. Opromieniona sławą temperamentnej polonistki oraz podejrzeniami, że syn leczy się wenerycznie. Jedno z tych stwierdzeń okazało się prawdą.

Ona potrafiła zarazić literaturą. Czytała nam jakiś wiersz, siadając na swym stole, co już na owe czasy było zachowaniem niekonwencjonalnym, i wyciągając dłoń przed siebie, zaciskała palce, jakby wyciskała sok z niewidzialnego owocu. „Czujecie to?” – pytała. A my, najogólniej mówiąc, posługując się językiem drogówki, zaliczaliśmy małą stłuczkę z powyższym tekstem. Bo zaraz pojawiała się także najbardziej wkurwiające pytanie świata.

Znacie takie pytania? Jest ich kilka. Na przykład: „Jesteś pewny, że nie będzie z tego dziecka?”, „Co robimy w weekend?”, ewentualnie: „Nie wiesz, którą jechać?”. Kurwa mać. Facet zawsze jest pewien, że nie będzie dziecka, bo inaczej nie czerpałby przyjemności z okoliczności. A co potem przynosi życie, to już inna sprawa. Facet nigdy nie wie, co będzie robił w weekend, bo nigdy nie wiadomo, który kumpel zadzwoni. My często nawet po weekendzie nie wiemy, co robiliśmy w weekend. Często dowiadujemy się tego z mediów społecznościowych. Mój kolega radiowy Piotr Kędzierski został raz zapytany, co robił w sylwestra. Odpowiedział niezmiernie: „Sam chciałbym wiedzieć. Pamiętam tylko toasty”.

À propos toastów, to Alosza Awdiejew zaskoczył mnie onegdaj wyznaniem w temacie.

– Macie jakieś niezwykle toasty teraz? To znaczy ja ciebie cały czas pytam jako przedstawiciela Rosji, no wiadomo, jesteś tu, jesteś już nasz, ale sporo wiesz – zagajam fachowca.

– Najlepszy toast... Ale on jest nieprzyzwoity.

– Proszę bardzo. Joanna, pozwolisz na nieprzyzwoity toast? – zwracam się do siedzącej obok i widzącej pierwszy i ostatni raz na swe piękne oczy zjawisko, jakim jest Alosza, Joanny Krupy.

Joanna krótko:

– *Sure.*

– Za nas z wami i na chuj z nimi.

I ostatnie wkurwiające pytanie. Facet zawsze wie, którądy jechać, czasami po prostu wybiera bardziej złożoną kombinację dróg.

Jak pisze często przeze mnie cytowany tutaj Stasiuk: „Podróżuje się po to, żeby było trudno, niewygodnie. Mentalnie ciężko”. Nauczcie się tego, kobiety.

Wracając do klasy. Pani od wiersza zadawała zbrodnicze pytanie: „Co poeta chciał powiedzieć?”. A skąd ja mam wiedzieć, co on chciał powiedzieć? Jak dorosły mężczyzna ma coś do powiedzenia, to mówi i już. Bo jest poważny, zrównoważony i chce być dobrze zrozumiany. A jak facet nie żyje od kilku stuleci, to ja nie aspiruję do miana tego, który odgadnie, co on chciał powiedzieć, a nie powiedział. Albo powiedział, tylko że inaczej. To jest gwałt na każdej poezji. Pokoleniowa dyscyplina w rozumieniu, co on chciał. I nie chodzi mi tu o literacką legendę, jakoby Wisława Szymborska nie zdała matury z interpretacji własnego wiersza, bo maturalny klucz wiedział lepiej. Opowiedział mi o tym jej sekretarz, Michał Rusinek. Przypomniał mi też prawdziwy już epizod, kiedy na maturze pojawiła się interpretacja felietonu Jerzego Sosnowskiego *Sztuka jako schody ruchome*. Jedna z gazet poprosiła go o interpretację własnego tekstu i była ona odmienna od tego, co wiedzieli panie i panowie z kuratorium. Kuriozatorium raczej. Słowem, Sosnowski nie zdałby matury z własnego tekstu, bo ktoś go zrozumiał inaczej. Bo myśl, czy to w poezji, felietonie, czy wyrażona w pośpiechu na ścianie kibla Dworca Wschodniego, jest ulotna. Płochliwa i wieloznaczna. I kara śmierci każdemu, kto ją ogranicza i zamyka we frazes. Spłaszcza, ściąga ku ziemi i daje sobie tym samym prawo nieomyślności. Ja chcę odnajdywać to po swojemu. I szkoła powinna być miejscem, gdzie uczy się może dyscypliny zachowań, ale na pewno nie dyscypliny myślenia na komendę, pod kreskę. Dlatego uważam, że nauczyciel to zawód finezyjny, często wykonywany przez jednostki gruntownie nielotne.

Z Magdą Cielecką odbyłem kiedyś światłą konwersację. Czy to prawda, że wielka literatura, wielka sztuka jest zawsze albo o miłości, albo o śmierci?

I doszliśmy do wspólnego zdania, że to prawda. A najlepszym tego przykładem jest arcyniepospolity film Oliviera Stone'a *Urodzeni mordercy*. Jeden z najpiękniejszych portretów nieszablonowej miłości romantycznej w otoczeniu powszechnego obłędu. W moim kameralnym rozumieniu literatury duet Mickeya i Mallory Knoxów targany jest namiętnościami i szaleństwem, przy którym dwudziestotrzyletni student prawa Rodion Raskolnikow jest złożony jak kompozycje Norbiego.

Zdanie matury po sześciu latach dokowania w szkole było kolejnym cudem nad Wisłą. Szczególnie że do końca nie rozróżniałem dobrze Wernyhory i Wallenroda od strażnika Teksasu. Nie zastosowałem jednak wariantu oskrzydającego ani osłaniającego, tylko typowy dla siebie wariant ściągający. Byłem bowiem konsekwentnym samoukiem, czyli regularnie sam nie uczyłem się niczego. Wszystko, co się dało, przepisałem na ściagi. W zakładzie karnym byłbym arcymistrzem grypsu. Kto wie, może ta umiejętność jeszcze się przyda. Gdybym miał w głowie wszystko to, co mieściły kilometry moich ściąg, dziś zapraszałbym na kawę Zygmunta Baumana.

Przedłużony czas pobierania nauki w liceum nigdy nie był dla mnie specjalną traumą. A przeszło mi całkowicie, gdy swego czasu odwiedzili mnie Janusz Korwin-Mikke i Piotr Głowacki.

– Panie Januszu, pan brał udział we wszystkich kampaniach prezydenckich.

– No właśnie! I wiem, dlaczego pan mnie zaprosił z panem Piotrem Głowackim.

– Dlaczego?

– Bo pan Piotr Głowacki, podobnie jak ja, chyba pięć razy zdawał do szkoły teatralnej i dopiero za piątym razem zdał; ja też dopiero za piątym razem zostanę prezydentem Polski.

Ja na to:

– Trudno!

Nie wiedzieć czemu zdawanie matury, najważniejszego podobno w dotychczasowym życiu egzaminu, odbywa się w sali gimnastycznej. Kojarzonej z całkiem innym wysiłkiem niż ten płynący od głowy, pachnącej

wczorajszym potem i starymi podkoszulkami kilku pokoleń licealnych atletów. Jak mawiał Dariusz Szpakowski: „Stadion w Dortmundzie wypełniony po ostatnie miejsce, chociaż widzimy jeszcze kilka wolnych miejsc”. Tak było i u nas. Tłok, ścisk, pot i bełkot. W takiej też logice upłynął mój egzamin. Zawsze uważałem, że matura jest zbędna, bo i tak, gdy będę dorosły, nie będzie pracy.

W celu zabezpieczenia sobie tyłów zakradłem się w nocy do szkoły i większość dat, cyfr, złożeń, surowców czy różnic pomiędzy *Dziadami* a *Chłopami* zapisałem na spodzie szkolnych ławek. Wiedziałem, że to się przyda, choć zapewne po raz kolejny obudzi w moich nauczycielach trwogę obcowania z paranoikiem. Rzeczywiście wielokrotne padanie na podłogę w udawanym akcie rozpaczony spowodowanym własną niemocą mogło wyglądać niezrozumiale. Zwłaszcza że co chwila padałem przed inną ławką, bo nie mogłem znaleźć daty żadnego powstania. Figury, którymi przecinałem powietrze, miały powrócić dopiero w przyszłości, w programie *You Can Dance*.

Aby zapamiętać streszczenie *Granicy*, mozolnie wyryte na bebechach szkolnego osprzętu, wiłem się w akcie chwilowej epilepsji dobre dziesięć minut. Co ciekawe, zmęczeni moją obecnością pedagogowie skrupulatnie stawiali na udawanie, że mnie nie widać. Zawsze stosowałem tę zasadę w szkole. Żeby uniknąć nieporozumienia, najlepiej się nie porozumiewać. Podczas matury tak zwanej ustnej niestety zgodnie z zasadą żelaznej logiki trzeba było używać ust. Mój wewnętrzny głos był jak adwokat Chrisa Browna, tego, co za ładne kilkanaście lat pobije w akcie bezgranicznej miłości swą wybrankę Rihannę. Otóż, kiedy Chris zaczął coś bełkotać w sądzie, próbując się usprawiedliwić z menelskiego wybryku, jego prawnik wyszeptał: „Ja nie tańczę, ty nie mówisz”. Trudno to zrozumieć, ale się udało.

Ktoś kiedyś obliczył, że w słynnej sadze *Zmierzch* główni bohaterowie poświęcają dwadzieścia pięć minut na gapienie się na siebie bez słowa. Tak wyglądała moja matura ustna. Komisja zadawała mi pytanie, a ja z otwartymi ustami spoglądałem na nich, jak mawiała moja babcia, „niczym Niemiec z okopów”. A i tak nie przebiłem mojej klasowej koleżanki, która poproszona na tak zwanym angielskim o dokładne opisanie swego stroju, wybełkotała po kilku minutach zadumy: „*Made in China*”. I tak podwójne dno, i ławki, i losu, oraz symulowanie padaczki i stuporu dysocjacyjnego zapewniło mi dojrzałość. Ale nie ukrywajmy. Matura w pewnym sensie dość specyficznie zaniża

oczekiwania. Jak paraolimpiada. Wtedy wszyscy czują się wygrani.

W życiu każdej wybitnej jednostki pojawić się musi wcześniej czy później termin „pierwsza diagnoza psychiatryczna”. U mnie ten doniosły fakt miał miejsce na zakończenie sześcioletniego pobytu w liceum ogólnokształcącym. Wówczas już zdałem sobie sprawę, że najważniejszą częścią mego ciała jest ego. Potem są mózg i penis w różnej kolejności, w zależności od okazji. Bez względu na to, co działo się ze mną na zewnątrz, bez względu na to, ile lat byłem w liceum, moje wewnętrzne ja od dawna było na studiach i szykowało się do doktoratu. To mi pomogło przetrwać wiele życiowych burz.

Ego ważna rzecz. Rozmawiałem raz pewnego o tym z Arturem Borucem:

– Ty masz ego, nie? Ego, kolego.

– Do czego zmierzasz, powiedz mi.

– Ewidentnie z całej tej rozmowy wynika, że masz charakter, że jesteś trudny, bo charakterny, albo charakterny, bo trudny.

Boruc na to:

– Aha.

– To był komplement chyba – dodaje Sara, siedząca obok małżonka Boruca.

– Artur jest trudny? – pytam ją.

– Artur ma ciężki charakter, oczywiście, że tak.

I wtedy ciężki charakter się odzywa i mówi:

– Wiesz, ja staram się przez całe swoje życie, nie wiem... Nie pierdolić głupot, tak, przynajmniej. Okazuje się, że przychodząc tutaj, troszkę, nie wiem, zboczyłem z tej drogi, którą sobie obrałem.

Piękne.

Pewnego dnia w szkole pojawił się gruby pan z jeszcze grubszą teczką i wyszło na jaw, że za pomocą pana będą nas badać na umysł, żeby przewidzieć, co czeka ludową ojczyznę za kilka lat. Czyli inaczej mówiąc: dokąd ją mogą takie młotki jak my zawieść. Pan energię miał niebywałą, jakby chciał dokonać zaraz inwazji na Francję, i bez ogródek wyjawiał, że dzięki temu testowi wyłowi spomiędzy nas jednostki wybitne oraz uporczywych debili. Niestety sam okazał

się jednym z tych bardziej drugich, bo oświadczył, że wieloetstronicowy test będziemy wypełniać po zajęciach lekcyjnych. A moją podstawową zasadą w szkole, zaraz po zasadzie pomijania zajęć, było pomijanie zajęć pozalekcyjnych. *Ulisses*, jak powszechnie wiadomo, w zależności od wydania, liczy pomiędzy 800 a 1000 stron, i taki był też ten test, i podobnie jak dzieło Joyce'a akcja miała rozegrać się w ciągu jednego dnia. Przy każdym pytaniu były trzy odpowiedzi, a pytano nas o rzeczy na poziomie: „Kiedy skończy się *Moda na sukces?*”, „Andrzej, jak ci na imię?” tudzież: „Czy chłopcy mają okres?” albo: „Kto zgasił światło?”. Ja swój wypełniłem w piętnaście minut moją ulubioną metodą naukową „na chybił trafił”. I pech chciał, że chyba w większości odpowiedzi chybiłem, bo po dwóch tygodniach wezwano mnie wraz z mamusią do poradni, gdzie zapadł wyrok: „Proste prace budowlane”.

Daję wam słowo. Jakiś psychologiczny tuman moją odpowiedź na pytanie: „Jakiego koloru jest czerwony maluch?” – „Biały” potraktował ze śmiertelną powagą. Gdy nie mniej poważnie próbowałem się ratować i zasugerować, że może ktoś nie do końca serio mógł podejść do tego psychiatrycznego *opus magnum*, usłyszałem: „Uwzględniamy to w naszych badaniach. Nie zmienia to jednak diagnozy. Jest pan upośledzony”.

Żyję z tym piętnem do dziś. Może właśnie to wyczuł Piotr Najstüb, gość drugiego odcinka mojego programu, bo wyznał:

– No ma pan zadatki na takiego aktora trzeciego planu. Ale ja bym radził to porzucić. Ja myślę, że w panu jest jakaś siła, ale pan sam jej jeszcze nigdy nie widział. Nie dał pan jej dojść do głosu, ponieważ tak wiele pan wie o tym interesie, który się nazywa show-biznes, że siłą rzeczy ta wiedza panem steruje.

Dziennikarstwo studiowałem dziewięć lat. Nie dlatego, że taki był cykl, ale dlatego, że wybrałem indywidualny tok studiów, tyle że nikt o tym nie wiedział. Postanowiłem indywidualnie zachować to dla siebie. Dziś każdemu, kto chce startować na dziennikarstwo, z miejsca wypisałbym pigułkę „dzień po”. Żeby szybko zapomniał o tym, co się stało.

Polecę wam jedną kluczową myśl: „Bezużyteczną rzeczą jest uczyć się, lecz nie myśleć. A niebezpieczną rzeczą myśleć i nie uczyć się”. Z mojego roku karierę zrobił chyba tylko Paweł Dunin-Wąsowicz, znany szerzej jako odkrywca talentu Doroty Masłowskiej, zwany w trakcie akademickiej nauki Paulem

Pavikiem. Chyba nie muszę tłumaczyć, jaka czynność wylewnie zaciążyła na genezie tego nobilitującego pseudonimu.

Dziennikarstwo, a przynajmniej jego studiowanie, daje ci poczucie grania istotnej roli w dramacie pod tytułem *Rzeczywistość*. Wydaje ci się, że stajesz się jej narratorem, opowiadaczem oraz w przypadku co bardziej myślącej jednostki, także i tłumaczem. A to gówno prawda. Studia dziennikarskie to nie jest nawet szkoła zawodowa. Studia dziennikarskie uczą ludzi w kierunku: „Człowiek, który wie to, czego nie wie, żeby być dziennikarzem”. Kiedy ja zaczynałem studia, a także w trakcie dziennikarstwo było uważane za służbę publiczną poddaną ostrym rygorom moralnym. Pojęcia etyki czy rzetelności były pojęciami warsztatowymi. Dziś są pojęciami nieobecnymi. Jeden z moich przewodników po tym świecie, Ryszard Kapuściński, powiedział kiedyś: „Misyjność zawodu skończyła się, kiedy ludzie biznesu spostrzegli, że informacja jest towarem, na którym można zarobić”. Święte słowa, panie Ryszardzie.

Dziś byle dupek z dostępem do komputera wie, że informacja jest towarem, a podrasowana informacja spełniająca nie tyle wymogi prawdy, ile bardziej wymogi oczekiwań czytelnika, jest towarem doskonałym. To oni wykończyli tę profesję. Teraz nie ma dziennikarzy. Są pracownicy mediów, podpisujące zdjęcia, młotkowi od contentu. Kiedyś ekskluzywna profesja, dziś staje się zajęciem masowym, w którym obowiązują słowa-klucze, jak w hip-hopie.

Wiecie, jakie są najpopularniejsze słowa w polskim hip-hopie? Otóż są to w kolejności zasiadania na pudle: 1. Hajs. 2. Ziomek. 3. Zajawka. Na czwartym jakże ważny, choć najwyraźniej niedoceniony: Koks. Przy użyciu tych czterech uduchowionych słów można napisać dziś epopeję hip-hopową, wielowątkową niczym *Rodzina Palliserów*, do znalezienia w księgarniach na półce „Proza rodzinna”.

Te cztery słowa to potencjalnie całkiem niezła autobiografia. Te cztery słowa to kawał historii Polski. Tymi słowami można by opowiedzieć życie i twórczość Tadeusza Rydyka. Wtedy chyba jednak bez słowa „koks”.

Oczywiście zdarzają się w hip-hopie artyści wyjątkowo rozbuchani literacko, którzy świetnie sobie radzą bez tej kluczowej czwórki. Znalazłem na przykład taki efekt artystyczny pochodzący z tej sfery: „Kręć mi dupą, kręć mi dupą, kręć

mi dupą, kręć”. Ładne, czytelne, no i przede wszystkim odpowiadające na fundamentalne, już omawiane pytanie: „Co artysta miał na myśli?”. Jeśli takowa tu w ogóle zaznaczyła swój pobyt.

Tak dziś mniej więcej pracują dziennikarze serwisów internetowych i prasy kobieco-plotkarskiej.

W dalszej części tej pozycji literackiej o kręceniu dupą podmiot liryczny nawija: „Co się dzieje z moją sąsiadką? Kręci dupą jak betoniarką”. Współcześni dziennikarze sfery tak zwanej popkultury robią to samo, tylko z głowami. Kręcą nimi jak betoniarką.

Pierwsza podstawowa zasada kreatywnego dziennikarstwa w moim rankingu ważności brzmi: „Miej własny punkt widzenia”. Druga: „Idź na wojnę myśli – wszystkich ze wszystkimi”. Trzecia: „Naucz się zadawać pytania, których nie zadałby nikt inny”.

Przypomina mi się rozmowa z Marcinem Gortatem.

– A weź dłoń. Pokaż dłoń...

Tu Marcin przykłada swoją okazałą prawicę do mojej.

– Jezus Maria! Przepraszam, że ci to powiem. Ja bym chciał zobaczyć, jak ty uprawiasz autoerotyzm, po prostu.

Do redakcji „Magazynu Muzycznego” udałem się od razu, kilka minut po tym, jak zostałem dziennikarzem. Czyli po otrzymaniu w dziekanacie legitymacji Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego ze stosowną pieczęcią, że ten na zdjęciu to ja. Do tego trzeba jeszcze dołożyć kilka minut drogi, jaka dzieliła ulicę Nowy Świat od Kredytowej. To była odległość od moich marzeń do ich realizacji.

Był rok 1987. Redakcję wspominam z sentymentem i lekko cynicznym rozrzewnieniem, tak jak się wspomina swój pierwszy oddział psychiatryczny. Była ona na drugim miejscu po redakcji miesięcznika „Non Stop”, którym dyrygowali Wojciech Mann i Roman Rogowiecki. A chciałem po prostu zostać czeladnikiem rock and rolla. Niestety jedno spotkanie z redaktorem Rogowieckim dało mi do myślenia. Mianowicie, że on wcale nie myśli, żebym ja tam był potrzebny. Lata późniejszej współpracy z tak zwanym Ro Ro pokazały mi dobitnie, że kolega Roman generalnie nikogo nie potrzebował do

współpracy. Wynikało to z tego, że pierwszym hobby Romana było kolekcjonowanie znamion przekonania, że inni są zbędni. I sumiennie dzień po dniu uzupełniał swą kolekcję braku wątpliwości. Roman był jak film *Kevin sam w domu* w Polsce na święta Bożego Narodzenia. Ten gość mógł oglądać siebie codziennie, z wyraźnym zadowoleniem, że to znowu on. Roman rozsiewał wokół siebie narcystyczny aromat kumpla zespołu Metallica oraz posiadacza angielskiego akcentu rodem ze stanu Minnesota.

Ale trzymając się choć przez chwilę chronologii. Zblazowany Ro Ro był najsilniejszym sygnałem, że zwykłą ludzką przyzwoitość zastanę wyłącznie w redakcji „Magazynu Muzycznego”. Było to wówczas mocno pokraczne pismo rock and rollowe, a esencją pokraczności było to, że nosiło w nazwie dodatek „Jazz”. A to słowo w żaden sposób nie rymowało się z punkowymi czasami. Pasowało do nich jak Barabasza do Jezusa.

Trzon redakcji stanowili uprzejmi panowie dobrze po kryzysie wieku średniego, a wszyscy sprawiali wrażenie, że ich ostatnią fantazją muzyczną była komanda Led Zeppelin. Podczas zebrań panowała pełna kurtuazji zgodność, że wszystko, co w muzyce najlepsze, już miało miejsce i my teraz niczym archeolodzy objawimy wam o tym dobrą nowinę na stary temat. Pachniało kurzem, rockowymi molami i rupieciarnią starego gustu. Obecności rock and rolla nie stwierdzonoby nawet pod największym teleskopem świata z chilijskiej pustyni Atacama, z którego można obejrzeć, jak na Jowiszu wyciskają pryszczę. Zgromadzeniem tym zarządzał Marian Butrym, jak później pokazała historia, mój pierwszy w życiu redaktor naczelny. Był figlarnym sybarytą o dużym poczuciu humoru i wyraźnym, choć błędnym przekonaniu, że młodzież nie jest dla niego zagrożeniem. Była to rzadka wówczas cecha, gdyż większość tak zwanych starszych kolegów wychodziła ze słusznego dla nich założenia, że świat nie jest instytucją zajmującą się spełnianiem twoich życzeń, a my ci to uzmysłowimy najlepiej. Takie są wilcze zasady rynku w promującym konkurencję zawodzie, jakim jest dziennikarstwo. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Ale na szczęście trwało to krótko.

Istnieją teorie, że siedem procent mężczyzn ma członka odchyłonego w prawo. Reszta to mańkuci. Te siedem procent to ludzie szoł-biznesu. Ludzie, którzy czują w sobie potrzebę bycia innymi. Niestety czasami brakuje im na tę inność pomysłu.

Redaktor Marian przyjął nas życzliwie. Piszę „nas”, bo towarzyszył mi człowiek-pasożyt Arkadiusz, późniejszy dyrektor Warner Bros w Polsce, co najlepiej ilustruje poziom kadr zarządzających w epoce dzikiej transformacji. Arkadiusz był niezdolnym oportunistą w typie Jana Piszczyka, syna krawca damskiego.

Teoria rodzicielska głosi, że dzieci dzielimy na te, które przynosi bocian, i na te, które znaleziono w kapuście. Arkadiusza na bank znaleziono w kapuście. I jak znam życie, właśnie tę kapustę kradł. Był bowiem kolegą, który podpierdalał pomysły, tytuły, idee innych, bo mu jakoś tak w głowie wychodziło, że skoro jego są chujowe, to tak będzie lepiej. Prawdziwy tragizm jego losów najpełniej oddaje fakt, że w swoim czasie był kawalerem niejakej Agnieszki Jastrzębskiej, co już samo w sobie godne jest krwawego libretta *Toski* Pucciniego. Dziś podobno żyje z hodowli koni. Mam nadzieję, że wszystkie kobyły są jego i ma na to niepodrobiony papier.

Redaktor Butrym już na pierwszym redakcyjnym zebraniu powierzył nam obowiązek (łamane przez zaszczyt) napisania tekstów do najbliższego numeru pisma. To miał być mój pierwszy raz. Oczywiście mój prawdziwy pierwszy raz miał miejsce, gdy miałem dwanaście lat. I tylko żałuję, że byłem przy tym sam.

Mnie przypadł w udziale zaszczyt zrecenzowania konkursu muzycznego, który odbywał się corocznie w gustownym, choć pachnącym źle ulokowanymi szczytami klubie warszawskiej FSO, a za nazwę miał „Rock dla pokoju”.

W niedzielny ranek, zaopatrzony w wałówkę, litrową butelkę coli oraz aktualną narzeczoną Beatę R., udałem się tramwajem w miejsce walk o pokój.

W 1988 roku w polskiej muzyce rockowej kipiało. Swoje płyty wydają Deuter, Armia, Kora i Püdeli, Moskwa, T. Love, Kult z genialnym albumem *Spokojnie* czy *Dezserter*. A w budynku Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu grano jak w Kołobrzegu. Wiejski heavy metal, powiatowe Dire Straits czy inne całkowicie zbędne, ale jakże bezpieczne dźwięki. Jakiś żerański selekcjoner postanowił dostosować jakość prezentowanej na zakładzie muzyki do jakości czterokołowych produktów, które codziennie schodziły z taśmy tego przedsiębiorstwa. „Jeśli takie granie na instrumentach ma być gwarancją pokoju, to ja wolę nalot dywanowy” – pomyślałem sobie wówczas, robiąc stosowne notatki. Co zabawne, wtedy po raz pierwszy przecięły się moje drogi

z Piotrkim Łukaszewskim, wówczas gitarzystą gminno-sołeckiego zespołu o wszystko mówiącej nazwie Angelika. Ciężko było podczas tych występów udawać orgazm. Szczególnie jak się widziało nieklamane orgazmy gitarzystów porywających się na dwudziestoczerogodzinne solówki, omiatając w tym samym czasie włosami niechlujne kąty żerańskiej sceny. Ale tacy to potrafiały udawać orgazm nawet podczas masturbacji.

Jak przystało na sumiennego dziennikarza w terenie, gruntownie zapoznałem się z ofertą literacko-muzyczną młodzieńców będących zdecydowanie za pokojem i przystąpiłem do pisania strzelistego reportażu.

Czas był trudny i ryzykowny. Teksty z „Magazynu” wędrowały do cenzury na Mysią, a dopiero później do drukarni. Taki był wówczas obrót wolną myślą. Miałem do wyboru narazić się Podstawowej Organizacji Partyjnej Zakładów na Żeraniu, a szczególnie jej młodzieżowej przybudówce ZSMP, przyznać się do wspierania militarystycznej polityki odwetowców z Bonn oraz ich popleczników z NATO, czyli nie opowiedzieć się za pokojem, i w końcu mieć koncertowo przejebane u kilkunastu kapel na starcie bez wątplenia błyskotliwej kariery, albo pochwalić te wszystkie łajzy przebrane za rockmanów, wystawić wybitną laurkę organizatorom, a na dodatek przyczynić się do niebombardowania ojczyzny przez bombowce startujące za moment z Monachium. Wybrałem wariant konfrontacyjny. Raz się żyje, zaplanowałem. „Za odwagę trzeba płacić. Strach jest za darmo”. To motto powoli stawało się jednym z moich podstawowych w życiu. Napisałem reportaż o tym, jak trudno mi napisać reportaż, gdy się ma do czynienia z czymś, co literalnie można nazwać gównem, na dodatek bez idei, czyli najgorszym rodzajem gówna.

Dziełu memu nadałem zatem adekwatny tytuł *Kupa w pokoju* i oddałem w ręce historii. Redaktor Marian wpadł w zachwyt, cenzorzy nie dostrzegali rewanżystowskich tonów i w ten sposób zostałem redaktorem z dorobkiem.

Pierwszy wywiad prasowy zrobiłem natomiast z człowiekiem, który był najważniejszą figurą na szachownicy mych muzycznych poszukiwań. Porównanie jak z *Kalendarza gospodyń wiejskich*, ale ma swoje uzasadnienie w przeszłości oraz przyszłości powyższego tekstu.

Robert Brylewski. Szokiem i niezrozumiałym gestem losu jest to, że dziś mogę o nim pisać już tylko w czasie przeszłym. Odszedł tuż przed 4 czerwca

2018 roku. Symboliczne i bez patosu paradoksalne. Tuż przed nieweryfikowalnym świętem wolności, w jego wigilię, odchodzi jeden z najbardziej wolnych ludzi, jakich znałem. Jego zespół Kryzys był aktem założycielskim nowej, lepszej reszty mojego życia.

Jest taka stara zasada w relacjach damsko-męskich: „Jeśli facet pamięta kolor twoich oczu po pierwszej randce, to znaczy, że masz małe cycki”.

Transponując te wyszukane refleksje na moją biografię, jeśli kontakt z czyjąś muzyką powoduje, że zapominasz o wszystkim, co słyszałeś do tej pory, to znaczy, że masz za mało wiatru w głowie. I dzięki Robertowi chciałem się przewietrzyć. Był pierwszym polskim muzykiem, z którym zrobiłem wywiad do „Magazynu Muzycznego”.

Do dziś pamiętam koncert grupy Kryzys na stołecznym Torwarze, od lat robiącym za postsowiecką Carnegie Hall. Grali wówczas jako support, uwaga, grupy Perfect, której ówczesne piosenki, bardzo przepraszam, ale zrobiły na mnie wrażenie kompozycji z tej samej szuflady, z której wyjmowali natchnienie Skaldowie. Zresztą najlepszą recenzją gwiazdy wieczoru było to, że po koncercie Kryzysu połowa sali uznała, że nie ma pragnienia na wysłuchanie, jak Grzegorz Markowski będzie opowiadał historie swojego życia napisane przez życie kogoś innego.

Był wtedy rok 1980 i zanim Perfect stał się legendą, otarł się o kicz i tandetę.

Robert Brylewski był zapowiedzią czegoś nowego, autentycznego oraz inteligentnie zbuntowanego. Na scenach kraju grasowały muzyczne zombie pod sztandarem Muzyka Młodej Generacji, a on stał z boku, na marginesie. I nagle dzięki niemu ten margines stał się najatrakcyjniejszy. To było coś pozasystemowego, pozamedialnego, pozabranżowego. Dzięki niemu muzyka nabrała wyraźnego wymiaru symbolicznego, pokoleniowego, wolnościowego. W moim rankingu stał się centralną postacią kultury niezależnej tamtego czasu. Ojcem założycielem zbiorowego myślenia inaczej. Był człowiekiem wprowadzającym ferment, obdarzonym niezwykle muzyczną intuicją. Był panem od dźwięku, który nie miał sobie równych. Jego droga od Kryzysu, przez Brygadę Kryzys, Izrael, Armię, po Falarka czy Maxa i Kelnera była moją drogą.

Była drogą wielu nie tylko z mojego pokolenia. Przyszedł z odsieczą, ratował od tandety, nieprawdy i miałości. I nigdy nie wybaczę sobie, światu, środowisku, że tak ważny dla kultury człowiek koniec swego życia przeżył w niedostatku.

Kiedyś odwiedzam go w mieszkaniu na Pańskiej, wprowadza mnie do środka i widzę, że gra z ojcem w szachy. Przeprasza mnie, mówiąc: „Usiądź na chwilę, tylko dokończymy partię”. Byłem oszołomiony. Nie spodziewałem się strzykawek, dziwek, ścieżek białego szaleństwa, ale nie spodziewałem się też takiej kultury. Zawsze będę go tak wspominał.

Pamiętam jego wizytę w moim programie.

– Mówią o tobie „ojciec chrzestny punk rocka”.

Robert:

– Mówią.

– Mówią o tobie „wujek reggae”.

– Mówią.

– Mówią „legenda”.

– Mówią.

– Co jeszcze mówią? – pytam.

– Niektórzy „ciotka” mówią – ripostuje Brylu. – „Ciotka polskiej alternatywy”.

– To co, Robert, pora umierać?

Dziś wstydzę się tych słów.

Słowa pożegnania Roberta wygłoszone na jego pogrzebie przez Tomka Lipińskiego należałoby wyryć na kamiennych tablicach i pokazać ludziom. Żeby zobaczyli, czym jest przyjaźń, jedność i wspólnota. I że można komuś wznieść pomnik bez patosu i pustych słów.

„Magazyn Muzyczny” był lekko groteskową redakcją. Był izbą pamięci narodowej rocka lat siedemdziesiątych. Selekcja materiałów do ewentualnego druku przypominała selekcję w nocnej izbie przyjęć jakiegoś powiatowego szpitala. Przyjmowano tylko stare i sprawdzone przypadki chorób lub urazów, a wszystko, co nowe lub nieznanne, odsyłano do poczekalni.

Pierwszym zwiastunem nowego i młodego byli tam Paweł Sito i Jacek Demkiewicz. Sito był wtedy młodą gwiazdą dziennikarstwa, opromieniony wpływami w Rozgłośni Harcerskiej oraz kilkoma zastępstwami w Liście Przebojów Programu III, co czyniło go wówczas postacią opiniotwórczą. Paweł odznaczył się także opinią, że jeśli po imprezie jakiegoś zespołu zostawał alkohol, to znaczyło, że w zespole dzieje się źle. I podobno Paweł dbał o to, żeby działa się lepiej i nic nie zostawało. Jacek z kolei toczył swoje życie pomiędzy Iron Maiden, Whitesnake a Iron Maiden. Nosił długie włosy jak ci z Iron Maiden oraz buty sportowe podobne do tych, które nosili ci z Iron Maiden. Jeśli chodzi o ten band, był Gandalfem Szarym. Wiedział wszystko wstecz oraz do przodu.

Byli też dziarscy chłopcy, czyli kolektyw starszeństwa. Wiesław Królikowski sprawiał wrażenie jednostki, która gdyby tylko mogła, to swojej córce nadałaby imiona Robert oraz Plant. A sam chętnie z bierzmowania zostałby Robertem Plantem Królikowskim. Cierpiał ten jegomość na rodzaj nieszczęśliwej miłości do zespołu Led Zeppelin i chętnie podejmował się napisania o każdym, pod warunkiem że będzie to Led Zeppelin. Chłopaki z zespołu Moskwa, świecącego wówczas triumfy tria z Łodzi, opowiedzieli mi kiedyś, że pierwszym pytaniem, które zadał im redaktor Wiesław podczas wywiadu, było: „Czy w waszej muzyce znajdujecie inspiracje Led Zeppelin?”. Taki to był pan. Gdyby tylko mógł, powołałby w IPN-ie specjalną komórkę, która by śledziła wpływy Led Zeppelin na chrzest Polski, zabory, bitwę pod Szydłowcem oraz cenę masła. Pierwszy album, zatytułowany ku ekstazie redaktora *Led Zeppelin I*, Londyńczycy nagrali podobno w ciągu 36 godzin. Tyle samo czasu dziennie Wiesław poświęcał na rozmyślenia o swoich pupilach. Jak to robił, pozostaje już jego wielką tajemnicą. Gdyby to ode mnie zależało, dałbym mojemu starszemu koledze z redakcji stypendium, żeby mógł tropić życie Led Zeppelin przed Led Zeppelin oraz po

Led Zeppelin. Bo kto jak kto, ale on zrobiłby to najlepiej. Miał i pewnie do dziś ma czarny pas w Led Zeppelin.

Kiedys przeczytałem, że 15 milionów Amerykanów chce być pochowanych z telefonem komórkowym, co najlepiej pokazuje, że co jak co, ale teleinformatyczną kulturę wysoką to oni mają w małym paluszku. Idąc tym tropem, WK chciałby być pochowany z podwójnym albumem składankowym LZ oraz pryzmą papieru, żeby pomimo mroku móc nakreślić kilka nowych refleksji na nienowoty temat. A następnie przez dołączony telefon przedyktować je sekretarce. Grupa istniała zaledwie dwanaście lat, a w takich ludziach jak on istnieć będzie zawsze, bez względu na fakt niezmiennego nieistnienia grupy. Do dziś uważam, że artykuły pod tytułem „10 rzeczy, których nie wiecie o Led Zeppelin” są nam potrzebne jak głuchoniememu złota rybka, ale niestety nic na to nie poradzę. Klątwa Wieskopodobnych fanatyków *Schodów do nieba* trwa. Jedyne rockandrollowe zachowanie Wiesława, jakie pamiętam z tamtych czasów, to recenzja pierwszego koncertu megagrupy Papa Dance, którą napisał, z mozołem analizując niezwykłą chemię zespołu z widzami oraz jej randkowanie stylistyczne z aktualnymi nurtami w popmuzyce. Rockandrollowe było to, że nie poszedł na ten koncert, bo nie trawił wrzeszczących dzieciaków.

Byli też Wiesław Weiss i Jerzy A. Rzewuski. Absolutne muzykologiczne robokopy. Obaj nie wyglądali na przesadnych rockandrollowców. Jurek miał oblicze surowego, choć uczciwego szefa urzędu skarbowego, a Wiesiek z tym swoim nieśmiertelnym wąsem generalnie nie miał oblicza innego niż każdy człowiek z wąsem. Obaj byli życzliwi wobec młodzieży dokonującej inwazji na ich azyl, ale była to taka życzliwość, z jaką Niemki patrzyły na niegwałcących je sowieckich żołdatów. Takie pomieszanie wdzięczności z odrobiną pretensji. Obu szanuję do dziś i choć nigdy nie zyskali jakichś wielkich laurów należących się za ich wiedzę o muzyce i jej kształtowaniu, uważam, że bez nich polskie dziennikarstwo muzyczne byłoby kulawe jak Michał Figurski po wylewie.

Pamiętam jeszcze Adama Halbera, który zamiast do redakcji piszącej o rocku, bryłą pasował bardziej do redakcji piszącej o drzwiach otwartych we wszystkich stołecznych restauracjach. Był jowialny, pogodny, a horyzont jego zainteresowań muzycznych nie przekraczał chyba linii wyznaczonej przez braci Osmond i The Animals. Po jego śmierci w 2015 roku córka Małgorzata wyznała na swoim blogu, że Adam kazał, by na jego grobie napisano: „Było super”.

Publicznie doceniał moje pióro, więc – nie tylko dlatego – będę go dobrze wspominał.

Napisy na grobach to w ogóle jest ciekawa sprawa. Adam Hanuszkiewicz, wielki demiurg wszech sztuk, kazał wyryć na swoim grobie: „Umarł Hanuszkiewicz. Nudno będzie w teatrze”.

Personą z innego wymiaru był filozof, performer, czarodziej Merlin i pierwszy rastafarianin PRL-u w jednym, czyli Sławek Gołaszewski. Miał twarz jak niedokończony tatuaż, trochę jak z bajki, a trochę jak z baśni. Sławek tak pisał o muzyce, że mało kto to kumał, ale wszyscy czuli się tym uduchowieni. Był wędrowcem, który wkraczał na taki poziom spekulacji, odniesień i wyobraźni, że Teatr Źródeł Jerzego Grotowskiego to przy tym przygody pszczołki Mai i tego grubasa pierdoły Gucia. Sławka się nie czytało, jego się albo odbierało, albo nie. Tak jak jego obecność. Pachniał paczulą i marihuaną. Był wielkim nauczycielem. Grał dziwne dźwięki na klawirze z Kulturą i Izraelem. Został naczelnym ideologiem grupy Armia, dzięki czemu przez jej przekaz przebiegały już takie tematy jak postmodernizm, świadomość głębokiej ekologii czy New Age. Zaproponowałem mu później pracę w audycji *Brum*, którą współtworzyłem w radiowej Trójce. Sławek miał codziennie czytać jedno zdanie z powieści Edwarda Redlińskiego *Konopielka*. W ramach *Codziennego Teatru Radiowego Magazynu Brum*. Miał luz i kontemplacyjny dystans i zrobił to wspaniale

Jestem dumny, że go znałem.

Nie mniejsza duma rozpieszcza mnie, gdy wspominam Tomka Beksińskiego. Ten to dopiero był magik. Na każdym redakcyjnym zebraniu ceny płyt i ceny biletów na koncerty przeliczał na liczbę hamburgerów w McDonalddie. Czemu to robił? Do dziś nie wiem, ale tak miał. Komicznie demoniczna postać. Kiedy przychodził i zdejmował swoją czarną pelerynę Nosferatu, spod niej wyłaniał się łyśawy cherubinek o buzi przerośniętego bobasa-maturzysty. Wyglądał jak samica ćmy księżycowej w ponad naturalnym rozmiarze. Lubił być skrajnym cynikiem, co było przebraniem, tak samo jak ta peleryna. Raczył mnie często opowieściami z dzieciństwa. Na przykład jak to babcia zabrała go do kościoła, a on pod koszulą miał odwrócony krzyż na łańcuchu. I z niecierpliwością oglądał się za siebie, kiedy zacznie się gotować woda święcona.

Podobno przeciętny człowiek zakochuje się cztery razy w życiu. Tomek, jako że przeciętny nie bywał, zakochiwał się prawdopodobnie dużo częściej. W aktorkach, piosenkarkach, postaciach z filmu, plakatu i piosenek. Lubił mieć idealny punkt odniesienia, żeby się nieidealnie odnosić do kobiecej rzeczywistości na ziemi. I odnosił się brutalnie. Był idealnym kandydatem na pełnoetatowego mizogina. Czasem miałem wrażenie, że jego idealna kobieta powinna być jak przychodnia – czysta, ogólnodostępna i bezpłatna. Czynna 24 godziny. Nie powinna też się odzywać i dotykać jego płyt. Najlepiej jakby była nimfomanką na telefon, ale z własnym mieszkaniem. Takie skrzyżowanie Sharon Stone, Margaret Thatcher i wszystkich partnerek 007, ale raczej z filmu niemego. Tomek był twórcą dziwacznej teorii, którą wykładał mi na raty, gdy wracaliśmy razem z redakcji w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Mawiał: „Jeśli ktoś mówi, że przestał rozumieć kobiety, to znaczy, że właśnie zaczął je rozumieć”. Potem wchodził w głębsze wymiary. „Kuba, jak kobieta nie mówi, to znaczy, że analizuje”. „Co?” – naiwnie pytałem. „To, co powiedziała wcześniej, ale nie miała czasu zrozumieć”. Taki był smakosz z niego. Małżeństwo było dla niego połączeniem firmy cateringowej z firmą sprzątającą i myślał o nim z dużo mniejszą sympatią niż o Holokauście.

Nie od dziś wiadomo, że marzenia bywają masturbacją wyobraźni i trzeba w tym mieć umiar.

On go nie miał. Nie tolerował polskiej muzyki oraz polskiego kina. Uważał je za kulturowo zbyteczne. Nasza muzyka była według Tomka miałka, a kino nudne jak muzulmańskie porno. Jego największą krajową muzyczną miłość podrzuciłem mu podstępnie. Mojej ówczesnej koleżance Anji Orthodox, mrocznej liderce nie mniej grobowego zespołu Closterkeller, bardzo zależało na opinii jej ponurego guru, czyli Tomka właśnie. Wręczyłem mu więc debiutancką płytę zespołu ze słowami: „Muzyka w klimacie karawaniarskim, tak jak lubisz. Tylko sam wiesz, polski rock. Jakies to takie nieskładne, mizerne, a i w swojej trupiości nikczemne”. Tomek wyznał, że przez uprzejmość się zapozna. I tak zaczął się jego artystyczny romans z Anją, *nomen omen*, aż po grób. Został jej asystentem literackim i nadwornym tłumaczem zastygłych w śmiertelnej udreće tekstów na angielski. Myślę, że się w niej lekko podkochiwał... Szkoda, że

jednostronnie, bo wtedy wszystko mogło potoczyć się inaczej.

W *Magazynie* poznałem też Piotra Majewskiego, którego poznanie zmieniło wektory mojego życia zawodowego. Z wlekącej się jak pacjent na amputację kolejki na Kasprowy przesiadłem się do pendolino. Piotr był synem Czesława Majewskiego. W tamtych czasach i tamtego właśnie Czesława Majewskiego. To jego ojciec co miesiąc występował jako pianista Pan Czesio w Kabarecie Olgi Lipińskiej ze swoją kultową frazą: „Mam grać?”. Piotr był fanem jazzu i w owych czasach autorem popularnego cyklu *Krajowa Scena Młodzieżowa* w Programie III Polskiego Radia. Do dziś pamiętam jego kilkukrotne zapytanie – całkowicie inne od pytania jego ojca: „Dlaczego tak mało piszesz?”. Rozumiecie to? Facet na pierwszym roku studiów, pracujący trzeci miesiąc w redakcji, słyszy od swego starszego kolegi: „Dlaczego tak mało piszesz?”. Było to porównywalne z tym, co kilka lat później usłyszałem od ponętnej prowadzącej program *Lalamido*, zaraz po akcie wzajemnego udostępnienia sobie swych organizmów. Rzekła wtedy: „O, widzę, że ten pan ciągle nieustrudzony”. Zarówno ja, jak i ten pan przyjęliśmy to z radością.

Piotr był pierwszym dziennikarzem, który uwierzył we mnie jako w dziennikarza. Zobaczył we mnie takowego. Następnie rzeczywistość przyspieszyła i wsiałem do międzykontynentalnej rakiety balistycznej pod jakże pożądanym do dziś kryptonimem „Kariera”. Wcześniej, dzięki inicjatywnie założenia w redakcji komórki młodzieżowej, osiągnęliśmy z Pawłem Sito właściwy poziom zadowolenia z tego, co przynosi rock and roll, a co przynoszą okolice rock and rolla. Tym samym wylądowałem dzięki niemu w Rozgłośni Harcerskiej, jedynej wówczas prawdziwie alternatywnej stacji od Karpat po ostatnie boje Helu. Jak głosiła legenda, była to jedyna stacja radiowa w bloku państw socjalistycznych działająca poza strukturami radiowo-telewizyjnymi. Zaczynali tam swe epickie kariery Piotr Kaczkowski, Wojciech Mann czy Jurek Owskiak, a więc szybko uznałem, że jeśli gdzieś mam znaleźć furtkę do historii, to tylko tam.

Pierwszy wywiad radiowy do Rozgłośni Harcerskiej jako etatowy nieharcercz, by nie powiedzieć: etatowy antyharcercz, zrobiłem z Leszkiem Janerką przy okazji jego pierwszego solowego koncertu w warszawskim klubie Riviera Remont. Co ciekawe, po blisko dwudziestu latach zarówno on, jak i ja pamiętaliśmy to spotkanie.

W celu zapisania głosu artysty dostałem od radia magnetofon przypominający radiostację partyzanta Bartka ze *Stawki większej niż życie*. Był wielki, trudny w obsłudze i był zdecydowanie węgierski. Mikrofon miał na teleskopie, niczym wędka do łowienia rekinów. Z takim ekwipunkiem ciężko było zgrywać radiowca z doświadczeniem. Leszek wykazał się daleko idącą tolerancją i nawet na moje niezwykle podchwytliwe pytanie, co dziś wieczorem zagra na koncercie, odpowiedział z cierpliwością Gandhiego.

Podobno muzyka, której słuchasz w wieku dojrzewania, głęboko zakorzenia się w twoim mózgu i pozostaje tam z tobą do końca życia. Chciałbym za dwadzieścia lat spotkać dzisiejszego fana Gosi Andrzejewicz. Mógłby się w złożoności świata poczuć jak facet po amputacji rąk. Niezręcznie.

Drugim równie pełnym galopującej erudycji wywiadem było moje spotkanie z fenomenem tamtych dni, czyli zespołem Sztywny Pal Azji. To takie połączenie Kelly Family z harcerskim klimatem płonącego ogniska i szumiejących kniej. Panowie wyglądali jak etatowi członkowie PSL-u tudzież etatowi testerzy karmy dla zwierząt, ale czasy wówczas były inne i żeby dotrzeć do mas, nie trzeba było być wielobiegunową seksualnie Conchitą Wurst. A im się to udało. Hity *Wieża radości* czy *Zakopane, Zakopane* nuciła wówczas cała Polska. Do dziś gdy słyszę słowa: „Nie gniewaj się na mnie Polsko, nie gniewaj się, Ja naprawdę bardzo kocham cię, naprawdę kocham cię”, to mam dreszcze wielkości dziur w skarpetach pośła Ryszarda Czarneckiego. Jak przystało na dziennikarską gwiazdę śmierci, zarobiłem z nimi demaskatorską pogawędkę na schodach pachnącego uryną niedożywionych studentów studenckiego klubu Stodoła. Po emisji dwóch moich autorskich materiałów osiągnąłem taki poziom spełnienia i intelektualnego poznawczego dopalenia, że Piotr Majewski zaproponował mi transfer do Programu III Polskiego Radia. Tak, tak, moi drodzy. Po dwóch moim zdaniem średnich wywiadach zaliczyłem awans do ekstraklasy.

Kiedyś na licealnej potańcówce, w trakcie mego tańca, podeszła do mnie jakaś dziewczyna i z pełną powagą zapytała: „Czy ty tańczysz, czy dajesz nam jakieś znaki?”.

Tak oceniam swój ówczesny poziom radiowca.

W moim subiektywnym odczuciu obie moje radiowe eskapady nadawały się wyłącznie do tego, by mieć je w radosnej pogardzie, a z radiowym warsztatem

miały tyle samo wspólnego co Tomek Karolak z Wiedźminem.

Pracę w radiowej Trójce wspominam tak samo jak pierwszą miłość – z rozrzewnieniem i dyskretną mgiełką nieobiektywizmu. Przeżyłem tam nuklearny romans z dziennikarką, która uważała, że dzień bez seksu jest dniem straconym. Nie była niebiańsko piękna, ale za to Stwórca wynagrodził ten deficyt, obdarzając nadmiarem ochoty na współzycie. I ja z tego nadmiaru korzystałem. Od pokoju redakcyjnego magazynu „Brum” począwszy, a na tajemniczym drzewostanie na obrębach miasta stołecznego skończywszy. Była niczym żywa, cielesna emanacja hasła producenta serków Turek: „Przyjemność to nasza specjalność”.

Podczas koncertów, które nazywały się Brum Top, a które prowadziłem z redaktorem Tomkiem Żądą, wyjechaliśmy do Trójmiasta. Jak się później okazało, rejonu, z którego pochodziło najwięcej moich perwersyjnych wspomnień. To, co ta dziewczyna wyprawiała ze mną w małym pokoiku nadmorskiego hotelu, to było tsunami przewiezione w słoiku. Do dziś pamiętam medalik z wizerunkiem Pani Matki Boskiej fruwający rytmicznie pomiędzy jej młodymi piersiami. Nie wiem, co na to powiedzieliby ojcowie Kościoła. Ja byłem zachwycony. Widywałem ją później chyba w newsach Polsatu. Później w TVN24. Jakikolwiek informacje o kondycji miasta i świata sprzedawała, u mnie zawsze jej widok na ekranie kończył się erekcją. Ona Kosowo, ja erekcja. Ona Timor Wschodni, ja erekcja. Wzwód na pilota. Wyszła za mąż za korespondenta Polskiego Radia w Moskwie, powiła mu dwie piękne córki, a ja dalej zostałem z mym sterczącym wspomnieniem.

Ale odchodząc na moment od wilgotnych pornowspomnień na rzecz wspomnień bardziej merytorycznych, czyli wracając do mojego dźwiękowego debiutu w ramach audycji *Krajowa Scena Młodzieżowa*.

Trójka to było elitarne miejsce. Taka radiowa agencja towarzyska dla najciekawszych okazji. Luksusowy klub z wewnętrznym metajęzykiem, metazwyczajami i metasamouwielbieniem. Tam prawie każdy, czy to pracujący na antenie, czy gościu na portierni o mazowiecko-wędliniarskiej twarzy i w mundurze leśniczego, czy pracownik księgowości, onanizowali się faktem tam bycia. Dziwne, ale wciągające. Trójka miała wtedy najlepsze najgorsze realizatorki świata. Jedna w typie szerokoekranowej MILF, a druga w stylu

pokurczonego przez własne zgorzknienie trolla. Obie diwy radiowej konsolyty posiadały wiedzę tajemną, jak powinna brzmieć audycja radiowa, ale obie równie niechętnie dzieliły się nią z nowymi współpracownikami. Obie były wredne, męczące i upierdliwe i Bóg mi świadkiem (taki zwrot zwyczajowy, gdy buduje się dramaturgię wypowiedzi) obie kilkakrotnie niemal doprowadzały mnie do dylematu, czy akceptować je po cichu, tak jak się akceptuje raka wątroby, czy może powiedzieć im: „Walcie się, pomarszczone pokemony, odchodzę, by swym talentem zatruwać życie bardziej życzliwym”. Wytrwałem. Ale mając dziś opinię taką, jaką mam, czyli mieszaną, choć słyszałem życzliwe diagnozy, że jak dłużej stoję na jakiejś ulicy, to wokół spadają ceny gruntów, to w imię gorzkiego smaku tamtych upokorzeń i złośliwości, które pamiętam do dziś, życzę wam takiej opieki w NFZ-ecie, jaką wy otoczyłyście mnie. (Drugiej to już nie dotyczy, bo odwaliała kitę. Niech jej ziemia wilgotną będzie).

Piotr Majewski nie lubił najwyraźniej pracować sam. Widocznie wychodził ze słusznego zresztą założenia, że jeden bezużyteczny mężczyzna to wstyd, dwóch to kancelaria adwokacka, a trzech to już rząd. Sprowadził więc mnie. Plan był tyle brawurowy, ile podstępny, bo po jednej wspólnie poprowadzonej audycji mój protektor, mecenas oraz życzliwy starszy kolega zwinął się w długą podróż poślubną. I zostałem sam. Aaaa, przepraszam, sam, otoczony przez dwie matrony, którym w momencie, gdy ich matkom odeszły wody, to im odeszła życzliwość dla bliźniego.

Po kilku miesiącach naszej żarliwej współpracy dyrekcja Programu III wpadła na pomysł, że należy wyjść w kierunku młodzieży szerszym frontem, i wraz z Piotrem dostaliśmy polecenie utworzenia frontu. Miał on mieć postać codziennej audycji od godziny 15.00 do 16.00, kiedy to startował koronny program Trójki zatytułowany podchwytliwie *Zapraszamy do Trójki*.

Pamiętam pewien wywiad z właścicielem kilkunastu agencji towarzyskich, który opowiadał o swoim sukcesie takimi słowami: „Zaczynaliśmy bardzo skromnie. Ja, żona, teściowa...”. Z nami było podobnie. Cytując kultową pieśń Perfectu: „Było nas trzech...”, czyli tylko Piotr i ja. Musieliśmy zwołać kolektyw, który byłby kompetentny, zwarty ideologicznie, niewytarty w postreżimowych mediach, a na dodatek autentyczny dla młodzieżowego słuchacza. Piotr wymyślił Jurka Owsiaaka, świra poznanego przez nas w Rozgłośni Harcerskiej. Ja rzuciłem propozycję Piotrka Klatta, lidera Róż Europy. Był to mój koleżka

nieposiadający w żadnym stopniu predyspozycji, aby być rockowym wokalistą, co mu się niewątpliwie marzyło, ale posiadający wyraziste anarchizujące poglądy, na tyle, by zostać politykiem lub radiowcem, co mu się nie marzyło. Odziedziczyliśmy też Tomka Żądę, poczciwego dziennikarza programu telewizyjnego *LUZ*, którego charyzma redaktorska sprowadzała się do faktu bycia serdecznym. Tomek był gościem z cyklu „Mama mówi: «Synu, chciałabym poznać twoją dziewczynę». A on na to: «Ja też»”. Piotr dołożył jeszcze Adama Romanowskiego, trochę dziennikarza, a trochę muzyka, sprawiającego wrażenie jegomościa, który może poprowadzić wszystko, nawet wybory miss Stalingradu, a ja Tomka Lipińskiego, Kelnera (lidera zespołu Deuter) i Roberta Brylewskiego. Szybko staliśmy się, całkowicie nie wiedzieć czemu, główną atrakcją Programu III. Może dlatego, że audycja była lekko dzika, adorowała bliźnich swojskim pierdoleniem, bez trójkowego napuszenia i udawania specjalistów od bycia specjalistami.

Mam w głowie taki dialog z dzieciństwa, jak przyjeżdża aktywista partyjny do rolników z radomskiego i pyta: „Jak żniwa?”. Rolnicy na to: „Chujowo”. On niezłomnie zagaja: „Nie upiększajcie, mówcie, jak jest”.

Podobnie było z nami. Wystarczająco chujowo, żeby każdy znalazł coś dla siebie. Ot, grupa świrów, zapaleńców, którzy postanowili udowodnić światu, że polska muzyka rockowa jest najlepsza z najlepszych. To wymagało odwagi i samozaparcia. Ale odwagi przede wszystkim. A co to jest odwaga w takiej sytuacji? To tak, jakby pójść do lasu, w którym gwałcą ze szczególnym okrucieństwem, i śpiewać do utraty tchu piosenkę turystyczną: „Przygoda, przygoda, każdej chwili szkoda”. Z dzisiejszej perspektywy oceniam, że połowa ówczesnych zespołów nie powinna się była wstydzić swoich umiejętności, bo nie miała czego.

Czasy muzycznie były odmienne od dzisiejszych. Na *Liście Przebojów* u Marka Niedźwieckiego hulała *Opowieść zimowa* Armii czy *Pokój z kulą w głowie* Proletaryatu. Polska muzyka rockowa przeżywała swój najlepszy czas. Rządziła. Rock był rockiem, rock był popem, a nawet czasami rock był jazzem. Rock był tempem i tętnem tamtych dni. Szybko staliśmy się centralną dyspozyturą rockowego życia w kraju. Jego nerwem. Wszystkie najważniejsze nowości miały premiery u nas, najważniejsze głosy i głowy (a to nie zawsze przecież idzie w parze) przychodziły do nas na wywiady, a audycja w swym nieszczególnym

paśmie słuchalnością pobiła flagową *Listę Przebojów Trójki*. Na korytarzach trójkowej Izby Pamięci Wyłącznie o Nas Samych zaczęły się pojawiać zakazane mordy oraz nie mniej podejrzane ryje krajowych tuzów rocka. Odessaliśmy gości prawie wszystkim pozostałym programom. U nas mówili, co chcieli, bez konieczności poprawności stylistycznej, odpowiedniej dykcji oraz innych takich. Dopełnieniem naszej nieoczekiwanej wybitności była nagroda dla najlepszej audycji radiowej, którą dostaliśmy w roku 1992 na festiwalu w Sopocie. To była dziwna edycja tej imprezy. Z jednej strony w eliminacjach wystartował Kazik z podobno hip-hopowym numerem *Spalam się*, a z drugiej strony takie potworki jak Kabaret OTTO czy słowiańska dwuosobowa reinkarnacja Johna Lennona, która na potrzeby Rzeczypospolitej przyjęła imię Universe. Festiwal powinien mieć, jak podpowiada nazwa, atmosferę festiwalową, a tę udało się osiągnąć, w mojej opinii, dopiero podczas ogłaszania punktacji. Kabaret OTTO zajął 22. miejsce, otrzymując od światowego jury... zero punktów za strzelisty utwór o tytule nomen omen *Faux-pas*. A żeby było weselej, supergrupa składająca się, jak się później okazało, z jednego samobójcy i jednego przywiązanego do życia, czyli duet Universe, zajął równie doskonałe 22. miejsce, zdobywając w światowej opinii muzykologicznej okrągłą liczbę o punktów. Co równie ciekawe, zawodowy opozycjonista oraz alternatywny guru Kazik Staszewski w ogóle nie wszedł do finału, zajmując w eliminacjach 25. miejsce. Takie to były czasy, że na wieki wieków idol Kazik przegrał nawet z niezgrabnymi panami OTTO. Jedyne, co ich połączyło, to dosyć wyrównana walka o konkretne o punktów, zakończona zresztą nie lada sukcesem.

Działo się. Jako że podczas całego festiwalu byłem zajęty okupowaniem wielkoformatowego biustu niejakej Beaty, której nieostrożni rodzice wybrali się na rejs po Bałtyku, nie przypuszczając, że w tym samym czasie ktoś wybierze się w rejs po falach ciała ich pociechy, to nie przykładałem specjalnej uwagi do stroju i nastroju w Operze Leśnej. Zresztą sama nazwa obiektu dawała mi od wielu lat jednoznaczny sygnał, że z dobrą rozrywką to my jesteśmy głęboko w lesie. Beata była mistrzynią w robieniu sernika na zimno oraz innych rzeczy już zdecydowanie na ciepło. Miała biust, który mnie, jak to kiedyś wymyślił wieszcz Adaś, śmieszył, tumaniał i przestraszał. Kiedy moja ówczesna oblubienica kładła się na plecach, jej piersi przyjmowały w mojej głowie postać dwóch lądowisk dla helikopterów Black Hawk. Zmieniały swą postać, masa

przechodziła w energię i całkowicie zasłaniała właścicielkę, skrywającą się pod owymi łądowniskami. Tym samym mało pamiętam jej urodę jako taką.

To była sytuacja, którą werbalnie przeżyłem kiedyś w dyskusji z Dorotą Wellman. Zapytałem ją (bo wiem, że naród zasługuje na taką wiedzę), czy w seksie jest czynna, czy już tylko bierna, a ona na to wypaliła: „Gdybym cię wzięła między nogi, to byś zaginął”.

Dziwny to był czas. Kiedy wręczano nam nagrodę, a mistrzem tego niezasłużonego ceremoniału był Marek Niedźwiecki, ja koncentrowałem się tylko na jednym: jak nie zaliczyć wirtuozerskiego rittbergera na szklanej podłodze sceny festiwalowej. Nabyłem bowiem uprzednio w jednym z kopenhaskich sklepów obuwie w stylu kowbojki, które swym rozmachem lokowało mnie pomiędzy zespołem Leningrad Cowboys a czeskim sobowtórem Johna Wayne’a (ten ostatni do zobaczenia w Pradze w miejscu o wszystko mówiącej nazwie Zabavni Park). Przez co ruchy miałem swobodne acz nieskoordynowane, jak Stefan Niesiołowski w najlepszym okresie.

Przypomina mi się w tym momencie stare stwierdzenie, często powtarzane przez Zbigniewa Hołdysa, że „człowiek, który nie musiał sypiać na dworcach, nigdy nie będzie prawdziwym rockmanem”. Ja byłem wówczas rockmanem salonowym, zamieszkałym z dala od gościnnych placówek PKP, i na domiar złego lubiłem odziewać się schludnie.

Na scenie pojawiliśmy się w komplecie. Przed mikrofonem na oczach całej Polski Jurek w ciągu 30 sekund zużył cały dany mu przez cywilizację zasób słów. Piotrek Majewski, jak przystało na świeżo upieczonego małżonka, publicznie ratował swoje małżeństwo, co repertuarowo lokowało go blisko kabaretu OTTO, a ja, zamiast szukania stosownych słów dziękczynnych, szukałem równowagi. Koszmar. Jakiś debil, scenograficzny Conan Barbarzyńca, wybudował na deskach opery lodowisko i czekał na ostateczny balet. No i go dostał. Jest taki straszny dowcip z epoki Państwa Islamskiego: „Gdzie poszedł terrorysta po eksplozji?”. Odpowiedź: „Wszędzie”. Moje ciało miało podobnie. Szło w dowolnie wybranych kierunkach, lekceważąc centralny układ nerwowy potencjalnego właściciela.

Mike Tyson powiedział mi kiedyś, że prawdziwą wolnością jest nieposiadanie niczego. Jestem dziś zatem człowiekiem wolnym, gdyż nie posiadam innych wspomnień tej szacownej imprezy. Jednym z wyznaczników postępu w naszym ziemniaczanym kraju jest konsekwentna zasada, że jak jest dobrze, to należy to modelowo spierdolić.

I od tej nagrody rozpoczął się cykl rozgrywania naszej audycji. Przez nas samych, a także przez pomnikowych kolegów, których brąz i mosiądz wybitności nie pozwalał na tolerowanie w Radiowym Sanktuarium Przemyślanego Słowa oraz Stosownego Dźwięku takiej bandy jak my. Muzyka była wtedy w medialnej cenie. Stacje i programy zaczęły licytować się na otwartość na nowe i drące ryja zjawisko. Każdy chciał być rockandrollowo postępowy, bo to jakby udowodniało podążanie za duchem zmian politycznych w kraju. Jak to się mówi, lepiej wyciągać syna z więzienia niż córkę z krzaków. Dyrektorzy, prezesi, sekretarze, sekretarki i dysponenci wyciągali zniszczone kowbojki, przetarte ramoneski i udawali idiotów. Mnożyły się propozycje audycji i programów o polskiej muzyce, bo nikt nie chciał zostać w tyle. I tak Jurek Owsiak wraz z Walterem Chełstowskim zaczęli robić w TVP *Kręciołę*. Piotrek Klatt wraz z Jarkiem Janiszewskim, liderem surrealistyczno-salcesonowej grupy Bielizna – *Rock Noc* w TVP2, Tomek Żąda prezentował młodych i zdolnych w dziwacznym magazynie o jakże niezobowiązującej nazwie *Luz* (TVP1), a ja z Piotrem Majewskim robiliśmy program *Rockandroller* dla TVP1.

Byliśmy korporacjami zgiełku, nowej prawdy i nowej energii. Niestety emocjonalnie robiło się zimno jak w odbycie niedźwiedzia polarnego. Nie wiem, czy zżerała nas rywalizacja, walka o strefy wpływów, czy może zbiorowa megalomania wielkości fabryki E. Wedel, ale zanikał gdzieś duch pracy zespołowej.

We wspomnianej już książce *Bono o Bono* lider U2 wypowiada wiekopomne słowa: „Każdy muzyk rockowy ma w sercu dziurę wielkości swego ego”.

I tak zaczynało być z nami. Ze wspólnej audycji stawaliśmy się archipelagiem oddzielnych, rywalizujących wysp.

Kiedyś drugiego męża mojej babci zapytałem, a miał już sporo po osiemdziesiątce, czy jest jeszcze aktywny seksualnie. „Jestem – wyznał. – Tylko

mi trzeba o tym przypominać”.

I tak też stało się z nami. Byliśmy kumplami, tylko należało nam o tym co jakiś czas przypominać. Gdy zaczynaliśmy pracę, często, gdy jeden prowadził audycję, reszta sekundowała mu, żeby się nie przewrócił przywalony nadmiarem własnych talentów. To było partnerskie i fajne. Później podsłuchiwalismy się tylko w samochodach czy domach, a na koniec każdy każdego miał w dupie. Stawaliśmy się potencjalnymi gwiazdami programu *Trudne sprawy*, który najwyraźniej pojawił się w Polsce zbyt późno.

Mnie w tym czasie zabiła nadgorliwość. Miałem świadomość, że dzierzymy w swych drżących dłoniach radiowego Świętego Graala i chciałem to ponieść w naród jak kaganek oświaty. Jak najdalej i jak najpełniej. Dogadałem się z Markiem Sierockim, kultowym prezenterem *Teleexpressu*, że w zarządzanym przez niego periodyku „Bravo” będziemy publikować naszą listę przebojów. Podobnie było z gazetą o pionierskiej nazwie „Sztandar Młodych”. W wytwórni Arston, którego katalogiem zarządzałem, wydaliśmy podwójną składankę *Brum Top 1993*. Potem rzuciłem pomysł wydawania gazety muzycznej o takim samym tytule i na koniec zrobiłem chyba największe świństwo – zostałem dyrektorem festiwalu w Jarocinie w 1993 roku.

Wcześniej jarocińskim bastionem zarządzali Jurek Owsiak i Walter Chelstowski. Doszło do totalnego konfliktu interesów. Na to wszystko nałożyła się atmosfera budowana przez ludzi spoza audycji. Jak powszechnie wiadomo, połowa Polski nie może znieść drugiej połowy i nie ma takiego, który by na to cokolwiek poradził. A Trójka z takiego nie lubienia najwyraźniej nie była zwolniona. Nasza słuchalność, opiniotwórczość, zaangażowanie w inne media zaczęło rodzić w posttransformacyjnych mózgach typowe polskie myśli. Czy to aby nie za dużo? Czy to aby wszystko jest czyste? Czyż nie mamy do czynienia z grupą lobbystów w krótkich spodenkach, którzy dostali za dużo władzy, a w efekcie za dużo kasy? Nie od dziś wiadomo, że w naszym kraju sukces to sport ekstremalny.

Nastrojów nie poprawiała sytuacja na parkingu przed Trójką. Stał tam fiat 126p Marka Niedźwiedzkiego, volkswagen garbus Piotra Kaczkowskiego, chyba škoda Henryka Sytnera (to taki pan od kolarstwa, co cały rok namawiał cyklistów, by jechali za nim) i mój czerwony jak poglądy generała Kiszczaka

volkswagen corrado. To musiało boleć i musiało rodzić bolesne myśli. Docierały do nas bulgoczące wzdęciami zawistników insynuacje, sugestie, że jesteśmy skorumpowani, że działamy na zlecenie firm fonograficznych. Ot, takie melancholijne, tradycyjne rodzime mądrości na temat innych produkowane przez ludzi żadnych, skrzywionych przez swe pokracczne życiorysy i niezrealizowane marzenia. Trójka, która wydała mi się enklawą innego świata, okazała się mentalnie tak samo peryferyjna jak cała okolica. Jako autorzy mocno wyzwoleni, niejednokrotnie kpiliśmy z tego typu zarzutów. Z Klattem przygotowaliśmy nawet cennik własnych usług. Wywiad z artystą – tyle a tyle, wywiad z artystą plus piosenka – tyle a tyle, wywiad z artystą plus piosenka plus informacja, że oboje są zajebiści jak George Clooney – tyle a tyle plus tyle a tyle. Mówiąc językiem dziś już mało młodzieżowym: robiliśmy sobie jaja. Mój kolega Cyprian K. mawiał zawsze: „Nie pożądam żony bliźniego swego, bo wkurwia tak samo jak twoja”. Transponując to na naszą sytuację: „Nie pożądam zbytnej sławy i chwały, bo się twoi starsi koledzy wkurwią”. I się wkurwili. Ktoś w te żarty uwierzył i w swej obsesyjnej lepetynie nadał im status prawdy absolutnej. W ten sposób nasz szemrany biedabiznes został publicznie zalegalizowany. W roku 1993, w którym muzycy często nie mieli kasy na nowe struny, pożyczali sobie wzmacniacze i nocowali w studiu, kiedy nagrywali płytę, ktoś wymyślił, że jesteśmy przez nich opłacani. Wyobrażam sobie Roberta Materę z Dezertera, jak przychodzi do mnie i zagaja szeptem: „Kubuś, zagraj nasz nowy numer *Przemoc rodzi przemoc* i masz tutaj tysiąka, który zarobiłem, reprezentując bezkompromisowy stosunek do kompromisów”.

Zgubiła nas pycha, nadmiar entuzjazmu i przekonanie, że nasza bezinteresowność obroni nas przed moralną szkaradnością świata. Stało się inaczej. Jak to pisał Jakub Żulczyk w powieści *Zrób mi jakąś krzywdę*: „Jest w tym coś piekielnie polskiego”.

Wiele, wiele lat później na mojej sofie zasiadł Marek Niedźwiecki, mój kolega sprzed lat. Byłem ciekaw, jak mnie pamiętają w Trójce. Oto zapis konwersacji:

– Kiedyś byliśmy kolegami z tego samego radia. Pamiętasz mnie jeszcze? Miałeś dobre zdanie o mnie czy nie? Teraz możesz powiedzieć szczerze.

Marek:

– Słuchałem *Brumu* i to było okej. Jeden problem jest. Wziąłeś z taśmoteki

parę taśm, których nigdy nie oddałeś.

- Ja to zrobiłem?
- Tak.
- Marek, ale to było w 1992 roku!
- Ale nadal ich nie ma!
- Ale jest przedawnienie! Dwadzieścia lat! Jakie to były tytuły? Róże Europy?
- Róże Europy.
- Chłopcy z Placu Broni?
- Chłopcy z Placu Broni.
- I Sztywny Pal Azji?
- I Republika!
- Aaaaaa, Republikę to mogłem wziąć...

Jako się rzekło, w tak zwanym międzyczasie wraz z kolegą z liceum Tomkiem Dąbrowskim powołałem do życia magazyn „Brum” w formie miesięcznika. Pismo miało być w prostej linii organem prasowym naszej audycji. Trybuną rockowego ludu. Głównymi autorami mieli być moi redakcyjni koledzy, a resztę chciałem wypełnić pozyskanymi dziwakami z łapanki. Celowo piszę „dziwacy”, bo moim wewnętrznym mottem było pragnienie, ażeby było nienormalnie, bo miałem w pamięci zbytnią normalność „Magazynu Muzycznego”, gdzie banał i przewidywalność były tak intensywne, że aż szczypały w oczy.

Pamiętam, jak zwierzyłem się jednemu ze swoich byłych kolegów z „MM”, a wówczas podporze miesięcznika „Tylko Rock”, że planuję wydawać nowe pismo muzyczne. Spojrzał na mnie spojrzeniem Alfreda Nobla, który właśnie odkrył dynamit, i zapytał: „Ale po co? Przecież taka gazeta już jest”. Takie było myślenie w ojczyźnie postmonopolu robotniczo-chłopskiego.

Podczas praktyk dziennikarskich w świętej pamięci gazecie codziennej „Życie Warszawy” moi tymczasowi koledzy opowiedzieli mi taką historię. Do działu nekrologów zgłosił się miły, świeżo owdowiały jegomość z zamiarem zamówienia nekrologu małżonki, która zmarła śmiercią nagłą, choć oczekiwaną. Pani w okienku poinformowała świeżo debiutującego wdowca, że w ramach promocji i otwartości na klienta, który właśnie walnął w kalendarz,

nekrologi do pięciu słów gratis. Pan zamówił krótki wpis: „Zmarła Barbara Kalinowska”. Na sugestię redaktorki, że ma jeszcze do dyspozycji dwa wyrazy i jeśli chce, może coś dodać, szybko rzucił bez zastanowienia: „Proszę dopisać: «Sprzedam opla»”.

Właśnie takich dziennikarzy szukałem. Takich ludzi. Znających potęgę słowa i stosownej okazji. Udało się. Rafał Księżyk, dziś człowiek orkiestra. Dziś autor takich pozycji jak *Kryzys w Babilonie*, *Desperado* o Tomku Stańce czy *Nieprzysiadalność*, a wtedy jegomość, który szedł do baru mlecznego z trzema złotymi, najadał się do syta i w momencie opuszczenia miejsca konsumpcji w portfelu potrafił mieć dwa złote i siedemdziesiąt groszy. Jak to robił, do dziś nie wiem. Może trafiał na momenty cudownego rozmnożenia chleba. Jezus podobno robił to sam, a że Księżyk był z Częstochowy, to mógł mieć chody u autorów Ewangelii. W najlepszym okresie naszej współpracy żywił się witaminami, nikotyną oraz wodą z kranu. Taki specyficzny triathlon. Był człowiekiem nader oszczędnym. Istniało w redakcji mocne przypuszczenie, że gdyby zapadł na śmiertelną chorobę i potrzebował zadzwonić do lekarza, to wykręciłby numer pogotowia i poprosił, żeby do niego oddzwonili. Rafał potrafił znaleźć norweski zespół alternatywnego rocka, mieszkający w szałasie na zlodowaciałym klifie, o którego istnieniu wiedziały wyłącznie rodziny muzyków, i opisać jego stylistyczną ewolucję. Pomimo że grali na soplach i wydali na razie jeden singiel w wytwórni, o której istnieniu nie wiedzieli nawet jej założyciele. Taki był z niego oryginał.

Ale to dzięki niemu dochodziło czasem do wielkich demaskacji na krajowej scenie muzycznej. Wielkich demaskacji i wielkich kompromitacji. Warto nadmienić, że byliśmy redakcją poszukującą. Chcieliśmy pisać o tym, co nieopisane. Dotrzeć do tych, do których nie dotarł nikt przed nami. Dzięki temu na nasze łamy trafiały nader często zespoły nieodkryte, które własnoręcznie odkrywaliśmy, a których po nas już nikt nie chciał odkrywać. Im było dziwniej, tym było smaczniej. I tak na jakimś przeglądzie odkryliśmy bezkompromisowy zespół z nie mniej bezkompromisowego Kraśnika o nazwie Death Proof. Z opisu na singlu wydanym przez firmę Death Alley wynikało, że tworzą go Death and Mysticism – wokół i gitara, The Death of Cool – bas oraz Death Race – bębny. Rafał w sobie tylko znany sposób zdobył telefon do lidera tego martwego stowarzyszenia i zadzwonił z prośbą o wywiad. Telefon po drugiej

stronie odbiera miły damski głos: „Tak, słucham”. Dziwne jak na portiernię piekła, ale Księżyk brnie dalej: „Dzień dobry, nazywam się tak i tak oraz dzwonię stąd i stamtąd. Czy zastałem może pana Death and Mysticism?”. A miły głos z Kraśnika odpowiadał: „Niestety Pawełek wyszedł teraz z pieskiem. Tutaj jego mama. Czy mam coś przekazać?”.

Adaś Kowalczyk był z Ostrołęki i to właściwie tłumaczyło wszystko. Miasto jest ośrodkiem folkloru kurpiowskiego oraz przemysłu celulozowo-papierniczego. I to znajdowało swoje dziwaczne odzwierciedlenie w niepokojącej postaci Adasia. Adaś był platonicznym kochankiem Oddziału Zamkniętego oraz człowiekiem gotowym 24 godziny na dobę robić wywiady z Jankiem Borysewiczem.

Janek to żywy pomnik rock and rolla made in Poland. Liczba jego zawałów przegrywa chyba tylko z liczbą jego odwyków. Jest smakoszem przebojów, alkoholi, życia, kobiet i innych rzeczy, które potajemnie można kupić po nocy. Kolega Kowalczyk odwiedził wywiadowczo Janka w jego świeżo wybudowanej i wypolerowanej stołecznej willi. Muzyk najpierw oprowadził dziennikarza po swoim mauzoleum, a następnie stanowczo namawiał, żeby ten dał się przewieźć jego nowym, nie mniej wyfroterowanym automobilem. Gdy Adaś, głównie ze względu na stan jasności Jankowego umysłu, odmówił, lider Lady Pank zaprowadził go do wielkiej jak grobowiec Bieruta na warszawskich Powązkach marmurowej łazienki i rzucił: „To się, kurwa, przynajmniej wykąp”.

Taki to był pan, ten nasz Adaś. Na dodatek nosił dziwaczną fryzurę, coś pomiędzy bocianim gniazdem, a zdjęciem paszportowym homara. Uwielbiałem go za entuzjazm i fakt, że mówił tak głośno, że jak kupował bilet na dworcu w Ostrołęce, to my wiedzieliśmy, że zaraz będzie. Adasiowi przydarzały się ciekawe historie, które zwykle występują na linii gwiazda rocka–normalny człowiek.

Kiedyś, gdy pierwszy raz robił wywiad z uwielbianym przez siebie zespołem metalowo-cyrkowym Acid Drinkers, na zakończenie wytwornej dyskusji poprosił muzyków o autografy. Może mało rockandrollowe zachowanie, lecz z pewnością świadczące o wysokim stopniu uznania. Titus podpisał się na Adasiowej kartce, Litza podobnie, a perkusista Ślimak zwymiotował na nią. Według redakcyjnej legendy, dziennikarz do dziś trzyma ją w pudełku

z pamiątkami.

Adaś był pierwszym człowiekiem, który został świadkiem tak zwanego klaptraka, czyli efektu dźwiękowego, który nader często pojawiał się na płytach Acid Drinkers. Mechanizm był banalnie prosty. Dwaj muzycy stukają się w studiu fiutami, a realizator to rejestruje i umieszcza na płycie. Śmiało można to nazwać chujowym efektem. No i nasz bohater widział to na własne oczy i uszy. Wrócił odmieniony.

Kocham go jak lekko niepokojącego brata.

Tomasz Hajto opowiadał mi, że najsilniejsze kontakty w polskiej reprezentacji narodowej utrzymuje z tak zwaną grupą bankietową. Na jej czele podobno nieoficjalnie stoi niejaki Sławomir Peszko. Według Hajty Peszko alkohole dzieli na dwie grupy. Żadne tam wódki, nalewki, wina, miody czy whisky. On dzieli alkohol na ten, który jest, oraz ten, który trzeba dokupić.

U nas w redakcji też była grupa bankietowa, która co miesiąc stawiała naprzeciw niezwykłej grupie bankietowej, w skład której wchodził muzyk rockowi. Trzon naszej ekipy stanowili Adaś, Artur i Wojtek. Debiutem Adama był wyjazd kolejowy do Torunia na spotkanie z liderem Kobranocki, jakimś Kobrą. Nasz wysłannik Toruń odnalazł, w mieście odnalazł nawet miejsce zamieszkania Kobry, który okazał się człowiekiem tak gościnnym, że ugościł go własnoręcznie pędzonym bimbrem. W drodze powrotnej upojony wysłannik „Brumu” owszem, odnalazł dworzec, a na dworcu skład kolejowy. Zasiadł zmęczony w przedziale i zasnął snem sprawiedliwego. Gdy obudził się po odliczonych dwóch godzinach i w pośpiechu zaczął organizować swoje wysiadanie, okazało się, że skład jest już na stacji. Na stacji Toruń Główny. W ramach ekspozycji Muzeum Kolejnictwa.

Artur Podgórski, dziś szycha w redakcji „Polityki”, pojawił się nagle i zasilił nas silnym pragnieniem wkładania punkowego kija w nerwowe tematy społeczne. Do dziś pamiętam jego reportaż o skinach, w którym porównywał ich rytuały do rytuałów orangutanów. Dawno w redakcji nie baliśmy się rewizyty bohaterów jak wtedy.

Artur był normalny w dla nas niepojęty nienormalny sposób. Miał bowiem małżonkę. W naszym teamie mocno promowana była wówczas informacja, że Adolf Hitler żył sobie szczęśliwie 56 lat, a zabił się nieprzypadkowo dzień po

ślubie. Co budziło w nas uzasadnione obawy, że któregoś dnia Artur nie odda tekstu na czas. Słynna była jego wyprawa na spotkanie zespołu KSU i jego krwiożerczego lidera, niejakiego Siczki. Artur wszedł do pociągu i zaginął. To bardzo dobre i adekwatne słowo – zaginął. Było to w rejonie pomiędzy Ustrzykami Dolnymi a Górnymi, bo tam właśnie grasowała grupa drwali punkowców o najdłuższym chyba stażu w kraju. Okazało się, że po alkoholowym pobrataniu z muzykami Artur tak skutecznie wgryzł się w temat miejscowych zwyczajów, że totalnie nieprzytomny obudził się w miejscowości Stary Sambor. Na Ukrainie.

Do jasności umysłu powrócił dopiero w kolejnej miejscowości Sambor. Nadal na Ukrainie.

Okazało się, że gościnni Ustrzyczanie wsadzili go w pociąg właściwy, tylko jadący w niewłaściwą stronę.

Była też Anita Bartosik, kobieta petarda, moja ówczesna dziewczyna. Anita robiła monumentalne wywiady z polskimi wokalistkami, drastycznie osobiste i oddawane do druku po drastycznym przekroczeniu wszystkich możliwych terminów.

W USA zabroniono sprzedaży popularnego smakołyku Kinder Niespodzianka, bo rezolutni Jankesi zjadali je razem z zawartością. Anita robiła takie właśnie rozmowy. Ludzie łykali je jednym tchem. Wielki talent do dyskretnego portretowania tego, co skrzętnie przez gwiazdy ukrywane.

Mieliśmy też swego osobistego Jezusa, czyli Wojtkę Ładę, który wskutek totalnego zawstydzenia postacią swego starszego brata Tomasza zmienił nazwisko na Wysocki. Wyglądał jak Jezus czekający na casting do zespołu Slayer. Był wiernym heavymetalowcem i widocznie na skutek bombardowania umysłu tak brutalną muzyką jego imidż stopniowo, choć nieuchronnie odjeżdżał od Jezusa w kierunku Rasputina.

Podobno istnieje szesnaście typowych modeli osobowości ludzkiej. Jak tak wspominać go dziś, to wydaje mi się, że on był numerem siedemnaście. Nigdy wcześniej nie spotkałem tak cichego, dyskretnego, by nie powiedzieć: nieśmiałego faceta, który by słuchał tak głośnej, nachalnej i perwersyjnej muzyki.

Znacie ten wyjątkowy moment, kiedy siedzicie w publicznej toalecie i ktoś

wchodzi do kabiny obok. Dlaczego wtedy próbujemy być tak bardzo cicho? Wojtek był facetem, który zawsze był tak bardzo cicho. Siedział prawdopodobnie cicho (choć jego rozedrgany umysł pewnie toczył szaleńczy bój o zrozumienie wydarzeń) w momencie, gdy jeden z najważniejszych zespołów blackmetalowych w kraju, w ramach przeprowadzanego wywiadu, wywiózł go do lasu, kazał się rozebrać do przysłowiowego rosołu i wręczwszy włącznie, zachęcał do pojęcia ich twórczości. Sami zresztą uczynili to samo. Grupa mężczyzn w sile wieku wypasała swe organizmy w zagajniku, odziana jedynie we włącznie, bo chciała rozchylić Wojtkowe wrota percepcji. Znając kulturę oraz taktowność naszego dziennikarza, prawdopodobnie cały czas miał w głowie podejrzenie, że zielona gęstwina oraz dzidy miały być tylko przykrywką oraz przygrywką do rozchylania czegoś całkowicie innego. Do gwałtu zbiorowego. Którego centralną postacią byłby oczywiście jego niewinny prasowy odbyt.

Taki to był kolektyw. Do dziś pamiętam redakcyjną legendę, jak to Wojtek z Adasiem przeprowadzali wywiad z Korą z okazji wydania płyty *Manaamu Wieje*. Wojtek miał pecha, bo Kora tego dnia włożyła koronkową bluzkę i uznała, że to w zakresie garderoby wystarczy. Wystarczyło, by kolegę Wsockiego wylogować z wywiadu. Nie zadał żadnego pytania, tylko patrzył i palił papierosa za papierosem. Aż mu w pewnym momencie Kamil Sipowicz przyniósł paczkę fajek mentolowych, bo istniało wysoce prawdopodobne ryzyko, że na skutek odpłynięcia krwi z mózgu w wiadomym kierunku Wojciech zejdzie śmiertelnie na najszybciej wyhodowanego, wypasionego raka płuc.

Korę poznałem jeszcze jako bardzo młody aspirant na punkowca. Miała w sobie surowość i magnetyzm. Mieliśmy wspólną salę prób w warszawskim klubie Riviera Remont. Pamiętam, jak kiedyś poklepała mnie po ramieniu i powiedziała: „Ja już nie zrobię rewolucji. Ale ty, dzieciaku, możesz. Unikaj tylko tandety i banału”.

Zapamiętam te słowa do końca życia. A rewolucję zrobiła nieodwracalną.

Wywiady z nią były świetne, bo były niebezpieczne. Była ostra, ale i swawolna. Kiedy nagrała płytę *Łóżko*, zadałem jej pytanie: „Jeśli miałabyś umrzeć w łóżku, to kogo chciałabyś widzieć obok?”. Bez względu na obecność Kamila, który siedział w reżyserce, wypaliła: „Jeśli umrzeć w łóżku, to tylko

z Fiodorem Dostojewskim”. Taka była.

Kiedy na jej pogrzebie przemówił Wojtek Mann, bezwolnie pocięły mi łzy. Jakbym stracił kogoś bardzo bliskiego.

Ale wracając do naszego Wojtka. Przeczuliśmy gromadnie, że taka dwubiegunowość musi go zaprowadzić albo do wyrafinowanej pedofili i okradania dzieci podczas komunii świętej, albo do wybitnej kariery. Wylądował pośrodku. Napisał dwie niezłe książki i wygląda jak religijny ekstremista na emeryturze.

Byliśmy redakcją frywolną. Postanowiłem zbudować całkiem inny model zbiorowego działania niż ten, którego doświadczałem wcześniej. U mnie wszyscy byli zawodowcami i każdy się znał na tym, o czym pisał. Namaściłem bandę nowych autorytetów i kazałem im siać zamęt. Nigdy nie miałem takiej wiedzy jak Księżyk, takiego silnego łba jak Wysocki i takiego dzikiego entuzjazmu jak Kowalczyk. Postanowiłem być mądry ich mądrością. Do tego doszły jeszcze inne postacie. Wypełzali z zakamarków maniacy najróżniejszych stylistyk, estetyk i gatunków. Mieliśmy tabun współpracowników, którzy pisali o muzyce, której poza nimi nie znał nikt. Przeżywałem przeciążenie poznawcze. Ale nie ma się czego wstydzić. Ciągle znam ludzi, dla których David Hasselhoff to nazwa obozu koncentracyjnego.

W tak zwanej szacie graficznej też postanowiliśmy na alternatywną nowoczesność. Gazeta jest do czytania, ale powinna być też do oglądania. Czytanie powinno być poznaniem, ale też wyzwaniem. I nasi graficy to zilustrowali. Byliśmy najbardziej wymyślną graficznie propozycją stąd do elektrowni Fukushima. Podobnie też wybuchową. Zaczęliśmy od pisania wyłącznie o polskich artystach, by w połowie swej kadencji zejść na pozycje kosmopolityczne. Na początku lat dziewięćdziesiątych krajowa muzyka rockowa była fenomenem. Po kilku latach stała się codziennością. Jak to mawia Robert Biedroń: „Optymista zawsze ma przy sobie prezerwatywę. Pesymista wazelinę”. Postanowiliśmy nie dochodzić do pozycji pesymistów i zaczęliśmy adorację fanów muzyki świata.

Pamiętam też nasze wewnętrzne dychawiczne rankingi redagowane według totalnie surrealistycznych kryteriów. Na przykład kryterium „Najbardziej chytry artysta podczas realizacji wywiadu”. Chodziło o wykonawcę, który był tak

fantazyjnie gościnnie lub ewentualnie tak niewypowiedzianie leniwy, że na wywiad zapraszał do domu. Głupio to wyznać, ale w tej kategorii przez lata liderem był lider Kultu, Kazik Staszewski. Podczas kilkugodzinnych posiedzeń syn Taty Kazika potrafił nie zaproponować przepytującemu go pismakowi nawet szklanki wody. A bywało, że podejmował takowych w kuchni, gdzie zwykle zawsze zachęcająco o swojej zawartości mruczy lodówka. Nosiło to znamiona alternatywnej perwersji.

Kazimierz nie jest zresztą mistrzem słowa mówionego. Podziwiam go i szanuję za słowo pisane i godziwy wkład w leksykon krajowej muzyki, ale nie polecam nikomu męczarni dziennikarskiej z nim pogawędki. Wtedy krzepki rockman staje się inwalidą słowa oraz istnieniem cierpiącym na zanik umiejętności logicznego łączenia zdań, z trudem dobierającym słowa, epatującym z rozmachem wtrętami typu „aaaaaaaaaa” lub „yyyyyyyyy”, lub nie mniej szalowym „eeeeeeee”. Koszmar. Jego przerywniki były tak barwne, liczne i tak wymyślnie obecne, że podczas wywiadu powinny mieć własną garderobę. Jak to się mawia w takich sytuacjach: „Lepszy zły kochanek niż dobry impotent”. Dawaliśmy radę obrabiać te oralne niedoskonałości legendy. Dla mnie to nie była szokująca nowość.

Kiedy robiliśmy z Piotrkim Majewskim magazyn *Rockandroller*, odwiedziliśmy Kazika w studiu nagraniowym, celem zrobienia wywiadu ustnego. Piotr słychał wtedy ze zdań wielokrotnie złożonych z imiesłowowymi równoważnikami zdań oraz licznymi pobocznymi dygresjami. Blisko mu było do zdania, które opublikowali w 1921 roku Antoni Słonimski i Julian Tuwim, a które składało się z 36 części składowych i 335 wyrazów. Piotr takie zdania układał na miejscu, z głowy, i zakończone pytajnikiem kierował do pytanego. Taką strategię zastosował wobec Kazika. Piotr zagaił coś w stylu: „Czy jesteś w stanie spojrzeć na swoją twórczość w kategoriach socjologicznych, żeby móc opowiedzieć na swoim przykładzie nie tylko o tym, co dzieje się u ciebie, ale spojrzeć na to w szerszym kontekście dziania się w kraju, co wtedy pozwoli nam odpowiedzieć na pytanie, czy coś, co kiedyś zyskiwało miano literatury alternatywnej, dziś może zostać śmiało uznane za mainstream, czym bez wątplenia można zamknąć usta krytykom twierdzącym, że wyśpiewujecie hasła, banały i frazesy bez głębszego zapoznania się z ich bez wątplenia bogatym kontekstem znaczeniowym?”. Zapadła cisza i po chwili Kazik wypalił:

„To znaczy że co?”. Umysł Staszewskiego utknął prawdopodobnie gdzieś na pierwszym lotnym finiszu pytania, jeszcze przed premią górską. W tym kontekście nie dziwię się, że niezmordowanie nie chce być moim gościem w programie. Obaj moglibyśmy tego nie przeżyć. Żeby jednak nie było, że się czepiam. Kazik mówi merytorycznie mądrze, tylko formalnie boleśnie.

Największą zasługą miesięcznika „Brum” było moim zdaniem uczczenie kilku moim zdaniem nieuczczonych stosownie wykonawców, kilku zespołów i kilku moich kolegów poprzez fakt umieszczenia ich na okładce periodyku. Dziś to rutyna, banał i standard. Dziś to nawet chyba obciach. Dziś sukcesem jest nie być na okładce. Taki paradoks. To tak, jakby chytra baba z Radomia zamieszkała w Sosnowcu. Nie wiadomo już, co jest co oraz kto jest kim. Odwrócenie wektorów normalności.

Wtedy to było coś. W kiosku na witrynie leżał „Twój Styl” z jakąś wytworną i zapewne szaleńczo zdolną panią. Obok „Pani” też z panią, a u nas Jędrzej Kodymowski – też na marginesie fan licznych pań.

Jędrzej był na co dzień dyspozytorem psychodelicznego zespołu z Gdyni o wszystko mówiącej nazwie Apteka. Dziennikarze obawiali się rozmów ze swawolnym Jędrkiem, bo nigdy nie było wiadomo, czy wysunie ciekawą tezę, czy może wysunie nie mniej intrygującego penisa. Jędrzej słynął z tego, że w pewnym momencie kariery lubił bawić się w chowanego ze swymi kolegami z zespołu. Jak tylko wydawał płytę i zgarniał zaliczkę, natychmiast zaczynał zabawę. I chował się tak skutecznie, że do nagrania kolejnej płyty długogrającej musiał znajdować nowych współtowarzyszy. Uwielbiałem go. Dla mnie posiadanie na okładce takiego outsidera jak Kodym było zaszczytem.

Miał poglądy jasne jak spojrzenie dziewicy i tak mu też zostało. „To, że ktoś się przypieprza do Kaczorów, bo myśli, że przyjdą lepsi, jest bez sensu. Nie ma się co czarować. Lepszych nie będzie. Ani gorszych. Wszyscy są tak samo chujowi”. Tak prawił w roku 2007. Jak widać, do licznych zalet można mu dopisać także wirtuozerię w przewidywaniu politycznej pogody.

Był postacią tajemniczą oraz niewątpliwie intrygującą. W latach dziewięćdziesiątych potrafił rozbijać się po stolicy najnowszymi modelami lotusa czy rovera w mało dyskretnym kolorze złota. Sam byłem świadkiem, jak jadąc mostem Poniatowskiego z okrzykiem: „Szczęśliwi czasu nie liczą”, zdjął

z ręki złotego rolexa i umieścił go w odmętach Wisły.

O Kodymie i jego kamratach krążyły różne zawiesziste legendy. Najślynniejsza była ta.

Kiedys, przemierzając busem ojczyznę wzdłuż i wszerz, nocą, na jednej z podrzędnych dróg Polski powiatowej natknęli się na pijanego rowerzystę, który regenerował siły, ucinając sobie drzemkę, przykryty rowerem niemal na środku szosy. Ostro hamujący bus z muzykami przy akompaniamencie stosownych do okazji przekleństw ledwo śmiałka ominął. Panowie nie zastanawiając się długo, zapakowali nieprzytomnego jegomościa razem z jego stalowym wehikułem do limuzyny i po przewiezieniu blisko dwieście kilometrów dalej życzliwie ułożyli na poboczu. Do końca trasy snuli radosne hipotezy, co też sobie pomyśli na temat swoich brawurowych możliwości cyklistycznych po alko ów świeżo zmartwychwstały nieznajomy.

Równie mile wspominam okładkę z legendarnym zespołem Acid Drinkers. Miała być to okładka świąteczna, dlatego też pożycziliśmy stosowne stroje Świętych Mikołajów, zakupiliśmy nieżywego karpia sztuk jeden i udaliśmy się na sesję. Sesja przebywała w tradycyjnie dla muzyków tej grupy miłej alkoholowej atmosferze. Najpierw Titus i Litza podarli stroje Mikołajów, z których zostały strzepy. Następnie przecięli na dwie równe połowy Bogu ducha winnego karpia i wysmarowali się jego wnętrznościami. Po czym składając go niezbyt dokładnie w całość, zaczęli pozować. To był rarytas, jakim nie mógł poszczycić się nawet kultowy magazyn „Rolling Stone”. Jeszcze nigdy symbole świąt Bożego Narodzenia nie zostały tak pięknie i literacko zbeszczeszczone. Byliśmy z siebie dumni. Nie pamiętam, czy ktoś rzygał. Pamiętam, to wtedy Titus powiedział do mnie historyczne słowa: „Nigdy się nie ożenię!”. Stwierdził stanowczo. „Czemu?” – pytam naiwnie. – Myślisz, że nie spotkasz na swej drodze właściwej kobiety?”. A on na to: „Nie, nie dlatego. Nie chcę organizować wesela. Wtedy trzeba się z obcymi dzielić swoją wódką”.

A teraz z innej beczki. Już wtedy w moim nikczemnym katalogu erotycznych przypadków powstał podzbiór całkowicie nieracjonalny, jednak jak bardziej namacalny. Kobiet, które bez najmniejszej aktywności wzniecały u mnie nierówny rozdział krwi.

Najlepszym tego przykładem była i jest Y. Niegdyś niepokorna gwiazda Big Brothera. Nasz romans był jak trasa wyścigu pokoju. Długi, kręty, z przerwami, ale i lotnymi premiami. Nawet po wielu miesiącach braku kontaktu, kiedy dzwoniła, mój penis reagował jak antena teleskopowa. Fenomen, którego nie potrafię wyjaśnić. Oby trwał po wieki wieków. Amen. A jako że zawsze uważałem, że najdziwniejszym ze zbroczeń seksualnych jest zachowywanie wstrzemięźliwości, toteż z tego stanu rzeczy korzystałem.

Wiele lat później mój mentor i duchowy przyjaciel Jan Nowicki powie mi słowa pełne otuchy. „Gdy masz lat sześćdziesiąt, pierdolisz jak oszalały, bo boisz się, że to są twoje ostatnie lata. Gdy masz lat siedemdziesiąt, pierdolisz jak oszalały, bo wiesz, że to są twoje ostatnie lata”. Wziąłem sobie tę przemyślaną radę, także i do serca.

Kiedyś, jadąc jedną z sopockich ulic, zobaczyłem taki oto billboard. Blond pani z mocno rozkraczonymi nogami, a obok hasło: „Masz mokro? Centrum technik osuszania. Ulica Chyłońska”. Niestety, panowie, nie pamiętam numeru. Ktoś, kto robi takie reklamy, wyznaje mocno uproszczoną teorię, że mężczyzna ma tylko jeden nerw wzrokowy, który zaczyna się w siatkówce, a kończy w penisie.

Panią z ulicy Chyłońskiej wspominam nieprzypadkowo, bo w życiu każdego szanującego się erotomana winna pojawić się nimfomanka. Moją była Wioletta z Wilanowa. To dzięki niej królewski Wilanów na wiele miesięcy zamienił się w nasz seksualny Hogwart. Nie pamiętam, jak znalazła się w naszym towarzystwie, ale pamiętam, że miała w oczach to coś, co w naszym ówczesnym wieku miało wartość największą. Nie była piękną, nie mogłaby pracować jako sobowtór Rihanny. Była to uroda z szeroko pojmowanej średniej. Bliżej Hanny Gronkiewicz-Waltz niż *Top Model*. Wioletta miała rodziców na dorobku, nie pamiętam, czy mieli goździki pod folią, wtryskarki w garażu czy coś równie cywilizacyjnie istotnego. Pewne jest jedno: oni pracowali pełną parą, a ich osamotniona córka nieustępliwie zamieniała ich dom w miejsce naszych schadzek. Ale tylko do godzin popołudniowych.

Kiedyś w Rosji mieszkańcom Pietrozawodska ukazał się Jezus w postaci zalanej deszczem dziury w jezdni. Poruszeni tubylcy uznali to za cud i gromadnie modlili się do dziury w drodze. My swój równie mokry otwór

traktowaliśmy równie serio, tyle że z dala od ulicy.

Wioletta kochała seks. Na organizowanych przez siebie imprezach stosowała metodę pucharową, trochę wyprzedzającą późniejszy rozwój wypadków w serialu *Moda na sukces*, czyli: każdy z każdym. Nie ma co ukrywać, jej gościnność od razu przypadła nam do gustu. Pierwszy odkrył to mój licealny kamrat Bartek M., na co dzień fan kontrabas, perwersji i Witkiewicza. Po prostu w trakcie przyjęcia wziął gospodynię, przełożył sobie przez ramię i opuścił pomieszczenie. I to by było na tyle. Wrócił po dwudziestu minutach z miną strażnika miejskiego stawiającego nowy fotoradar. Był szczęśliwy.

Wiola nie stwarzała problemów, a miała też inne zalety. Wiola seks konsumowała w milczeniu. Klauzula milczenia obowiązywała ją przed, w trakcie i po odbytym zbliżeniu. Czasami wydawała z siebie dźwięki, jakby ktoś dusił sowę, ale trudno było uznać to za pochwałę *ars amandi* aktualnego kochanka.

Raz na ceremonii seksualnej z gospodynią nakrył mnie jej starszy brat. Nie był tak gościnny jak siostra, wtargnął do jej pokoju z miną gościa, który właśnie zastrzelił całą swoją rodzinę i otworzył drzwi listonoszowi. „Wiola, kończymy zabawę” – zaordynował, zapalając światło. Był to jeden z najbardziej bestialskich czynów, jakie ktokolwiek kiedykolwiek popełnił na moim organizmie.

Wioletta była kobietą niespodzianką. Raz, podczas nocy sylwestrowej, zaprosiła mnie podstępnie do pokoju pełnego antycznych rupieci, roznamiętniła, po czym w trakcie zbliżenia zasnęła. Po raz pierwszy w moim życiu zaliczyłem figurę Ziemkiewicza, czyli seks na Niemca. Dziwne uczucie. Trochę na lewo od autoerotyzmu, a trochę na prawo od nekrofilii.

Pewnego dnia niestety wszystko zamarło. W szkole gruchnęła katastroficzna wiadomość, że Wiola ma chłopaka. No takiego kurewstwa to żaden z nas nie przewidział. Na początku patrzyliśmy na niego jak rosyjscy separatyści na krymskiego patriotę, ale chłopiec okazał się bardzo miły i bardzo nieświadomy, że w monogamii jego luba nie weszła na *level expert*. Było pewne, że Wiola z jednym użytkownikiem długo nie wytrzyma. Pewne jak *Last Christmas* przed świętami.

Tak zwani amerykańscy naukowcy stwierdzili kiedyś, że inteligentni

mężczyźni rzadziej zdradzają swoje partnerki. Z czego wnioskuję, że połowę życia musiałem być idiotą.

Nie wiem, jakim brakiem inteligencji musiał się wykazywać adorator naszej ulubienicy, ale kiedyś bez najmniejszych wątpliwości wyznał mi, że cieszy go, iż towarzystwo Wioli przyjęło go tak serdecznie. A chłopcy to się do niego wszyscy uśmiechają. Nie czułem, nieszczęsny, że to nie był uśmiech, tylko zwyczajny, jaskiniowy chichot. Wiola w objęciach nieświadomego adoratora odpłynęła w mglistą dal, pozostawiając nas sam na sam z kosmicznymi wręcz wspomnieniami. Czasami spotykałem na mieście kolegów z innego liceum jadących za dnia w kierunku Wilanowa z tajemniczym uśmiechem i zauważalną erekcją, z czego wysnuwałem prosty wniosek, że nasza Lolita znowu zmieniła szkołę. Wieść gimnazjalna niosła taką plotkę, że gdyby Wiola urodziła dziecko każdemu chłopakowi, z którym spała, Wilanów byłby dziś Sudanem.

Wiola była dziewczyną, która rozpoczęła w moim życiu dość intensywny okres, który można zilustrować szyldem, który widziałem u pewnego lakiernika – „Pokrywam wszystko”. Śniła mi się tak gdzieś do drugiego roku studiów, z czego wynika, że była istotnym rozdziałem w moim duchowym rozwoju.

Sny erotyczne są ważne, a rozmowy o nich jeszcze ciekawsze. Zapytałem kiedyś prezydenta Komorowskiego:

– Jakiego pan ma sny? Nie śniła się panu Magdalena Ogórek? Czy pan nie może powiedzieć?

– Nie mogę powiedzieć.

– Aaaa, rozumiem. Ale to był sen dwójkowy czy było więcej kandydatów?

– Nie, nie, nie! Tego typu snów nie mam w wymiarze zbiorowym.

Kuba:

– Panie prezydencie, to było najbardziej kulturalne, dyplomatyczne określenie gruppen sexu, jakie słyszałem: „Nie mam snów w wymiarze zbiorowym”.

W trakcie pracy w radiowej Trójce doznałem wzniosłego uczucia flirtu

z początkującym kapitalizmem. Pierwszym tego aktem była funkcja dyrektora artystycznego polsko-amerykańskiej firmy fonograficznej Arston, której istnienie już w tym tekście odnotowałem. Jej cielesną krajową reprezentacją był niejaki kolega Marek, którego wspominam głównie ze względu na wiecznie wilgotne dłonie.

Znacie taką przypadłość? Gdybym się miał jeszcze raz urodzić i Stwórca zadałby mi pytanie: „Jakubie, w przyszłym życiu wolisz być ładny czy mądry?“, na bank bym zasugerował, że bardzo nie chciałbym mieć wilgotnych dłoni.

Miałem kiedyś kolegę, który na pytanie: „Ile potrafisz zrobić pompek?“ – odpowiadał zdecydowanie: „Wszystkie“.

Zadawaliście sobie kiedyś zatem inne pytanie. Jak zadać pytanie komuś, kto ma wiecznie mokre dłonie? „Cześć, czemu masz takie wilgotne dłonie? To twój pomysł czy może umowa o dzieło w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów?“. A może prościej: „Cześć, czemu to robisz?“. Ale chyba jegomość o literackim nazwisku nie czynił tego specjalnie. To jakby garbatemu zaproponować, aby raz na zawsze odrzucił tę narośl. Albo odbyć przyjemną familijną konwersację, jakiej świadkiem był w dzieciństwie mój kolega Jacek Turski. Matka zapytała go kiedyś z nieukrywaną złością: „Jacusiu, czemu nie możesz być jak twój brat?“. I tutaj zdumiony Jacuś rozrabiaka zadumał się w młodzieńczej łepetynie i po szybkim rozpoznaniu rzeczywistości wypalił: „Ale ja nie mam brata“. „No właśnie“ – odparła mama.

No generalnie niezręczność jakaś występuje w tej kwestii. A problem jest duży i namacalny, rzec by można. Bo idąc na spotkanie, a w moim przypadku do pracy, nie myślisz o tym, co będziesz robił, czy nawet o tym, czego nie będziesz robił, tylko o tym, jak uniknąć podawania ręki temu od tych dłoni. I kombinujesz. Wchodząc, machasz dłonią, że cześć, cześć, przyspieszasz kroku i lecisz do swego pokoju, by skryć się za suchym biurkiem, a on i tak cię znajduje z tymi kapiącymi rękami, w których mogłaby spokojnie założyć rodzinę amazońska żaba błotna. Przyjście do pracy oznacza przywitanie się, a po całym dniu pojawia się problem wyjścia, czyli pożegnania. A gościu z porą deszczową wypisaną na dłoni niestety był miły i chętny do podawania. Dziś pewnie w związku z tą umiejętnością cząstkowego okresowego zwilżania organizmu zrobiliby o nim materiał do *Uwagi* albo *Kulis sławy*. Ale wtedy to był realny

problem. Bo co ja mu jakiś nowy pomysł, nowy zespół do wydania, to on mi chlupoczącą piątkę chce przybijać. Niby pot ludzki jest wszędzie taki sam, podobnie jak krew – ta sama jest i w sercu, i w dupie, ale jakoś ciężko było to zaakceptować.

Kiedy jako pierwsi w kraju wydaliśmy na winylu kultowy album Guns N' Roses *Apetite for Destruction*, gratulacjom ze strony mojego partnera nie było końca. Doszło więc do tego, że nasza wilgotna relacja rozpadła się na dwie połowy. Jego mokrą i moją suchą. Tym samym słynny szlagier Natalii Kukulskiej o tym, że „niewidzialna dłoń ochroni mnie od złego w czarny dzień”, w moim przypadku nie zadziałał.

Mało kto wie, ale w swoje życiowe dossier mogę wpisać też zawód reżyser i scenarzysta. Tu widzę zdziwienie ludzi tak wielkie, że swobodnie mogliby zgasić świeczkę brwiami.

Tak, tak, moi drodzy, tak wygląda z bliska kariera człowieka, który nie znał swego miejsca i uczynił z tego atut.

Sprawa była prosta. Robiliśmy z Piotrem Majewskim omawiany już program w TVP1 o szumnej nazwie *Rockandroller* i nie mieliśmy czym ilustrować brawurowych wywiadów z muzykami. Przypomnijmy, jest rok 1990, czyli dla was czasy Mojżesza, Miriam i góry Nebo.

Pierwszym teledyskiem, jaki zrobiłem, był obrazek do utworu grupy IRA zatytułowanego przyjemnie *Mój dom*.

Scenariusz był prosty. Oni występują na scenie warszawskiego klubu Riviera Remont, a ja to filmuję. Przyznacie, koncept godny *Laterna magica* Bergmana. Fenomenem tamtych czasów było to, że jako zdolny filmowiec amator pracowałem w ramach standardów TVP, które miały w sobie logikę rzucania ryżem na pogrzebie.

Okazało się, że do realizacji moich niepokornych wizji byli wyznaczani panowie operatorzy nie według rankingu talentu, predyspozycji czy lat, ale według rozdzielnika. Co owocowało często tym, że na planie meldował się pan w wieku mocno przedemerytalnym, z widoczną nadwagą ogólną, z którą co

prawda żyje na ziemi ponad 1,4 miliarda ludzi, to jednak w tym przypadku jest to okoliczność mało sprzyjająca. Dżentelmeni byli, najdelikatniej mówiąc, mocno konserwatywni i najchętniej pracowali dla *Teleexpressu*, gdzie stawiali kamerę, naciskali „play” i zapadali w sen zimowy. Każde działanie nietypowe, nieostrość, dziwny skos czy gwałtowny szwenk były dla nich zdradą stanu i wyprawą w optyczną prostytutkę. Na planie toczyłem zatem walkę z własną wyobraźnią, temperamentem muzyków, letargiem operatora i sprawnością ogólną tak zwanych kierowników produkcji.

Zanim trafiłem na Anię Starczewską, dziewczynę, z którą robiłem już potem wszystko (w zakresie produkcji telewizyjnej oczywiście), bywało różnie. Kierownicy produkcji byli często starej daty i lubili świętować co popadło. Przyjazd na plan, to po kielichu. Przyjazd zespołu, który miał przyjechać, to po kielichu. Rozpoczęcie zdjęć, to po kielichu. Przerwa w zdjęciach, to po kielichu. Przerwa w piciu po kielichu, to po kielichu. Byli świetnymi kierownikami produkcji swych uzależnień. Apetyt na gorzałę miewali tak wielki, że można by na niego zaciągnąć kredyt hipoteczny. Mieli takie powiedzenie: „Jaka jest ulubiona flaszka kierowników produkcji?”. „Następna”. Byli mu niesłuchanie wierni.

Ale wróćmy do teledysku grupy IRA.

Wcześniej zakumplowałem się z jej menedżerem Pawłem Z., więc negocjacje nie trwały długo. Oni przyjechali z miejscowości Radom, przywieźli swoje graty – czytaj: wzmacniacze, perkusję, gitary – a ja przy pomocy opryskliwego otyłego operatora to sfilmowałem. Pamiętam, z jakim pietyzmem i troską muzycy odnosili się do Artura Gadowskiego, pseudonim Gadziu. Gadziu posiedzi w aucie, żeby się nie zaziębić. Gadziu szuka szalika, żeby się nie zaziębić. Gadziu unika przeciągu, żeby się nie zaziębić. Gadziu zaraz przyjdzie, tylko musi sprawdzić, czy się nie zaziębił. Na szczęście zaziębienie tego dnia nie miało Gadzia na swej liście straceń i Gadziu zaszczyił nas swoją niezaziębioną osobą. Potem okazał się fajnym człowiekiem i dobrym kumplem, ale wówczas miałem wrażenie, że panowie wykradli primabalerinę Teatru Bolszoi, która zaraz odwali *Jezioro łabędzie*, a następnie odwali kitę w wyniku przeziębienia.

Drugim moim spełnieniem był teledysk do utworu grupy Proletaryat *Pokój*

z *kulą w głowie*. Scenariusz postanowiłem nieco doszlifować i tym razem oni występowali na scenie klubu Riviera Remont, a ja to filmowałem przy pomocy operatora – a jakże – z nadmiernym nagromadzeniem tkanki tłuszczowej. Jeśli podobieństwo do poprzedniego wydaje wam się zbliżone, to nie jest to prawda obiektywna. Utwór był inny, a i zespół z Pabianic. I co najważniejsze, kierownik produkcji trafił na godnego przeciwnika. Był to Kacper, basista Proletaryatu, uśmiechnięty jegomość o fryzurze Erykah Badu. Jego pierwsze słowa, gdy mnie zobaczył, brzmiały: „To co, dziś pijemy?”. Jak się okazało, było to jego ulubione powitanie, którym raczył mnie od tej pory już zawsze. Kacper zmierzył się z kierownikiem produkcji i pokonał go w drugiej tercji na jego własnym lodowisku poprzez nokaut techniczny. Podobno obcowanie z utalentowanymi ludźmi przedłuża życie o piętnaście minut. Tego dnia basista z Pabianic skrócił życie pracownika z Woronicza o dobry tydzień.

Z teledyskiem *Pokój z kulą w głowie* łączy się jeszcze jedna zabawna historia rozrywkowo ewangelizująca. Wówczas w programie 1 TVP popularny był program *Koncert życzeń*, coś pomiędzy *Rolnik szuka żony* a apelem poległych. Ludzie wysyłali do telewizji życzenia dla swoich bliskich, uiszczali stosowną opłatę i warowali co niedziela na półkotapczanach, żeby to, co wysłali i za co zapłacili, usłyszeć z odbiornika. Radosne strofy dla dziadka, nauczycielki lub proboszcza zazwyczaj inkrustowane były stosownym utworem słowno-muzycznym. Pech chciał, że akurat wtedy Donata – takie imię, trochę brzmi jak imię potrąconego samochodem pudła – kierowniczką produkcji tej muzycznej opery mydlanej zwróciła się do mnie o pomoc, bo brakowało jej rodzimych szlagierów. Dałem jej taśmę z teledyskami, mówiąc rezolutnie: „Wybierz sobie coś dla swego elektoratu”. Niestety kierowniczką zlekceważyła mój apel i na montażu wręczyła taśmę swym współpracownikom ze słowami – Bierzcie jak leci. No i wzięli jak leciało. Efekt był piorunujący na niebie jak i na ziemi. Z anteny posypały się lukrowane słowa wdzięczności dla księdza proboszcza z miasta Przysucha, wyrazy uznania, oddania i skrajnego mentalnego feudalizmu a okrasą dla nich był właśnie teledysk Proletaryatu pod jakże modlitewnym tytułem *Pokój z kulą w głowie*.

Jak już wspominałem, tamte czasy na Woronicza były mocno alkoholowe, co nie zawsze było czuć, ale często było widać. I teraz też było widać. Kierowniczką przez wiele tygodni chodziła smutna jak jajko sadzone w Wielkanoc. A w życiu

trzeba umieć zmierzyć się z własnymi i słabościami, i talentami. Byłem raz pewnego na imprezie ze Sławomirem Peszko, znanym jako Slavomir Atmosverowicz. Choć znam i takich, którzy twierdzą, że Sławomir to nie imię. Sławomir to zjarany Zbyszek. Ale pomińmy takie hamletyzowanie. Stoimy w kółeczku, prowadzimy panel dyskusyjny na stosownym poziomie, sącząc drinki, gdy nagle w nasz intelektualny spokój wpada jakieś babsko i krzyczy: „A więc to prawda. Pan naprawdę pije wódkę!”. A Sławomir spokojnym głosem zawodowca odpowiada: „To nie jest cała prawda, szanowna pani. Piję także wino oraz whisky”.

Później bywało różnie. Najweselszy epizod zaliczyłem podczas pracy nad teledyskiem zespołu Wilki do gigantycznego, jak się później okazało, przeboju *Eli lama sabachtani*. Słowa te znaczą podobno w jakimś aktualnie rzadko używanym języku „Panie, czemuś mnie opuścił” i to powinno być motto tej produkcji.

Ilekcio przywołuję te wspomnienia, dochodzę do wniosku, że mam co wspominać, ale ewidentnie nie mam co tego opowiadać dzieciom. No chyba że chciałbym, by zostały gwałcicielami, ewentualnie paniami z dziekanatu. Z Robertem Gawlińskim jesteśmy przyjaciółmi od lat, co już wtedy przełożyło się na swawolną atmosferę planu zdjęciowego. Grupa przyjechała busem, a zima była sroga tamtej zimy, więc postanowiliśmy wyjść jej naprzeciw uzbrojeni w pokaźny zapas zioła. Szybko doszliśmy do wniosku, że życie jest zbyt krótkie, żeby je tracić na marzniecie w samochodzie, więc postanowiliśmy zmajstrować wieczorek zapoznawczy z zawartością fajki. Jak postanowiliśmy, tak zrobiliśmy. Kurzyliśmy w środku, a gdy plan był gotów, zabierałem oddzielnie poszczególnych muzyków i realizowaliśmy wizję.

Najpierw nagrałem Roberta, potem gitarzystę, basistę, a na końcu perkusistę. Tak mi się przynajmniej wydawało. Dopiero przy przeglądaniu materiałów okazało się, że kolejność była inna. Robert, Mikis, Marek, Mikis. Dwa razy nagraliśmy gitarzystę i ani razu perkusistę. Co ciekawe, Marcin Szyszko, dziś niestety świętej pamięci, w żaden sposób nie upominał się o swoją kolej. Podobnie jak gitarzysta nie miał pretensji, że znowu robi to samo.

Taka jest właśnie siła marihuany. Ludzie nie czepiają się z byle powodu. Z alkoholem jeszcze nikt nie wygrał, niektórzy zremisowali, a z marią, jak widać

na załączonym przykładzie, można sięgać po najwyższe laury.

Marcin Szyszko, pokrzywdzony na planie przez okrutny los perkusista Wilków, był postacią szczególną. Mówi się, że możliwości organizmu są ograniczone. Jego życie i twórczość polegały na tym, aby próbować szukać granicy. Używki to fajna rzecz (oho, mamy niebezpieczne zdanie), ale fajnie, jak używa się ich nie tylko z apetytem, ale i z umiarem. (Sam kiedyś pod wpływem maryśki zapytałem moją mamę, czy jest dziewicą – i gdzie tu umiar?).

Każdy człowiek wychodzący na scenę powinien znać kilka pojęć: spektakl, widowisko, honorarium, brutto, netto. Marcin zdawał się być egzemplarzem, który znał tylko jedno pojęcie: zabawa. I analizowaniu powyższego poświęcił całe swoje życie. Skutecznie. Jego życie to było jedno wielkie samobójstwo popełniane na raty.

Pamiętam, jak jechaliśmy na krótką trasę koncertową *Warszawa Gdańska* z Heyem, Różami Europy, IRA i Wilkami. Jechaliśmy jednym autobusem, który, co tu ukrywać, ze względu na zawartość mógł śmiało zostać aresztowany tudzież jednogłośnie skierowany na parking do Monaru. Koncerty prowadziłem z Tomkiem Żądą, wspomnianym kolegą z Programu III Polskiego Radia. Tomek był, jaki był, a to wystarczyło, by Szyszko wziął go na celownik jak messerschmitt moją babcię w 1939 roku. Co chwilę podchodził do nas i groził Żądzie, że jak tamten tylko zaśnie, to on mu zaaplikuje takie dragi, że uporządkowany Tomasz będzie musiał zatrudnić firmę porządkową, aby wrócić do ładu i składu. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że kolega Szyszko, jak to się literacko mówi, stroi sobie żarty. Wszyscy, z wyjątkiem Tomasza. Cały autobus przyjmował zakłady, na jaką gwiazdę Marcin wyśle mego redakcyjnego kolegę.

Niestety pozwolić perkusiście Wilków organizować zabawę innym, to jak pozwolić Michaelowi Jacksonowi urządzać park rozrywki dla dzieci. Rzecz widowiskowa, ale ryzykowna. Do dziś mam w uszach roztrzęsiony głos Tomasza: „Kuba, pilnuj, żebym nie zasnął!”. W akcie kumpelskiej lojalności dopilnowałem Tomaszowego niespania i dzięki temu do dziś nie wiem, jak jego organizm zareagowałby na nieludzkie przeciążenia Szyszkowych medykamentów. Swoją drogą, miałem kiedyś psa, któremu często śniło się, że biegał. Tej nocy Tomasz zachowywał się podobnie.

Ale wracając do teledysku. Tu scenariuszowo postanowiłem nie iść już *Ulicą*

Sezamkową, tylko dać nura w metafizykę.

Obraz do muzyki Wilków miał być moim subiektywnym rozwinięciem magicznego kadru z okładki płyty *Enigmatic* Czesława Niemena. I chyba nigdy nikomu tego jeszcze nie mówiłem. Był rok 1970, kiedy pojawiła się najlepsza polska płyta rockowa od czasów Ziemowita Reformatora (862–892). Jak opowiadał sam Niemen, impulsem do jej powstania miała być jego rozmowa z Wojciechem Młynarskim w czasie festiwalu w Sopocie w 1968 roku. Młynarski miał powiedzieć: „Gdybyś tak skrobnał muzykę do wiersza Norwida *Bema pamięci żałobny rapsod*, to byłoby dopiero coś”. I Czesław skrobnał. Z Namysłowskim, Bartkowskim czy Urbaniakiem na pokładzie. Skrobnał tak, że słuchając jej, czuję większą dumę z bycia Polakiem niż podczas najbardziej płomiennego przemówienia pani Szydło. Przeczytałem, co napisałem. To chyba nie jest argument.

Najzabawniejsze jest to, że utwór *Eli lama sabachtani* stał się hitem totalnym i mój klip nie stanął temu na przeszkodzie. To były czasy *Muzycznej Jedyńki*, plebiscytu Programu 1 TVP, który co miesiąc układał prezentowane piosenki w ranking. Wilki wygrywały kilka miesięcy z rzędu i dostaliśmy z Robertem sygnał, że powinniśmy pójść na galę.

Takie były u nas wtedy czasy, że na taką galę mogliśmy pójść tylko w nastrojach spirytualnych. Zażartowałem przed wyjściem, że Gawel powinien wzorem Run-DMC powiesić sobie budzik na szyi, wtedy byłby progresywny w tak zwanym imidżu. Nie doceniłem fantazji mego kompana. Kiedy poszedł na scenę, aby odebrać nagrodę za przebój miesiąca, wyciągnął spod koszuli wielki budzik, włączył dzwonek i do prowadzącego całe to żenujące party Romka Rogowieckiego rzekł: „Twój czas już minął”. Byliśmy wtedy z siebie bardzo dumni.

Na bankiecie po imprezie zablakaliśmy się alkoholowo z Grzesiem Skawińskim, znanym i lubianym panem od przebojów. Jak głosi znane powiedzenie: „Pijąc, trzeba znać swoją miarę, bo można wypić za mało”, więc w środku nocy, aby nie popełnić tego błędu, cała nasza trójka udała się do mieszkania Gawlińskich. Wiadomo, wszędzie dobrze, ale w domu żona. Monika, wtedy w zaawansowanej już ciąży, spała, a my rozdzieliliśmy pomiędzy siebie zadania. Skawiński miał sprawdzić, czy małżonka śpi snem

sprawiedliwych, a my z Robertem oczekiwaliśmy na niego w kuchni. Nagle do naszych uszu dobiegł straszliwie chrapliwy głos kobiety: „Jezus Maria, Kombi!”. Okazało się, że Grzegorz w całym swym łysym acz wypolerowanym jestestwie nachylił się nad połowicą gospodarza, aby sprawdzić, czy aby nie udaje. Ta, nagle wyrwana ze snu, zobaczyła nad sobą prawdziwą twarz *Słodkiego, miłego życia*. To mogło przestraszyć.

Lubiłem ten czas. Z Gawłem do dziś łączy nas to, że reprezentujemy typ mało atletyczny, mamy zaniki mięśniowe, lecz wykazujemy niezwykłą żywotność spożywczą.

Co do typu mało sportowego, to swego czasu Leszek Blanik zadał mi niezwykle świńskie pytanie:

– Słuchaj, Kuba, czy ty kiedykolwiek w ogóle wykonywałeś jakiegokolwiek ćwiczenia gimnastyczne?

Ja na to odpowiadam bojowo:

– Oczywiście. Przysiady, pady.

– To nie są typowe ćwiczenia gimnastyczne – słyszę w odpowiedzi. – Mówię o przewrocie w przód, przewrocie w tył.

Ja:

– Przewroty to tylko po spotkaniach z Borysem Szycem.

Grześkowi Skawińskiemu też zmagistrowałem teledysk. I to było chyba największe logistyczne wyzwanie tamtego czasu. Do budynku Politechniki Warszawskiej, w którym nocą mieliśmy realizować nasze wizualne *opus magnum*, przyjechał... tylko operator z kamerą. Całe dwie ciężarówki sprzętu, wskutek działań domu publicznego na Woronicza, udały się pod siebie tylko wskazany adres i wzorem bohaterów z Roswell zniknęły w tajemniczych okolicznościach. Czyli sytuacja z cyklu: „Czy jest na sali proktolog, bo jesteśmy w dupie”. Dodatkowy problem stwarzał fakt, że Grzegorz to przyzwoity pan i jakoś w tej sytuacji nie chciał się poddać terapii, ani alkoholowej, ani marihuaninowej. Na szczęście nie poddał się też chwilowemu nastrojowi amatorki i grozy. W życiu trzeba umieć dokonywać szybkich zmian. Jak to mawiał mój kolega Józek: „Szybko poradnik *Techniki podrywu* zamieniam na

poradnik *Jak szybko wyleczyć syfilis*". I tak też się stało.

Razem z moim długoletnim operatorem Tomkiem Samosionkiem znaleźliśmy gdzieś w przepastnych korytarzach politechniki wózek do przewożenia makulatury czy innego rodzaju obornika. Tym samym poczuliśmy się jak George Lucas na planie *Gwiezdnych wojen*. On na efekty w 1977 roku wydał 5 milionów dolarów, my piętnaście lat później mieliśmy je za darmo. W filmie *Wilk z Wall Street* słowo *fuck* pada podobno 506 razy. U nas na planie pobiliśmy ten rekord, który w tamtym momencie był zresztą dopiero pieśnią przeszłości.

Balladę Grzegorza zatytułowaną uroczo *Raz na całe życie* postanowiłem nakręcić w stylu łączącym Kafkowskie zagubienie z romantycznymi wątkami Aleksandra Dumasa, czyli sprowadzając to na grunt gruntu, Skawiński miał więc błąkać się korytarzami z gitarą i wzrokiem D'Artagnana, a my z Tomkiem i kamerą za nim na tym wózku. Koncept godny Oscara w kategorii najlepszy film nieanglojęzycznego.

Wózek, jak przystało na pojazd parkujący pomiędzy studentami politechniki, co prawda posiadał cztery koła, ale moim zdaniem każde było od innego wózka. Efekt optyczny uzyskiwaliśmy więc na poziomie napadu padaczkowego połączonego z drgawkami startującego białoruskiego promu kosmicznego. Postanowiłem wypowiedzieć posłuszeństwo klasykom kina i operatorskiej poprawności. Zadrwić z koturnowego Felliniego czy dyżurnych motywów cierpienia i samotności Bergmana. Zrobiłem film pokazujący, że bywają warunki naprawdę tak ciężkie, że nie da się zrobić filmu. I dołączyłem do tego liryczno-gitarowe frazy Skawińskiego. W refrenie tej swojej nie najgorszej zresztą piosenki autor śpiewał: „Pokochaj mnie, raz na całe życie”. I ja wtedy też zrozumiałem, raz na całe życie, że do nakręcenia dobrego epickiego filmu kamera i główniany wózek to za mało.

Miałem jeszcze przyjemność nakręcić pierwszy chyba teledysk grupy Hey.

„Teledysk” to oczywiście skrót formalny. Nazywanie tego, co wtedy robiłem, teledyskami to jak pomylić skoliozę z płaskostopiem. Była to grupa grzecznych młokosów ze Szczecina z zalęknioną i dosyć ekscentryczną panią na wokalu. Nazywała się Kasia Nosowska i swym językiem ciała zdawała się mówić: „Przepraszam, ja tutaj jestem przypadkiem tylko na chwilę, zaraz wracam PKS-em do technikum odzieżowego, gdzie moje miejsce”.

Nagrywali właśnie swoją pierwszą płytę i do zilustrowania przenikliwego wywiadu z Kasią potrzebowałem jakiegoś obrazka. Zrobiliśmy etiudę o pracy w studio, a że w trakcie rozmów o tej piosence dosyć często pojawiało się słowo *dreams*, tak też nazwałem ten numer. I tak też zostało, pomimo całkowicie innych planów grupy.

Pamiętam też swoje pierwsze, wcześniejsze spotkanie z Kasią w Trójce, w audycji *Brum*. Oni wygrali wtedy Jarocin, stawali się grunge'ową gwiazdą i w trakcie nagrywania płyty odwiedzili mnie w studiu. Przyszli z menedżerką o posturze i wdzięku starego Indianina. Nosowska stanęła na tle wieszaka z ubraniami i na moje oko, niczym kameleon, zaczęła upodobniać się do koloru odzieży za nią. Taka to wtedy była dziewczyna. Sprawiała wrażenie, że chce się zdematerializować i pozostać w takim stanie do końca swoich dni, niezaczepiana przez nikogo.

Nie był to wtedy mój ideał kobiety, gustowałem raczej w nimfomankach niemowach z własnym polem konopi, jednak w Kasi był jakiś magnetyzm. I pozostał w niej do dziś. Znam ją dwadzieścia pięć lat i dam głowę, że połowę tego czasu Kasia poświęciła na zastanawianie się, czy to wszystko, co dzieje się wokół niej, nie jest przypadkiem, chwilowym zbiegiem okoliczności. Zawsze miała w sobie surowego krytyka, który jej mówił: „Tłumy na koncercie? Pewnie przyszli na kogoś innego. Nie świruj. Jesteś nikim i to też nikim z przypadku”. Cenię jej stałe poszukiwanie spełnienia. Wyznała mi swego czasu:

– Bo ja mam ciągle apetyt, że chciałabym ostatecznie, przed tym momentem, kiedy zrzucę powłokę cielesną, po prostu rozwijać się i skakać trochę wyżej. A takie sformułowania, że jestem taka fajna, są niczym stempel pod ostatnią stroną, że tak powiem, umowy.

Ja:

– Naprawdę tak to widzisz, że to, że jesteś fajna, to jest zamknięcie czegoś, uniemożliwienie dalszego rozwoju?

– Na szczęście nie posiadam tego zestawu cech, który pozwala się rozleniwic w obliczu komplementu.

Dziwnie dobierała sobie partnerów. Pod tym względem logika kobiet i mężczyzn jest całkowicie odmienna. Męska logika jest słuszna, a kobieca ciekawa. Kiedy ją poznałem, była związana z Grzegorzem Porowskim, wokalistą

bodaj zespołu Dum Dum czy jakoś tak, że dwa podobne słowa po sobie. Jegomość o mocnym głosie i niekczemnym wzroście, który podczas kłótni z nią potrafił walić głową w stalową furtkę ogrodzenia studia nagrań w Izabelinie. Sprawiał wrażenie typowego faceta. Powinien posadzić drzewo i na nim zamieszkać. Potem był lider Kobranocki, Andrzej Kraiński, wspomniany już Kobra. Tego nie mogli zrozumieć nawet ci, co wydawać się mogło, rozumieją wszystko. Następnie jakiś młokos rastaman, który pracował w księgarni Centrum Sztuki Współczesnej i tak się skutecznie zaczytywał w tych współczesnych pozycjach, że Nosowska urodziła mu syna.

Dziś, jak sama twierdzi, jest szczęśliwa i nawet kiedyś powiedziała mi, że chyba podoba się mężczyznom, co zresztą szybko sama osobiście zdementowała.

Uwielbiam ją. Jest tym okazem osoby publicznej, która pielęgnuje w sobie normalność, bo to jej pozwala uniknąć nienormalności.

Pięknie o tym opowiadała mi Anna Dymna:

– Ja jestem takim normalnym człowiekiem. Ja nie mam niestety nic (chyba niestety, bo może byłoby mi łatwiej) z takiej gwiazdy, co to lubi okładki. Ja nie lubię tego. I mnie ratuje takie zwyczajne życie. Nawet się czasem za to nie lubię. Ale mnie ratuje to i jest mi potrzebne jak tlen, że ja sobie w domu tak normalnie posprzątam, wymyję podłogę, okna...

Kochałem atmosferę planu filmowego. Owocowała ona sytuacjami rodem z filmów braci Cohen. Nigdy nie było wiadomo, co będzie dalej. Janusz Głowacki opowiadał mi dawno temu o spotkaniu z menelem spod sklepu w okolicach ulicy Bednarskiej, gdzie mieszkał. Janusz, nie menel. Podchodzi do niego pan menel i zagaja: „Panie Januszu, pan da piontaka, to powiem panu złotą myśl”. Janusz, tradycyjnie ciekawy czyichś myśli, wysupłuje stosowną zapłatę i uiszcza. Menel zaczyna: „Życie jest jak długi, żelazny most...”. I nagle urywa. Głowacki docieka: „Ale dlaczego?”. A pan menel odpowiada: „A tego to ja, kurwa, nie wiem!”.

Kręciliśmy teledysk do piosenki z kolejnej nowej płyty Urszuli. Była wtedy związana ze Staszkiem Zybowskim, świetnym, szybkim gitarzystą i jeszcze lepszym i szybkim kompanem do wszystkiego. Grał w Budce Suflera,

współpracował z Grzesiem Ciechowskim i generalnie, gdyby istniała opłata skarbowa od gitarowej wirtuozerii, poszedłby z torbami.

Mieliśmy nocne zdjęcia w jakimś olbrzymim składzie złomu. Gdy nagrywaliśmy partie Urszuli, powstrzymując uciekające ciepło z organizmów wyrafinowaną whisky, Staszek rzucił, że poczeka na swoją kolej i położy się spać w zardzewiałej syrence za rogiem. Nie byłoby nic wyjątkowego w tej muzycznej historii, gdyby nie to, że za rogiem stało kilkaset zardzewiałych syrenek i to jedna na drugiej. Wielkie cmentarzysko wstydliwego wyrobu autopodobnego z okrutnych czasów.

Do dziś niewyjaśnioną tajemnicą syrenki był fakt, że silnik potrafił kręcić napędem w drugą stronę. Dochodziło czasem do takich sytuacji podczas ruszania. Co ciekawe, jedyną oznaką tego technicznego *qui pro quo* była wskazówka ładowania, która odchyłała się w drugą stronę. Podobno w żadnym innym samochodzie świata nie było to możliwe. Polak potrafi.

No więc Staszek zaopatrzony w to i tamto zaginął wówczas niczym w Trójkącie Bermudzkim. Znalazł się dopiero sam, nad ranem, kiedy pościel z gumowych dywaników modelu 102 przestała zapewniać mu komfort snu.

Najpełniejszym scenariuszowo i fabularnie był klip do piosenki Roberta Janowskiego pod złowieszczym tytułem *Nadejdą sny*.

Robert był wówczas opromieniony sławą *Metra*, które było prawdopodobnie przez wiele lat popularniejsze od metra, którego tunele kopano i kopano w Warszawie bez większych skutków. Miał status młodzieżowego półboga. Robert rozpoczął karierę solową w 1994 roku albumem pod kokieteryjnym tytułem przypominającym retoryczne zapytanie dilerów dragów: *Co mogę dać*. Już pierwszy singiel o *Murach Jerycha* zawojował plebiscyt *Muzyczna Jedyńka*, wówczas najpoważniejszą arenę artystycznych konfrontacji. Piosenka utrzymywała się w notowaniu przez osiem miesięcy. Osiem miesięcy! Tyle potrzeba, aby zmodernizować linię kolejową, wybudować dom (oczywiście częściowo z kredytu), a u dziecka, żeby zaczęło się raczkowanie i ząbkowanie. Wówczas Janowski był ewidentnym Allahem polskiej piosenki. Jego fani mogli wysadzić w powietrze każdą listę przebojów. Teledysk do *Murów Jerycha* powalał rozmachem wizualnej koncepcji. Robert spacerujący we mgle nałożony na obraz Roberta na tle ceglanego muru, także we mgle. Czuć mglisty zarys

scenariusza. Gdybym kiedykolwiek napisał list do Świętego Mikołaja z prośbą o jakikolwiek talent, akurat taką umiejętność obrazowania słowem bym pominął. W związku z tym postanowiłem zrobić artyście teledysk strzelisty i z rozmachem. Godny jego popularności i gwarantujący chwilową nietykalność ze strony fanatycznych fanów.

Najmilej wspominam nocne zdjęcia w Łazienkach Królewskich w Warszawie. Zaczęliśmy późno w nocy, a finałem dzieła filmowego miał być imponujący wyjazd kamery na podnośniku ponad linię parku odsłaniający nieznośne piękno stołecznego świtu. Ależ ładnie to napisałem. Byłem wówczas chwalebny posiadaczem auta, wspomnianego wcześniej volkswagena corrado 16V, co już samo w sobie było zachętą do przeprowadzenia własnych testów rakietowych na spowitych w mroku parkowych alejkach. Czas pomiędzy jednym a drugim ujęciem wypełnialiśmy sobie z Robertem rajdowymi odcinkami specjalnymi, niszcząc spokój historycznego miejsca. Kto z was miał możliwość nocnego driftowania po wybiegach spacerowych letniej rezydencji króla Stanisława Augusta? Jak później wykazało śledztwo, zgodnie z nazwą parku, zgotowaliśmy niezłą łaźnię miejscowej zwierzynie. Okazało się, że całe to parkowe bractwo od osiemnastego wieku nie zaznało podobnych nocnych brewerii. Można je było porównać tylko do wysadzenia w 1940 roku powietrze pomnika Chopina przez inny rodzaj okupanta. Nazajutrz po naszych uczynkach rodem z prequela *Szybkich i wściekłych* ogólna wściekłość zapanowała wśród pracowników parku. Okazało się, że wyjątkowi mieszkańcy Łazienek, jakimi są wędrujące swobodnie i dumnie pawie, zeszyły śmiertelnie na skutek jakiegoś gwałtownego nocnego przestרחu. Mało tego: ich opiekunowie nie mogli się doliczyć także dzięciołów pstrych większych, sikorek bogatek oraz dwóch legionów wiewiórek. Okazało się, że pawie królewskie są ptakami wytrzymałymi, a nawet dość hałaśliwymi, ale w tej konkurencji pokonaliśmy je poprzez klasyczny, doprawiony spalinami *knock out*. Reszta towarzystwa po prostu rozpierzchła się ze strachu, obalając mit kryjący się pod powszechnie znanym powiedzeniem: „Nie drzyj się, nie jesteś w lesie”. Okazuje się, że w lesie też nie można, bo mieszkańcy reagują śmiertelnie serio.

W 2000 roku pracowałem przy czymś, co ewidentnie niektórym wywróciło „wrota percepcji”. Mój wieloletni kumpel Arek Jakubik napisał musical *Jeździec burzy* o Jimie Morrisonie i The Doors. Jestem dumny, że byłem częścią tego

wydarzenia. I choć Jacek Cieślak napisał, że było „tanio i niesmacznie”, dla nas było to coś wyjątkowego. Nasz rachunek sumienia wobec starej miłości. Nikt wtedy nie wiedział, że *Jeździec* będzie obecny na deskach przez następne 17 lat. A co do Cieślaka, to podobnie napisał o spektaklu *Zagraj to jeszcze raz, Sam* tylko dlatego, że nie dostał zaproszenia na premierę. Wywalił w „Rzeczypospolitej” dwustronicowy paszkwil na celebrycki teatr, bo się nie najadł na bankiecie. A tym samym dwustronicowy nekrolog dla swej rzetelności.

Musical *Jakubika* zaczynał się przewrotnie, bo spotkaniem autora z... Jimem Morrisonem, który odwiedzał swój grób na paryskim cmentarzu Père-Lachaise. Okazało się, że pan Jim wcale nie umarł, tylko wziął sobie wolne od bluesa, węzy, whisky i rock and rolla.

Główną rolę grał znakomicie niezwykle podobny do oryginału Marcin Rychcik. W rolę Van Morrisona wcielali się na przemian Mundek Staszczuk i Piotr Bukartyk. Teksty psychodelicznego poety dosyć zgrabnie przetłumaczył Krzysiek Jaryczewski. Nie mniej psychodeliczny z nie mniej psychodelicznym życiorysem. Tłumaczenie *The Doors* musi być uznane za świętokradztwo i bardzo nas to wtedy cieszyło. Nigdy tego nie mówiłem, ale przez kilka tygodni trwały negocjacje, których byłem inicjatorem, aby Morrisona zagrał Robert Gawliński, nigdy nieukrywający swych mrocznych fascynacji pierwowzorem. Niestety nie udało się. A mogło być ciekawie.

To był intrygujący czas, jak się miało później okazać, czas odpalania pierwszych fajerwerków kilku niezwykle późniejszych karier. Balowaliśmy u Arka *Jakubika* piękni i młodzi w towarzystwie Roberta Gonery, Roberta Więckiewicza, Renaty Dancewicz, Rafała Maćkowiaka, Wojtka Smarzowskiego i wielu, wielu innych. I my z Wojtkiem Smarzowskim mieliśmy odpowiadać za oprawę wizualną spektaklu. Mieliśmy zrobić coś, co przypominałoby zaginione teledyski Morrisona i jego kamratów. Budżety były nikczemne, ale fantazja bezgraniczna. Możecie mi wierzyć lub nie, ale przy pomocy operatora, zaangażowaniu Rychcika–Morrisona, ciemności i zwykłej latarki udało nam się zrobić coś tak wizualnie narkotycznego, że jeszcze przez wiele miesięcy widzowie pytali nas, skąd mamy tyle unikatowych dokumentów o królu jaszczurze. Bo dwaj główni bohaterowie złączyli się w jedno. Było dziko i mrocznie. Ale dziko i mrocznie na naszych warunkach.

To był ważny czas.

Fantastycznie wspominam swoją przygodę z programem *Halo!Gramy*. Chociaż gdybym był uczciwy i nieskromny, mógłbym szybko zauważyć, że to programowi *Halo!Gramy* przytrafiła się przygoda ze mną.

Grupa świrów artystów, trochę anarchistów, a trochę kapitalistów na dorobku, postanowiła zrobić w Polsce program artystyczno-rozrywkowy. Żeby było jeszcze ciekawiej, jednym z twórców był Paweł Szanajca, malarz, fotografik, mistrz syntezy sztuk, a co najważniejsze – saksofonista z pierwszych płyt Kultu. Żeby było jeszcze bardziej rozrywkowo, to postanowili go zrobić dla Polsatu. Stacja mieściła się wtedy przy alei Stanów Zjednoczonych i to chyba była jedyna cecha łącząca ją z show-biznesem na jakimkolwiek poziomie.

Stacja Zygmunta Solorza-Żaka była wówczas destylatem wszelkiej międzynarodowej tandety, nie wyłączając naszej krajowej. Dominowała kinematografia brazylijska, twórczość kolumbijska oraz krajowa cepeliada disco polo. Polski gust narodowy zamknięty w rozrywce. Całości katastrofalnego jarmarku dopełniał właściciel przemierzający korytarze w szeleszczącym ortalionowym dresie z reklamówką w ręku. Nie wiem, skąd się wzięli twórcy *Halo!Gramy*, bo dołączyłem do nich w momencie, w którym dotarło już do nich, że do historii tą drogą nie przejdą. Jak to mawiał Lec: „Czasami chwilą geniuszu jest moment poznania swego beztalencia”. Czy jakoś tak, bo cytuję z głowy.

Mieli już grupę współpracowników o charyzmie granulatora trocin. Mówili, występowali, oceniali, propagowali i sięgali poziomem sympatii tak mniej więcej straży miejskiej. Ich etatowym didżejem był niejaki Marek Horczyczak, dziś etatowa pogodynka Polsatu. Marek ma kubaturę meblościanki, posiada w karate taki stopień wtajemniczenia, że potrafi pobić przeciwnika jego własną końcówką jelita grubego. Niestety osobowościowo Marek przypominał tysiącletniego zółwia, który miał obsługiwać call center. Innych okazji nie pamiętam, ale widocznie niewiele było do zapamiętania. Kilku panów i kilka pań o urodzie raczej beznadziejnej.

Wpadłem do programu, żeby zareklamować swój miesięcznik „Brum” i głupio się przyznać, zrobiłem tam taką zadymę, że wywalili wszystkich,

a przyjęli mnie. Bezceremonialnie. W ten sposób emitowany w godzinach popołudniowych na żywo program *Halo!Gramy* po kilku tygodniach emisji stał się największym hitem stacji.

W wyrefinowanej scenografii, przypominającej wielką żółtą słuchawkę telefoniczną, w krzykliwych kolorach rodem z agencji towarzyskiej, zasiadałem na godzinę i ucinając sobie pogawędki a to z gościem, a to z dzwoniącymi do nas widzami, rozdawałem prezenty, dary, mirrę i kadzidło. Totalny obłęd, jakiego nie było w innych mediach.

W myśl starej dewizy Charliego Chaplina, że ci, którzy rozśmieszają ludzi, cenniejsi są od tych, co każą im płakać, postanowiłem stworzyć program doskonały. Miał być połączeniem humoru, chaosu, pańskiego gestu, muzyki alternatywnej i niespotykanych nigdzie indziej gości. Od Liroya, przez Edytę Bartosiewicz, po grupę Dezerter. Wszystko miało być skąpane w oparach absurdu. Ktoś się do mnie dodzwonił – dostawał dyskografię Slayera. Mówił, że mnie widzi w telewizji właśnie w tym momencie – dostawał rolki. Odpowiadał na pytanie: „Kto jest dziś mym gościem?“, a nie było to trudne, bo gość siedział obok mnie i mojej mega *yellow* słuchawki – dostawał rower. Pytałem, jaki jest mój numer telefonu, pod który gość dzwoni, i jak gość z drugiej strony tego numeru był na tyle rezolutny, żeby go podać, czyli inaczej mówiąc, miał IQ wyższe niż numer kierunkowy do stolicy, potrafił wygrać skuter.

Było totalnie. Miało być inaczej niż zwykle i w dobrym tempie. Tak, żeby narobić ludziom apetytu na emocje, ale nigdy ich do końca nie zaspokoić.

Przy tym programie 500+ to jałmużna i marny napiwek. Byliśmy centralną dyspozytornią dobrego nastroju, ciekawej muzyki i rozdawnictwa bez żadnych wymagań. Czysta zabawa. Całość miała wyglądać jak jakaś karkołomna gra na komputerze starej generacji. Oglądali to wszyscy, w związku z tym dodzwonić się chcieli też wszyscy.

Kiedyś moim gościem był Paweł Kukiz. Dzwoni pierwszy widz, witam go i mówię, że moim gościem jest Kukiz i czy tamten go zna. I nagle słyszę: „O tak. *Cookie*. Ciasteczkowy Potwór. Bardzo lubię go oglądać. Tak jak całą *Ulicę Sezamkową*”.

Podczas wizyty Kazika Staszewskiego, który promował swoje pierwsze hip-hopowe dokonania, wymyśliłem judaszowy pomysł, żeby Kazik rapował statut

PZPR-u. Program był na żywo, więc nie bardzo mógł odmówić. Historyczne wykonanie komunistycznej prozy alternatywnej. Puściliśmy mu jakiś prosty bit i artysta odleciał. „Idea, której służy Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, to idea komunizmu. W niej ucieleśnia się przyszłość świata. Jest to idea, której zwycięstwo uwolni ludzkość od niepewności jutra, od strachu przed wojnami, od nędzy i poniżenia, położy kres panowaniu wyzyskiwaczy nad ludem pracującym, panowaniu narodów silniejszych nad słabszymi. Tylko komunizm może zapewnić materialny i duchowy rozkwit ludzkości...”. Żeby nie było, tekst oryginalny. Perełka literatury humorystyczno-fantastycznej. Dziś brzmi jak deklaracja programowa Prawa i Sprawiedliwości. Szkoda, że was przy tym nie było. Staszewski tego dnia zabrzmiał jak rymujący Władimir Wysocki. To było ryzykowne posunięcie. Mówiąc językiem kierowców, wokalista wjechał na późne pomarańczowe. Ale wybrnął genialnie. Co ważne, dowiedzieliśmy się, że lider Kultu właśnie na dniach zrobił swoje pierwsze prawo jazdy. Wręczyliśmy mu wielką tablicę z napisem TIR, żeby współuczestnicy ruchu nie tyle go szanowali, ile się go bali.

Wtedy wszyscy jeszcze mieli dystans i poczucie humoru. Brak dystansu i humoru pojawiły się później. Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale Edyta Górniak też kiedyś miała luz i dystans do siebie. Taka sytuacja na przykład w programie *Kuba Wojewódzki*:

– Ja, tak prawdę mówiąc, strasznie chciałem się z tobą spotkać, żeby zapytać, czy tobie, i naprawdę to jest pytanie, akurat w tym momencie jestem dziennikarzem muzycznym, czy tobie chce się jeszcze śpiewać? Bo my wszyscy, kurde, czekamy, aż ty zaśpiewasz, a ty jesteś jurorem w jednym programie, w drugim programie. Uciekasz od tego, co lubisz?

– Co ci zaśpiewać, Kuba? No, na życzenie.

– Byle nie hymn Polski, bo znam słowa i... melodię też. Widzowie również.

A ona na to:

– Ja bardzo chętnie zaśpiewałabym hymn, ale ja się dopiero uczę, o czym to jest.

Dochodziło też do sytuacji zabawnych inaczej, polegających na tym, że

w Polsce, co tu ukrywać, nie było za dużo programów, do których mogliby przyjść artyści. I operatorzy oraz realizacja mieli własne dość swojskie standardy.

Odwiedził mnie onegdaj Stanisław Soyka ze swoją płytą. Stanisław był zawsze arystokratą dźwięku, pieśni i manier. Zaczynamy program, zapytuję Staszka w wyrafinowanym stylu, co go skłoniło, aby zaprosić jako tekściarza na swą nową płytę nikogo innego jak Williama Szekspira, bo to z jego sonetami nagrał album. Staszek zaczyna odpowiadać różne natchnione historie, gdy nagle słyszę szept zza kamery: „Panie Soyka, musisz pan zdjąć tę koszulę, bo się źle kluczuje na blue boxie...”.

Takie były wówczas czasy i obyczaje.

Kulminacją naszego nieprzewidzianego w żadnym planie biznesowym sukcesu był konkurs, który ogłosiliśmy wspólnie z Poczta Polska. Pytanie było pretekstowe, generalnie chodziło o to, aby się policzyć i poznać z innej strony. Jak znam swoją kreatywność, to brzmiało ono mniej więcej tak: „Jak Bóg stworzył świat, to jego pierwsze słowa brzmiały: «Upssss», czy może «Jezuuu, nie». Swoją myśl przelej na papier i zamknij w dzieło sztuki”. Jedna z producentek mocno oponowała, bo chciała konkurs czysty światopoglądowo, a ja lubiłem eksperymentować z nastrojami tłumu. Chciałoby się powiedzieć „narodu”, ale coraz częściej mam wrażenie, że to po prostu tłum tłoczących się obok siebie, obcych sobie ludzi. Zresztą z tą producentką przestaliśmy się liczyć od czasu, gdy wyznała nam (w tajemnicy, więc mówię o tym tylko wam), że musi zmienić psychoterapeutę, bo ten ostatni wyznał po roku spotkań, że na jej miejscu to by się powiesił.

Przesyłki od widzów miały przychodzić albo na adres Poczty Głównej w Warszawie albo nasz. Kiedy zbliżał się finał rywalizacji, na redakcję spłynął blady strach. Jeden z reżyserów popadł w jeszcze większy łopot niż zazwyczaj, a zazwyczaj i tak było nieźle, gdyż był to człowiek z cyklu „Ja nie nadużywam alkoholu. Piję tyle, ile potrzebuję. Po prostu potrzeby mam spore”.

Do naszej redakcji spłynęło kilkanaście paczek i kopert, na podstawie tajemnej zawartości których miałem zrobić program na żywo. Czułem się jak Adam Nawalka przed mundialem w Rosji. Byłem przygotowany, ale nie miałem

czym grać. Czuliśmy, że nadchodzi bolesne „sprawdzam”, które dobierze nam się do zakrycia. Na godzinę przed programem przyjechała ciężarówka z Poczty Polskiej i przywiozła tonę przesyłek. Nie przesadzam. To był korespondencyjny Mount Everest ostepłowany znaczkami. Wysypali to u nas w studiu, sięgając sklepienia. Mówi się, że chłopcy mają swój dzień raz w roku, a prawdziwi faceci, kiedy chcą. I to był mój dzień w tamtym roku.

Ten odcinek *Halo!Gramy* zapamiętali wszyscy. Na zakończenie programu dałem nura w tę stertę pachnącą ludzką męczarnią i tanim klejem. Co ciekawe, główną nagrodę w postaci skutera wygrał jakiś dzieciak z tak zwanej Polski D. Na ceremonię wręczenia nagrody przyjechała cała rodzina autem model Żuk, który był wyłożony sianem. Żeby im wygodnie było w trakcie tułaczki z kresów samych kresów, no i coby motocykla nie porysować, bo już mieli na niego kupca. Tacy widzowie. Już wtedy, jak widać, mocno kształtowała się wyraźnie zdefiniowana w guście i etykietce widownia Polsatu.

Nasza telewizyjna epopeja trwała chyba trzy lata, a zakończyła się dosyć niespodziewanie. Kiedy udałem się na zasłużony wypoczynek, redakcja postanowiła zagęścić profesjonalizm szeregow i zatrudniła do nowego jakościowego skoku w przyszłość kilka świeżych osób. Wśród nich niejakiego „Makaka”, Piotra Szarłackiego, radiowca kultowego, którego kultowość polegała na tym, że on tak o sobie myślał.

Jest taki popularny przesąd, że jak się podejdziesz w nocy do lustra i trzykrotnie wyszeptać: „Demonie, przyjdź”, to wtedy właśnie przychodzi Makak. Makak był wielką zblazowaną gwiazdą rocka, która przypadkowo została pracownikiem radia, a tak w ogóle to lada dzień powinien dostać angaż w Red Hot Chili Peppers. Był pozerem o imidżu męskiej Lady Gagi bez makijażu i w moim skromnym mniemaniu przyszłym podopiecznym najbliższej jednostki odwykowej. On nastał i zaczął się rządzić, więc ja, mając alergię na takich przebierańców, postanowiłem się ewakuować. Po miesiącu program spadł z anteny. Byłem tradycyjnie z siebie dumny, bez najmniejszego powodu.

A teraz z innej beczki. Teatralnej. Michał Żebrowski miał trochę opinię buca. Dobra, zapomnijmy o „trochę”. Był bucem. Zakochanym w sobie, etatowym klakierem siebie samego w pierwszym rzędzie samouwielbienia. Człowiekiem swego własnego codziennego renesansu. Ale był bucem obronnym. Taką przyjął postawę wobec świata, który mu nie pasował do jego świata. Jego prawo.

Kiedyś zapowiadając go w programie, powiedziałem: „Na ziemi są podobno dwie rzeczy widoczne gołym okiem z kosmosu. Chiński mur i ego Michała Żebrowskiego”. Jego ego rzeczywiście można znaleźć na Google Maps i pozwiedzać sobie z każdej strony. Jest tak wielkie, że ma osobny adres i księgę wieczystą. Ale też Michał ma ku temu powody, nazwijmy go zatem bucem zawodowym, profesjonalnym. Uczeń Holoubka i Zapasiewicza sam stał się Zapasolubkiem i uniósł w autoakceptacji zbyt wysoko. Zresztą gdybym w jego wieku zaliczył tyle kobiet, to też pewnie zamieniłbym swe ego w zeppelin. Nie wspominając o Izabelli Scorupco, co jest tylko wisienką na wspomnianym sterowcu. Lub, jak mawia mój przyjaciel Czesław Mozil: „Wiśniówką na torcie”.

Nasze wcześniejsze kontakty były wyłącznie zawodowe, to znaczy ja robiłem z nim wywiad do jakiegoś pisma, a on profesjonalnie mi go udzielał, by następnie podczas autoryzacji napisać go profesjonalnie i samodzielnie i to w moim mieszkaniu. W tym samym czasie odbierał telefony od swej aktualnej narzeczonej, którą w akompaniamencie słów mocno męskich informował, że aktualnie autoryzuje i pierdoły mu nie w głowie. Wielokrotnie zapraszałem go do swego programu, ale on zawsze z powagą Wiedźmina i dostojeństwem Skrzetuskiego posyłał mnie won.

Kiedy więc pewnego zimowego dnia usłyszałem jego tubalny głos w telefonie, byłem pewien, że dzwoni tylko po to, by powiedzieć mi, że w najbliższym sezonie też do mnie nie przyjdzie. Okazało się coś całkowicie odmiennego. Michał otwiera teatr i zaczyna od spektaklu Woody’ego Allena *Zagraj to jeszcze raz, Sam*. „Mam cię, patetyczny knocie – pomyślałem. – Teraz będziesz chciał zareklamować swe sceniczne posługi u mnie w programie, a ja w całej swej złości ci w tym pomogę”.

Okazało się, że jest o wiele, wiele gorzej. Żebrowski w swej niezidentyfikowanej intuicji przeczuwał, że zawsze chciałem być

aktorem. Bo chciałem. Niestety nasza sąsiadka z placu Na Rozdrożu, Zofia Mrozowska, wielka aktorka i pedagogka, prognozowała mi rolę halabardnika, ewentualnie aktora grającego kroki za sceną. Dostałem natomiast propozycję zagrania głównej roli, czyli Allana Feliksa w jednym z najbardziej znanych tekstów samonienawidzącego się Żyda z Manhattanu.

W swych niesprecyzowanych, z logicznego czy jakiegokolwiek trzymającego się zdrowego rozsądku punktu widzenia, marzeniach często widziałem siebie w roli prosto z Allenowskiej wyobraźni. Był on jedynym dramaturgiem, któremu mógłbym oddać w posiadanie swój sceniczny los. No i spełniło się. Najlepszy to znak, by nie marzyć głupio, bo zatroskane przeznaczenie bierze sobie czasem nasze biadolenie do serca i wrzuca nas w samo jądro kłopotów.

Michał zostawił mnie sam na sam ze scenariuszem, historycznym wyzwaniem, strachem i wielkim apetytem. Zawsze uważałem, że najlepszym sposobem pozbywania się dzikich pokus jest uleganie im. I uległem.

Gdybym dziś chciał policzyć momenty zwątpienia, że moja postać na scenie to ewidentny dowód braku ogarnięcia, samokrytyki czy najzwyczajszego zdrowego rozsądku, to były ich setki. Do tego dochodziło przeczucie, że teatralny widz na taką personę jak ja może zareagować nietuzinkowo. Nie od dziś wiadomo, że czeska nazwa teatru – *divadlo* – musi mieć jakieś sensowne uzasadnienie.

Swój bój z wątpliwościami postanowiłem zatuszować wiedzą wyniesioną z niebanalnych karier i życiorysów. Wojciech Pszoniak opowiadał mi, że zagrał we francuskim teatrze, nie znając żadnego istotnego słowa w danym języku. Mało tego: wystąpił u boku samego Gerarda Depardieu, za nic nie kumając, o co temu drugiemu chodzi w jego przepastnych monologach. Czyli można. Na moje proste pytanie, jak się czuł, odpowiedział plastycznie: „Srałem ze strachu”.

To samo Andrzej Chyra. Obarczył mnie historią wcielenia się w Stanleya Kowalskiego w *Tramwaju zwanym pożądaniem*, obok Isabelli Huppert, przy nikczemnie niskim poziomie języka Moliera. I też dał radę. Może dlatego, że wcielał się w brutalnego polaczka, prostaczka, a od takich nie oczekujemy frazy Dantona.

Mój przebieg myślowy był nieskomplikowany. Oni są aktorami, nie znali języka i dali radę. Ja nie jestem aktorem, ale znam język. Czyli rachunek

podobny. Dam radę. Logiczne jak życie seksualne Krystyny Pawłowicz.

Wiem, że wcześniej tę rolę miał dostać mój kolega, prawdziwy aktor, Wojtek Mecwaldowski, ale dlaczego nie dostał, tego nie wie nikt z nim włącznie.

Dziś Michał jest innym człowiekiem, innym Michałem, przy jakimś delikatnym nagięciu słowa „wyluzowany” to bym stwierdził, że jest wyluzowanym Michałem. Podobno człowieka można najlepiej poznać i ocenić po tym, jak on tańczy. Widziałem, jak on tańczy. Wykonywał ruchy, jakby porządkował piwnicę albo układał weki na półkach. To było piękne. Po wielu latach spięcia Michał się rozpiął i to był szok. To tak, jakby Tadeuszowi Sznurowi skończyły się pytania w *Jednym z dziesięciu*. Zostaliśmy kumplami, nasze partnerki też się zakumpłowały, a w naszą relację wstąpiła wspaniała normalność. Lubię go i cenię za to, co zrobił. Nie tylko dla mnie.

Jest dobrym człowiekiem.

Scenariusza zacząłem się uczyć na plażach Tel Awiwu w towarzystwie długonogiej Natalii. Uwielbiałem, jak tabuny lokalsów mlaskały za nią oczami na piaskowych deptakach stolicy Izraela. Za każdym razem gdy szła na spacer ze słuchawkami w uszach i w miniaturowym bikini, wracała z plikiem wizytówek od plażowych adonisów. Potem, rozmiękczeni syjonistycznymi trunkami, dzwoniliśmy pod telefony adoratorów, wymyślając im we wszystkich językach świata. Bardzo mnie to wtedy bawiło.

Poznałem ją, kiedy wróciła z azjatyckiego kontraktu, który odbywa wiele słowiańskich modelek. Ja od pierwszego wejrzenia zafascynowałem się nią jako typowym dzikim dzieckiem, ona, co zabawne, była święcie przekonana, że potrzebuję ją na widownię swego programu. I negocjując swe nastawiania, wybraliśmy się na sylwestra do Izraela.

Natalia będzie moją miłością już zawsze. Samodzielna, piękna, zagubiona, z ojcem kryminalistą i tabunem rodzeństwa. Uciekła z małej miejscowości, by w stolicy zmajstrować swe małe szczęście. Niestety trafiła na mnie.

Natalię uwielbiali wszyscy moi sąsiedzi płci męskiej, bo bez skrępowania i ograniczeń lubiła przeżywać akustycznie nasze miłosne uniesienia. Nic tak nie podnosi poziomu ego mężczyzny jak tęskny wzrok współlokatorów w windzie okraszony pytaniem: „Chyba wczoraj nigdzie nie wychodziłeś?”.

Natalia to był mój prywatny adres Pana Boga. Piękna, dobra i ufająca.

A facetom nie można ufać. Jak ci kobieta zaufa, to aż cię korci, aby sprawdzić, jak bardzo. I sprawdzasz.

Straszna jest siła słabości. Oto triumf wiedzy o facetach. Każdy z nas jest chujem, ale nie każdy ma okazję, aby to udowodnić. Wracaliśmy do siebie kilka razy, aby po raz kolejny i bolesny przekonać się, że w byciu stałym jestem niestały. Coś jak bohaterowie czarno-białego *Manhattanu* Allena. Potrzebowałem sprawdzić, czy rzeczywiście to, co mam, jest najlepsze.

Ze wszystkich dziewczyn, z którymi byłem, jej przyszłe szczęście, rodzinę, męża chyba odczuję najboleśniej. Czasem podglądam ją na Facebooku, ale ona złośliwie mało o sobie pisze. Niestety, wiele lat później, uskrzydłona kilkoma głębszymi, zaczęła się na moją ostatnią dziewczynę w klubie Syreni Śpiew i korzystając z mojej nieobecności, zrecenzowała mnie boleśnie.

Wyszło jej, że jestem egoistycznym, narcystycznym, toksycznym bawidamkiem i że trzeba na mnie uważać. Pomimo młodego wieku, późnej pory i wchłonięcia sporej ilości procentów była to analiza złożona, wnikliwa i wielce prawdziwa. Zawsze uważałem, że umiem oprzeć się wszystkiemu z wyjątkiem pokusy i biografia Natalii silnie to niestety odnotowała.

Każdy mój związek trwał do czasu, gdy wypływał na, jakby to opisał Paulo Coelho, „burzliwe wody obojętności”.

Ja jestem fanem tylko początku relacji. Każda idealna relacja powinna się zaczynać i na tym kończyć. Wtedy jest pięknie, a ludzie są szczęśliwi. Nic tak nie inspiruje miłości jak ciekawość. Gdy przestajesz być ciekaw drugiej osoby, stajesz się nudnym sfinksem, którego zwiedzili już wszyscy, a dzieci nawet nie mają ochoty na zdjęcie. Pojawia się śmiertelna nuda cowieczornej seksualnej egzekucji.

A przecież Marek Hłasko już dawno odkrył mroczne tajemnice pokrętej męskiej natury. Stwierdził stwierdzeniem fachowym: „Mężczyźni są jak dzieci. Tylko kurwy i wódka”.

Ale jeśli chodzi o teatr... Po dwóch tygodniach zamorskich igraszek, imprez i odkrywania uroków kolejnego Paryża Wschodu, jak bywa nazywany Tel Awiw, wróciłem do Warszawy z nieźle opanowanymi czterema pierwszymi zdaniem komedii. Wypadło po dwa zdania na tydzień. I jak tu nie być antysemitą.

Żenia Korin jest mordercą. Reżyser nadworny Teatru 6. piętro uważa, że aktor w próbach to aktor, którego jedynym powołaniem jest próbowanie. Czas wolny to czas stracony. Czasem zastanawiałem się, czy Korin nie zdobywał swoich menedżerskich szlifów w miejscach, o których tak barwnie pisał Solżenicyn.

Syberyjski rygor i dyscyplina dość szybko pokazały mi, że są szanse na pozostanie drewnianym aktorem w czasie ekspresowym. Jak tu mówić nieswoim głosem, nieswoje kwestie z nieswojej historii oraz tym bardziej w nieswoim odzieniu. Obok Małgosia Socha, żywa torpeda seksapilu, Ania Cieślak, kobieta o oczach zepsutego dziecka, Daniel Olbrychski, reinkarnacja wszystkiego, co w aktorstwie wielkie i podniosłe, oraz Michał Żebrowski, facet, który wykonywał utwory o blasku, co uda kobiecie odsłania. I ja. Przypadkowy bohater. Zagubiony gość z krainy wybujałych aspiracji.

Praca z Danielem Olbrychskim była dla mnie jak romans z Marilyn Monroe. Jest trochę przesiąknięty starym duchem starej szkoły w stylu Adama Hanuszkiewicza, który miał zwyczaj mawiać: „Zaczynamy próbę. Wszystkie światła na mnie!”. Mimo że znaliśmy się od dawna, był jedynym aktorem, który swą decyzję o angażu do tego przedstawienia uzależnił od efektu pierwszych prób. Mogło być groźnie. Pierwsza próba czytana. Ja ostre zapalenie oskrzeli, gorączka, ciemne okulary i słowa tekstu wymieszane z wyrzucaną wydzieliną odkrztuszną. Już w myślach żegnam się z moim teatralnym debiutem, gdy nagle słyszę, jak Daniel scenicznym szeptem informuje Żebrowskiego: „Będzie znakomity”. Nagle mój kaszel suchy i męczący stał się powabny i radosny. Robimy to.

Olbrychski jest magikiem i tajemnicą, której nie odkryła żadna dotychczasowa biografia. Opowiedział mi kiedyś, jak jechali kabrioletem z Marylą Rodowicz z Warszawy do Kazimierza nad Wisłą. Nie byłoby w tej przejażdżce nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że Daniel siedział na oparciu i prowadził auto stopami. Jak sam mawia: „Dorastanie jest obowiązkowe. Dojrzewanie niekoniecznie”.

Swego czasu przed przedstawieniem Daniel opowiada mi o przyjaźni z Kirkiem Douglasem, znanym najbardziej z tego, że jest ojcem Michaela Douglasa. Nienadająca się do publikacji historia kończy się stwierdzeniem: „No

i na koniec podarował mi siodło”. Ja na to: „Eeee, koloryzujesz”. Następnego dnia Daniel przychodzi do teatru z siodłem, a na siodle stosowna dedykacja.

Innym razem wspomina znajomość z Toshiro Mifune. Historia kończy się stwierdzeniem: „A na koniec podarował mi samurajski miecz”. Ja na to: „Eeee, koloryzujesz”. Następnego dnia Daniel przybywa do teatru z wielkim samurajskim mieczem.

Następnym razem debatujemy o kobietach i rozmarzony Daniel wzdycha i prawi: „Na koniec podarowała mi siebie całą”. Bałem się cokolwiek powiedzieć, bo na bank następnego dnia nie przyszedłby sam.

Kocham go jak ojca.

À propos ojca. Ojcem bywa wspaniałym, ale i krytycznym. Kiedyś jego syn Rafał odgrażał się w tabloidach, że odpali taką bombę, że legenda starego runie w gruzach jak wiadukt w Genui. Widziałem, że Danielowi jest przykro, więc zagajam dyskretnie, że Rafał, którego zresztą znam niemal od dziecka, to pewnie zdolny chłopak, musi tylko odnaleźć to, w czym jest najlepszy. A Azja Tuhajbejowicz na to: „Widzisz. Jak się natura w jednym pokoleniu mocno napracuje, to w następnym często odpoczywa”.

Mistrz.

Starzy mistrzowie potrafią zaskoczyć w każdej sytuacji. Dnia jednego wchodzę do swojej garderoby, a tam Piotr Fronczewski w slipkach, przy otwartym oknie, robi przysiady.

„Witaj Piotr – zagajam jak niby nigdy nic. – Co porabiasz?”. Jak sami widzicie, zagajam inteligentnie aż strach. „A nic takiego – odpowiada nieco speszony Piotr. – Tak się rozgrzewam”. Jako że obaj jesteśmy ludźmi teatru, to składam mu propozycję nie do odrzucenia: „A mógłbyś to robić gdzie indziej, bo ja zaraz mam spektakl?”. „Oczywiście, przepraszam” – słyszę i Piotr zaczyna się pakować. Nie chcąc mu przeszkadzać w tej krępującej czynności, idę do garderoby dziewczyn, a tam Małgosia Socha siedzi w jakimś stroju dziwnym, a i fryzurze niezbyt z epoki sztuki Woody’ego Allena. „Co jest? – pytam. – Zmieniają nam nagle kostiumy?”. „Nie – odpowiada Gosia. – Dziś gramy *Edukację Rity*”.

Koniec. Kurtyna. Żenada.

Anię Cieślak uwielbiam. Idealna kandydatka na odtwórczynię roli Matki Boskiej. Niespecjalnie musiałaby się uczyć tekstu. Dyżurny dobry człowiek w moim otoczeniu. Człowiek ze specyficznego trójmiasta. Urodzona w Szczecinie, wychowana w Krakowie, żyjąca w Warszawie. Ania to taki człowiek, że jak zapukasz do niej nocą z informacją, że zaraz będzie koniec świata, to posadzi cię, zrobi herbatę i poprosi o opowiedzenie twojej historii. Ma wielkie, zdziwione oczy i choć świat czasem zaskakuje ją pozytywnie, to jej zdziwienie nie maleje. Po obejrzeniu filmu z Maćkiem Zakościelnym i Anią postanowiłem zostać wybrankiem Ani.

Skorzystałem z okazji, że była moim gościem w programie, i rozpocząłem ofensywę. Pamiętam, że dostałem wtedy od niej duży zegar dworcowy w intencji stałego posiadania dużej ilości czasu dla siebie, więc korzystając z okazji, że czas jest po mojej stronie, ruszyłem do akcji. Wszystko poszło znakomicie, Ania właśnie rozstała się z własnym narzeczonym, co w wersji oficjalnej wyglądało tak, że narzeczony rozstał się właśnie z Anią. Moja wybranka wyznała, że czuje do mnie miłe ciepło, co ja oczywiście w swej głowie rozpisałem na szereg przyszłych lubieżnych obrazków. Niestety, w tak zwanym międzyczasie były oblubieniec zmienił zdanie, jak zobaczył nasze wspólne zdjęcie w jakimś serwisie plotkarskim. I wróciło mu jeszcze szybciej to, co powoli odchodziło. I z naszego widowiskowego romansu zostało tylko preludium. Ale było warto. Dziś jesteśmy przyjaciółmi lepszymi, niż wtedy bylibyśmy kochankami. Potem Ania związała się na chwilę z Czesławem Mozilem, ale trzeba pamiętać, że ona pochodzi z rodziny porucznika 007 Borewicza i musi mieć skłonności do kontaktów z elementem przestępczym.

Swoją rolę w teatrze postanowiłem opanować, tak jak opanowuję każdą rolę w swoim życiu. Wysłuchać wszystkich rad tych, którzy wiedzą lepiej, i zrobić to po swojemu.

Jak to się mówi mądrze: „Trudno, słup telegraficzny nie pojmie idei telegrafu”. Głupio się przyznać, ale mój proces stawania się aktorem (choć jak to mi zawsze mówiła Olga Boładź: „Ja nie gram, tylko występuję”) polegał na odchodzeniu od wszystkiego, co mi zalecał reżyser. Wybacz, Żeniu. Miałem wrażenie, że on nie do końca ufa tekstowi Allena i stara się go ozdobić ornamentyką, którą zdefiniowałbym jako „fredrowską”. Przerysowany strój,

gest, ruch sceniczny i makijaż niczym u Rudolfa Valentino. Czyli drapanie się tam, gdzie nie swędzi. I to z mocnym przytupem. Zero depresji, znaku rozpoznawczego autora.

Janusz Gajos powiedział mi kiedyś, że aktorstwo to jest coś, czego nie widać. Tu było widać aż nadto. Rozpocząłem dyskretny proces dewastacji i sabotażu planu reżysera. Moim zdaniem – z powodzeniem. Tym samym doszedłem do własnej definicji własnego aktorstwa, a brzmi ona tak: „To wielka sztuka grać tak, jak trzeba, nie wiedząc o tym”.

Polecam wam tę sztukę, choć gramy ją już siedem lat. Z każdym miesiącem więcej jest tam mojej inwencji niż pomysłów autora. To gruby nietakt, ale świetna zabawa.

Ciekawą rzeczą jest fakt, że z podobnym pomysłem obsadowym wyszedł do mnie, kilka tygodni od rozpoczęcia naszych tajnych prób, Wojtek Malajkat, dyrektor Teatru Syrena. Widocznie rola u Allena była mi pisana.

H. była dziewczyną z tak zwanego dobrego domu. Michał Żebrowski często powtarzał mi, że dom ma być porządny, a nie dobry, ale nigdy nie sprecyzował różnicy.

Mama H. była dla mojego pokolenia symbolem, niczym powstanie warszawskie czy reduta Ordona. Po prostu oznajmiła zakończenie komunizmu i to w telewizji, w porze największej oglądalności. Zrobiła to tak zalotnie, a zarazem skromnie, że komunizm nie miał wyjścia i się zakończył. Tata jest aktorem, który najstarszym Polakom mignął w filmie *Akcja pod Arsenalem*, by następnie brawurowo przejść do historii krajowym *love story* pod utajnionym tytułem *Con amore*. Perfekcja losu w budowaniu perwersyjnych scenariuszy polegała na tym, że H. poznałem na imprezie pożegnalnej Ani Muchy przed jej wyjazdem do Stanów. Była piękna, piegowata i niezwykle zmysłowa. Usta, usta, usta, a potem reszta H. O tym, że jest to dziewczyna z fantazją, dowiedziałem się z jej pierwszych słów, które do mnie wypowiedziała. „Co wieczór sypiam z panem” – rzekła. Po sprecyzowaniu okoliczności tego niecodziennego acz zachęcającego wyznania okazało się, że H. sypia w koszulce z moją podobizną, którą dostała od swej mamy.

Mama, po zakończeniu mojego romansu z jej córką, dość boleśnie

podsumowała mnie w felietonie w „Wysokich Obcasach”, więc nie będę prowokował losu po raz drugi i będzie wyłącznie dobrze i z szacunkiem. H. to fantastyczna dziewczyna i fantastyczny człowiek. Nie wiem co prawda, czy po takim wyznaniu Kazia Szczuka mnie nie ustrzeli z lufy feminizmu. Jej dziadkiem był niejaki Jan Parandowski, po którym odziedziczyła niezwykle dar pisania fraszek i limeryków, którymi za pomocą esemesów pasła moją nienasyconą wyobraźnię.

H. miała pecha do facetów, a apogeum jej pechowości było poznanie mnie. Wcześniej zadawała się z dyżurnym kaznodzieją TVN-u, więc sami rozumiecie, drodzy czytelnicy, że spadła z niebios na samo dno czyśca. Czyli do mnie. Nigdy wcześniej nie przejąłem dziewczyny po prawie księdzu i już wiem, że to dobry kierunek. Następnie urodziła ładne dziecko i związała się z chłopcem o urodzie fiata multipli, ale to już nie moja wina.

Z kolei Anita. Najmądrzejsza kobieta, jaką znałem. Jedynym namacalnym dowodem czasami i znienacka nawiedzającej ją głupoty był związek ze mną. Poznałem ją, gdy pracowałem w Trójce, a ona przywiozła do mnie na wywiad zespół Ziyó. Lider tej grupy, Jurek Durał, miał dwie niezwykle cechy. Połączył zaśpiew góralski z zaśpiewem irlandzkim niejakiego Bono. Drugą cechą było to, że on chyba o tym nie wiedział i z dnia na dzień stawał się coraz bardziej tym Bono.

A. miała córkę Anikę i obie pokochały mnie od pierwszego wejrzenia. Z wzajemnością. Ta mniejsza okazała to efektownym opluciem mnie, nadgryzieniem koszulki oraz obrzuceniem mego auta kamieniami. Faceci tacy jak ja nie powinni zadawać się z dobrymi kobietami, gdyż zawsze będą chcieli sprawdzić, jak pojemne są granice ich dobra.

Największym kurestwem, jakie wyrządziłem A., było chwilowe związanie się z I., ówczesną prowadzącą kultowy program *Lalamido*. Była piękna, młoda, zmysłowa i chętna do przygód. Jak tylko zobaczyła, że do Trójmiasta przyjechałem kabrioletem, to szybko zaordynowała, że zdejmujemy dach i razem wrócimy do stolicy. Potem okazało się, że inne rzeczy też zdejmuję chętnie, nawet bez wychodzenia z domu oraz konieczności wracania gdziekolwiek. Na pierwszej randce nagrałem jej potajemnie nowy tekst na sekretarkę w domowym telefonie i z miną wędkarza patrzyłem, jak jej dotychczasowy

wybranek, niczym świeżo zabrany ziemi robał, wije się w próbach dodzwonienia się.

Nasz niezwykle chrzest seksualny odbył się w Domu Turysty Piast w Kazimierzu nad Wisłą. Jak się nad ranem okazało, moja oblubienica nie przyznała się, że jest w zaawansowanej fazie okresu, i nasze miłosne łożo oraz niektóre partie mojego organizmu wyglądały niczym czerwono-biała makatka zgrabnie wycięta z rzezi Charlesa Mansona przy Cielo Drive.

M. miała przydomek aktorki landrynkowej. Pisano o niej, że jest ozdobą wszelakich seriali i przy tym pozostanie. Ustawicznie i namolnie narzucany wizerunek kopciuszka, który z małej, zagubionej na mapie miejscowości zarządzanej przez ojca dyktatora wkroczył na salony sławy. To mógł być związek modelowy, bo wszystko wskazywało na to, że nie było falstartu żadnego z biorących w nim udziału zawodników. Od pierwszej rozmowy telefonicznej, którą, jak się potem okazało, odbywała w towarzystwie zawodowo zazdrosnego narzeczonego, czułem, że namiętność szturmuje już drzwi. Wyznała mi kiedyś, że jeszcze w czasach mojej kariery w programie *Halo!Gramy*, pasowała mnie na męża w towarzystwie koleżanek z drugiej B. Połączył nas Houellebecq i jego *Cząstki elementarne*. Ja tę książkę uważam za moją lekko kiczowatą alternatywną autobiografię, a ona była fanką tej wizji.

Po latach człowiek dopiero wie, że nic tak nie boli jak stracona głowa. A ja głowę straciłem. Był tylko jeden mały roztańczony problem. Jak śpiewa jeden z moich ulubionych tekściarzy, „Grabarz” Grabowski: „My się kiepsko dzieli przez trzy”.

Na początku randkowanie według kalendarza narzeczonego może uchodzić za radosną grę w chowanego, niestety wcześniej czy później nawet najbardziej zakochany narzeczony zrozumie, że ktoś robi z niego durnia. I nas ten scenariusz nie ominął. Jakiś przedsiębiorczy kelner z restauracji, w której odbywaliśmy nasze schadzki, zameldował o tym tak zwanym paparazzim. Panowie zjawili się licznie i niczym u-booty polujące na transport broni na Atlantyku ustrzelili naszą intymność. Wtedy też narodziła się zasada podstawowa romansowania z kobietą zajętą. Ten, co ją zajmuje, nie odpuszcza w sytuacji, gdy ktoś chce zająć jego miejsce. Zazdrosny partner, cytując klasyka, nie liczy godzin ni lat, by tylko nie pozostawiać swej oblubienicy bez nadzoru.

Nasza relacja stawała się coraz bardziej relacją z monitoringiem, więc siłą rzeczy straciła dynamikę. Niestety coraz intensywniej też kiełkowała mi w głowie natarczywa myśl, że M. ma taki właśnie autorski patent na emocje w związku. Związek drugi obok związku pierwszego, obfitujący we wszystko, co jest deficytowe w tym pierwszym (czyli w mojej historii – drugim). Jak ktoś się pogubił, to niech przeczyta to zdanie jeszcze raz. Jedni chadzają na siłownię, inni na jogę, a jeszcze inni flirtują. Szczególnie że życie aktora to życie w stałej delegacji, więc okazja jest. My z M. po miesiącach schadzek niczym cichociemni weszliśmy w tak zwany martwy sezon relacji. Ona nie potrafiła zostawić jego, on jej, a ja nie potrafiłem opuścić obojga. Pozostał po nas wywiad, którego udzieliła magazynowi *Twój Styl* pod moją wizerunkową kuratelą. Był tak sprytnie stuningowany, zarówno intelektualnie, jak i światopoglądowo, że od razu wszyscy się zorientowali, że nie jest jej autorstwa.

Piękne kobiety często żyją niepięknym życiem. Ale to już nie nasza wina. M. borykała się jeszcze z mistrzem piruetu kilka lat, niestety kiedy dojrzała do iluminacji, że kolega niespecjalnie rokuje na bezpieczną przyszłość, byliśmy już dla siebie zwykłymi znajomymi z niezwykłą przeszłością. Dziś już wiem, że była wówczas zawodową egoistką. Nawet jak dzwoniła do mnie z planu filmu, żeby zapytać, co u mnie, to natychmiast wpadała w monolog, że jej dzisiejsze sceny to ewidentnie wykonała tak, że już szykuje półkę na polskie Orły. No ale aktorki tak mają. Bez względu na to, jaki podpiszą kontrakt, w swoim mniemaniu zawsze grają rolę pierwszoplanową. Także w życiu. A jako że ja jestem mocno podobny, to uznałem, że związek ten nie jest podobny do niczego. Dziś jest świetną żoną, matką i co najważniejsze, przestała być landrynką.

K. pracowała w radiu o tej samej nazwie co radio, w którym pracowałem i ja, i ewidentnie nie była przewodniczącą klubu radykalnego celibatu. Wspominając tę historię, warto ponownie zaznaczyć, że moim zdaniem najbardziej dziwnym i niezrozumiałym ze wszystkich zbroczeń jest zachowanie wstrzemięźliwości, dlatego też cieszyło mnie spotkanie z osobą o podobnych poglądach.

Miała wyraźne atrybuty zewnętrzne, przez co stała się ulubionym tematem naszych porannych, radiowych fantazji. Jak mawiają harnasie: radość idzie z gór. I ona nam ją dawała.

Natura była dla niej hojniejsza niż coraz częściej i w coraz to liczniejszych przypadkach zastępujący ją chirurg plastyczny. Pomimo brutalnie porannej pory krew potrafi wędrować żywo i nie zawsze w te regiony, w które byśmy sobie tego życzyli. Jak to pisała kiedyś Joanna Chmielewska: „Szósta rano to jest godzina do niczego. Zbyt późna do udoju krów, zbyt wczesna do udoju architektów”. Jednak my walczyliśmy. Nasze studia oddzielała dźwiękoszczelna szyba, niestety nie potrafiła oddzielić naszych z Michałem Figurskim spojrzeń od jej rozległych walorów.

Kiedy podczas jednej z audycji trafiłem na artykuł, w którym podano, że wpatrywanie się w kobiece piersi radykalnie podnosi kondycję zdrowotną, uświadomiłem sobie, że oto zbliżam się nieuchronnie do nieśmiertelności. Nawet mając w pamięci słynną wędkarską maksymę, że z dużymi piersiami jest jak z rybą w wodzie – wydaje się wielka, dopóki jej nie złapiesz – nie rezygnowałem z zacumowania swych pikantnych wyobrażeń w porcie rzeczywistości.

I stało się. Nasze radiowe głosy połączyły się w jeden wspólny pozaradiowy jęk. Choć z tym wspólnym jękiem to bywa różnie.

Pamiętam pogawędkę w stosownym temacie z Magdą Boczarską:

– Jest taka teoria, że pesymista wierzy, że wszystkie kobiety udają orgazmy, a optymista wie to na pewno. To znaczy, że tak naprawdę my jesteśmy fatalnymi graczami, że trochę strzelamy do własnej bramki.

Magda:

– Istnieje coś takiego jak fantazja. I tego wam bardzo często brakuje.

– Mężczyznom? – dopytuję, żeby dokładnie wiedzieć, czyja to wina.

– Oczywiście.

– Pogadajmy o tym. Jakie najważniejsze błędy, jeżeli chodzi o brak fantazji, popełniają mężczyźni w łóżku?

– Dlaczego mężczyznom brakuje fantazji? Ja ci powiem, dlaczego. Dlatego, że u was orgazm przychodzi, ot tak, szast-prast, a jeżeli chodzi o kobietę, trzeba się nad tym trochę namęczyć. Ta weryfikacja nie następuje od razu. Jesteście dużo prostszy w obsłudze, w oprogramowaniu i też przez to zadajecie sobie mniej trudu.

Na co ja, tradycyjnie celnie:

– Co ty mówisz? To ja mam chyba stary software w takim razie.

K. była kobietą świadomą tego, czego powinien być świadomy jej partner. Podobno pracowała kiedyś w węgierskim audiotele czy sekstelefonie, co zapewniło jej stosowne szlify. Jej lapidarne esemesy: „Muszę cię mieć dzisiaj”, ewidentnie dogadywały się z moją teorią prywatnej własności i posiadania. Była jak erotyczny sklep samoobsługowy. Sama dokonywała zakupów stosownych urzędzeń oraz substancji niezbędnych do udanego spółkowania. To, co dla wielu facetów staje się skrywanym katalogiem mrocznej perwery, ona oferowała w menu podstawowym.

Jak powszechnie wiadomo, bywają okresy w życiu mężczyzny, że składa się on głównie z członka, a ona miała świetne wyczucie męskiego kalendarza. Sama o sobie mawiała, że od dziecka była zepsutą dziewczynką, a później jej się jeszcze pogorszyło.

Nasze randki miały precyzyjny, choć niezbyt skomplikowany porządek dnia. Ona wchodziła do mnie, a ja wchodziłem w nią. Z czasem staraliśmy się jeszcze bardziej zagęścić tę sekwencję zdarzeń. Niestety po wielu miesiącach erotycznego triatlonu: „wejście, penetracja, wyjście”, wpadł jej do głowy najgorszy ze złych pomysłów. Chciała się u mnie zadowić. A główna zasada udanego romansu brzmi: „Co romans złączył, to łatwo spierdolić”.

Erotycznie rozbudzone kobiety to ideał. Erotycznie rozbudzone kobiety z potrzebą rodziny to koszmar.

Drogie panie, wyzbądźcie się tego! Choć to chyba pragnienie nierealne. To tak, jakbym bezdomnego poprosił, żeby spróbował choć przez chwilę nie być bezdomnym.

Pamiętam jej wysoce patetyczne orędzie na zakończenie wspólnego eldorado. „Ja wniosłam do tej relacji seks i nadzieję, ty – tylko seks. Zabieram więc swój”. I zabrała. Nie było nawet ostatniego, pożegnalnego last minet. Szkoda. Potem urodziła dziecko i wyszła za mąż albo to samo w innej kolejności. Poszła na dno mojej pamięci obciążona cudownymi wspomnieniami tego, co jej ciążyło na co dzień.

Wróćę jeszcze na chwilę do Y., jednej z bohaterek *Big Brothera*. Nie wiem, w której minucie znajomości wyznała mi, że z nieudawaną przyjemnością zasiadłaby mi na twarzy. Moim zdaniem była to pierwsza tercja, czyli interwał prosty o wielkości trzech lub czterech półtonów. Czyli raczej szybko.

Poznaliśmy się podczas finałów trzeciego *Idola*. Przyprowadził ją Robert Leszczyński. Pasowany wtedy własnoręcznie, czy czego on tam do pasowania używał, na stanowisko zwane Barbie Killer. Y. miała się tak do Barbie jak Hogwart do agencji towarzyskiej. Miała kolorowe plany wobec mnie oraz nie mniej kolorowy deseń w postaci tatuażu na plecach, zaczynający się około szyi, a kończący tam, gdzie jak pokazał los, przyszło mi spędzić w przyszłości sporo czasu.

Była dziewczyną zepsutą w najlepszym tego słowa znaczeniu. Wiedziała, po co natura dała nam dość wyrafinowane organizmy, i nie interesowało jej tylko, jak to pisał poeta, by nurzać w sobie swe różnice. Ona sama chciała być różnicą.

Była moim najgorętszym zimnym doświadczeniem. Szklane wibratory w całej gamie rozmiarów trzymała w lodówce.

Co zabawne, czasami odbywałem weekendowe sekswypady z opcją *all inclusive* do Gdańska, gdzie mieszkała. Czasem w samolocie wpadałem na Donalda Tuska, który był świeżo po przegranych wyborach prezydenckich, więc nastroje mieliśmy dość odmienne. On mi opowiadał, jak w polityce dostał w dupę, a ja myślami byłem tylko przy tej dupie.

Wcześniej miała narzeczonego kulturystę o urodzie żółwia wykluwającego się z jajka. Co ciekawe, potrafiła stworzyć bardzo zgrany duet z człowiekiem, który na siłowni podnosił co najwyżej tylko swoją złotą kartę.

Dziś ma cudowną córkę i tę samą erotyczną temperaturę. I tylko czasami żałuję, że ta pierwsza nie jest moja. Z tego, co mi ostatnio powiedziała, to ona też żałuje.

T. była trochę modelką, trochę hostessą, trochę gospodynią, a ponadto była bardzo profesjonalnie zepsuta. W najdoskonalszym tego słowa zepsuciu. Takie dziewczyny są realne tylko w najbardziej brawurowych snach zatwardziałych onanistów. Kobieta seksualny koncert życzeń. Twoje dzikie perwersje to jej pakiet startowy. Kiedy przyprowadziła do mojego mieszkania I., która też

pełniła biblijną posługę wodzianki, wiedziałem już, że jest prawdziwą chrześcijanką miłującą miłowanie. W trójcy – zgodnie z pierwowzorem.

Dla wielu mężczyzn gra wstępna jest jak czekanie, aż olej w silniku się rozgrzeje, by móc z pełnym impetem nacisnąć pedał gazu. Ta dziewczyna żyła z tak dociśniętym pedałem. Jak sama mówiła: „Odpinam wrotki i jestem w rakiecie”.

Czasami dzwoniła do mnie w nocy, wtedy rakietą ewidentnie włączała taryfę nocną. W międzyczasie T miewała jakichś kawalerów, przeważnie celebrytów wagi lekkośredniej, ale zawsze w przerwie pomiędzy wybrankami chętnie umawialiśmy się na prywatne derby.

Czasem jak jej podpasował jakiś zgrabnie umięśniony gość mojego programu, to bez specjalnej dyplomacji pisała mu swój numer telefonu na torbie z prezentem. Ci, którzy potrafili rozszyfrować tę seksualną enigmę, wiedzieli, że w erotycznym rajku istnieją miejscówki z dopiskiem *first class*.

W szczytowym momencie znajomości potrafiliśmy zjechać do mnie do chaty z dwóch różnych imprez, wymienić stosowne uwagi o jakości stołecznego życia nocnego, odbyć skrupulatny stosunek i powrócić do stęsknionego towarzystwa. Ideał.

Ktoś kiedyś policzył, że przeciętna kobieta wypowiada ponad siedem tysięcy słów dziennie. T. potrafiła powiedzieć dwa albo trzy i już, bracie, wiedziałeś, że reszta to tylko puste gadanie. Najzwyklejszy domowy chomik potrafi podobno kopulować 75 razy na dobę. Ona musiała mieć chomika w drzewie genealogicznym. O jej fenomenie najlepiej świadczy fakt, że podczas rytualnego spotkania na koniec sezonu mojego programu, okraszonego już nowymi wodziankami, zawsze wspominaliśmy T.

Słyszałem kiedyś o mieszkance Brazylii, która chcąc otruć swego chłopaka, wysmarowała sobie waginę trucizną. Jest w tym coś diabelskiego i ostatecznego. Tak też wspominam T.

O. jest aktorką niepokorną. Gra w tym, co chce, a jak nie chce, to czasem też zagra i to zawsze dobrze. Zadzwoiłem do niej, tak jak w przypadku M., aby ją zaprosić do programu. Właśnie na ekrany eleganckim sportowym truchtem wbiegał jej najnowszy film o eterycznym tytule *Skrzydlate świnie*, więc była

okazja, aby odbyć mały kanapowy sparing.

Już pierwsza rozmowa przebiegała dość intymnie, by nie powiedzieć: zaczepnie. Potem dała mi swój drugi numer, więc intymnie i zaczepnie było także pod drugim numerem. Od pierwszego spotkania nadała mi przydomek „kwiaciarka”, bo jej zdaniem taki miałem poziom umiejętności romantycznej konwersacji z kobietą.

Pierwszy raz spotkaliśmy się na urodzinach Krzysia Materny. Do dziś pamiętam jego toast na cześć gości. Przy stole zasiadali Piotrek Adamczyk, Maciek Stuhr, Madzia Cielecka czy Ania Czartoryska, a gospodarz wypala: „Czujcie się wybrani. Zaprosiłem tylko tych, których toleruję”.

Piękne.

Była łobuzem i freakiem. Poharatana rodzina, mama we Włoszech, tata w rozsypce i siostra we Wrocławiu. O. co prawda twierdzi, że to, co było między nami, to był romans, ja jednak nazwałbym to relacją. Nuklearną relacją. Teoretycy seksualni twierdzą, że wielu mężczyzn nie kocha się z kobietami, tymi rzeczywistymi. Oni kochają się z własnym wyobrażeniem tychże kobiet. Z ich fantazją na ich temat. Czyli poniekąd uprawiają masturbację, tyle że z udziałem widza.

O. nie dawała na takie praktyki miejsca. Kiedyś powiedziała mi, że w seksie i teatrze nie uznaje granic. Do dziś żałuję, że nie było mi dane doświadczyć tego w pełnej krasie. A jako że teatr jest miejscem, gdzie aktorzy kolejno wchodzą i znikają, to i nasza jednoaktówka szybko się skończyła. Szkoda.

Pamiętam, jak u mnie uczyła się roli do jakiegoś niskobudżetowego filmu o Smoleńsku. Tak, tak, drogi czytelniku, moje mieszkanie było miejscem prób do pierwszego filmu o tej strasznej tragedii. O. miała grać stewardesę, która po kłótni z partnerem jedzie na lotnisko i wsiada do feralnego tupolewa. W rolę partnera wcielałem się ja. Parę chwil przed stworzeniem szlagieru *Po trupach do celu*. Jestem błaznem losu.

A co do filmu, to nawet nie wiem, czy go ukończyli.

W kategorii życiowej wariacji na własny temat była to dla mnie partnerka idealna. Miała niesamowity dar zarażania i wymieniania się energią. Myślę, że to ją ratuje w filmach Patryka Vegi, którego jest jedną z ulubionych aktorek. Nie wypada komiksowo, tylko prawdziwie. Czuć jej wkurw.

Ale z tą energią to też bywa różnie.

Edyta Górniak u mnie na sofie:

– Czy ty wierzysz w ogóle w miłość, że ty możesz być z jakimś mężczyzną dłużej niż parę lat? Tak szczerze, bo mi się wydaje, że ty jesteś typem zjadaczki energii i potem nagle patrzysz i mówisz: „Wypierdalać”.

Edzia:

– Bardzo się mylisz.

– Ale wiesz, że robisz takie wrażenie.

Ona konsekwentnie:

– Ja dokarmiam wszystkich facetów swoją energią. Jest dokładnie odwrotnie.

No, ale stosując język filmu *Skrzydlate świnię*, który nas z O. niejako połączył: nie awansowaliśmy do kolejnej rundy.

Miło wspominać kilka randek z Anią W. Siostrą dziwnie skoligaconą z Malwiną W., która nosi podobne, choć lekko zmodyfikowane nazwisko. Ania była swego czasu gościem mego programu, co tu ukrywać, opromienionym lokalną sławą kilku namiętnych romansów.

Najciekawiej na tym programie i naszym spotkaniu wyszedł Borys Szyca, aktor nietuzinkowy. Otóż Ania spoczywa swym wypracowanym ciałem na mej kanapie, a Borys z aktualną wybranką, niejaką Śróbką czy Śrutką, u siebie przed telewizorem. Mój gość opowiada o swym pełnokrwistym życiu zmysłowym, gdy nagle rzeczona Śróbka zagaduje swego oblubieńca: „Znasz ją?”. Szyca na to: „Skąd! Pierwszy raz ją widzę na oczy!”. Po chwili z odbiornika telewizyjnego w kolorze słyhać konwersację: „A jak wyglądał twój związek z Borysem Szycem?”. Ania na to: „To trwało zaledwie kilka tygodni. Był wieloraki seksualnie, ale też zróżnicowany pod względem awantur”. Koniec ujęcia. Śróbka wyrzuca Szycę z jego własnego domu.

Ania była miłą dziewczyną. Rozgadana i silnie broniąca swych nie zawsze silnych racji. Ale miało to swój urok. Trochę było mi jej żal, gdy razem z Piotrkim Kędzierskim w ramach audycji *Książę i żebrak* zadzwoniliśmy do niej z propozycją poprowadzenia wieczoru autorskiego Charlesa Bukowskiego. Zgodziła się bez wahania.

Mieliśmy iść wspólnie na urodziny do Gosi Sochy, ale nie poszliśmy. Co

w konsekwencji zaowocowało tym, że już nigdzie nie poszliśmy razem.

Fajną dziewczyną, z totalnie wypaczonym przez media wizerunkiem, była Natalia, pełniąca funkcję wokalistki, aktorki oraz córki taty milionera. To ostatnie chyba wychodziło jej wtedy w życiu najlepiej. Tradycyjnie poznaliśmy się u mnie w programie, co wywołało wielką ciekawość wzajemną i nie mniejszego kalibru namiętność. Była drobna i ciepła, a gdy chciała, zmieniała się w drapieżnika. A lubiła chcieć. Lubiła też chcieć być gwiazdą, przez co zafundowała sobie nieszablony falstart wielkiej trasy koncertowej. Natalia nagrała płytę, tata płytę długogrającą wydał i zasponsorował triumfalny tour z dużą ilością sprzętu oraz współpracowników, za to z ani jednym przebojem. Publiczność na trasie niestety dorównywała liczebnie ilości przebojów. Było mi jej bardzo żal. I jakoś tak pograżeni w tym żalu zaczęliśmy żyć oddzielnie.

Kasia też miała pecha do mediów, bo jej pojawienie się i objawienie szybko przez płaskich nienawistników zostało odebrane jako przejaw złego prowadzenia się. Była spontanicznym i dzikim dzieciakiem, który do Warszawy przywiózł maniery rodem z innych zagranicznych miast, co w prostej linii powinno prowadzić do kulturowej tragedii. Kasia lubiła ludzi i nie wstydziła się tego okazywać. Przede mną związana była z aktorem Kubą W., więc z racji dosyć podobnych inicjałów znaczna część plotkarskich analfabetów nie wiedziała, kto jest z kim.

Największym afrodyzjakiem w postaci Kasi był głos. Coś pomiędzy Amandą Lear a Borysem Godunowem. Taki głos w sytuacji namiętnej powoduje biseksualne bodźce, więc tym samym do zmysłowej orgii dołącza Dawid Bowie. Była pogubiona w wybraniu wektora swojej kariery. Trochę aktorka, modelka, prezenterka, piosenkarka. I to słowo „trochę” wisiało na tych wyborami jak listopadowy cień. Prezenterkę z głowy wybił jej niezawodny w takich sytuacjach Krzysztof Ibisz. Nina Terentiew sparowała ich na jakimś polsatowskim koncercie w ramach szlifowania umiejętności Kasi. Wyglądała wtedy jak rzymska bogini Angerona. Wszystkim niezorientowanym przypomnę, że była to bogini milczenia. Także lęku i cierpienia. Krzysztof złotousty tak się napędził w swych kwiecistych peroracjach, że swą partnerkę dopuścił do głosu dopiero w garderobie, tym samym kończąc jej plany na stosowne zajęcie estradowe.

Kasia była też moją fanką, czego najlepszym przejawem było czytanie na głos

w towarzystwie mojej rubryki w „Polityce”. Najczęściej w trakcie ekstatycznych, jak to się młodzieżowo mówi, melanży. Podziwiałem ją za to, że ona podziwiała mnie. Jak tu nie kochać kogoś takiego. Poza wszystkim miała świetne pośladki.

Była też Julia, lat 19.

Właściwie to poprzednie zdanie broni się samo, więc nie trzeba dopisywać więcej. Była subtelna i płochliwa. Jesteśmy w dobrej relacji do dziś.

Już wówczas zaobserwowałem u siebie pewne syndromy mężczyzny, o których opowiadał mi swego czasu Jan Englert. Historia była literacko obfita, więc opowiem ją swymi słowami. Jest taki czas w życiu każdego faceta, że stosując metaforę lotniczą, nadlatuje na cel, zrzuca bomby i odlatuje spełniony. Potem jest czas, gdy dokładniej wybiera cele, a i ładunek zrzuca bardziej dokładnie. Aż wreszcie przychodzi moment, że nadlatuje na cel, krąży, krąży, przygląda się i zastanawia, czy w ogóle wceluje, a następnie odlatuje. Otóż ja chciałem tym samym powiedzieć, że jeszcze tak nie mam. Z tym krążeniem i krążeniem...

Na randce byłem też z cudownym dzieciakiem niecudownego serialu *Klan*. Kiedy słynna Bożenka zawitała do mnie na pogawędkę, to tak nam się jakoś miło gawędziło, a potem dość zmysłowo żegnało, że postanowiliśmy zainicjować skontaktowanie bez kamer. Nie krążyło jeszcze nad nią fatum *femme fatale*, ale można było dostrzec już wtedy pączkujące uroki tego określenia.

Kobieta ukryta w dziecku z całą świadomością kobiecości. Jej kobiecość przyspieszała w trzy sekundy do setki. Ktoś, kto się tak rusza, musi mieć świadomość konsekwencji tego ruszania. Zabawny jest fakt, że po pierwszej części słynnej sagi *Jurassic Park* w USA zarzucano Spielbergowi, że naprawdę zabił dinozaura, domagając się stosownej kary do tego zbrodniczego czynu. Po pierwszej randce z Agnieszką trudno było mi uwierzyć, że w serialu gra dziecko...

O wszystkich dziewczynach, miłościach, związkach czy flirtach nawiązanych analogowo nie jestem w stanie tu napisać, bo to nie o tym ma być ten literacki wybryk.

Zostawię sobie jeszcze coś na drugą część, czy jak to się obecnie mówi – drugi

sezon.

O możliwościach Facebooka poinformował mnie mój koleżka mniejszy, Czesław Mozil. Bez mrugnięcia okiem stwierdził, że FB jest jak agencja towarzyska albo nawet lepiej.

Nie będę ukrywał, że ze sporym niepokojem, ale też znacznym cyfrowym opóźnieniem postanowiłem tę technikę zweryfikować.

I tak w mojej sypialni zagościła Magdalena. Pochodziła z miejscowości o komiksowej nazwie Wąbrzeźno, co wcale nie ujmowało jej temperamentu. Magdalena była dziewczyną, która uważała, że jedynym grzechem jest głupota. Wszystko pozostałe jest dozwolone. Nie będę ukrywał, że dość szybko dostosowałem mój świat wartości do jej świata. Była grzesznicą doby mediów społecznościowych. Jak się później okazało, sztywne łączy łączyło ją nie tylko ze mną, lecz także z najpopularniejszym ówczesnie prezenterem Polsatu. Ale jak powszechnie wiadomo, zepsute kobiety mają skłonność do sięgania po gwiazdy z różnych galaktyk.

Co zabawne, po wielu miesiącach Jarek Janiszewski, lider kultowej Bielizny, wyznał mi, że podczas trójmiejskiej libacji kolega Nergal wyznał mu, że, cytując: „donasza dziewczyny po Wojewódzkim”. Z góry przepraszam za to niezgrabne sformułowanie. Niedawno przeczytałem, że lider The Rolling Stones, Mick Jagger, miał w swoim życiu blisko cztery tysiące kobiet, a i nie tylko. Od Carli Bruni po Madonnę. I jak tu być dumnym z tego, co osiągnąłem, szukając prawdziwej miłości?

Ania Przybylska była dla mnie ważna. Kiedyś podczas jakiejś kameralnej libacji wyznała: „Gdybyśmy oboje byli mężczyznami, to bylibyśmy najlepszymi kumplami. Ale niestety los tak chciał, że tylko ja jestem mężczyzną”. I wybuchła śmiechem.

Była mistrzynią transformacji. Na przykład potrafiliśmy jednego dnia balować do rana na Open'erze w oparach substancji znanych nam tylko z opracowań Timothy'ego Leary'ego, a następnego dnia Ania jechała do czeskiej Pragi na plan nowej reklamy L'Orealu i wyglądała, jakby od tygodnia leżakowała

w żłobku.

Poznaliśmy się dawno temu, kiedy z moim współnikiem produkowaliśmy dla TVP2 teleturniej filmowy o wyrafinowanej nazwie *Pół żartem, pół serial*. Odcinki o serialu *Złotopolscy* prowadziła właśnie Ania z przesympatycznym Pawłem Wawrzeckim. Jak sama wyznała, był to dla niej trudny czas, bo świrowała gwiazdę. W trakcie nagrania potrafiła zażyczyć sobie nagle ciasteczka o nazwie wuzetka. Gdy my sobie tylko znanym sposobem ściągaliśmy żądany wyrób cukierniczy na plan, Ania z wydętymi policzkami grymasiła: „A jednak nie. To powinna być napoleonka”. A ubrana była w mundur policjantki i wywracała przy tym oczami, trudno więc było znaleźć na planie kogoś, kto tego dnia nie chciał być ciastkarzem.

Uwodziła wszystkich tym, że nie uwodziła zupełnie nikogo. Przez lata wygrywała plebiscyty na najbardziej seksowną Polkę właśnie tym, że jej seksapil był mimochodem. Budził u niej spore zdziwienie. Kochałem jej dystans do siebie. Potrafiła ni stąd, ni zowąd wyciągnąć przed siebie ręce i wyznać: „Zobacz, jak ja wyglądam. To są dłonie kretyнки”. Jej partner, Jarek Bieniuk, zwykł konstatować: „Najseksowniejsza Polka? Szkoda, że cię nie widzieli rano!”. A ja miałem kiedyś przyjemność zobaczenia Ani rano i był to widok spektakularny.

Przyjechałem do Sopotu na castingi do programu *Mam talent*. A jako że mam wyjątkowy talent do przyjemnego spędzania czasu, umówiliśmy się z Anią i małżonką jednego z braci Żewłakowów, niestety nie pomnę którego, na małe wieczorne konwersacje przy płynach. Postanowiliśmy zacumować w barku hotelu Haffner, żeby swą wieczorną obecnością w mieście nie niepokoić narodu. Jako że mniej niż jeden procent światowych zasobów wody to woda pitna, postanowiliśmy wypić coś bardziej dostępnego. Ania piła szampana, ja zubrówkę z sokiem jabłkowym, a żona nie wiadomo którego Żewłakowa piła to, co zwykle pija w takich okolicznościach. Głupio mi, bo nie pamiętam nawet imienia żony nie wiadomo którego Żewłakowa, ale generalnie to nie jest w życiu najważniejsze. Niektórzy wiedzą, że Myszka Miki pierwotnie miała mieć na imię Mortimer i to podobno małżonka Walta Disneya namówiła go na zmianę tego niezrozumiałego imienia. Z żoną nie wiadomo którego Żewłakowa mogło być przecież podobnie. Około godziny trzeciej nad ranem front naszej walki z jasnością umysłu się załamał. Ania drzemała na barze, małżonka nie

wiadomo kogo tłumaczyła mi, że partnerki piłkarzy najpierw robią sobie cycki, potem robią sobie twarze, a następnie dochodzą do oczywistego wniosku, że nie mają już nic więcej do roboty. Przytłoczony tym nadmiarem wiedzy spakowałem dziewczyny do taksówki, odesłałem do domów, a siebie odesłałem do pokoju w mrużące objęcia minibaru. O godzinie piątej trzydzięci obudziło mnie walenie do hotelowych drzwi. Ktoś nacierał na nie impetem rozjuszonego zawodnika MMA. Okazało się, że koleżanka Przybylska pojechała do chaty, zdrzemnęła się i po osiągnięciu wystarczającego poziomu odprężenia zapragnęła dalej okupować Sopot.

Oto prawdziwy kumpel. Jak tylko znajdzie chwilę wolnego czasu, zawsze spędzi go z tobą. Pamiętam szok barmanów ze SPATIF-u, jak wpadliśmy tam na przysłowiową poranną lufę. Zamówiliśmy po kieliszku, a oni kazali wziąć jeszcze dwa, bo inaczej wpierdol. Tak ją tam lubili.

Była fenomenem międzynarodowym.

Wybraliśmy się w 2004 roku do Chicago na premierę filmu, w którym grała z Kasią Bujakiewicz i (uwaga, fanfary) Michałem Figurskim. Z tym, że one grały, a on występował. Dzieło nazywało się *RH+*, zostało sfinansowane przez naszego kumpla dewelopera z Chicago i było cudownym fiaskiem totalnym. Fabuła była prosta. Grupa młodzieży z Polski lubi balować razem, gdy nagle ktoś im po kolei wycina narządy wewnętrzne. Całość okraszył swoim talentem scenariuszowym i reżyserskim Jarek Żamojda.

Film miał być z gatunku thriller, a jedyny strach, jaki nas wówczas opanował, to taki, że ten reżyser jeszcze może coś nakręcić. Dialogi były tak grubo ciosane, jakby je osobiście wystrugał ubogi stolarz Dżepetto wkurwiony na Pinokia. Wygłaszane przez Michała kwestie brzmiały jak pierwsze zajęcia kolesia po wylewie u logopedy. Koszmar.

Kiedy po bankiecie wydanym na cześć dzieła wróciliśmy gromadnie do hotelu, okazało się, że Ania zgubiła kartę-klucz do pokoju, w którym mieszkała ze swoją mamą. Wtedy wpadliśmy z Michałem na pomysł, żeby włamać się do hotelowej restauracji, pobrać z niej stosowne narzędzia i sforsować odporne drzwi. A co, niech się dzieje.

Ja lubię ryzyko. Na przykład jak jadę windą, to nie trzymam się poręczy. Niech będzie ostro i do krwi.

Po zabraniu kilku noży udaliśmy się na miejsce przestępstwa. Niestety, majstrując przy magnetycznym zamku w luksusowym hotelu w centrum Chicago, nie przewidzieliśmy jednego. Że spanikowana tajemniczymi szmerami lady Przybylska starsza, w obawie przed zbiorowym gwałtem dokonany przez Afroamerykanów, zadzwoni po wsparcie. I tak też się stało. Mama Ani wezwała gliny. Twarde, bezkompromisowe amerykańskie gliny. No i się zaczęło. Oni wypadli z windy z gnatami w rękach. Bujakiewicz w śmiech, Figur z nożem do krojenia steków, ja z nożem do patroszenia ryb i Ania śpiąca boso pod gaśnicą. Oto ambasadorowie kraju na obczyźnie.

Gdyby nie wdzięk i fenomen Ani, którą wyrwały ze śpiączki nasze międzynarodowe pogawędki, pewnie skończylibyśmy w pierdłu. A tak ona, przy użyciu najczęściej słów *listen*, *mister* i *Poland*, wytłumaczyła amerykańskim służbistom słowiańską zaradność. Gdy jeszcze w odryglowanych od wewnątrz drzwiach stała Krystyna Przybylska we fryzurze, której nie powstydziliby się żadne tornado świata, Amerykanie się poddali. To było ich drugie Pearl Harbour. Zbombardowaliśmy ich naszą fantazją.

Kochała Jarka. Była z niego dumna, lubiła się chwalić tym, co aktualnie czyta lub co powiedział. Zawsze go lubiłem. Mógłby wystąpić w ciemno jako striptizer na każdym wieczorze panieńskim i zgarnąłby kupę szmalu. Polubiłem go w momencie, gdy zaprosiłem ich kiedyś razem do mojego programu, a on odpowiedział mi z tym swoim uśmiechem Alaina Delona: „Nie chce mi się”. Szczerość, jakiej w show-biznesie nie uświadczysz.

Kiedyś zapytałem ją, dlaczego tak wcześnie wyszła za mąż i to za swego pierwszego oblubieńca. No bo na zdrowy rozum, jak bardzo trzeba nienawidzić życia, żeby brać ślub w wieku dwudziestu lat. Szukałam ojca, wyznała. Ciągle go szukam. Nie chcę cię martwić, ale też odgrywasz trochę taką rolę. Nie zmartwiła mnie.

Była kumplem na dobre i na złe. Grała w różnych szmirach, bo czuła, że też musi utrzymywać stale powiększającą się rodzinę. Miała w sobie męskie poczucie kumpelskiej lojalności. Gdybym do niej zadzwonił i zaproponował wspólne zakopanie czyjegoś ciała, wiem, że bez słowa ubrałaby najbardziej eleganckie kalosze, żeby denat czuł się doceniony. Była wariatką.

Wracaliśmy kiedyś wspólnie samolotem z Gdańska do Warszawy. My

z Agnieszką i Małgosią skacowani po castingach do *Mam talent*, Małgosia skacowana rozkminianem, co właściwie mówiła uczestnikom, Prokop skacowany naszymi wspólnymi nocnymi biesiadami, Hołownia skacowany koniecznością przebywania z grzesznikami, Ania skacowana castingami na matkę roku, wtedy jeszcze dwójki dzieci. Mnie przypadła rola opiekunki, wtedy kilkuletniej Oliwii, która pomimo nikczemnej metryki była już żywym okazem przebudzenia mocy damskiej linii Przybylskich.

To jest taki rodzaj dziecka, na które chętnie dasz 500 złotych, a nawet i 1000, byle tylko posiedziało w miejscu, milcząc. Lot do stolicy trwa może 40 minut, z kołowaniem i lądowaniem. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jaką trzeba wykazywać bezbrzeżną wyobraźnię, aby zająć czymś dziecko.

Minutówka naszego lotu wyglądała mniej więcej tak. Wytłumaczenie, że trzeba zapiąć pasy, pomimo że są niemodne i w żaden sposób kolorystycznie oraz fasonem nie pasują do jej dzisiejszej kreacji – 3 minuty. Poinformowanie, że otworzenie drzwi wejściowych w trakcie lotu grozi nagłym i dosyć chaotycznym wyjściem na zewnątrz współpasażerów podróży – 3 minuty. Wymyślona przeze mnie zabawa – kto szybciej wypełni torebkę na wymiociny, plując do niej płynem produkowanym przez gruczoły ślinowe – 3 minuty. Druzgoczące zwycięstwo pierworodnej Bieniuka.

Skądinąd to ciekawe zagadnienie. Dlaczego natura wyposażyla gówniarzy w tak sakramencki zapas śliny.

Kolejna zabawa. Kto się szybciej wysmaruje na twarzy czekoladą z batonika prince polo – 2 minuty. Zwycięstwo Oliwii przez nokaut techniczny. Lanie leżącemu w przejściu sześciolletniemu potworowi wody mineralnej prosto do ust z wysokości półtora metra – 2 minuty. Cała mamusia. Próba poinformowania siedzących przed nami Bogu ducha winnych podróżnych, że chyba zaraz się rozbijemy, bo coś iskrzy w silniku – 3 minuty. Plus dodatkowa premia – 2 minuty na krótką awanturę.

Podsumujmy. Wychodzi razem niespełna 20 długich minut, a ty, bracie, czujesz, jak skronie szroni ci elegancka siwizna, a wrzody na zaniedbanym żołądku wołają: nadchodzimy! Nagle eureka. Wpadam na pomysł ostatniej szansy, wołam podejrzliwie patrzącą na nas stewardessę i pytam, czy można pokazać dziecku luk bagażowy, informując, że odmowa grozi katastrofą

w ruchu powietrznym, zwaną lapidarnie zamachem. Miła pani postawiona w sytuacji: żyć albo nie żyć za chwilę, starając się zachować normy komunikacyjne obowiązujące podczas wymiany myśli z sześciolatką, wyznała, że na końcu samolotu jest coś takiego, co może nam pokazać. „Tu jest dziób samolotu, taki pyszczek – zagajała lotnie do Oliwii. – A tu mamy koniec samolotu, taki kuperek. I tu trzymamy swoje rzeczy” – stwierdziła z powagą konesera – 3 minuty.

Pokazywanie źle spakowanych walizek jest dla dziecka tak frapujące jak zmuszenie go do patrzenia na schnącą ścianę. Wychodzimy i wracamy do reszty uczestników wspólnej awiacji. Nagle chluba rodu Przybylskich-Bieniuków na cały głos wypala: „Mamo, mamo, byliśmy z Kubą w dupie!”. Baczne i dosyć brutalnie oceniające mnie spojrzenia wszystkich – 30 minut.

Siedzieliśmy u mnie w mieszkaniu na Powiślu, tradycyjnie dywagując o tym, że w kobiecej głowie znaleźć można wszystko na raz: zespół pieśni i tańca, kalafiora, wielki zderzacz hadronów czy województwo warmińskie, gdy Ani zachciało się palić. A była głęboka noc, jak to pisał Tadeusz Gajcy, „korał światła się zniżał”. Zadzwoiłem więc do zaprzyjaźnionej korporacji taxi, czy mogą kupić i podrzucić fajki oraz przy okazji coś do picia z bujnego świata alkoholi. Mogli. Schodzę na dół i dyskretnie odbieram towar. Wszystko dyskretnie i ostrożnie. (Nie lubiliśmy spotykać się na mieście, bo w dobie tych organizmów żywiących się odchodami innych organizmów, zwanych potocznie paparazzi, nie chcieliśmy narażać się na niepotrzebne plotki). Nie przewidziałem, że w tym samym czasie moi sąsiedzi też, jak to się literacko zagaja, nie zasypiają gruszek w popiele. Moja sąsiadka, wdowa po popularnym aktorze, właśnie zamawiała Hani Banaszak w ten sam sposób butelki prosecco, a znany futbolista Legii Warszawa Jakub K. inne trunki wyskokowe. Gdy po dwóch godzinach równie dyskretnie zamówiłem jej taksówkę, ona zeszła na dół i po chwili rozradowana dzwoni do mnie: „Słuchaj, ten pan twierdzi, że tutaj gdzieś musi być niezła melina, bo cały szoł-biznes tu ciągnie”. Okazało się, że trafiła na tego samego misia, który dostarczał wszystkim stosowne zapasy. Jak widać, umiejętność zacierania śladów to u nas była chujnia z grzybnią, jak mawiał klasyk kina.

Wiele nas łączyło. Stosunek do małżeństwa przede wszystkim. „Macie przejebane z nami – mawiała. – Wy, faceci, w małżeństwie macie dwa wyjścia.

Albo macie rację, albo jesteście szczęśliwi. Pamiętaj, Kubik – bo tak mnie nazywała – wszystkie kobiety są takie same, tylko inaczej się malują”. Ja lubiłem w niej łobuza. Ona, jak sama wyznała, lubiła mój mózg. Rozmowa z nią u mnie w programie zawsze stawiała na bacność nie tylko moje szare komórki. Na przykład taka konwersacja:

– Ale powiedz szczerze. Wyobraź sobie: jest zagłada, budzisz się, jesteś wolna i przypadkowo ja bym przyjechał i się oświadczył. Wyszłabyś za mnie?

Ania na to, patrząc bezczelnie w kamerę:

– Jarku, to jest apel do ciebie. Otóż... tak.

Ja zaliczam pomrocność jasną oraz zatrzymanie dopływu krwi do mózgu i wydobywam z siebie pełne niewiary:

– Naprawdę?

Ona na to:

– Zakochana jestem w tobie absolutnie. Przede wszystkim w twoim mózgu. Kawalek niego co wieczór tak possać.

Mnie stać tylko na lakoniczne:

– Oj tak.

A ona dalej:

– Ja bym go sobie moczyła w szklaneczce.

Trzeba było mieć charakter, żeby powiedzieć coś takiego publicznie.

Opinię publiczną zresztą postawiła na bacność, wyznając w moim programie:

– Kobiece narządy na starość ciemnieją. Trochę jak szynka parmeńska.

Nie znam nikogo, kto mógłby ją zastąpić...

Chociaż z tą fascynacją męskim intelektem to teorie są różne.

Do Magdy Cieleckiej zagadnąłem pewnego razu:

– Tak szczerze, powiedz mi, jak koleżanka młodsza trochę starszemu koledze. Czy naprawdę kręci was u nas intelekt, umysł, wrażliwość czy tylko łupu-cupu?

Ona na to:

– A co? Tak, kobiety mówią, że tylko intelekt? Kłamią.

Byliśmy umówieni na kolejną wizytę Ani w moim programie. Nagranie miało być rano, chyba około dziewiątej rano. Niestety, poprzedniego dnia wieczorem jakiś portal, gazeta czy inny nadawca treści nieistotnych organizował wręczanie swoich nagród. Pamiętam dokładnie, że miało to miejsce w klubie Lokomotywa, który miał wewnętrzną urodę fabryki Karola Borowieckiego nazajutrz po pożarze. Tak gdzieś koło godziny ósmej rano odbieram telefon od nieznanego numeru.

Dzwonił Jarek Bieniuk, który zdanie: „Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?” – wymawiał z lekkością Andrzeja Gołoty, moim zdaniem dobre dziesięć minut. Kiedy wyznałem, że nie śpię, czego najlepszym dowodem jest trwająca rozmowa, powiedział zdecydowane: „Aha” – i połączył mnie z Anią. Ta z kolei wyznała, że bardzo mnie przeprasza, ale wczoraj poszli na jakąś imprezę i zanim zdążyła się zorientować, to jest jutro, czyli dziś, a oni ciągle tam są, czego prostą konsekwencją jest to, że nie pojawi się u mnie na kanapie.

Zawsze uważałem, że żyjemy w kraju, w którym dekalog uczy nas wyłącznie tego, że „nie” z czasownikami pisze się osobno. A dekalog szoł-biznesu uzupełnił mi się w tym momencie o kolejną ważną rubrykę. Że nie ma w nim takiej przyjaźni, która czasami nie dawałaby dupy. Ale zawsze już będzie mi brakować jej swawolnej lekkości, w której przemycała swoje małe komunikaty.

Zagaduję ją u siebie:

– A ty masz taki zwrot, którego używasz dla określenia TEJ części męskiego ciała?

Anka:

– Siusiak. Ja mam syna trzyletniego.

– Ale masz też męża trzydziestoletniego – zauważam rezolutnie.

– Ale jak się rodzą dzieci, to mąż idzie na drugi plan – słyszę.

– To co mu mówisz? „Siusiak do rezerwy”? Nie chce mi się wierzyć, że mówisz „siusiak” w sytuacji intymnej.

– Ja, Kuba, już tak dawno nie mówiłam. Jak on w tej Łodzi, a ja w tej Gdyni, to co ja mogę mówić?

Wtedy ja, jak przystało na bystrzaka, zwracam się do Michała Piróga, który był drugim gościem:

– Pirogu, pomożemy? Ty bierzesz piłkarza, ja biorę żonę.

Gdy odeszła, w poniedziałkowej audycji w Rock Radiu, którą prowadziłem z Kędziorem, zadedykowałem jej utwór grupy Breakout zatytułowany *Co się stało kwiatom*. Prosty, surowy, sugestywny i niewytarty banałem. I daję wam uroczyste słowo honoru, że po raz pierwszy w życiu, po raz pierwszy w radiu załamał mi się głos... Byłem bezradny wobec miliona słów, które kłębiły mi się w głowie. Bezsensu nie da się opowiedzieć. Powiedziałem tylko:

– Dziś początek trochę nietypowy... – i skończyła mi się odwaga. Skończyła niekończąca się nigdy radiowa brawura. Uratował mnie Piotr, mówiąc:

– Właściwie nie wiadomo, co powiedzieć.

Kurwa, ależ te proste słowa doskonale opisują mój stan, kiedy o niej myślę.

Nie wiadomo, co powiedzieć...

U Renulki najbardziej uwiodły mnie oczy. A oczy to jest poważna sprawa. A precyzyjnie rzecz nazywając, nawet dwie sprawy.

Taką twórczą wymianę w tym temacie odbyłem z Andrzejem Grabowskim, gdy po raz drugi odwiedził mój program.

– Wyrobiłeś się medialnie. Jak byłeś ostatnio, to tak tylko siedziałeś i miałeś oczy, jak to pisał Szwejk, jak kot srający w sieczkę.

Andrzej na to:

– To nieprawda. Ja mam oczy, jak mówił Andrzej Sikorowski, jak dwie dziury wyszczone w śniegu. A to jest różnica.

Tyle o oczach. A Renulka prosiła, aby o niej nie pisać.

Generalnie jak patrzę po latach na swoje życie towarzysko-uczuciowe, to ma ono postać bajkową. Ale to bajka jest nietypowa. Taka z cyklu: „Za wieloma, górami, za wieloma morzami żył sobie książę. Piękny i ciągle młody. Pewnego dnia poznał piękną królewnę. Ale nic z tego nie wyszło, bo okazał się tępym chujem”.

Koniec bajki.

Idol w moim życiu pojawił się przypadkiem. Pamiętam, że zadzwonił do mnie Paweł Józwicki, ówczesny szef artystyczny firmy BMG, i zapytał, czy nie reprezentowałbym jego kompanii w jakimś konkursie wokalnym w Polsce. Bał się, że typowa, grillująca w bezzębnym uśmiechu i szeleszczącym dresie widowia tej stacji, dopuszczona do głosowania esemesami, wytypuje coś niewypowiedzianie koszmarnego.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że pomimo mojej obecności jego fatalne proroctwo stanie się ciałem. A dokładnie ciałem i głosem Ali Janosz. Na szczęście jej kariera kosztowała mnie zaledwie kilka tygodni estetycznego kaca. Ją samą blisko dziesięć lat poidolowego odwyku.

Godny zapamiętania był casting, chyba pierwszy w moim życiu, kiedy to szef firmy FremantleMedia Piotr Radzymiński oraz reżyser *Idola* Wojciech Iwański przyglądali mi się łakomie z minami Cezarego Mończyka.

– Garbaty nie jest – dumnie zdiagnozował pierwszy.

– I nie sepleni – z wyraźnym znawstwem tematu dodał drugi.

I tak dostałem tę robotę. Robotę, w której decyzja tych dwóch facetów była dla mojego dotychczasowego życia tym, czym dla wybuchowych braci Dżohara i Tamerlana maraton w Bostonie. Ona zmieniła wszystko. Akurat uwikłany byłem w kilkuletni związek z Izą, w którym podstawową zasadą było to, że zdradzamy się obydwoje, z tym że ja zdradzałem dyskretniej.

Żeby uściślić, tę zasadę tak naprawdę poznaliśmy dopiero na mecie wspólnego bytowania, pomimo że kielkujące rogi swędziały mnie już kilkakrotnie.

To była filmowa znajomość. Bo jak wiemy, filmy bywają różne. Poznaliśmy się w samolocie czarterowym lecącym do Afryki. Moja ówczesna partnerka spokojnie drzemała na moim ramieniu, a we mnie drzemały demoniczne myśli, jak tu uwieść stewardesę.

Mając w głowie słynną myśl Sztaudyngera: „Pomimo najszybszych samolotów do wczoraj nie ma już powrotu”, przystąpiłem do dzieła podniebego podrywu.

Najpierw wyrywałem na spragnionego. Następnie na głodnego. Potem na czytelnika prasy międzynarodowej i na brak papieru w kiblu. Na koniec na

specja od awiacji, aerodynamiki, dynamiki i materiałoznawstwa. Byłem protoplastą eksperta przyszłej komisji smoleńskiej. A potem twardo wylądowaliśmy.

Co zabawne, melodramatyczne, a więc jednak filmowe, po kilku tygodniach spotkałem ją pod swoim blokiem na Ursynowie.

Mieszkała kilka pięter nad nami i właśnie rozstawała się z chłopakiem. Jak się później okazało, z tym rozstawaniem się to trochę przesadziła, bo mój sąsiad z góry nic o tym nie wiedział, dopóki się nie dowiedział. Ale to był jej *modus operandi*, którego i ja miałem po wielu miesiącach stać się głównym bohaterem.

To był taki typ kobiety, którą można zdefiniować fragmentem piłkarskiego monologu Dariusza Szpakowskiego: „Żurawski...! Szuka Jelenia...!”.

Tym razem trafiło na mnie.

Pochodziła z miejscowości pod Poznaniem, która słynie z tego, że nazywa się tak jak produkowany w niej keczup. W okolicach Poznania, jak i w samym mieście ludzie słyną z tego, że oszczędzają na wszystkim, więc jej rodzice postanowili oszczędzić na miłości do dzieci.

Jej brat od dzieciństwa marzył o PlayStation, a kiedy jej nie dostał w prezencie na piętnaste urodziny, postanowił zapaść się w schizofrenię. I tak też uczynił. Został pierwszym znanym w regionie schizofrenikiem z wyboru, z syndromem PSX.

Ona sama była typowym produktem deficytu miłości.

Tata miał dość swobodny zwyczaj opuszczania domu na kilka tygodni, by po baletowych szaleństwach erotycznego tournée, powróciwszy na swoje miejsce, usłyszeć od współmałżonki miażdżące konsekwencją pytanie: „Zjesz z nami obiad?”.

A Izabela te liberalne normy przyjęła. Była jak miłosny złodziejasek. Nie wierzyła, że zasługuje na miłość, więc po kieszeniach miała poupychane mniejsze lub większe flirciki, które trzymała na wypadek jakiejś katastrofy. A że życie z taką kreaturą jak ja było katastrofą, więc dziewczynisko opychało się nimi jak cukierkami.

Gdy napisałem jej fikcyjne *curriculum vitae*, gdzie wkomponowałem ją w co drugie moje medialne przedsięwzięcie, dostała pracę przy produkcji drugiej edycji rodzinnego programu *Big Brother*, w którego estetyce i standardzie

musiała poczuć się jak w domu. No i rozwinęła skrzydła przez produkcję, redakcję, zatrzymując się dopiero na prezenterze *Faktów*. Ja po cichu i z wrodzoną kulturą dyskrecji miłosnej korporacji odwzajemniłem się jej równoległym romansiem z dwiema prezenterkami MTV.

Jedną wciągnąłem nawet później do współprowadzenia *Idola*, bo zawsze uważałem, że miłość nie karmi się tylko słowami Pana Jezusa, a czasem warto załatwić parę Judaszowych srebrników. Była najszybszą dziewczyną, jaką znałem. Po prostu zapytała: „Nie masz ochoty na dobry seks?“, tak jakby pytała: „Mam w domu twaróg, chcesz trochę?”.

Lubiła lateks i przesadę. Potrafiliśmy tak intensywnie nadużyć marihuany w zabytkowym volvo Staszka S., że policjantom, którzy zatrzymali nas do kontroli na placu Trzech Krzyży, wręczyliśmy owoce, budyń i grę *Call of Duty*, a nasz kierowca przedstawił się jako Disco Panda. Funkcjonariusze wystękali tylko wstydliwie „proszę jechać”, za nic mając naszą hojność.

Drugą tak wciągnęło MTV, że dziś jest tej firmy światową szycią, drzącą gdzieś w jakimś szklanym gabinecie, by jej dorastająca córka nigdy nie dowiedziała się o grzesznych wyskokach mamusi.

Co zabawne, jeden z kochanków mojej swawolnej narzeczonej został potem mężem mojej ówczesnej kochanki, ojcem jej dziecka, a dziś jest moim kumplem z TVN, zimnym okiem fachowca obmacującym *Dzień dobry TVN*. Spokojnie można było z tej łamigłówki zmajstrować przynajmniej jeden odcinek kultowego serialu *Dynastia*.

To był chyba pierwszy raz, gdy dojrzałem do bolesnej konstatacji, że to miasto jest dla mnie zbyt ciasne.

Potem, gdy się okazało, że z Żebrowskim mieliśmy dwie te same dziewczyny, na szczęście w różnym czasie, wiedziałem już, że to prawda.

Czasami w tym zwierzęcym amoku człowiek zatęsknił za kimś przyzwoitym, wstrzemięźliwym, o organach trudnych do zdobycia jak Bursztynowa Komnata. Ale wystarczyło, że nastał wieczór i głupie myśli wracały do koszar.

Idol, jak już pisałem, był przypadkiem. Był nie tyle efektem brawurowego planu, ile rozpaczliwą walką o nieprześlągnięcie polsatowskim standardem „Kiepskiej” telewizji.

Przed wyjazdem na pierwszy casting do Poznania zrobiłem u siebie na Rozbrat imprezę co najmniej w takiej tonacji, jakbym udawał się z kolejnym kontyngentem do Afganistanu. O poziomie rozwibrowania towarzystwa najlepiej świadczy fakt, że nad ranem samotnie udałem się na odpoczynek, prosząc tych, co zdecydowali się u mnie zameldować na dłużej, aby nie urządzili mi tu powtórki z Kartaginy.

Rankiem w kuchni znalazłem gumową głowę Godzilli, szpadę Zorro, dobrą setkę nierozpakowanych prezerwatyw oraz na ekranie telewizora plazmowego gigantyczny odcisk równie niemałych pośladków. Widać było gołym okiem, że spontaniczność wkroczyła na party zaraz po zapadnięciu w letarg gospodarza.

Imprezy, jak wiemy, dzielimy na te, które się pamięta, i na te, z których się pamięta, że się nic nie pamięta. I ta ewidentnie była tą drugą. W poczuciu bezradności spakowałem te dary i udałem się na nagranie pierwszego odcinka *Idola*.

Zawsze lubiłem media. Czerwona lampka studia radiowego czy kamery telewizyjnej automatycznie powoduje, że w mojej głowie endorfiny wraz z najbardziej chorymi myślami zaczynają imprezę. Ktoś kiedyś powiedział o Jacku Nicholsonie, że jest zdecydowanie bardziej swobodny przed kamerą niż w życiu prywatnym. Bardzo wszystkim przepraszam, ale miałem podobnie.

Największym sukcesem idola była Ania. I to nie Ania Dąbrowska, która nagrała jedną piosenkę w trzydziestu sześciu wersjach na czterech już chyba płytach. Ale Ania Mucha. Symbol wszystkiego, co najlepsze w tym, co pomiędzy mężczyzną a kobietą może być piękne. W roli mężczyzny oczywiście ja.

Znałem ją z filmu *Młode wilki 1/2* i trudno było jej nie zapamiętać. Znałem ją z filmu *Panna Nikt*, który był tak straszny, że trudno było o nim zapomnieć. Znam ją ze wspólnego życia i nigdy nie zapomnę. Dziś jest matką, żoną i partnerką, ale dla mnie będzie zawsze dwudziestoczteroletnim dzieciakiem w skarpetkach w łosie i zakiecie ukradzionym Margaret Thatcher.

Poznaliśmy się na balkonie Szkoły Muzycznej w Gdańsku, czyli co tu ukrywać, Romeo i Julia na swą pełną westchnień i romantycznego bełkotu scenę na balkonie musieli czekać dużo dłużej. My od niespodziewanej schadzki zaczęliśmy nasz wspólny szekspirowski los.

Ania rozmawiała akurat z Jackiem Cyganem, jednym z najlepszych ludzi na

świecie, jakich w ogóle znam. To znaczy jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem, ale w końcu nic tak mężczyźni nie zbliża jak nocne Polaków debaty, kiedy poznają zakamarki polskiej duszy, zakamarki sztuki toastów i nie mniej trudne poranne zakamarki polskiej mowy. Jak zwykł mawiać Andrzej Sapkowski: „Rzyga się tak samo po Est Est jak po jabcoku”. I to mi Jacek płynnie tłumaczył.

Jacek to postać z innego wymiaru poezji. Z wykształcenia cybernetyk, z powołania szlachcic ducha i ciała. Jego największym grzechem wobec świata jest to, że nie ma dzieci. Tacy ludzie jak on powinni być objęci specjalnym programem Poezja+ i powinni płodzić piękno i zamyślenie. Tomek Stańko powiedział mi kiedyś, że uznaje tylko jedną władzę. Władzę piękna i dobra. Myślę, że Mister Gitan może się pod tym podpisać.

Pamiętam jego słowa po pierwszych nagraniach *Idola*. Podszedł do mnie i oznajmił: „Kariery to my raczej nie zrobimy. Ale możemy zrobić furorę”.

Trochę miał rację.

Uwielbiam jego poczucie humoru. Takie na przykład. Rozmawia ze sobą dwóch tekściarzy o koledze, także autorze tekstów, który wyskoczył przez okno. „Miał jakiś motyw?” – zagaja pierwszy. „Nie – odpowiada drugi. – Spadał w milczeniu”.

Jacek mnie zna i dobrze wyczuwa. Zawsze pisze mi nieporównywalne z nikim, niezwykle dedykacje w swoich książkach. On pierwszy nazwał mój świat, cytując Agnieszkę Osiecką: „Do pełni szczęścia, brakuje mi tylko nieszczęśliwej miłości”.

Zaryzykuję mocne wyznanie. Gdyby świat składał się wyłącznie z Cyganów, nie byłoby wojen. A wszędzie byłyby winiarnie.

Z tego, co wspólnie z Anią pamiętamy, moje wtargnięcie na balkon było jednocześnie ze zniknięciem Jacka z ich wspólnej konwersacji. To było jedno z tych magicznych zdarzeń w moim życiu, w którym czułem, że pijany los zawiadowca wprowadza na mój tor poważny skład.

Podobno mężczyźni wystarczy zaledwie 8,2 sekundy, żeby zakochać się w kobiecie. Tego dnia szedłem na rekord życia.

Ania była zaprzeczeniem wszystkiego, co było w kobietach tamtego czasu. I co najważniejsze, była chyba pierwszą osobą, która nie przyjęła pracy w *Idolu*.

Później chwalił się tym dość zachłannie Tymon Tymański, ale on lubi się chwalić szczególnie tym, czego nie zrobił, bo to, co zrobił, już mało kogo obchodzi.

Jej kandydaturę zgłosił chyba Maciek Rock, mieli wtedy wspólne zdjęcia próbne, jednak Ania stwierdziła, że program jest hałaśliwy, miałki i nie dla niej. Co najzabawniejsze, to była prawda. I o niej, i o tym programie.

Była miła, taktowna, kulturalna, rezolutna, grała u Wajdy i Spielberga, na deser zagrała u Lubaszenki i stanęła przed dylematem wypalonej młodzieżowej gwiazdy, która zagrała u wszystkich. Co dalej zrobić z własnym życiem, do końca którego zostało jeszcze tyle, tyle czasu.

Była wtedy związana z przystojnym młodym biznesmenem Tomkiem, by wkrótce zamienić go na nieprzystojnego życiowego anarchistę o żydowskim imieniu.

Od czasu spotkania z nią zaczął się w moim życiu niepokojący, ale głównie innych, etap zainteresowania coraz młodszymi partnerkami. Z Markiem Kondratem, którego traktuję trochę jak ojca chrzestnego, dyskutowaliśmy na ten temat:

- My mamy dziewczyny w podobnym wieku, znaczy, ty masz żonę.
- Ja wiem, to dosyć niespodziewane, ale to nie jest absolutnie żaden powód do zmartwienia, że komuś się to wydaje niestosowne. Ta niestosowność, że tak powiem, w takim wydaniu jest owocem nadmiernego zainteresowania życiem innych ludzi, ja bym tak powiedział.
- Ale żyjemy w czasach porno-medialności – błyskotliwie zauważam.
- No, coś takiego, ale ja myślę, że jeżeli mamy szczęśliwe życie, to jest to powód do radości przede wszystkim, a wszystkim tym, którzy mają inne zdanie na ten temat, sugeruję, żeby się zajęli własnym życiem, bo być może ono jest jeszcze coś warte.

Największym atutem Ani okazało się to, że była zdecydowanie dojrzała ode mnie. Pomimo znaczącej różnicy wieku, dochodzącej do pół wieku. Wychowywana samotnie przez świetną matkę, stała się małą kobietą, nie mając o tym pojęcia. Szybko zapadliśmy sobie w serca, szybko zamieszkaliśmy razem i szybko wyjechaliśmy na wspólne święta i sylwestra do Tajlandii, gdzie Muszka

wcinała zapiekane muchy, grillowane karaluchy i szarańczę na parze. Świerszczy jeść nie miała serca, bo kochała muzykę.

Kocham te sposoby, w jaki kobiety wprowadzają się do mężczyzn, nie zawsze informując o tym głównego lokatora. Nazywam to aksamitną kolonizacją. Kolonizacja, jak powszechnie wiadomo, bywa samorzutna, kierowana, a także planowana. Najpierw pojawia się szczoteczka do zębów. Potem dezodorant. W następnym rzucie kolonizator zostawia majteczki i inne bielizniane imponderabilia. Tam coś rzuci, tu coś podrzuci i już jest. Mieszka i okupuje. Uwielbiam to.

Pomimo nikczemnego wieku stała na zawodowym rozdrożu. Prowadziła programy kulturalne w TVP, gdzie wkładano na nią dziwne ciuchy i kazano mówić dziwne rzeczy. Była na to za mądra. Dostała audycję w Radiostacji, gdzie rozmawiała ze słuchaczami, a to było radio takie, gdzie słuchacze chcieli słuchać, a nie rozmawiać. Ciekawy, ale i trudny czas.

Co najzabawniejsze, w ogóle nie myślała o aktorstwie.

Zaproponowałem jej, że zadzwonię do Ilony Łepkowskiej, która pisała wówczas nabierającą rozpędu sagę *M jak miłość*, z pytaniem, czy może znalazłaby coś dla Ani. Tak dla rozpędu i chwilowego zajęcia.

Zgodziła się. Nigdy nie przypuszczałem, że z takim potencjałem wsiąknie w to na zawsze. Moja wina.

Byliśmy małą, piekielnie ciepłą rodziną. Dwuosobową rodziną znajdującą ubaw w ganiu się wokół kuchni niczym osobniki z mózgowym mankamentem. Chcąc rodzinę wesole powiększyć, zafundowaliśmy sobie kota, któremu nadałem łaskawie imię Zmarek. Geneza była prosta. Przywieźliśmy go z Marek. Pokochał nas od razu, ale miłością inną. Defekował w nocy tylko na moją część łóżka, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że w jego kocim łbie zajmuję znakomite drugie miejsce na podium ważności.

Przeżyliśmy czas nadzwyczajny. Przemierzyliśmy razem jeepem Afrykę i mini cooperem najbardziej zapadłe winnice Włoch. Naszego sąsiada Tomasza Stańkę poznała, wychodząc nago na balkon w momencie, gdy on ćwiczył frazy na swoim. W 2004 roku wydał kanoniczny album *Suspended Night*. Myślę, że ta chwila odbiła się na drapieżnym liryzmie tej niezwykłej płyty.

Gdy się rozstawaliśmy, Ania wyruszyła w podróż po Azji, a następnie

wyjechała do Nowego Jorku na studia aktorskie u Lee Strasberga. Pewnie dlatego czasami się różnimy w ocenie długości naszego związku.

Kiedy po powrocie z USA była gościem w moim programie, zaśpiewała przy akompaniamencie Igora na fortepianie utwór *Cry Me a River*, przepiękną balladę napisaną przez Arthura Hamiltona w 1953 roku. Jeśli ktoś nie pamięta tego utworu, chętnie przypomnę.

„Teraz mówisz, że jesteś samotny, przepłakałeś długą noc, cóż, możesz wypłakać mi rzekę łez, ja wypłakałam rzekę po tobie, prawie doprowadziłeś mnie do szaleństwa...”.

W pewnym momencie głos jej się załamał i popłynęły łzy. Pękło mi serce.

Dziś mogę napisać jej najszczęśliwsze słowa.

Byłaś moim najpiękniejszym dopełnieniem.

Ale wróćmy do tego, co było wcześniej.

Mnie wówczas w życiu asystowała K., uosobienie kobiecości z rozkładówek eleganckich magazynów, gdzie kobiety elegancko się pozbawia odzieży. K. była jak CNN. Jej życie to był katalog egzotycznych uciech dla najwybredniejszych smakoszy.

Kiedyś, podczas lotu na transatlantyckiej trasie, przeczytałem dość zagadkową instrukcję mówiącą o tym, że jeśli podczas lotu ktoś umiera, to jego ciało przenoszone jest na puste miejsce w pierwszej klasie.

A ona tak miała i to bez zgonu. Była kobietą luksusową, w której kochali się nawet moi kumple geje. Ci bardziej hetero, kiedy im ją przedstawiałem, wydawali odgłosy zbliżone do wirowania pralki. Jakieś urywane słowa, pokręcone zdania i rozdarte sensy. Bez względu na wieśniacki tuning tego zdania mogę stwierdzić z całą stanowczością: była chyba pierwszą seksbombą w moim życiu.

Jeździła mercedesem tak dużym, że mógłbym w nim urządzić kręgielnię. Miała burzę blond loków i czarny pas w kamasutrze. Zakochałem się w niej, kiedy w akcie dezaprobaty dla manier swego wkrótce już byłego partnera wypisała mu obcasem swe imię na masce lśniącej jak czoło Mike'a Tysona carrery 4S. Była przy tym dumna i wyniosła. To taki typ kobiety, która

wolontariuszom, którzy zaczepiliby ją na ulicy, informując, że prowadzą akcję dokarmiania małych dzieci, odpowiedziałyby: „Dziękuję, nie jestem głodna”.

K. potrafiła się bawić, a ja potrafiłem dotrzymać jej kroku.

Imprezy z nią zwykle powodowały, że człowiek budził się na tak zwanego Jezusa, czyli po trzech dniach. Można się jeszcze budzić na proboszcza – z trójką dzieci w łóżku. Ale tę rozrywkę zostawiłem sobie na później, kiedy w moim programie nastąpiła epoka tak zwanych wodzianek, dziewczyn, które gościom przynosiły wodę, a niektóre mnie przynosiły trochę więcej.

Naszym ulubionym zajęciem, skoro już jesteśmy przy kroku, było zaszywanie się w toalecie podczas przerw reklamowych programu *Idol* i odbywanie tam szybkich sesji godnych świeżych kochanków.

Kiedyś Franciszek Starowieyski powiedział mi, że jedzenie to seks dla starszych ludzi.

My wpieprzaliśmy się nawzajem, bez względu na metrykę. Wtedy była dla mnie wzorcem kobiecości. Nieujarzmionej i bezkresnej. Do dziś nie pojmuję, jak taka kobieta mogła związać się z takim facetem jak ja.

Ale wracając do *Idola*, który był przypadkowym przypadkiem. Ania odmówiła pracy przy tym formacie, ale załapała się w tym jakże obszernym castingu na partnerkę mojego życia.

Nic nie zwiastowało aż takiej zadymy. To nie o Ani. Teraz będzie o *Idolu*.

Przyjechaliśmy do Poznania, do jakiegoś marnego hotelu. Nikt specjalnie nie celebrował naszego nadejścia, nie czekał z fanfarami, nie prowadził kołczingu, co jutro robimy i dlatego to jest ważne. Z pozostałymi jurorami poznaliśmy się kilka dni wcześniej w siedzibie firmy Fremantle, przy ulicy Wołodziejowskiego, zwanej przez nas później leśniczówką. Ostatni remont został tam przeprowadzony prawdopodobnie tuż przed wypadkami grudniowymi w 1970 roku, a aranżer przestrzeni musiał mieć leśną obsesję. Wszystko bowiem było wybite lakierowanym drewnem w kolorze ciepłego jasnego brązu o temperaturze porannego pawia miłośnika budyniu.

Wtedy to poznałem Jacka Cygana i Elę Zapendowską. Ze świętej, choć mocno rozrywkowej pamięci Robertem Leszczyńskim byliśmy kumplami już od lat.

Jacek miał być specem od interpretacji, zrozumienia tekstu i wrażeń artystycznych, Elunia w okularach przypominających soczewki aparatury kina IMAX od brutalnej laryngologii, trafiania w dźwięk i ogarniania tematu tonacji, Leszczu od charyzmy, a ja od ogólnych szans w szoł-biznesie.

W swych nieprzeniknionych umysłach producenci zakładali, że Robert to będzie ten zły z branżowego Mordoru, pani Ela o wdzięku przeciętnej strzelaniny w amerykańskiej szkole dossier się do aorty uczestników, przegryzając ją na śniadanie, a my z Jackiem odprawimy kulturalną elegię, czyli utwór liryczny o treści poważnej, nad resztkami. No wyszło, jak wyszło.

Idol dał mi dwójkę niezwykłych przyjaciół. Elunię Zapendowską i Jacka Cygana. Doświadczeni, mądrzy, wyluzowani i lubiący wypić. Ale lubiący wypić inaczej niż inni lubiący wypić.

Z Borysem Szycem miałem kiedyś taką rozmowę w programie:

– Nie pijesz?

Borys:

– Piję dużo wody ostatnio.

– Jeszcze raz przypomnę pytanie. Czy pan mnie słyszy? – podkreślam konieczność konkretnej psychodramy.

– Zawsze jak do ciebie przyjdę, to ty mnie o picie pytasz.

Ja na to:

– Bo pamiętam parę naszych spotkań. Kilka może. Dokładnie jedno. Kiedy nie piliśmy.

– Na Wilczej się spotkaliśmy. Ty byłeś przesłuchiwany i ja. Za pobicie.

Uwielbiam go. Jego talent aktorski ma tylko jednego rywala. Borysa skłonność do autodestrukcji.

Dla mnie rolę Albercika w *Symetrii* już zapisał się w historii polskiego kina, a postacią Silnego w *Wojnie polsko-ruskiej* spowodował, że wielu aktorów na jego tle wypada dramaturgicznie jak panowie, co to przyszli wycenić panele podłogowe.

Z Elunią często wracaliśmy z castingów moim samochodem. Nikt mnie w życiu nigdy tak nie stawiał do pionu, nie tracąc poziomu, tak przyjaźnie nie recenzował jak ona. To były nasze nadgodziny u terapeutów, w których rolę wcielaliśmy się z ogromnym zaangażowaniem. Do dziś pamiętam jej piękne zdanie: „Żaden mężczyzna nie jest zainteresowany kobietą taką, jaka ona jest, ale taką, jaką ją sobie wyobraża”.

Jezu, jak bardzo ona miała rację. Dziękuję Ci, Elu.

Tę radę już zresztą wpisałem w ten tekst i swoje życie.

Kilka dni przed pierwszym castingiem spotkałem się z dwoma facetami, którzy moim zdaniem obok Izy Klain najbardziej wpłynęli na gangrenowaty obraz tego formatu w naszym kraju. Reżyser Bo Martin i montażysta Marek Lamprecht.

Nikt wtedy nie odmieniał przez wszystkie przypadki (tak się zwykle mówi, chociaż prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, ile jest przypadków i czy odmienianie przez wszystkie ma sens) magicznego nazwiska amerykańskiego turbobuca Simona Cowella, z którego, zdaniem wielu ekspertów od mediów, zerznąłem swoją medialną postać i do którego miałem być nadmiernie podobny. To ostatnie to osąd Roberta Kozyry, mojego ulubionego człowieka całkowicie niepodobnego do nikogo, w związku z czym cywilizacja jest spokojniejsza w swym rozwoju.

W kultowej w tamtych czasach knajpie Szpilka na placu Trzech Krzyży moich dwóch towarzyszy przyszłej zbrodni, poinformowało mnie, że jurorzy mogą wszystko, a najlepszym dowodem jest to, że brytyjski juror Peter Waterman

w geście akustycznej rozpaczy włożył okulary do szklanki. Nie wiedziałem, czy dobrze słyszę.

– Włożył okulary do szklanki? – pytam. – Rozumiem, że okulary uczestnika?

– Nie – słyszę.

No żeż kurwa mać, myślę. Pewnie były to okulary członka rodziny uczestnika, matki, ojca, brata lub siostry mającej rodzeństwo z innego ojca lub matki, ewentualnie babci dogorywającej na stalowym wózku inwalidzkim.

– Nie – słyszę. – Swoje okulary włożył. Rozumiesz? Ale czad.

Wtedy zrozumiałem, że o swój udział w tym widowisku zabawowym mogę być spokojny. Poprzeczka przez aliantów nie została postawiona zbyt wysoko.

Dobrze pamiętam pierwszego chłopaka, który otworzył casting i tym samym otworzył burzliwą historię tego programu w Polsce oraz w moim życiu. Przeciętny koleżka, ubrany w brązowy sweter w okularach pożyczonych od Krzysztofa Zanussiego. Idealny młodszy referent działu ewidencji. Niezauważalny i nieistotny. Zaśpiewał Presleya. Jak ktoś taki stara się dźwigać Elvisa, to boli. I trudno się do tego przyzwyczaić. Trzeba by sprzedać województwo warmińsko-mazurskie, żeby z kogoś takiego zrobić naprawdę kogoś. Niestety moi koledzy, trochę wiedzeni osobistą kulturą, a trochę standardowymi nawykami z telewizji, grzecznie, kulturalnie i merytorycznie próbowali wyperswadować dziwakowi karierę w show-biznesie. Ja, trochę skacowany, trochę znudzony i trochę czujący, że biorę udział w jakiejś dziwnej zgrywie, wypaliłem mu zdanie: „Wokalista Mötley Crüe powiedział kiedyś, że mógłby wypić wodę, w której kąpała się Sigourney Weaver. Jak myślisz, czy w Polsce jest ktoś, kto wypiłby z przyjemnością wodę, w której ty się kąpałeś?”. Zapadła cisza. Wcześniej w telewizji obowiązywała zasada, że gość, bez względu na umiejętności, był traktowany jak jeden z trzech tenorów, a recenzje były umiarkowane i przesycone duchem życzliwej kurtuazji. Tu nastąpiła zmiana.

Drugi kandydat reprezentował podobny poziom, nadmiernie dowodzący, że jest rzadkim w naturze skrzyżowaniem człowieka i kozy. Ja przypomniałem sobie to, co opowiadał mi całkiem niedawno mój kolega Jacek Borcuch, który wtedy akurat skończył film pod tytułem *Kallafjorr*. Jacek wysłał swoje bezdyskusyjnie epickie oraz mocno pionierskie dzieło do Krzysztofa Zanussiego, znanego znajomego papieża, Boga, wszystkich świętych oraz

własnej małżonki. Krzysztof-reżyser z obrazem się zapoznał i wyznał Borcuchowi centralnie i miłosiernie: „Pan mnie obrzygał swoim filmem”. Ja ten zacny oraz merytorycznie pojemny termin zapożyczyłem i poczęstowałem nim uczestnika *Idola*.

Ostatnim uczestnikiem pierwszego dnia pierwszego castingu był dwu metrowy łysol Jakub Rutnicki. Byliśmy już trochę zmęczeni, trochę zniechęceni narodową głuchotą i trochę spragnieni siebie gdzie indziej i przy innym stole. No i wchodzi Kuba. Mówi, że zaśpiewa chyba *Wehikuł czasu* zespołu Dżem. Jest sympatyczny, uśmiechnięty i pełen optymizmu. Siedział cały dzień i czekał na swoją życiową szansę. I ją dostał, i dalej się uśmiechał. Więc ja mu ten uśmiech chciałem z uśmiechniętej gęby zabrać i przypomniałem sobie, że mam w plecaku wielką gumową głowę Godzilli. I wyszedłem naprzeciw jego oczekiwaniom na życiową szansę. Powiedziałem, że jak zaśpiewa ten numer włożywszy głowę Godzilli, to po pierwsze, przepuścimy go dalej, a po drugie, przestanie się tak głupio cieszyć. Zaśpiewał.

Nie wiem jak, bo niewiele było słyhać. Ale chyba musiało być dobrze, bo dotarł do finału. Potem na szczęście przestał śpiewać i został politykiem PO. Jesteśmy kumplami do dziś.

Ale wtedy wyglądało to na telewizyjne pastwienie się w lateksowym kostiumie potwora.

I tak moje chamstwo stało się telewizyjną dyscypliną olimpijską.

Teraz będzie dygresja, bo książka bez dygresji jest nudna jak polski film, gdyż mało się dzieje na drugim planie.

Lubię i cenię Krzysztofa Zanussiego. Stwórca, tworząc Krzysztofa, miał pełną świadomość, że tworzy prototyp, który nigdy nie wejdzie do seryjnej produkcji. Cenię go za trzy rzeczy.

Film *Barwy ochronne*, w którym brawurowo cyniczny Zapasiewicz jest godnym aktorskim rywalem najinteligentniejszych ról Roberta De Niro. Film *Kontrakt*, który jest specyficzną komedią in vitro (oho, wymyśliłem nowy gatunek) o zgniliznie elit. Oraz epizod w arcydoskonałym *Amatorze* Krzysztofa Kieślowskiego, w którym Zanussi z wielką gracją oraz nieudawanym wdziękiem graniczącym z uwielbieniem wcielił się w postać Krzysztofa Zanussiego.

Zanussi chyba nie ma dzieci, choć jak powszechnie wiadomo, temat dzieci

jest w tym przypadku ryzykowny. Myślę, że jego potomkowi byłoby ciężko sprostać rygorystowemu moralno-estetycznemu swego ojca. Tomasz Terlikowski mógłby być synem takiego ojca, choć zapewne i on byłby łajany za zbytnią swawolę w myśleniu. Przeczytałem to zdanie i tak się przestraszyłem, że kończę ten wątek.

Ale zostając przy Krzysztofie. Był kiedyś gościem mego programu, w którym sparowałem go przemyślnie z jakimś Bolcem, bardzo sprawnie rozrywkowym hip-hopowcem z Krakowa. Znakiem rozpoznawczym pana Bolca, bo tak zwracał się do niego reżyser Zanussi, był brak zahamowań w używkach i brak jedyńki w uzębieniu. Poza tym miał wdzięk, odwagę i gadane. Zostawił po sobie mocno niedocenioną płytę o proroczym tytule *Żeby było miło* i jak przystało na zdolnego rapera, ktoś nie zrozumiał do końca przesłania jego albumu i Bolec został zamordowany. Niestety ostatecznie przez siebie samego. Widocznie bał się konkurencji z wyższej półki i konkurenta wyeliminował.

Otóż siedzimy sobie na eleganckich skórzanych kanapach mojego programu i reżyser Krzysztof zagaja do mnie:

– Panie Kubo. Wraz z mą małżonką Elżbietą Grocholską-Zanussi organizujemy takie obiady czwartkowe, na które zapraszamy intelektualistów, dostojników, bywa nawet ksiądz prymas...

I tu reżyser Krzysztof, który jak powszechnie wiadomo obchodził Boże Narodzenie na długo przed Chrystusem, nie zdążył wyfasować w moim kierunku zaproszenia, gdy nagle Bolec wypalił:

– O, to super. A gdzie mieszkasz?

Dystyngowany reżyser Krzysztof był do tego stopnia dystyngowany, że żaden z dystyngowanych mięśni jego twarzy nie drgnął i nie skierował swej mimiki w kierunku wyrażenia skrajnego obrzydzenia.

Taki to jest miły pan.

A Bolca szkoda.

Później, kiedy zacząłem jeździć po świecie, daleko od kraju, spotykałem różnych ludzi światowego filmu. I w Argentynie, i w Brazylii pytano mnie o reżysera, którego oni na własne potrzeby nazywali „Biała Marynarka”. „Co słysząc u «Białej Marynarki»? Żyje jeszcze?”. „No z takim apetytem na zabawę to on długo nie pociągnie” – złowieszczo prognozowali. Nie wiedziałem, kogo

mieli na myśli. „Biała Marynarka? – pytam. – Dlaczego tak go nazywacie?”. „A bo on zawsze ubrany cały na biało, totalnie nawalony tańczył na stołach”. Taki był rozrywkowy i wykwinny zarazem.

Okazało się, że myśleli o Krzysztofie. Ale może to tylko złe zagraniczne języki, zazdrosne o to, że Zanussi ma osobisty numer faksu Jezusa.

Wracamy do *Idola* po raz kolejny.

Mało kto wie, a prawdę mówiąc, mam świadomość, że wie o tym zaledwie kilka osób, że po pierwszym secie pierwszego odcinka *Idola* jeden z jego producentów, Cezary Brzozowski, dziś mój serdeczny kolega, wyraził potrzebę usunięcia mnie siłą z wizji, gdyż takiego poziomu zezwierzecenia nikt z widzów nie dźwignie. Podzielił się swymi obawami z resztą kolektywu, na szczęście nie znajdując stosownego zrozumienia dla swej jakże humanitarnej misji.

Moja ogólna refleksja odnośnie do takich programów jak *Idol* jest prosta, acz brutalna.

Tylko pierwsza edycja tak zacnego widowiska jest prawdziwa i czysta w intencjach.

Można kombinować, nazywać rzeczy inaczej, interpretować oraz reinterpretować to, co interpretowaliśmy wcześniej.

Jest taki termin fachowy, który nazywa się „pocałunek Posejдона”. Występuje on w momencie, kiedy delikwent spoczywa na tak zwanej desce ustępowej, oddaje rurom kanalizacyjnym, co im należne, i jego czcigodne pośladki ochlapie woda z kibla. Niby banalna przypadłość, ale nazwa szlachetna.

I tak było z *Idolem*. Kto nie rozumie, ręka do góry!

Pierwsze edycje takich programów są szczerze, spontaniczne i niewykalkulowane. Później wizja sławy zanęca tych, którzy po prostu chcą medialnie zaistnieć. Bez względu na umiejętności. Esencją takich widowisk są skrajności. Są ci zdolni i ci zdolni do wszystkiego.

Pierwsza edycja wymiotła z zakamarków miast i sołectw, domów kultury oraz oddziałów intensywnej opieki psychiatrycznej jednostki zdeterminowane w wokalne samorealizacji. Nie wiedzieli, dokąd idą i jakie będą tego konsekwencje.

Esencją *Idola*, który w swą „misję” miał wpisane poszukiwanie nowych gwiazd estrady, nie była wysoka rozrywka na poziomie tenora z Sosnowca, tylko wieczorna zabawa dla widza.

Pierwszym poziomem byliśmy my – pionierzy trolowania na długo, zanim ktoś wymyślił ten termin – a na drugim tak zwani kosmici, którzy wybrali się na swą pierwszą randkę z telewizją z powagą i natchnieniem sędziów Sądu Najwyższego.

Byliśmy pionierami telewizyjnego sado-maso, tworząc totalną kontrę dla programów typu *Szansa na sukces*, gdzie Wojtek Mann z gracją Isadory Duncan nawet totalnie akustycznie zamroczonych informował, że wszystko może się zdarzyć, gdy głowa pełna marzeń, jak śpiewała pani Lipnicka. My byliśmy rzeźnikami w *prime time*.

Jest taka teoria, że osobie potrzebującej nie daje się ryby, tylko wędkę, żeby sobie twórczo połowiła. My, odnosząc się do tej metafory, takiemu delikwentowi lepiliśmy buciki z betonu, dając jednocześnie stosowną wskazówkę co do głębokości akwenu.

Siłą *Idola* byli właśnie ci kosmici. Ale w tym okresie ich inwazja przybrała na sile.

Mówiąc krótko: obłąd zapukał drżącą ręką w gościnne drzwi Polsatu. Był to chyba pierwszy tego rodzaju program, który wysłał takim ludziom sygnał – zapraszamy. Oczywiście odebrany na ich dziwacznej astralnej częstotliwości. Ja lubię ludzi świadomych swego talentu, ale jeszcze bardziej nieświadomych swego talentu. Oba typy bywają zabawne.

Grzegorz Krychowiak rozmawiał ze mną na ten temat.

Ja zaczynam:

– Sam mówisz: Ronaldo to praca, Messi to talent. A ty?

Grzegorz:

– Przede wszystkim praca.

– No, a ile masz talentu?

– Ja uważam, że nie mam go wystarczająco, nawet żeby grać w Sevilli, uważam...

– *What the fuck are you talking about!* Po hiszpańsku powiedziałem! No, co ty

mówisz?

– Ja uważam, że to, gdzie jestem, zawdzięczam wyłącznie ciężkiej pracy.

Idol był formatem globalnym, który opanował telewizje w ponad stu krajach, od Armenii, przez Islandię, po Wietnam. I tym samym globalne było ocieplenie stosunków na dotychczas zablokowanej linii pierdolnięci–telewizja.

Przybyły hektary nowo narodzonych Michaelów Jacksonów, którym zwykle starczyło czasu tylko na liźnięcie pierwszego kroku tańca zwanego *moonwalk*, a resztę nadrabiali fryzurą z górnej półki fryzur dziwnych. Legiony pań, które poczuły zew bycia nową wokalistką święcącego wówczas może już nie tak wielkie triumfy zespołu Varius Manx, które nadały znanej piosence o ptaku zupełnie nowy rytm, a przy okazji sens, śpiewając: „Widzaaaaaamorla cień”. Pani, która wykonała inny szlagier tej komandy – *Księżycową piosenkę*, w tekście „Pościel jeszcze pachnie ogniem naszych ciaaaał” osiągnęła erotyczną brawurę pracownika składającego podanie o deputat węglowy.

Była pani z eleganckim, choć nieregularnym ombré na głowie, która postanowiła zatrwożyć nas nową interpretacją piosenki Edyty Geppert *Kocham cię życie*. I dotrzymała słowa. A dokładnie trzech. Bo tylko tyle zapamiętała z pierwowzoru. „Kocham cię życie”, zaczęła i dalszej treści szukała na dłoni, gdzie jakże sprytnie ukryła ciąg dalszy. Niestety ukryła go także przed sobą, bo nie dała rady doczytać, co też zdarzyło się dalej w tej pompatycznej pieśni.

Chłopiec o wizerunku samotnego borsuka umiłował nie wiedzieć czemu piosenki Jacka Stachurskiego, które niestety, pomimo licznych prób, nie zapalały nową miłością do roztańczonego jegomościa. Był sezonową ikoną tego programu. Fryzura na zaginionego czeskiego piłkarza, pełen umiaru wąsik, grzywka à la Jaga Hupało na 1000 lat przed narodzinami Jagi i o cztery numery za duży sweter produkcji tureckiej prząśniczki, pod którym swobodnie ukryć by można samobieżne działo piechoty. Jego wersja *Urodziłem się po to, żeby grać* ewidentnie zawierała co najmniej dwa kłamstwa. Na dodatek ruszał się, jakby zjadł chomika, który to przeżył i harcował sobie poza kołowrotkiem w jego gościnnym organizmie.

Gościu śpiewający szlagier *Turystyczna piosenka* o choreografii rażonego prądem z sieci średniego napięcia dziś pewnie byłby znanym influencerem

i sieciowym tuzem. Wtedy raczej większość widzów starała się mu w swoich głowach wypisać receptę na stosowne leki wyciszające.

Kultowe *Dary losu* wykonywane przez osobnika o twarzy cierpiącego chłopca, który ze swą cmentarną interpretacją tego dość optymistycznego utworu jeździł z castingu na casting, dziś miałyby miliony odtworzeń, a Ryszard Rynkowski proporcjonalnie tyle samo powodów do samobójstwa. Był fenomenem, bo za każdym wykonaniem obdzierał tę pieśń z radości, a energią miał zdecydowanie nieodnawialną. Więcej ikry miała moja babunia i to nawet dwa dni po kremacji.

Pamiętam, z jaką cierpliwością Jacek Cygan tłumaczył zabójcy swojej piosenki intencje autora (czyli swoje): „Ta piosenka ma wzbudzać w ludziach pozytywne emocje. Że jest coś naprawdę ważnego na tym świecie. A ty tak zaciemniasz ten utwór. Robi się tak smutno. Ponurością wieje ze wszystkich kątów”. Cierpliwie i z pełnym miłosierdziem wykladał delikwentowi jego defekty.

Wyobrażam sobie, jakby w komisji zasiadywał Rysio Peja i jakiś szukający wrażeń ostatecznych uczestnik podjąłby się skalania jego wiekopomnego szlagieru podtytułem *Reprezentuję biedę*. Rychu mógłby podjąć polemikę w mniej wysublimowany sposób.

Wykonawca słów wysłuchał, potem nie posłuchał i znowu wrócił. I tak wracał na każdym castingu, bo jak wyznał Maćkowi Rockowi: „Ktoś kiedyś powiedział: «125 razy padasz, wstajesz, otrząsas się i idziesz dalej». Przy 126 razie się uda”. Jemu chyba się udało, bo zniknął.

Głośno było o koledze Piotrze, który oznajmił nam, że jest artystą, następnie odczytał po swoim numer Erykah Badu, okraszony tańcem, z którego nie bardzo wiadomo było, czy on tańczy, czy może woła o ratunek. Następnie nie zgodził się z opinią jury. Stwierdził, że jesteśmy perfidni i chamscy, stanowimy bandę błaznów, którzy się nie nadają. Dostał za to oklaski, prawdopodobnie jedyne w swoim życiu. Wrócił do swej miejscowości, w której został pobity za złą reklamę regionu.

A ja mu tylko powiedziałem, że nie można kazać latać ptakom, które są wypchane.

Media jednoznacznie uznały mnie za faszystę.

Ten program nauczył mnie, że występ wokalny może być wielką tajemnicą

dziwnego życia. Że nie ma barier estetycznych i psychologicznych. Że wielkie emocjonalne lokomotywy, typu *Show Must Go On*, można wykonywać z miną i zaangażowaniem jegomościa, który przyszedł naprawić cieknący kran. A jakieś harcerskie koszmarki, oazowe przytupy i szantowy bełkot z namiętą dynamiką prymusów z Al-Kaidy.

Ludzie bywają różni. Jedni wierzą w Świętego Mikołaja, inni w Spider-Mana. Ale ten rodzaj uczestników popełniał największy błąd. Oni niestety uwierzyli w siebie. I to był ich moment historyczny. Na swej drodze do światła sukcesu spotkali nas, którzy im uświadamiali, że choinka, z której się urwali, powinna jednak stać wyłącznie w ich domu.

Nigdy się nie zgodzę z opinią, że robiliśmy (a szczególnie ja robiłem) z ludzi idiotów.

Przypomina mi się wizyta u mnie Adama Michnika. Taki dialog:

– Wiem, że były plotki w „Gazecie Wyborczej”, że cały zespół panu odradzał wizytę w moim programie.

On na to:

– Cały zespół to przesada, ale oczywiście byli tacy, co powiedzieli, że pan ze mnie zrobi idiotę. Na co ja powiedziałem, że ze mnie nie trzeba robić idioty, ja po prostu wystąpię wreszcie w swojej naturalnej formie.

Idol stał się niekwestionowanym hitem.

Wtargnął do domów Polaków i został tematem dyskusji przy niedzielnej mizerii. Kto co powiedział, kto co wykonał, kogo znowu obraził Wojewódzki.

Moim znakiem rozpoznawczym były tak zwane cięte riposty, cytaty oraz złote myśli. Z miejsca tabuny umiarkowanie roztropnych pismaków postawiły tezę, że wszystko mam napisane wcześniej i dyktowane przez rezolutnego suflera do ucha albo że kopiuję Simona Cowella, który wówczas w Polsce gwiazdą nie był, co nie zmienia faktu, że mogłem go uprzejmie naśladować.

W swej ulotnej miłości własnej wyznam to publicznie po raz pierwszy. A podczas tak zwanego *World Idola* w UK miałem okazję przerobić to empirycznie. Uwaga! Simon Cowell to przy mnie literacki cienias. CIENIAS. Jest postacią światowego formatu, milionerem, telewizyjnym kreatorem, ma

bugattiego veyrona i bujne owłosienie na klatce z piersiami. Nie ma natomiast poczucia humoru i krztyny dystansu. Dystansu do siebie ma jeszcze mniej niż dystansu w ogóle, a abstrakcyjne poczucie żartu jest dla niego zrozumiałe jak dla nas zrozumiała jest brexit.

Obserwowałem go podczas wspólnej pracy nad nagraniem świątecznego odcinka będącego rywalizacją laureatów poszczególnych krajowych edycji. Wszystko było ustawione pod panów Simona Cowella i tego drugiego Watermana. Jestem obywatelem nikczemnego państwa o nieistotnej pozycji w tak zwanym świecie, ale to nie powstrzymuje mnie przed prywatną megalomanią.

Najpierw trzymali mnie w garderobie o fakturze ścian bliskiej piętom Cejrowskiego. Odwiedził mnie jegomość o miękkich ruchach i zapytał, w co będę ubrany, bo Simon będzie miał na sobie kaszmirowy sweterek w kolorze porannego latte i on chce wiedzieć, czy ja mu nie będę dźwięczał. Przyznałem z całą otwartością, że będę, bo taki mam plan. Spojrzał na mnie tak, jak się zwykle patrzy na szarańczę, i odszedł miękko, kołyszając swą brytyjską godnością.

Potem nastąpiła dama w wieku pamiętającym pierwsze potyczki wojny stuletniej i powiedziała, że przysłała mnie przyprószyć. Nie wiedziałem, czy miała na myśli własne prochy czy puder, ale okazało się jednak, że termin kremacji miała wyznaczony na później. Przyprószyła mnie pudrem o zapachu martwej foki. Była godzina jedenasta przed południem. Start nagrania o dwudziestej.

I tak sobie spoczywałem dumnie w stolicy Albionu, w studiu, w którym kręcili filmy Hitchcocka, zamknięty w izolacji, obciążony piętnem tego, który będzie niekorzystnie interferował z wdziękiem Cowella.

Wtedy narodziło się we mnie postanowienie, że zostanę grzybem atomowym, który zaznaczy swoje zlekceważone istnienie. Posadzono mnie pomiędzy reprezentantem Kanady a reprezentantem jakiegoś kraju arabskiego.

Atmosfera była napięta jak bielizna na Ryszardzie Kaliszu. Nikt się nami nie interesował, a wszystkie środki oraz cała uwaga były skierowane na to, by połysk Simona miał tego dnia blask niepokalany.

Zapytałem pana z kraju arabskiego lub jak kto woli, z rejonu Zatoki Perskiej,

czy nie chce kupić reprezentantki Polski, bo u nas jej nie doceniają. Popatrzył na mnie jak na gadającego gryzonia i poprosił o przeniesienie w inne miejsce.

Pana z Kanady zagadnąłem równie przyjaźnie, no bo jak inaczej rozmawiać z przybyszem z kraju, w którym zawsze jest zimno i wszyscy muszą grać w hokeja. „Podobno tragedią waszego kraju jest, że mogliście mieć francuską kuchnię, brytyjską kulturę i amerykańską technologię, a skończyliście, mając brytyjską kuchnię, amerykańską kulturę i francuską technologię”. Powiedział do mnie coś po francusku, ale minę miał przy tym taką jak straż miejska przy użyciu paralizatora, więc wyczułem, że z przyjaźni nici.

Całą uwagę skoncentrowałem więc na uczestnikach oraz na tym, żeby wkurwić Simona Cowella. Nikt nie miał odwagi, polotu lub po prostu najzwyklejszego pomysłu, żeby mu nasikać do basenu, więc Polska jak zwykle w historii została osamotniona.

Podczas nagrania mój słynny brytyjski kolega kilkakrotnie zwracał się do sali słowami: „Niech ten idiota się zamknie” lub „Weźcie stąd tego kretyna”. Byłem z siebie taki dumny. To było jak nasza walka w 1939 roku.

Mój kolega zwykł mawiać: „Polska jest jak autobus. Jeden kieruje, a reszta się trzęsie”. Ja wtedy chciałem uzyskać podobny efekt i śmiało mogę napisać, że uzyskałem.

Narcystycznemu i irytującemu reprezentantowi gospodarzy Willowi Youngowi powiedziałem, że teraz rozumiem, dlaczego Bóg zesłał im mgłę – żeby nie było widać takich palantów jak on. Reprezentantowi Francji, że to, co pokazał, wyglądało i brzmiało jak pornol w wersji karaoke, a wysłannikowi Kanady, że jego śpiew brzmiał jak negocjacje z górą lodową w celu nakręcenia *Titanica 2*. Kurtowi Nielsenowi, który całość wygrał, wyznałem, że gdyby tak wyglądał, jak śpiewa, byłby połączeniem Sharon Stone i Margaret Thatcher. Tak mu się to spodobało, że kilka tygodni później przyjechał do mojego programu, gdzie jak przystało na dobrego gospodarza i patriotę przywitałem go chlebem, wódką i nauczyłem mówić: „Edzia Górniak to fajna dupcia”. Był szczęśliwy.

Nie wiem, co wycięli z moich wypowiedzi, ale kiedy w Boże Narodzenie program wyemitowano na całym świecie, w kraju okrzyknięto mnie idiotą. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia, gdyż byłem do takich nominacji przyzwyczajony. Ale żeby uniknąć nadmiernego ryzyka, wyjechałem z Anią

Muchą na wakacje do Maroka, gdzie medialni siepacze nie byli w stanie trącić mnie swym niezadowoleniem.

Później zadzwonili do mnie nawet z jakiegoś holenderskiego talk-show z propozycją wywiadu, ale postanowiłem być telewizyjną dziwką wyłącznie na własnym terytorium.

Zresztą gdy zagadnąłem miłego pana, który do mnie zadzwonił, czy płacą w towarze, to zacząłem wyczuwać w jego głosie subtelną nutkę wahania.

Zapytałem kiedyś Tomka Stańkę:

– Co jest lepsze, z twego doświadczenia: lepiej zapalić jointa czy lepiej wypić sobie kieliszek wódki?

Tomek na to:

– Ja myślę, że najlepiej zrobić to razem.

Wtedy, na wrogiej brytyjskiej ziemi, posłuchałem jego sugestii. W związku z czym reszta pobytu minęła dosyć pogodnie.

Nie wiem, czy wiecie, ale podobno, gdyby człowiek pierdział nieprzerwanie przez sześć lat i dziewięć miesięcy, to wytworzyłby osobiście energię równą bombie atomowej.

Ja miałem takie wrażenie, siedząc w jury *Idola*.

Eksplodowaliśmy czymś tak nowym, dzikim i na swój sposób ekstremalnym, dla wielu recenzentów stanowiliśmy brakujące ogniwo pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, że nie sposób było tego prześcignąć. Wejście level wyżej musiałyby doprowadzić do publicznych egzekucji, dekapitacji, cudzołóstwa, rozczłonkowywania ciał i rytualnego okaleczania. A tego w Polsacie nikt nie chciał, no może z wyjątkiem działu reklamy.

Po dwóch edycjach *Idola* uznałem, że czas na ewakuację.

Zawsze uważałem, że cynizm to po prostu udana próba zobaczenia świata takim, jakim on jest w rzeczywistości. Tak jak na drodze jest akcja „Stop wariatom drogowym”, tak my powiedzieliśmy publicznie: „Stop wariatom muzycznym, amatorom i pojebom”.

Janusz Głowacki wyznał mi kiedyś taką myśl, że gdy społeczeństwo nie chce już czytać swych literatów, to składa im hołdy. Bo tak jest szybciej i łatwiej. I nasza czwórka miała podobnie. Nikt nas już nie słuchał, a widownia była podzielona: albo nas wielbiąca jako realizatorów ich ukrytych potrzeb publicznego sado-maso, albo agresywnie odrzucająca jako wzorzec chama tradycyjnego.

Zabawa się skończyła. Zaczęły się dożynki.

Dziś trudno w to uwierzyć, ale do drugiej edycji programu zgłaszali się ludzie, dla których zaszczytem było to, jak się ich kunsztownie zjebało i odprawiło na margines życia scenicznego. Totalne odwrócenie sensów i celów. To tak jak w tym powiedzeniu, że w zależności od regionu Polski, jak się powie dziewczynie: „Odpierdol się”, to jedna się obrazi, a druga się elegancko ubierze. I tak było też z nami. Ludzie chcieli być namaszczeni brutalnym wyrafinowaniem przez naszą czwórkę. Dziwne? Nie, proste jak droga w Rosji. Wtedy w rytm panującego już ducha czasów zaczynała obowiązywać zasada: im gorzej, tym lepiej. Dla nich nasze znęcanie się automatycznie stawało się innym rodzajem zarządzania. Ich karierą i potrzebą sławy. A ta stawała się towarem coraz cenniejszym. Czy wiecie, że do tradycyjnej triady polskich marzeń – rodzina, zdrowie, praca – dołącza coraz wyraźniej, bo coraz wyraźniej widać to w diagnozach społecznych, jeden ważny element: potrzeba sławy.

Dostrzeżenia. Choćby chwilowego i choćby przez przypadek. I tak ja komuś mówię: „Śpiewasz tak, jakby cię rodzice znaleźli w delfinariu. Widać, że talent odwiedza cię rzadko, ale za to wpada na krótko. Otworzyłeś wokalne wrota piekieł. Wyjdź nimi z powrotem”. A delikwent się cieszy, bo wie, że to będzie w telewizji. Tak się rodziło uzależnienie od popularności.

Kiedy wychodziliśmy z Elunią, Jackiem i Robertem na przerwę, uczestnicy bili nam brawo. A najbardziej ci, których koncertowo i ozdobnie wypunktowaliśmy. Chore.

Z dwóch pierwszych edycji pamiętam jeszcze dwie osoby, które utkwily mi w sercu. Na chwilę, bo jestem sentymentalny krótkoterminowo. Pierwszą z nich był cherubinek z pokaźną anemią niejaki Paweł Nowak. Jego *Imię deszczu* w akompaniamencie Adama Sztaby było, uwaga, dużo lepsze niż w wydaniu

Piaska. Już pierwsze słowa: „Proszę nie mów, muszę odejść” wprowadzają galopujące mustangi dreszczy na moje plecy i pozostawiają tam niemal do końca. On nie wykonuje utworu i nie śpiewa piosenki. On skleja słowa prawdziwą rozpaczą. Piękne. Ale żeby nie było zbyt podniosłe. Resztę występów, pomimo iż dotarł do finału, spierdolił koncertowo. I jeszcze pyskował Eluni że nie fałszuje. A fałszował jak anemiczny pies.

Drugą była Gosia Kunc i jej interpretacja *Little Wing*. Drobna dziewczyneczka z wielkim talentem i gigantycznym zapasem ciszy w duszy. Przyjechała z mamą o imidżu damskiej wersji generała Jaruzelskiego, ale widocznie cisza Małgosi potrzebowała cerbera. Boże, jak ona to zaśpiewała. Parafrazując oryginał: przechadzała się pośród chmur, szybując z wiatrem. Hendrix opowiadał, że napisał ten numer na cześć swojej dziewczyny. „Little Wing była słodką dziewczyną, która odmieniła moje życie, a ja, idiota, nie potrafiłem tego docenić” – wyznał swego czasu. Może my, idioci, nie potrafiliśmy docenić Małgosi. Może w tym pełnym zgiełku i hałasie widowiska nie miała się do czego przytulić. Posłuchajcie jej, jest na YouTube. Zasługuje na to. Leć dalej, skrzydlata istoto... Pozdrawiam cię, dziewczyno, gdziekolwiek teraz jesteś.

Na swoje miejsce namaściłem Marcina Prokopa, którego znałem z miesięcznika „Machina” oraz lokalnego dystryktu MTV. Lubiłem go, bo już wtedy wyrastał ponad wszystkie poziomy i to nie tylko pod względem wzrostu. Miał osobowość, którą cenię, rozpiętą pomiędzy kaftanem bezpieczeństwa a ewidentną potrzebą samozapłonu.

Widziałem swego czasu taki napis na zniszczonym pojeździe pomocy drogowej: „Ciągnie lepiej niż Sasha Grey”. I tak miał Marcin ze wszystkim, w co wchodził. Ciągnął lepiej niż inni.

Prokop to oryginał zlepiony ze skrajności. Swojej małżonce z Chicago oświadczył się esemesem o wyszukanej treści: „Gdyby twój amerykański samochód chciał zaparkować w polskim garażu, to oznajmiam, że miejsce jest wolne”. No i ona wykupiła ten abonament.

Marcin chciał być gwiazdą rocka, chciał pisać wiersze, a jak sam przyznaje, bywa mentalnym sześćdziesięcioletnim starcem, ma naturę księgowego, no i największy zarzut, jaki do siebie ma, to, że zarabia za dużo i to są próżniacze pieniądze płacone nie za talent, a wyłącznie za popularność.

Pisałem coś wcześniej o kaftanie bezpieczeństwa? To jest właśnie ten moment na stosowne wdzianko. Prokop jest chałturnikiem, który ładnie nazywa się facetem do wynajęcia. Prowadzi bale, otwarcia, zamknięcia, obchody i festyny. To jest jego wybór i jego estetyka. Jest najlepiej chyba monetyzującym swoją popularność facetem z branży. Ale od czasu do czasu musi pierdnąć swojskim populizmem, że te srebrniki to mu nie dźwięczą uczciwie. Można odnieść wrażenie, że dla spokoju ducha tłumy raz do roku chciałby być tak biedny, żeby mu sikorki wieszały słoninę na balkonie.

Jest przytomny w rozumieniu umowności świata, w którym ciągle jesteśmy obsadzani.

Powiedział mi kiedyś: „Jeśli ktoś z ludzi telewizji serio traktuje siebie jako idola, to ja mu współczuję”. A ja mu na to: „Niestety większość”. Jak ktoś tego nie widzi, to nie patrzy, tylko się gapi.

Pamiętajcie, że wszystko, co słyszymy o szoł-bizie, jest opinią, a nie faktem. Wszystko, co widzimy, jest waszą perspektywą, a nie prawdą. Zapamiętajcie słowa starca. Moja pomyłka co do Marcina sprowadzała się do faktu, że ja go mentalnie umieszczałem po rebeliancko-alternatywnej stronie branży, a on siebie raczej po stronie bufetu i księgowości. I długo mi zajęło zrozumienie, że to jest jego problem, a nie mój. Przy nim większość gadających głów z telewizji śniadaniowych jest błyskotliwa jak dach kryty papą – i to trzeba uznać, a nie fakt, że Marcin w nienagannie wypastowanych lakierkach co weekend bawi się w wodzireja na babilońskich salonach. Bóg nas z tego rozliczy, a wcześniej skarbówka. W przypadku tego zdania to ja wierzę w nieuchronność spotkania tylko z jednym z wymienionych podmiotów.

Myślę, że realnym problemem Marcina jest to, że ciągle czuje potrzebę, a może przymus tłumaczenia się z tego, gdzie jest i kim jest. Mnie to przeszło już w dzieciństwie. A on nawija: „Jako gwiazda nadal jestem normalnym chłopakiem z sąsiedztwa, a nie figurą woskową. Uprawiam antylans. Jeżdżę gorszym samochodem niż mógłbym i noszę stare ubrania, które mi wiszą na dupie. Jestem permanentnie nieogolony i mam włosy, nad którymi dawno przestałem panować. Nigdy w życiu nie byłem u kosmetyczki. [Zgroza!] A najgorsze mam garnitury – podobno kompletnie niemodne, bo niewystarczająco wytaliowane. Niektórzy styliści proponują mi swoje usługi za

darmo, z litości. Poza tym mieszkam w bloku, chodzę do sklepu po bułki”.

No sami przyznajcie. Jest naprawdę dobry w tym, żeby samemu z generała degradować się na starszego sierżanta popkultury. Ja się wywodzę z tradycji, że nie jest wstydem zarabiać uczciwie duże pieniądze, nawet jeśli one są, uczciwie rzecz nazywając, zbyt duże. Ale staram się tak żyć, żeby mi to nie przeszkadzało.

Mój kolega wyższy tkwi w rozkroku pomiędzy satysfakcją z tego, że talent jest jego pracodawcą, a umizgami do płaskiego populizmu, pospolitej zazdrości i zwykłego nieudacznictwa autorów serwisów plotkarskich, którzy wystroją w szaty wroga publicznego każdego, kto jest barwniejszy i zdolniejszy od nich. Czyli każdego.

Bieda to stan umysłu. Dosyć popularny pomiędzy Helem a Karpatami. „Jestem jak musująca pomarańczowa pastylka, która wrzucona do szklanki o dowolnym kształcie wypełnia ją swoją barwą” – jak zwykle barwnie opowiada o swoich życiowych, medialnych wyborach. I nauczyłem się to akceptować, nie mylić z szanować. Parafrazując jego zacny limeryk: ja jestem musującą pomarańczową pastylką, której nie wrzucam do dowolnej szklanki. I tyle.

Marcin, wiem, że będziesz czytał te słowa, bo to w końcu jest o tobie. Sprzedam ci radę, która rozwiąże twoje dylematy i związane z finansami hamletyzowanie. Najlepszym sposobem na pozbycie się stresu w życiu jest bycie bogatym i atrakcyjnym.

Zamurowało mnie i nie ukrywam, byłem w szoku poznawczym, kiedy dowiedziałem się, że Marcin Prokop, gdy tylko ruszył *Idol* z jego udziałem, widziany był w tym samym stroju, w którym segregował śpiewających ludzi, jako prowadzący imprezę w Carrefourze czy równie czymś istotnym dla cywilizacji. Reasumując: postawiłem na świetnego faceta, który okazał się małym buchalterem, ale i wielką gwiazdą telewizyjną. Czyli w sumie się opłacało. No i w związku z tym, że to ja załatwiałem mu tę robotę, to nigdy w życiu nie uda mu się wykreślić mnie z własnej biografii.

Ciekawa była historia ze składem jury trzeciej edycji *Idola*, w której powiększono krąg zainteresowanych katowaniem ludzi do pięciu osób.

Otóż produkcja z firmy Fremantle wymyśliła, że skoro zmieniamy i odświeżamy skład o Marcina, to można by jeszcze bardziej przewietrzyć

magazyn. I przewietrzyli Roberta Leszczyńskiego, niech mu ziemia w Alei Zasłużonych lekką będzie, bo sam podpisywałem petycję, żeby tam spoczął.

Po deportowaniu Roberta podjęto słuszną zresztą decyzję, że facetem, który nosi insygnia gwiazdy totalnej, na razie lekko zmatowiałe, jest krakowski awanturnik Maciej Maleńczuk. I tak powstało nowe kombo do zezłomowania paru karier i utracenia nierealnych aspiracji. Nie doceniono jednak przywiązania Roberta do roli jurora wyklętego, która nawet jeśli nie zapewniła mu największego splendoru w Polsce, to procentowała na trasach, gdzie sprawował obowiązki DJ-a znanego jako Barbie Killer. Tam mój nieżywy kolega, Waleczne Serce, Zepsuta Wątroba, miał erotyczne spustoszenie wśród swych nieletnich entuzjastek.

Robert zadzwonił do właściciela stacji Zygmunta Piotra i wyraził rozżalenie, że jego status w związku z programem *Idol* zasługuje przynajmniej na notkę „To skomplikowane”. Czyli historycznie rzecz nazywając, pożałił się, że czuje się jak Henryk Wujec, który w 1990 roku dostał od Lecha Wałęsy faks o treści: „Czuj się odwołany”. I kolega Zygmunt Piotr, nie lubiący tracić czasu na pierdoły, które nie przynoszą milionowych zysków, zadzwonił, gdzie trzeba, i Leszcza przywrócił. I tak Brytyjczycy dowiedzieli się, że kraj Polska tradycyjnie dokonuje zmian w tym, co powinno być niezmiennie, i teraz będzie jurorów pięciu, a wy czujcie się powiadomieni.

Leszcza wspominam z sympatią, ale bez sentymentu. Nigdy nie byliśmy bliskimi kolegami. Wyznał mi kiedyś w tak zwanym stanie baśniowym, że wkurwiało go to, jak pielgrzymował z gramofonami po kraju i wszędzie go witali: „O, pan Robert Leszczyński. Znakomicie. Niech pan powie, jaki naprawdę jest Kuba Wojewódzki”.

Nie potrafił skapitalizować lawiny fejmów, która spadła na naszą czwórkę. Pierwszym nieoświeconym ruchem, jaki wykonał, była reklama samochodu hyundai getz. No na rzemieńne sandały Jezusa! Albo reklamujemy samochody, albo hyundaia. Mało tego: tekst reklamy był srogi i absolutnie dyskwalifikujący. Auto, brzydkie jak sumienie posła Stanisława Pięty, Robert reklamował autorytetem surowego jurora i słowami: „Hyundai to marzenie. Marzenie o stylu”.

Reklamowanie brzydkich samochodów powinno być lepiej płatne niż

reklamowanie samochodów pięknych. Tak jak molestowanie kobiet mniej atrakcyjnych powinno być karane łagodniej. To żart oczywiście – robię taki przypis, bo może się tu zabłąkać jakiś umysł niesprawny podchorążego z serwisu plotkarskiego, który nie rozumie ironii, a metafora to dla niego pojęcie zbyt antyczne.

Jak to zwykle bywa z pomysłami z daleka od głowy, musiały być ofiary. Robert stracił pracę w „Gazecie Wyborczej”, dziennikarze dokopali się, że w ogóle nie ma prawa jazdy, a dla wielu osób jego buńczuczne i pyszne deklaracje o niezależności były zabawne jak Rafał Brzozowski w *Kole fortuny*. Na domiar złego z puli możliwości telewizyjnych, które roztoczył przed nami Polsat, on zdecydował się robić program muzyczny, w którym krzyczał na ludzi, czego powinni słuchać. „Mop Man”, tak nazywał się ten opiniotwórczy magazyn, który wędrował po ramówce stacji jak Alicja po Krainie Czarów. Aż zmarł śmiercią naturalną, wyprzedzając o kilkanaście lat swego autora. Szkoda.

Po drugim albo trzecim odcinku *Idola* nastął pierwszy czas w moim życiu, kiedy poczułem się jak Lionel Messi, Ronaldo i Robert Lewandowski w jednym. W przypadku Roberta moje porównanie nie dotyczy jego wyczynów na ostatnim mundialu.

Zadzwonili do mnie zewsząd, składając propozycję transferu, od TVP po RMF.

Jest taki bardzo słaby żart: „Co zrobił Sobieski po wstąpieniu na tron? Usiadł”. Trochę wczesna *Familiada*, ale co tam.

Ja w tamtych dniach też usiadłem parę razy. Miałem trzydzieści osiem lat i poczucie, że słowa „sukces” i „sława” wypływają zewsząd, jak topielec. Choć sława i kariera to rzeczy trudne i subiektywne.

Zagościł u mnie pewnego razu reżyser Jerzy Skolimowski.

Zagaduję go z wrodzoną dociekliwością:

– Zrobił ktoś z polskich aktorów karierę w Hollywood? Słyszałeś o czymś takim?

– No tak.

– Kto? – dopytuję. I słyszę bez nuty zwątpienia:

- Ja.
- I ktoś jeszcze?
- Nie.

Ktoś kiedyś policzył, jakie są najpopularniejsze słowa w komentarzach na jakże znanym serwisie Pornhub. I tu zaskoczenie. Najpopularniejsze słowa to *love*, *hot*, a dopiero na trzecim miejscu znalazło się wyczekiwane i dobrze leżące na ustach *fuck*. Już pomijam fakt, że słowo *girl* znalazło się dopiero na miejscu dziewiątym. „Koniec cywilizacji białego człowieka”, jak mawiał klasyk Pięta Stanisław, znany podrywacz pielgrzymkowy.

W tamtym momencie głównym słowem, którego używałem do komentowania nagłego przebudzenia mojej rynkowej mocy, było bez wątpienia to z pozycji numer trzy.

Najciekawsze wydawały mi się dwie oferty. Współwłaściciela Studia A, Macieja Strzembosza, odpowiedzialnego za słynny wieczorny talk-show Alicji Resich-Modlińskiej o zaskakującej nazwie *Wieczór z Alicją*, oraz Piotra Radzymińskiego, szefa firmy Fremantle, która jako się rzekło produkowała dla Polsatu *Idola*.

Alicję uwielbiam i szanuję, gdy z nią rozmawiam, mam wrażenie, że to od niej królowa Elżbieta II, zwana na co dzień Elżbietą Aleksandrą Marią, pobierała lekcje manier oraz dobrego stylu. Jestem pewien, że gdy w domu Alicji ktoś rzuci, jak najbardziej przypadkowo oraz wielce okazjonalnie, swojskie „kurwa mać”, to zapada ambarasująca cisza, otwiera się okna i wietrzy salon z plebejskich warunków atmosferycznych.

Gdy rozmawiała w swoim programie z gośćmi, ona była uprzejma, goście byli uprzejmi, aura była pełna uprzejmości, czyli jak to pisał Chuck Palahniuk w *Dzienniku*: każdy był pogrążony w swej osobistej sypialni.

Nie o takie rozmowy mi chodziło. W dodatku gdy podczas jednego ze wstępnych spotkań Maciej wyznał mi, że ma pełną kontrolę nad pytaniami pani Alicji oraz że jeśli mi się wydaje, że autorem moich pytań będę ja sam (bo to w końcu ja je zadaję), to jak to się ładnie mówi: popełniam mylny błąd. I to był koniec naszej współpracy.

Dla mnie natchnienie wymaga choroby, kalectwa, szaleństwa, a nie pana,

który będzie mi mówił, co myślę.

Miałem w sobie jakąś brutalnie pewną myśl, że jeśli ludzie poszukują na rynku mediów mesjasza w talk-show, to będą żądać wysokiej jakości popierdolenia, a nie szkółki niedzielnej.

I tak dogadałem się z Piotrem, przesympatycznym misiem odzianym wyłącznie w koszulki, których plamy informowały nas regularnie, jakie było jego tygodniowe menu.

Piotr kupił mnie tym, że zanim mnie zapytał, jaki mam pomysł, to detalicznie wybadał, ile chcę za odcinek netto. Ja wiedziałem jedno. Zostaliśmy wychowani na telewizji, która wpaja nam, że wszyscy kiedyś zostaniemy milionerami, gwiazdami rocka i filmu, postaciami z własnej bajki. A nie zostaniemy. Szólbiznes jest wielką katastrofą, która tylko czeka, żeby się przydarzyć, i dlatego nadchodzę. Bo nią będę ja. Kupił to.

Ciekawym efektem sukcesu *Idola* było moje powołanie do barw RMF FM.

RMF miał swojego Zinedine'a Zidane'a w postaci twórcy stacji, Stanisława Tyczyńskiego.

Stanisław Tyczyński moim zdaniem ma PESEL notowany na Saturnie i z tamtych też rejonów osobowość. Zasłynął tym, że każdego roku w sylwestra próbował dobrać się do mikrofonów własnej stacji, aby wykrzyknąć, że wszyscy politycy to kurwy i komuniści, a szczególnie komuniści. Ale może to tylko stara krakowska legenda miejska. Pan właściciel (i jak wieść niesie antykomunista, nie tylko noworoczny) spotykał się ze mną osobiście kilka razy, twierdząc, że szuka kogoś w typie Moniki Olejnik, tylko z większym genem bulteriera oraz Benny'ego Hilla. Żeby tych kurwów komunistów najpierw ośmieszyć, a dopiero potem wgryźć się w ich aortę.

Było w nim coś przerażającego i radosnego zarazem.

Oto siedział przede mną radiowy Pol Pot i żądał podpisania kontraktu najemnika. Ustaliliśmy, że dobrze byłoby wykalibrować nasze cele, mój rozrywkowy i jego anihilacyjny, i zrobić coś na kształt demo.

Zrobiłem dwa wywiady. Z ówczesnym rzecznikiem rządu niejakim Michałem Toberem i wicepremierem Jarosławem Kalinowskim. Według mnie poszło mi arcydoskonale. Tobera zapytałem, czy to prawda, że oficerowie BOR-

u wyprowadzają jego psa, kiedy rzecznik Tober nie może, co było na tamten moment moją sekretną wiedzą. Oraz chciałem dopytać, czy nie ma takiego historycznego wrażenia, że wysługiwanie się młodym człowiekiem farbowanej lewicy jest trochę jak dawanie dupy przez Nadieżdę Krupską Leninowi. Wicepremiera z PSL-u zagadnąłem, czy garnitury szyje w tym samym salonie co Witos, bo mają taki sam współczesny sznyt, oraz czy to miłe uczucie być w Polsce wieśniakiem.

Tyczyński wywalił mnie na zbity pysk, ale nie osobiście. Też wieśniackie zachowanie. A zrobił to przez człowieka o nazwisku *nomen omen* Sołtys.

Michał Figurski zjawił się w moim życiu niespodziewanie, a co stanowi o pewnej symetryczności losu, zniknął z niego jak najbardziej spodziewanie. Nasze wspólne losy przypominają tory kolejowe po trzęsieniu ziemi. Nie były popękane, ale dziwnie spaczone.

Obaj byliśmy jurorami podczas pierwszego festiwalu Top Trendy w Polsce. Ja oczywiście w swoim mniemaniu uosabiałem Top, jemu pozostawała funkcja bycia Trendy. Wiele lat później, gdy nasza współpraca radiowa dogorywała, często przypominałem mu sparafrazowany cytat z Johna Lennona na temat Yoko Ono. Jesteś, facet, najbardziej znanym nieznanym dziennikarzem radiowym w kraju...

Jego mama jest Rosjanką, a mój ojciec, jak powszechnie wiadomo, był bolszewickim prokuratorem, który każdy dzień zaczynał od egzekucji na Łubiance. To zbliża ludzi.

Nie znałem gościa wcześniej. Podobno pracował we wszystkich warszawskich stacjach radiowych, bo pracował w radiu od dziecka. Podobno tłumaczył też lub dubbingował pornosy. Zrezygnował, bo podobno płacili mu od przetłumaczonego słowa, a każdy, kto zna reguły tego gatunku, wie, że nie bywają to historie przegadane. Dostawał wypłatę przypominającą datę chrztu Polski, więc zdecydowanie za mało, żeby w życiu odtworzyć choć jedną filmową scenę. Ukoronowaniem jego kariery była lista przebojów RMF-u, ale w czasach, gdy stacja ta nie należała jeszcze do odwetowców z Bauera. Zapowiadał tam piosenki, nadając swemu głosowi ton anioła Gabriela zapowiadającego zwiastowanie.

Kocham te radiowe tubalne barwy, w których niejednokrotnie czuć, że cały intelektualny wysiłek idzie w dźwięk. Zupełnie tak jak chłopcy z prowincjonalnych miasteczek tuningują swoje obniżone seaty, zakładając na wydech rurę kanalizacyjną o rdzeniu spienionym, by budzić podziw u lokalnych dziewic.

Podobnie jest z tymi basami w eterze. Reszta komórek jest już zbyt przetrzebiona i wycieńczona, aby generować myśl. I wtedy zapowiada się pogodę albo odczytuje godzinę.

Jan Nowicki, mój wielokrotnie tu przytaczany przewodnik po meandrach rzeczy trudnych i skomplikowanych, powiedział kiedyś o Michale, że rzadko spotyka się ludzi o takim kapitale serdeczności. I to prawda. Serdecznie się zaprzyjaźniliśmy, by po kilku latach serdecznie się na sobie zawieść. Trzeba mu oddać jedno: ma człowiek intuicję do ludzi. Postawił na mnie i zaprosił do wspólnej radiowej współpracy, która wywróciła i jego losy. Nie byłbym uczciwy, gdybym zataił emocje, jakie łączyły się z pierwszymi latami naszej radiowej eskapady.

Przywołam tu raz jeszcze nasz frywolny wypad do Chicago na premierę filmu, który w obłądnym pragnieniu stania się Goldwynem lub przynajmniej Mayerem sponsorował nasz bogaty rodak, deweloper przybyły do USA z Białegostoku. Michał jeszcze zanim skrzydłata maszyna sięgnęła granic, już bałamucił jakąś emigrantkę, co zaowocowało wspólnymi wypadami do wychodka na papierosa. Później swój rosyjski celownik wykierował w stronę słynnej wtedy młodej aktorki z serialu *Na dobre i na złe*. Zakończony ustrzeleniem.

Nie było w tym specjalnej logiki, bo był już szczęśliwie żonaty, ale szukanie w jego życiu logiki to jak szukanie kukulek w *Locie nad kukułczym gniazdem*.

Figur to znakomity materiał na kumpla. Albo gitarzystę zespołu punkowego. Otwarty, pozytywny, jowialny, życzliwy. Lubił wypić jak anestezjolog – do utraty przytomności.

Trochę moim zdaniem za mało czytał, ale może wszystko, co ważne, zdążył przeczytać przed zawarciem ze mną znajomości.

Pamiętam, jak kiedyś odwiedziłem go w chacie, w której w największym pokoju stał wielki stół bilardowy. Na ścianie była półka z książkami, a na niej

stała tylko jedna książka. *Lord Jim*, pomyślałem naiwnie. Okazało się, że trafiłem blisko. Tą książką były *Zasady gry w snookera*.

Ale może czytanie to dziś już trochę przereklamowane jest.

Swego czasu prowokowałem słynnego syna ulicy Peję:

– Ale tak szczerze: czego nie przeczytałeś w swoim życiu? Ja na przykład *Dziadów* nie czytałem. Wiem, o czym to jest, o biednych mężczyznach, ale... nie czytałem.

– Których *Dziadów* nie czytałeś? – rezolutnie ripostuje Ryszard. – Tam jest kilka części, wiesz. Tak jak *Rocky*.

Nie lepszy był Maciek Stuhr, którego zagadnąłem przyjaźnie:

– A ty czytałeś na przykład *Przedwiośniu*?

A on na to:

– Nie, ale grałem w *Przedwiośniu*.

Ale wracając do Michała. Niestety ma też, jak prawie każdy z nas, w mózgowym czasie małą piwniczkę do przechowania rzeczy niewygodnych. Małości, zawiści i niezdrowej rywalizacji.

Po latach doszło do kolizji naszych filozofii bycia w zawodzie.

Ja lubię pogodne niezadowolenie, które nie pozwala spocząć na laurach z zapiętymi pasami bezpieczeństwa, i wieczne poszukiwanie. On chyba nie. Stracił ciekawość świata, choć miał go codziennie opisywać.

Pamiętam, jak kiedyś z Kamilem Olszewskim, naszym wydawcą, podłożyliśmy mu stare wydanie brukowego „Faktu”, które on z zapalem kartkował i cytował na antenie, nie notując dosyć przykrego faktu, że wiadomości są przedawnione.

Kiedy się z nim rozstawałem, czułem ewidentnie, że jemu już nie chce się szukać. On już znalazł, okopał się i trwa. Ma ambicjonerski stosunek do własnych słabości. Zakłamuje swoje marzenia i pragnienia. Ilekroć go wywałą z telewizji, od razu wciąga na transparent hasło, że nigdy nie chciał tam pracować. Jeśli tylko zaproszą go na casting, jest gotów poprowadzić program o wulkanizacji w lokalnej telewizji Barcin.

Ma jednak świetne poczucie humoru. Jest brawurowy i łobuzerski. Pod hasłem rock and roll przemycą największe absurdy i niedorzeczności niespotykane wcześniej na radiowej antenie.

Jeśli miarą człowieka jest to, jak traktuje zwierzęta, to my paśliśmy tkwiące w nas bestie do nieludzkich rozmiarów. Byliśmy jak Masters i Johnson w USA pod koniec lat pięćdziesiątych. Postanowiliśmy zmierzyć to, co nie było wcześniej zmierzone. Granice swojej i ludzkiej przyzwoitości. Zajrzeć tam, gdzie wcześniej nikt nie zaglądał. Masters i Johnson obserwowali w sumie około jedenastu tysięcy orgazmów doznanych przez 694 osoby. My chcieliśmy robić ze słuchaczami to samo, tylko za pośrednictwem radia. Duet amerykańskich badaczy jako pierwszy opisał kobietę od strony pochwy. Dzięki wyposażonemu w kamerę wibratorowi z pleksi, zwanemu Odyseuszem (urządzenie skojarzyło im się z jednookim cyklopem, którego grecki bohater spotkał na swojej drodze), dokonali pierwszego takiego kroku w kroku. My chcieliśmy zrobić to samo, wykorzystując też inne fragmenty ludzkiej konstrukcji.

Organizując pewnego poranka wielce niebezpieczną wyprawę speleologiczno-dźwiękową do wnętrza głowy Edyty Herbuś sięgnęliśmy tego właśnie ideału.

W ramach wymyślonego przez nas *Teatru Polskiego Radia Eska Rock* zafundowaliśmy odbiorcom słuchowisko oscylujące pomiędzy *Wyprawą do wnętrza Ziemi* a *Frankensteinem*.

Poprzez płat czołowy tancerki, zdejmując dekiel czoła, dostaliśmy się do wnętrza jej mózgowiczejki. A wszystko to inkrustowane odpowiednimi efektami, dźwiękami i tłem. Michał zszedł do środka jej głowy, gdzie panował straszny przeciąg, a i echo było potworne. Wylądował sam w mroku i refleksyjnym odludziu, a ja zostałem na zewnątrz na czatach, podając mu stosowne narzędzia. Gdy udał się w kierunku pnia mózgu, warunki były już zbliżone do tych na K2. Wszystko było jakby zamrożone i zastygłe, tak że uniemożliwiałoby dalszą wyprawę. Ale udało się. W końcu napotkał jakąś myśl. Okazało się, że to chwilowa myśl Edyty o Gustawie Holoubku. Krótka i jakaś taka niewyraźna. Wędrując dalej w zawiei bezmyślności i mroku pustki napotkaliśmy też chwilową myśl o Chopinie, ale grał nierówno i strasznie

kaślał.

Pierwszą wyraźną refleksją było wspomnienie reklamy środka owadobójczego, w której tancerka tańcem zabijała zdumioną sytuacją stonkę. Przygnieciony lawiną tej myśli Figur o mały włos nie przypłacił wyprawy życiem lub kalectwem. Zabawa jak w przedszkolu. Tylko nie na oczach wychowawczyni, a w uszach tysięcy takich samych wariatów jak my.

Największym komplementem, jaki nas spotykał, były wyznania przypadkowo spotkanych kierowców, którzy mówili, że pomimo dojechania do celu podróży czekali w samochodzie do momentu, aż nasz telefon, słuchowisko tudzież inna radiowa eskapada dojdzie do końca.

Do czego zdolny jest człowiek postawiony w sytuacji skrajnie niedorzecznej – to pytanie było celem naszych doświadczeń. W trakcie *Idola* wymyślałem sobie moje nowe życiowe medialne credo: „Jak daleko można posunąć się za daleko”. Tutaj zyskiwało ono całkowicie nowy wymiar... Trudno mi dziś przypomnieć sobie najlepsze, czyli z waszej perspektywy najgorsze, nasze występy. Byliśmy w absurdzie i szukaniu przesady wydajni jak chiński komputer z Allegro. Zresztą jest tego na niedorzeczne tony na YouTube.

Pamiętam audycję, która powstała zainspirowana masowymi sprzeciwami internautów wobec przyjęcia przepisów określonych w słynnym i niechlubnym dokumencie ACTA. Był nie mniej słynny rok 2012, kiedy to według Nostradamusa, Majów oraz prawdopodobnie paru innych oszołomów miał nastąpić zaplanowany koniec świata. W związku z tym nie obawialiśmy się specjalnie konsekwencji. Postanowiliśmy zabawić się w słynnych hakerów z grupy Anonymous i zablokować stronę internetową gminy Gnojno w powiecie buskim, która to gmina ma czterystu siedemdziesięciu mieszkańców. Zadzwoniliśmy do urzędu gminy, podając się za terrorystów sieciowych z miejscowości Tuczempy, i zapowiedzieliśmy, że zaraz zhakujemy ich stronę i co oni na to. Pani z urzędu wyznała, że nie jest zadowolona, ale też nie okazała należytego wobec naszej determinacji strachu. Nasza duma została urażona, więc poprosiliśmy słuchaczy, aby masowo wchodzili na tę stronę. Gdy zaczynaliśmy audycję, były tam obecne dwie lokalne gnojeńskie dusze. Gdy kończyliśmy audycję, tłok się zrobił kilkudziesięciotysięczny i strona, jak obiecywaliśmy, padła. W międzyczasie (podobno takie słowo w języku polskim

funkcjonuje, ale w zupełnie innym znaczeniu) wystosowaliśmy nasze postulaty. Obiecywaliśmy nie wyłączać ich witryny, jeśli: 1. Tybet będzie wolny. 2. Sklep w miejscowości będzie czynny dłużej. 3. Pozbędą się Mongoła Bilguna z TVN-u.

Michał kazał im jeszcze oddać krzyż, ale ten postulat w naszej audycji pojawiał się dosyć często, bez względu na okazję. Sprawa stała się słynna na całą Polskę, a sekretarz gminy Gnojno Piotr Bębas na dwa dni został celebrytą. Mało tego, był na tyle wyluzowany, że nie kazał nas ścigać stosownym instytucjom.

Największym naszym hitem była piosenka improwizowana w rytmie hip-hopu zatytułowana *Po trupach do celu*. Wszystko wzięło się ze snu Michała. Przyszedł rano do radia i wyjawiał, że przyśniła mu się fraza „Po trupach do celu”. Jak mawia klasyk: „Jak ktoś ma pecha, to i w dupie palec złamie”. Naszym pechem było to, że zwrot ten idealnie przystawał do posmoleńskiej napierdalanki. Ale o tym za chwilę.

Miło wspominać też audycję, w której niesieni chlubnymi dokonaniem fanów kibolingu na krajowych stadionach zadzwoniliśmy do siedziby UEFA w Nyon w Szwajcarii z propozycją zmiany hymnu PZPN. Naszą kandydaturą była pieśń, która najlepiej oddawała nastrój wokół piłki nożnej tamtego czasu i brzmiała: „PZPN, PZPN, jebać, jebać PZPN”. Pani ze Szwajcarii skrupulatnie i z należyтым szacunkiem dla emisariuszy dobrej sprawy wysłuchała nowego hymnu i zanotowała, cedząc poszczególne słowa: „Jebacz, jebacz, pezetpeen”. Zapytała nas dociekliwie, co znaczą te trudne słowa. Odpowiedzieliśmy jej, że: „wyklęty powstań ludu ziemi”. Była bardzo przejęta. Obiecała oddzwonić.

Michał miał problem z byciem drugim. Tym drugim, tym od Wojewódzkiego. Mann nigdy nie był tym drugim od Materny i odwrotnie i Michał też tak chciał. Nikt nie różnicuje braci Cohen, który brzydszy, a który zdolniejszy. I Michał też tak chciał. I to było najgłupsze chcenie w jego zawodowej karierze, bo zaczął się ścigać i to nie bardzo wiadomo, czy ze mną, czy z przyrostem naturalnym własnych problemów.

Nie potrafił sobie wybaczyć, że nie jest liderem w tym duecie. To moja diagnoza.

Przyjaźń i wspólna praca to dość intymny i ryzykowny duet. Gen rywalizacji na moment zanika, by za chwilę wrócić ze swym najbardziej rumianym obliczem.

Są ludzie, którzy po wejściu do zatłoczonego autobusu próbują powoli dotrzeć do kasownika, by skasować bilet, a są i tacy, którzy proszą, aby wyrwać kasownik i im podać.

No dobra, przesadziłem, pewnie takich nie ma. Ale Michał taki był.

Pod koniec współpracy byliśmy w takich stosunkach, w jakich według biografów pozostają dziś Mick Jagger i Keith Richards. Ten sam zespół, ten sam występ, ta sama zabawa, ale oddzielne garderoby. Także mentalne.

Wszyscy zastanawiali się, co okrutnego zrobiłem Michałowi po słynnej aferze z paniami z Ukrainy. A może raczej – czego nie zrobiłem. Oceniano moją lojalność, wierność oraz męskie oddanie. Nie mając pojęcia o tym, jak zaawansowany w tych wszystkich cechach był mój partner. Ilu złośliwych, gorzkich czy wręcz nieuczciwych wywiadów udzielił. Ile razy kpił z faktu, że nie mam rodziny, a on ma i kocha, i jest dobrym tatą, i tam, gdzie ja wożę siedemsetkonny silnik, to on wozi swoją córkę do przedszkola. Ładne.

Nikt nie zadał sobie pytania, gdzie byłby dziś, gdyby nie rozpoczął współpracy ze mną.

No dobra. Z perspektywy tego, co mu się przytrafiło, to może jednak nie powinienem zadawać tego pytania. I zważywszy, że zaczął prowadzić poranek w Antyradiu w towarzystwie osoby, której poczucie humoru i dystans do świata są jakości i wielkości przeciętnego posiłku w publicznym szpitalu, to w ogóle jest pytanie bez sensu.

Podobno życie składa się tylko w dziesięciu procentach z tego, co ci się przytrafiło, a w dziewięćdziesięciu procentach z tego, co z tym robisz.

Michał swoje życie prywatne spierdolił koncertowo. A dziś robi to także z życiem zawodowym.

Ja nie wiem, kim on dziś jest (co nie jest też moją największą bolączką). Problem w tym, że i on tego nie wie. Facet, który w uśpiony spokój polskiego mieszczaucha strzelał rakietami, dziś suszy kapiszony w marnym towarzystwie.

Pamiętacie słynny cytat z filmu *Wielki Szu*, kiedy Grażyna Szapołowska zwraca się do swego byłego męża, granego koncertowo przez Jana Nowickiego, który właśnie opuścił gościnne więzienne lokum? „Obcięli ci pióra razem z jajami”.

Przepraszam za dosłowność, ale coś jest na rzeczy z tymi jajami. Stary

radiowy punkowiec po przejściach zasiadł w radiowym poranku z poduszkową babcią show-biznesu, która niczym jej prowincjonalne odpowiedniki siedzi całymi dniami w oknie i komentuje życie innych. Taka typowa osiedlowa baza danych.

Karolina Korwin-Piotrowska. Kobieta, która uwielbia cytować siebie oraz skrupulatnie opisywać swe pozostałe zdolności. Gdyby miała poczucie humoru na własny temat, miałaby ubaw do końca życia. Niestety i w tej materii notujemy u niej deficyt. Dziennikarka o guście odzieżowym porównywalnym z gustem Kim Dzong Una i o urodzie, która już raczej nikogo nie rozprasza, własnoręcznie mianowała się prokuratorem generalnym, Piłatem oraz administratorem popkultury.

Ale tak to już bywa z życiem, że jak człowiek nie przeżyje swojego, to bardzo przeżywa cudze. Powołując się na klauzulę sumienia, odmawiam sobie wątpliwej przyjemności dalszego opisywania swoich na jej temat refleksji.

Wracając jeszcze do Michała. Mój ulubiony cytat z filmu *Bрудny Harry* brzmi: „Jak nagi facet goni kobietę z nożem rzeźnickim i erekcją, to zakładam, że nie zbiera na Czerwony Krzyż”. On dobrze ilustruje ryzyko wpisane we współpracę.

Jeśli dwóch facetów przed mikrofonami goni polską nerwicę, śmieszność, kompleksy i wstydlive pudrowane narodowe pryszczki z ironią, uśmiechem i wyraźną erekcją zadowolenia, to nie zakładam, że za chwilę dostaną Order Uśmiechu. Dostaną raczej medialny wpierdół, bo konsekwentnie dzień w dzień następują komuś na odcisk. I tak się stało. Byliśmy pierwszymi dziennikarzami wyklętymi. Dosłownie. Dostaliśmy nawet Hienę Roku, takiego Wiktora dla upośledzonych. Ale nie ukrywajmy. Słuchali nas wszyscy. Od Jacka Żakowskiego po profesjonalnych meneli spod sklepów. U tych drugich zresztą zyskiwaliśmy spore fory.

Kiedys na Powiślu wracam wieczorem do domu i słyszę głos o takiej barwie, jakby ktoś ciągnął sanki latem po chodniku: „Te, cwelu, kurwa, daj drobne”. Odwracam się, oni dostrzegają, że to ja, i raptownie zmieniają tonację: „Przepraszamy, redaktorze. Czy mógłby nas pan dofinansować?”.

Mężczyznę stajesz się także wtedy, gdy uświadamiasz sobie w pewnym wieku, że prezerwatywa bywa w życiu potrzebna bardziej i częściej niż bilet

miesięczny.

Prezerwatywa to ważna rzecz. Przez jej brak straciliśmy Freddiego Mercury'ego i zyskaliśmy Justina Biebera.

Mężczyznę stajesz się także wtedy, kiedy na klatę przyjmujesz uderzenie, które odwzajemnia ci prowokowany przez ciebie codziennie los. Nie wiem, czy mój radiowy kompan zdał ten egzamin. Słynna sprawa z Ukrainkami stała się nie tylko testem naszej relacji, ale i testem relacji zdrowy rozsądek–Polacy.

Euro 2012. Idzie nam jak zawsze. Ale też jak zawsze wszyscy wiemy, że powinno iść lepiej, bo to my, Polacy. Naród wytypowany do wygrywania, z wentylem balona megalomanii w gębie. Wygrywają Polacy. Przegrywają jacyś oni.

Po jednym z meczów Ukrainy, której na mistrzostwach Europy wiedzie się zdecydowanie lepiej niż nam, zaczynamy z Michałem komentować sprawę. Komentować ją tak, jak komentuje cały internet. Jak komentują ją wszyscy w prywatnych rozmowach.

Erupcji podobnego wyziewu nienawiści doświadczyliśmy po mundialu 2018. Wszyscy ulegliśmy zbiorowej iluzji, sycąc się magią naszych piłkarzy jako herosów popkultury. Każde nasze zwycięstwo miało nam i nie tylko nam potwierdzać naszą lepszość. Tymczasem wszystko ujawniło naszą gorszość. I trzeba znaleźć winnego i rzucić na niego nasz święty gniew. My dajemy naszym żartobliwym rozważaniom twarze. Twarze naszych bohaterów, bo audycja ma charakter wcieleniowy. Wcieliliśmy się w niej w dwóch typowych Polaków meneli, trochę jak z Kabaretu Moralnego Niepokoju. Nazywamy ich nawet Misiura i Martenka. Ich oczami patrzyliśmy na świat. Przejaskrawiając, szydząc, nie tolerując, eliminując. Słuchowisko kabaretowe, a więc jakiś rodzaj sztuki radiowej. Sztuka od zawsze służyła za platformę wyobraźni, na której można sobie radzić w kontrolowanej formie z mrocznymi, nieciekawymi, a czasami niebezpiecznymi emocjami. Przyglądać się im, dotykać, targać, poniewierać. Sztuka została wymyślona właśnie po to, aby naruszać granice, eksperymentować, budzić. Grzeczna sztuka staje się kiczem. Dworskim popierdywaniem.

A czasy myśli brukowej, tępej myśli tłumu to nie są dobre czasy dla sztuki, która będąc specyficznym rodzajem komunikacji społecznej, coraz mocniej musi wchodzić w polityczny dyskurs.

To musi skończyć się katastrofą. Szczególnie jeśli trubadurami tej katastrofy są radiowi celebryci, zadowoleni z siebie i na dodatek z wyraźnymi liberalnymi poglądami. Idealny materiał na zamęt umysłowy, a następnie publiczny lincz.

I tak też się stało. Staliśmy się ofiarami konwencji, narodowego wkurwu

i banalizacji nienawiści jako jedyne go skutecznego sposobu znalezienia czytelnika.

Razu jednego opowiadałem o tym Czesławowi Mozilowi:

– Zamknąłeś w jakiejś metaforze, w jakimś przewrotnym tekście, swoją trudną, dla ciebie jasną miłość do Polski, która dla wielu ludzi jest prostym szlagwortem: „Nienawidzę cię, Polsko”.

Czesław na to:

– Tak.

– Czy ty nie miałeś zielonego pojęcia, że to nie jest czas na metaforę? Tu się nie czyta poezji. Tu się czyta nagłówki brukowców. Nie wiedziałeś o tym?

Czesław na to:

– Nie.

Podobnie było z naszym największym hitem *Po trupach do celu*, podtytuł: *Każdy chce leżeć na Wawelu*. Nie mogę o sobie powiedzieć, że nie płakałem po Smoleńsku. Bo nie byłaby to prawda. Taki to był czas, że nawet najbardziej ortodoksyjny cynik jechał na hamulcu ręcznym i zadumany ściągał kaszkiet ze łba. Niestety cyniczni mężowie stanu szybko zaczęli przerabiać ten nastrój w pogrzebowy program polityczny. Zaczęli monetyzować cierpienie i szybko wprowadzać kalkulacje, ile poparcia można zarobić na każdej trumnie. To było obrzydliwe. Był czas pogrzebu, był czas żałoby. My postanowiliśmy rozpocząć stypę. Oswoić rzeczywistość demonstrowaniem dystansu. Trochę jak w tym dowcipie z 11 września: „Przestańmy drwić z zamachów 11 września, tam zginął mój wujek. Był strażakiem? Nie, pilotem”.

Największy wróg Polski od tysiącleci, Donald Tusk, opowiadał mi kiedyś w samolocie do Gdańska, że na Kaszubach nieodłącznym elementem stypy jest alkohol. Zgodnie z ludowym powiedzeniem: „Na smutki napijmy się wódki”.

Mariusz Kałamaga twierdził, że w jego rejonie, na Śląsku, na stypach tańczono i śpiewano okazjonalne pieśni, a dom zmarłego ozdabiano zielonymi gałązkami. Gdziekolwiek jednak impreza ta by się odbyła, zawsze miała jeden cel. Zjednoczenie się i okazanie wzajemnego wsparcia.

No i my przystroiliśmy się z Miśkiem zdobnie i postanowiliśmy wesprzeć wszystkich za pomocą pieśni. A zaczęło się rzeczywiście od jego snu, w którym

objawiła mu się fraza „po trupach do celu” i kiedy się obudził, zrozumiał, że to nie jest sen, tylko znaczący element naszej rzeczywistości. Tekst napisaliśmy na przysłowiowym kolanie (choć od czasu choroby Prezesa to słowo należy chyba pisać wyłącznie z dużej litery). Powstał w kilka minut i taki też miał być jego cel. Spontaniczne działanie obliczone na celowe bezczeszczenie.

Tekst nie był zbyt nachalnym nawiązaniem do Słowackiego, ale jak naród w potrzebie, to nie będzie poeta zbyt długo kopał się z weną. Rymy wcale nie częstochowskie, śmiało można powiedzieć, że one nawet przez Częstochowę nie przejeżdżały. Zresztą oryginał też nie grzeszył specjalnym natchnieniem. *Yeah nigger, I'm still fuckin with ya* et cetera. Nasz wydawca Kamil Olszewski skombinował intro z numeru *Still D.R.E.* Dr. Dre i Snoop Dogga i weszliśmy do studia, w którym już zresztą byliśmy.

Jeden z największych rockowych killerów, numer *You Really Got Me*, co ciekawe skomponowany przez Raya Daviesa na pianinie własnych rodziców, swój efekt brudnego brzemienia zawdzięcza temu, że brat Raya, Dave, lat siedemnaście, pociął żyletką membranę głośnika.

My pocięliśmy żyletką święty spokój. Wszyscy narzekali na granie trumnami w polityczne szachy, ale nikt nic nie zrobił. My zrobiliśmy. Efekt był wspaniały. Nasz przebój był wszędzie. Od *Faktów*, *Wiadomości*, przez *Teleexpress*, po wszystkie lokalne dyskoteki w kraju. To było nasze *Please, Please Me*, nasz *Heartbreak Hotel*. To było nasze *Powiedz Ich Troje*. Pierwszy wielki przebój, a zarazem ostatni. Historia rocka nie zna zbyt wielu takich sytuacji. Polska tradycyjnie podzieliła się na obozy. Tych, którzy chcieli nas zlikwidować po prostu, tych, którzy chcieli nas wysłuchać, a dopiero potem zlikwidować, oraz na tych, którzy chcieli nas zlikwidować, a dopiero potem wysłuchać.

Widziałem kiedyś na YouTube film koleś, który wypija butelkę coli w sekundę. Naprawdę. Tyle samo czasu zajęło Coca-Coli zerwanie współpracy z nami. Piękny czas, który pięknie podsumował Marek Raczkowski: „Cieszę się, że w ogóle jesteś. Ktoś taki jak ty jest bardzo potrzebny. Czasami wywołujesz różne kontrowersje, które zmuszają ludzi do jakiegoś myślenia. Ja ciebie najbardziej lubię za piosenkę *Po trupach do celu*. To było twoje największe osiągnięcie, po prostu arcydzieło. To po prostu jest coś, co ja tak pokochałem, że już nikt mi złego słowa o tobie nie powie”.

Pamiętam dzień, kiedy po długim okresie niewidzenia się, niesłyszenia i generalnie okresie na nie spotkaliśmy się z Michałem w miejscu, które na dłuższy czas stało się miejscem naszych sekretnych randek. W sądzie. Był połową siebie. Póltuszą dawnego Michała. Mściwy los, który tak często prowokowaliśmy, nadepnął go nader boleśnie. Po utracie pracy w Esce Rock, utracił też monopol na własną rodzinę. Czyli inaczej mówiąc, nasz (no może teraz już bardziej mój) kolega z TVP Dariusz G., opisując zagadnienie językiem młodzieżowym, zaczął używać jego konsoli. Czyli podpierdolił mu małżonkę. Według starego porzekadła „prawdziwy mężczyzna powinien postawić dom, posadzić drzewo i spłodzić syna”. Michałowi to się prawie udało, co jednak doprowadziło go do pasowania na życiowego bankruta. Wolę chińską wersję tego przysłowia. Tam każdy mężczyzna musi zrobić T-shirt, dzinsy i podróbkę nike'ów. Wtedy jest synonimem złotego szczęścia.

Na sali rozpraw Michał odczytał swoje oświadczenie z kartki, bo jak mi później wyjął: „Bał się, że znowu coś palnie”, a co tu ukrywać, sąd był na wyciągnięcie ręki. Mnie niestety naszła ochota na przekomarzenie się z wymiarem sprawiedliwości, który dziarsko reprezentowała trzydziestoparoletnia niewiasta. Ale jak mówi stare wietnamskie przysłowie: „Pies, który szczeka, jest niedogotowany”. Wyraźnie nie odczuwałem jeszcze stęchłego zapachu wieloosobowej celi w ZK Łowicz. Podczas naszej krótkiej korytarzowej rozmowy skazańców *in spe* Michał minę miał taką jak ja, kiedy po raz pierwszy w Kambodży spróbowałem ich lokalnego przysmaku, czyli smażonego pająka. Nie była to mina Horatio Nelsona pod słońcem Trafalgaru.

Pamiętam taki tytuł ze strony TVN24 z owego czasu: „Wyszła na balkon, zapomniała, że go nie ma. Spadła z 4. piętra”. Tak wtedy zachowywał się Figur.

Po stopniu wzajemnej serdeczności i życzliwości doszedłem do szybkiego wniosku, że nic tak nie zbliża mężczyzn jak perspektywa wspólnej pryczy albo rzeczywistość wspólnej pryczy współmałżonki z innym. Do końca swoich medialnych dni będę miał świadomość, że w radiu byliśmy jednym wspólnym organizmem. Byliśmy jednym głosem z dwoma głowami. Tacy zawodowi partnerzy zdarzają się rzadko. W porównaniu ze współpracą z nim wszyscy wielcy DJ-e eteru brzmiali jak dźwięk suszarki do włosów. To był chłopak do radiowej zadymy na sto dwadzieścia trzy procent. Niczym frekwencja

w sewastopolskim referendum. I za to, co było wspólne, zuchwałę, łobuzerskie czy po prostu zawodowo gówniarskie, bardzo mu dziękuję.

W ogóle nie chce mi się pisać o Jarocinie.

Jest coś tak stęchłego, dętego i martyrologicznego w narracji ludzi z mojego pokolenia na temat tego średnio wesołego miasteczka, że jak to mawia jedna z moich nieletnich koleżanek: „Ten temat mnie nie zwilża”.

Nigdy w życiu, nawet w czasach największej popularności jarocińskiego festiwalu nie znajdowałem estetycznego sensu w konsumowaniu muzyki w kurzu, smrodzie potu, kreskówkowej anarchii i zapiekaneek. Byłem tam tylko trzy razy i za każdym miałem wrażenie, że odwiedzam mauzoleum Lenina. To było jak muzyczna paraolimpiada. Niezbyt okazałe umiejętności wzniesione na wyżyny przez szczytny rewolucyjny cel. Rezerwat wolności z niewolnikami w środku. Reglamentacja możliwości wykrzyczenia kilku antysystemowych banałów owiana aurą prawdziwego buntu.

Podjechałem tam dwukrotnie jako juror i raz jako dyrektor. Oto ścieżka prawidłowego rozwoju zawodowego. Pewnie gdybym pojechał jeszcze raz, zostałemby syndykiem masy upadłościowej. Jarocin, którym dowodziłem w 1993 roku, wslawił się największym budżetem i nie mniej wielką bijatyką polsko-polską. Chciałem, aby było to polskie Roskilde, niestety problem polegał na tym, że mało kto wiedział, gdzie to jest, a już prawie nikt nie potrafił wymówić tej nazwy prawidłowo.

Najzabawniejsze jest to, że mój program, ten o nazwie *Kuba Wojewódzki*, był ze mną od zawsze. „Zawsze”, czyli tak mniej więcej liceum. Choć w podstawówce kształtowała się już jego wersja *light*. Co prawda zarówno kompetentni pedagodzy, jak i bardziej lotni koledzy widzieli mnie wówczas raczej na posadzie klauna w cyrku, ale co tam. W końcu nie bardzo się pomylili. Zamiast czerwonego nosa zacząłem sobie doklejać czerwone samochody.

To nie jest tak, że ja lubię się wygłupiać. Ja nie potrafię tego nie robić. To słabe, żenujące i występujące u mnie codziennie. „Lubię mówić o niczym, to jedyna rzecz, na której się znam” – mawiał ten, którego skazali na dwa lata ciężkich robót za praktyki homoseksualne. I ja niestety mogę się pod tym z całą

świadomością podpisać. Pod cytatem – nie praktykami.

Chociaż czasem z błahych tematów i rozmów o niczym wylaniał się całkiem ciekawy wątek historyczny. Tak było podczas wizyt Agnieszki Holland.

– Wie pan, problem polega na tym, że widz nie oczekuje w przypadku pornosa żadnej komplikacji stylistycznej – zagaja fachowo.

– A skąd pani wie?

– No bo tak, było parę ambitniejszych pornosów i przepadły. Widz, że tak to ujmę, nie skończył.

– To znaczy pornosy to są jedyne dobre filmy, bo zawsze się dobrze kończą... Widziała pani kiedyś pornosa, w którym ktoś umiera? – kontynuuję jako znawca gatunku.

– Tak.

– Naprawdę są takie pornosy?

– Są też takie pornosy.

– Ale jak to? Że umiera w trakcie?

– Wie pan, teraz, ponieważ rynek pornosów się bardzo tak spłaszczył. Uwiądnął, bym powiedziała...

Ja radośnie:

– No właśnie, pogadajmy wreszcie o czymś ciekawym.

Pani reżyser Holland kontynuuje:

– Tak, rynek pornosów się spłaszczył, ale kiedyś pornosy były filmami kinowymi, nie wiem, czy pan pamięta, i nawet w dużych kinach to grali... Ja na przykład pierwszy raz poszłam na pornosa do kina w Rotterdamie. To był jeden z moich pierwszych wyjazdów na Zachód i z Krzyszkiem Kieślowskim poszliśmy sobie. Ciekawe doświadczenie.

Ja na koniec, jak zwykle rezolutnie:

– Chyba mu się nie podobało, bo nakręcił kiedyś film *Bez końca*.

A ona na to:

– Ale nakręcił też obraz pod tytułem *Czerwony*.

Wracając do *Kuby Wojewódzkiego*. Plan był prosty: zrobić talk-show, który

będzie jak transmisja z celi śmierci. Drastyczny, bezlitosny, nieznający pardonu oraz okoliczności łagodzących. Zakończony egzekucją gościa.

Mieliśmy go robić rok. Nie dlatego, że nie mieliśmy pomysłu na następne lata, tylko dlatego, że istniało duże prawdopodobieństwo, że po roku już nikt do nas nie będzie chciał przychodzić.

Szoł-biznes to świat umowny i my chcieliśmy w te umowę włożyć swoje bezlitosne trzy grosze. Nigdy nie zakładałem, że będziemy zauważalnym aranżerem rzeczywistości. Że otworzymy polityczną karierę Pawła Kukiza (nieprzypadkowo). Że wyraźnie przyczynimy się do zwichnięcia kariery politycznej Bronisława Komorowskiego (przypadkowo) i że zarazimy gangsta rapera z Kielc karierą polityczną.

Pozwólcie, że przypomnę historyczny dialog.

– Masz wzrost, który pretenduje cię do kariery politycznej.

Piotr Liroy Marzec na to:

– Hmmmmm. Tak. W sumie tak, masz rację.

– I co?

I tak, jak ja powiedziałem w 2006 roku, tak on uczynił parę lat później.

Pierwszym reżyserem mojego programu był niejaki Paweł Nowicki, jegomość o bardzo dużym doświadczeniu w reżyserowaniu telenowel w Kolumbii. Nic nie mam do Kolumbii, a szczególnie nic nie mam do ludzi, którzy przywiozą coś z Kolumbii. Niestety, jedyną rzeczą, którą przywiózł ów jegomość, była jego megalomania. I obdarzył nas nią w całość, importowanej okazałości. Nie lubię ludzi, którzy cały czas mają rację, bo to zmniejsza moją szansę na posiadanie mojej własnej racji. Jak powszechnie wiadomo, Kolumbia tak gdzieś od lat sześćdziesiątych ogarnięta była wojną domową i panu reżyserowi udało się tę część swojej drugiej ojczyzny odtworzyć u nas w studiu. W Kolumbii ponad pięć tysięcy ludzi uznawanych jest za zaginionych, my dość szybko postaraliśmy się, żeby do tej cyfry dopisać jeszcze jedno nazwisko.

Program, jak już wcześniej wspomniałem, zaproponował mi Piotr Radzyński, szef firmy Fremantle, który urzeczony chaosem, jaki wprowadziłem w *Idolu*, pierwszy zwietrzył we mnie biznes. Pierwszy odcinek nakręciliśmy ze składem godnym miana telewizyjnego *dream teamu*. Kapitan

Nemo, taki facet w berecie, który dziś pewnie uchodziłby za internetowego dziwaka w stylu Gracjana Rostockiego, a wtedy uchodził za gwiazdę. Drugim gościem była Wanda Kwietniewska, wokalistka grupy Wanda i Banda, przesympatyczna i obdarzona nieprzeciętnie wyrafinowanym złym gustem, a trzecim Krzysztof „Kasa” Kasowski, jak zwykle, bo nikt inny nie chciał.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że każdy szanujący się producent telewizyjny zawsze ma w swoim kajecie listę takich gości, co to nigdy nie odmawiają. Przyjdą wszędzie i zawsze, czy to jest program o granulacjach trocin, bolesnych miesiączkach, chodnikowych sprzątaczkach gum do żucia czy problemie głodu i niedożywienia. Oni zawsze chętnie wpadną, dodadzą coś od siebie, zadumają się nad złożonością świata, ewentualnie pokiwną się na studyjnych kanapach niczym dziecko cierpiące na chorobę sierocą. Do takiej listy dopisali się na przestrzeni lat tacy wielcy Polacy jak Grażyna Wolszczak, Odeta Moro-Figurska, Michał Milowicz, Michał Piróg, Anna Samusioneck, Edyta Herbuś i właśnie wspomniany wyżej Krzysztof „Kasa” Kasowski.

To miał być odcinek demo, a wyszła z tego niezła demolka. I nie chodzi tu o mój stosunek do gości, bo jaki można mieć stosunek do kogoś, kogo się uważa za totalny branżowy plankton lub jak to mówił u mnie swego czasu Jan Peszek: „jednodniowe insekty”.

Talk-show ma charakter rozmowy umownej. To wariacja na temat rozmowy i ja postanowiłem rozpocząć swoją podróż do chaosu od zaatakowania strefy komfortu moich gości.

Panu Nemo zadałem pytanie, jak często ma myśli samobójcze, bo ja przy poziomie jego produkcji muzycznej to bym miał zaraz po przebudzeniu. Dodałem też życzliwie, że gdy przygotowując się do tego programu, posłuchałem paru jego nagrań, był to pierwszy moment w moim życiu, kiedy zazdrościłem martwym.

„À propos martwych. To jest z nami ciągle jeszcze żywa Wanda Kwietniewska” – zagailem przyjaźnie.

Żeby nie było, prywatnie bardzo lubię Wandę, jest bystrą i pyską dziewczyną, która sprawiała takie wrażenie, jakby gustu muzycznego uczyła się korespondencyjnie i niestety znaczna część korespondencji zaginęła.

Wanda zaśpiewała gdzieś w czasach Bolesława Szczodrego dwa szlagiery: *Nie*

będę *Julią* oraz *Hi-Fi Superstar*, a potem głupio się przyznać – było tylko gorzej.

W późniejszych czasach największym sukcesem Wandy było to, że rzuciła wyzwanie menopauzie i zdecydowanie wygrała, gdyż ją przeżyła. „Na świecie jest wiele niesprawiedliwości” – zaczynam podstępnie, Wanda to łyka i coś mówi o głodzie i wojnach. Ja jej przerywam i kontynuuję: „Na świecie jest wiele niesprawiedliwości. Twoja kariera jest jedną z nich”.

Kasa z kolei zawsze wyglądał mi na kozaka z cyklu „ale wczoraj był melanz, piliśmy colę i jedliśmy chipsy do północy”. Taki zwariowany wariat, ale bez szaleństwa. Mówiąc lekko ginekologicznie: śmierdział mi męską pipą.

O takich jednostkach zwyczajowo się mawia, że mają pięćdziesięcioprocentową szansę na karierę. On jej chce, a ona jego nie.

Z mojego punktu widzenia pan Kasa jest wykonawcą skrajnie zbędnym, czego domyślają się chyba już wszyscy, ale czego on sam nie potrafi przyjąć do wiadomości. Kiedyś nagrał kilka piosenek-żartów i najgorszym żartem było to, że (zupełnie jak niektórzy uczestnicy *Idola*) uwierzył w siebie. I straszy do dziś.

Kasie zadałem takie łechcące jego ego zapytanie: czy nie myślał o karierze na Zachodzie, która mogłaby się udać, tylko że musiałby zmienić nazwisko. On biedny, niczym w widowisku *Trudne sprawy*, zaczął rozkminiać, co by było, gdyby tak było. Na serio. Dopiero jak rzuciłem swoją propozycję: „Mógłbyś się nazywać po angielsku, na przykład Nobody. Kris Nobody. To by ludziom na Zachodzie dało do zrozumienia, jak ci idzie na Wschodzie”. Potem zadałem mu pytanie uzupełniające: gdyby mógł mieć jakikolwiek talent, to co to by było? I konwersację obaj mogliśmy uznać za wyczerpaną.

Na zakończenie zapytałem jeszcze pana Nemo, czy jest prawdą, że miał dać kiedyś charytatywny koncert na rzecz chorych dzieci, ale dzieci poprosiły, żeby nie przyjeżdżał. Rozpętało się piekło. Konwencja miała być trochę taka jak u Jerry’ego Springera, czyli najpierw coś, co wygląda na dyskusję, a potem coś, co już nie wygląda, tylko jest najpospolitszą nawalanką, w której swój czynny udział bierze widownia.

Przyszedł komplet. Ci, co mnie lubili, i ci, co mnie nie lubili wcale. Ci, co mnie lubili i chcieli zobaczyć, i ci, co mnie nie lubili i chcieli zobaczyć, jak umieram. Pasjonaci, wariaci, pobudzeni i pojebani. Gdybyśmy nie mieli ochrony, wdarliby się nam na scenę. Krzyczeli, przerywali, wygrażali, wymieniali miejsca pracy

mojej matki i podważali ewidentnie ojcostwo mojego ojca.

Byłem w rajach, gdyż z zamiłowania jestem zadymiarzem. Im ja bardziej dokręcałem śrubę coraz bardziej zamkniętym w sobie gościom, tym szybciej wybrańcy humanizmu z widowni chcieli wysłać mnie pod namiot tlenowy. Ktoś nawet chciał mnie opluć. Kiedyś lider punkowego zespołu TZN Xenna opowiadał mi, że podczas koncertu został opluty przez gościa, który stał pod sceną. Zygzak, bo tak się nazywa wokalista, koncert przerwał i zagaja z ciekawością: „Stary, co ty odpierdalasz?”, a tamten z nieukrywanym podziwem odpowiada: „Nie wiedziałem, jak to wyrazić. To mój wyraz szacunku”. Tak więc nigdy nic do końca nie wiadomo, co i jak, to i tamto.

Gdy zapytałem Kasę, czy to prawda, że atakuje fotoreporterów, którzy nie robią mu zdjęć, temperatura wrzenia stała się faktem.

Eksperyment się powiódł, udało nam się wydestylować czystą nienawiść bez zbędnego laboratorium. To był mój eksperyment więzienny w świetle jupiterów. „Mówcie mi Zimbardo” – szeptałem pod nosem uradowany.

Oddaliśmy kasetę z nagraniem do stacji. Polsat był przerażony. Z przecieków i nie do końca tajnych informacji dowiedzieliśmy się, że zdaniem włodarzy coś takiego jak to, co zrobiłem, powinno spocząć w ultratajnym archiwum NASA. I żeby nikt nie miał do tego dostępu.

Byliśmy w kropce. Mnie się marzył taki program, po którym, gdybym jako autor się położył w oknie życia, to ewidentnie nikt by mnie nie zabrał. Miało być ostro i boleśnie.

Piotr Fajks, jeden z akuszerów mojego talk-show, wtedy pełniący zaszczytną funkcję dyrektora programowego, bardzo naciskał na nazwę *Kuba Rozpruwacz*. Ja chciałem, aby program nazywał się tak jak ja, *Kuba Wojewódzki*, gdyż od dzieciństwa tak się nazywam. Poza wszystkim co to za „rozpruwacz”, gdy zabiera mu się narzędzia rozpruwania. Macie tu faceta, który po każdym orgazmie, nieważne czy swoim, czy własnej partnerki, bije sobie brawo – wykorzystajcie to, argumentowałem na spotkaniach. Niech program ze mną będzie jak klikanie w niebezpieczne linki. Niech po dwóch sezonach ktoś wręczy mi sądowy zakaz zbliżania się do mikrofonu i kamery. Kurwa. Ja nie dostałem tej roboty z urzędu pracy, tylko taki mam temperament. Wykorzystajmy to. Wojtek Jagielski w swych rozmowach robi się już tak nudny,

że nawet bezdomni spieprzają do domów. Mnie nie zależy na długoletniej karierze, ale na wzniecaniu ognia. Nie każcie mi się dymić, kiedy ja się chcę spalać.

Przekonałem ich.

Stacja powiedziała słowa, które zapamiętałem na długo. „Róbcie, co chcecie”.

Postanowiliśmy odrobinę złagodzić kurs i nie wprowadzać programu ostatecznego zlikwidowania kwestii gości. Inaczej: likwidowania gości.

W pierwszym odcinku, który trafił na tak zwaną antenę: postanowiłem dać szansę rewanżu wszystkim tym, którym założyłem skórę w *Idolu*. Czyli prawie wszystkim. Zaprosiliśmy ich do ciekawej zabawy polegającej na odwróceniu ról. Teraz to ja miałem śpiewać, a oni mieli być jurorami. Zgodzili się nieliczni. Są różne formy niewolnictwa. Praca, kredyt, głupie rodzeństwo, małżeństwo. Taką formą może być trauma publicznego wstydu.

Przybyli zatem nieliczni i na dodatek starali się być dla mnie mili. To się chyba w terroryzmie nazywa syndrom sztokholmski.

Ja wykonałem a capella *Do Ani* Kultu (wiadomo dlaczego i wiadomo dla kogo), a te pokraki uznały, że im się podobało. Cholera, może rzeczywiście było w tym coś?

I tak to się zaczęło.

Wiecie, na czym polega problem polskich autorów talk-show? Oni chcą być podobni. Oni mają swoich faworytów za wielką wodą i oni teraz będą nimi tutaj. Dorośli ludzie przy swoich tokszółowych idolach zamieniają się w bezkrytycznie rozhisteryzowane fanki Honoraty Skarbek.

Piotrek Kędzierski, kiedy szykowaliśmy demo jego programu, chciał się nawet ubrać tak samo jak ten Fallon czy ten Kimmel. Za nic mając moje sugestie, że widz nie zasiądzie przed ekranem wiedziony zagraniczną legendą: ej, chodźcie, zobaczymy dziś wieczorem tego, co się tak samo ubiera jak tamten.

Już Boy-Żeleński pisał, że nic się tak nie powtarza, jak ekscentryczność i oryginalność.

Oryginalność to sztuka obejrzenia wszystkiego, co mnie inspiruje, i zapomnienia o tym. Wymyślenia siebie na nowo. W wersji dogmatycznie oryginalnej. Ja tak zrobiłem i nikt mi nie udowodni, że jestem podobny do

kogokolwiek. I tu skromnie postanowiłem to nazwać moim małym sukcesem.

Misiek Koterski wyznał mi swego czasu:

– Mogę ci od razu odpowiedzieć, na kim się wzorowałem zawsze?

– No?

– Na tobie!

– I co?

– I taka kłapa!

Talk-show to zabawa w rozmowę. To gadka z atrakcjami. Jak to ładnie zdefiniował Woody Allen: „Sytuacja, w której dwie osoby nie mają sobie zupełnie nic do powiedzenia, używając do tego wielkiej liczby słów”. Bo takie rozmawianie to konwencja, to wariacja na temat rozmowy, której ciężar gatunkowy leży w lekkości. Taka jest prawda.

Niestety w naszym kraju, otępiały od nieczytania, niesłuchania, zamulenia tabloidami i prześladowanym przez najgorszy nowotwór informacyjny, czyli tak zwane serwisy plotkarskie, czytanie ironii, metafory lub abstrakcyjnego dowcipu notowane jest w stanach niskich. Polakowi trzeba często powiedzieć powoli i podając terminy: „Uwaga, zaraz będzie żart”. „Uwaga, to jest kabaret, facet przebrany za babę. To raczej śmieszne. Wypada się śmiać”.

Tutaj jest trochę trudniej. Rozmowę trzeba umieć konstruktywnie zdemolować. Nie bać się komunikacji na różnych levelach. Jednym daj powód do rechotu, innym do refleksyjnego he, he, he.

Na przykład taka pocieszna konwersacja z przeuroczym Ryszardem Kaliszem:

– Ja zawsze zazdroszczę, tak wiesz, facetom, którzy dużo jedzą i są szczupli. Bo ja mało jem i jestem gruby – składa zażalenie Ryszard.

Ja na to okiem ornitologa i fachowca odpowiadam:

– Ale ty podobno jesz jak wróbelek, a wróbelek zawsze jada tyle, ile waży.

Kalisz jest fenomenem całkowicie niezrozumiałym przez facetów.

Otóż Kalisz działa jak planeta, która przyciąga inne planety, ale wyłącznie płci przeciwnej. I nie boi się nawet takich wyzwiań. Pytam go, jak na planetę o solidnej kubaturze przystało:

– Brałeś kiedyś viagrę?

On na to:

– Słuchaj, to jest piekielnie trudne pytanie i każdy mężczyzna, który mówi, że nie brał, kłamie.

Ciekawe, co na to Tomasz Terlikowski. U mnie wyznał, że nigdy nie brał. Nawet do ręki.

Nie należy się bać gościa i jego prywatnej strefy kibica, którą ze sobą przytaczał. Nie można się dać przecwelić jego blaskiem.

Pamiętam oburzenie mediów zajmujących się sportem, gdy pięściarskiemu mistrzowi Jerzemu Kulejowi zadałem pytanie, czy miał kiedyś podczas walki atak biegunki lub czy zdarzało się, że podczas zwarcia na ringu rywal całował go po szyi.

Wicie, dlaczego zadałem takie pytania? Bo nikt nigdy wcześniej ich nie zadał. Bo nie wypadało, bo mistrz, bo telewizja. Gówno prawda.

W Polsce talk-show traktuje się jak gatunek inteligencki i nobliwy. Telewizyjne spotkanie z ciekawym człowiekiem. Rzygać się chce.

Zabawa na poziomie nie musi oznaczać zabawy na wysokim poziomie intelektualnym. Szczególnie w przypadku gości, u których liczba promili we krwi bywa wyższa od współczynnika inteligencji. Jerry Springer, klasyk telewizyjnych rzezi, mawiał: „Czasami intelekt przeszkadza się bawić”.

Rozmowa musi być jak spacer po polu minowym. Co chwilę musi wybuchać ładunek o nowej sile rażenia. Oprah Winfrey, taka czarna Irena Szewińska amerykańskiego talk-show, wyznała kiedyś: „Jeśli w studiu nikogo nie zabijesz, nie licz na publiczność”. Springer, mistrz walk KSW, w trakcie programu nie ukrywał nigdy prawdy o gustach widza masowego: „Mąż zdradzający żonę z sąsiadką to standard. W programie musisz mieć męża zdradzającego żonę z sąsiadem. Najlepiej czarnym i na wózku inwalidzkim”. Już słyszę te intelektualne głosy oburzenia owrzodziały od swej miałkości intelektualistów. Jak tak można? Klasyk gatunku Jay Leno często mawiał: „Jak nie możesz zrobić w studiu rzeczy wielkiej, zrób przynajmniej rzecz głośną”.

Goście wiedzą, że talk-show to program opiniotwórczy i wieczorna enuncjacja jutro rano zagości na pierwszych stronach gazet i witryn

internetowych. Dlatego Jan Rokita chętnie i bez specjalnego zakłopotania wypalił, że chętnie dałby po ryju Leszkowi Millerowi, Jan Nowicki stwierdził, że ojciec Mateusz, czyli Artur Żmijewski, nie ma jaj, a jego dystans do siebie odjechał dawno na rowerze księdza, a Doda pokazała prosto do kamery swój wzgórek Wenera, na którym majestatycznie wytatuowane były litery RM, czyli inicjały ówczesnego partnera Radosława Majdana. Pewnie napisała to, żeby futbolista łatwiej mógł trafić.

Skądinąd zabawnie wyglądałby Rokita, krakowski myśliciel i humanista, którego jest w stanie pobić średniej wagi i takowej też urody niemiecka stewardesa, w zwarcu z Sokratesem z Żyrardowa, jak go malowniczo określił kiedyś Janusz Palikot. Byłoby na bank liczenie. Jan liczyłby do pełnego nokautu, a Leszek do emerytury.

Słynne stwierdzenie PIS-owskiego spin doktora Adama Bielana, że IV RP obalili Wojewódzki z Majewskim, pokazuje, że nawet z pozycji rozrywki można aktywnie uczestniczyć w rzeczywistości. Na poziomie brawurowych dowcipów wujka Mariana na imieninach, jak to często bywało u Szymka, albo na poziomie grubej przesady, jak zdarzało się u mnie.

Dobry autor talk-show to postać, która z pogawędki potrafi uczynić happening, w którym zaczyna brać udział coraz więcej osób. Pamiętajmy jednak, że według kanonu gatunku talk-show to strefa eksterytorialna. Wolna od mieszczańskiej przyzwoitości, poprawności politycznej, estetycznej, religijnej, obyczajowej. Bezpruderyjna i karmiąca się żywiołem wolności. Bo przeginanie pały uważam za takie samo prawo obywatelskie jak udział w wyborach.

Kiedyś Piotr Najsztub zarzucił mi, że zbyt często mieszam słowo „cycki” ze słowem „ojczyzna”. Odpowiedziałem mu, że chcę mieć bliski kontakt z obiema tymi namiętnościami, chcę, żeby były wielkie i dumne. Bo tak między innymi rozumiem wolność, nie tylko słowa, w mediach. Inni goście już dawno zrozumieli konwencję i świetnie się w niej odnaleźli.

Przychodzą do mnie Paweł Małaszyński i Piotr Rogucki. Siadają na kanapie i Rogucki zagaja:

– To co. Dupa, cycki?

Paweł dodaje:

– Od czego zaczynamy?

Niestety w czasach dyktatury umysłu zaciemnionego, w czasach triumfu niewiedzy i dzikich instynktów, potrzeby linczowania każdego, kto ma w sobie jakąś inność, taka zabawa może być ryzykowna. Serwisy internetowe każdy żart, zabawę słowem, absurd czy chwilowe rekonfigurowanie stereotypów zaraz zamieniają w agresję, obrazę moralności, deklarację światopoglądową.

To nie jest kraj swobodnej myśli. To jest kraj radosnego oczekiwania na brukowy lincz. U nas tylko zła wiadomość to dobra wiadomość. Klikają się tylko katastrofy, więc każdy musi być katastrofą, bo inaczej się nie opłaca. Wyłącza się mózg i zapala instynkt komercyjnego zabijania. Słowem, komentarzem, obelgą i pomówieniem.

Mnie się parę razy udało uaktywnić rodzimego cyberkołtuna.

O bestialskim pojedynku pomiędzy Kazią Szczuką a prezenterką Radia Maryja Madzią Buczek, specjalistką od podwórkowych kółek różańcowych, dyskutowała cała Polska. Mało kto wie, ale to wciąż jeden z moich najdroższych dialogów w mediach, jeśli w ogóle nie najdroższy. Polsat za kilka luźnych i żartobliwych refleksji na temat DJ-ki toruńskiej rozgłosił, o której nikt wcześniej nie słyszał, a mało kto widział, musiał wybecalować 500 tysięcy złotych. To tylko uwypukliło moją dewizę unikania wszystkiego, co podobno religijne, w myśl zasady: „Jezus nadchodzi. Udawaj, że jesteś zajęty”.

Podobnie było ze słynnym wkładaniem flag w kupę.

Marek Raczkowski wyznał w Tok FM, że słyszał o takiej akcji w małej i schludnej Szwajcarii, gdzie takimi właśnie plakietami z flagą Helwetów w kupie nie mniej helweckiego psa walczone z zasrywaniem kraju. Podczas wizyty u mnie w programie i jego, i aktora Stelmaszyka ten śmierdzący temat ożył. Nikomu nie trzeba przypominać, że w polskich miastach psy walą kupy w tempie bramek Cristiano Ronaldo, a chodniki wyglądają jak obrus po świątecznej kolacji z bimbrem i ćwikłą. Zaimprovizowałem happening z przygotowaną syntetycznie artystyczną psią kupą i małymi flagami. Panowie, wiedzeni innym kalibrem postrzegania i flagi, i patriotyzmu, flagi w niczego niewinnej kupie umieścili. Ja byłem tylko kustoszem całego, mocno symbolicznego zamieszania.

Dla mnie było to działanie dziennikarsko-publicystyczne, tyle że dla umysłów

otwartych nie na przestrzał. A może przesadzam z tym dziennikarstwem.

Swego czasu miałem taki dialog z Mikiem Tysonem:

– Ty jesteś wojownikiem. Ja jestem dziennikarzem.

A Mike na to:

– Ja jestem wojownikiem. Ty jesteś komikiem.

No i gównu wpadło w narodowy wentylator. Niewiele są warte nasze uczucia patriotyczne, skoro może je urazić taka instalacja.

Jak bowiem powszechnie wiadomo, miejsce flagi jest na ołtarzu, a jedyna prawidłowa wobec niej postawa jest klęcząca. Wolność artystyczna, a podkreślam: obaj panowie są artystami, nie istnieje. Czytanie metafory wymaga myślenia. Nasza nadęta wersja patriotyzmu wymaga tylko krwi i cierpienia. Reszta jest zbyteczna.

Nikomu nie przeszkadza łączenie polskich barw narodowych z krzyżem celtyckim, falangą czy swastyką. Widocznie takie mieszanie ich z błotem jest bardziej strawne, niż gdy do narodu i jego patriotycznego wzdęcia podejździe się z humorem.

Zawsze mi się wydawało, że w tym zwykłym, ludzkim patriotyzmie obowiązkiem jest także dbanie o naszą przestrzeń, czyli między innymi o likwidowanie tych kup. Gównu prawda, powiem metaforycznie. Znowu zabuliliśmy za happening 500 tysięcy, czyli razem będzie już milion. A to nie jest moje ostatnie słowo! Sprawa trafiła nawet do Sądu Najwyższego, który wyrok utrzymał w mocy. Widocznie psie kupy na ulicach to nasza racja stanu i dobro narodowe.

W programie *Kuba Wojewódzki* uwielbiam rozmowy na każdym levelu.

Uważam, że przetrwałem ponad szesnaście lat także z tego powodu, że nie przesadzam czasami z własną inteligencją i niejednokrotnie nie maskuję własnej głupoty.

Moja ulubiona dziennikarka Marzena Rogalska często powtarza: „Ludzie mnie lubią, bo nikogo nie udaję”. A ja wolę powiedzieć: „Ludzie mnie nie lubią, bo nie wiedzą, czy udaję, czy nie”.

Z Popkiem, królem Albanii, ucieliśmy sobie na ten temat krótką konwersację:

– Paweł, mówisz o sobie, że jesteś inteligentnym debilem.

On na to:

– Tak.

– No, nie przyznawaj się tak szybko!

– Nie, nie, nie. Jak patrzę na ciebie... Troszkę przypominasz króla Albanii, czyli mnie. Jak na ciebie patrzę, to mi się wydaje, że tylko inteligentna osoba może udawać debila w telewizji...

Trafił swój na swego.

Ale cenię rozmówców, którzy wnoszą inteligentny humor czytelny dla wszystkich. Tak było na przykład z Danielem Passentem.

– Chciałem panu podziękować za artykuł przed wyborami, który pan napisał, że kto chce głosować na PiS, powinien poradzić się lekarza lub skontaktować z pielęgniarką, już nie pamiętam, jak to było dokładnie.

Zaczyna Passent:

– Dokładnie było „z farmaceutą”.

Odpowiadam:

– Naprawdę?

On:

– Tak, tak.

– Dlaczego się to panu podobało? – dociekam.

– Bo wie pan, koło naszej apteki zauważyłem pewien ruch.

Cieszę się, że u mnie obok wszędobylskiego heheszkowania pojawiają się też wątki refleksyjne i czasem autobiograficznie bolesne. Tak było na przykład z Piotrkim Roguckim. Półaktorem, półrockmanem, a w całości geniuszem.

Zagadnąłem go, czy nie boi się, że jego aktorski wizerunek spycha go trochę w okolice wizerunku chłopka roztropka. On na to:

– Kiedyś przyszliśmy do naszego pana od matematyki z grupą ludzi, po zakończeniu szkoły podstawowej. Sytuacja wyglądała tak: on już uczył w liceum, był naszym guru przez podstawówkę, było nas trzech i on mówi tak: „Ty, Michał, będziesz, kurczę, biznesmenem”. Do drugiego mówi: „Będziesz naukowcem, matematyka to jest twój żywioł, to jest twój świat”. Popatrzył na mnie i mówi: „A ty, kurwa, Rogucki, jesteś taka zwykła polska pyra”.

Dla kontrastu. Jedna z wizyt Edyty Górniak. Pytam ją:

– Dlaczego umieściłaś w internecie zdjęcie swego syna umorusanego kupą?
Dla ludzi jesteś czystym mitem. Mitem Kopciuszka, królową ludzkich serc.

Edyta na to:

– Mam to w dupie.

Czasami jakością w widowisku, jaką jest niekontrolowana pogaducha, staje się balansowanie na krawędzi.

Odbyłem onegdaj dosyć ciekawą konsultację z Tomkiem Jachimkiem na temat jego nietuzinkowego uzębienia. Zagajam przyjaźnie acz dociekliwie:

– Jak często zagląda do ciebie Wróżka Zębuszka?

Jachimek:

– A czemu pytasz?

– Bo mam wrażenie, że codziennie coś ci zostawia, ale nie do kompletu. Co ty na to?

A Tomasz nie bez wdzięku odnosi się do zagadnienia:

– Jestem tu od dwunastu minut i od dwunastu minut żałuję, że przyszedłem.

Świetni są goście współpracujący, czyli tacy, którzy konwencję rozumieją i potrafią przyjąć *a vista* nową rolę. Tak było podczas wizyty Krzyśka Materny i Ani Wyszconi, wówczas wokalistki grupy Łzy.

Ania była tak stremowana i zdenerwowana moją wcześniejszą pogawędką z Materną, że gdy sama zasiadła na kanapie, zaniemówiła. Nie ukrywam, że potrafię być szybkim i w miarę błyskotliwym rozmówcą. Potrafię zamknąć szufladę na klucz tak szybko, żeby klucz schować do środka. Potrafię zrobić jajecznicę z kleju i starej tapety, ale jak w talk-show siada przed tobą gość, który nie mówi, to nie wiesz, czy go przewinać, upudrować, adoptować, czy jak to mówi Jack Nicholson w *Locie nad kukułczym gniazdem*: „Nie wiadomo, czy się zesrać, czy nakręcić zegarek”.

I wtedy wpadamy z Krzysztofem na świetny plan. Ania nie potrafi odpowiedzieć na żadne pytanie, to my dostosujemy pytanie do tego, co

wypłoszona wokalistka zdoła z siebie wykrzesać. I zaczynamy.

Krzysiek:

– Niech pani coś powie.

Ona:

– Przyszłam tutaj, aby promować nową płytę.

Ja:

– Aniu, dlaczego i po co tutaj przyszłaś?

Ona:

– Zawsze marzyłam, żeby usiąść u ciebie na kanapie, ale nie wiedziałam, że to takie trudne.

Krzysiek:

– Czy miała pani jakieś marzenia związane z programem Kuby?

Ona:

– To jest naprawdę fajna płyta.

Ja:

– Aniu, powiedz nam coś o płycie.

I tak nam mijał miło czas.

Moim zdaniem, chcąc być dziś w telewizji, trzeba pielęgnować w sobie tajemnicę. Niejednoznaczność. Mądrze się reglamentować. Wysyłać czasami fałszywe znaki i mylić tropy.

Marek Koterski powiedział mi swego czasu mądre słowa, których nie chciał przyswoić jego pierworodny Misiek: „Szoł-biznes – prawil Koterski senior – to nie jest wyścig. To jest maraton. Trzeba umieć rozłożyć siły. Niektórzy zachowują się tak, jakby wierzyli, że tych sił im starczy tylko na kilka pierwszych kilometrów”.

Lubię prowokacje, chociaż to słowo wyprane jest dziś z treści i wypchane wiórami. Staniało i straciło artystyczny sznyt. Lubię sam siebie czynić przedmiotem prowokacji. W satyrze jest jak w tenisie. Celuje się w linię. Czasami niestety musisz przestrzelić. Gdy wszyscy na około grają asekuracyjnie, jest to gwarancją nudy. A twoje wysoki są gwarancją społecznego szafotu. Skandal, zadyma, szok, jak już ustaliliśmy, to słowa

wyblakłe, ale też niedefiniujące kalibru pomysłu. A z tym bywa różnie.

Gdy na mojej kanapie zasiadła niezapomniana Marysia Czubaszek i zaczęła sypać niezastąpionymi myślami w stylu: „Wszystkie kobiety są piękne, tylko nie po wszystkich to widać” lub „My nie mamy nastrojów. My mamy hormony”, w pewnym momencie zapytała, czy może palić w trakcie rozmowy. Zgodziłem się, bo znałem jej upodobania. Mało tego, przygotowaliśmy się na taki obrót sprawy, umieszczając pod jej kanapą koncertową maszynę do robienia dymu. Efekt przerósł nasze najśmielsze oczekiwania. Pani Maria zaczyna kopcić peta, wypuszcza dym, a wokół robi się gęsto i biało. Ona nie zdając sobie sprawy z podstępu, spokojnym głosem oznajmia: „Muszę się znów przetrzucić na te z filtrem”.

Nie inaczej z zaskoczeniem było podczas pierwszej u mnie wizyty Marcina Prokopa. Umówiłem się z widownią, że na jego wejście brawo będzie bił tylko jeden widz, taki o mało przejrzystym spojrzeniu, na dodatek odziany w dres. Po chwili, co wynikało z mojego podstępного planu, gdy tylko zacząłem rozmowę z moim gościem, publiczność zaczęła dyskretnie opuszczać studio. Nie wiem, czy pamiętacie jego minę? Taką samą miała moja babcia, gdy postanowiła jeszcze za życia zamówić sobie trumnę i trafiła na szyld „Zakład Pogrzebowy – Dariusz Wyrucha”.

Zabawa z miękkim mobbingiem może przyjąć też bardziej technologiczny wymiar. Gościli u mnie na sofach Michał Figurski, opromieniony pierwszym skandalem, gdy w radiu RMF FM zagrał hymn Polski na pośladkach, własnych niestety, oraz Darek Kordek, aktor, który się kolorowo zaczął, a tak jakoś bezbarwnie, bez wyrazu skończył. Korzystając z okazji, że Michał miał na sobie skórzaną kurtkę, której błękitny kolor zwęzał źrenice w obrębie dzielnicy, postanowiliśmy Darka podnieść na zawodowym duchu. Tak ustawiliśmy kolor na monitorze w studiu, że Figur był kolorowy, a Darek lekko bezbarwny. Taki jakby z koloru wyprany. I nagle ja zagajam: „Stary, co się z tobą dzieje? Jakiś taki zrobiłeś się nijaki, mało wyrazisty dosyć. Spójrz sam w monitor. I Darek patrzy, i widzi, co widać. Jego dotychczasowa mina gaśnie jak Popek po spotkaniu z Pudzianem. Zaczyna mamrotać pod nosem: „No rzeczywiście. Muszę się za siebie wziąć. Chyba będę chory”.

Koniec żartów.

Polska lubi się co jakiś czas stać jedną wielką komisją Macierewicza i ferować wyroki ostateczne. Tak było z tak zwaną aferą ukraińską, tak było z flagami w stolcu psa. Lubimy takie obrzędowe definiowanie naszego narodowego „my”. Najchętniej przez wspólnego wroga – dobrze, żeby był popularny, bo wtedy siniaki na jego duszy bardziej smakują. Polacy, jak się w jakiejś sprawie nakręca, to zgodnym chórem powtarzają najbardziej jednostronne idiotyzmy. Kiedyś świat objaśniali filozofowie, mędracy, dziś zawodowi nienawistnicy z tabloidów. Ale dla spójnej satysfakcji narodu widocznie i oni są potrzebni.

Jak mi to kiedyś pięknie powiedział Franciszek Starowieyski: „Uzasadnieniem życia kundla jest cudza łydka”.

Gdyby redaktorzy „Super Expressu” opowiadali nam dziś świat dosłownie, to *Lot nad kukulczym gniazdem* jest chamską kpina z chorych psychicznie, a komedia *Sami swoi* brutalną napaścią na Zabuzan siłą i gwałtem przeniesionych na Ziemię Odzyskane.

W Polsce, jak pisał Lec: „Ciasnota umysłowa się rozszerza”. A ja ciągle uważam, że istnienie w mediach takich kretynów jak ja najlepiej świadczy, że demokracja wciąż działa. Że działa wolność słowa i potwierdza się jej czasem bolesna logika. Problem polega na tym, że uważam, iż sensem mojej obecności w mediach jest ciągle chodzenie po krawędzi. Moja kariera to od lat wiszenie nad przepaścią. Wybaczcie, ale świat mi się podoba wyłącznie z takiej perspektywy. Tak jest na przykład z moim domniemanym homoseksualizmem.

Wszystko zaczęło się ode mnie i od mojego programu. Mentalnie Polska jest czasami jak wielkie więzienie. A w więzieniu słowo „pedał” jest na topie słów poniżających. Jesteś cwelem, można tobą pomiatać, poniżać, można z tobą zrobić wszystko. Część społeczeństwa ma ten sam odruch. A we mnie nie ma na to zgody. I zacząłem, bo lubię przewrotność, nawet na krawędzi autodestrukcji, czynić sugestie, że się jeszcze orientacyjnie waham. Że mnie ciągnie do Słupska. Że może jednak jestem waginosceptykiem. Taki *coming out* na pół gwizdka. Nie trzeba być prorokiem, żeby wiedzieć, że to chwyci. A jak na wizji wymieniliśmy radosne pocałunki z Borysem Szycem czy Bartkiem Gelnerem oraz flirtowaliśmy werbalnie, by nie powiedzieć: oralnie, z Robertem Biedroniem, wszystko było jasne. Szczególnie dla tych, którzy wszystkich myślących inaczej muszą sobie usystematyzować według katalogu – Żyd, pedał,

lewak.

Biedroń to świetny gość. Taki dialog na przykład.

Ja:

– Kiedy ostatni raz miałeś naprawdę kobietę?

On:

– W jakim sensie?

– W czytelni, kuźwa – ironizuję.

On:

– Byłem ostatnio! „Cała Polska czyta dzieciom” czy coś takiego, czytałem bajki dla dzieci.

– Jaką bajkę czytałeś?

– *Z Tango jest nas troje*.

– Przepraszam?

– *Z Tango jest nas troje*. O dwóch pingwinach samcach, które wychowywały wspólnie potomstwo.

– Ty nawet bajki gejowskie wozisz ze sobą?

– Nie wożę, czytam. Dzieciom.

– A *Sierotkę Marysię* czytałeś?

– Nie interesują mnie kobiety, nawet w tym sensie.

– Naprawdę? Rozumiem, że *W pustyni i w puszczy* czytałeś tylko te dialogi, które wygłasza Staś, a Nel tylko kartkowałeś?

To taki mały *crash test* polskiej tolerancji. Przy retoryce Wojtka Cejrowskiego czy Krystyny Pawłowicz to niewinny plac zabaw. Uwielbiam ten pojęciowy zamęt, jaki czasami widzę w internecie.

Na przykład: „Wojewódzki, nie dość że zdeklarowany gej, to jeszcze pedofil, bo woli młode dziewczynki”. To chyba jakaś pseudokatolicka obsesja i lęki. Może czasami wyparcie. Może lęk przed własnymi myślami i pokusami. A ja lubię rozmawiać z gejami, bo mają rzadki luz i poczucie humoru.

Zagaduję kiedyś Tomka Jacykowa:

– Tomek, wyobraź sobie, że możesz uprawiać seks z Aleksandrą Kwaśniewską, Jolantą Kwaśniewską, Aleksandrem Kwaśniewskim. Kogo wybierasz? Mała beza, duża beza i Filipińczyk.

Jacyków na to:

– Nikogo. Chodzę głodny.

Kiedyś mój kolega gej powiedział mi: „Oglądam gejowskie filmy porno, widzę silne, napakowane karki z tatuażami. Oglądam manifestacje narodowców, a tam silne, napakowane karki z tatuażami...”. Kto więc wie, jak jest naprawdę?

U nas mam wrażenie, że nawet zwrot „wyjść na tym jak Zabłocki na mydle” ma gejowski podtekst.

À propos podtekstów, to raz u jednego gościł u mnie Tomasz Kot. Jak zawsze genialny i jak zawsze w wysokiej nie tylko gabarytowo formie. Zagaduję go, czy ma przyjaciół w świecie filmu.

Kot odpowiada:

– Z Maćkiem sobie esemesy piszemy.

Ja:

– Z Maćkiem Stuhrem?

Kot:

– Tak.

– Jakie na przykład?

– Bo Maciek jest jedynym powodem, dla którego ja w ogóle kupuję gazety. Jak widzę wywiad z nim albo coś, to od razu kupuję.

Ja na to:

– W „Przekroju” ostatnio był bardzo dobry.

– O, to po „Przekroju”, tak właśnie... Ja za każdym razem mu piszę takiego esemesa: „Bardzo ci dziękuję za twoją dyskrecję. Kolejny raz nie wspomniałeś o mnie. Świadczy to o twojej dużej klasie”. I tak to trwa. I po „Przekroju” napisałem mu: „Wiem, że kiedy mówiłeś o Warlikowskim, myślałeś o mnie. Powstrzymałeś się i za to ci dziękuję”. A on mi odpisał: „Jak jeszcze raz przeczytasz wywiad ze mną, to cię zajebię”.

Kiedy po okresie eksperymentów z reżyserami i formułą nastał czas mojego bliskiego kamrata z liceum ogólnokształcącego i współnika z „Brumu” Tomasza Dąbrowskiego, jak to zwykle skrupulatnie odnotowywał Dariusz Szpakowski: „Poprzeczka została podniesiona na wyższą wysokość, to znaczy wyżej”. I od razu zrobiło się lepiej.

Mój program miał kilka momentów zwrotnych. Opowiem wam o trzech.

Dla mnie, człowieka klótlwego, niecierpliwego i ewidentnie histerycznego, fakt robienia czegoś blisko siedemnaście lat zakrawa na życiowy cymes klasy premium. Ja po prostu szybko się nudzę. Jak Sławomir Peszko bez milej atmosfery. Trochę jak w tej historii: „Stefan przestał brać narkotyki. Stefan przestał pić alkohol. Stefan rzucił palenie. Stefan porzucił złe towarzystwo. Stefana zabiła nuda”. To ja tak mam. Musi się dziać, a najlepiej szybko zmieniać.

Momentem przełomowym w pierwszym sezonie mojego programu była pierwsza u mnie wizyta Edyty Górniak. Nie było łatwo. Artystka miała wypocić premierowo swój nowy numer, ale zapomniała z domu swego ulubionego mikrofonu wysadzanego brylantami czy czymś podobnym, a do innego nie chciała oddać głosu. No to jedzie kierowca do domu Edzi po mikrofon umajony błyskotkami, żeby nie zbliżała ust do byle czego. Kierowca kołata do sanktuarium, we wskazanym miejscu znajduje różne przedmioty przypominające mikrofon, ale o całkowicie innym przeznaczeniu i zażywane z całkiem innej strony. Ona niewzruszona tłumaczy, gdzie leży to niepowtarzalne wokalne dildo. Jest. Publiczność czeka, mikrofon jedzie, zaczynamy z opóźnieniem. Siadamy na kanapach, ona zdejmuje swe sportowe obuwie i zaczyna mi świecić stopami à la Pocahontas. A ja jestem najbardziej znanym i notowanym, obok Szymka Majewskiego, krajowym fetyszystą stóp. Robi się zatem swobodnie i swawolnie. Zaproponowałem jej grę w stylu *Koła fortuny*, na którym to kole wypisaliśmy różne nazwiska oraz epizody z obfitego życia mego gościa. No i ona tym kołem zaczyna kręcić, ale to nie wszystko. Po kręceniu zaczyna mówić i czuć, że nie kręci. To był pierwszy erotyczny *coming out* po 1989 roku. Przy tym Frytka, dziś błogosławiona między podobnymi niewiastami, szturmująca waginą jacuzzi w *Big Brotherze*, to mały pryszcz. Tu mamy pornola duchowego, a tam pornola typowego.

I tak dowiadujemy się, że jej były partner Piotr Gembarowski podsłuchiwał ją w domu za pomocą wymyślnej automatycznej sekretarki. I gdy ona płakała, to on za chwilę dzwonił i pytał o nastrój, bo coś wyczuwa, że może być smutna. Gdy ona się z kimś kłóciła, to za chwilę dzwonił i pytał, jak nastrój, bo on wyczuwa w powietrzu gniew i napalm. Gdy uprawiała autoerotyzm, to dzwonił, że zaraz będzie. Taki sprytny spec od starych technologii. Dziś podobno pracuje w wywiadzie.

Dowiedzieliśmy się, że Robert Kozyra potrzebował jej do zaistnienia na kilku okładkach oraz używał jako siatki maskującej ponoć jakąś wielką tajemnicę. A Piotruś Kraśko był porządny, ale trochę nudny, i nie chciał seksu w samochodzie. A Kordek Darek, choć planowali ślub, to pożyczał od niej kasę i nie oddawał i ona postanowiła oddać go innej.

Mój program ma godzinę czasu antenowego, czyli tak mniej więcej 45 minut netto czasu mojego, i daję wam słowo: po raz pierwszy czułem, że zaczyna mi go brakować.

Co ciekawe, drugim gościem miał być słynny specjalista od bycia specjalistą, czyli Piotr T. wraz z wilczurem o jakże przerażającym imieniu Baby. Piotr T. jest obecnie ścigany za rozpowszechnianie dziecięcej pornografii, więc zajmowanie się dalej Tymochowiczem uważam za zbędne. Zresztą zbędny jest generalnie człowiek, który z Andrzeja Leppera zrobił politycznego Justina Biebera. To też był jakiś rodzaj pornografii. Poprosiłem zatem Piotra, żeby sobie poszedł, co przy moim ówczesnym wizerunku pierwszego chama Rzeczypospolitej nie zostało zbyt surowo ocenione.

I w ten sposób zrobiliśmy pierwszy monograficzny odcinek z Edytą Górniak, który wstrząsnął wszystkimi, ze szczególnym uwzględnieniem jej byłych. Działo się. Mówili o nas wszyscy.

Kolejnym programem przełomowym był odcinek z Janem Rokitą i Agnieszką Rylik.

Rokita był wtedy najgorętszym nazwiskiem w mediach. Jest rok 2003 i słynna komisja śledcza do zbadania tak zwanej afery Rywina, czyli próby odpowiedzi na pytanie, kto kogo i za ile przy okazji, gdy ten z tamtym. Była to pierwsza komisja śledcza, której obrady na żywo transmitowała telewizja,

i Janek był w niej moim odpowiednikiem z *Idola*. Błyszczał, nękał i zdobywał laury. O wywiad z nim zabiegali wszyscy, czyli respekt przed szeryfem Janem, premierem z Krakowa. Był wtedy postrzegany jako człowiek tak wielu talentów, że potrzebowano by przewodnika, żeby ten opowiedział o wszystkich wyczerpująco. I jakimś dziwnym zbiegiem dziwnych okoliczności człowiek, którego pół Polski tytułowało „panie śledczy”, wylądował u mnie na kanapie, gdzie od razu zagościła konwencja – per Jasiu, per Kubusiu. Trzeba umieć negocjować ze światem warunki swego istnienia i ja wtedy poczułem, że to potrafię i że to działa. Wciągnąłem Rokitę na swój teren i zaprosiłem do zabawy. Podobnie było z Joanną Senyszyn, szalenie barwną posłanką SLD o barwie głosu pomiędzy Tiną Turner a zepsutą klimatyzacją.

Zagajam do niej:

– Z Jankiem Rokitą jestem na „ty” i chciałem pani to zaproponować, gdyż jesteśmy prawie w tym samym wieku.

Pani Joanna na to bardzo literacko:

– Eeeee, to miłe.

Więc ja naciskam:

– Joaśka, zgadzasz się?

Ona:

– No dobrze, tak.

Ja:

– Buzi?

Ona, całując mnie:

– Bądź moim Puchatkiem, ja będę twoim Krzysiem.

To samo było z Rokitą. Ludzie ze zdumienia przecierali oczy. Licytowaliśmy się, kto na jakiej okładce był, kto już zaliczył „Życie na gorąco”, a kto „Rewię”. Ale żeby nie było, że nie było tylko o niczym. Wrzucam temat polityczny:

– Śni ci się czasem szafa Lesiaka?

– Nie, nie. Śnią mi się czasem piękne kobiety, ale szafa Lesiaka nigdy mi się nie śni.

– Piękne kobiety, powiadasz. A pamiętasz jakieś nazwiska?

– Słuchaj, różne. Ale najczęściej taka piękna blondynka, cudowna zupełnie, z *Pierwszego miliona*. Jak ona się nazywała?

– Agnieszka Włodarczyk – rzucałm ze znajomością tematu.

I co słyszę?

– Ooooooo, uuuuuu, ta właśnie.

– Naprawdę śni ci się Agniecha? – nie dowierzam.

– Czasami.

Wtedy wyciągam „Playboya” z Włodarczyk na rozkładówce i pokazuję Rokicie w całej rozkładówkowej okazałości. I co robi krakowski konserwatysta?

– Chciałbym ją kiedyś spotkać – wzdycha rozmarzony.

I wtedy ostatecznie zrozumiałem, że to jest mój świat, moje reguły i gość do tego świata zaproszony może przekroczyć swoje granice. A to ciągle uważam za swojego programu największy sukces. Mało tego: sam może siebie zaskoczyć. Zobaczyć i pokazać na nowo. I to ciągle działa.

Trzeba też wierzyć w swój pomysł na program i rozmowę. Czasem bezczelnie.

Taka gadka z Robertem Lewandowskim:

– Nie ma co ukrywać, jestem sportowcem, zdarzają się słabsze mecze. To nie jest tak, że ja w każdym meczu będę strzelał po kilka bramek, będę taką przysłowiową maszyną. Masz idealne wszystkie programy?

Ja na to bez ogródek:

– Tak.

Lewy:

– Twoim zdaniem.

Trzecim punktem zwrotnym programu *Kuba Wojewódzki* był moment przejścia do stacji TVN. Jak mi to wtedy wyjaśnił Edward Miszczak: „Mamy w stacji hasło: «Koniec grzecznej telewizji», a nie mamy niegrzecznego programu”. To mnie zachęciło, ale nie przekonało. TVN podchodził do nas już wcześniej, zapraszając do rozmowy, ja jednak czułem po prostu zwykłą staromodną i zanikającą w świecie lojalność do słonecznej stacji Zygmunta Piotra.

Po raz pierwszy opowiem, dlaczego mi przeszło.

Pieniądze, jak powszechnie wiadomo, szczęścia nie dają, ale ja należę do osób, które wolą być nieszczęśliwe w ferrari niż na rowerze.

I źle się czułem, kiedy każda rozmowa o stawkach za mój show musiała być wyświęcona na samej górze wieżowca Polsatu, ale co ważne, nie był to program przez nich produkowany. Widząc, jaki zyskujemy status i jak w górę wędrują słupki oglądalności, wypuszczam się na rozmowy z naszym partnerem z firmy Fremantle, a on mi mówi, że decyduje góra. A ja, jak powszechnie wiadomo, nie wierzę w żadną inteligentną „górze”. No i moja niewiara zyskała kolejny racjonalny i co najgorsze – policzalny dowód. Bo Zygmunt Piotr nie był szalonym skarbnikiem i swoje korzyści majątkowe dobrze liczył, a moich nie chciał uznać. A cenić się trzeba. Opowiedział mi o tym nawet Wróżbita Maciej, człowiek, który nie tylko wie, co było, ale też wie, co będzie i to za ile.

Maciej zaczyna:

– Po pierwsze, jestem droгим wróżbitą.

Ja na to, czując, co się świeci:

– Oj, droгим... Stary, ja znalazłem cenę i było drogo.

– Jestem bardzo droгим wróżbitą.

– 15 minut u ciebie kosztuje...?

– 150 złotych.

– 30 minut?

– 300 złotych.

Wtedy ja merytorycznie:

– To jest drożej niż u prostytutki! Znaczy... tak slyszalem.

Dobiła nas jego czcigodna ingerencja w scenariusz koncertu Trendy, który od początku istnienia festiwalu Top Trendy obsługiwaliśmy scenariuszowo z moim wspólnikiem Tomkiem Dąbrowskim. Ja na domiar złego robiłem także za konferansjera. A to z Kayah, a to z Bogusiem Kaczyńskim, a to sam ze sobą, czyli w moim ulubionym duecie. I na dwa dni przed kolejnym festiwalem, w 2006 roku, właściciel postanowił zmienić co nieco w naszym przemyślnym

scenariuszu. A czas był nerwowy i rozedrgany, gdyż ster dzierżyła ekipa IV RP, co było ewidentnym preludium do dzisiejszej „dobrej zmiany”. I korekta scenariuszowa była drobna, ale zauważalna, gdyż poinformowano nas, że ten scenariusz nie przejdzie. I tak imiona Zygmunta Piotra stały się najlepszym dowodem, że nieszczęścia chodzą parami. Zresztą opinia o właścicielu stacji już wówczas była taka, że brał nadgodziny na warsztatach kumpłowania się ze wszystkimi kolorami politycznymi i ewidentnie nie chciał tego zmieniać.

Dziś jestem mu wdzięczny za wszystko – za tolerancję wobec mojej osoby na swojej antenie, za odwagę trzymania mnie u siebie mimo kontrowersji, za kilka fajnych kolacji, podczas których wypowiedział w sumie może cztery zdania, patrząc w tak zwanym międzyczasie na zegarek warty tyle, ile cała moja rodzina zarobi dwa pokolenia w przód. Ale warto było.

Edward Miszczak miał albo nosa, albo dobrych zauszniaków i zadzwonił po raz kolejny, tym razem trafiając na dobry moment. Usłyszałem słowa, o jakich marzy chyba każda postać telewizyjna: „Chcę pana u nas. Proszę podać warunki”. Jak to się mówi: „Raz się wygrywa, a raz się wygrywa jeszcze bardziej”. Tak więc jestem tu, gdzie jestem.

Do pierwszego programu w TVN-ie zaprosiłem Annę Muchę – status: aktorka, emigrantka zarobkowa, moja była narzeczona, oraz Olę Kwaśniewską – status: córka byłego prezydenta, wkrótce emigrantka zarobkowa.

Poniosło mnie, za co po latach przepraszam. Oli, pijącej wodę na kanapie, rzuciłem od niechcienia: „Chlejesz jak twój stary w Charkowie”. A było to nieeleganckie oraz nieetyczne. Nie miałem bowiem dowodów na to, że tata chlał. Miałem tylko na to, że się chwiał.

A po amerykańskiej, importowanej nadwadze Ani oprowadzałem widzów ze wskazówką w ręce, pokazując, co gdzie przybyło. Koszmar, który się opłacił. Pierwszy odcinek w nowej stacji obejrzało prawie pięć milionów widzów. Warto było.

Warto też wspomnieć o zdarzeniach, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, choć wcale nie są wstydlive. Parafrazując Janka Nowickiego: dobrego autora talk-show poznaje się nie tylko po gościach, którzy go

odwiedzili, ale także po takich, którzy go nie odwiedzili. A tu było parę zaskoczeń. Pierwsze – Roman Polański. Poznał nas Lejb Fogelmann i umożliwił kontakt telefoniczny z reżyserem. W kraju akurat robiło się gorąco na temat tej starej sprawy z tamtą panią, dzieckiem nawet, i Polański unikał odwiedzania podnieconej ojczyzny. W rozmowie telefonicznej wyznał mi, że on owszem bardzo chętnie, programu nigdy nie widział, mnie widział raz, ale coś słyszał i to coś nie było bardzo złe. Ale miał dwa warunki. Kręcimy u niego w Paryżu i nie gadamy o tej starej sprawie z tamtą panią, dzieckiem prawie. A jako że ja jestem megaloman i narcyz, warunki mistrza odrzuciłem i tym samym nasza prawdopodobnie historyczna debata nie doszła do skutku.

Dalej było jeszcze ciekawiej. Oczywiście jeśli chodzi o gości. Uwaga! Tadeusz Rydzyk. Odezwał się do mnie jeden z muzyków Kapeli Znad Baryczy, to jest zespół grający współczesny folk miejski oparty na gwarze Wielkopolski Południowej i brzmieniu Kresów Wschodnich. Nagrali oni w 2008 roku piosenkę, przepraszam, utwór (piosenki to sobie może nagrywać Norbi), specjalnie na XVI Pielgrzymkę Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. To jest takie wzniesienie, które widać za dnia, jak jest jasno. To informacja dla niewierzących i słabych z geografii. Dzieło było wzniosłe i szybko stało się nieformalnym hymnem RMF RM. Tekst był znakomity – „Dziś tylko Radia Maryja mogę słuchać i oglądam tylko Telewizję Trwam. Bo tylko Ojcu Rydzykowi mogę ufać, po Janie Pawle tylko on został nam. Radio Maryja póki my żyjemy, nie zginie nigdy, choć ma złego wroga. Za Ojcem Rydzykiem rodziną staniemy, za jego dziełem stoi Matka Boga”.

Jak widać, kompozycja literacko doniosła, pełna wiary, z rymem może mało prekursorskim, ale za to czytelnym i nie miałym. I pan ten z kapeli doznał ekumenicznego olśnienia, że należy Polaków łączyć i symbolem tego uniwersalnego wybaczenia będzie wizyta Ojca Tadeusza w moim studiu. Zaczęły się sekretne pertraktacje na temat warunków, terminu, tematyki, publiczności, obecności wodzianki, obecności stroju na wodziance i innych nie mniej uduchowionych rzeczy. TVN wpadł w zachwyt. Nie wiem, czy dział reklamy wpadł w zachwyt, bo co tu reklamować przy takim ascecie. Na bank firmy motoryzacyjne i przelewy bankowe dla emerytów. Niestety sprawa się ryła na skutek nieprzewidywania przeze mnie, że medialnie jestem postrzegany, jakby tu rzec, komplementarnie, i to, co robię w radiu i piszę

w „Polityce”, też mogło mieć wpływ na ojcowskie wahania. A głośno było ówczas o tym, że najjaśniejszy z Tadeuszów mieszka w willi i rozbija się maybachem. Ja skomentowałem, że to kłamstwo i pomówienia oraz najzwyklejsza ludzka podłość. Tadeusz bowiem mieszka w maybachu, a rozbija się willą. No i ojciec naprawdę odjechał. A dokładnie rzecz precyzując, nigdy nie przyjechał. Szkoda.

Po czarnym Tadeuszu kolejnym gościem, którego nie miałem, choć mogłem, była nie mniej czarna Metallica. Tak, tak, moi drodzy. Dokładnie ta. Panowie James i Lars mieli udzielić jednego wywiadu telewizyjnego i z wielu propozycji wybrali mój program. Poinformowała nas o tym radosnym fakcie firma bodajże Universal i ujawniła, że panowie czekają w Chorzowie w swojej garderobie na stadionie. A jako że nie jestem panem, a tym bardziej panią na posyłki z *Dzień Dobry TVN*, to odpowiedziałem taktownie, że talk-show to jest takie miejsce, gdzie przychodzą goście, a nie takie miejsce, gdzie goście nie przychodzą. Prosto, logicznie i literacko. No i nie przyszli. I tak mój program skończył się na *Kill'Em All*.

Mógł za to odwiedzić nas niejaki pan Slash, legendarny gitarzysta nie mniej epokowego zespołu Guns N' Roses. Podczas jego koncertu w Polsce doszło do porozumienia i najdziwniej ubrany gitarzysta świata miał zasiąść u mnie na wykwiintnej kanapie. Nie wszyscy wiedzą, że matka Slasha, a dokładnie Saula Hudsona, była projektantką kostiumów między innymi dla Davida Bowiego. Widocznie to czego nie łyknął Bowie, donaszał jej synalek. I tak mu już zostało. Niestety wizyta jegomościa w cylindrze, 15. miejsca w rankingu gitarzystów hevy-metalowych wszech czasów, nie doszła do skutku, bo nasza stacja matka, uznała, że nie jest on wielką gwiazdą, czyli jak to mawiają dziś nastolatki – nie zwilża ich. No i nie zwilżył. Żałuję.

Nie mniej wesoło było podczas wizyt krajowych przedstawicieli rozrywki. Leon Niemczyk. Człowiek legenda. Aktor legenda i amant to już prawie jak dwie legendy.

Podczas pierwszej wizyty, jeszcze w Polsce, Leon wtargnął przed nagraniem do mojej garderoby i oświadczył: „Dziecko, ja znam standardy światowe i wiem jak to jest. Masz może kieliszki?”. I wyciągnął zza marynarki okazałe pół litra. Kieliszków nie miałem, ale alkoholu ubyło. Do dziś pamiętam jego dobre rady z frontu małżeńskiego. A ten, co tu ukrywać, znał dokładnie.

„Mężczyzna powinien mieć swoje zdanie. I w milczeniu się go trzymać” – nauczał. A ja nauki odbierałem, radząc sobie bez kieliszka. „Pamiętaj: kobiety mają być kochane. A nie zrozumiane” – snuł rekolekcje i korepetycje w jednym. Był mistrzem życia i królem filmu. Zagrał w ponad czterystu polskich filmach. Nie miał obciachu grać w epizodach. Rzucił mi od niechcienia: „Z rolami w filmach jest jak z seksem. Mogą być i epizody”. A wszystko to miało miejsce w garderobie. Szkoda.

Zabawne, że alkoholem zostawionym przez Leona dodawała sobie animuszu podczas swej pierwszej u mnie wizyty Małgosia Kożuchowska. Tak bardzo jej smakował trunek „króla sedesów” (*Chłopaki nie płaczą*), że w programie usilnie próbowała pokazać mi, jak odbywają się skoki spadochronowe w tandemie. Piękny to był czas.

O tym, że Tomasz Raczek jest gejem, mówili przez lata wszyscy z wyjątkiem zainteresowanego. To pewne jak astma u Justyny Kowalczyk, mawiali. Tomasz nie mawiał nic. Nie tylko dlatego zaprosiłem go do swego programu. Chciałem uhonorować jego postać, kulturę słowa oraz wszelakie dokonania łącznie z byciem redaktorem „Playboya”, co musiało mu doskwierać w dwójnasób. Tomasz długo odmawiał, pewnie w obawie, że zafunduję mu przymusowy *coming out* na oczach całej Polski. W końcu się zgodził. Ja przesiąknięty jego lękiem, że bezpardonowo będę mu zaglądał w końcowy otwór przewodu pokarmowego, postanowiłem zmaistrować mu niespodziankę i w ogóle nie poruszyłem tego tematu. On przekonany, że innego tematu nie będzie, przygotował swój homoseksualny benefis i przywdział koszulkę z napisem „Jestem gejem”, którą ukrył pod koszulą. A jako że rozmowa nie ciążyła w kierunku tematów odbytniczych, Tomasz stracił okazję na spektakularną zmianę masowej percepcji. Opowiedział mi o tym dopiero w garderobie. I tak ojczyzna straciła ciepłego newsa.

Nie mniej ciekawie było z dyrygentem Jerzym Maksymiukiem. Półgeniuszem i półszaleńcem. Mistrz batuty przybył do nas namiętnie namówiony przez Bogusława Kaczyńskiego, którego brawurowa wizyta na kanapach odbiła się szerokim echem, także w świecie fraków i dystyngowanych manier. Jerzy, jak przystało na geniusza, zaklepał termin z dużym wyprzedzeniem i po wielu tygodniach przybył wraz ze swoją fryzurą à la wczesny Kryszak.

Nic nie zwiastowało tragedii. Kompozytor ze swadą opowiadał, jak to nocą wspinał się po rynnach do żeńskich akademików, by tam szukać natchnienia i inspiracji. Jak sam wykupił cały nakład własnej płyty, bo nie podobało mu się brzmienie trąbek. „Na dzisiejsze pieniądze to by było ze dwa miliony” – wyznał. W pewnym momencie stwierdził, że z każdego tępego pnia można zrobić chórzystę, więc zaproponowałem mu eksperyment. Czy będzie w stanie zrobić chórzystów z mojej widowni? Maksymiuk przyklasnął pomysłowi niczym Rubik sobie i zapytał mnie o libretto. „Po polsku czy po włosku?” – profesjonalnie zagailem. Miało być w języku ojczystym. „Okej, rzuciłem. Niech to będą jakże polskie słowa: mam to w dupie!”.

Dyrygent, pianista, kompozytor wziął się rażno do dzieła i zaczął dyrygować publicznością. Mówcie co chcecie, ale po kilku minutach ze swojskich słów mej niewyszukanej partytury i tabunu widzów uczynił chór. Który lekko, z wyczuciem frazy oraz ciężaru gatunkowego treści, zaśpiewał dupę z podziałem na głosy. To było piękne.

Niestety po chwili nastąpiło coś dziwnego. Mistrz wrócił na kanapę i zapadł się w sobie. Moja pierwsza myśl była taka, że przygniotło go spotkanie z barbarzyńcami i ich namiestnikiem, czyli mną, lecz prawda okazała się bardziej bolesna. Całkiem niedawno zmarła mu żona, jego pierwsza nauczycielka gry na fortepianie. A on, światowiec i zawodowiec, wie, co to znaczy termin i umowa. I chciał się wywiązać. Próbował i nie dał rady. Chwała mu za to.

Nigdy nie wyemitowaliśmy tego programu.

Cudowny był Krzysztof Kolberger, aktor, postać, wrażliwiec, w którym kochali się wszyscy bez względu na płeć. Namawiałem go do wizyty przez kilka lat. Zawsze odpowiadał: „Kubuś, jeszcze nie jestem gotów”. Co mogłem począć na takie *dictum*.

Dzwoniłem za rok. A on na to: „Wiesz, tak szczerze, to obecnie chyba jestem jeszcze mniej gotowy niż rok temu. Wybacz. Tak się jakoś porobiło”. To ja na to: „Spokojnie, Krzysztof, zadzwonię za rok”. On z tym swoim urokiem wszystkiego na to: „Ale masz świadomość, że mi się to może pogłębić”.

Było w nim coś tak szlachetnego, coś tak magicznego, że wystarczały mi te nasze coroczne rozmowy o gotowości. Niezwykła postać.

Skoro już jesteśmy przy nieobecnych. Ewa Sałacka. Kobieta przez duże K. Świetna kumpela, łobuz, smakosz życia. Tuż przed wizytą u mnie dzwoni i mówi: „Obejrzelismy z Witkiem (jej ówczesny mąż) wszystkie twoje programy. Wiem, jakie pytania zadajesz najczęściej!”. Ja nieco zdumiony zapytuje uprzejmie: „I co w związku z tym?”. A Ewa stwierdza: „Ano to, że jak cię, kurwa, znam, to przy twojej złośliwości nie zadasz mi żadnego z nich!”.

Nieobecny był także u mnie, nieobecny już generalnie, generał Petelicki. Co było zadaniem godnym jego szarży i dokonań, bo przyszedł, ale nie uczestniczył. Jak nasi w finałach mundialu. Generał brygady Sławomir Jan Petelicki, oficer wywiadu, twórca GROM-u, dał się przekonać do wizyty u człowieka, który w wojsku miał kategorię D. Czyli w sytuacji konfliktu wojennego natychmiast zostaje dezercerem.

Jak on pięknie wyglądał. Zaszczycił nas swoją dumną postacią w galowym mundurze, co przyjęło postać jednoosobowej defilady z jakiejś grubej narodowej okazji. Wyglądał tak, że gdyby wybuchła wojna, to on przeciwnika by nie pokonał, tylko zawstydził, że jest źle ubrany w tych swoich okopach. Pech chciał, że tego samego dnia moim gościem była śpiewaczka dziecięca Majka Jeżowska, przesympatyczna i rozgadana. Akurat jej się zebrało na wspominki, że jadąc onegdaj samochodem na trasie Warszawa–Gdańsk liczyła facetów szczających przy drodze. I wyszła jej ilość moczowo znacząca. Niestety te fundamentalne refleksje nie umknęły uwadze generała pomnika. Zasłuchał się przez chwilę i wraz ze słowami: „Co ta szansonistka pierdoli”, wycofał się na z góry upatrzone pozycje. Czyli opuścił pole bitwy.

Poszedł sobie.

Miałem też swego czasu jednego jedyne w całej historii programu *Kuba Wojewódzki* gościa, który postanowił uczynić ze swej okrągłej postaci postać sabotażysty.

Niejaki Rudi Szubert, od pewnego momentu znany też jako Schuberth. Pozytywny ten jegomość był legendą kabaretu TEY oraz symbolem tego, że na jednym przeboju można zbudować niejedno życie sceniczne. Kiedy mnie odwiedził, świętował sukces jako prowadzący dosyć popularnego programu pod rozśpiewanym tytułem *Śpiewające fortepiany*.

Niestety miał pecha, bo naszą rozmowę zacząłem od drażliwego zapytania,

czy kiedykolwiek miał włosy, czy może natura uczyniła go tak gładko kulistym od zarania Rudiego. No i on wtedy z powagą Mateusza Morawieckiego, zwiastującego kolejne cuda na niebie oraz ziemi, wyznał, że jako młody chłopak miał zaszczyt odrabiać wojsko w stoczni i tam obdarowali go kaskiem ochronnym z okazałym, jak się później wydało, zapasem grzybicy. I rzeczona grzybica uczyniła spustoszenie na łepetynie zarośniętego jeszcze Rudiego. Co mocno przeżył, a ja ten jego goły czubek potarłem jak lampę Aladyna i wyskoczyły złe wspomnienia. I Rudiemu odeszła ochota do żartów i przekomarzanek. I zamknął się w sobie i na każde moje kunsztowne pytanie odpowiadał: „Tak” lub „Nie”. Tylko chwilami wspinając się na jakże wymyślne: „No próbuj, próbuj”.

Próbowałem. Do dziś zastanawiam się, komu wyrządził większą krzywdę.

Każdy szanujący się autor programu cyklicznego musi zaliczyć spotkanie z kimś, kto nie ma zielonego pojęcia, kim jest szanujący się autor programu cyklicznego. Na mnie to spadło w roku 2003 wraz z drobną, choć żywotną postacią Janusza Korwin-Mikkego, dożywotniego kandydata na prezydenta kraju. W trakcie przenikliwej debaty wyszło na jaw, że kolega Janusz nie ma zielonego pojęcia, kim jest Michał Wiśniewski, poeta, pieśniarz oraz pierwsza szafiarka kraju, w tamtym czasie popularniejszy od Jezusa. Wyraziłem zdumienie. Na co kilkakrotny prawie prezydent: „Wiśniewski, Wiśniewski. Co się pan tak dziwisz. Ja pana pierwszy raz widzę na oczy”.

Urzekła mnie jego historia. Beze mnie. Dziś jesteśmy kolegami na Instagramie.

Cenię gości kreatywnych. A kreatywność w talk-show potrafi być tak przewrotna, że czasami owocuje... milczeniem. Ale jakże twórczym. Siedzą u mnie na kanapach Bogusław Linda i Marcin Dorociński. Wszyscy jesteśmy aktorami, więc siłą rzeczy rozmawiamy również o aktorskim warsztacie. Nagle Bogusław rzuca magiczny termin: grać pauzę.

„Większość swoich postaci filmowych zbudowałem na prostym patencie. Grałem pauzę. Pauza daje szlachetność. Czyni bohatera tajemniczym, niejednoznacznym. Pauza jest trudna, ale opłacalna”. I co robi cała nasza trójka? Zaczynamy w programie grać pauzę. Z początku nieśmiała, płochliwa, z czasem dojrzała, wymowną i wyrafinowaną. To był odcinek, w którym padło najmniej słów, żartów i bon motów. Ich miejsce wypełniła teatralna pauza.

Pomimo nikczemnej liczby słów oglądalność była większa niż zwykle. Nie ma to jak inteligentnie milczeć na zadany temat.

Najbardziej jednak cenię gości z artystyczną nonszalancją dotyczącą ich wizerunku.

Nieodżałowany mistrz Franciszek Starowieyski. Zapytuję go rzeczowo: „Rozmawia pan czasami z własnym penisem?”. On tubalnym głosem szlachetki awanturnika odpowiada: „Oczywiście”. „I co pan mu najczęściej mówi?”. Na to on: „Pan tu nie stał”.

Od blisko siedemnastu lat robimy ten program z tą samą ekipą i największym pytaniem jest to, jak oni ze mną wytrzymują. Płacimy fatalnie, nie dbamy o nich, a na dodatek tworzymy okropną atmosferę.

Kasia. Z wykształcenia kulturoznawca, co już jest pierwszym szokiem. Dziewczyna o aparycji najatrakcyjniejszej nauczycielki w szkole z ładnymi nauczycielkami. Z alternatywą posiadająca kontakt poprzez małżonka-dźwiękowca onegdaj takich tuzów jak Armia czy Izrael. Kasia, spokojna i taktowna, zasłynęła kiedyś aktem wandalizmu biurowego, gdy poleciałem jej odwołanie gościa, który był już w pociągu do nas. Tym gościem był człowiek o pradawnym polskim nazwisku Schimscheiner, który, co tu ukrywać, pojawiał

się u nas zawsze, gdy nie było szans na nikogo innego. Tomasz, przesympatyczny człowiek, słynie z tego, że jak się go szuka w Google'u, to pada wynik: „ale po co”, oraz że w filmach głównie gra role pod tytułem „jako”. Jako górnik, jako lekarz, jako ginekolog. Ogólnie jako aktor jako taki. Kasia „aktora jako takiego” odwołała, następnie wróciła do biura i w akcie odreagowania przewróciła szafę ścienną.

Ania. Mój firmowy psychoterapeuta. Zresztą z wykształcenia psycholog. Ania ma tak dobry kontakt z ludźmi, że pracuje przy programach *Mam talent* i *Azja Express*. O jednych dba, żeby się dobrze czuli, a o drugich, żeby się nie pozabijali. Ma tak daleko afirmujący stosunek do ludzi i świata, że nosi wszystko, co jej Agnieszka Chylińska robi na drutach. A często są to rzeczy świadczące o tym, że Bóg w momencie ich powstawania zajęty był czymś innym. Coś pomiędzy strojem dla czapli a płaskowyzem w Peru. Jej najpiękniejszą historią u nas był fakt udania się na dokumentację do reżysera Andrzeja Żuławskiego i wywarcia na nim takiego wrażenia, że pozostała tam kilka lat. Stając się jego żoną i natchnieniem zdecydowanie bardziej efektywnym niż później koleżanka Rosati. Ta z *Nocnika*.

Filip. Nasz kierownik produkcji, z wykształcenia reżyser. Posłuchajcie tego: Filip jest prawicowcem, kibolem Legii Warszawa, praktykującym rugbistą, ojcem syna-bramkarza, który zaczyna robić międzynarodową karierę. Mało tego, współprodukował legendarny program *Iron Majdan* i dalej pracuje z nami. Bo my mamy tolerancję dla ludzkiej niedoskonałości. „Filo”, bo tak na niego mówimy, potrafi spaść z piętrowego łóżka, połamać sobie wszystko i następnego dnia zagrać w meczu rugby. Jego koledzy śpiewają o nim piosenkę na melodię *No Woman, No Cry – No Filo, No Fight*. Taki to zawzięty zawodnik. Uwielbiam go. Wiem, że jak do niego zadzwonię w czwartek w nocy i powiem, że potrzebuję na piątek zaglującą zakonnicę, która ma dwie lewe nogi, to on to załatwi.

No i wreszcie Nowy.

Leszek Biolik opowiadał mi kiedyś, że do Republiki trafił w 1991 roku i nagrał z nimi siedem albumów. I zawsze miał ksywkę „Nowy”.

I tak jest u nas z Kubą. Kuba dołączył jako ostatni i tak mu zostało, że jest „Nowy”. Kuba jest z wykształcenia dziennikarzem, prowadzi obok pracy u nas

dwa zespoły: The Bartenders i Cała Góra Barwinków i w przypadku tego drugiego jego główna aktywność sprowadza się do tłumaczenia, że zespół nie nazywa się Cała Góra Barwników tudzież Cała Kura Barwników, tylko inaczej. Kuba jest kibolem muzyki ska i jej praktykującym propagatorem. W naszej firmie ma najlepsze kontakty z gwiazdami disco polo oraz gwiazdami naszej kadry. Taka wąska specjalizacja. To dzięki niemu mieliśmy i Milika, i Martyniuka. Jest sumienny i przejmujący się, więc tym bardziej ja poczuwam się do nieposiadania tych cech u siebie.

Jest też Tomek, ciekawa historia. W liceum kolega mojego brata, przyjaciel prawie, po studiach kolega mój, przyjaciel prawie. Od dwudziestu pięciu lat pracujemy razem i nie rżniemy się na kasę. To w branży rzadkość. Tomek jest szarą eminencją naszego programu, więc aby jego szarości nie brukać, zakończę swą na jego temat wypowiedź.

Dziewczyną, która dba o to, abym co tydzień wyglądał jak zbieg z uroczystej komunii świętej, jest Olga. Nasza programowa Marilyn Monroe. Kocha modę, a najlepszym pomnikiem tej miłości jest ona sama. Nie muszę z nią rozmawiać, żeby wyglądać jak laureat konkursu na najlepiej ubranego prawie Polaka. Zna mój gust i naprawia gustu brak. Z tymi konkursami jest trochę jak z wyborami w Rosji. Są laureaci, ale tak naprawdę nie wiadomo, kto wygrał. Pamiętam, jak zadzwonili do mnie kiedyś z „Glamour” i „Playboya”. Miły głos oświadczył, że w rankingu na najlepiej ubranego wygrałem właśnie ja i moje ubrania i gala jest wtedy i wtedy, i z kim wtedy a wtedy przyjdę. Ja na to, że mi miło, ale raczej nie bywam i proszę przysłać mi medal pocztą. Miłe głosy upewniły się, czy na pewno nie zaszczycę, i podziękowały. Kiedy ogłoszono wyniki, nie było mnie wśród laureatów. Bo zasada jest prosta. Wygrywają ci, którzy współpracują. Jak w PZPR-ze i IV RP.

Muzykę podczas programu podgrywa Igor, przesympatyczny facet, o którym ciągle krążą plotki, że się ożenił z jakąś wokalistką, tylko nikt nie wie z jaką. Jest zdolny, taktowny, gra na akordeonie i pisze piękną muzykę filmową. Niestety na razie do nieistniejących filmów. Obok niego stoi jakaś ruchliwa pani i też gra. Mało o niej wiem.

Jest jeszcze Alicja, zwana „Alisono”, sprawiająca wrażenie greckiej bogini, która przypląnęła tu przed laty i to nie na pontonie, ale na pokładzie

eleganckiego statku pasażerskiego. Alicja zajmuje się moją twarzą i coraz częściej dochodzą do mnie jej słowa: „To już nie jest make up. To pełna charakteryzacja”.

I Daniello, czyli Daniel, ale ja do niego zwracam się Daniello, a on do mnie Parysie. To on już od lat jest twórcą na mojej głowie czegoś, co Ewa Błachnio nazwała „Archiwum X polskiego fryzjerstwa”.

No i Gustaw, nasz kierownik planu, inspicjent i dobry duch. To on właściwie prowadzi mój program w studiu, zanim pojawię się ja. Program bez Gustawa jest niepełny i nigdy mu tego nie powiedziałem – teraz jest świetna okazja. I jest jeszcze wiele, wiele osób, którym dziękuję, że trwają przy mnie pomimo mej przestępczej lucyferowości.

A teraz będzie zdanie, w które nikt mi nie uwierzy, więc można raczej przestać czytać dalej...

Jednak jeśli, szanowny czytelniku, zostałeś, to piszę. Nigdy nie chciałem być tak zwaną gwiazdą w Polsce. Zresztą dziś coraz trudniej ustalić już nie to, kto jest gwiazdą, ale to, kto nią nie jest.

Wspominam w tej materii krótką wymianę zdań z Maćkiem Stuhrem:

– Mnie rozpoznali kiedyś w Afryce.

Maciej na to:

– Wyłącznie. Ale jako kogo?

No czyż nie pyszne?

W Polsce mojej młodości zacie było być człowiekiem zdolnym. Wtedy poprzez swoje dokonania zyskiwało się uznanie, a potem coś w rodzaju sławy.

Dziś zaczyna się od sławy, rzadko przychodzi uznanie, a na dokonania to już raczej brakuje czasu.

Głównie poprzez tracenie życia na tak zwanych ściankach w pożyczonych ciuchach, z pożyczonymi minami i myślami.

Jak to ładnie ujął sir Laurence Olivier: „Był czas, gdy aktorki chciały zostać

gwiazdami, teraz mamy coraz więcej gwiazd, które chciałyby zostać aktorkami”. Brooke Shields, podobno aktorka, której rola w *Błękitnej lagunie* zwiększyła odsetek chłopców uprawiających masturbację nawet na Antarktydzie, powiedziała kiedyś: „Palenie zabija. A kiedy coś cię zabija, wtedy odbiera ci bardzo ważną część twojego życia”. Brawurowe i bezkompromisowe. Przekładając to na język naszej szoł-biznesowej narracji, można powiedzieć: „Bycie gwiazdą zabija. A kiedy coś cię zabija, to odbiera ci ochotę do robienia czegokolwiek z sensem, bo już nie musisz”. Bo u nas obecnie zostaje się gwiazdą raz na zawsze. Kolorowe magazyny, kolorowi redaktorzy magazynów, kolorowe anonimowe trolle z serwisów internetowych będą dbali, żeby utrzymać cię przy życiu, ale tylko po to, by cię regularnie obsrywać niechęcią oraz wnikliwą diagnozą twojej nikczemności. I tak w kółko na karuzeli wzajemnych zależności.

Zbyszek Wodecki u mnie:

– Można wyjść z gorzały, można wyjść z narkotyków, ale z głodu popularności jest bardzo ciężko wyjść.

Ja:

– Ale to jest teraz biograficzna opowieść o tej gorzale i narkotykach?

– Tak. Ja wszystkiego próbowałem, jak każdy normalny człowiek.

– Dziękuję ci za definicję normalnego człowieka!

Mamy gigantyczny popyt na gwiazdy i prawie całkowity brak podaży.

Gdyby Edyta Herbuś zatrzasnęła się na tydzień w toi toiu, to z hukiem upadłoby kilka gazet.

W materii gwiazdorskiej najbardziej podoba mi się scena z landrynkowego, choć niezapomnianego filmu *Pretty Woman*. Tam gwiazdy na chodniku przy Hollywood Boulevard wyznaczają rewiry prostytutek. Jakie to pięknie symboliczne. I mocno aktualne.

Lubię siebie i mam papiery na to, dlaczego tak jest. Lubię ludzi, którzy potrafią siebie doceniać, ale nie w ten sposób, że lajkują swoje wpisy na Instagramie.

Rozmowa z Robertem Lewandowskim:

– Robert, wolisz o piłce nożnej czy wolisz o życiu?

– Wiesz co? O piłce nożnej to mniej.

– To ja cię zapytam o życie. Wyobraź sobie trójkąt: Messi–Ronaldo–Lewandowski. Taki życiowy trójkąt.

Robert na to:

– Zaczyna się. Przecież oni nie zawsze są piłkarzami. Wracają do domu.– Powiedz mi, na którym miejscu stawiasz siebie? Tylko tak serio.

– Wyjeżdżając kiedyś z Polski, miałem taki kompleks trochę chyba takiego typowego Polaka, że skoro jestem z Polski, to mogę być gorszy. Ale im dłużej grałem, im dłużej byłem za granicą, tym częściej myślałem, że dlaczego ja, Polak, mam się czuć gorszy, jeśli mogę osiągać to samo, a nawet też inne rzeczy, których nie osiągnął nikt wcześniej. Wydaje mi się, że moja pewność siebie też wzrosła. Jeśli mam takie pytanie: Messi, Ronaldo... Okej, to są wybitni piłkarze, ja się cieszę, że gram w tym samym czasie co oni... No bo to zdarza się pewnie raz na sto lat.

Ja tu tradycyjnie i kompetentnie dodaję:

– To znaczy u nas, w naszym kraju, zdarzyło się po raz pierwszy. To znaczy może za Chrobrego był taki piłkarz, ale...

– Ale chodzi mi o to, że ja się cieszę, że mogę grać w ich czasach.

– Aha.

– Bo to też pokazuje, na jakim poziomie jestem.

– Czyli na pierwszym miejscu stawiasz siebie, dobrze zrozumiałem?

– A czemu nie?

– Naprawdę?

– No.

– Wiesz co, jesteś bezczelny.

Bycie gwiazdą w Polsce jest trochę jak bycie najzdrowszym pacjentem w psychiatryku. Wszyscy ci się przyglądają trochę z podziwem, trochę z zazdrością, ale przede wszystkim z podejrzliwością. Wiedzą, że też jesteś popierdolony, tylko jakoś tak inaczej, ciekawiej jakby trochę. Ale jak się zbyt odderwiesz od stada, to już ono cię przypilnuje, żebyś nie fikał. Tu jest Polska, każdy ma obowiązek być taki sam.

Pamiętacie Randle'a Patricka McMurphy'ego z *Lotu nad kukułczym gniazdem*? „Jeśli pan nie chce przyjąć lekarstwa doustnie, będziemy je musieli zaaplikować w inny sposób. Nie sądzę jednak, by się to panu spodobało”. Tako rzekł ideał kobiety każdego masochisty, siostra Ratched.

Tak u nas działają media. Jeśli nie chcesz przyjąć do wiadomości, że jesteś zerem, które na domiar złego się kończy, będziemy cię musieli poinformować o tym w inny sposób. Czyli dobierzemy ci się do dupy... Jesteśmy ciągle prowincjonalnym krajem i gwiazdorstwo ma taki lekko folwarczny urok. Kiedyś gwiazda to było ciało niebieskie, dziś przeważnie jest to ciało silikonowe, w swej nieskrępowanej niewiedzy, dosadnie zielone, z coraz dziwniejszym wyrazem twarzy, jakby zadziwionym poranną konfrontacją z sobą samym. Jak powszechnie wiadomo, gwiazdy nie mogą być widoczne bez ciemności, a tej u nas niestety nie brakuje. Także po stronie czytelnika. I nie ma co ukrywać, raczej tworzy je to smutne tło niż coraz bardziej wątpliwy blask osobisty.

Rozmowa z Marcinem Gortatem też przekonała mnie, że nie opłaca się być wielką gwiazdą:

– Jak na ciebie reagują sprzedawcy w sklepie, gdy wchodzisz kupić sobie, nie wiem, T-shirt?

Marcin odpowiada:

– Nie ma rabatów!

– Tak mówią?

– Zazwyczaj.

Największym sukcesem krajowej współczesności ostatnich lat jest sprawne korzystanie z wolnego rynku. Także wolnego rynku nienawiści, niechęci, małostkowości czy najzwyczajszej ludzkiej zazdrości.

Krystyna Janda opowiadała mi kiedyś:

– Mam takiego pana, którego zatrudniam, który likwiduje co rano hejty.

– Jezus Maria, to on pracuje 24 godziny na dobę u pani.

– Nie, tylko rano, likwiduje po całym dniu.

– Ale jak można panią hejtować? Jakie są hejty?

– „Ty komunistyczna kurwo, spierdalaj z tego kraju”.

– Ktoś tak napisał?!

– A ja mówię na to: „kurwa” rozumiem, ale „komunistyczna”?

Miłość części Polaków do tak zwanych gwiazd nie jest ślepa, jest po prostu upośledzona. Jeśli byłeś/byłaś, drogi/droga czytelniku/czytelniczko, w swojej klasie najgrubszym, najgłupszym, obsypanym trądzikiem dziwakiem, to nie towarzyszył ci tłum kibiców. Kiedy jesteś osobą publiczną, ciągniesz za sobą welon kołędników, którzy bardzo chętnie, z wielką starannością codziennie przypomną ci o twojej ohydzie.

Można odnieść wrażenie, że rozwój ruchu celebrytów zaowocował odwrotnością znanego porzekadła: „Gdy spada gwiazda, pomyśl jakieś marzenie”. U nas marzeniem jest, by gwiazda spadła. Co oczywiście tak przekornym i wspaniałym myśleniem jednostkom jak ja dostarczy tylko motywacji do trwania.

Do tego dochodzą coraz bardziej zauważalne różnice finansowe, a co tu ukrywać, niektórym ciężko jest sobie poradzić z dobrobytem innych. I tu też mamy narastający klincz. Jest bowiem tylko jedna grupa ludzi, która myśli więcej o pieniądzu niż ci, którzy je mają. Ci, którzy ich nie mają. I zrobią wiele, aby twoje posiadanie było jak najbardziej bolesne.

Pudelek, Plotek i reszta to nic innego jak mentalność PiS-u w wersji pop. Przebierańcy bez charyzmy i polotu. Zawsze uważałem, że największą krzywdę tym wszystkim nienawistnikom robisz tylko w jednym przypadku. Gdy trwasz.

No i tkwię w tym trwaniu lub trwam w tym tkwieniu, cytując mistrza Sapkowskiego: „Na pohybel skurwysynom”. „Nie chcę iść do nieba, w piekle można spotkać ciekawszych ludzi” – tak miał powiedzieć tuż przed śmiercią niezapomniany Farinelli rocka, Freddie Mercury.

Ja też chyba gdzie indziej szukam towarzystwa. Choć uczciwie muszę powiedzieć, że nie żałuję żadnej znajomości z szoł-biznesu, bo nawet te najbardziej fałszywe i narcystyczne mordy mnie czegoś nauczyły. Szacunku do siebie. A po latach doszedłem do jedyne słusznego wniosku, że jedyne zło, jakie prasa może wyrządzić człowiekowi, to wydrukować wiadomość o jego śmierci.

Mój najbliższy przyjaciel Piotr Ziarkowski jest spoza tego środowiska. I dlatego jest dla mnie tak ważny. Dbaj o to, abym chodził po ziemi, ale nie tracił

skrzydeł. Trzeba mieć wokół siebie takich ludzi.

Inną sprawą jest fakt, że niektóre rozmowy w moim programie uświadamiały mi, że nie ogarniałem wszystkiego tak, jak mogłem.

Na przykład taka sobie pogawędka znów z Edytą Górniak:

– Zawsze mi się podobałaś, tylko po prostu...

– Tylko? – prowokacyjnie pyta artystka. – Nie było okazji.

– A miałaś chociaż raz w życiu, tak szczerze, taki kaprys, żeby mieć ze mną romans? Nie wiem, użyć mnie, potem wyrzucić, kopnąć z łóżka, powiedzieć: „Idź, znudziłeś mi się, wracaj tym swoim ferrari do swego samczego świata”.

I co słyszę?

– Miałam.

Jak żyć, panie premierze? Chociaż to pytanie w kontekście Mateusza Morawieckiego traci swój rozrywkowy charakter. Bo on sam ewidentnie ma z tym problem.

Nigdy mi się w głowie nie mieściło, że wokół tak wielu nikczemnie niezdolnych, aroganckich i zakochanych w sobie bęcwałów z umysłowością szybką jak sanki w maju może powstać prawdziwy, realny przemysł. Fabryka codziennych relacji z życia samotnych nieudaczników potrafiących perfekcyjnie udawać zdolnych i szczęśliwych. Ale jak to mawia mój kolega, zdeklarowany i wyzwolony gej: „Jak się coś nie mieści w głowie, to trzeba mieć to w dupie”. Co też z perwersyjną przyjemnością czynię.

Z Darkiem Krupą, zdolnym gitarzystą, byłym mężem Edyty Górniak, obecnie przebywającym w zakładzie karnym, onegdaj zadaliśmy w tej kwestii:

– Ja nie lubię show-biznesu, ja uważam siebie za jednoosobową subkulturę na krawędzi polskiego show-biznesu. Zastanawia mnie: co ty tutaj robisz? Przecież to są wilki, a ty taki wrażliwy.

Darek zdumiony:

– Kuba, no ale ty nie lubisz show-biznesu?

– Nie lubię.

– Przecież jesteś królem show-biznesu.

– Spokojnie. Król może gardzić swoimi poddanymi.

Moje gwiazdorstwo *à rebours* jest tradycyjnie po polsku dwubiegunowe. Co innego mówi ulica, co innego wytworne towarzystwo w sieci.

Kiedyś Krzysztof Materna podał mi swoją definicję przywileju bycia gwiazdą. To, jego zdaniem, ten niezwykły moment, kiedy na ulicy uśmiechają się do ciebie obcy ludzie. W naszym kraju obyczaj, przyznajmy, dość unikatowy i egzotyczny. I takich chwil doświadczyłem co niemiara. Co nie zmienia faktu, że ciągle tkwi w mojej głowie podejrzenie, że ten miło uśmiechający się jegomość na ulicy Jana Pawła Numer Dwa za chwilę wyjmie smartfona i podzieli się z cyberświatem informacją, że właśnie minął tego pedała z TVN-u. Bo hipokryzja, nazywana salonowo podwójnym standardem, to nasza choroba narodowa. To nasza grypa hiszpanka. Wirusowe zapalenie dusz. Mając niskie mniemanie o sobie, mamy niskie mniemanie o sobie jako społeczeństwo, pasiemy w sobie tego wewnętrznego krytyka, który nienawidzi wszystkich. Lepszych, bo są lepsi, gorszych, bo są gorsi, a takich samych, że nie są ani jednymi, ani drugimi. Jesteśmy championami dwulicowości. Nie dajemy sobie rady z dobrobytem innych.

Jurek Owsiak był w swoim czasie moim gościem i o tym właśnie rozmawialiśmy.

Ja:

– Wiesz, ilu ja znam taksówkarzy, którzy czasami wiozą mnie przez Wilanów i mówią tak: „Widzi pan? Ten, ten, ten – wszystko Owsiaaka!”?

Jurek na to:

– A to ja jechałem z taksówkarzem, który mi to mówił! Jest noc, siedzimy i tak jedziemy, jedziemy, ja tam podaję adres, taka rozmowa (nie poznał mnie), mówi: „Widzi pan? I ten domek, albo ten, albo ten jest Owsiaaka. Panie, że też, kuźwa nie ma nad tym kontroli!”. I jak już dojechaliśmy do samego punktu mówię: „Bardzo panu dziękuję”. „Pan Jurek?”. „Tak, ja tu właśnie mieszkam”. „Wie pan, ludzie tak pierdolą od rzeczy”.

Dziś z nostalgią wspominam, kiedy w pierwszym sezonie programu *Idol* udałem się z ówczesną moją narzeczoną do popularnego sushi baru przy ulicy Moliera. Kiedy tylko weszliśmy, czteroosobowa rodzina w trybie niezwłocznym przechodzącym w raptowny uściła rachunek i obdarzając mnie nienawistnym spojrzeniem, ustami swojej głowy wyszczała: „Nie będziemy konsumować tam,

gdzie jada TEN". W roli tytułowej oczywiście ja sam. To było piękne, szczerze i uczciwe. Dziś pewnie skrupulatnie pobraliby autografy, zainscenizowali rytualne selfie („selfiaka”, jak mawia Agata Młynarska), a dopiero później uścili należną opłatę w nietolerancji. „Coś w Polsce pękło, coś się skończyło”, jak prawil klasyczny już tytuł.

Jak mnie ktoś zapyta, co ma wspólnego gwiazdorstwo z hipokryzją, odpowiem znamienitą w czerstwości anegdotą Karola Strasburgera z *Familiady*: „Co ma wspólnego łyżka z jesienią? Je się nią”. To tyle.

Bycie popularnym to dwuznaczna sytuacja. Ładnie to kiedyś opowiedział u mnie Adam Michnik.

Zagajam go pytaniem z takiej właśnie półki:

– Myśli pan, że jestem popularniejszy niż Jarosław Kaczyński?

On:

– Jest taka hipoteza, przy której ja bym się upierał.

– Że?

– Że pan jest bardziej popularny niż Jarosław Kaczyński. Ale muszę panu powiedzieć, że to jest najbardziej wątpliwy komplement, jaki o panu można powiedzieć.

Odjedźmy na chwilę od tego tematu.

Właściwie to sam nie wiem, dlaczego zostałem tak namiętym użytkownikiem aut. Do dwudziestego chyba roku życia jedyną formą zainteresowania motoryzacją było przyglądanie się, jak mój starszy brat poleruje i nabłyszczca nasz rodzinny dobytek.

Auto nieodzownie kojarzy mi się z emocją, a pomimo licznych prób nie potrafiłem wykrzesać emocji, spoglądając na nasze fiaty, łady czy trabanta. Ten ostatni to prawdziwa lukstorka. Ktoś kiedyś widział napis na opakowaniu stroju Supermana dla dzieci: „Włożenie tego kostiumu nie umożliwi latania”. Ten automobil powinien mieć podobną etykietkę: „Uruchomienie tego pojazdu nie zapewni ci jazdy”. To była limitowana edycja samochodu. Ewidentnie jego producent w kraju o dumnej nazwie NRD, czytając: „nerd”, nie chciał przekroczyć żadnego limitu przy jego produkcji i ewidentnie mu się udało. Trabant to

samochód obciach. Podobno znane były przypadki, że jak ktoś kogoś na ulicy potrącił trabantem, to delikwent pomimo licznych ran, uciekał z miejsca wypadku. Bo mu było wstyd przed milicją i łapiduchami z pogotowia. W tym właśnie pojeździe zaliczyłem moją pierwszą kafkowską refleksję. O metafizyce przemijaniu i mrocznej niepewności.

Było to na trasie Grójec–Warszawa, na której mój ojciec, kierowca mało wyczynowy, pomimo zaśnieżonej drogi odwałwał rekord toru. No i w pewnym momencie, w otoczeniu zaśnieżonych jabłkowych sadów, naszym tekturowym wehikułem zaczęło rzucać jak Adamem Hofmanem po Madrycie. Czyli stary zaliczył swój debiutancki poślizg. Mama, jak to matka, asystowała mu w tej upiornej chwili, łapiąc za rękaw z okrzykiem: „Bogdan, zrób coś”. Bardzo logiczne kobiece zachowanie.

Polskie drogi to też nie jest lunapark. Co drugi kierowca śmiało mógłby mieć na zderzaku naklejkę z hasłem: „Uważaj na idiotę, który za mną jedzie”. I papcio niestety dołączył do tej wesołej gromadki, naciskając pedał gazu niczym w adaptacji *Szybkich i wściekłych*. Bogdan, jak sam później wyznał, ledwo uchodząc z życiem w papierowym samochodzie, przypomniał sobie, czego go uczyli na kompletach na prawo jazdy. I tak też uczynił, ratując całą rodzinę przed transformacją w lokalnych zombie. Wyprowadził bolid ze śmiertelnego poślizgu, a ja, wcześniej pożegnawszy się z życiem i podążając już w kierunku ciemności, mogłem schłodzić procesor.

Mieliście w życiu taki moment, kiedy wasze przeznaczenie rysowało się w postaci swojskiego przydrożnego rowu, przytulnie usłanego śniegiem? Ja miałem. Mało tego: rydwan tatusia był tak rozchwybotany, że ja swoją młodą wyobraźnię byłem w rowie jeszcze przed nim. To dziwne uczucie. Taki mały prywatny Paryż–Dakar, tylko na krótszej trasie Grójec–Wieczność.

Wiele lat później przeczytałem wywiad z Billem Gatesem, który spróbował wody wyprodukowanej z kupy. Miał mieszane uczucia. Ja podczas szarży ojca też. To było moje małe wprowadzenie do filmu *Oszukać przeznaczenie*. Taki prequel.

Moim pierwszym autem, które dostałem od rodziców, była łada 1300 o kolorze wodnistej, musztardowej kupy niemowlaka. Podobno z kupy

niemowlaka można sporo wyczytać. Co innego mówi smółka, co innego kupa zielona, a jeszcze inną historię ciągnie za sobą tak zwana naprawdę luźna kupa.

Sporo powyższej wiedzy uzupełni mi po latach Sebastian Karpiel-Bułecka, świeżo upieczony ojciec srającego noworodka. „Kupa staje się wyznacznikiem twego nastroju – rzecz mój góralski kolega. – Dobra kupa, dobry nastrój. Słaba kupa, słaby nastrój. Generalnie przesrane”.

I tak było z tą ładą. Trudno w to dzisiaj uwierzyć, ale wówczas to był samochód z tak zwanej górnej półki. Na talon. Samo posiadanie pieniędzy nie wystarczyło. Trzeba było jeszcze mieć do kogoś, kto gwarantował ci bumagę na odjazd. Czyli inny samochód. Dwuletni radziecki automobil zwany w swojej bohaterskiej ojczyźnie żyguli 1300. Dokładnie jakby dzielni konstruktorzy przeczuwali, jakie czynności będą w nim miały miejsce najczęściej. Przyspieszenie mego musztardowego mustanga od zera do setki powinno zająć według producenta 18 sekund, a moim zdaniem trwało tydzień. Co, jak sami wiecie, nawet w tamtych czasach nie stanowiło pomocnej siły w wrywaniu dziewcząt na motoryzacyjny luksus.

ZSRR był krajem 55 razy większym od PRL-u, a więc przeciętny posiadacz łady miał tam i miejsce, i czas, aby się skutecznie rozpędzić. Auto miało cudowną plastikową tapicerkę, dla niepoznaki tylko udającą skórę. To się chyba w języku fachowców nazywało derma. W odcieniu brązowych upławów. Komfort i luksus. Zimą kurewsko zimno w dupę, za to latem kurewsko gorąco. Podczas jednej z romantycznych randek złamałem oparcie przedniego siedzenia. Moja koleżanka ze studiów podczas konsumowania orgazmu zyskiwała potencjał Roberta Burnejki i oparcie w tym starciu przegrało. Niestety tak zwany autoryzowany serwis w postaci pana z palnikiem acetylenowo-tlenowym zaproponował mi tylko jedno rozwiązanie serwisowe: spawanie. „Może się trochę tapicerka okopcić, ale spaw nie puści” – zapewniał mnie pan mistrz z obsługi klienta. Postanowiłem kontynuować swoją podróż życia w wersji z siedzeniem wiecznie rozłożonym.

Prędkość maksymalna bolidu powinna sięgać astronomicznych wartości 145 kilometrów na godzinę. Niestety zdarzało się to rzadko. No ale dobry marynarz to i po Morzu Martwym popływie, więc zdarzały się rekordy. To niebawem, że

naród, który wydał z siebie dwudziestu siedmiu noblistów, zmajstrował takie kuriozum. Przy 130 kilometrach na godzinę limuzyna wpadała w drgawki niczym kapsuła statku kosmicznego Sojuz. W języku medyków to się nazywa drżenie samoistne. Następnie pojawiała się płasawica polekowa, by w finale przejść do tak zwanej rzucawki. Auto zaczynało żyć własnym życiem bez względu na to, co wdusiłeś, na co nadepnąłeś lub co urwałeś. *Deus ex machina*. Poza wszystkim przeciekał korek do baku z paliwem. A więc ustalenie średniego zużycia benzyny było raczej niewykonalne bez względu na kryteria diagnostyczne.

Podobno zapach benzyny działa na tę część mózgu, która jest odpowiedzialna za przyjemność. Może dlatego ciągle mam z tym autem kilka miłych wspomnień. Zresztą nie tylko ja tak mam. Tomek Ciachorowski wyznał mi, że bardzo lubi zapach spalin, butaprenu, farby olejnej i benzyny. Ma więc nade mną fantazyjną przewagę.

Generalnie jednak ktoś, kto spłodził takie monstrum jak łada, nie mógł w efekcie wygrać wyścigu zbrojeń.

Po niej był używany ford escort zakupiony w Mławie. Nie chcę być posądzony o rasizm, ale sprzedać samochód o dziesięć lat starszy jako dziesięć lat młodszy to naprawdę spory talent. Jakiś motoryzacyjny Don Wasyl tak skutecznie wykaligrafował kartę pojazdu, że omsknał się o dekadę. Tradycja podobno zakazuje Romom jakiegokolwiek kontaktu z przedstawicielami prawa, więc jako człowiek wychowany w szacunku dla cudzej tradycji dostosowałem się do niej i nie zawiadomiłem stosownych organów. A że w Mławie urodził się Grzegorz Skawiński, dożywotni lider zespołu Kombi, to wybaczam tamtejszym mechanikom małą obsuwę w czasie.

Odbyłem tym fordem zielony metallic swoją pierwszą motoryzacyjną podróż zagraniczną do Danii. Z Pawłem Zaissem i Piotrkiem Łukaszewskim, ówczesnym liderem zespołu IRA. Wtedy to, znudzeni spokojem i niezmiennością pejzaży niemieckich autostrad, wymyśliśmy typowo polską zabawę. Może się w nią bawić dowolna liczba osób znajdujących się czasowo w samochodzie. Zaopatrujemy się w sporych kształtów kawałki kartonu i na jednej stronie piszemy „Żyd”, a na drugiej „nie Żyd”. I w zależności od tego, czy to my wyprzedzaliśmy, czy nas wyprzedzano, stanowiliśmy prawo o stosownej

przynależności etnicznej uczestników ruchu kołowego. Po prostu pokazywaliśmy w oknie własny werdykt. Duża uciecha dla obu stron. Mijający nas ludzie uśmiechali się życzliwie, a niektórzy to nawet machali. Ci bardziej spontaniczni pokazywali kciuki do góry. My im mały komunikacyjny pogrom, a oni uciecha. My kartonowe prześladowanko, a oni uśmiechy. To było dla nas nowe doświadczenie wobec rodzimego antysyjonizmu.

Podobno Adolf Hitler przyznał kiedyś wysoki rangą medal mężczyźnie, który opowiedział mu zabawny dowcip. My chyba wtedy sobie też.

Następny był golf II GTI. Właściwie kupiłem go wyłącznie dla tych trzech liter. No i jeszcze miał 16V. Zabawne, że w ogóle nie wiedziałem, co to znaczy. Wystarczy, że brzmiało groźnie. Nabyłem go w Białymstoku, a więc znowu blisko kolorowych jarmarków.

Tym razem jednak zakres szkód był o niebo mniejszy. Załedwie cztery tyse opony oraz wspomaganie w takim stanie, że ostre zakręty pokonywałem, gimnastykując jednocześnie pośladki. Miałem wtedy poczucie, że jestem posiadaczem najszybszego samochodu w kraju i jak się dobrze w niedzielę rozpędzę, to przyjadę jeszcze w sobotę pod wieczór. 139 koni pod maską dawało mi poczucie bycia Emersonem Fittipaldim. No i ten szybkościomierz wyskalowany do 260 kilometrów na godzinę. Jakiś radosny Germaniec zagalopował się o dobre 60 kilometrów. Jeżdżąc nim, byłem niczym pomnik Cristiano Ronaldo w Funchal. Miałem spiżową erekcję. Atutem golfa II była solidna maska. Sprawdziłem kiedyś z koleżanką w Lasku Bielańskim. I to wcale nie w wypadku samochodowym.

Następny to wspomniany już volkswagen corrado G60. To już była klasa światowa. Gdy przekraczałem 140 kilometrów na godzinę, samoistnie zamykał się szyberdach. Jak przekraczałem 120, automatycznie wysuwał się tylny spojler. W związku z tym całymi dniami jeździłem z tymi prędkościami po mieście, imponując swoim koleżankom potencjałem technologicznym mojego nowego wehikułu. Był też pierwszym samochodem, który dosyć wyraźnie nie spodobał się tylko mnie. A działo się to na Ursynowie, gdzie stacjonowałem czasowo u swej aktualnej dziewczyny. Dwóch jegomościów nocną porą próbowało sforsować w moim wehikule uchwyt na skrzynię biegów. To były takie czasy, że z przestępcami nie walczyło się wysublimowaną techniką, tylko kowalskim

rozmachem. Udawałeś się, bratku, do stosownego zakładu z sektora metalurgicznego, a tam pan majster przewiercał ci wał korbowy, skrzynię biegów oraz generalnie poczucie estetyki i instalował tytanową blokadę wielkości kowadła. To się chyba nazywało multi lock. Działanie tego urządzenia było niestety proste. Złodziej zaglądał przez okno, widział w aucie pomiędzy przednimi siedzeniami mechanizm wyglądający jak urządzenie do obróbki skrawaniem i zniesmaczony rezygnował ze złodziejskiego procederu. Niestety ja trafiłem na pracowników o niskim poziomie smaku, którzy po sforsowaniu drzwi próbowali piłą do wycinania puszczy uciąć mi drążek zmiany biegów. Obudzony niepokojącym szuraniem udałem się na balkon, z którego poinformowałem obu przyszłych posiadaczy mojego volkswagena, że stosowne posiłki zostały wezwane i że zaraz poznam ich twarze. Z opryszkami często bywa tak, że podążają za głosem swego złodziejskiego serca, ale nie zawsze biorąc ze sobą szarą substancję mózgu. Ci na przykład pracowali bez kamuflażu. Oni w odpowiedzi na moje postulaty wyznali, że podpalą mi mieszkanie. Ot, typowa wymiana uprzejmości. Biznes to biznes. Od razu zrobiło mi się ich żal. A może byli z patologicznej rodziny? A może byli tak biedni, że mieli studniówkę w Biedronce? A może mieli umysły zdezelowane jak sprzęt ogrodowy? Zabawne było to, że gdy przyjechała policja, to zapytałem ich, czy – uwaga – zdejmą odciski palców z miejsca przestępstwa. A co! Oglądało się Kojaka, Kolombo i Borewicza w młodości. Czasami jednak bywa tak, że na swej drodze życiowej spotykasz osoby, których nie należy wkurwiać. I ja akurat miałem to szczęście. Bo to byli oni. Funkcjonariusze. Rzucili więzankę, w której pomiędzy słowami powszechnie uznanymi za obraźliwe pojawiły się określenia: statystyki, wykrywalność i zjechać. Z tych komunikatów, które zrozumiałem, skleciłem logiczną w sumie wypowiedź, że odcisków nie zdejmą.

Następnie opel calibra. Po raz pierwszy padłem ofiarą czegoś, co będzie mi towarzyszyło od tej pory przez resztę życia. Potrzeby zmiany dla samej zmiany. Opla nabyłem w Białymstoku, co po raz kolejny dawało mi poczucie, że tamten rejon szybciej oswoił się z kapitalizmem, nawet jeśli oznaczało to wprowadzanie do obrotu nie zawsze swojego mienia. Co zabawne, już podczas drogi powrotnej do domu zrozumiałem, że auto, przypominające odwłok srebrnego żuka w trakcie defekacji, nie wzbudza moich wielkich namiętności. Żuk gnojowy nie spędził ze mną wiele czasu, nie miałem nawet potrzeby, aby go

u siebie zameldować, a czym kończyło się jeżdżenie po stolicy na blachach z Białegostoku, wie każdy z Białegostoku jeżdżący po stolicy. Lusterka boczne, znaczki i antenę zmieniałem w trybie rotacji stałej. Już wtedy czułem się jak uczestnik rolniczego marszu gwieździstego na Warszawę. Byłem bojkotowany bez względu na intencję. Ale widocznie stołeczny wieśniak, który przyjechał wcześniej, nie znosił konkurencji stołecznego wieśniaka, który zjechał później. Zawsze zresztą mawiałem, że gdyby w naszym mieście wieśniacy mogli świecić, stolica w nocy wyglądałaby jak Las Vegas.

Auto, jak powszechnie wiadomo, jest dla mężczyzny przedłużeniem tego i owego. W tym przypadku przedłużenie nie działało. Co nie przeszkadzało mu, temu opłu, stać się kultowym obiektem wiejskiego tuningu na najbliższe dekady. Można go było podrasować wszystkim. Kawalkiem rynny, starą papą, eternitem czy odpadami z sieci wodociągowej, dzięki czemu coraz bardziej wyglądał jak bolid, ku chwale swych szczerbatych właścicieli.

Po niemieckim doświadczeniu nadszedł jedyny w moim życiu moment zmiany na produkt japoński. To tak, jakbym z messerschmitta przesiadł się na wibrator. Toyota MR2. Zwana przez moich przyjaciół Barbie carem lub autem mineciarskim. Wśród tak zwanych specjalistów auto miało ksywkę „little ferrari”, co ewidentnie świadczyło o urojeniach autora tego komplementu. Auto było małe, jeździło bokiem, miało zdejmowany szklany dach, którego obecność wprowadzała prostą zależność: im mocniej świeciło słońce, tym szybciej jeździł właściciel. Co zapewne przyczyniało się do zwiększenia śmiertelnych zejść posiadaczy MR2 w piękne słoneczne dni. Silnik był z tyłu, ale auto czasem jeździło, jakby go w ogóle nie było. Do tych uskrzydających informacji dołączył stołeczny serwis Toyoty, który powiedział mi, że mogą mi tylko albo zmienić olej, albo znaczek. Bo tych aut nie serwisują. I w istocie posiadanie MR2 w sytuacji krytycznej podnosiło jej krytyczność o level wyżej.

Kiedy w drodze na festiwal w Węgorzewie, gdzie pełniłem, jak zwykle w życiu, rolę jurora, złapałem gumę, problemy zaczęły się mnożyć jak rodzina Terlikowskich.

Najpierw się okazało, że lewarek do podnoszenia auta owszem jest, ale można nim podnieść wyłącznie inne auto. Klucze do kół są idealne, ale do całkiem innych kół, a dojazdowe koło skryte w czeluściach bagażnika

konsekwentnie pasuje do całkiem innego rydwanu. Podróże kształcą, ale głównie wykształconych.

Potem był VW golf III V6. Zwykle stawałem się właścicielem aut, których oznaczenia czytało się dłużej, niż trwał czas ich zakupu. Do dziś jestem ignorantem, który na hasło „widlasta ósemka” czy „rzędowa szóstka” reaguje skromnym zdziwieniem. Bo brzmi to dla mnie do dziś, jak przegląd protezy zębowej u stomatologa.

Golf V6 był sprawny i nudny jak pracownik Bundestagu. Fenomenem tamtych czasów było to, że jak kupowałeś, bracie, auto z drugiej ręki, to miałeś pewność, że ta pierwsza ręka zabierze ze sobą radioodtworacz. Tak też było i w tym przypadku. Na środku deski rozdzielczej ziała wielka dziura, będąca wspomnieniem czegoś, co było tu wcześniej. I grało. Bardzo możliwe, że pierwsza ręka wymontowała to i tamto także z innej części wehikułu, ale na szczęście nie rzucało się to tak nachalnie w oczy. Pamiętam, jak z ówczesną dziewczyną z programu *Lalamido* pojechaliśmy do Koszalina, gdzie odbywał się przegląd zespołów muzycznych. A ja, jak powszechnie wiadomo, od bierzmowania mam na drugie imię Juror. Pomimo braku radioodbiornika nasza podróż nie odbywała się przy akompaniamencie nudy i widłowej szóstki, bo dziewczę było uzdolnione muzycznie i wyśpiewało mi całą serię przebojów z musicalu *Metro*. Pamiętam, jak zapalała mi się co chwila kontrolka temperatury silnika, tak jakby mój niemiecki kumpel wiedział, co kryją wieloznaczne słowa: „Wybudujemy wieżę, wieżę, wieżę”. Festiwal wygrali chyba chłopcy z *Blenders*, a drudzy byli panowie z *Myslovitz*. Albo odwrotnie. Pani I. dbała, bym nie koncentrował się zbyt na nutach.

Właściwie nie wiem, dlaczego go kupiłem. To trochę jak zadać sobie pytanie, czy zdarzyło mi się pójść do łóżka z brzydką kobietą. Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że się przy takich budziłem.

Następnym wehikułem był mój awans do środowisk dresiarско-cinkciarsko-badylarskich. Czyli zielone bmw serii 3 kupione w stołecznym autokomisie. Czyli już nie na wschodniej rubieży, specjalizującej się w tym, że nawet barkę potrafili stuningować na opla.

Właściciel był gościem z cyklu „żart na każdą okazję”. Do mojej koleżanki, z którą akurat przyszedłem oglądać auta, powiedział: „Może powiem coś krótko

o sobie. 30 centymetrów”. Po tych grzecznościowych uwagach wyjechałem swoim pierwszym w życiu bmw. Czasy były wtedy trudne, wzdęcie godnościowo-rozliczeniowe w narodzie spore, co przejawiało się nienawistnymi spojrzeniami przechodniów i innych kierowców. A ważne jest to, że z twarzy wyglądałem wtedy jak nieco wyrośnięty uczestnik programu *Mali Giganci*. Pamiętam, jak odwiedziłem tym samochodem rodzinę swojej ówczesnej wybranki w Częstochowie. Jak powszechnie wiadomo, światem rządzi miłość. A niektórzy w swej miłości najbardziej kochają pieniądze. Mama A. nabrała do mnie biznesowego szacunku oraz finansowego respektu z szybkością Greka opróżniającego bankomat w roku 2016. Maszyna miała jednak jedną wadę. Ilekroć coś chciałem naprawić w profesjonalnym serwisie, dowiadywałem się, że poprzedni właściciel prawdopodobnie naprawiał to we własnym warsztacie na tak zwaną własną rękę. A ta ręka nie była ręką Michała Anioła. Jak w styczniu otworzyłem kiedyś szyberdach, to gdzieś koło sierpnia sprzedałem auto dalej, dalej z otwartym. Częstochowa okazała się jednak miastem przyjaznym motoryzacyjnej przygodzie i następnie czarne bmw 2.0 coupé zakupiłem właśnie w świętym mieście. To była maszyna, na widok której kobiety robią się mokre i to nie tylko w Wielkanoc. Niestety było to bmw i było czarne. Podobno rekin wyczuwa kroplę krwi w oceanie z odległości pięciu kilometrów. W tamtych czasach dresiarze kryminaliści tak samo wyczuwali na odległość czarne beemki. To był przedmiot marzeń ich twarzoczaszek. Po co wówczas kupowało się czarne bmw? Po to, aby nigdy nie być samemu. Jeśli u gangsterów istniałaby w tamtym czasie klauzula sumienia pod tytułem „nie kradnij czarnych modeli BMW”, to byłiby oni kompletnie bezrobotni.

Do dziś pamiętam, jak przemierzali się za mną stołeczni sprzedawcy cudzych samochodów, próbując złapać mnie na momencie nieuwagi. Nie byli trudni do zdemaskowania. Mieli po dwa abonamenty na siłownię i dresy z napisem „Polska” na sobie, prawdopodobnie po to, żeby rabowany nieszczęśnik nie miał mylnego poczucia, że grabi go obcy kapitał. Jak mi kiedyś wyznał jeden z nich, oszczędzili mnie, bo automobil nie miał skóry na siedzeniach, a w ich świecie, jak powszechnie wiadomo, bmw bez skóry jest jak Boże Narodzenie bez pisanek. Czułem się w tym aucie jak Tupac Shakur, oczywiście przed 1996 rokiem, kiedy to podczas wieczornej przejażdżki w Las Vegas kilkoma kulami zdjęto z niego odpowiedzialność za respektowanie

przepisów komunikacyjnych. Co ciekawe, kilka lat później jego bmw 750 IL zostało sprzedane za 1,5 miliona dolarów. Co ważne, z wyraźnie zaznaczonymi dziurami po kulach.

Kolejny zakup to pierwsze bmw kupione u warszawskiego dilera, niejakiego Smorawińskiego. Jak powszechnie wiadomo, jestem człowiekiem leniwym acz pragmatycznym, więc wszedłem do salonu, pokazałem na trójkę bordo metallic, która stała tam dumnie, poprosiłem o rachunek i wyszedłem. Zawsze chciałem tak zrobić, gdyż bywam wieśniakiem. Zrobić wrażenie. Jak mawia mój kolega: „Co mówi huragan do palmy kokosowej? To nie będzie zwykłe dmuchanie”. Ja chciałem, aby to nie były zwykłe zakupy. Kolor był kontrowersyjny. Wyglądał jak nieudana reinkarnacja ognistej czerwieni. Jak czerwony nietolerujący laktozy.

Szybko zdałem sobie sprawę, że z samochodami jest jak z kobietami. Gdy mężczyźnie źle, szuka kobiety. Gdy jest mu już dobrze, szuka następnej. Sam nie pamiętam, kiedy wpadłem w cykl dobrej zmiany, czyli zmieniania dla zmieniania. To hobby kosztowne, ale wielce przyjemne. Polecam każdemu. To moment, w którym przeglądanie pism motoryzacyjnych przestaje być podobne do przeglądania magazynu „Playboy”, a robi się podobne do przeglądania ofert agencji towarzyskich. W zależności od tego, jaką linię lubisz, jaki ma stawić opór powietrzu i w którym miejscu ma mieć wypukłość, a gdzie stosowne wgłębienie, to taki model wybierasz. Brzmi okropnie szowinistycznie? Trudno. To moje dwie największe namiętności w życiu i mogę swe odczucia do nich mieszać dowolnie.

Co mi dawały samochody? Siłę? Nie sadzę. Nie jestem zbyt atletyczny. Fizyczność mam taką, że nawet worek treningowy potrafiłby mnie pobić. Sztukowanie ego? Mylny błąd, jak mawiają znawcy mowy ojczystej. Ego mam takie, że powinno zajmować osobne mieszkanie. Stereotypowa diagnoza z brakiem stosownego metrażu na odcinku penisa? Nie mnie sądzić, ale mam licznych świadków, że to ślepa uliczka. Odpowiedź dałem chyba sam sobie, gdy zakupiłem limonkowe lamborghini aventador. Uwielbiam, jak na mnie patrzą, i wkurwia mnie, gdy się na mnie gapią. Oto część prawdy.

Tym samym nastąpił czas moich bliższych kontaktów z bawarskim koncernem motoryzacyjnym założonym przez panów Gustava Ottona i Karla Rappa. Podobno obaj zaczęli od majstrowania w lotnictwie, co czasem, używając ich

dzisiejszych produktów, dawało się odczuć. Po kolei w moim garażu stawały bmw 3.0 coupé ze skrzynią SMG, co mentalnie automatycznie kroilo dla mnie azbestowy garniturek Michaela Schumachera. Po chwili prawdziwa torpeda, którą odkupił ode mnie Piotrek Gąsowski, czyli bmw M3 power. Przyśpieszenie miała takie, że czuleś się, bracie, jakbyś pakował głowę do piekarnika. Tak wzrastało ci ciśnienie. Zmyślny Germaniec wpakował tam jednostkę o 3 litrach pojemności i z niezwykłym potencjałem 360 koni mechanicznych. Trasę Warszawa–Katowice pokonywałem na dwóch bakach i jednym uśmiechu kretyna. Było to moje pierwsze auto, w którym silnik przenosił minimalne drgania na kierownicę. Wtedy wydawało mi się to potrzebne i profesjonalne. Był wibratorem, który wprowadzałem do swojej chłopięcej wyobraźni. Czułem się jak pilot promu kosmicznego Discovery. Zabawna podczas jazdy tym wehikułem była świadomość, że w części serii koledzy z Bawarii przy produkcji panewek korbowodowych użyli wadliwego materiału, co przy szczęśliwym zbiegu okoliczności prowadziło do eksplozji silnika. Najwyraźniej naród niemiecki tak ma, że cokolwiek robi, to w finale musi skończyć się eksplozją. Poczucie tego co nieuchronne powodowało, że użytkownik starał się wszędzie dojechać szybciej, czyli *per saldo* przyczyniało się do popularności tego modelu. Niestety wkrótce jakiś pomysłowy fryc usunął tę radosną przypadłość i auto straciło na atrakcyjności.

Kiedyś ktoś nazwał bmw M power pogromcą porsche i uroczyście zaświadczam, że nie łągał. Jakiś czas później, kiedy już najwyraźniej uznałem, że jedno auto w garażu jest jak tort weselny bez wesela, nabyłem automobil bmw X6. Chyba jako pierwszy w Warszawie.

Okazało się, że BMW Polska zamówiło dla swego szefa jeden z pierwszych modeli, ku memu przerażeniu ponownie burgund metallic, czyli w kolorze gwałtownego pawia miłośnika wiśniówki. Auto przyjechało, a prezes wyjechał. To był dziwny koncept. Nadmuchane coupé o wyglądzie Adele skaczącej ze sceny w tłum fanów. Miał szatański pięciolitrowy silnik V8 korespondujący z wyobraźnią kierowcy za pomocą 407 koni. Było w nim wszystko. Masaż foteli, wyświetlacz na szybie, domykanie drzwi. Generalnie przewodnik po sztuce współczesnego motoryzacyjnego hedonizmu. Gdyby czymś takim dysponował Wehrmacht we wrześniu 1939 roku, moja babcia sama dałaby się zgwałcić. Jeździło 250 kilometrów na godzinę i miało w sobie coś z napakowanego

sterydami osiłka. Mile je wspominam, bo wielokrotnie pokonywałem nim trasę na Mazury w towarzystwie Julii, która w tym samym roku zdawała maturę. Był to więc dla naszej trójki ciekawy egzamin z dojrzałości.

Wcześniej był jeszcze range rover sport, który nabyłem tylko dlatego, że jeżdżenie porsche 911 GT3 po mieście jest jak rozmowa ze Stefanem Niesiołowskim. Pełne gwałtownych spadków, wstrząsów i uniesień. Trzeba to sobie dawkować.

To było jeszcze przed zakupem tej legendy przez bollywoodzkich macherów, ale auto sprawiało wrażenie, że już wie, że jest wystawione do adopcji. Był to jeden z najmniej seksownych samochodów, jakie miałem. Odnosiłem wrażenie, że zepsuł się, zanim go jeszcze odebrałem. Mało tego: zepsuł się, zanim go wyprodukowali. Był czarny, a tapicerkę miał w kolorze najlepszych dni Andrzeja Leppera. Potrafił płać takie figle, że jak wrzucałem bieg do przodu, to on z nieznanymi mi bliżej powodów wybierał inny kierunek. Natomiast wrzucenie biegu wstecznego powodowało, że lusterka odwracały się do góry, pokazując mi niebo. Prawdopodobne miejsce, gdzie wcześniej czy później znajdzie się każdy użytkownik tego wehikułu. Dającym do myślenia faktem jest to, że gdy odkupił go ode mnie mój współnik, samochód jeździł i działał jak natchniony. Do dziś range rovery wyglądają jak skrzyżowanie Lichenia z Disneylandem.

Kiedyś spotkałem w takim aucie Piotra Rubika. Wyglądał, jakby prowadził Bibliotekę Watykańską. Największą tajną zaletą tego auta jest prosty fakt, że spokojnie mieści się w nim trumna dorosłego człowieka. Kiedyś zostałem poproszony o podwiezienie tego nietypowego pasażera i głupio mi było odmówić, bo rozumiem, że jak ktoś chce podrzucić gdzieś trumnę, to znaczy, że ktoś gdzieś na nią czeka. Bez zbędnej zwłoki, chciałoby się dodać.

À propos trumien, to was zaskoczę.

Rozmawiałem o tym gadżecie z Robertem Lewandowskim:

– Ile jest prawdy w tym, że miałeś propozycję produkcji trumien dla Rosji?

Lewy z rezygnacją w głosie:

– Niestety dużo.

– Bo jeśli to prawda, to mam dla ciebie petardę-hasło, wymyśliłem w tej chwili, poczekaj: „Okienko transferowe niebo, tylko trumny od

Lewandowskiego”.

Z Rubikiem łączą nas liczne przygody motoryzacyjne.

Kiedyś na trasie Warszawa–Katowice usiadła mi na ogonie atrakcyjna blondynka w bmw 6. To był interesujący eksperyment BMW epoki Chrisa Bangle’a. Samochód, który się ciekawie zaczynał, a fatalnie kończył. Jakby zapał projektanta utknął gdzieś w okolicy bocznych lusterek, a projekt dokończył jego najmniej zdolny praktykant. Kłapa bagażnika była majestatyczna i przysadzista niczym nagrobek Marszałka na Wawelu.

No więc ja w porsche 911 S, a ona w tej beemce z wyraźną chęcią zamiany pozycji. Jak każdy kierowca w tym kraju, byłem zaopatrzony w odpowiednią frazeologię, że ten, który jedzie wolniej od nas, to ciota, a ten, który nas wyprzedza, to pedał. Ale to była jakaś mściwa blondyna, której jakiś bezmyślny sponsor-tatulek użyczył bezlitosnej maszyny do wkurwiania innych użytkowników ruchu. A więc widzę ją w lusterku wstecznym, jak się zbliża, to ja się oddalam. Ona znowu się zbliża, widzę jej blond pukle, to ja znowu dociskam swoje cacko ze Stuttgartu. Ja mam 355 KM, a ona 272. Ja mam umiejętności i przewagę, a ona tę typową dla kobiet chęć, żeby było tak, jak ona chce. To był morderczy pojedynek gdzieś od zjazdu do Radomska aż do przedmieść Katowic. Wszystkich, którzy tego dnia stracili bliskich, serdecznie przepraszam.

Mike Tyson powiedział mi kiedyś, że prawdziwą wolnością jest nieposiadanie niczego. I ja tego dnia osiągnąłem ten stan. Nie miałem zahamowań, nie miałem skrupułów, nie miałem obaw o prawo jazdy. Byłem wolny. Aż do momentu, kiedy w granicach miasta Katowice okazało się, że ta bezlitosna blondyna to nikt inny jak Piotr Rubik we własnej blond osobie. Nie wiedząc jeszcze, że to wkrótce będzie modne, klaskał mi przez parę minut.

Rubik motoryzacyjny to w ogóle ciekawy przypadek. Wyznał mi kiedyś, że dokładnie spisuje numery rejestracyjne wszystkich samochodów, które zajechały mu drogę, ewentualnie których posiadacze nie wyrazili zachwyty nad umiejętnościami szosowymi autora *Tu es Petrus*. Ciekawe.

Pierwsze porsche 911 to był sprowadzony ze Szwajcarii zielony bolid model 993 z sześcioletnim *curriculum vitae*. Piękny, przyczajony, o wnętrzu komfortem

przypominającym wypasionego volkswagena polo. Czysta adrenalina na czterech kołach. Silnik bez zbędnych ozdób. Tylne błotniki niczym biodra Arethy Franklin. Był ostatnim modelem z silnikiem chłodzonym powietrzem. Dzieło sztuki. Można było w nim rozmawiać, o ile dobrze znało się rozmówcę i z ruchu warg i gestów dało się wyczytać intencje. O jego niezwykłym powodzeniu w nowej ojczyźnie świadczyły setki tłustych śladów nosa, jakie codziennie znajdowałem na bocznych szybach. Miał w sobie coś zadziornego i peszącego zarazem. To ostatnia 911, która miała w sobie coś bezkompromisowego. Nawet kiedy kilka lat później jeździłem superszybkim GT3 RS, czułem się jak w lunaparku.

Porsche zadomowiło się u mnie na dłużej. Ferdynand skonstruował bowiem nie auto, tylko marzenie. Wiele marzeń. I spełnienie jednego automatycznie dawało ci ochotę na branie się za bary z następnym. To auto jest jak Marilyn Monroe i John Wayne w jednym. Ono jest bohaterem z plakatów dzieciństwa. To o nim miałeś mokre sny, oczywiście zaraz po Marilyn. Były więc po kolei: porsche carrera S, porsche GT3, porsche GT3 RS, a pomiędzy nimi cayenne turbo, cayenne S i cayenne GTS.

Porsche 911 jest moim rówieśnikiem, bo powstało w analogicznym 1963 roku. Niestety karierę zrobiło większą i szybszą. Carrera S towarzyszyła mi podczas relacji z Anią Muchą i była w prostej linii efektem kontraktu reklamowego z siecią telefonii komórkowej Era. Gdy tylko dostałem zaliczkę, a nigdy nie ukrywałem, że cenię się bardziej od swej realnej wartości, udałem się do wówczas małego kantorka nad salonem Volkswagena przy ulicy Połczyńskiej i zamówiłem pierwszy bolid prosto od krawca ze Stuttgartu.

Najbardziej wspominam naszą wyprawę na koncert U2 do Chorzowa. Wtedy trasą katowicką jechała karawana samochodów z upojonymi fanami irlandzkich kaznodziejów. Co jakiś czas zrównywał się z nami samochód na stołecznych blachach, w którym jeden z pasażerów zamiast siedzieć na dupie, obnażał ją i przytykał do okna. Jako że okno było z naszej strony, zaczęliśmy odbierać ten znak jako skierowany do nas. Zatopiliśmy się w dyskusji, o co może mu chodzić. Czy mamy go pocałować w dupę, czy może on ma nas w dupie, a może chciał zasugerować, że moje rozmowy w programie są o dupie. Trudno było odgadnąć, bo komunikat, choć czytelny, pozbawiony był komponentu werbalnego. Co my stawaliśmy w korku, to on swoje. „Może pijany

w cztery dupy” – analitycznie zagaja moja współpasażerka. „A może twoje popisy w *M jak miłość* należy o kant dupy potłuc” – próbowałem odsuwać od siebie podejrzenie. „A może razem wyglądamy jak pół dupy zza krzaka” – ripostowała Mucha. Spodobała mi się ta inteligencka igraszka, więc odparowałem. „Pewnie pijany w cztery dupy i próbuje to przekazać światu”. „Ale czemu robi nam koło dupy” – sprytnie zagaduje mój pilot. „I to od dupy strony” – podbijam emocjonalnie zażalenie. W końcu zabraliśmy dupę w troki i ryzykując życie oraz zdrowie, oddaliłem się od bladego problemu. Do dziś nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Ale nawet jeśli był w tym jakiś personalnie oceniający mesydz, to nie traktuję tego osobiście.

Porsche GT3 zaraził mnie Leszek Kuzaj. O Leszku chodziły legendy, że uznaje tylko dwa położenia pedału gazu. W spoczynku i do dechy. Kiedy jechałem z nim po raz pierwszy, nie chciało mi się wierzyć, że ten facet zadebiutował w mistrzostwach świata fiatem 126p. Sprawiał wrażenie oblatywacza promów kosmicznych. W trakcie jednego z wyjazdów na tor wyścigowy w Poznaniu, gdzie uczyliśmy się, jak właściwie użytkować auta z mocą 435 KM, Lechu przewiózł mnie właśnie GT3.

Dla amatora zabrzmiałoby to absurdalnie, ale przy GT3 zwykle 911 S to karawan ze zwłokami otyłego pasażera na pokładzie. To auto, którego przyspieszenie depiluje kobietom nogi. Ma torowe DNA bez względu na to, że przy niektórych modelach ferrari czy lamborghini wygląda jak Łysek z pokładu *Idy*. Niestety flirtując z Brigitte Bardot, ciągle masz ochotę na Marilyn Monroe. I tak jest też z samochodami. Kiedy mój kolega Adam Niesłuchowski zakupił bestię pod tytułem GT3 RS, wiedziałem już, że nadszedł czas na zdradę.

Spotkaliśmy się w Kazimierzu nad Wisłą na cyklicznej imprezie Porsche. Wtedy był to najmodniejszy samochód wśród medialnych ludzi sukcesu. Jeździli nim: Bogusław Linda, Czarek Pazura, Piotr Gąssowski, Hubert Urbański, Tomek Kammel, Robert Chojnacki, Doda i oczywiście ja. Jako drugi po Maryli Rodowicz pionier marki.

To było ciekawe spotkanie w hotelu Król Kazimierz. Mój żonaty, a przy okazji zamożny kolega z Katowic przyjechał ze studentką, z którą flirtowałem, prowadząc zajęcia z dziennikarstwa na jednej z tamtejszych uczelni. A wyjechał z nią znany polski aktor, który namówił ją do tej jakościowej zamiany podczas

nocnej debaty w jego pokoju. Takie są niespodziewane bonusy posiadania samochodu marki Porsche – siła perswazji, ale i od tego są wyjątki.

Pamiętam, wtedy Bogusław Linda opowiadał mi, że zakupił urządzenie do latania, składające się z silnika zakładanego na plecy i śmigła do niego przytwierdzonego. Zapraszał do wspólnego latania. A jako że jestem człowiekiem z cyklu „co ty wiesz o lataniu”, do dziś nie skorzystałem z zaproszenia.

Skorzystałem za to z zaproszenia do nabycia nowego GT3 RS. Radykalnego auta torowego, z plastikową szybą, bez klamek i ze stalową klatką w środku. Cały ten wyczynowy blichtrz najlepiej skomentowała moja mama, Maria, zaglądając przez okno do wnętrza i pytając: „Po co wozisz ze sobą rower?”.

To auto przyczyniło się do mojego pierwszego zatrzymania prawa jazdy przez stosowny organ. Jak już wcześniej wspomniałem, prowadziłem zajęcia z praktyk dziennikarskich na uczelni prywatnej w Katowicach. I o ile zimą przemieszczałem się PKP, biorąc udział w milionie sytuacji godnych Hrabala, o tyle wiosną i latem jeździłem słynną gierkówką.

Zajęcia zaczynałem o dziesiątej rano, a ze stolicy wyjeżdżałem przed ósmą. I jak się powszechnie mówi, „zdanzałem”. Pomarańczowy szerszeń spokojnie wkręcał się na 9000 obrotów, generując bez zadyszki smakowite 312 kilometrów na godzinę na liczniku. Był wyśmienitą maszynką do golenia konkurencji na szosie. Wszystkich, którzy pamiętają mnie z tamtego czasu, serdecznie za nic nie przepraszam. To był zenitalny okres mego drogowego wieśniactwa.

Eskimosi podobno znają sto określeń na śnieg. Ja w tym czasie odkrywałem 99 nowych określeń na zapierdalanie. To, że przeżyłem tamte lata, to nie pierwszy ateistyczny niespłacony dług w moim życiu. Byłem Harrym Potterem gierkówki. Czarowałem, znikałem i pojawiałem się znienacka. Ja i moja maszyna byliśmy dwuosobowym zombie z biegunką spalin. Niestety jakiś nikczemnik bez fantazji postawił na tej samej trasie fotoradary w liczbie wystarczającej, aby storpedować moje raketowe plany. W ciągu trzech miesięcy zarobiłem... 63 punkty. Bez zatrzymywania się.

Pierwsze ferrari kupiłem jeszcze w Niemczech, za co serdecznie przepraszam wszystkich cierpiących obecnie na godnościowe wzdęcia patriotyczne. Nigdy nie miałem ani czasu, ani motywacji, żeby samochód

odbierać w fabryce. A ferrari, podobnie jak porsche, taki tryb proponują. Jak idziesz do agencji towarzyskiej, to nie umawiasz się z dziewczyną na depilacji czy waginoplastyce. Konsumujesz już gotowy produkt. Z takiego założenia wtedy wychodziłem.

Podobno istnieje w damskiej kulturze fizycznej takie pojęcie jak „trener pośladków”. Skądinąd musi być to miłe zajęcie. Patrząc, jak dojrzewają owoce twoich wysiłków, dwa na raz, po jednym z każdej strony. Miałem kiedyś kolegę, który twierdził, że damskie pośladki muszą być stosowne, żeby można było na nich postawić piwo, ewentualnie oprzeć rower.

Piszę o tym tylko dlatego, że ferrari jest męskim odpowiednikiem trenera pośladków. W tym samochodzie dochodzi do specyficznych wyładowań w mózgu. Nie wiesz, co będziesz robił za dwa lata, ale wiesz, co będziesz robił za 30 sekund. Będziesz, bracie, zapierdalał. Bo mieć ferrari i nie zapierdalać, to jak zapytać sześciolatka: „Masz już sześć lat i ciągle jesteś singlem?” – trochę bez sensu.

490 rasowych włoskich rumaków opakowanych w orkiestrowo zestrojone V8 dawało ci prędkość do setki w 4 sekundy. To łatwo sobie policzyć, ile się działo po sekundach 30. I wtedy zaczynało się spinanie pośladków. To tak bezczelne auto, że jeżdżąc nim, sam masz, bracie, ochotę zadzwonić pod 112 i zawiadomić, że zaraz będziesz przejeżdżał tu i tu i raczej niech wszyscy się pochowają w kwaterunku. Pośladki spięte w rozpędzonym F430 puszczają dopiero dobre trzy kwadransy po jego opuszczeniu.

Mało kto wie, że takim samochodem poruszał się kiedyś człowiek, który ze smakiem i dobrym gustem szarpie się od lat jak niedźwiedź z turystą. Donald Trump ujeżdżał czerwone F430, które dziesięć lat później zostało sprzedane na aukcji za 270 tysięcy dolarów. Sporo jak za samochód, którym jeździł populistą na dopalaczach.

Mówi się często: „Są samochody sportowe i jest ferrari”. I jest w tym dużo prawdy.

Styliści świętej pamięci Battisty Pinnifariny tak bardzo skoncentrowali się jednak na futurystycznej bryle bolidu, że całkowicie polegali na detalach. Pokrętło regulujące siłę nawiewu powietrza w kabinie zostało mi w ręku już pierwszego dnia. Pomyślałem sobie, że nie będę wywoływał odwetowego ducha

roszczeń i nie zadzwonię ani do salonu w Berlinie, ani do serwisu. I jak postanowiłem, tak zrobiłem. Nie zadzwoniłem. Skorzystałem z polskiego przedstawicielstwa tej jakże eleganckiej firmy, które nosiło swojską nazwę „klej superglue”. Zadziałało tak, że następny użytkownik prędzej oderwie szkielet auta od tego pokrętła niż samo pokrętło.

Podobnie było z akumulatorem. Egzemplarz, który posiadałem, miał akumulator, który wyładowywał się z powodu wszystkiego. Od samego odpalania. Jak odpaliłeś auto, to chyba w zamiarze sprytnego konstruktora nigdy już nie powinieneś być go wyłączać. A jak to robiłeś, spadała na ciebie kara. Od słuchania radia. Jeśli radiem można było nazwać to, co ukryli tam w środku. Jak wiemy, włoska muzyka powoduje impotencję, tak więc szefostwo koncernu postanowiło nabyć odbiorniki w Lidlu. Słuchając ich, miałeś, bracie, okazję pojąć, co miał na myśli twój dziadek, gdy opowiadał o zagłuszaniu Radia Wolna Europa. Zresztą słuchanie muzyki w ferrari to głupota. Tam się słucha gangu silnika. Podobnie słuchanie muzyki w lamborghini to zbrodnia.

Ale wracając do czegoś, co nosi dumną nazwę ogniwa kwasowo-ołowiowego. Odpalenie radia i klimatyzacji było ryzykowne jak wczasy w Egipcie, gdyż siadał akumulator. Najczęstszym zaś powodem zanikania ładowania w akumulatorze był sam fakt posiadania tego akumulatora.

Wojtek Fibak opowiadał mi, że posiadaczy ferrari w Monako łatwo poznać. Do garaży dojeżdżają skuterami, taszcząc na drugim miejscu naładowany akumulator. Czyli sprytny plan fabryki w Maranello był prosty. Kupując u nich furę, miałeś w pakiecie skuter, jeszcze o tym nie wiedząc. Pomysł godny Mussoliniego. Parafrazując Clarksona, chciałoby się powiedzieć: „Jak Włosi pieprzą ferrari, to po co komu Włochy?”.

Niezrażony nielicznymi wadami F430 postanowiłem głębiej wejść w rodzinę dziadka Enzo i zakupiłem luksusowy model 599 Fiorano HGTE. Do końca użytkowania nie rozszyfrowałem tych czterech liter, ale generalnie w homofonicznym kraju grzebanie koło czterech liter może budzić podejrzenia. Panowie z Maranello chępli się, że w tym modelu, podobnie jak w poprzednim 612 scaglietti, zastosowano technologie rodem z Formuły 1. Nie byłem jedynym właścicielem 599, który snuł domysły, czy aby jedynym rozwiązaniem z F1 był fakt pominięcia w tym pojeździe hamulców. Taki concept. 620 KM grających

równy w zgranym repertuarze silnika V12 pozwalało rozpędzić to auto w 3,7 sekundy i następnie, jak w *Familiadzie*, należy się tylko uśmiechać, bo nie wiadomo, co powiedzieć.

Ten samochód nie hamował. W kraju, w którym rokrocznie zima zaskakiwała drogowców, pojawił się wynalazek, który zaskakiwał jeszcze bardziej wszystkich drogowców, a możliwe, że i samą zimę. Rozpędzone 1700 kilogramów, które trudno zatrzymać. 599 było wielką luksusową zblazowaną gwiazdą, która nie zamierzała stawać. Mało tego: jak na tylnonapędówkę przystało, w momencie rozpędzania, siedząc gdzieś z tyłu tego auta, czuć, jak długa maska i koła pod nią szukają swego miejsca na ziemi. Koszmar.

Jeśli my jesteśmy rzeczywiście z Marsa, a kobiety z Wenus, to ten wynalazek był z Merkurego, bo on podobno charakteryzuje się najmniejszym przyciąganiem grawitacyjnym w znanym nam kosmosie. Fiorano chciało brykać i odlatywać w kierunku całkowicie nieuzgadnianym z pasażerami. Powinno trafić do muzeum wynalazków do działu „Gilotyna, krzesło elektryczne oraz inne urządzenia zapewniające pozbycie się drugiego człowieka”. Sprzedałem je z poczuciem ulgi, dając sobie tym samym szansę na dłuższe życie.

Z lamborghini jest tak jak w historii o mężczyźnie, który jest jak King Kong. Żyje sobie spokojnie do czasu, gdy pozna kobietę. Mężczyzna żyje sobie spokojnie do momentu, gdy wsiądzie do lamborghini. To auto to maszyna czasu. To afrodyzjak. To wniosek urlopowy od dotychczasowego życia. Maszyna z wyraźnym hasłem „Houston, już dziś wiemy, że będziemy mieli problemy”.

Pierwszego lambo nigdy nie zapomnisz. Podobnie jak pierwszej żony. Człowiek posiadający taki samochód jest dumny i wyniosły do czasu, gdy spotka na drodze innego posiadacza takiego samego samochodu (co samo w sobie jest kurestwem) albo gorzej – spotka kogoś takiego jak Mike Tyson.

Uciałem sobie z nim kiedyś pogawędkę o autach.

Bestia mówi:

– Najlepszy jest aston martin. To mój numer 1.

– Mój numer 1 to lamborghini.

Wtrąca się siedząca obok Patrycja Kazadi:

– Pomarańczowe.

Na to Tyson:

– Miałem takie, jak byłem dzieciakiem.

Nokaut techniczny w pierwszej rundzie.

Głupio się przyznać, ale miałem już trzy zbliżone do siebie modele lambo. Pierwszy to klasyczny aventador w całej swej kosmicznej i triumfalnej krasie. Jest takie powiedzenie: „A myślałeś kiedyś, żeby rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?”. Ono jest już nieaktualne. Jego zamiennikiem powinno być powiedzenie: „A myślałeś kiedyś, żeby rzucić wszystko i kupić lamborghini?”. Ten bolid jest jak wrzucenie zdjęcia ponętnych pośladek na instagramowy profil. Zewsząd syją się lajki. Sprawia wrażenie uciekiniera z planu *Gwiezdnych wojen*. 740 koni powoduje, że masz ochotę wzorem bohaterów sagi skoczyć w nadprzestrzeń.

Na odbiór auta, niestety ciągle zakupywanego u Niemców, co czyni mnie obok Tuska drugim ulubionym Niemcem w kraju, umówiłem się pod Warszawą. Bałem się bowiem zamieszek i rozruchów, jakie niezwłocznie pojawią się, gdy będą mi go rozpakowywać pod domem. I nie myliłem się.

W dobie mediów społecznościowych, szybszych od najgwałtowniejszej biegunki, dowiedziałem się, że w stolicy pojawił się pomarańczowy aventador, zanim jeszcze przyjechałem do domu.

To auto nie jeździ. Ono rzeźbi powietrze. W nim jesteś pępkiem motoryzacyjnego świata. Jest dowodem na inteligentne życie w kosmosie, które czasem wysyła nam takie pocztówki ze swego świata. Aventador peszy. Wsiadając do niego, czujesz pokorę i smak bezwiednie przelykanej śliny. Parkowanie nim w garażu przypomina wprowadzanie wściekłego byka do windy. Wiedzą o tym wszyscy sąsiedzi. Słyszą cię. Znają twój rozkład dnia i nocy. Tym samochodem nie pojedziesz na dyskretną randkę. On spowoduje, że z randki nici, bo nikt inny nie jest ci już potrzebny.

Robert Lewandowski wyjawiał mi swego czasu, że próbował przekonać się do tego samochodu. „Jest szybki, to fakt, ale ma inny problem. Stojąc na światłach, nie wiesz, jakie jest światło. Nie wiesz i nigdy się nie dowiesz, bo ze środka nic nie widać”.

Ja rozwiązałem ten problem inaczej. Dla mnie zawsze było zielone.

Kiedyś na ulicach Warszawy pojawił się aventador pokryty czarnym

chromem. Szybko pojawiła się interpretacja tego pokaznego dość świętokradztwa przechodzącego łagodnym łukiem w buractwo. To po to, abyś przeglądając się w nim, zobaczył, jak bardzo jesteś biedny.

Problem ze sportowymi samochodami polega niestety na tym, że uwielbiasz nimi jeździć, ale jeździć nie powinienes, jeśli chcesz, żeby ktoś nie jeździł po tobie. Kto zrozumiał, ręka do góry.

Otóż specyfika klientów samochodów klasy „ukryty mikropenis z drugiej ręki” jest taka, że oni nie chcą samochodów z przebiegiem. Są tak przebiegli, że za mniejsze pieniądze chcieliby kupić używane nieużywane auto. Które ktoś najwyraźniej kupił tylko z intencją odsprzedania im po dwóch latach niejeżdżenia, a jedynie posiadania. To typ ludzi, którym Syria się myli z Sosnowcem. Więc jak jeździsz za dużo, to wiesz, że weźmiesz za mało. I trzeba nad tym czuwać, co jest wykonalne, podobnie jak czuwanie podczas wspólnej kąpieli z aligatorem. Samochody są bowiem jak kobiety. Im młodsze, tym droższe.

Sprzedalem więc po dwóch latach auto pomarańczowe i nabyłem srebrne w wersji roadster. Trzeba wiedzieć, że w Polsce posiadanie dobrego samochodu jest społecznie naganne i krzywdzące innych. Bo tutaj szczęście jest policzalne. Jak ty masz, to znaczy, że podpierdoliłeś innemu. W kraju głupawego fałszywego egalitaryzmu twój komfort życia odbierany jest jako element pozbawienia komfortu życia innej rodziny. A jak twój samochód na dodatek jest jeszcze cabrio, to tak, jakbyś obrabował co najmniej dwie rodziny i twoim opiekunem powinien być patrol policyjny z paralizatorem. Jako że rodzimi zawistnicy to grupa silnie trzymająca władzę na ulicach, jeżdżąc samochodem ze zdjętym dachem, szybko dowiadujesz się od mijanych przechodniów czegoś zarówno o pochodzeniu twoim, jak i twojej matki, oraz o tym, jakie jej postępowanie na ulicy doprowadziło do twego poczęcia. O ojcu nie wspominają zwykle, bo wiadomo, że nieznan.

Tak więc na 20 tysiącach kilometrów zrobionych aventadorem roadster tak gdzieś trzy kilometry przejechałem z otwartym dachem.

Auto to dzięki swej mocy, wadze i napędowi na cztery koła jest autem, w którym generalnie trudno doczekać wieku emerytalnego. To auto dla zawodowych samobójców. Sobiesław Zasada na pytanie pewnej kobiety: „Z jaką

maksymalną prędkością można przejechać zakręt?”, miał odpowiedzieć: „Z każdą”. To auto było taką samą odpowiedzią.

Najbardziej spektakularny wyczyn spotkał mnie w trzecim avku o kolorze zielonego flamastra fluorescencyjnego. Wydarzenie to znane jest z mediów jako „zajście pod Grudziądzem”.

Pewnego letniego, tkwiącego w wakacyjnym bezruchu poranka wracałem sam z Trójmiasta do Warszawy w godzinach mocno porannych. Autostrada pusta, a więc tylko zezowaty flegmatyk po lobotomii nie pozwoliłby sobie na odrobinę brawury. Przy 316 kilometrach na godzinę zobaczyłem w lusterku małe niebieskie światełko. Wstydliwie migające gdzieś na autostradowym horyzoncie. Pierwsze skojarzenie było oczywiste. Nadlatuje karawana kamikadze z BOR-u i jakiś pierwszy sekretarz Polskiego Zjednoczonego Prawa i Sprawiedliwości. Ale nie. To policyjny opel vectra walczył z przyspieszeniem ziemskim oraz całym swym oplowskim niedostatkiem.

Zwykle jak mnie zatrzymuje drogówka z jakże rozkosznym pytaniem: „Czy wie pan, jaki jest powód zatrzymania?”, odpowiadałem: „Wiem. Dziura budżetowa”. Teraz przeczuwałem, że zakres naszej konwersacji może być odrobinę szerszy.

Pierwszą moją reakcją była swawolna myśl: „A co tam, poczekam na nich w domu”. Ale później obywatelskie poczucie obowiązku wygrało i uruchomiłem procedurę zwalniającą.

Kiedyś popularne były quizo-pytania: „Kogo najchętniej wysłałbyś na bezludną wyspę?”. Otóż ja bym najchętniej wysłał patrol drogówki. Żeby nie mieli już komu zadawać tych niedorzecznych pytań: „I jak to będzie, panie Jakubie? Za co dziś płacimy?”, ewentualnie najbardziej pełnego literackich niuansów arcydzieła sztuki pytanej: „Jaki tutaj był znak?”. To byłby odwet za te wszystkie pytania bez sensownej odpowiedzi.

Grudziądz jednak okazał się dla mnie rejonem życzliwym. Nie wszyscy wiedzą, że w Grudziądzu znajduje się budynek, w którym jest najstarsza winda w Grudziądzu. A więc miasto potencjał ma i kompleksów nie powinno przejawiać. Tak też było.

Dwóch miłych panów funkcjonariuszy w miłej i pełnej niewymuszonej uprzejmości konwersacji pouczyło mnie co do prędkości, a następnie

zapropnowało wspólne foty. Przystałem na propozycję z chęcią, bo byli nad wyraz mili i wykazywali dużo zrozumienia dla mojej szosowej swawoli. Co ważne, zapytałem ich, czy rodzinne zdjęcie na pamiątkę mogę wrzucić na swoje social media, co by poinformować naród, że do władzy nic nie mam. Nie mieli z tym problemu. Niestety do czasu. Wspólne selfie okazało się hitem mojego Instagrama, którego, jak się wkrótce okazało, nieprzejeżdżanym fanem okazał się też Błaszczak Mariusz, z zawodu minister. Połączenie zła i niekompetencji. Policjanci stracili pracę, a ja dostałem mandat, bo... celebrytom nie wolno więcej. Jak powszechnie wiadomo, więcej wolno tylko politykom.

Na pięćdziesiąte piąte urodziny fundnałem sobie nowy model Bentleya Continetala GT w kolorze metalicznych maków spod Monte Cassino. Środek przypomina sypialnię kardynała Dziwisza, ale człowiek na starość robi się wygodny.

Gdy mi się śpieszy, siadam za kierownicą nowego porsche GT2 RS. Nie lubię takich porównań, ale to jest soczysty skurwysyn. Lambo jest samochodem sportowym, a GT2 jest samochodem wyścigowym, który lubi o tym przypominać właścicielowi. Przed użyciem skonsultuj się ze spowiednikiem lub najbliższą kostnicą. Auto, które na dużo pozwala, ale też wiele nie wybacza. Pierwszego dnia zauważyłem, że jak zbyt mocno wchodzę w zakręt, to lekko mi nosi dupę. Przypominam niezorientowanym: 700 KM wyłącznie na tył. Podzieliłem się swym ważkim spostrzeżeniem z Krzyśkiem Hołowczycem. Powiedział mi, że bym się nie martwił. Jego zdaniem mam obecnie najlepszy wyścigowy samochód świata i jak kiedykolwiek poczuje, że zarzuca mi tył, to znaczy, że nie żyję.

Polecam wyłącznie pierdolniętym.

Więcej grzechów nie pamiętam.

Mało kto wie, że skład programu *Mam talent* powstawał w locie. Lot ten odbywał się w sanktuarium Edwarda Miszczaka, czyli u niego w gabinecie. Nie bardzo paliłem się do tego programu. Po *Idolu* został mi w głowie niesmak po konieczności wyrefinowanego rozstrzeliwania ludzi. Bo zarówno media, jak i publiczność oczekują od ciebie kolejnej, jeszcze doskonalszej formy okrucieństwa. A mnie się już nie chciało.

Uwielbiam zabawę słowem, mam skłonność do bon motów, ale wydawanie z siebie zwrotów: „Brzmisz jak zepsuty klimatyzator” czy „Nuty to nie worki kartofli”, po prostu mnie już nie bawiło.

Idealny świat mediów zawsze był dla mnie podróżą, a nie poszukiwaniem jednego miejsca. Właśnie miało się okazać, że teraz będzie inaczej. Są takie rzeczy w życiu, które kurewsko złośliwie nie chcą się skończyć. W moim przypadku jest to zawodowe jurorowanie. Ale w końcu każdy nowy program to świetna okazja, aby zacząć wszystko od nowa. No to zacząłem.

Moją naturalną kandydatką obok Agnieszki Chylińskiej była Ania Przybylska. Wtedy oddelegowana na ziemię turecką w celu bycia Matką Polką i żoną futbolisty na obczyźnie.

Tak jak Michael Jackson był uzależniony od leków przeciwbólowych, ja jestem uzależniony od dobrego towarzystwa.

Niestety po skalkulowaniu kosztów cotygodniowych wypraw, tureckich opiekunek dla nietureckich dzieci oraz nie mniej sceptycznej postawy obrońcy Antalyasporu, czyli Jarka Bieniuka, okno transferowe dla Ani zostało zamknięte.

Siedząc na parapecie w gabinecie Edwarda, wyszukiwaliśmy w dobrych wspomnieniach kandydatów na jurorskie dopełnienie. Fenomenem Macieja Stuhra jest to, że jego nazwisko pojawia się w takich okazjach zawsze. I on nie mniej często, czyli prawie zawsze, z wrodzonym taktem odmawia. Tak też było tego popołudnia. Na pewno nikt nie proponował Tymona Tymańskiego. Wspominam o tym celowo, bo kolega Tymon lubi mitologizować swoje męstwo w odmawianiu każdemu i wszystkim jednocześnie. Nam nie odmówił, bo nikt o nim nie pomyślał.

Nie pamiętam jednak, kto pomyślał i wymyślił Gosię Foremniak.

Była wtedy gwiazdą *Na dobre i na złe* i jako doktor Zosia na oczach sześciu milionów ludzi nie brała łąpówek i stawiała trafne diagnozy. No i nikt przez nią nie umierał. Czyli idealny typ dla nas. Jej agentką była wtedy Lucyna Kobierzycka, słynąca z tego, że zawsze mówi „nie”, czasem jednak zapyta: „Za ile?”, ale zaraz znowu wraca do ulubionego „nie”. Tym razem jednak była na tak. W ten sposób do naszej dwójki dołączyła osoba, która w kategorii spirytualnego

odjazdu ewidentnie zasiedlała jeden z pierścieni Saturna.

Uwielbiam, jak Małgorzata opowiada o życiu i sztuce. U mnie swego czasu prawiała tak:

– Powiem szczerze, seks w polskim filmie... kompletnie... o tak powiem: „Mnie w ogóle nie staje”, za przeproszeniem. Jeżeli widzę sceny erotyczne w polskim kinie, jak również sceny miłosne, ja po prostu... Nie wierzę. Mam brak wzdowu i wiary.

Zabawne jest to, że kiedy okazało się, że Agnieszka Chylińska jest strzałem w dziesiątkę, że osobowością jednym mlaśnięciem zjada telewizyjne gwiazdy na śniadanie, to lista osób, które ją odkryły dla jurorowania, wydłużała się w nieskończoność. Nie będę się do tej listy dopisywał, bo i tak wszyscy wiedzą, że to byłem ja.

Nigdy w jury programu *X Factor* nie czułem się tak dobrze jak w programie *Mam talent*. Agnieszka Chylińska to jeden z najlepszych kompanów telewizyjnych, jacy mi się trafili. Choć nie będę ukrywał, że pierwsze dni castingów były dla niej trudne. Wzięła mnie na zaplecze teatru, w którym wspólnie przepytaliśmy ludzi z talentu, i z miną Rudolfa Hessa zakomunikowała: „Za bardzo cwaniakujesz”. Potem było już dużo lepiej. Kilka lat później sama wytłumaczyła mi, że miała poczucie, iż lider może być tylko jeden. A każdy z nas oczywiście stawiał na siebie.

Pamiętam wspaniałą zabawę, niejednokrotnie kosztem zdolnych ludzi, których najmniejszym przejawem talentu było wytypowanie nas na swych sędziów. Nie brakowało też, jak to mawia Tomasz Kot, kretynów na żetony. To znowu oni stanowili o biesiadnej swojskości tego programu. Siedzieliśmy z Agnieszką na obu końcach stołu i graliśmy we wspaniałego debła. Mało kto ma takiego telewizyjnego czuja. Ona zaczyna zdanie tam, gdzie kończy ktoś inny, czując, prawdziwie oczywiście, że się zagalopował.

Klasycznym dialogiem z programu *Mam talent* było spotkanie z Kamilem Bednarkiem, nikomu nieznanym młokosem, uczniem lat 19, który chciał zostać zawodowym żołnierzem. Co dla mnie było dodatkowo ważne, wykonał utwór... Kurta Nilsena, mojego idolowego ziomka z Danii, w magicznej, leniwie konopnej wersji reggae.

Po jego występie teatr oszalał, co nieczęsto zdarza się w teatrach, szczególnie

jak występuje Katarzyna Skrzynecka. Ludzie skandują: „Kamil, Kamil”, zupełnie jak po odejściu Durczoka z *Faktów*.

– Widzę, że cały autobus z Monaru przyjechał – zaczynam. – Człowieku, jesteś niezwykły. Masz taką barwę głosu, że nawet na bezludnej wyspie miałbyś komplet widzów. Nie wiem, co tu się stało, nie wiem, co oni robili przed twoim występem w toalecie, a może ktoś dosypał do klimatyzacji marihuany, ale ja jestem na wielkie zielone „tak”.

– Miałeś w tym głosie wszystko – dodaje Agnieszka. – Woda, piasek, palmy, męskość. Byłeś tak męski, że czułam tę twoją męskość. Kamil, Kamil, Kamil, żebyś ty wiedział, gdzie ty byłeś we mnie tym swoim głosem...

Ja dorzucam:

– To niesamowite, bo we mnie też tam był.

– Naprawdę chcesz zostać żołnierzem? – pyta Agnieszka.

– Tak – odpowiada Kamil.

– No trudno – dodaję ja z wrodzonym wdziękiem. – Będziemy mieli ujaraną armię. Wiesz, jak ciężko w czołgu zrobić skręta?

Bednarek z trudem zachowuje powagę.

My się rozkręcamy.

– Postawmy sprawę jasno, Kamil, czy ty masz problem z narkotykami? – pytam.

Ten skręca (dobre słowo w tym kontekście) się ze śmiechu.

– Rozumiem, że nie masz. Dzwonisz i od razu masz towar.

Sala nie wierzy w to, co słyszy, zarykując się niepoprawnym rykiem.

– Pamiętaj, mój mały – finiszuję. – Narkotykom trzeba mówić nie. Tylko wtedy można zbić cenę.

Na koniec dodaję:

– Życzę ci, żebyś pamiętał, że tu byłeś.

Bednarek dostaje trzy razy tak i startuje w interkosmos sukcesu.

Ktoś powie, że nasza konwersacja była niemerytoryczna i demoralizująca. I niech sobie tak mówi, bo ja jestem za tym, żeby każdy mówił, co chce, jeśli tylko się trochę zna.

Byli kiedyś moimi gośćmi Małgorzata Walewska i Muniek.

Zagaduję Walewską:

– Luciano Pavarotti wyznał kiedyś, że podczas śpiewu wchodzi na takie tony, że ma stałą erekcję. Myślisz, że to prawda?

Małgosia zdecydowanie:

– Tak.

Muniek na to:

– To jest możliwe? Podaj mi ten ton.

Co z tego poszło w telewizji, tego nie wiem, gdyż od lat cierpię na specyficzną przypadłość. Nie cierpię oglądać siebie w telewizji.

Najbardziej jednak drażniła mnie cenzura wewnątrzprogramowa.

Kiedyś młodemu śpiewakowi o wyglądzie rozbudzonego seksualnie Stanisława Moniuszki powiedziałem: „Słuchanie ciebie jest jak rozsmarowywanie miodu po brzuchu Moniki Bellucci”. Reżyser chciał mi to wyciąć jako stwierdzenie nieakuratne. Już wolałem, jak uczestnicy sami borykali się z tym, czym ich sumiennie obdarzyłem.

W *Idolu* była uczestniczka o talencie i temperamencie ewidentnie predestynującym ją do bycia recepcjonistką w hotelu dla psów. Mówię jej: „Dziewczyno, tu jest show-biznes, wojna rakietowa wszystkich ze wszystkimi. Tu trzeba zapierdalać jak pershing na wysokości lamperii”. Gdy po opuszczeniu pokoju przesłuchań Maciek Rock zagadnął ją, jak było, ta wyznała światle: „Nie wiem. Pan Kuba mówił coś o jakimś lamparcie”.

Wytrzymałem trzy edycje w programie, który bił rekordy sobotniej oglądalności, sięgając siedmiomilionowej widowni. Chcecie znać powód rezygnacji? Był prosty. Znudziło mi się branie udziału w jarmarku. Cyrkowcy, zjadacze bigosu na czas, tabuny dzieci z szarfami, kulturyści z drażkiem i bez drażka, akrobaci ślizgający się po zasłonach i mój największy koszmar – iluzjoniści. Panowie, którzy z kapelusza wyciągali kolejny kapelusz. Część występów wyglądała jak poranna joga w domu emeryta, dzieci bujające się w miejscu jak nawalony miś panda, emerycy zombie recytujący z pamięci *Czterech pancernych*, w końcu tancerze przeróżnych schorzeń wijący się po scenie, jakby zakosztowali trujących jagód. Czy też soliści baletu ponętni

w ruchu jak pomnik Lincolna. Jak mawiał nieodżałowany Janusz Głowacki: „Tak się bawią ludzie, kiedy kończy się alkohol”. Nie wiadomo, czy niektórym potrzebny był juror, kurator czy może telefon pod 112. Coraz mocniej czułem, że mnie to po prostu nie dotyczy.

Ale drugi powód był bardziej złożony. Uważam, że zarabiałem za mało, wobec masowego sukcesu *Mam talent*. Ciekawe było to, że gdy poinformowałem osobiście obie swe partnerki o moim exodusie, obie wyznały, że też rezygnują. Było mi miło, ale byłem też zbyt dużym chłopcem, aby uznać pyszałkowato, że to prawda. Bycie jurorem w rozpędzonym formacie to zbyt kusząca posadka, aby z niej rezygnować w imię niezrozumiałych, ale jakże polskich gestów.

Jest stara zasada piramidy żywieniowej w show-biznesie. Jak nie zjesz tego, co ci dają, to zaraz podpłynie większa i bardziej żarłoczna ryba i zje cię razem z pokarmem. To warto pamiętać.

Jednego razu wspominaliśmy wspólną pracę w *Mam talent* z Agnieszką Chylińską. Wyznała wtedy:

– Dla mnie *Mam talent* ma jakby dwa oblicza. Jedno to oblicze oficjalne, a drugie to są rozmowy o seksie z kolegą Kubą. To jest po prostu max.

Ja na to:

– O tak. W teorii jestem zajebisty.

Był jeszcze aspekt emocjonalny. Totalny zjazd emocjonalny po kolejnych odcinkach finałowych. Opowiadał mi o tym kiedyś Janusz Gajos:

– Kuba, Teatr Wielki, sala Moniuszki na blisko dwa tysiące miejsc. Ci ludzie magnetyzują cię swoją obecnością, jesteś dla nich w tym momencie centralnym punktem ich emocjonalnego wszechświata. Potem oklaski, podziw, uznanie i... cisza. Samotność wędrówki do domu. Często samotny dom. To wytrzymują nieliczni.

Coś z tych wspomnień Janusza odzywało się u mnie po programach na żywo. Na zakończenie odcinka ja rzucam: „To co, sukces warto świętować” i słyszę: Agnieszka wraca do rodziny, Prokop do żony, Foremka do dzieci, Hołownia do Boga, a ja do siebie. A czas miałem wtedy taki, że stałe związki stale nie mieściły mi się w głowie. I nie tylko w niej.

Wsiadałem do swojego pretensjonalnego samochodu i jechałem na miasto szukać wrażeń. Niestety często skutecznie.

Leszek Możdżer nakreślił kiedyś podobne emocje u mnie w programie:

– Jest to olbrzymie doznanie, ale powiem ci szczerze, że im większa publiczność, tym większa samotność na scenie. Czujesz to? Rozumiesz?

Ja na to:

– Mam to samo. W ogóle my, artyści, zauważyłeś, wracamy po takim wielkim spektaklu do domu i zostajemy sam na sam ze swoim geniuszem. Zabawne jest to, że to w ogóle nie jest zabawne.

X Factor nie miał magnetycznego jury. Przynajmniej do czasu pojawienia się Ewy Farnej. Piszę o tym ze smutkiem, ale i świadomością tej oceny, która towarzyszyła mi od początku.

Kiedyś Czesław Mozil opowiadał mi historię, jak to pracował na budowie w Danii i był świadkiem, że jeden z robotników prawie obciął sobie piłą mechaniczną palec u dłoni. Przyszła pani doktor, aby palec przyszyć, ale szybko skonstatowała, że szybciej i taniej będzie go do końca obciąć. I będzie wtedy łatwiej pracować, i nie będzie mu ten dyndający fragment przeszkadzał.

I ja tak widziałem jury *X Factora*. Ja to ta piła, Czesio to ta pani doktor, a Majka to ten palec. Za Chylińską i Foremniak przemawiały sukcesy, rozpoznawalność i konkretna droga zawodowa. A za Mają Sablewską i Czesławem... Podobno Maja miała profesjonalny casting sprawdzający jej predyspozycje do bycia jurorem. Podobno ten casting wypadł dobrze. Jedynym problemem było jednak dotarcie do kogoś, kto go zrobił, i obejrzenie zapisu wideo. A nie ma co ukrywać, próbowało wielu. Nie pamiętam, kiedy poznałem Sablewską, bo co tu ukrywać, nie była osobą zapamiętywalną. Ot, piętasek Dody z wizytówką menedżera. Podobno poznaliśmy się w Kazimierzu Dolnym na imprezie Klubu Porsche, na którym koncert Dody był niespodzianką. Był wtedy Bogusław Linda czy Robert Chojnacki, istnieje więc duża szansa, że osobowość Mai się nie przebiła. Głupcy, jak powszechnie wiadomo, dzielą się na dyletantów i fachowców. Maja była stanem przejściowym. Długo skrywała się pod szyldem fachowca, aby w pełnej krasie programu *X Factor* pokazać swe drugie oblicze.

Właściwie nie potrafię świadomie opisać stanu zniesmaczenia jej postacią w tym programie. To wyglądało tak, jakby Maja miała własne pole grawitacyjne, które przyciągało tylko nieliczne myśli, a wśród tych nielicznych te najbardziej bystre też nie miały w sobie gwałtownego połysku oryginalności. Uwielbiam ludzi błyskotliwych oraz takich, którzy z towarzystwa ludzi błyskotliwych potrafią korzystać.

W przeszłości odwiedzili mnie Ewa Kasprzyk i Tomasz Stańko.

Stańko opowiada:

– Uwielbiam, jak ludzie masowo kochają się przy mojej muzyce.

– Czyli poniekąd robisz muzykę dla jednego wielkiego domu publicznego? – swobodnie podłapuję temat.

– To w zasadzie był główny powód robienia mojej muzyki.

Ja:

– Żeby ludzie...

On:

– Nawet ja sam.

– No co ty, traktujesz własną muzykę jak viagrę?

– Łatwiej się puszcza niż połyka.

I tu wtrąca się Ewa:

– To prawda. Najłatwiej się puszcza przy Stańce.

Maja swoje przemyślenia na temat uczestników zawarła w dwóch jakże pojemnych refleksjach. Refleksja pierwsza: „Coś w tobie jest”. Refleksja druga: „Podobało mi się”. Znając niektórych hip-hopowców, na podstawie tego libretta potrafiliby stworzyć niejedną operę, lecz w przypadku wielogodzinnych castingów repertuar Mai zaczynał coraz mniej zaskakiwać. Wszystkich, z wyjątkiem samej autorki. Mało tego. Ten niezwykle wyrównany i wysoki poziom prozatorsko-krytyczny bez problemu utrzymywała przez całą edycję. Prawdopodobnie przeciętnie rozwinięty Polak jest bardziej kreatywny literacko, kiedy porządkuje piwnicę.

Wielu uczestnikom widowiska zadawałem wówczas moje ulubione pytanie: „Czy wolisz być zdolny czy sławny?”. Moja ówczesna koleżanka ze składu

jurorskiego udzieliła na nie odpowiedzi dosyć szybko i bez zbędnych słów.

Problemem *Idola* było niepokojące, ale i przepojone dreszczem ryzykownego oczekiwania pytanie: „Co powie Kuba?”. Problemem *Mam talent* było dubeltowe zapytanie: „Co jeszcze wykręca Chylińska z Wojewódzkim?” oraz pytanie dodatkowe: „Kto zrozumie dziś Foremniak?”. Miażdżącym pytaniem w *X Factorze* było: „Czy Maja coś dziś w ogóle powie?”.

Jest takie uniwersalne, choć retoryczne pytanie właściciela Facebooka, Marka Zuckerberga: „A myślałeś kiedyś, żeby rzucić wszystko i kupić sobie Bieszczady?”. Niestety w naszym przypadku istniały realne przesłanki, aby wątpić zarówno w myślenie, jak i w Bieszczady.

Była to najbardziej spektakularnie przestrelona kandydatka na jurora w historii polskich mediów, do której posadzenia tam nikt nie chciał się później przyznać. Tak jak nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego ona myli Jamiroquai z Jerrym Maguire'em oraz odważnie twierdzi, że Cole Porter to duet dwóch kompozytorów. We mnie coś pękło, kiedy zobaczyłem, że przed kolejnymi przesłuchaniami koleżanka rzeczoznawca całą swoją energię i zaangażowanie inwestuje w strój oraz odpowiednio do tego stroju dobrane jubilerskie instrumentarium. Kolczyki, pierścionki, nakładki, zakładki, zaślepki oraz końcówki mocy. Ot, Sablewskiej sposób na modę, tylko w złych dekoracjach. Ukoronowaniem jej opiniotwórczej kompetencji był występ Michała Szpaka wykonującego legendarny *Sen o Warszawie* w rytm płaśów świadczących o zainfekowaniu pierwszym stadium świńskiej grypy.

Wychodzi facet, no dobra, wychodzi wykonawca, który jest kreacją kompletną. Styl, ubiór, dodatki, fryzura i pełna świadomość tego, co chce osiągnąć. Wygląda jak skrzyżowanie człowieka i witryny sklepu jubilerskiego. Co robi Maja? Każe mu się przebrać, rozebrać i rozbroić z biżuterii. Szpakowi, który urodził się w trwałej pionowej i z rubinami na palcach. Dziwne i niezrozumiałe zachowanie. Jak kobieca depilacja w grudniu. Jakby Maja uznała, że w tej ogromnej sali domu pieśni i tańca było miejsce na jedną primabalerinę, i to miała być ona.

Pamiętam historyczne spotkanie w jednej z telewizji śniadaniowych Jolanty Rutowicz, posiadaczki pluszowego jednorożca oraz umysłu nowego typu, a także Przemka Salety zaraz po oddaniu nerki swojej córce. Jolanta, marszcząc

czoło, przysłuchuje się dramatycznej opowieści chirurgicznej Przemka. Nagle po rozluźnieniu na jej twarzy widać, że w bębnie maszyny losującej znalazła się myśl. I nasza bohaterka zagaja: „I jak ty teraz żyjesz z tą jedną wątrobą?”. Tak wtedy widziałem Sablewską.

Po wstępnym etapie castingów udaliśmy się z delegacją – Wojciech Iwański, reżyser widowiska, Piotr Radzyński, producent, oraz ja, naczelny ancymon, do Edwarda Miszczaka, dyrektora programowego TVN-u. W naszej obszernej petycji znajdował się tylko jeden postulat: wypierdolić Majkę Sablewską z programu. Edek wypierdolił nas z gabinetu. Do dziś pamiętam słowa producentki Kasi Szałańskiej, z którą zrobiłem wszystkie możliwe talent show dostępne na prawo od Australii. Powiedziała: „Nie martw się, Kubuś. Pokażemy ją w niedzielnym *prime time* i zostanie gwiazdą”. A gwiazdy, jak powszechnie wiadomo, mogą pierdolić do woli. Później jurorka została objęta programem ochrony świadków, przydzielono jej licznych korepetytorów z Sandrą Walter na czele, którzy przed odcinkami na żywo mieli napisać Mai na kartce to, co sobie Maja pomyśli w trakcie programu. I tak też było. Występował zawodnik X z repertuarem Y, a nasza fachura odczytywała to, czego by prawdopodobnie nie pomyślała, gdyby inni nie zrobili tego za nią. A to wszystko jeszcze z wdziękiem bułgarskiego mechanika samochodowego. Koszmar. Talent show bez talentu i z mocno okrojonym show.

Dla mnie było jasne – wolę do końca życia pić wyłącznie deszczówkę, niż zasiadać koło kogoś takiego. Po finale powiedziałem jasno: albo ona albo ja. Co było dalej, już wiecie.

Gościłem kiedyś u siebie z okazji premiery filmu *Jesteś Bogiem chłopaków z Paktofoniki*.

Zadałem im pytanie:

– Jakie to uczucie być dla takiej dużej grupy ludzi Bogiem? To znaczy ja wiem, ja wiem...

Ważne podkreślenia jest to, że wraz z totalną demaskacją Mai jako jurora bez właściwości narastały lawinowo jej arogancja i poczucie wyjątkowości. Naprawdę umysły ludzi show-biznesu działają jakby inaczej. Wraz ze wzrostem

rozpoznawalności automatycznie przybywa im IQ oraz poczucia własnej wyjątkowości. Kobieta, której chihuahua myli się z Massachusetts zaczyna stroić fochy. Wydaje się jej, że posiada tak wielki talent, że można go znaleźć na mapie Polski.

Podczas obrad ustalamy, że jeden z jej ulubieńców nie wejdzie do finału. Standardowo i zgodnie z regulaminem widowiska. Maja stwierdza, że w takim razie to ona rezygnuje z programu. Wojtek Iwański, reżyser, siła spokoju, branżowy Tadeusz Mazowiecki, wybucha. Pojawiają się słowa „gówniara”, „kaprysy”, „odpierdoliło”. Choć to ostatnie to może było „odbiło”, a mnie się tylko tak utrwaliło to „odpierdoliło”. Wojtek dostał takiego wkurwu, że można było nim przez kilkanaście minut doładowywać telefony.

Inny przypadek. Przed finałami każdy juror dostaje przyznanych mu przez producentów podopiecznych. Ja dostaję solistów 16–24, wiadomo dlaczego. Czesław dostaje solistów 25+, a Maja zespoły. Jej reakcja? Maja znika. Odmawia współpracy. Zamyka się w hotelowym pokoju. Wydzwania po nocy do Miszczaka. Odprawia rytuał niezadowolenia. Po jakimś czasie przypomniała sobie, że nie jest Edytą Górniak i wrócił jej rozum. Wróc. Wrócił jej rozsądek. Wróc. I po jakimś czasie wróciła.

Co najbardziej zabawne, *X Factora* Maja zaczynała jako menedżerka Dody, Edyty Górniak i piosenkarki oraz przyszłej żony, czyli Mariny. Skończyła jako solistka z pustą ławką. Ciekawa ścieżka rozwoju biznesowego.

Nie wiem, jakimi metodami próbowała sprawować władzę jako menedżerka, ale do dziś pamiętam pełen trwogi głos Edyty Górniak, która dzwoni do mnie i pyta: „Możesz rozmawiać?”. „Mogę”. „Gdzie jesteś?”. „W samochodzie, który znajduje się na Żoliborzu”. „To proszę cię, zjedź na bok i stań, bo to, co ci powiem, może wywołać u ciebie wstrząs”. Typowa Edzia, myślę. U niej życie musi wyglądać jak EKG osiemdziesięcioletniego ćpuna zawałowca. Albo depresja, albo rozpędzony bolid ferrari z pełną mocą wbija się w trybunę honorową świętego spokoju innych. Jako że nie planowałem tego dnia żadnych wstrząsów, zjechałem i stanąłem na krawędzi jezdni. I nagle słyszę: „Maja jest satanistką. Stosuje kabałę, rzuca uroki i jeździ na szkolenia specjalistyczne z doktryny kabalistycznej do światowego centrum rzucania uroków znajdującego się w Kalifornii. A największym dowodem na to, że mam rację,

jest obecność czerwonej nitki na jej ręce”. Nie żartuję. Tak to mniej więcej brzmiało. Cenię Edytę, mam do niej słabość, ale ewidentnie ma zamocowany w mózgowym próg zwalniający dla niektórych myśli. I tego dnia on zadziałał ze zdwojoną mocą.

Wracając do Majki. Dziś ją nawet lubię. Myślę, że idealnie wymierzyła swoją przestrzeń w mediach. Zajmuje się rozbieraniem ludzi, przebieraniem, podstawianiem, nabieraniem i Bóg jeden wie czym jeszcze. Kiedy ją poznałem, była intrygującą tajemnicą przykrytą wyrafinowanymi tatuażami i nutką niedopowiedzenia. Ciekawiło mnie to. Otarliśmy się nawet o nieśmiały romans. Potem było już tylko gorzej. I bez tajemnicy.

Czesław jest natomiast samoładującą się baterią niewyczerpanej energii. On był największym wykrzyknikiem *X Factora*, choć dla wielu widzów stanowił raczej znak zapytania, bo często nie rozumieli Czesławowych wypraw na jakże niebezpieczne terytorium języka polskiego. Z uśmiechem można w życiu zajść daleko. Z uśmiechem i talentem można zajść, gdzie się chce. I on jest tego najlepszym przykładem. Uwielbiam jego rozkojarzenie niezrozumiałą polskością.

Pytam go kiedyś w radiu, kiedy prowadziliśmy razem *Zwolnienie z WF-u* w Esce Rock:

– Czesław, pamiętasz, kto powiedział słynne słowa: „Jam jest milion, bo za miliony kocham i cierpię katusze”?

A Czesio na to:

– No pewnie. Jan Kulczyk.

Tomasz Hajto zasłynął „truskawką na torcie”. Czesław był pierwszy.

Kiedy gadaliśmy o tym, czy powinien, czy nie powinien brać fuchy w *X Factorze*, nagle zapytał mnie z charakterystyczną dla siebie składnią:

– No, ale sam wiesz, ja nie wiem, czy ja nie będę taką wiśniówką na torcie.

Nie znam nikogo, kto by nie lubił Czesława, co powinno nas dziwić, bo trudno się lubi kogoś, czyja liczba kochanek to kwota trzycyfrowa.

Ma w sobie imperatyw dyżurnego dobrego człowieka, pomimo iż jest uzależniony od alkoholu i pornografii. Zna osobiście większość Polek oraz

Dunek, a puentą jego niskiego żywota był romans z panią lat pięćdziesiąt pięć. Czyli wysoko dwucyfrową. Jak sam mi powiedział: „Lubię wyłącznie kobiety, które niczego ode mnie nie oczekują”. Na moje stwierdzenie, że takie kobiety, które niczego nie oczekują, to muszą być martwe kobiety, stwierdził: „Takie są jeszcze lepsze. Bo nie wymagają w ogóle, żebym był”.

Jest mistrzem świata w stawianiu spraw na głowie, będąc jednocześnie przekonany, że absolutnie stabilnie stoją na własnych nogach.

Kocham go za to, że słynna filmowa odzywka, głównie w obrazach policyjnych: „Masz prawo zachować milczenie”, ewidentnie nie jest jego życiową maksymą. Umie się zmienić i przyznać do wcześniejszych błędów. Dziś przykładowy mąż, kto wie, może wkrótce ojciec, potrafił kiedyś wypalić: „Miałem taki okres, że traktowałem kobiety jak przystanki autobusowe. Wyspać się, zwymiotować i iść dalej. Ale to już podła przeszłość”.

Czesław nie bał się nigdy wyznań, dowodząc jednocześnie, że boi się wyzwań: „Wolałbym mieć przypadkowe dziecko z przyjaciółką niż z partnerką” – powiedział mi w programie. Na pytanie, czy nie obawia się, że jego pociecha zostanie zainfekowana genem patologii, alkoholizmu i pornografii, z rozbijającą szczerością oświadczył: „Byłem mi za szybko nie zaczął mówić na ty. Albo Czesiu. Na Czesia trzeba zasłużyć”. Pamiętajcie, on w jasełkach grał kiedyś syna Heroda, a potem samego Heroda, a mama urodziła go na koncercie Andrzeja Rosiewicza. Swoje przeżył.

Będę go wspominał do końca życia z uśmiechem i podziwem. Nigdy wcześniej nie poznałem człowieka, który by znał na pamięć tyle adresów stron porno w sieci co on. Szacunek.

Ale żeby nie było tylko pajacowania i heheszków. Zrobiłem z nim kiedyś wywiad do „Polityki”. Zaskoczył nie tylko mnie. Mówił refleksyjnie i mądrze.

Zadałem mu pytanie, w jaką Polskę wierzy. Powiedział:

„Ja wierzę w tę Polskę, o której mi kiedyś opowiadała mama. Że chałwę mamy dlatego, że mieliśmy kiedyś granicę z Turcją. Dlatego też pijemy turecką kawę. Pierogi czy gołąbki przywędrowały do nas razem z Tatarami. Kołduny z Litwinami. Kiedyś bardziej otwartym miejscem, takim eldorado multi-kulti, była właśnie Polska. I w taką Polskę chcę wierzyć. Przywiozłem mojej mamie biografię Nergala. Przeczytała w dwa dni i mówi: «Jaki to jest inteligentny, miły,

wrażliwy człowiek. Chciałoby się powiedzieć: prawdziwy chrześcijanin».

I to jest sedno sprawy. Moda na bycie otwartym i szczerym. Ona dopiero do Polski nadchodzi. Podczas koncertów często mawiam do publiczności: «Chłopaki, przyznawajcie się do swoich błędów. Laski na to lecą». To nie jest jeszcze u nas popularne, ale przysięgam, że się przyjmie. To dobrze widać na przykład w teatrze, jak komuś zadzwoni w trakcie spektaklu komórka. W Danii taka osoba wyjmuje telefon, wyłącza, przeprosza najbliższych i ogląda dalej. W Polsce taka osoba udaje, że to nie jej telefon dzwoni».

Nie pamiętam zbyt wiele osób z *X Factora*, które byłyby warte mego koneserskiego zapamiętania. Sensem tego programu, legitymacją jego sensu istnienia, jest tylko jedno nazwisko: Dawid Podsiadło. Niepokojący geniusz, dziś lat 25. Jezus podobno mawiał często, że jego królestwo jest nie z tego świata. Otóż widzę tu niejaką analogię. Podsiadło też nie jest z tego świata. To jak myśli, jak śpiewa, jak świętuje sukces i jak celebruje swoją popularność. Jest najszlachetniejszym odmieńcem, jakiego znam. Twierdzi, że jego życie jest zasadniczo smutne, boi się pajaków i płacze, kiedy je widzi, był fanem Boney M. i śpiewał ich szlagiery przed lustrem, a w sieci ogląda na przemian porno i polskich youtuberów. Kocham go. Jest jak Ewa Farna – bez wieku. Mogę z nim rozmawiać godzinami i nie czuję, jak nikczemnie jest młody. Zresztą to on sam powiedział mi kiedyś w programie:

– Obaj jesteśmy przed sześćdziesiątką.

Kiedyś zagadnąłem go o marzenia i zmroził mnie:

– Marzę o przytulance z Ryanem Goslingiem albo o gruppen seksie z całą obsadą serialu *Przyjaciele*.

Przestałem go po tym wyznaniu pytać o cokolwiek.

Ale mam nieodparte wrażenie, że gdyby nagrał własną sekstaśmę i umieściłby ją w sieci, to na ekranie obejrzelibyśmy Dawida jak... gra na PlayStation.

Wyznał mi kiedyś, że pierwsze pismo erotyczne znalazł w rzece z kolegami i zrobiło na nim duże wrażenie. Do tego stopnia, że do dziś pamięta tytuł artykułu, który go pochłoniął: „Buju, buju na twardym chuju”. Jest podobno taki stary arabski zwyczaj, że nie można zjadać mięsa owcy, z którą wcześniej uprawiało się seks. Ja mam tak z nim. Jest poniekąd moim, co tu ukrywać,

mocno nietypowym dzieckiem.

Pamiętam Tatianę Okupnik, którą lubię za umiejętne operowanie pośladkami i życiowy luz, a która miała wtedy najwyraźniej czas ostrego poszukiwania konkretnego partnera. A ja lubię sobie czasem poflirtować w telewizji, bo to dobrze wygląda na ekranie. A człowiek roboty nie nosi do domu.

Zanim zdesperowany zadzwoniłem do Tatiany, wykonałem prywatne rozmowy z Moniką Brodką, Patrycją Markowską, Kasią Nosowską, Anitą Lipnicką i pewnie jeszcze kimś dalej, kto trochę śpiewa i trochę myśli. Niestety wszystkie reagowały tak, jakby miały występować w telezakupach Mango. Każda bała się posądzeń o tępienie młodej konkurencji, każda miała obawy, że występ w prime timeowym show może ukraść im życie pozabranżowe. A tego nie chciały. I tak zostaliśmy z Tatianą, dziewczyną o głosie duszonej papugi, która może poszczycić się historyczną rolą bycia supportem Rolling Stonesów podczas ich drugiego koncertu w Warszawie.

Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego właśnie ona. Jediną sensowną opinię przedstawił znany jazzman fotograf Marek Karewicz, który wyznał mi, że podobno Tatiana potrafi zrobić z pośladkami to samo co Mick Jagger z ustami. Ale tylko hipotetycznie.

Wszyscy, wysuwając tę lekko desperacką kandydaturę, zapomnieliśmy o jej mrocznym epizodzie, który nazywał się *Gwiazdy tańczą na lodzie*. Telewizyjne monstrum, które spadło na widzów TVP jak pijany kominiarz z dachu. Szalu nie było. Tatiana jednak wniosła do programu życie, seksapil, właściwe rozumienie telewizji oraz dużo większy zasób słów niż jej poprzedniczka, którą w pojedynku na elokwencję biła nawet moja automatyczna sekretarka.

Nie wiem, jakie cechy powinien mieć dobry juror. Czy ma być bezczelny, miły, wygadany, pierdolnięty czy fachowy.

Jest taka zagadka: „Co to jest? Ma osiem nóg i jedno oko”. Kto zgadnie? Odpowiedź jest prosta: „Dwa krzesła i pół ryby”.

Tak mniej więcej widzę opisywanie doskonałego jurora, którego fucha, w przeróżnych programach przez ponad dekadę, była jedną z najlepszych w kraju. Ja skończyłem swoją przygodę z poniewieraniem i robieniem ludziom afrontu na kwocie 80 tysięcy za odcinek. Można się przyzwyczać.

Muszę jednak wspomnieć epizod z osobą, która najlepiej ilustruje historię, że w szół-biznesie obok talentu, szczęścia i pracowitości warto mieć jeszcze nieco przytomności.

W mojej grupie była dziewczyna. Ada Szulc. Głos anioła, umysł fryzjera, biust z kina panoramicznego i wrażliwość pensjonarki z zapomnianego bieszczadzkiego sołectwa.

Pierwszą edycję wygrał człowiek ukrywający się pod pseudonimem Gienek Loska, ale to był jeszcze ten czas, gdy moi krajanie chcieli przyjmować uchodźców. Gienek był dość niedbały, jeśli chodzi o wizerunek i wypowiedzi, ze względu na poprawność polityczną powiem, że u wielu osób budził wrażenie brudnego, czyli, jak to się poprawnie nazywa, higienicznie wątpliwego. Był spawaczem z Białorusi i swym repertuarem wzniecił typowe dla widza, niemerytoryczne uczucia. Ludzie wrażliwi na historie prześladowanych spawaczy ze Wschodu postanowili zespawać Gienka z sukcesem scenicznym w wolnym kraju. I tak oto Gienek wygrał, co tak bardzo go wzruszyło, że po krótkim czasie wyznał, że *X Factor* spieprzył mu życie, czuje się chujowo, bo wszystko się zmieniło. A on dalej chciałby pierdzieć na rogu ulicy swoje rzewne piosenki prosto z serca.

Gienek wygrał, Szpak, na którego naród jeszcze nie był przygotowany, zajął miejsce drugie, a Ada trzecie. Jest taki stary branżowy żart: „Z jakiej płyty znana jest Magdalena Steczkowska?”. Odpowiedź: „Z płyty lotniska Okęcie”.

Nie chciałem takiego losu dla Ady, nie chciałem, żeby utopiono ją w jajecznicy, jak męczącą Alę Janosz. Postanowiłem zabawić się w producenta. To po stronie tej nieforemnej małolaty leżało najlepsze wykonanie pierwszej edycji programu. Gdy walnęła *Fields of Gold* Stinga, nie było w kraju człowieka, który by nie powiedział pod nosem z profesjonalnym znawstwem tematu: „Playback”. A ona śpiewała na żywo jak natchniona.

Postanowiłem namówić ją na płytę z coverami. Zgodziła się. Wybrałem dwanaście mocnych killerów z właściwą, pokoleniową już reputacją. Zgodziła się. Zadzwoiłem do Leszka Możdżera, Edyty Górniak, Adama Sztaby, żeby wystąpili gościnnie. Zgodzili się. Zadzwoiłem do Leszka Czarneckiego, pierwszego wówczas w rankingu najbogatszych osób w Polsce, czy nie wsparłby jej finansowo. Zgodził się. Zadzwoiłem do obrotnej menedżerki. Zgodziła się.

Mało tego: załatwiła, że piosenka Ady będzie tematem przewodnim we właśnie powstającym filmie *Big love*.

Ada nie przyjechała na plan teledysku. Ada nie miała czasu, bo właśnie grała na otwarciu sklepu ogólnobranżowego w Przasnyszu. Ada nie miała czasu na próby, bo zarabiała kasę, kołędując z chałturami po lokalnych bazarach z trzodą chlewną. Ada nie ma czasu na nic istotnego, bo aktualnie zmniejsza nos, istotną część własnej twarzy. Oscar za najlepszą rolę dwudziestoplanową. Ada miała także starszego narzeczonego, który będąc starszy i Ady zgłodniały, eksploatował ją tak, że straciła i czas, i głos. I tak zakończyła się moja przygoda z ambitnym projektem z kimś, kto obrócił swoją karierę w żart, którego by nawet sam Karol Straszburger nie opowiedział. Na domiar złego, kilka lat później Ada nagrała płytę z tak zwanym DJ-em Adamusem, najbardziej zbędną postacią każdego szoł-biznesu bez względu na kontynent i planetę. Była to produkcja historyczna. Jako pierwsi na świecie mieli większe zwroty niż nakład. Dziwne decyzje i dziwne ruchy. W przypadku takich egzemplarzy to nawet Google nie wie, o co chodzi.

Najciekawszą, choć najmniej chętnie oglądaną edycją *X Factora* była ta, w której zasiadła moja dziecięca miłość – Ewa Farna. Pytałem Ewę, czy mogę napisać w tej haniebnej książce o tym, co nas łączyło, i powiedziała, że tak. Od razu mówię: do niczego nie doszło, choć emocje i nastawienie były. Za pierwszym razem była u mnie jako dziecko, za drugim prawie jako kobieta, choć podobno jeszcze dziewica, a za trzecim to już strach powiedzieć.

W Polsce uważana jest za piosenkarkę dla dzieci, a w Czechach za seksbombę. I ja mam ewidentnie czeski punkt widzenia. Coś nas do siebie pchało, ale jednocześnie oboje wiedzieliśmy, że to absurdalne nie tylko ze względu na różnicę wieku. Potrafiliśmy jeździć taksówką nocą po Warszawie i wymyślać po czesku przez okno przypadkowym przechodniom. Potrafiliśmy godzinami przegadywać temat, o którym Ryszard Riedel śpiewał „samotność to taka straszna trwoga”. Kiedyś zaprosiła mnie do siebie i tuż przed spotkaniem wysłała zdjęcie: wino, świece i płyta *Polska* Leszka Możdżera, o której razem mówiliśmy, że jest idealna do patriotycznych stosunków płciowych.

Nie pojechałem, nie tylko dlatego, że się bałem. Uwielbiam ją i szanuję. Mam wrażenie, że dłużej jest na scenie niż w ogóle żyje. Jest ode mnie młodsza

o wojnę trzydziestoletnią, a dojrzałością i zrozumieniem świata nokautuje dużo starsze koleżanki. Dziś ma męża i dlatego możemy spotykać się już spokojnie. Bo ma także zasady. Jesteśmy dziś na takim etapie, że z uśmiechem wspominamy, na jakim etapie mogliśmy być, ale nie byliśmy.

Trochę jak z opowieści mojego kolegi, który zapytał swego ojca: „Tato, jaką najgłupszą rzecz zrobiłeś z miłości?”. A tato odpowiedział niezłomnie: „Ciebie”.

Na podobnej zasadzie uwielbiam Olę Hamkało. A może mi się tylko wydaje, że te przypadki są podobne?

Z Magdą Boczarską poznaliśmy się na planie *Testosteronu* i pewnie też ta substancja przyczyniła się do tego, że szybko umówiliśmy się na randkę. Dopiero po latach Magda wyznała mi, że ona nie wiedziała, że to była randka, ale jeśli była, to teraz żałuje, że nie wiedziała. Bo ona myślała, że idziemy po prostu na ciastko. Kocham ją za to.

Za *Małymi Gigantami* przemawiał jeden argument, który przekonał mnie do tego projektu, i w najmniejszym stopniu argument ten nie przypominał nawet średnio rozgarniętego dzieciaka.

To była obecność Agnieszki Chylińskiej.

Często mam wrażenie, że bez względu na format, formułę i tematykę programu my, występując razem, bawimy się najlepiej. Jesteśmy samowystarczalni. Teraz nasza dwójka, która najczęściej słyszała w szkole: „Bardzo dobrze, siadaj, pała”, miała oceniać swoich przyszłych kumpli z branży. Raj dla sadystów i mścicieli.

Zawsze miałem taką filozofię, że dobrze jest polować zawczasu na zdolne dzieciaki, bo w ten sposób likwiduję sobie potencjalną konkurencję.

Inni niech się rozpychają na scenach i ekranach, jak podczas promocji karpia w Lidlu, ja dostałem szansę, aby ułatwić sobie życie w białych rękawiczkach.

Dużym atutem programu *Mali Giganci* byli – uwaga – rodzice. Ludzie o właściwych priorytetach dla swoich milusińskich. Najpierw sukces, potem szkoła. I nieważne, że sami niezupełnie posiadają stosowną wiedzę, by odpowiedzieć właściwie na pytanie, czy mówi się „włączam” czy „włanczam”.

Ważne jest to, że ich biznesplanem jest ich dziecko. Przepustką do lepszego życia z odsetek od zasmarkanego talentu.

Z Agnieszką Chylińską w moim życiu jest trochę jak z Anką Przybylską.

Jest nie do zastąpienia.

Gdyby to ode mnie zależało, nazwałbym jej imieniem jedno z lotnisk w kraju. Taka jest ważna i taka odlotowa. (Jezu, czy ktoś używa jeszcze tego słowa?). Jak mawia mój koleżka Piotr Kędzierski: „To coś więcej niż przyjaźń i nieco mniej niż miłość”. A może totalnie was i siebie okłamuję? Kto wie.

Dopełnieniem naszego duetu w *Małych Gigantach* miała być Bujakiewicz Katarzyna, twarz batonów zbożowych Bakalandu. Kiedyś nasz trójkąt Bujakiewicz–Przybylska–Wojewódzki był tak skuteczny, że spokojnie Trójkąt Bermudzki mógłby udać się na wcześniejszą emeryturę.

Kupiła mnie onegdaj, wiele lat temu, stwierdzeniem, że jak tak się będę ociążał z poważnym życiem, to na moim ślubie ludzie nie będą rzucali ryżem, tylko witaminami. I jak się okazało, ma w sobie coś z Wróżbity Macieja. Przy czym on ma większy efekt jo-jo.

Kasia jest prywatnie świetną dziewczuchą, która wie, gdzie leżą najśłodsze konfitury, a na dodatek nosi w sobie tsunami. Niestety, gdy staje lub zasiada przed kamerą, wiatr gwałtownie ustaje, robi się flauta, a następnie tak zwana cofka. Kasia zmienia się w jejmość staruszkę matronę, która prawi i naucza. Na dodatek jej komunikacja z dziećmi została opanowana przez system operacyjny typowego egzaltowanego bachora płci damskiej. I dialogi wyglądały mniej więcej tak:

– Lubisz filmy z wrózkami?

Dziecko płci damskiej, czyli prototyp kobiety:

– Lubię.

Kasia:

– Ojej, ja też lubię, bardzo lubię i moja córeczka lubi i tak sobie siedzimy, lubimy i oglądamy. Ojej, ojej, ojej.

Typowe w tym rodzaju porozumienia jest odmienianie przez wszystko, przez co można odmienić, słowa „ojej”. Wielokrotnie i w każdym momencie.

– Twój ulubiony film – zapytuje jurorka.

Dziecko, demo kobiety, odpowiada:

– *Kraina lodu*.

I rusza lawina:

– Ojej, mój też. Ojej, a znasz tę piosenkę, ojej, *Mam tę moc*, ojej, ojejku. Moja córeczka to uwielbia. Tak sobie czasem, ojej, siedzimy i razem śpiewamy, ojej, ojej.

Gdyby od tych swoich „ojej, ojej” miała zapłacić podatek dochodowy, zostałaaby bankrutem.

Zawsze twierdziłem, że niewrażliwy juror jest jak zezowaty kat. Może narobić więcej szkód niż pożytku. Niestety juror egzaltowany jest wcześniej czy później nie do strawienia.

Charlie Chaplin stał się bogaty, grając biednych. Ja stałem się bogaty, grając kompetentnych. I nie lubię, jak mi ktoś w tej pracy psuje miłą atmosferę.

Istotą programu *Mali Giganci* było to, że jest to program o dzieciach dla dorosłych i trzeba się w nim komunikować na poziomie przynajmniej średnio rozgarniętego słuchacza kursu przygotowującego do zawodu kontrolera zapachów odbytu. A jako że zawsze uważałem, że osią, motorem napędowym, istotą każdej opowieści, narracji czy historii jest konflikt, więc ten konflikt stworzyliśmy. Nie chcąc powtarzać sytuacji z Mają z *X Factora*, czyli wchodzenia w otwarty konflikt, postanowiliśmy z Agnieszką nie zauważać zbyt obcości jurorki odzianej w falbanki.

Najbardziej zmarnowanym dniem jest dzień bez śmiechu i postanowiliśmy z tego nie rezygnować. Potwornym ograniczeniem podczas pracy z dziećmi jest narzucanie sobie kagańca przyzwoitości oraz odpowiedzialnego słowa.

Dla mnie i Agnieszki to był koszmar. Uczysz się dyplomacji na bazie cytatów z Disneya oraz *Ulicy Sezamkowej*. Trzeba się pilnować, bo wiesz, że inni nie przestali cię pilnować i zaraz cię wezmą na celownik.

Zawsze uważałem, że dzieci to są dorośli, tylko mniejsi, i nie należy ich traktować jak idiotów. Choć stanowczo zabronione jest używanie na przykład słowa „zajebisty”.

Wyobrażacie sobie świat pozbawiony tego słowa? Równie dobrze mogli mnie i Agnieszce zabronić używać czasowników i połowy rzeczowników.

A przydawki tylko w weekendy. Koszmar.

Kiedy byłem małym chłopcem, rodzice zapisali mnie na karate, bo chciałem, oraz na taniec, bo oni chcieli. Czasami mi się ruchy myliły. I tak bywało podczas tego programu.

Uwielbiałem potyczki słowne z dziećmiakami:

- Dlaczego nie masz jedynek – pytam sześciolatniego skrzata.
- Bo ja dużo recytuję – słyszę w odpowiedzi.
- Aha – konstatuję. – Zjadłeś zęby na recytacji.

Albo:

- Jaka jest twoja ulubiona postać historyczna?

Chwila zadumy na nieletnim czole i odpowiedź:

- Kuba Wojewódzki.

Małe mózgi generują czasami wielkie myśli. I zaskakują celnym dowcipem.

- Skąd pochodzisz?
- Z Radomia.
- To ostatnio bardzo popularne miasto.
- Tak, niedługo będziemy mieć dostęp do morza.

Albo dziewczynka ze skrzypcami:

- Jak często ćwiczysz na skrzypcach?
- Codziennie.
- A jak długo?
- Co trzy dni.

- Co to jest rozwód?

- Rozwój mózgu.

- A podryw?

– To taka sytuacja, kiedy chłopak ma dziewczynę, a chciałby mieć jeszcze jedną.

Duży poziom wiedzy przydatnej życiowo.

- Gdzie się najlepiej zarabia?
- W bankomacie.

Także niezwykła samoświadomość.

- Urodziłem się w styczniu. W lecie, jak są wakacje.

- Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?

- Chciałam leczyć zwierzęta, ale mi potem kuzynka powiedziała, że trzeba gdzieś wkładać ręce.

Bywają też zagrożeniem dla najbliższej rodziny:

- Co tata lubi robić w wolnym czasie?
- Rozbiera się na same gacie i gra na telefonie.

- Jak tata zwraca się do mamy?

- Aaaanka, nie przesadzaj, noooo.

Bywają też zapowiedzią naszego końca:

- Chcesz zostać gwiazdą TVN?

- Tak.

- Po moim trupie.

- To już niedługo.

Lubiłem to, ale nie tęsknię za tym programem. Bywały sytuacje surrealistyczne i pokazujące, że kontrola każdego słowa jest niezbędna.

Po jakimś występie powiedziałem nieletniemu tancerzowi, że od dziś to nie on mieszka z rodzicami, tylko rodzice mieszkają u niego. Bo jest wielki. Jaki był efekt? Po tygodniu wdarła się do mej garderoby zdesperowana mama, twierdząc, że Maciuś poprosił ich, razem z tatusiem, żeby się od niego wyprowadzili. Bo mu blokują rozwój.

Podobnie było z innym, któremu od niechcienia rzuciłem:

- Możesz śmiało przestać chodzić do przedszkola. Teraz to przedszkole

powinno przyjść do ciebie.

No i rokujący geniusz zażądał wspomnianej usługi.

W jednym z odcinków zadałem chłopcu pytanie:

– Masz dwanaście lat i nadal jesteś singlem?

Po tygodniu podszedł do mnie w przerwie i szelmowsko mrugając, wyznał:

– Tamten status już nieaktualny.

Jak kiedyś zostanę ojcem, to to będzie koszmar. Dla obu stron.

Dzieci w telewizji mają w sobie coś z punk rocka. To jest błysk, szok, feeria barw i nieprzewidywalnych zdarzeń, a potem całość popada w autoparodię, za którą stoją sprytni i wyrachowani menedżerowie. Rodzice.

Udział w tym programie podobno mocno ocieplił mój wizerunek, ale prawdę mówiąc, mam to w dupie. Nigdy nie kalkulowałem, czy udział w jakimś zacnym widowisku jest dla mnie korzystny wizerunkowo, czy nie. Interesowało mnie to, czy będę się dobrze bawił. A ryzyko bywa czasem duże.

Wizyta Bronisława Prezydenta Komorowskiego w moim programie, tuż przed drugą turą wyborów, zakończyła się takim wyznaniem z mojej strony:

– Zastanawiam się, kto na tym spotkaniu zyska, a kto straci. Czy pana zacnie popierać młodzież, a mnie zaczną oglądać myśliwi? Czy będzie odwrotnie: nasze elektoraty wymieszają się i dostaną obłądu?

Wracając do Agnieszki. Oboje mamy w sobie coś totalnie niepasującego do naszego bycia publicznego. Jakiś rodzaj smutku i odklejenia. Ścigania się z własnymi marzeniami bez szans na zwycięstwo. Pomimo tego, co mamy. Przyznała mi się kiedyś, że w prowadzonym prawie od zawsze dzienniku napisała dawno dawno temu: „Panie Boże, spraw, proszę, abym przed maturą została słynną piosenkarką, bo nie chcę zdawać matury. I ktoś tego wysłuchał”.

Co ciekawe, ja miałem podobnie, i to też na długo przed maturą. W szkole podstawowej, jak tylko wracałem po lekcjach do domu, a czasami wracałem jeszcze w trakcie lekcji, to włączałem sobie głośno piosenki Beatlesów, przebierałem się w garniturek od pierwszej komunii, brałem w ręce pałeczki i udawałem, że gram na perkusji. Byłem swoją własną wersją Ringo Starra, marzącą o tym, żeby życie, które mnie czeka, było jak pole truskawkowe.

Kolorowe i dorodne. I też się udało. Ale wracając do A.

Przyświeca nam niewyartykułowana, ale zauważalna Tuwimowa filozofia: „Żyj tak, aby gdy kiedyś umrzesz, wszystkim, którzy cię znają, zrobiło się nudno”.

Oboje chyba jesteśmy dziwni. I nie chodzi mi o dziwność w stylu faceta, który w swoim portfelu nosi zdjęcie własnego portfela.

Agnieszka jest siłaczem. No, może ze względu na poprawność polityczną powinienem napisać „siłaczką”. Ale nie taką z Żeromskiego, zaplątaną w tyfus, biedę, idealizm oraz głodnych chłopów. Jest najsilniejszą kobietą, jaką poznałem w kategorii „podnoszenie życiowych ciężarów dowolną techniką”. Rwaniami, podrzutem, freestyle’em.

Uwielbiam, jak opowiada o brutalnym zderzeniu roli gwiazdy i matki. W moim programie zaserwowała taki oto monolog:

– Nie powiem do syna, który ma, rozumiesz, biegunkę, leży i o trzeciej ryczy: „Stary, jestem gwiazdą, hardcorówką i nie możesz ryczeć, bo ja muszę jutro wstać”. Nie mogę. Ja muszę podejść, powiedzieć: „Syneczku, kochany, co tam, no dobrze”. No obsrał mnie, no trudno, tak, nie powiem przecież: „O Boże! To jest Gianfranco Ferrè!”. Kurwa, wiesz, o co chodzi. No nie powiem tak.

No, kurwa, rozumiem. Nigdy tak nie powie. I za to ją kocham.

Agnieszka jest dominatorem i chyba natura nie wymyśliła ani ludzi, ani okoliczności, którzy mogliby dotrzymać jej towarzystwa, jednocześnie dotrzymując kroku.

Jej pierwszego męża Krzysztofa lubili wszyscy, ale nie wiem, czy wszyscy chcieliby mieć takiego męża. Kiedyś konwersację z nim porównałem do gry w squasha. Tam walisz z całej siły w gumową piłkę, a ona wraca do ciebie, niesiona impetem odbicia. Podczas rozmowy z Krisem miałeś wrażenie, że piłka grzęźnie w ścianie. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. I prawdopodobnie w każdej normalnej rodzinie otrzymałby złoty medal olimpijski w robieniu dobrego wrażenia, ale u nas spadł z podium. Myślę, że miał być dla niej bezpiecznym portem normalności, a stał się bezpiecznym portem nudności.

Każdy może się pomylić. Znam takich, którzy myślą lewą i prawą ręką i wpadają w popłoch, kiedy trzeba policzyć własne palce.

Sama powiedziała mi o tym inaczej: „Pogrzebałam związek z Krisem, bo najważniejszy był zespół, kariera, bycie w mediach, bycie głosem w sprawie. Ja tym żyłam”.

Teraz Agnieszka ma Marka, troje dzieci, temperament taki, że spokojnie mogłaby sama zagrać i Alibabę, i czterdziestu rozbójników, oraz pozycję nie do podważenia. Więcej pisać nie chcę, bo nie jestem upoważniony. Gdybym ujawnił część naszych rozmów, świat był eksplodował, a nikt tego nie chce.

Pewne jest jedno – z poszukiwaniem szczęścia w życiu jest jak z poszukiwaniem Złotego Pociągu. Nie ściemniali ci, że jest, a najbardziej wkurwia cię to, że wiesz, że to kłamstwo. No i nie wiesz dokładnie, gdzie szukać. Oboje zresztą jesteście wiecznie zdumieni tym gdzie jesteście i jak jesteście. „Chciałam być czarną nietoperzycą, która umrze w wieku dwudziestu siedmiu lat” – wyznała mi swego czasu – „A jestem czterdziestoletnią matką trójki dzieci”.

Lubię jej płyty i nigdy nie mam odwagi pytać, ile jest w tym dokumencie z jej życia. Po wysłuchaniu ostatniej, *Pink Punk*, pomyślałem sobie, że jeśli tymi nagraniami wskazuje człowieka, któremu każe wypierdalać ze swojego życia, to jest to... ona sama.

Właściwie całe życie zastanawiam się, jakie mam poglądy. Bo gdyby przejrzeć media, poszukując w nich szkiców do nakreślenia obrazu mego światopoglądu, to jestem potencjalnym gwałcicielem, lewakiem, zaburzoną schedą po komunizmie, szowinistą, seksistą, mizoginem (to w duecie z Tomkiem Adamkiem, choć głowy nie dam sobie uciąć, że on kuma w swej poobijanej głowie, o co chodzi w tym słowie).

Generalnie uważam, że Polska jest krajem przemocy wobec kobiet.

Jest Disneylandem szowinizmu.

Jest tylko jedna kobieta, którą Polacy katolicy szanują. To Matka Boska. Może dlatego, że to jest relacja w jedną stronę. Ona się nie czepia, nie robi awantur, nie wydaje za dużo na ciuchy, a tylko sobie czasami popłacze z obrazu.

Jestem na lewo od prawicy i na prawo od lewicy.

Mój sukces w życiu polega chyba na tym, że nie znam swego miejsca. I nie lubię, jak ktoś mi je wyznacza. W imię ideologii, religii czy własnych przekonań.

Sporo jak na jednego faceta.

Jestem wolnościowcem. Nie lubię ograniczeń, zakazów i stowarzyszeń ludzi ubierających się i myślących podobnie. Tacy ludzie jak ja są jak misie panda. Zagrożonym gatunkiem. Ponieważ same są dla siebie zagrożeniem.

Trudno dziś użyć do nakreślenia swych politycznych poglądów jakichkolwiek terminów z politycznej myśli dwudziestego wieku. Bo one już nic nie znaczą. Są jak fasady nieistniejących budynków.

Dostaję alergii, jak ktoś mówi, że reprezentuje „konserwatywny system wartości”. Dla mnie to jednoznaczne: bije żonę, Dekalog traktuje jak katalog mebli IKEA, czyli wybiera to, co dla niego wygodne, chodzi na mszę i na stadion co niedziela, dlatego myślę mu się czasami godowe zachowania adekwatne dla obu miejsc, a słowa „Bóg”, „honor” i „ojczyzna” odmienia przez przypadki tak często, jak słowa „frytki”, „parówki” i „piwo”.

Kocham w ich ustach słowo „tradycja”. Ono jest jak stara zakurzona i sękata pałka dziadka do motywowania chłopów pańszczyźnianych wyjęta z gabloty klasowej izby pamięci.

Słowo „prawica” działa na mnie równie kojąco jak słowo „napalm”.

Pamiętam, jak kiedyś w moim programie Ela Zapendowska powiedziała Jackowi Kurskiemu:

– Jak ja nienawidzę tej prawicy.

Jeszcze w czasach wspólnego jurorowania w *Idolu* obiecałem się słuchać Eluni. Więc i w tym posłuchałem.

Ich wspomnianą przed chwilą triadą „Bóg–honor–ojczyzna” wypełniają każdą przestrzeń wątpliwości czy konieczności suwerennego myślenia. A może po prostu krytycznego? Te trzy słowa to jeden z największych blefów popkultury katolickiej pomiędzy Bałtykiem a Karpatami. Większy chyba nawet od słynnych trojaczków „wolność–równość–braterstwo”.

Bóg wyklucza nienawiść.

Honor wyklucza kłamstwo.

A pojęcie „ojczyzna” wyklucza pogardę dla inaczej myślących współobywateli.

Bo ta ojczyzna to także, kurwa, oni. A nie panowie Dmowski czy Piłsudski.

Jestem liberałem z wrażliwością społeczną, idealistą, a czasami zawziętym kapitalistą z dziewiętnastego wieku. Uważam, że rynek to rywalizacja. Czasami brutalna i segregująca nas na tych bardziej i mniej skutecznych.

Jestem trudny do zdefiniowania nawet sam dla siebie i we wszystkim tym nie widzę sprzeczności. W końcu konserwę turystyczną można zjeść, nie będąc turystą. Nie uważam, że aborcja w czwartym tygodniu ciąży jest zabójstwem, bo wtedy musiałbym uważać, że USG w dwunastym to pornografia dziecięca.

Jak Kościół wypowiada się o in vitro, to słyszę język zabłąkany gdzieś pomiędzy Toruniem, średniowieczem, licheńskimi golgotami i słowami „PIN” i „zielony” w miejsce słów „Bóg zapłać”.

Los, historia, bezmyślność i brak edukacji zrobiły z nas religijny skansen. Katolicki aquapark skrzyżowany ze skutkami stresu pourazowego i syndromem sztokholmskim. Klepiemy te zdrowaśki, bo klepała matka, babka i pradziadek. I nie ma specjalnego powodu, żeby nie klepać dalej. A wszystko to dzieje się w kraju, w którym gdyby Jezus zmartwychwstał, to ZUS kazałby mu wracać, skąd przyszedł.

Uważam, że jedynym prawdziwym hasłem dla Kościoła jest to: „Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”.

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat doszedłem do wniosku, że politycy nie kandydują, żeby walczyć z przywilejami i korupcją, tylko kandydują, żeby w tym właśnie uczestniczyć.

Lepiej późno niż później. Ostatnim moim gestem w kierunku sceny politycznej był współudział we wskrzeszeniu Pawła Kukiza. Kukiz mnie nabrał, a gdybym był bardziej dociekliwy, to bym napisał, że to ja nabrałem się na Kukiza. Pomimo że reprezentuje spryt komornika czającego się na cudzy ciągnik.

Uwierzyłem Kukizowi w plan anarchii. Awantury. Wywalenie sceny politycznej do góry nogami. Ostatni akt mej chłopięcej naiwności, że jak się chce, to można. To tak, jakbym nagłym przyrostem zręczności i wygimnastykowania sam siebie wyruchał w dupę.

Nie byłem w tym osamotniony. Mało tego, przez kilka tygodni byłem wręcz

bohaterem. Po sławetnej wizycie Pawła w moim programie, kiedy podpisałem mu swoje poparcie dla okręgów jednomandatowych, warszawska ulica uśmiechała się do mnie jakby promiennie. Nawet policjanci mnie zaczepiali, gratulując odwagi i nonkonformizmu. Kukiz był dla mnie jak wietrzenie starego antykwariatu. Miał być przeciągiem pomiędzy popadającą w autoparodię Platformą a nadchodzącą brunatną hordą PiS-u. Sam okazał się hordą, tylko mniejszego kalibru.

Dziś jestem zmęczony polskością w polityce i polityką polskości.

Jest jeden człowiek, który rozwiązał najwięcej problemów dwudziestego wieku, a i pewnie okaże się pomocny także w dwudziestym pierwszym. Nazywał się Kałasznikow. Ja nie mam jego siły rażenia, więc ze smutkiem dochodzę do następującej konstatacji: jeśli chce się demokracji, to trzeba się pogodzić z odrobiną nieudolności, ignorancji i bełkotu.

We wszystkich dziedzinach życia wymagana jest dziś fachowa wiedza. Czy kopiesz doły, piłkę czy tworzysz aplikacje.

Jedyni dziś amatorzy to politycy.

Chciałem zaznaczyć z całą stanowczością, że już podczas kampanii prezydenckiej mówiłem o panu prezydencie naszej, najjaśniejszej, Andrzeju Dudzie: „Duda wygląda na nieszczęśnika, który jak otworzy lodówkę, to się zaziębi. A jak pojedzie do Rosji, to, kurna, spadnie na niego meteoryt, bo jest pechowcem”.

To, co wyczuł po dwóch latach Robert Górski w *Uchu Prezesa*, ja wyczułem jeszcze w blokach startowych. Widocznie ktoś tu musi robić za proroka i znowu padło na mnie.

Rosyjski mundial okazał się świetną terapią wstrząsową dla wszystkich, którzy uważają, że wysłanie tam piłkarzy miało pokazać naszą lepszość od innych. A pokazało gorszość. I dlatego spotkał ich lincz i symboliczne obdarcie z koszulek reprezentantów narodu. Stali się reprezentantami obcego kapitału i chciwości własnych małżonek. Staliśmy się narodowym zbiegowiskiem wokół

atrakcji narodowego jarmarku i godnościowej familiady. Umysł przegrał i zszedł do szatni.

Żyjemy w kłamstwie i iluzji produkowanych przez śmiesznych ludzi dla głupich ludzi. Polityka już zawsze będzie dla mnie potyczką ludzi małych z nikczemnymi. A w półfinale chamsko sprytnych z mściwymi. Oddelegowaliśmy nasze marzenia na partie, które są kumulacją naszych kompleksów. Obsesyjnym kompulsywno-katolickim zombie.

Zamykam swój patriotyzm szumnych deklaracji, podniosłych słów i publicznych okrzyków w mniejszy kaliber zaangażowania. I nikt mnie już z niego nie wyciągnie.

Gdy był u mnie Janusz Palikot, rozmawialiśmy tak:

– A ja cię teraz zapytam jako polski patriota. Ty masz prawdopodobnie tę samą genezę mentalną, którą ja miałem: megaromantyczne wychowanie i potem nagle Mrozek, Gombrowicz, Hłasko. To próba znalezienia człowieka w Polaku. Bo Polak to jeden wielki sztandar narodowy. A teraz powiedz mi, jak Janusz Palikot, mając takie możliwości, taką fantazję, taką odwagę, taki kredyt, chce załatwić ojca Rydzyka? No bo czas załatwić tę sprawę. Nie myślałeś, żeby wynająć jakichś ludzi?

Palikot na to:

– Tadeusz Rydzyk jest diabłem. On robi tyle zła w Polsce w przebraniu jak mało kto. Kropla czy wibrator drażni skałę. Krok po kroku i wykończymy Rydzyka.

Nie wiem, ile wibratorów na to poszło, ale wyszło słabo.

Nie chce mi się już, jak Maciek Stuhr, Magda Cielecka czy Maja Ostaszewska, służyć jako etatowy przykład oderwanej, świeckiej i zdradzieckiej elity, której jedyną aktywnością jest podlewanie ognia wojny ojczyźnianej benzyną własnych racji.

Ci, co myślą podobnie, znają ich argumenty na pamięć. Ci, co myślą inaczej, nigdy nie pomyślą jak oni.

Masa chce, żeby jej schlebiać, żeby ją rozpieszczać socjałem i kadzić historią. Nie nadają się na mentalnego uczestnika takich wyborów.

Generalnie żyjemy w dziwnych czasach. Lot w kosmos odbywa się coraz szybciej, dziewczyny podrywa coraz szybciej, a jazda do pracy przebiega coraz wolniej.

Podobało mi się to, co swego czasu powiedziała mi Krystyna Janda:

– Chcę spokojnie patrzeć na to, jaka jest ta wiosna, chcę spokojnie patrzeć na dzieci. Dlaczego mam rano wstawać i się martwić? Zasypiać i się martwić? Cały dzień chodzić, jakby mi się coś stało?

Ja mówię:

– Boże, co mi jest? Aaa, to Polska!

A teraz o poczuciu humoru. To trudny i poważny temat. Moja babcia zawsze mawiała: „Nie żartuj nigdy, synku, z głępszymi od siebie”. Ale jak to zrobić, babuniu, kiedy ewidentnie idioci mają przewagę liczebną?

Humor to mój odgromnik. Znieczulacz na smutek, powtarzalność i banalność świata.

Zawsze uważałem, że idioci i geniusze są zwolnieni z obowiązku rozumienia dowcipów. Ale wciąż pozostaje tak zwany zwykły człowiek.

U nas zatarła się granica pomiędzy ironią a obrażą. Żartem a publicystyką. Wyglupem a ideową deklaracją. Świat humoru nie jest czarno-biały, ale w ostatnich latach nadaje mu się wyraźne barwy klubowe.

Uważam, że jako naród jesteśmy hipokrytami humoru. Prywatnie chętnie opowiadamy sobie najbardziej zajadłe szowinistyczne dowcipy, ale z perwersyjnym oburzeniem reagujemy, gdy usłyszymy podobne w przestrzeni publicznej. Albo gorzej. Wydaje nam się, że takie usłyszeliśmy. Uwielbiam te stanowcze i protekcyjne stwierdzenia etatowych fachowców od czyjegoś poziomu humoru: „To ma być śmieszne?”.

Żalotne. Bo humor to jest to, co nas śmieszy. A jak nas coś nie śmieszy, to automatycznie przestaje być humorem i staje się faszystowską napaścią na Polskę.

Moja pogawędka z Tomkiem Adamkiem i jej medialne konsekwencje były tego najlepszym przykładem.

Grupa obrońców praw kobiet, wybaczcie mi określenie, wyłączyła mózgi

i ruszyła z polowaniem na czarownice. Poszła na tandetną łatwiznę, wychodząc z prostego założenia, że dobry wróg to medialny wróg. Jak już kogoś transferować za burtę społecznego porządku, to musi być to gracz z dobrym nazwiskiem na koszulce.

Żyjemy w kraju gęstniejącym od przemocy wobec kobiet. W kraju, gdzie od Bogdana Chazana po Rafała Ziemkiewicza kwitnie retoryka wykluczania i pogardy. Ale fajniej wyrazić oburzenie, wiedząc, że cel jest atrakcyjny i rozpoznawalny dla mas. Niestety ciągle w takich meczach obsadzany jestem w roli napastnika.

Dorota Wellman wyznała kiedyś:

– Media to dziwny świat. Czasami trzeba z siebie robić idiotę, żeby dogonić widza.

Jak się przyglądam telewizji, to coraz więcej prawdziwych idiotów robi dużą karierę.

Nadchodzą ciekawe i konkurencyjne czasy. Chciałem jeszcze dodać, że mam dystans do siebie na poziomie mocno zaawansowanym, ale to już chyba nieprawda jest.

Na ostatnim Open'erze, na koncercie niejakiego Post Malone'a, stał za mną chłopiec, lat może 14,5, i patrzył na mnie nietrzeźwymi kasztanowymi oczami osła.

Po dobrej godzinie gapienia się stuknął mnie w ramię i powiedział: „Stary, mordo. Bardzo cię szanuję. No, w chuj cię szanuję”. Odpowiedziałem mu uprzejmie, że nie reaguję na słowo „mordo” i czy nie pomylił mnie z kimś innym. Pytanie było chyba zbyt trudne i złożone. Nie rozmawialiśmy już ze sobą do końca koncertu.

To mi przypomniało pierwszą wizytę u mnie Karola Strasburgera, którego szanuję i uwielbiam.

– Ale, Karol... Naprawdę mogę mówić Karol?

– No a jak?

– A to nie jest tak, że wyjdziemy ze studia, a ty powiesz: „Nie znam pana”?

– To zależy, jak będzie rozmowa wyglądała. Jak będziesz nieprzyjemny, to przejdziemy na pan.

– Karol, bądźmy na „pan”.

Zbliżając się do finału tej przygnębiającej opowieści o sobie, przypomnę jeszcze raz jedną z wizyt Muńka Staszczyka u mnie w programie. Powiedział:

– A ja ci powiem tak. Byłeś kiedyś taki bardziej, wiesz... intelektualny. A teraz jesteś już taki... tylko i wyłącznie śmieszny.

No ładny bilans.

Najważniejsze to wiedzieć, w którym miejscu postawić kropkę. No i celnie spuentować ponad pięćdziesiąt lat pobytu.

Jak to mawiają nieodzowni w takich sytuacjach komentatorzy sportowi: „Mój mecz z życiem zakończył się zwycięstwem gości 3:3”. A dla podsumowania mojej, przepraszam za słowo, kariery zawodowej użyję słów aktora Roberta Downeya Jr. „Nic nie wiem o aktorstwie. Jestem tylko niewiarygodnie utalentowanym oszustem”. I ja mam tak samo. I to nie tylko w aktorstwie.

Tytułem puenty fragment rozmowy z Jackiem Poniedziałkiem.

Ja:

– Tytułem puenty...

Poniedziałek:

– Nie, nie puentujemy jeszcze.

Ja:

– Dostyc zbroczeń w telewizji.

Poniedziałek:

– Zmieńmy temat. Porozmawiajmy jeszcze o czymś.

– Ale o czym?

– O kobietach, o pogodzie, o winie, o aktorstwie, o teatrze, o polityce...

– A tam! Spada mi oglądalność! Pokaż dupę! Szybko!

Albo bardziej literacko. Tak bowiem często kończył ze mną rozmowy telefoniczne mój mistrz życia, Jan Nowicki:

– No to sobie pogadaliśmy, a teraz spierdalaj.

Czego i wam życzę!

Czwartek, 12 lipca 2012, godz. 00:16

Niedziela, 15 lipca 2018, godz. 17:50

Spis treści

NIEAUTORYZOWANA AUTOBIOGRAFIA

Karta redakcyjna

Opracowanie graficzne okładki i środka
Andrzej Wąsik andu.pl

Zdjęcia na okładce
Andrzej Dragan

Redakcja
Ewa Nosarzewska

Korekta
Teresa Zielińska

Skład i łamanie
TYPO

Copyright © by Kuba Wojewódzki, 2018
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2018

ISBN 978-83-8032-289-9



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR

Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na [Android](#) oraz [iOS](#). Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.



Konwersja: [eLitera s.c.](#)